PRZEGLĄD POWSZECHNY

„BŁOGOSŁAWIONY LUD, KTOREGO PANEM BÓG JEGO" *Ps. 143.*

ROK XLV. Tom 178.

KWIECIEŃ — MAJ — CZERWIEC

1928

KRAKÓW
DRUKARNIA „PRZEGLĄDU POWSZECHNEGO"

SPIS RZECZY NA KOŃCU TOMU.

Po wyborach.

Wybory do obu izb naszego parlamentu odbyły się. Mamy już nowy sejm i nowy senat, które będą już odbywały swoje posiedzenia w czasie, kiedy niniejszy zeszyt dojdzie do rąk czytelników. Zarówno psychologja momentów, jakieśmy w tegorocznych wyborach przeżyli, jak wyniki głosowania i rysujące się na ich tle perspektywy i obawy domagają się omówienia na łamach apolitycznego katolickiego pisma, jakiem jest *Przegląd Powszechny.* Od wszelkiej akcji przedwyborczej, zgodnie z naszym charakterem i powołaniem, staliśmy zdaleka i mogliśmy ją obserwować, nie poddając się żadnej namiętności partyjnej, i dlatego mamy nadzieję, że zdołamy wypowiedzieć poniższe refleksje i uwagi bez żadnego stronniczego zabarwienia.

Akcja przedwyborcza tegoroczna posiadała pewne wspólne wszystkim przedwyborczym kampanjom cechy, posiadała jednak także niektóre sobie tylko właściwe. Ze wspólnych jedne były dobre, inne, ze stanowiska etyki chrześcijańskiej, naganne, które jednak, niestety, nieledwie zawsze się powtarzają. Tych nagannych było w tym roku niemało.

Że każde stronnictwo, pożądające ław poselskich czy krzeseł senatorskich, używa reklamy dla swoich programów i ludzi, nie żałując na nią pieniędzy — to rzecz zrozumiała i godziwa, o ile ma się na oku nie prywatę, lecz dobro publiczne według najlepszego swego rozumienia. Co najwięcej, można niekiedy reklamiarstwem przesadnem a niezgrabnem przechwałkami i megalomanją, raczej sobie zaszkodzić, niż

pomóc — ale i to każdemu wolno. Wolno także, oczywista rzecz, ostrzegać wyborców żywem słowem i drukiem przed stronnictwami, których dążenia uważa się w dobrej wierze za szkodliwe czy niebezpieczne, jak również przed osobami tych kandydatów, których niewątpliwe i znane przekonania albo czyny dotychczasowe nie kwalifikują wcale do godności wybrańców narodu. Ale jeżeli w walce z przeciwnikiem obarcza się go zarzutami niezasłużonemi albo przesadzonemi, kwestjonuje jego uczciwość osobistą czy publiczną dlatego tylko, że staje w przeciwnym politycznym obozie — to już popełnia się czyn nieetyczny, którego żaden choćby najwznioślejszy cel usprawiedliwić nie zdoła. Dopuszczający się takiego czynu tracą sami, powiedziałbym, moralne prawo do tytułu obrońców dobrej sprawy i zelatorów publicznego dobra. Bardziej jeszcze wstrętne, kiedy człowieka, którego wczoraj jeszcze uważało się za najlepszego obywatela, bo się go miało we własnych szeregach, poczyna się zwalczać w sposób nieszlachetny, przypisując mu złą wolę lub gorsze jeszcze rzeczy, skoro zmienił swoją polityczną orjentację. *Pendant* do tego stanowi reklama, robiona świeżemu sojusznikowi, na którym, dopóki był politycznym przeciwnikiem, psy się wieszało.

Są to metody brzydkie, przez wszystkich zresztą potępiane, o ile się je widzi u przeciwnika, chociaż prawie przez wszystkich stosowane, by przeciwnika osłabić, a sobie pomóc. Walkom politycznym wogóle, a walkom przedwyborczym w szczególności, mają społeczeństwa do zawdzięczenia dużo toksyn, nurtujących ich organizmy; taką trucizną jest właśnie podwójna murzyńska etyka i posługiwanie się środkami niegodziwemi dla osiągnięcia celów, które się uważa za dobre. Nie oszczędziła nam tego prezentu i akcja przedwyborcza, którąśmy świeżo przeżyli, i boleć nad tem należy, że nie są pod tym względem bez zarzutu nawet te stronnictwa, które prowadziły akcję wyborczą pod hasłami katolickiemi. Konkretnych dowodów na to przytaczać nie będziemy, wierząc, że po opadnięciu gorączki przedwyborczej, sami ci, co się w niej do takich metod uciekali, spostrzegli swą winę i uderzyli się w piersi.

Cechami swoistemi ostatniej akcji przedwyborczej u nas

były czynny udział rządu w wyborach i wywieszenie przez kilka grup sztandarów z hasłem katolicyzmu.

W przeciwieństwie do wyborów z r. 1922, a nawet z r. 1919 rząd marszałka Piłsudskiego wystąpił nie w roli obojętnego na wyniki akcji wyborczej obserwatora lub rozjemcy, ale w charakterze partnera, który postanowił zorganizować oddanych sobie ludzi w blok współpracy z rządem i blok ten wyraźnie powagą swoją poprzeć. Wytworzyło to oczywistą nierówność szans powodzenia: z jednej strony bloku, znajdującego poparcie i współpracę w organach administracji państwowej, a z drugiej — stronnictw, pozostawionych własnym siłom i zasobom.

Zbytnio ufalibyśmy dobroci natury ludzkiej, gdybyśmy nie przypuścili zbytku gorliwości, a nawet nadużyć władzy w takich warunkach u pewnych funkcjonarjuszów administracji, usiłujących wywiązać się z włożonego na nich zadania z największym rezultatem. Jeżeli jednak nawet takie nadużycia okażą się w poszczególnych wypadkach, to nie będą one zdolne wytłumaczyć sukcesów B. B. współpracy z rządem. Ostatecznie tajność głosowania nie była pogwałcona i nikt fizycznie nie mógł być zmuszonym do oddania swego głosu „na jedynkę", jeżeli w jaki sposób nie doszedł do przekonania o celowości i korzyściach takiego głosowania.

Na powodzenie B. B. wpłynęło rozczarowanie u wielu wyborców co do niektórych stronnictw dawniej popularnych w kraju, odczuwana potrzeba stałego rządu, jakiego krajowi nie umiały dać partje polityczne w okresie sejmowładztwa, wreszcie pewne sukcesy rządów pomajowych, których przypomnienie i spopularyzowanie bezpośrednio przed wyborami, zwłaszcza w szeregu odczytów, nadanych przez radjo, wynagrodziło z nawiązką brak programu, w znaczeniu programów partyjnych, tak często przez przeciwników bloku wytykany.

Powiedzieliśmy, że drugą swoistą cechą ostatniej akcji przedwyborczej było wywieszenie hasła katolicyzmu przez niektóre stronnictwa. Wiadomo, że głos episkopatu naszego, nawołującego do stworzenia wielkiego obozu katolickiego dla oparcia całej polityki przyszłego sejmu na podstawach katolickich, nie odniósł skutku. Najważniejszym

szkopułem było to, że pewne grupy polityczne pragnęły nadać takiemu obozowi oblicze wyraźnie antyrządowe, co nie mogło leżeć w intencjach autorów listu pasterskiego. Skończyło się zatem jeszcze większem rozbiciem katolików. Powstało parę bloków „katolickich", powołujących się na orędzie biskupów i uważających siebie jedynie za najautentyczniejszych wykonawców ich wskazań. Wielu jednak katolików, bynajmniej nie najgorszych, nie uważało za obowiązek swego sumienia zaciągać się pod ich sztandary, ani nawet za możliwe stanąć pod niemi, zwłaszcza gdy obronę interesów katolickich mniej lub więcej łączyły lub utożsamiały z walką z rządem. Przytem katolicyzm niektórych jego szermierzy był zbyt świeżej daty, a zatem wzbudzający podejrzenia co do swej głębokości i szczerości, a metody walki przedwyborczej niewiele pod względem etycznym różniły się od metod „niekatolickich". W rezultacie nie zdołały te stronnictwa przekonać większości katolickich wyborców o tem, że tylko w nich ostoja katolicyzmu i wielu z wyborców nawet od siebie odstręczyły na korzyść „jedynki".

Po takiem przygotowaniu wyborców nadeszła chwila pójścia z kartkami do urny. Zainteresowanie wyborami do sejmu było wielkie, jak świadczy procent głosujących, do senatu — mniejsze z powodu psychicznej reakcji, a może i mrozu.

Nie można powiedzieć, by dużo głosujących decydowało się na oddanie swego głosu na ten czy inny numer po samodzielnem przemyśleniu odnośnych programów. W kraju o tak niskiej kulturze politycznej mas i takim odsetku analfabetów, jak to jest u nas, wyników powszechnego głosowania nie można uważać za wykładnik świadomej myśli politycznej ogółu; tak zwany głos ludu, wola ludu — to jedna z tych fikcyj, w które jest bogaty ustrój demokratyczny wogóle. Wyniki wyborów pouczają tylko, w jakiej mierze każda z grup czynnych polityków posiada w chwili wyborów za sobą masy. Przyjrzawszy się środkom, jakiemi zdobywano sobie zaufanie, metodom i hasłom, jakiemi się posługiwano w kampanji przedwyborczej, można poznać panujące w kraju nastroje, zrozumieć popularność takich czy innych haseł, nie można jednak wyprowadzać pewności, że masy będą

długo szły za tymi samymi przywódcami — przekonali się o tem w r. 1928 niektórzy zwycięzcy z r. 1922 — ani też, że hasła najbardziej popularne i zwycięskie są same w sobie słuszne i dla narodu i państwa zbawienne. Ale, oczywiście, gdyśmy przeważnie zagubili w życiu politycznem busolę niezmiennych zasad prawa naturalnego, boskiego, musimy w praktyce opierać się i liczyć się z temi chwiejnemi wskaźnikami „woli ludu".

Przy obecnych wyborach przeważnie utrzymała a nawet powiększyła swój stan posiadania radykalna lewica, zarówno chłopska jak robotnicza. Zawdzięcza to głównie podwójnemu manewrowi swojej kampanji wyborczej: demagogicznym materjalnym obietnicom, któremi zwykła szafować i oszczędzaniu osoby szefa rządu, z którego blokiem przecież walczyła. Ten drugi manewr, tak mało kosztujący, bo polegający prawie na obłudnem milczeniu tylko, był główną siłą lewicy, w przeciwieństwie do słabości prawicy, która wystąpiła do walki z Blokiem bezpartyjnym przeważnie z przyłbicą otwartą. Urok osobisty marszałka Piłsudskiego zbyt jest wielki wśród mas, by bezkarnie mógł sobie ktoś pozwolić na otwartą z nim walkę. Rozumiała to lewica pozablokowa i licytując się wzajemnie w obietnicach takich, jak wywłaszczenie bez odszkodowania, robiła minę jakoby zwalczała tylko jakiś bezosobowy rząd i blok, który marsz. Piłsudskiego bodaj że chce wziąć do niewoli, od czego trzeba go wybawić. Zauważyć tu jeszcze trzeba, że czynniki rządowe zdawały się potwierdzać to mniemanie o tyle, że akcja bloku rządowego zwrócona była także w większej mierze na zwalczanie prawicy, niż lewicy.

Właśnie rozbiciu zupełnemu uległa dotychczasowa prawica i słabe, jakie istniało, centrum. Dużo dawniejszych zwolenników tych ugrupowań doszło do przekonania, że z faktem rządów marszałka Piłsudskiego, rządów od parlamentarnych kombinacyj niezależnych, liczyć się trzeba, że opozycja zasadnicza przeciwko tym rządom skazana jest na niepłodność. Rozumowali, że ze stanowiska polityki umiarkowanej, nawet konserwatywnej, może być tylko zgubną taktyka pchania rządu na lewo, oddawania przyszłości kraju wyłącznie w ręce „piłsudczyków" radykal-

nych. Stąd rozpoczęły się rozłamy w dotychczasowych obozach i dezercja z nich, które nie oszczędziły nawet stronnictwa najbardziej opozycyjnego w stosunku do rządów majowych, Narodowej Demokracji; stąd akces do bloku rządowego grup konserwatywnych, które dotąd prawie całkowicie stały poza nawiasem polityki parlamentarnej. Kierownicze koła dotychczasowych ugrupowań prawicowych, dokładnie mówiąc dwa bloki pozarządowe, czyniły co mogły i jak umiały, by powstrzymać podobne dezercje w szeregach wyborczych — napróżno! Demagogji klasowej nie chciały za przykładem stronnictw lewicowych uprawiać — i to im trzeba zapisać na pochwałę, wywiesiły więc hasła obrony interesów wiary i Kościoła, obrony demokratyzmu, a jedno z nich wprost zwalczania obecnego rządu, wreszcie — znowu jedno z nich — szermowało nadal ideologją nacjonalistyczną, która także miała godzić w tenże rząd i blok przy nim się tworzący. Okazało się jednak, że hasła nacjonalistyczne niewiele przemawiają do psychiki przeciętnego wyborcy, że jeszcze mniej zrozumiałą dla niego jest groza zamachów na demokratyzm, czem zresztą i na lewicy masy mało się przejmują; natomiast walka przeciw rządowi i jego szefowi, zamiast pozyskać tłumy wyborców, raczej wielką ich część od prawicy oderwała, tak mało jest popularną. Wreszcie, co się tyczy haseł religijnych i wyznaniowych, to te oczywiście mogły dużo zaważyć na szali, ale wobec powtarzanych kilkakrotnie oświadczeń kilku księży biskupów, że orędzie biskupie nie może być uważane za szczególne polecenie ugrupowań, stojących poza blokiem rządowym ani wyzyskiwane przez żadną partję do walki przeciw rządowi, jasnem się stawało jedno, że sumienie katolickie miało prawo wyboru między tymi, którzy głośno o swym katolicyzmie mówili i blokiem pro-rządowym, który wprawdzie żadnych haseł wyznaniowych nie głosił, ale także żadnej walki religji i Kościołowi nie zapowiadał. Jeżeli zaś agitacja endecka lub chadecka narzucała sumieniom katolików zdanie inne — o kategorycznym obowiązku poparcia tych stronnictw, to wielu katolikom wydało się to poprostu nadużywaniem religji do celów partyjnych i zniechęcało ich jeszcze bardziej do tych partyj.

Z religijnych umotywowań jedno dość powszechnie zapadło w dusze wyborców: zrozumienie obowiązku pójścia do urny, ale z jakim numerem? Z wymienionych powodów bardzo wielu do ostatniej chwili nie mogło się zdecydować. Obserwując trochę wahania pewnych grup wyborców, miałem wrażenie, że szło się na nie, jak na wyścigi z totalizatorem. Liczni wyborcy dawali kartki na pewne numery, jak gracze stawiają na konia, który według ich mniemania ma najwięcej szans zwycięstwa; tylko że kiedy zakład na wyścigach nic nie wpływa na dzielność konia, to oddawane w ten sposób głosy na listę, domniemanie rokującą największe widoki wygranej, właśnie do tej wygranej pomagały.

W ten sposób Bezpartyjny Blok współpracy z rządem zdobył listę mandatów znacznie większą, aniżeli podobno sam się spodziewał, natomiast dawne prawicowe stronnictwa aż do Piasta włącznie utraciły dwie trzecie swoich miejsc w sejmie, a trzy czwarte w senacie, doznając nie już porażki, ale prawdziwej a nieoczekiwanej klęski. Inaczej mówiąc, prawie wszystkie pozycje zdobyte przez blok rządowy, zostały zdobyte na dawnych ugrupowaniach prawicowych i centrowych, o których rozbicie właśnie rządowi chodziło. Całe swoje powodzenie zawdzięcza on głosom nie dawnej lewicy, bo ta swój stan posiadania utrzymała, ale masowej dezercji z pod sztandarów prawicy dawnych jej szeregowców. I ironja losu chciała, że temi głosami zostali wybrani nietylko prawicowi zwolennicy marszałka Piłsudskiego, ale i wielu radykałów, którzy poza blokiem współpracy z rządem głosów tych na siebieby nie dostali.

Naogół rzecz biorąc, n o w y s e j m b ę d z i e r a d y k a l n i e j s z y, bardziej lewicowy od poprzedniego. Niektórzy pocieszają się tem, że radykalizacja ta jest pozorną! Sejm się przesunął więcej na lewo, ale posłowie lewicowi jakoby „poprawieli", więc się mniej więcej wyrównuje. Wiadomo, że ludzie z każdym rokiem stają się starsi i bardziej doświadczeni i składające się z nich ugrupowania, zachowując długo jeszcze swoje hasła i nazwy z młodości, wkładają już w nie nową rozumniejszą treść. Czyż nie uważano jeszcze dziesięć lat temu ludowców z obozu p. Witosa za radykałów społecznych i podejrzanych pod względem stosunku do

Kościoła? A obecnie czyniło się już z nich prawie że ostoję ludowego konserwatyzmu i pasowało na obrońców katolicyzmu. Może i owo lewe ich skrzydło, które częściami od nich odpadało i urzędowo zalicza się jeszcze do lewicy, statkuje się z latami i bieleje, nie wiedząc nawet samo o tem? Może i PPS, gdy kruszy się na rzecz komunistów lewa jej strona, zdobywa nowe zastępy zwolenników od strony prawej, dzięki temu, że sama powoli kieruje swą łódź partyjną w tę stronę? Tak pocieszają się optymiści, i warto będzie śledzić najbliższą przyszłość, by stwierdzić, czy nie mają trochę słuszności i w jakiej mierze, czy też może ich optymizm stąd pochodzi, że własny ich prom poddał się nieco prądowi, ciągnącemu w lewo. Bez stałego punktu obserwacyjnego, wszystko staje się względnem w ocenach politycznych, podobnie jak w einsteinowskim świecie.

Największą pono zagadkę stanowi przyszłość posłów z B. B. na terenie sejmowym. Czy utrzyma on swoją jedność, czy rozpadnie się na sprzeczne żywioły, z których powstał? Oczywiście jego przeciwnicy radziby widzieć tę drugą ewentualność i przepowiadają ją chętnie. Z drugiej strony pamiętajmy, że powstał on nie w celach jedynie wyborczych, jak np. blok mniejszości narodowych, ale dla „współpracy z rządem", należy więc mniemać, że jego twórcy i kandydaci na posłów, wiedząc, że się schodzą z przeciwnych stron, musieli dać jakieś zobowiązania, że sojuszu po wyborach nie rozerwą. Jeżeli nie brać pod uwagę złośliwego przypuszczenia, że jedynem zobowiązaniem, jakie dali, było „stać na baczność", trzeba się będzie domyślać, że musiał dojść do skutku jakiś kompromis, w którem zeszlifowano ostrza przeciwieństw i zgodzono się na jakąś możliwą do zrealizowania myśl. Sami członkowie bloku rządowego dają do zrozumienia, że chodzi im o poparcie marszałka Piłsudskiego w pracy nad wzmacnianiem państwowości polskiej, której zagrażało partyjnictwo, i nad utrwalaniem silnej władzy. O radykalnych więc posunięciach w dziedzinie prawodawstwa społecznego nie byłoby narazie mowy, podobnie jak o reakcyjnem cofaniu tego, co już zrobiono w tym kierunku. Dlatego posłowie i senatorzy, których wprowadził do parlamentu blok współpracy z rządem, mają

tworzyć, jak oświadczają, jeden zwarty klub, który będzie tym sposobem najsilniejszy z pośród wszystkich ugrupowań sejmowych i senackich. Czy na długą metę wytrzymają obok siebie takie przeciwieństwa, jak Sapiehów i Radziwiłłów z jednej a Sanojców i Polakiewiczów z drugiej strony? Zaiste okaże się wielkim autorytet i urok marszałka Piłsudskiego, jeśli zdoła wprząc do zgodnej pracy tak różnorodne żywioły.

Powstaje zasadnicze pytanie jak się rząd ustosunkuje do nowego sejmu, jako całości? Czy zamierza, jak obiecują jedni z jego zwolenników, podnieść powagę sejmu, uzdrowić parlamentaryzm, czy też jak mu podsuwają inni, również jego zwolennicy, przekonać raczej kraj o zbędności całego aparatu parlamentarnego? Określilibyśmy prościej pytanie: czy parlamentaryzm ma być wskrzeszony, czy też ma pozostać w grobie, do którego złożony został w maju 1926 r., chociaż nie spisano formalnego aktu zejścia.

Bo musimy sobie uprzytomnić, że od przewrotu majowego parlamentaryzmu we właściwem znaczeniu tego słowa w Polsce *de facto* niema. Według zasady klasycznego parlamentaryzmu, rząd, który nie zdołał skupić więcej niż połowy głosów i zdobyć dla popierających go stronnictw absolutnej większości mandatów, winienby automatycznie ustąpić. Tak bywało w Anglji, dopóki istniały tam tylko dwie partje, konserwatywna i liberalna; wybory do parlamentu rozstrzygały o tem, która z nich ma zaufanie większości obywateli, a zatem winna wyłonić z siebie rząd i wziąć na siebie odpowiedzialność za całą politykę państwową.

Gorzej jest z tą klasyczną formułą, gdzie kraj jest rozbity na większą ilość stronnictw, z których żadne nie ma widoków zdobycia absolutnej większości.

Ale wtedy ratuje się parlamentaryzm przez blokowanie się tych stronnictw, które czują się bliższemi siebie. Blok zwycięski rozdziela między należące do siebie grupy odpowiedzialność za losy kraju i ujmuje rządy w swoje ręce, blok, który kampanję wyborczą przegrał, przechodzi do opozycji. Tak we Francji po r. 1920 rządził prawicowy blok jedności narodowej, dopóki w wyborach r. 1924 kartel

lewicowy nie odniósł zwycięstwa, z którego jednak niedługo umiał korzystać. U nas takie większości koalicyjne tworzyły się kilkakrotnie, nie były wszakże dość spoiste wewnętrznie, by na długo utrzymać w ręku ster nawy państwowej.

Ostatnie nasze wybory bynajmniej nie utworzyły żadnej jednolitej większości parlamentarnej, ani rządowej, ani opozycyjnej. U nas sytuacja jest zupełnie swoista i oryginalna. Blok współpracy z rządem sam w sobie, jak wiadomo, bardzo niejednolity, zdobył trzecią część mandatów poselskich i mniej niż połowę senatorskich. W normalnych warunkach parlamentaryzmu do niego, jako najsilniejszego klubu należałoby zatrzymać w swych rękach władzę, ale pod warunkiem, że postara się on o pozyskanie dla podtrzymania rządu innych stronnictw tak, aby rząd nie został zdezawuowany przez większość parlamentarną. U nas nikt, nawet w szeregach opozycji, tak kwestji nie stawia i nikt naprawdę o obaleniu rządu marszałka Piłsudskiego nie myśli. Istnieje u wszystkich jakieś świadome czy podświadome poczucie, że rząd obecny ma gdzie indziej swe oparcie, niż w parlamencie, któremu wcale nie zawdzięcza ani swego powstania ani trwałości. Dlatego prawie za rzecz pewną można uważać, że nie będzie on też upatrywał warunku dalszej swej egzystencji w pozyskaniu dla siebie stałej i zwartej większości sejmowej, w takiem rozszerzeniu swego bloku, by posiadał sam absolutną większość, chociaż oczywiście akces nowych żywiołów do bloku współpracy nie byłby dlań obojętny. W warunkach istotnego parlamentaryzmu rząd jest tylko emanacją większości przedstawicielstwa narodowego i prostym wykonawcą wskazań tejże większości, u nas po majowym przewrocie rząd stoi niejako na własnych nogach, obok sejmu, nie zaś wyrastając z niego, i dlatego nawet zespół ludzi, którzy się związali w blok pro-rządowy, zadowala się skromną nazwą bloku współpracy z rządem. Do tego, by mu dyktować linję polityki, nie rości sobie pretensji, oświadczając przeciwnie gotowość przystosowania się do inicjatywy rządu i do popierania jej na terenie sejmowym. W takich warunkach rząd marszałka Piłsudskiego nie będzie chyba uważał za potrzebne dla siebie zjawiać się przed sejmem z programem swych zamierzeń w celu pod-

dania ich pod sąd Izby i szukania wotum zaufania większości z determinacją przystosowania się do polityki tej większości. Prawdopodobnie będzie się zwierzał przed sejmem z tego czy innego swego zamierzenia może trochę z kurtuazji, częściej dla zorjentowania własnych zwolenników; poza tem wyznaczy sejmowi, jak to czynił od półtora roku, ściśle określone zadania, jak rozpatrzenie budżetu, aprobatę dekretów wydanych na podstawie pełnomocnictw i t. p., pewny, że żadna większość się nie utworzy, któraby stanęła przeciwko niemu w otwartej opozycji i zdołała mu wydać walkę. Nie był do tego zdolny sejm poprzedni w ostatnich miesiącach swej egzystencji, chociaż rząd w nim nie posiadał żadnej poważnej całkowicie oddanej sobie grupy; tem bardziej nie będzie do tego zdolny sejm obecny, posiadający taką grupę w postaci bloku współpracy z rządem. Wszystkie inne ugrupowania, które pozostały nazewnątrz tego bloku, nie są zdolne, choćby dla swych krańcowych ideologij i przeciwstawności interesów, do utworzenia zwartego obozu dla walki z rządem, a tem mniej do wzięcia w swe ręce władzy. Zapewne same, by nie wystawiać się na ryzyko całkowitej przegranej w razie nowych wyborów, będą starały się raz jedno, drugi raz drugie skrzydło, pójść na rękę rządowi. Można wyrazić pewność, że jeżeli obecny blok współpracy z rządem sam się nie rozpadnie, to wbrew niemu nie powstanie na terenie naszego parlamentu żadna grupa dość spoista i mocna, by rząd marszałka Piłsudskiego musiał się z nią liczyć, jako z poważnym konkurentem o władzę. Kto wie nawet, czy nowy sejm w razie trudności znajdywania w swym składzie choćby takich dorywczych większości od wypadku do wypadku, nie zdecyduje się, śladami swego poprzednika, na udzielenie rządowi nowych pełnomocnictw w zakresie legislatywy, byleby wyjść z kłopotliwego położenia i formalnie uratować zasadę, że się jest źródłem wszelkiego prawodawstwa.

Zważywszy więc wszystko, jesteśmy skłonniejsi do przypuszczenia, że do uzdrowienia parlamentaryzmu, a raczej wskrzeszenia tego nieboszczyka, żyjącego już tylko na papierze, rząd marszałka Piłsudskiego kwapić się nie będzie i chyba nie w tem znaczeniu wyraża swą chęć kooperacji

z sejmem. Czy zechce jednak sporządzać parlamentaryzmowi formalną metrykę śmierci przez odpowiednią zmianę konstytucji, dokonaną przez sam sejm, wydaje się mniej prawdopodobnem ze względu na silną pod tym względem opozycję lewicy, a może i części prawicy, zgóry zapowiadających obronę demokratycznego ustroju, swobód obywatelskich i t. p. A wiadomo, że do zmiany konstytucji przed upływem 25 lat od jej uchwalenia wymagana jest kwalifikowana większość $^3/_5$ głosujących przy obecności przynajmniej połowy ustawowej liczby posłów. Nie przypuszczamy zaś ewentualności oktrojowania nowej konstytucji siłą.

Jeżeli powyższe rozumowania są trafne, to można się spodziewać ledwie nieznacznych, nie zasadniczych zmian ustrojowych w kierunku może dalszego rozszerzenia i wzmocnienia prerogatyw prezydenta i rządu, z pozostawieniem obok tego teoretycznej supremacji sejmowej, odpowiedzialności ministrów przed sejmem i t. p. atrybutów parlamentaryzmu, które, jak widzieliśmy, pozostają obecnie martwą literą. W takim razie i lewica byłaby zadowolona, że demokratyczny ustrój ocalał i rządowi, temu i takiemu, jakim jest obecny, niewieleby to zawadzało.

Dużo łatwiej będzie dla rządu poprowadzić przy pomocy nowego sejmu swoją polityk ę narodowościową. Wiadomo, że zmierzała ona i zmierza do spojenia kresów o ludności mieszanej z Rzecząpospolitą i pozyskania mniejszości narodowych dla państwowości polskiej drogą politycznych i kulturalnych ustępstw dla tychże mniejszości. Dotąd polityka ta miała surowego krytyka i mocnego a nieustępliwego przeciwnika w prawicy nacjonalistycznej, a silne antypaństwowe dążności przedstawicielstwa sejmowego samychże mniejszości także nie ułatwiały rządowi zadania. Obecnie nacjonalizm wyszedł z wyborów rozbity; okazało się, że jego ideologja nie znajduje ani zrozumienia, ani tem mniej skutecznego poparcia w masach. Sama ta ideologja rozkłada się i gdzie najbardziej wrzała walka narodowościowa, w b. Galicji Wschodniej, tworzy się tam nawet nowa koncepcja „narodu" („Zespół stu"), według której zamiast przeciwstawiania się mniejszościom, obejmuje się je ogólnonarodowym płaszczem, zapewniając im opiekę i pielęgno-

wanie ich odrębności „ludowych". Wątpliwe wprawdzie, czy mniejszości będą zadowolone z tej nowej koncepcji, w każdym razie zdradza ona, że nasz nacjonalizm, obok strat ilościowych przez dezercje, przechodzi także ciężki kryzys wewnętrzny, wyrażający się w rozszczepianiu się jego ideologji. Tak osłabiony, przestaje on być dla rządu przeciwnikiem poważnym. Z drugiej strony i przedstawicielstwo mniejszości narodowych, przez osłabienie liczebne bloku mniejszości na rzecz bardziej ugodowych żywiołów, wciągniętych do bloku współpracy z rządem, spuści chyba znacznie ze swego negatywnego stanowiska względem państwowości polskiej, chociaż pojawią się na scenie nowe gorące elementy ruskie, wybrane po ząz pierwszy ze Wschodniej Małopolski.

Nakoniec należy parę słów powiedzieć o perspektywach, jakie po tegorocznych wyborach sejmowych otwierają się w dziedzinie stosunków kościelno-politycznych. Przeciwnicy bloku rządowego z prawa wystąpili, jak wiemy, pod hasłami katolickiemi: obrony religji, praw Kościoła, sakramentalności małżeństwa. Przegrana obydwóch bloków „katolickich" nie świadczy wcale jakoby dla tych haseł nie było zrozumienia wśród szerokich mas naszego społeczeństwa; przegrana ta mówi tylko, że posługujący się owemi hasłami nie zdołali ogółu wierzących katolików przekonać o tem, że ze strony rządu gotuje się zamach na religję i że najtrafniejszym środkiem unicestwienia takiego zamachu jest głosowanie przeciw blokowi współpracy z rządem. Stwierdzamy tylko fakt, nie wdając się w ocenę słuszności czy niesłuszności tego zapatrywania. Dlatego, chociaż bloki katolickie w swych odezwach przedwyborczych z naciskiem twierdziły, że każdy dobry katolik winien głosować na nie, nie zgodzimy się za nic na świecie na wniosek, że katolików dobrych jest w Polsce tylko tylu, ilu oddało swe głosy na listy 24 lub 25. Spodziewamy się, że i sami autorzy owych odezw obecnie zgodzą się z nami, inaczej musielibyśmy począć wątpić, czy mamy formalne prawo domagać się, aby Polska prowadziła politykę katolicką, liczyła się z wymogami Kościoła. O katolickości kraju i ludu naszego sądzimy na podstawie innych kryterjów, niż

wyniki tegorocznych wyborów, w których właśnie podstawy do sądów pod tym względem nie znajdujemy. Nie znamy zamiarów i programów rządowych co do spraw religijnych i kościelnych, nie wiemy czy wogóle jakiś wyraźny program co do tych spraw istnieje; wiemy tylko, że jeden z ministrów (minister Romocki) składał w Poznaniu uspakajające pod tym względem oświadczenia i wyjaśnienia i że w swojej kampanji przedwyborczej blok współpracy z rządem żadnym kulturkampfem katolicyzmowi nie groził. Jeżeli z tego zachowania się rządu i jego bloku można coś wnioskować, to albo to, że wrogich Kościołowi i wierze zamiarów nie żywi, albo, jeżeli je przechowuje gdzieś w dalszych zakamarkach swoich szuflad, to nie uważa za możliwe zdradzić się z niemi przed krajem, dając tym sposobem nowe świadectwo, że kraj jest w większości wierzącym i katolickim. Znamienne także, że w tegorocznych wyborach nawet lewica nie występowała otwarcie z hasłami antyreligijnemi; widocznie i ona jeszcze nie widzi warunków do rozpętania w Polsce walki otwartej przeciwko katolicyzmowi.

Oczywista rzecz, że to, cośmy dotąd powiedzieli, nie zmierza wcale do uśpienia czujności katolików. Z katolickością kraju liczą się u nas niemal wszyscy, ale za niemniej pewną rzecz uważać trzeba, że istnieją także zamiary, wierze i interesom Kościoła wrogie i że przy każdej nadarzonej sposobności mogą się ujawnić. Zapewne istnieje i u nas, jak i gdzie indziej, masonerja, która wszędzie zmierza do walki z katolicyzmem; dziwnem byłoby, gdyby u nas było inaczej, albo gdyby w Polsce nie posiadała ona wpływów w kołach politycznych, chociaż potęgę tych wpływów u nas pospolicie przecenia się. Sama konieczność wprowadzi na porządek dzienny niektóre sprawy, nieobojętne dla katolicyzmu, np. sprawy prawodawstwa małżeńskiego, dziś różnego w każdej z dawnych dzielnic Polski, albo sprawę sekciarstwa, zupełnej realizacji konkordatu i może jeszcze inne. Wobec tego, zgóry trzeba być przygotowanym na to, że spotkamy się także z zakusami, zasadom katolickim wrogiemi i że będzie trzeba z niemi walczyć. Przy naszem niedość głębokiem rozumieniu i znajomości zasad wiary i prawa kościelnego — głębokość naszego katolicyzmu stoi

w stosunku odwrotnym do jego powszechności — można się obawiać, że nawet z pomiędzy tych, co kampanję wyborczą prowadzili pod firmą katolicką, nie wszyscy będą umieli bronić zasad katolickich. A więc obowiązek czuwania staje się tem większy. Ciąży on dzisiaj przedewszystkiem na tych katolickich posłach i senatorach, którzy byli przekonani, że spraw wiary i Kościoła łatwiej będzie bronić, stojąc bliżej rządu: niech patrzą *ne quid detrimenti capiat* i ta ojczyzna duchowna, której się mienią dobrymi synami. Ale, oczywiście, nie mogą czuć się zwolnionymi od tego obowiązku obrony zasad wiary katolickiej i ci, co kampanję wyborczą przegrali, chociaż hasłem tej obrony walczyli. Ufamy, że rozumieją, że obowiązki wiary nie warunkują się powodzeniami politycznemi, ale wypływają ze stosunku absolutnej zależności człowieka od Twórcy. Dlatego, kiedy chodzić będzie o sprawy religji, muszą zniknąć wszelkie polityczne antagonizmy i urazy.

Dlatego wszyscy przyznający się do Kościoła katolickiego winni uświadamiać sobie swoje względem niego obowiązki i w zgodnym szeregu stawać — ilekroć zajdzie tego potrzeba — do obrony jego zasad i praw.

Ufamy, że tak będzie.

Ks. Jan Urban T. J.

Kraków, 16 marca 1928.

Arcybiskup Siestrzeńcewicz i Stanisław August w Petersburgu.

W stotrzydziestą rocznicę śmierci ostatniego króla polskiego.
Z niewydanych źródeł.

13 marca 1797 r. wyjeżdżał arcybiskup Siestrzeńcewicz z Mohylowa do Moskwy na „Najjaśniejszego Imperatora koronowania święty obrządek". Drogę miał gładką: „po śniegu i lodzie". Odbywał ją „kołami" i 22 tegoż miesiąca o zachodzie słońca stanął w stolicy, gdzie zamieszkał w domu parafjalnym przy kościele św. Ludwika. [1])

Początkowo nosił się arcybiskup z zamiarem przyjęcia u siebie, w Mohylowie, przybywającego do Rosji nuncjusza apostolskiego i towarzyszenia mu w dalszej drodze. Gdy jednak Litta opóźniał się z przyjazdem, nie mogąc się go doczekać, sam pośpieszył Siestrzeńcewicz do Moskwy, aby zawczasu parę własnych spraw załatwić. W Moskwie było już gwarno i ludno. Z odległych krańców cesarstwa zjeżdżały się „deputaty paradnymi cugami", przybywali dygnitarze; [2]) na placach i ulicach miasta czyniono przygotowania

[1]) Ob. Mgr. M. Godlewski et W. Kriksine, *Journal et correspondance de Stanislas Siestrzeńcewicz - Bohusz,* premier Archevêque-Metropolitain de Mohilew. Pétersbourg 1913, I partie (1797—1798), str. 4.

[2]) W Moskwie opowiadał Siestrzeńcewiczowi hr. Iliński, szambelan Pawła I, że gdy cesarz otrzymał jego list z prośbą o pozwolenie przyjazdu na uroczystości koronacyjne, najchętniej się do niej przychylił, gdy tymczasem innym biskupom tej łaski odmówił. Przy tej sposobności nader pochlebnie wyrażał się Paweł o arcybiskupie mohylowskim, podnosząc jego „uczucia wiernopoddańcze", które umiał swym podwładnym wpajać. Ob. *Journal et correspondance...* t. I, str. 19.

do uroczystego wjazdu monarchy. Korzystając z wolnego czasu, odwiedził Siestrzeńcewicz paru dygnitarzy i dawnych znajomych. Był między innymi u gubernatora wojennego stolicy (naczalstwujuszczawo gubiernatora), księcia Jerzego Włodzimierzowicza Dołgorukiego, u księcia Jussupowa, marszałka koronacji, u gubernatora Archarowa, u Anny Pietrówny Kutajsowej „godnej i dystyngowanej damy", u wicekanclerza księcia Aleksandra Kurakina, u metropolity Gabryela, etc. etc.

Gdy go zapytał książę Kurakin, czy znał króla polskiego, który miał niebawem zawitać do Moskwy, odrzekł Siestrzeńcewicz, że król polski „był jego dobroczyńcą i twórcą". [1])

I rzeczywiście nie mijał się z prawdą. Przed laty bowiem szczodremi łaskami obsypał go był Poniatowski! Opatrzył go przecież bogatemi prezentami w Bobrujsku i Homlu, dał mu prezentę na kanonję wileńską, ozdobił gwiazdą św. Stanisława za wymowne kazanie, gromiące królobójców barskich i wpływami swemi w Rzymie u markiza Anticiego i kardynała Albaniego, protektora Polski, ułatwił mu wreszcie zdobycie sufraganji przy biskupie Massalskim, która w następstwie utorowała mu drogę do najwyższych dostojeństw kościelnych pod berłem rosyjskiem.

Od metropolity petersburskiego i nowogrodzkiego Gabryjela (Pietrowa), [2]) któremu car polecił w czasie koronacji dopełnić namaszczenia w zastępstwie metropolity Platona, będącego w niełasce, dowiedział się arcybiskup, że Stanisław August z licznym dworem wybiera się do Moskwy, ale niedomaga ze zdrowiem, bo cierpi mocno na bóle hemoroidalne. [3]) Tłumaczył mu Gabryjel, że niedomagania królewskie spowodował „brak odpowiedniej transpiracji, nie zaś woda z Newy lub klimat petersburski, jak powszechnie mniemano. Odkąd bowiem król zapadł na nogi i miał mało ruchu, nieporównanie silniej bóle hemoroidalne zaczęły mu dokuczać".

[1]) „C'était mon créateur..." *Journal* t. I, str. 17.

[2]) Ob. W. książe Mikołaj Michajłowicz, *Portraits russes*, t. IV, Nr. 73.

[3]) Ob. *Journal et correspondance...* t. I, str. 6.

Zdaje się, że arcybiskup mohylowski był istotnie szczerze oddany królowi, któremu wiele zawdzięczał... Ubolewał mocno, że Stanisław August koronę utracił, że na starość chleb na obczyźnie spożywać musiał; najbardziej wszakże współczuł królowi, że go trapiła owa przykra choroba, którą zwykł był „straszną chorobą" nazywać, gdyż sam przechodził przez podobne piekło. 65 lat liczył wówczas Stanisław Siestrzeńcewicz-Bohusz, lecz nie znać było na nim, że siódmy krzyżyk na barkach dźwigał. Był czerstwy, silny, pełen życia. Dworska zgraja nazywała go „huzarem", przyodzianym w suknię duchowną. Latem u siebie w Pieczersku jeszcze konia dosiadał; odbywał pieszo długie „milowe" przechadzki do sąsiednich lasów, gdy pora grzybobrania nastała. Sam bez ogrodnika sadził wiśnie i maliny w pieczerskim ogrodzie, rąbał drzewo, układał owoce w piwnicy na zimę. Mógł w razie potrzeby godzinami całemi ślęczeć bez zmęczenia nad książką lub „departamenckimi papierami..." Słowem, miałby kwitnące zdrowie, gdyby nie owa „dolegliwość", która mu spędzała sen z powiek i stawała się chwilami męką prawdziwą... Więc nie dziw, że cierpienia królewskie, o jakich się dowiedział, budziły w nim szczególną i głęboką „kommizerację" dla Najjaśniejszego Pana.

Do Moskwy przybył Król Jegomość 9 kwietnia po południu w towarzystwie ks. Stanisława Poniatowskiego, szambelanów Wolskiego, Trembeckiego, pp. Grabowskich etc. i zamieszkał w pałacu hr. Zachara Grigorjewicza Czernyszewa, gdzie zastał już hrabiów Mniszchów. 11 kwietnia odwiedził go arcybiskup Siestrzeńcewicz o piątej godzinie wieczorem w licznem gronie deputatów kijowskich. Przyjął go król „nad wyraz łaskawie". Rachowaliśmy z królem, pisał arcybiskup do swojej bratowej,[1]) lata od „niewidzenia się..." A mieli co rachować! Po raz pierwszy bowiem ujrzał Siestrzeńcewicz Stanisława Augusta przed trzydziestu laty i przelotem tylko, gdy powracał z Marsylji do Wilna. W następnym roku widział się z nim dłużej, gdy przybył do Warszawy, jako kanonik wileński. Oczarował go wówczas młody król rozumem i miłem obejściem, ale od tego czasu już się z nim więcej nie spotykał.

[1]) Ob. *Journal...* t. I, str. 16.

Wdzięczny był Król Jegomość Siestrzeńcewiczowi za „atencję“ i za uczucia przywiązania, jakie mu teraz okazywał: „choć przez tyle lat daleko był od niego, bliską mu jednak była jego reputacja“. — „Respektem i wdzięcznością, odparł Siestrzeńcewicz, mogłem jedynie zyskać aprobację Waszej Królewskiej Mości, od którego doznane dobrodziejstwa wszystkim opowiadam“. — „Nie mówmy więcej o przeszłości“, przerwał mu król. Wtedy przedstawił arcybiskup Stanisławowi Augustowi obecnych deputatów kijowskich: pp. Leona Charlęskiego i Rokitnickiego, którzy wraz z generałem Korzeniowskim i Franciszkiem Podaskim, kasztelanem ciechanowskim przybyli, króla powitać.

„Afektu królewskiego niezmiennego wyrazy, zawsze dla mnie miłe, usłyszałem“, pisał w parę dni później arcybiskup do pani Leonowej Charlęskiej, swojej starej znajomej.[1]) „Postarzał się Pan od czasu niewidzenia się, ale wigoru w pamięci i konwersacji nie zbywa mu“.

12 kwietnia udał się Stanisław August na mszę świętą do kościoła francuskiego św. Ludwika. W otoczeniu kleru przyjął uroczyście Siestrzeńcewicz króla polskiego u drzwi kościelnych i powitał oracją. „Najjaśniejszy Panie, rzekł arcybiskup, zabroniłeś mi Wasza Królewska Mość mówić o przeszłych rzeczach, ale pozwolisz łaskawie słodki łańcuch, którym serce moje skrępowałeś, wiecznie nosić i dobrodziejstwa, któremiś mnie niegdyś obdarzył, czuć i pomnieć — dobrodziejstwa, z których przez nieprzewidziane na Ojczyznę wyroki Boskie z poddaństwa posuniony na pasterstwo, widzę w kościołach swoich przykładne Waszej Królewskiej Mości nabożeństwo, a za tem idące powszechne uszanowanie równe mojemu nieograniczonemu“. — „Przejęty jestem, odpowiedział król, czułością Waszmości Pana, oświadczoną teraz, znaną mnie zawsze. Szacunek mój miałem ku Waszmości Panu zawsze. W najtrudniejszych okolicznościach służyć Kościołowi Waszmość Pan umiałeś, roztropnością i pobożnością powodując się, rządzić Dom Boży, który nawiedzam“.

[1]) 15 apryla. Z niewydanej korespondencji Siestrzeńcewicza. Archiwum Departamentu Obcych Wyznań. Petersburg. Bumagi Archijepiskopa Siestrjencewicza. I Razrjad.

W Wielki czwartek dopełnił arcybiskup obrzędu poświęcenia olejów w kościele św. Piotra i Pawła w obecności Stanisława Augusta, nuncjusza Litty oraz tłumu wiernych i w czasie mszy świętej udzielił komunji św. Najjaśniejszemu Panu, który klęczał „przed balustradą" presbiterjum. Duchowieństwo przystąpiło do Stołu Pańskiego po królu.

W Wielką sobotę składał arcybiskup królowi życzenia wesołych świąt i dłuższy czas zabawił u niego. Zatrzymał go król na obiad i rozmawiał z nim o różnych bieżących sprawach. Między innemi pytał go o zdrowie i ubolewał, że „cierpi tak dotkliwie na swoją dolegliwość". — „Widać, pisze Siestrzeńcewicz z pewnem zdziwieniem w swoim dzienniku, że musiano go uprzedzić o mojej chorobie". Mógł się jednak nie dziwić, skoro na wszystkie strony o niej rozpowiadał.

Od tej chwili nie odwiedził już arcybiskup Stanisława Augusta w czasie jego pobytu w Moskwie. Następowały uroczystości koronacyjne: nabożeństwa, galowe przyjęcia w Kremlu, obiady, bale, koncerty, na które Siestrzeńcewicz skwapliwie uczęszczał. Parę razy zdaleka tylko widział króla, lecz nie miał sposobności porozmawiać z nim.

14 maja (n. s.) wyjechał arcybiskup z Moskwy i przez Orszę, gdzie podejmował cara Pawła, pośpieszył do swego Pieczerska pod Mohylów, chcąc wyprzedzić deputatów kijowskich, których zaprosił do siebie. W Pieczersku tymczasem czekała arcybiskupa przykra niespodzianka. Szambelanowa Siestrzeńcewiczowa, jego bratowa, kalwinka, zarządzająca dotychczas wszechwładnie jego domem, „niewiasta", jak pisze o niej Szantyr,[1]) „chytra, chciwa, burzliwa i na nic nie mająca przyzwoitego względu", pomimo gorących próśb i nalegań arcybiskupa, przyjęła jak najgorzej przybyłych gości z Moskwy. Oburzył się Siestrzeńcewicz wybrykami bratowej, „które mu wielką wyrządzały krzywdę", zgromił ją surowo i gości wywiózł do Mohylowa.

Dopiero 2 lipca wyjechał z Mohylowa nad Newę, dokąd go wzywał książe Bezborodko, aby był obecny przy

[1]) Ob. Szantyr, *Wiadomości do dziejów Kościoła i religji katolickiej* w krajach panowaniu rosyjskiemu podległych. Poznań, 1848, t. I, str. 74—118.

pertraktacjach z nuncjuszem Littą. Po drodze parę dni zatrzymał się arcybiskup w Witebsku. Udzielał wówczas Sakramentu Bierzmowania wiernym, celebrował u Dominikanów, u Trynitarzy, u Bernardynów i Jezuitów; był również u tych ostatnich w klasztorze na „paradnym" obiedzie wraz z gubernatorem i wice-gubernatorem witebskim i wreszcie po długiej i uciążliwej podróży 2 września znalazł się w stolicy. W Petersburgu wpadł niezwłocznie Siestrzeńcewicz w wir zajęć. Musiał bowiem widywać się z nuncjuszem, konferować z Bezborodką, z Repninem i Kurakinem i przygotowywać memorjały dla rządu. Pomimo jednak licznych zajęć nie omieszkał wkrótce po swym przyjeździe stawić się u Króla Jegomości.

Okres największych lipcowych upałów spędzał Stanisław August na „Kamiennom Ostrowie", w willi świeżo odrestaurowanej, którą mu car Paweł przeznaczył na letnią rezydencję. Ale w połowie sierpnia, gdy pogoda zaczęła się psuć, z rodziną i dworem powrócił król do Pałacu Marmurowego. „Był Najjaśniejszy Pan", donoszono Siestrzeńcewiczowi, „w ciągłej okupacji". Zwiedzał sumiennie „ciekawości" stolicy: cerkwie, klasztory, akademje, pałace, prywatne galerje i pracownie artystów; jeździł do portu, oglądał „osobliwe machiny" w fabrykach, wstępował nawet do „brokanterów" i targował u nich obrazy i minjatury.

Jednocześnie składał wizyty „dystyngowanym personom", które go z „honorem i weneracją" przyjmowały. W dniach wolnych od wycieczek przyjmował Król Jegomość u siebie i przyjmował zawsze gościnnie i okazale. Cały ówczesny wielki świat petersburski spotkać można było na pokojach królewskich: rodzinę cesarską, ministrów, wysokich dygnitarzy dworu, senatorów, tajnych konsyljarzy etc., a obok Rosjan, cudzoziemców, dyplomatów zagranicznych i emigrantów francuskich, panów, artystów, statystów, „wojażerów", oraz liczny zastęp naszej arystokratycznej Polonji! Roiło się od niej nad Newą w pierwszych miesiącach panowania Pawła. Z odległych zabranych polskich prowincyj śpieszyli do Petersburga Potoccy, Radziwiłłowie, Lubomirscy, Ogińscy, Tyszkiewiczowie etc., aby powitać wschodzące słońce i zdobyć zarazem fawory monarchy. Jednym chodziło

o ordery, innym o pensje i dygnitarstwa dworskie, a innym znów o najwyższą protekcję w procesach majątkowych lub matrymonjalnych sprawach. Oczywiście, szajka tych pasorzytów i nicponiów o wytartem czole i wahadłowym grzbiecie oblegała Stanisława Augusta. Prosiła go, molestowała o poparcie jej interesów i instancję do tronu i Król Jegomość nie odmawiał im pomocy, choć niejednokrotnie przez nich narażał się na przykrości. Pod datą 20 września 1797 r. pisał Siestrzeńcewicz w swoim dzienniku: „Oświadczył cesarz królowi, aby go więcej rekomendacjami i prośbami nie nudził". A 30 września t. r. czyni arcybiskup jeszcze taką notatkę: „Gdy Stanisław August wstawiał się za Michałem Ogińskim, odpowiedział imperator królowi: Jeżeli Wasza Królewska Mość pragnie cośkolwiek o sobie powiedzieć..., wszystko z przyjemnością uczynię, tylko niech Wasza Królewska Mość nie wstawia się za innymi".

Ale król nie zrażał się wybuchami Pawła. Trafiał zręcznie do osób wpływowych przy imperatorze, poruszał wszelkie możliwe sprężyny, byleby dawnym poddanym swoim usługę wyświadczyć. Żywo nader obchodził go los rodaków nad Newą. Wchodził w najdrobniejsze szczegóły ich życia, bo był „złotym Panem", jak mówił o nim Siestrzeńcewicz, „dobrze czynić lubiącym". 7 września, naprzykład, podczas obiadu w Marmurowym Pałacu wręczył król arcybiskupowi list pułkownika Hołyńskiego i zapytał o zdanie. Wytłumaczył arcybiskup Stanisławowi Augustowi, że ów pułkownik Hołyński miał wiele przykrości od pewnej wdowy Azanczewskiej. [1]) Czepiała się go niesłusznie w przekonaniu, że kazał zaaresztować jej męża koniokrada, gdy tymczasem inni ludzie przyłapali tego złodzieja na gorącym uczynku. „Dobrze, że wiem o tem", odrzekł król. Jednocześnie interesował się Najjaśniejszy Pan biedną polską dziatwą i „bezdomnemi kalekami"; miłostkami płochej Klementyny Lubomirskiej i swatami Konstancji Potockiej „miłej, a szpetnej i kulawej panny", o którą konkurował młody Francuz emigrant, hr. Choiseul; interesował się procesem Lubomirskich z rodziną Potemkina, kłopotami pani Szczęsnowej etc.

[1]) Ob. *Journal*, t. I, str. 34.

Szczególnie jednak zajmowała wtedy króla sprawa obsadzenia diecezji kamienieckiej, o której coraz głośniej zaczynano mówić w najbliższem otoczeniu nuncjusza. Jakeśmy wyżej wspominali, pomiędzy Wawrzyńcem Littą a rządem Pawła toczyły się wówczas rokowania w Petersburgu o utworzenie nowej hierarchji kościelnej w państwie rosyjskiem. Miano erygować diecezję mińską, znieść kijowską, dawnym diecezjom nowe wykreślić granice i wakujące stolice biskupie obsadzić pasterzami. Dla Łucka przeznaczano starego Cieciszewskiego, dla Wilna Jana Nepomucena Kossakowskiego, dla Mińska infułata Jakóba Ignacego Dederkę. Tylko dla Kamieńca nie był jeszcze obrany kandydat. Z prawa winien był otrzymać diecezję kamieniecką Jan Dembowski, biskup drozeński *in part.* i koadjutor ostatniego biskupa kamienieckiego, Adama Stanisława Krasińskiego, w 1795 r. wydalony z Podola przez Katarzynę. Ale z kandydaturą Dembowskiego rzecz szła opornie, choć nuncjusz apostolski, cieszący się jeszcze łaskami cara, gorąco za nim przemawiał. Napotkał bowiem Dembowski na drodze ruchliwego kompetytora w osobie biskupa Sierakowskiego, który gwałtownie pożądał Kamieńca i w środkach nie przebierał...

Dobrze i oddawna znał go Stanisław August i słusznie bardzo nie sprzyjał jego nominacji. Michał Roman Sierakowski, biskup Pruzy *in part.* i z woli Katarzyny II niekanonicznej diecezji latyczowskiej pasterz, był bezwątpienia jedną z najciemniejszych postaci wśród ówczesnego i tak niezbyt jasnego episkopatu polskiego. Paniczykowaty i gładki w obejściu, inteligentny i obrotny, ale intrygant, egoista, sybaryta i cynik wyuzdany bez wiary i zasad moralnych, całe życie uganiał się Sierakowski za beneficjami i godnościami kościelnemi, będąc nędznym karjerowiczem. Z Przemyśla, gdzie zdobył kanonję, powędrował niebawem do Warszawy szukać szczęścia przy dworze królewskim. Kłaniał się królowi, prymasowi, pani Grabowskiej i jej familjantom, wyciągał rękę po biskupstwo, ale dla zbyt wolnych obyczajów biskupstwa nie otrzymał, tylko order św. Stanisława i jakąś prelaturę w Łucku. Nie zagrzał więc miejsca w stolicy i wyniósł się na Podole do zdrajcy Szczęsnego, którego pochlebstwami umiał pozyskać.

Obdarzył go Szczęsny Potocki dożywociem na Tomaszpolu, bogatą humańską parafją z futorami, ale wsie i probostwa nie wystarczały Sierakowskiemu. Chciał mitry i mitry koniecznie. Chodziło mu nietyle o blask i władzę biskupią, ile o dochody i grosz, płynący z biskupstwa, bo lubił życie wystawne, wesołe towarzystwo, kieliszek, a nadewszystko grę hazardową w karty, do której się palił.[1]) Po różnych nieciekawych przejściach osiągnął wreszcie cel wymarzony w 1795 r.: został biskupem erygowanej przez cesarzową a nieuznanej przez Rzym diecezji w Latyczowie. Rządy Sierakowskiego w Latyczowie, trwające dwa lata, były jednem zgorszeniem dla wiernych. Kupczył beneficjami, frymarczył rozwodami, łupił bezlitośnie probostwa i klasztory, a wszystko, co wyssał z diecezji, puszczał w karty, dniem i nocą w szulerkę się zabawiając.[2])

Gdy w 1797 r. postanowił Paweł I przywrócić diecezję kamieniecką, rozwinął Sierakowski energiczną akcję, aby z Latyczowa przejść do Kamieńca i dzięki takiej kombinacji nie utracić paktolowych źródeł. Przyznać należy, że działał zręcznie. Umiał w Petersburgu zjednać dla swojej sprawy wpływowego generała Bekleszowa, generała Kozłowskiego, w szczególności zaś Siestrzeńcewicza, który się stał najruchliwszym jego adwokatem. W rozmowach z kanclerzem Bezborodką i wice-kanclerzem Kurakinem niejednokrotnie podkreślał arcybiskup wiernopoddańcze uczucia Sierakowskiego i przypominał ministrom, że osoby cieszącej się stale zaufaniem nieboszczki cesarzowej niepodobna było pomijać przy obsadzaniu stolic biskupich. Zabiegi jednak arcybiskupa narazie skutku nie miały. Wpadł wówczas Siestrzeńcewicz na pomysł sprowadzenia Sierakowskiego nad Newę, aby go lepiej poznano w kołach rządowych i nabrano do niego przekonania i 25 listopada 1797 r. zwierzył się królowi[3]) ze

---

[1]) Ob. Henryk Rzewuski, *Teofrast polski.* Petersburg 1851. t. II, str. 23–30.

[2]) Gdy mu na grę zabrakło pieniędzy, sprzedawał argenterję kościelną, paramenty biskupie, niekiedy mszę śpiewaną nawet na kartę stawiał, którą zobowiązywał się następnie odprawić. Między innemi przegrał do Kajetana Miączyńskiego 50 mszy śpiewanych!

[3]) Ob. *Journal,* t. I, str. 79.

swego zamiaru. „Jest to rzecz dobrze obmyślana", odparł politycznie Stanisław August, ale Sierakowskiego nie poparł, gdyż wtedy właśnie tajemną prowadził robotę na korzyść Dembowskiego.

Na życzenie króla pani Szczęsnowa Potocka,[1]) bywająca często u dworu, udzieliła carowi przy sposobności poufnych informacyj[2]) o życiu i obyczajach biskupa latyczowskiego. Nakazał Paweł zarządzić śledztwo i kandydatura Sierakowskiego na Kamieniec chwilowo utrąconą została. O przykrym wyniku tej sprawy dla swego przyjaciela dowiedział się Siestrzeńcewicz z ust samego kanclerza ks. Bezborodki, który mu oświadczył kategorycznie, że Sierakowski diecezji nie otrzyma. Zarzucano mu lekkie obyczaje, był niemiły królowi polskiemu, wobec czego przyznał mu cesarz jedynie pensję dożywotnią w kwocie dwóch tysięcy rubli i pozwolił zamieszkać, gdzie zechce.

Sprawa Sierakowskiego nie oziębiła przyjaznych stosunków pomiędzy królem a Siestrzeńcewiczem. Mógł bowiem Stanisław August nie popierać biskupa latyczowskiego,[3]) ale dla Siestrzeńcewicza miał zawsze głębokie uznanie. Cenił jego rozum, jego wytrawność, obrotność i wykształcenie; lubił „dyszkurować" z nim o „naukach naturalnych", o wypadkach politycznych, w szczególności zaś zasięgał od niego informacji o rodakach, zamieszkałych nad Newą i potrzebujących wsparcia. „Dobry nasz Pan, pisał Siestrzeńcewicz do swego brata Jana,[4]) o naszej biedzie pamiętający, jałmużny obfitej dystrybucję mi daje i o niej mówić zakazuje".

Toż samo czyniła i siostra króla, hrabina Zamoyska,

---

[1]) Józefa Amalja z Mniszchów, żona Szczęsnego Potockiego, procesowała się wówczas z mężem o znaczne sumy pieniężne, których nie chciał jej wypłacić. Czyniła starania u rządu w Petersburgu o zatwierdzenie w tej sprawie wyroku Katarzyny II.

[2]) Ob. *Journal*, t. I, str. 58.

[3]) W 1799 r. na wiosnę na parę tygodni przed wypędzeniem nuncjusza Litty z Petersburga usunął Paweł I samowolnie biskupa Dembowskiego z Kamieńca i oddał rządy jego diecezji Sierakowskiemu. Matactwa Sierakowskiego odniosły nareszcie skutek.

[4]) Z niewydanej korespondencji Siestrzeńcewicza. List arcybiskupa do brata Jana pod kopertą pana Rosochackiego. Petersburg 6 listopada 1797 r.

„szczodrobliwa pani". Gdy 8 grudnia t. r. przysłała znów na ręce arcybiskupa sto złotych dla biednych, odpisał jej Siestrzeńcewicz: „Wiem, że pobożna prawica czyni, czego nie wie lewica. Będę się informował u wikarych o potrzebnych. Choć sam bardzo potrzebny jestem modlitw, ale, że napisano: módlcie się jedni za drugich, będę pamiętał na Ludwikę, którey jestem Boga modlący i sługą. S. S." [1])

Wszelkie zaproszenia do pałacu Marmurowego jak najchętniej przyjmował arcybiskup i często nawiedzał króla. Schlebiała mu łaska Najjaśniejszego Pana, którą stawiał wysoko i niejednokrotnie chwalił się z niej w listach do krewnych i przyjaciół, podkreślając „ojcowskie cnoty" miłościwego Pana. W wigilję Wszystkich Świętych przyszedł Siestrzeńcewicz do króla, chcąc się dowiedzieć, czy będzie nazajutrz w kościele. Król był zaziębiony i miał katar. Mimo to jednak stawił się nazajutrz w kościele św. Katarzyny i zaprosił arcybiskupa na obiad. W czasie obiadu częstował go król „świeżym żytnim" chlebem i dowodził, że „dawni Polacy karmili się takim chlebem". 4 listopada zaszedł arcybiskup wieczorem do pałacu Marmurowego i zastał na pokojach królewskich parę osób, czekających na majora Rostowskiego, który w obecności króla miał odśpiewać „Dies irae" swego układu. Ucieszył się król z wizyty arcybiskupa. „Dobrze się stało, że przychodzisz, rzekł, usłyszysz piękną muzykę, która będzie w twoim guście". Na święta Bożego Narodzenia ofiarował Siestrzeńcewicz królowi dwie beczułki „dobranych jabłek" oraz kobiałkę „suszonych, spreparowanych śliwek, przez okazję gubernatorską z Malatycz przywiezionych". Serdecznie dziękował mu Stanisław August za uprzejme względy i zapewnił, że „piękne malatyckie fruchty będą z profitem dla jego zdrowia". [2])

10 lutego 1798 r. oglądał arcybiskup u księżny Dołgorukowej z domu Barjatyńskiej prezent, przeznaczony dla Króla Jegomości. Był nim „osobliwy papugaj z Brazilium z podgardlem żółtem i pąsowym grzbietem, po portugalsku

[1]) Ob. *Journal*, t. I, str. 95.

[2]) List Siestrzeńcewicza do p. Rosochackiego, sukiennego zawodu dyrektora w Pieczersku. Petersburg 27 grudnia 1797 r. Bumagi Archijepiskopa Siestrjencewicza.

mówiący i tym językiem śpiewający". Nie zdążył jednak Król Jegomość papugi otrzymać. Nazajutrz bowiem ciężko zasłabł, tknięty „apopleksją nerwową" [1]) i 12 lutego o siódmej godzinie zrana życie zakończył.

Nieprzewidziany zgon Stanisława Augusta dotknął głęboko Siestrzeńcewicza. Na parę dni przed śmiercią królewską mówiła mu wprawdzie „pani Lebrenowa" [2]) portretowa malarka", że król jest blady, mizerny i cierpi na zawrót głowy, ale podobną „indyspozycję" miał Stanisław August już parę razy, więc Siestrzeńcewicz się nią nie zatrwożył. Niezwłocznie po otrzymaniu żałobnej wiadomości pośpieszył do pałacu Marmurowego i, ujrzawszy „dobrego Pana" na śmiertelnem łożu, „do łez się wzruszył".

14 lutego wieczorem odbywał się „bal" w apartamentach cesarskich z racji uroczystości orderu św. Anny, na którym arcybiskup mohylowski, jako kawaler tego orderu, musiał być obecny. „W czasie balu, pisze Siestrzeńcewicz w swoim dzienniku, [3]) rzekł do mnie cesarz: Będziecie znów mieli smutny obrządek w waszym kościele. — *S.* Bardzo smutny. — *P.* Czy mówiono wam o ceremonji? — *S.* Mam ceremonjał w kieszeni, który mi rano wręczono i uczyniłem w nim pewne uwagi, tyczące się ceremonji kościelnej. Będzie kazanie i w języku... — *P.* (Ze zdziwieniem). Nie, ponieważ nie można nic powiedzieć, nic dobrego — lepiej nic nie mówić. — *S.* Pragnąłem zwrócić się do jego dawnych poddanych. — *P.* Lepiej trzymać się ściśle rozkazu. — *S.* Wystarcza mi to. Czy duchowieństwo nasze ma iść bezpośrednio przed trumną królewską? Taki jest u nas zwyczaj. — *P.* I u nas również. U nas paru jeszcze duchownych towarzyszy spowiednikowi. — *S.* U nas wszyscy idą razem. Czy możemy śpiewać w czasie pogrzebu? — *P.* Tak, wszystko według rytu. Chcę, aby pogrzeb odbył się z największą okazałością i według przepisów. Proszę przygotować się do tego".

---

[1]) Ob. Lucjan Siemieński, *Ostatni rok życia Stanisława Augusta.* Kraków 1862 r., str. 173. „List doktora Beklera, odnoszący się do śmierci królewskiej".

[2]) Pani Vigée-Lebrun.

[3]) Ob. *Journal,* t. I, str. 124.

Po rozmowie z Pawłem udał się arcybiskup 15 lutego do mistrza ceremonji, Piotra Stiepanowicza Wałujewa, któremu polecił cesarz w sprawie pogrzebu Stanisława Augusta „otnositsia wo wsiom po duchownomu obrjadu k archijepiskopu Siestrencewiczu". Ustalono na naradzie datę pogrzebu, określono dzień wystawienia zwłok królewskich w pałacu Marmurowym na widok publiczny, uzgodniono ceremonjał dworski z obrzędami kościelnemi, pozostawiając jednak wszystko do ostatecznej decyzji imperatora.[1])

22 lutego o 5 po południu przybył cesarz z W. Ks. Konstantym i książętami francuskimi Kondeuszem i d'Enghien do pałacu Marmurowego. W wielkiej sieni pałacowej czekał na niego w szatach pontyfikalnych arcybiskup mohylowski w otoczeniu dwóch infułatów, dwóch księży, dwóch diakonów, rodziny królewskiej, szambelanów zmarłego króla oraz wyższych dygnitarzy dworu rosyjskiego. Gdy wszedł car, złożył mu arcybiskup głęboki ukłon, podał na poduszce krzyż do ucałowania i zaprowadził na pierwsze piętro do sali „kirem i białą krepą" obitej, gdzie miały być wystawione dla publiczności zwłoki królewskie. Po chwili otworzyły się drzwi do sąsiedniej sypialni Stanisława Augusta i „dwanaście osób" dworu królewskiego wniosło nieboszczyka, odzianego w mundur polskiej kawalerji narodowej[2]) i w aksamitny purpurowy płaszcz i złożyli go pod baldachimem na marach, pokrytych srebrnolitą materją. Wówczas wziął imperator z rąk wice-kanclerza ks. Kurakina złotą koronę, podszedł do mar i, „uczyniwszy pokłon ciału zeszłego króla..., raczył włożyć koronę na głowę królewską".[3])

„Odmówiłem wtedy, pisze Siestrzeńcewicz w swoim dzienniku,[4]) *Requiescat in pace* i pokropiłem zwłoki wodą święconą". Gdy arcybiskup podał następnie carowi pozła-

[1]) Obszerniejsze opisy pogrzebu Stanisława Augusta znajdujemy u Lucjana Siemieńskiego w jego książce: *Ostatni rok życia Stanisława Augusta*. Kraków 1862 r., oraz w *Kraju* petersburskim, 1898 r. I półrocze, dział literacki: „Śmierć i pogrzeb Stanisława Augusta", str. 60—83. Brak w nich wszakże wielu ciekawych szczegółów, które przytacza arcybiskup Siestrzeńcewicz w swoim dzienniku.

[2]) Ob. Siemieński, o. c. str. 176.

[3]) Ob. *Kraj*, l. c.

[4]) Ob. *Journal*, t. I, str. 126.

cane kropidło, zapytał go car, jak miał „spełnić tę czynność". „Odpowiedziałem mu, ciągnie dalej Siestrzeńcewicz, że należy kropić, czyniąc znak krzyża nad zmarłym i sam ręką znak krzyża uczyniłem. Zresztą pilnie mi się przypatrywał". Wielkiemu Księciu Konstantemu według umówionego ceremonjału podał kropidło infułat Dederko, książętom zaś francuskim zwykły asystujący kapłan, „aby wyróżnić członków domu cesarskiego".

Po śpiewie diakona i zakończeniu modłów wszyscy obecni odprowadzili uroczyście cesarza do drzwi wchodowych. Nazajutrz w południe zawezwał cesarz arcybiskupa do siebie. „Illustrissime, Reverendissime, rzekł uśmiechając się do Siestrzeńcewicza i zaciągnął go do okna, musimy urządzić ceremonję pogrzebu. W poniedziałek 23 lutego [1]) wyruszy pochód z pałacu Marmurowego. Trwać będzie około półtory godziny. Od godziny dziewiątej wojsko stanie w szyku bojowym. Będą strzelali i ja tam będę i oddam mu ostatnią posługę. U nas, gdy ciało przyprowadzają do cerkwi, niema mszy, odmawiają jedynie litanje. A jak jest u was? Odpowiedziałem: rytuał głosi, że gdy ciało przynoszą do kościoła przedpołudniem i jest jeszcze czas na mszę świętą, to należy ją odprawić. Jeżeli później przyniosą zmarłego, to w takim wypadku odmawiają się tylko pewne modlitwy. — *P.* Owóż, urządzimy oszukaństwo. Niech najsamprzód odprawioną zostanie msza święta, a po przybyciu ciała ceremonja niech trwa krótko. Wtedy bowiem po śpiewie diakona, jak to było ostatnim razem w czasie obchodu żałobnego po śmierci księcia Wirtemberskiego, [2]) każę strzelać. Do kościoła nie wejdę, bo jeżeli będzie dwanaście stopni mrozu... — *S.* Dobrze. — *P.* Kto przyjmie ciało? Przecież sami nie będziecie mogli tego uczynić, bo weźmiecie udział w procesji pogrzebowej. — *S.* Nuncjusz. — *P.* Czy zechce? — *S.* Prosiłem go i obiecał. — *P.* Czy jest miły? — *S.* Tak jest, Najjaśniejszy Panie. Sądzę, że pragnąłby jak najprędzej swoje sprawy [3]) załatwić i pozostać. Jest uprzedzający w stosunku do mnie, bo wie, że Wasza Cesarska Mość okazuje

[1]) 5 marca według nowego stylu.

[2]) Ojca cesarzowej Marji Teodorówny, żony Pawła I.

[3]) Rokowania z rządem.

mi protekcję, jako swemu poddanemu... — *P.* Jest was tylu biskupów... — *S.* Najjaśniejszy Panie, oczekujemy, że W. C. Mość nowych zamianuje. Ci dwaj wczoraj byli infułatami, jednym z nich jest infułat Dederko. — *P.* A ten młody? — *S.* Czyż młody — ma pięćdziesiąt lat. Jest nim opat benedyktyński. Miał proces w departamencie i apelował do senatu. Nie prosiłem innych biskupów, jak naprzykład unickiego. — *P.* Doskonale postąpiliście: ni ryba ni mjaso".[1])

26 lutego zwłoki królewskie, spoczywające w trumnie, przeniesiono do drugiej sali, obróconej na kaplicę żałobną, *in castrum doloris*[2]) i ustawiono na wysokim i bogatym katafalku. Obecny był również imperator w otoczeniu swych synów, książąt burbońskich i dygnitarzy dworu i po raz wtóry pokropił ciało króla. Wychodząc z pałacu Marmurowego, zapytał się arcybiskupa, czy dobrze wywiązał się z tej ceremonji *comme confrère de la religion.* Odpowiedział mu Siestrzeńcewicz: *parfaitement bien comme protecteur* (*car il est protecteur de l'ordre de Malte).*[3])

5 wreszcie marca o 10 ǵ. zrana nastąpiła uroczysta eksportacja zmarłego króla do kościoła św. Katarzyny. Czas był dżdżysty i mglisty, a skutkiem odwilży kałuże błota na ulicach. Car jechał konno obok karawanu „z obnażoną i spuszczoną szpadą". Trumnę poprzedzało duchowieństwo, podzielone na trzy grupy.[4]) Pierwszą tworzyli akolici w komżach, księża w dalmatykach oraz proboszcz św. Katarzyny w kapie. W drugiej postępował arcybiskup mohylowski, metropolita unicki Rostocki[5]) i dwaj infułaci w otoczeniu trzydziestu kadetów, trzymających gorejące pochodnie; — za nimi szedł kapelan królewski ksiądz Jurewicz i dwóch akolitów. Dwadzieścia bataljonów wojska tworzyło szpaler na ulicach, po których kondukt przechodził. Gdy wnoszono

---

[1]) „Ani ryba, ani mięso". Ob. *Journal,* t. I, str. 129.

[2]) Ob. *Journal,* t. I, str. 131.

[3]) Ob. *Journal,* t. I, str. 131.

[4]) Ob. *Journal,* t. I, str. 131—132.

[5]) Metropolita unicki Rostocki, którego Paweł nie lubił, nie był obecny w pałacu Marmurowym przy wystawieniu zwłok królewskich, ale wziął udział w pogrzebie. Specjalnie prosić musiał Siestrzeńcewicz cesarza o tę łaskę przez mistrza ceremonji Wałujewa.

ciało do kościoła, na komendę cesarską rozległa się salwa. „Oszukaństwo, jakiego życzył sobie cesarz, pisze Siestrzeńcewicz w swoim dzienniku, polegało na tem, że najsamprzód odśpiewano *magnum conductum*, a potem dopiero celebrowałem sumę". [1]) Cztery dni wśród morza jarzących się świateł stała trumna ze zwłokami Stanisława Augusta w kościele św. Katarzyny na wspaniałym katafalku, ozdobionym według planów architekta cesarskiego Brenny, kolumnami, urnami, herbami, cyframi królewskiemi i posągami genjuszów. Bez przerwy sześciu oficerów i dwunastu żołnierzy w srebrzystych zbrojach trzymało wartę. Wieczorami po nieszporach wpuszczano publikę. Tłumy cisnęły się do katafalku. Jeden z mistrzów ceremonji hr. Gołowkin mówił arcybiskupowi, że codziennie około trzynastu tysięcy ludzi przychodziło do kościoła.

8 marca po „wielkiej" mszy żałobnej, śpiewanej przez nuncjusza apostolskiego i odprawieniu ostatnich modłów przez arcybiskupa mohylowskiego, spuszczono trumnę królewską do krypty, znajdującej się przy wejściu do zakrystji i umieszczono ją w „drugiej miedzianej". Otwór krypty założono czarną granitową płytą, na której car polecił wyryć odpowiedni pamiątkowy napis.

W połowie maja 1905 r. proboszcz kościoła św. Katarzyny, ś. p. ks. Konstanty Budkiewicz, pp. dr. Stanisław Tomkowicz i dr. Chmiel z Krakowa, oraz piszący te słowa i parę jeszcze osób zeszli do grobowca Stanisława Augusta. W pośrodku kwadratowej sklepionej krypty wprost pod górnym otworem stała trumna królewska dębowa, obita aksamitem barwy brunatno-fiołkowej, w wielu miejscach przegniłym. Na wieku trumny widniał krzyż srebrem wyszyty i srebrne orły z herbami Poniatowskich na piersiach. Po obu bokach trumny przytwierdzone były półkoliste bronzowe antaby, nad któremi widać było jeszcze wyraźnie srebrne orły i cyfry królewskie. Paradna trumna mieściła w sobie jeszcze drugą drewnianą, obitą białą jedwabną materją. Po podnie-

[1]) Opowiadano Siestrzeńcewiczowi, że nuncjusz apostolski Litta miał się obrazić, że nie prowadził konduktu pogrzebowego do kościoła.

sieniu jej wieka ujrzeli obecni postać, owiniętą w ciemny aksamitny płaszcz... Była jednak tak zbutwiałą, że przy dotknięciu w proch się rozsypywała. Z głowy pozostało tylko trochę popiołu oraz drobna cząstka potylicy *(os occipitis)*, mająca kształt płaskiej konchy... Obok niej na strzępach jedwabiu leżała bronzowa złocona korona ordynarnej roboty. Wpobliżu trumny pod ścianą stały dwa ołowiane naczynia, szczelnie zalutowane, zawierające w sobie serce i wnętrzności króla. Na kamiennej posadzce leżały różne prochy i szmaty metalowe, pokryte rdzą i pochodzące z pierwszej trumny, która zapewne miedzianą nie była, jak głosiły współczesne opisy, lecz cynową i pod wpływem wilgoci i działania sąsiedniego kaloryferu z biegiem lat się rozpadła. Są wiadomości, że po ostatnim wielkim wylewie Newy, już za rządów bolszewickich, ze szczątek śmiertelnych ostatniego króla polskiego prawie nic nie zostało.

Jeżeli kości Augusta II, tego zdrajcy i grabarza Polski, która go na tron wyniosła, mogą spoczywać spokojnie na Wawelu obok Wazów i Sobieskich, to zaiste resztka popiołów Stanisława Augusta winnaby znaleźć ostatni przytułek na polskiej ziemi...

Biskup Michał Godlewski.

Zagadnienie rzeczywistości jako przedmiotu odkryć.

Dzieje myśli krytycznej, t. j. jej losy i rozwój, rozpoczynają się z tą fazą mniemań człowieka o jakimbądź przedmiocie, w której ten osobnik, czy też zbiór osobników, próbujący wyrobić sobie jakieś zdanie, już sobie uświadamia różnicę między tem, co mu się wydaje, przedstawia, a tym stanem osądzanej sprawy, który zachodzi niezależnie od wydawanych o niej sądów. Wprawdzie już życie społeczeństw stosunkowo pierwotnych, ze swemi zabiegami czysto praktycznemi, doprowadza je do zauważenia, że nie wszyscy mają równie bystre narządy wzroku, słuchu i t. d., że są tacy, którzy się częściej mylą w swych spostrzeżeniach i tacy, którym nie dopisuje pamięć, zwłaszcza starsi. Jednakże nie wyrastają stąd jeszcze u ludów, żyjących na łonie natury, refleksje ogólniejsze, które dopiero znamionują zaranie filozoficznego myślenia i które się wyrażają w zdaniach, że nie należy ufać zmysłom, bo odbierane za ich pośrednictwem wrażenia łudzą nas często i przedstawiają nam świat w postaci odmiennej niż ta, jaka mu jest właściwą i przy innych sposobnościach — życiowo najważniejszych — się odsłania.

Pytanie o to, co należy rozumieć przez rzeczywistość, [1]) a co przez poznawanie jej i jakie wogóle poznawanie jest dla człowieka możliwe, wypełnia od dwóch przeszło tysięcy

[1]) Chodzi o t. zw. realny byt, egzystencję, subsystencję, istnienie — chociaż tym terminom nadaje się często znaczenie niejednoznaczne z realnym bytem — to wszystko w przeciwieństwie do bytu jedynie pomyślanego, który scholastycy oznaczali terminem „eus rationis".

lat najistotniejszą treść usiłowań filozoficznych. Żaden bowiem problem nauki tak ze względu na jej cele, jak na obrać się mające metody nie jest do tego stopnia podstawowy i tak szeroko nie obejmuje wszelkich zadań badaczy, jak właśnie ten.

Odkąd natknięto się na ów fakt nieubłagany, że częstokroć w naszych zdaniach mylimy się, gdy chcemy zapomocą pewnych połączeń wyrazów, mających zosobna jakiś dla nas sens, scharakteryzować własności przedmiotów naszych myśli i stosunki zachodzące między temi przedmiotami, o których coś wnioskujemy z odnoszonych do nich wrażeń, zaznań naszych, odtąd zwróciła się cała usilność najtęższych umysłów ku wyśledzeniu źródeł błędów. i tych wszystkich sprzeczności w wynikach, jakie się nam jawią raz, gdy dowierzamy bez zastrzeżeń świadectwom wzroku, słuchu, dotyku i t. d., a drugi raz znów, gdy odrzucamy w czambuł te świadectwa i staramy się oprzeć na jakimś innym tajemniczym głosie intuicyjnej pewności, przeczucia, czy też wizji wolnej od danych zmysłowych.

Na żadnej z tych obu dróg skrajnie sobie przeciwległych nie było możliwem konsekwentne posuwanie naprzód wiedzy i to nawet jej działów niezbędnych do poprawy warunków życiowych. Poglądy człowieka na jego otoczenie bliższe i dalsze, więcej lub mniej podobne doń rodzajami wywiązywanych w niem zmian, wytwarzały się od samego zarania działań umysłowych, orzekających coś o czemś innem, na tle współżycia i współpracownictwa członków jakiejś grupy społecznej. Wśród wzajemnej wymiany spostrzeżeń, a zwłaszcza sygnałów spostrzegawczych, raz wraz konstatowano i konstatuje się po dziś dzień, że wiele osobników spostrzega to, czego nie spostrzegają inni, pomimo że ich pozycja względem obserwowanego przedmiotu jest taka sama w przestrzeni i w czasie lub prawie taka sama. Dalej, że gdy wypadnie wypróbować wierność spostrzeżeń zapomocą odpowiednich reakcyj ruchowych — przez chwyt lub przez odepchnięcie — jedne z wyobrażeń stąd powstałych t. j. urobionych z wrażeń, przechodzą taką próbę pomyślnie, okazują się dokładniejszemi w swej treści i lepiej dostosowanemi do sytuacji — zaś inne zawodzą. Jednostka będąca ich wytwór-

czynią i ci, którym je zakomunikowała, muszą się rozstać z temi ostatniemi jako z nieprzydatnemi i co gorsza przyprawiającemi o poważne szkody.

Już na długo przedtem, zanim się wyraziły żywem słowem lub pismem pierwsze refleksje filozoficzne na temat złudzeń zmysłowych i gdy tem mniej jeszcze śniło się komukolwiek bronić faktyczności „podmiotowej prawdy" tego wszystkiego, co jest bezpośrednio danem któremukolwiek człowiekowi, członkowie grup społecznych, obserwujący wzajemnie swoje zachowanie się i porozumiewający się z sobą, wiedzieli dobrze z praktyki życiowej, z eksperymentu nieumyślnego, t. j. nieuświadomionego jeszcze jako taki, że wrażenia poszczególnych zmysłów i zespoły tych wrażeń przedstawiają nader wiele stopni wiarygodności, ma się rozumieć, sobie nierównych. Gdyż pominąwszy wspomnianą już przed chwilą różnicę w trafności i dokładności spostrzegań przez różne osobniki, która wprost narzucała się współżyjącym mocno zainteresowanym w takiej żywotnej kwestji jak: na czyjej opowieści można polegać — miał każdy normalnie rozwinięty członek grupy ludzkiej dość silne podniety do zauważenia, że nawet w jednym i tym samym osobniku zmienia się jego sposób reagowania na otoczenie, a ta jego zmienność najprościej tłumaczyła się przez doznawanie wrażeń raz silniejszych, jaśniejszych, wyraźniejszych, t. j. więcej zróżnicowanych a drugi raz słabszych, ciemniejszych, mętniejszych, pomimo że odnośne szczegóły otoczenia nie uległy zmianie. Już człowiek bardzo zbliżony do stanu pierwotnego miał dane dostateczne i pobudki do zmiarkowania, iż zarówno on sam, jak i jego towarzysze, inaczej widzą i słyszą, gdy są wypoczęci, jak kiedy są znużeni i senni, lub po odurzającym napoju i że także silne podniecenia: przestrach, gniew odbierają przytomność, potrzebną do bacznego i dokładnego śledzenia przedmiotów nasuwających się przed oczy, uszy, dotyk, węch i t. d., a tak pociągają za sobą zmiany w treści i w kształcie tego, co się spostrzega, że człowiek uniesiony lub rozgorączkowany widzi i słyszy, smakuje i odczuwa (zwłaszcza ciepło i zimno) inaczej, niż chłodny widz lub słuchacz: przeocza jedno a dodaje drugie w samych już spostrzeżeniach a jeszcze bardziej

w odtwarzanym pamięcią ich obrazie. Nie były też jeszcze potrzebnemi początki psychologji ani jakiejkolwiek filozofji życiowej do tego, aby połączyć z postępem ludzkiego wieku życia zmiany w wyrazistości, czułości i bystrości spostrzeżeń, by zauważyć, że małe dziecko nie rozróżnia jeszcze tego, co w szczegółach widzi, słyszy lub wyczuje dotykiem człowiek dojrzalszy, lub że starzec znów ma zazwyczaj osłabione takie narządy zmysłowe, jak organy wzroku i słuchu, t. zn. tylko podnietom w wyższym stopniu natężenia, pochodzącym z reguły też od przedmiotów bliższych, odpowiadają u niego wrażenia uświadamiane z wyrazistością dostateczną dla ich porównywań z wynikiem przydatnym, nieobalonym przez późniejsze obserwacje ludzi znajdujących się w sile wieku.

W wielu traktatach o teorji poznania i o jej historji przejaskrawiono zupełną rzekomo łatwowierność ludzi, nie zajmujących się naukami i w nich niewyszkolonych, wobec wrażeń odnoszonych przez nich nazewnątrz. Tymczasem można powołać się na to, że prawie każdy z nas spotkał się z osobami bardzo uzdolnionemi do jakiegoś zawodu praktycznego i rozmiłowanemi w nim a zgoła obcemi wszelkim refleksjom i zainteresowaniom teoretycznym, a które to osoby są nader oględne w powodowaniu się tem, co zobaczą, lub co usłyszą zwłaszcza od innych. Taki praktyk, zanim poweźmie decyzję co do sposobu postąpienia z jakimś przedmiotem (np. nabycia go lub przeróbki), lubi obejrzeć tenże i dotknąć go z wielu stron, doświadczyć wytrzymałości, ponawiając obserwacje i próby. Słuchając relacyj świadków naocznych o wypadku, który bliżej dotyczy sfery jego zabiegów życiowych, porównuje je starannie, ustala ich momenty zgodne a nie przeoczając możliwości podstępnej umowy co do tych zgodnych części opowieści, przywiązuje szczególniejszą uwagę do wytłumaczenia sobie niezgodności. Bo taki praktyk, chociaż nigdy nie uświadomił sobie oderwanej formuły zasady niesprzeczności a tem mniej zastanawiał się nad nią bliżej, jest niezachwianie przekonany, że jednocześnie nie mogły zajść w tem samem miejscu fakty wyłączające się wzajemnie, a więc, że opowieść o wszystkich z pośród nich prócz jednego musi polegać na złudzie zmy-

słowej (niekiedy ułatwionej przez odwrócenie uwagi w innym kierunku), o ile sam opowiadacz nie przedstawia umyślnie swych przeżyć w postaci odmiennej od tej, w jakiej zaszły, lub o ile go własna jego pamięć nie myli. A gdy konieczność rychłego postąpienia tak lub inaczej każe zrobić niezwłoczny wybór między niezgodnemi opowiadaniami, to wówczas wyborem takim kieruje wzgląd, która z wersyj najlepiej się włącza i dostraja do zgodnego kompleksu wrażeń już dostatecznie wypróbowanych, nie mających przeciwwagi w opornych im wspomnieniach, dotąd uważanych za wolne od złudy, a niezachwianych żadnem późniejszem zaznaniem — czyli, że żadne przeżycie wartościowane, jako przydatne bezpośrednio do czynu i odpowiednie do sytuacji, nie sprzecza się z tamtym kompleksem, nie zadaje mu kłamu.

Słabsza doza krytycyzmu wobec wrażeń (a nawet snów, gdy się je uważa za prorocze lub za dowody odwiedzin przez osoby oddalone albo zmarłe) zdaje się pochodzić u społeczeństw na niższych stopniach kultury bądźto stąd, że niewyćwiczeni w myśleniu porównującem i wnioskującem męczą się szybciej, gdy im wypadnie zestawić i utrzymać w centralnem polu świadomości, ogarnąć razem znaczniejszą ilość przeżyć celem stwierdzenia, które z nich dadzą się ze sobą zestroić a które nie, że są tacy ludzie pod naporem przeszkód, zwykle im się przeciwstawiających, przy współudziale długotrwałych i odziedziczonych nałogów, umysłowo leniwi — bądź też należy to przypisać prymitywnie prostym i nieskomplikowanym warunkom życia, które rzadziej nastręczają sposobność do wyjścia najaw różnic radykalniejszych, już nietylko ilościowych w większej i mniejszej dokładności obrazów wzrokowych, słuchowych i innych, w plastyce spostrzeganych konturów szczegółowych — ale też różnic j a k o ś c i o w y c h.

Gdy chodzi o zdolność odróżniania barw i wogóle widzenia barwnego, to dopiero od czasu powstania przemysłu, zajmującego się wyrobem barwików i zabarwianiem, oraz urządzeń fabrycznych i komunikacyjnych, wymagających sygnałów kolorowych, było możliwem naderzyć się w praktycznych, gospodarczych polach działalności na znaczną stosunkowo liczbę osobników ludzkich, które reagują je-

dnakowo na podniety wychodzące od przedmiotów rozmaitej barwy i okazują tem samem, że nie odbierają od dotyczących przedmiotów wrażeń barwnych jakościowo jednakich z wrażeniami innych ludzi i są nieczuli na różnice między pewnemi kolorami a nawet niekiedy wszystkiemi, spostrzegając tylko jasność i ciemność przedmiotów (t. zw. ślepi na barwy wogóle). Do poczynienia tych odkryć był oczywiście niezbędny odpowiedni stopień rozwoju fizjologji i psychologji eksperymentalnej, ale pobudkę i materjał do nich dało bardziej skomplikowane życie gospodarcze, wsparte na stosownie zróżniczkowanej organizacji społecznej i na wynalazkach technicznych.

Ustalanie się sensu wyrazów „rzeczywisty" i „rzeczywistość", oraz zdań, w których się orzeka o jakimś fakcie przedstawionym (w świadomości i zapomocą słów lub innych znaków komuś drugiemu), że ten fakt zaszedł czy też zachodzi „rzeczywiście", że przedmioty tym faktem objęte i z niego wydzielone, jako względnie trwalsze „istnieją" lub istniały, jest to proces zrozumiały we wszystkich swych odniesieniach i związkach tylko na tle kolei ludzkiego współżycia i wzajemnej wymiany myśli, czyli sądów, przedewszystkiem spostrzegawczych i ich składników znaczeniowych. Ludzka jednostka odgałęzia się zawsze z jakiejś całości społecznej. Na łonie tej całości, rodziny a raczej gromady rodzin, plemienia, klanu, gminy a ostatecznie narodu i państwa kiełkują pierwsze indywidualne akty świadomości. A jeżeli osobnik odłącza się na stałe od swej grupy macierzystej, to, o ile żyje nadal, wstępuje — z wyjątkami niezmiernie rzadkich, uprawianych z reguły jedynie do czasu r o b i n s o n a d — w skład innej grupy, do której się przystosowuje życiowo, psychicznie i językowo.

Wyobraźmy sobie jakiegoś członka jednej z takich grup, który odczuwa jakieś wrażenia, wiąże je w przedstawienia pewnych przedmiotów, do których odnosi zespoły wrażeń ściślej się ze sobą łączących przestrzennie i czasowo, rozpoczyna już nawet r o z p o z n a w a ć pewne przedmioty, odnalazłszy częściową identyczność wrażeń świeżych z dawniej zaznanemi a teraz przypomnianemi. Tak, naprzykład, małe dziecko poznaje swą matkę wśród kilku czy kilkunastu osób.

Zachowuje się ono wprawdzie w wywiązywanych przez swój organizm zmianach położeń części tegoż względem siebie, czyli w ruchach tak samo, jak osobnik, który już uświadamia sobie powody do przekonania, że jego wrażeniom odpowiada w pewnej mierze coś, co samo w sobie nie jest wrażeniem. Wyciąga np. do widzianego przedmiotu ręce, gdy mu jego widok jest przyjemny (względnie kojarzy się z jakiemś odtworzonem przyjemnem przeżyciem), a cofa od tego, który mu przypomina doznany ból. Jednakże dopiero wówczas uświadamia mu się niezależnie od jego wrażeń istnienie przedmiotu wraz z tegoż własnościami, czyli „rzeczywisty" jego byt w jakiemś wyodrębnieniu od innych przedmiotów — co najmniej ze względu na zajmowane miejsce i czas, skoro zauważy, że inni członkowie współżyjącej grupy reagują także ruchami na przedmiot widocznie ten sam. To mu każe wnioskować, że i oni odczuwają wrażenia, które odnoszą do tegoż przedmiotu. Owe reakcje ruchowe kilku osobników ludzkich, skupiające się dokoła jednego przedmiotu, który był dla nich widzialny lub i dotykalny, niekoniecznie muszą być jednakowe. Może się wydarzyć, że słabsi (dzieci i kobiety) objawiają swem zachowaniem się przestrach wobec tego samego zwierza, którego silniejsi usiłują pochwycić i upolować lub ujarzmić. Na wszelki sposób, gdy nic nam niewiadomo o tak mało kulturalnych grupach społecznych ludzkich, któreby nie posiadały mowy a w niej wyrazów ze znaczeniem względnie stałem, wspólnem choćby dla jak drobnej grupy i określonem bodaj w najogólniejszych konturach, jest to dla każdego członka takiej gromady ludzi znakomitym środkiem do upewnienia się, iż coś faktycznie zaszło, a nie, że mu się tylko wydało, jeżeli słyszy wypowiadane przez swych towarzyszy słowa i zdania, których znany mu sens zgadza się ze sensem podpatrzonym właśnie świeżo przezeń w ujętym zespole wrażeń. Naprzykład przeżywa w danej fazie czasu kompleks czuć wzrokowych, które odnosi do przedmiotu, przynależnego, jego zdaniem, do pewnej klasy zwierząt, posiadającej osobną nazwę w jego mowie. Jeżeli otaczający go, zwróceni twarzami ku temu samemu przedmiotowi, wypowiedzą tę samą nazwę, a on jej im nie poddał wcześniejszem wygłoszeniem, to jest

to już dla niego ważkim powodem do przyjęcia, że doznali wrażeń podobnych w wysokim stopniu do jego własnych i że to, o czem oni mówią, jest identyczne z ujrzanem przez niego zwierzęciem. Umocni się w sądzie, że go nie omylił wzrok, że nie ma przed sobą halucynacji ani zjawy sennej — ale iż jest to coś realnego, istniejącego rzeczywiście, „naprawdę". Zaś podstawą do takiego wyższego stopnia pewności będzie niewątpliwy dlań fakt, że więcej ludzi, obserwując każdy zosobna i niezależnie od drugiego, widziało współcześnie i w jednakiem rozmieszczeniu przestrzennem względem stałych wtedy punktów czy linij orjentacyjnych — t. j. byli w zgodzie co do odległości i kierunku — przedmiot ten sam a zarazem oznaczyli go jedną nazwą, co znowu świadczy o zgodnem z ich strony dopatrzeniu się w nim pewnej cechy lub cech, które ta nazwa utrwaliła w ich pamięci. Gdyby wskazywali dla przedmiotów swych wrażeń kierunki różne — a nie zbiegające się z sobą, t. j. niewytłumaczalne zapomocą różnicy stanowisk przez nich zajmowanych — albo gdyby podawali odległości różne, albo gdyby wreszcie nazywali w tym samym języku rozmaitemi wyrazami to, co widzą, i objawiali w ten sposób różnice między swemi wrażeniami, nie dające się sprowadzić do wspólnego mianownika, toby zachodziły słuszne powody do podejrzywania, czy widzą jeden przedmiot a nawet czy niektóre z ich wrażeń wzrokowych nie pochodzą z wewnętrznych zadrażnień organizmu, np. z przekrwienia jego narządów i t. p. czyli są odnośnie do otoczenia ułudami.

W miarę, jak coraz dokładniej poznawano budowę ciała, jak się wysubtelniała obserwacja i analiza psychologiczna, przestawał wystarczać umysłom porównującym baczniej i rozleglej zjawiska, ów sprawdzian rzeczywistości przedmiotów i ich cech, jakim dla człowieka przynaglanego potrzebami praktycznemi i pogrążonego jeszcze zupełnie w objęciach społecznej wymiany i kontroli spostrzeżeń, była zgodność osiąganych rezultatów, zupełna rzekomo lub choćby tylko częściowa. W Grecji starożytnej już pod koniec VI wieku lekarz Alkmeon zwrócił uwagę na objaw, że gdy się urazimy w oko, doznajemy wrażenia światła, jakkolwiek nic świecącego niema przed nami. Przybywały inne doświad-

czenia, ostrzegające przed dowierzaniem pochopnem temu, co np. słyszymy (może to być szum w uszach lub dzwonienie), lub co smakujemy, bo w stanie gorączkowym nabierają dla nas pokarmy i napoje innego smaku. Z podłoża takich luźnych i rudymentalnych spostrzeżeń wyrosły wątpliwości sceptyków starożytnych o tem, czy człowiek może poznać jakiekolwiek przedmioty świata zewnętrznego w ich rzeczywistych własnościach. Skoro zaś tak zakwestjonowano, jakoby umysł nasz wiernie uchwytywał którykolwiek określony kontur jakiegoś bytu poza obrębem własnych czuć, był już wówczas gotowy w zasadniczych rysach pogląd, utrzymujący niepoznawalność wszystkiego, co nie jest bezpośrednio danem badającemu. Świat dostępny zmysłom rozpływał się w jedno wielkie złudzenie (m a y a) przed oczami Hindusów w okresie kształtowania się religji bramińskiej, gdyż zasłaniał on swą wielością i różnorodnością jedność wszechożywczego tchnienia (a t m a n), które przyjmowali z innych powodów. Dla trzeźwiejszych znacznie myślicieli europejsktch, którzy dość wcześnie zaczęli odgraniczać rozumowania od wierzeń religijnych, powody główne do zachwiania się ich ufności w rezultaty społecznej kontroli wzajemnie sobie komunikowanych wrażeń, przypisywanych światowi zewnętrznemu, tkwiły gdzie indziej. Zarysowuje się rychło u wybitnych osobistości, jak u Heraklita, Ksenofanesa, Parmenidesa, pogarda dla mniemań tłumu, który czyto nie może zrozumieć powszechnej zmienności i rządzącego nią prawa rozumnego z miarami nieprzekraczalnemi, wytkniętemi jego mocą, czy naodwrót pojęcia jedynego wieczyście niezmiennego Bytu jasno sobie nie zdoła uprzytomnić.

To lekceważenie zgodności sądów większej liczby ludzi współżyjących z sobą, mianowicie sądów wydawanych o tem, co ma rzekomo istnieć i dziać się niezależnie od zapatrywań każdego zosobna i wszystkich razem, wzmogło się od czasu, kiedy się rozszerzył widnokrąg wiadomości o innych ludach, ich kulturach, ustawodawstwach i prawach zwyczajowych, bardzo odmiennych od greckich. Ich poglądy na dobro i zło, oceny słuszności i bezprawia, piękna i brzydoty, jaskrawo przeciwne między sobą i sprzeczne z poję-

ciami helleńskiemi, nasunęły sofistom, jak Hippiasz i Protagoras, myśli o zależności już nietylko jednostek, ale całych grup społecznych przy wytwarzaniu obrazów zarówno dotyczących tego, co jest, jak i tego, co być powinno, od szczególnych warunków zgoła nieobliczalnych, wśród których wyrasta, utrzymuje się i urządza dane społeczeństwo.

Refleksje takie dały początek relatywistycznemu prądowi w dziejach teorji poznania, którego specjalnemi odgałęzieniami są w nowszych czasach konscjencjalizm, nazywany także idealizmem teorjopoznawczym lub subjektywizmem, według którego dostępnemi badaniu naukowemu są tylko bezpośrednie dane świadomości, i fenomenalizm, uczący, że możemy konstatować jedynie zjawiska i ich stosunki, regularnie powtarzające się, czyli prawidłowe, a że nawet akty i stany świadomości są już wytworami pewnych abstrakcyj i analiz, dokonywanych mniej lub więcej bezwiednie a niezawsze poprawnie, na surowym materjale narzucających się nam przejawów, pozytywnie stwierdzalnych zapomocą innych im podobnych. Stąd też od czasów Comte'a fenomenalizm roszczący sobie prawo do wyłącznego uchodzenia za filozofję naukową, nazywa się także pozytywizmem, a to miano obejmuje także nowsze jego odcienie, jak empirjokrytycyzm (dosłownie: krytyka doświadczenia) i teorję fikcyj, czyli wymysłów, świadomych swej bezpodstawności, ale naukowo i życiowo pożytecznych, czyli fikcjonalizm. Zawsze jednak, chcąc zrozumieć powstanie i rozwój tych późniejszych kierunków, musimy sięgać do motywów i sposobów uzasadnienia powstałego już w starożytności relatywizmu w dziedzinie teorji poznania i wartościowania.

Relatywistyczna postawa wobec zagadnienia, co należy rozumieć przez poznawalną dla umysłu naszego rzeczywistość, wyciągła się z rozważań konsekwencji tego faktu, iż różni ludzie i różne ludy rozmaicie zachowują się wogóle a w szczególności mówią i zdają się sądzić tak, jakgdyby doznawali wrażeń bardzo różnych od tych samych przedmiotów lub takich samych gatunkowo. A to tłumaczy się najprościej tem, że ich ciała nie są całkiem jednakowo zbudowane a zwłaszcza ich narządy zmysłowe różnią się nader

między sobą pod względem czułości na rozmaite cechy, o których przypuszcza się, że są zawarte w podnietach z zewnątrz. To, że u ludzi dłużej ze sobą razem żyjących i z reguły z sobą spokrewnionych owe różnice są mniejsze, ich mowa prawie taka sama a oznaczane nią wyobrażenia i sądy o wiele więcej swą treścią i kształtem do siebie zbliżone, niż mowy i poglądy ludów różnych, ich urządzenia społeczne i obyczaje, to również daje się objaśnić bardzo poprostu wespół odziedziczonemi własnościami ich organizmów a nadto przystosowaniem się wzajemnem, przyzwyczajeniem, całą wspólną przeszłością takich grup i wspomnieniami o niej. Skoro zatem jakości naszych wrażeń, tworzone z nich związki (czyli przedstawienia lub wyobrażenia), a ostatecznie sądy wydawane o ich do siebie stosunkach — albo o stosunkach między składnikami jednego przedstawienia, jego całością a częściami i urabiane z tych sądów pojęcia zależą w tak wysokiej mierze od jednostkowej i szczepowej kompleksji organizmu — wnioskują stąd relatywiści, że nie może być mowy ani nawet o częściowem uchwytywaniu czegoś rzeczywistego poza nami w takiej postaci, któraby nie była zabarwioną przez nasze wrażenia.

Tu możnaby dodać, że niepodobna przewidzieć i obliczyć, jak dalekie i rozległe są jeszcze dalsze perspektywy dla różniczkowań się struktur anatomicznych i funkcyj fizjologicznych ludzkiego ciała a zwłaszcza jego narządów zmysłowych, systemu nerwowego z odkrytemi w ostatnich czasach i ogromne, jak się okazało, mającemi dlań znaczenie organami wydzielania wewnętrznego pewnych połączeń chemicznych — gdy nawet i dziś nie można zbadać całkiem dokładnie i wyczerpująco różnic zachodzących między ludźmi w zarysowywaniu się im wrażeń i wyobrażeń i powstających z nich obrazów świata, w znaczeniach przywiązywanych do słów i w czynnościach umysłowych, budujących owe obrazy.

Aby zapobiec nieporozumieniom, dodamy, że i realista dzisiejszy, o ile przyswoił sobie zdobycze filozofji krytycznej, względnie o ile sam z siebie jest dość krytycznym umysłem, nie uważa rzeczywistości ukrytej poza wrażeniami i zjawiskami za dostępną umysłowi inaczej, jak za pośred-

nictwem wrażeń, zjawisk, wogóle doświadczeń, jakoby poprzez ich pryzmat. Sądzi jednak, że nauka jest w posiadaniu dostatecznych środków potrzebnych do postępującej eliminacji tego wszystkiego w osiąganych wynikach, co zależy tylko od akcji spostrzegania i kombinowania spostrzeżeń, i dzięki użyciu tych środków dociera stopniowo przybliżając się do czystego stanu spraw badanych, względnie ich przebiegu, odsłanianego w oderwaniu od kwestyj, jakie niezgodne ze sobą wrażenia stan ten sprawia na różnych obserwatorach. Natomiast konsekwentny relatywista nie uznaje innej pochwytnej dla badacza rzeczywistości, jak wrażenia razem z zachodzącemi pomiędzy niemi stosunkami. Do tej rzeczywistości musi też oczywiście zaliczyć wszystkie wrażenia odnoszone do własnych stanów i procesów psychologicznych, a wśród nich też poczucia większej lub mniejszej pewności przy wydawaniu sądów o wynikach porównania wrażeń i o tem, jakie wrażenia zawierają się w danych wyobrażeniach lub przedstawieniach i z jakich znów wyobrażeń utworzono pewne pojęcia.

Relatywizm jednak, który nie chce poprzestać na jałowem, monotonnie powtarzanem, podkreślaniu zmienności i zależności odczuwań, spostrzeżeń i mniemań od indywidualnych a w dodatku niestałych warunków w organizmie obserwatora i w jego otoczeniu społecznem, i który nie chce się ślimaczo zasklepić we własnych przeżyciach, musi traktować własne i cudze wrażenia, jako równie realne i równie zasługujące na to, by z możliwie największej ich rozmaitości była budowana jednolita i zgodna całość obrazu świata. A tu natrafia na poważne trudności. Pochodzą one stąd, że aby móc posługiwać się wrażeniami „cudzemi", jako przesłankami dla wzbogacenia treści naszych poglądów, niezbędnem jest uświadomienie sobie, co to znaczy mówić o wrażeniu jakiemś, że nie jest ono nasze własne, ale kogoś innego (n. b. o tyle podobnie odczuwającego z tym, który tak mówi, że może on się domyśleć w ogólnym zarysie, co tamten odczuwa). O treści odczuwania c u d z e g o i o całej jakości postaci (tego, co Niemcy zwą „Gestaltqualität") tego wydarzenia psychicznego, nieuważanego za swoje własne, a tem bardziej o treści i zakresie cudzego przedstawienia,

pojęcia, sądu, da się wnioskować tylko z odpowiednich wrażeń własnych. Tak np. wtedy, gdy ktokolwiek z nas widzi ruchy wykonywane widocznie przez jestestwo żywe a przedewszystkiem przez człowieka, które to ruchy nie przedstawiają się automatycznemi — t. j. ani nie wywołał ich obserwator żadnem ciśnieniem, ani ciągnięciem, ani żaden inny dostrzegalny dlań przedmiot nie może uchodzić za dostateczny warunek tych ruchów. Ruchy te muszą być takie, byśmy mogli wnioskować na zasadzie analogji z pewnemi dawniejszemi naszemi ruchami, iż widziany przez nas człowiek — a także nawet i zwierzę — odczuwa w chwili wywiązywania owych ruchów coś podobnego, gątunkowo jednakiego z tem, co myśmy sami odczuwali, wykonując ruchy podobne, np. będąc oparzonymi lub zziębniętymi, rozgniewanymi lub przerażonymi i t. p., przeżywaliśmy wrażenia, czy też afekty, wyrażające się nazewnątrz prawie takiemi samemi ruchami, jakie teraz widzimy u kogoś, o kim z jego zachowania się wnioskujemy, że się popiekł, zmarzł, rozgniewał się lub przeraził. Dla wymiarkowania, co szczegółowszego, ktoś — w przekonaniu naszem będący odrębnym od nas osobnikiem — spostrzega, przedstawia sobie, mniema, tego rodzaju widziane ruchy, z reguły — wyjąwszy mowę gestykulacyjną głuchoniemych, gdy ją widz zna — nie wystarczają. Potrzebne są we wszystkich innych wypadkach dla dokładniejszego w szczegółach zrozumienia treści cudzych wrażeń, przedstawień i myśli wrażenia s ł u c h o w e. Stąd, że słyszący jakieś artykułowane dźwięki pamięta, jak stale sam wiązał z temi dźwiękami, gdy je wydawał, określone znaczenia barw, kształtów, wydarzeń, pewnych gatunków i rodzajów przedmiotów, musi, usłyszawszy takie same kompleksy dźwięków (z drobnemi tylko odmianami głosu i intonacji) bez osobnego świadomego wnioskowania domyślać się u mówiącego oznaczanych temi wyrazami, a względnie zdaniami, wrażeń, przedstawień, sądów. W wyższym jeszcze stopniu następuje utożsamianie wrażeń, które nam służą do interpretacji cudzych przeżyć spostrzegawczych, myślowych, emocjonalnych i wolitywnych, z przypominanemi sobie własnemi wrażeniami przy wypowiadaniu słów pewnych i związanych z niem znaczeń wtedy, gdy odczytujemy cudze pismo,

a jeszcze bardziej przy czytaniu słowa drukowanego. Wprawdzie pismo bywa często niewyraźne a jego charakter jest mniej lub więcej indywidualny. Grafologowie odczytują nawet z pewną dozą motywowanego psychologicznie prawdopodobieństwa temperament i natężenie woli z charakteru pisma, a nawet stan psychiczny piszącego w chwili, gdy coś pisał. Skoro jednak już raz udało się zidentyfikować w sposób niewątpliwy składniki danego pisma z poszczególnemi literami alfabetu, to już wówczas wszelkie różnice indywidualne i lokalne w wygłoszeniu i jego modulacjach stają się obojętnemi dla chcącego zrozumieć, co miał na myśli wywnętrzający się pisemnie ze swych wrażeń, przedstawień i sądów. Jedynie w takim razie, gdyby zależało na tem, by wiedzieć, jaka była strona emocjonalna tych przeżyć: nastroje uczuciowe, napięcie wysiłków woli, moc przekonań, toby intonacja żywego słowa, podniesienia głosu i jego spadki były potrzebne do odpowiedzi na te pytania. A już w obrazie wzrokowym słów wydrukowanych zanikają wszelkie różnice nietylko w indywidualnych odcieniach, z jakiemi te słowa płynęły z ust lub wyobrażał je sobie piszący, ale nawet w sposobach wytłoczenia ich na papierze, a jeżeli są jeszcze jakie dostrzegalne, to te już zależą nie od autora, ale od sposobu funkcjonowania maszyny, jakoteż papieru, czernidła, czcionek i t. d. Pozostają w druku już tylko różnice w doborze słów i w ich kombinacjach (w stylu), znamienne dla umysłowości autora ociężalszej lub lotniejszej, ściślejszej lub dowolniejszej i dla jego wyobraźni bogatszej lub uboższej.

Otóż filozof relatywista, który nie widzi dla umysłu ludzkiego wyjścia poza stosunki wrażeń, będzie musiał starać się uzgodnić swoje stanowisko ze zjawiskami, które świadczą o tem, że ludzie stający się w miarę postępu kulturalnego członkami coraz to szerszych społeczności, im bardziej się umysłowo indywidualizują, wyodrębniają i usamodzielniają, tem obficiej dzielą się ze sobą swemi wrażeniami a wymiarkowywanie kompleksów tych wrażeń czyli wzieranie w to, co ktoś drugi sobie przedstawia i co sądzi, odbywa się za pośrednictwem i zapomocą własnych wrażeń optycznych (widziane gesty) i akustycznych (słyszane słowa)

niekoniecznie z towarzyszącym temu zamiarem drugiej osoby, aby była zrozumianą. Zczasem jednak te warunki zrozumienia czuć, myśli i woli jednego osobnika przez drugiego ludzkiego osobnika stają się regularnie uplanowanemi środkami do tego celu, by ten, kto je spostrzeże, w szczególności kto zobaczy wypisane lub wydrukowane słowa, nie pomieszał ich z innemi słowami, względnie składnikami słów w piśmie lub w druku, literami, ale właśnie tylko na podstawie tych znaków wnioskował o tem, co drugi chciał podać jako swe przeżycie (inna kwestja, czy był przytem szczery). Żaden myśliciel, do jakiegokolwiek skłaniałby się kierunku teorji poznania, nie może w imię sumienności rozpatrywań pominąć nasuwających się tu z a m i a r ó w w postaci jakby bezpośrednio, zjawiskowo danej. Weźmijmy taką elementarną grupę ludzką, jedną z pierwotnie współżyjących a nawet przedtem jeden organizm stanowiących całości, jak matkę i jej dziecko. W zachowaniu się względem siebie dwojga członków tej grupy, obserwowanej narazie przez widza i słuchacza (w jednej osobie) jako czyste zjawisko, nastąpiło takie zróżniczkowanie, że jeden z nich, matka, dbała o zachowanie swego niemowlęcia przy życiu i zdrowiu, słysząc jego krzyk i oglądając jego ruchy, zwraca oczy kolejno na różne części jego ciałka, także dotyka się ich, tak, iż trzeci obserwator w sposób jak najnaturalniejszy i najprostszy wnioskuje stąd o jej zamiarze dowiedzenia się, co dolega dziecku, skoro ono zapewne nie byłoby tak krzyczało, gdyby nie doznawało jakichś uczuć nieprzyjemnych. Krzyk znów i rzucanie się dziecka będzie ów obserwator interpretować dwojako: albo, jeżeli jest ono nowonarodzone i nikogo jeszcze nie rozpoznaje i nie może też w świetle wszystkich innych oznak przypominać sobie pożądanych dlań następstw dawniejszego swego krzyku czy płaczu, np. że je po takim jego krzyku nakarmiono lub przewinięto — wówczas to będzie uważać za proste odruchy na jakieś wrażenia o jakości uczuciowej raczej przykrej niż przyjemnej — albo też, jeżeli dziecko okazuje, że już kogoś poznaje i coś pamięta, przypisze mu z a m i a r zwrócenia na siebie uwagi krzykiem i spowodowania, by ktoś z otoczenia zajął się niem. Podobnie przy interpretacji każdego innego widoku ludzkiego

współżycia mamy ustawicznie raz po raz do czynienia z pytaniem, czy dany człowiek umyślnie objawia na sobie pewne zmiany, względnie, czy mówi coś z zamiarem i z jakim, t. j. czy są to zmiany określane (lub jak się potocznie, popularnie, mówić zwykło „kierowane") jego przedstawieniem pożądanych dlań ustosunkowań się organizmu własnego a także i cudzego względem otoczenia tegoż — i w szczególności o jakie to chodzi mu ustosunkowania się, czy tak określonemi są bądźto jego ruchy obecne, bądź też napięcia ku ruchom łatwo przewidzialnym, jak grożący gest lub wyzywająca postawa, bądź wreszcie ślady ruchów przebytych (twarz zziajana lub z wyrazem triumfu).

Codzienne doświadczenie przypomina ustawicznie każdemu, nawet gdy dobrowolnie znalazł się na zupełnem odludziu i pustkowiu lub przypadkiem się w nie zabłąkał — chybaby to był podrzutek, zdany na łaskę i niełaskę pozaludzkiej przyrody i nie pamiętający, co z nim uczyniono — że nie on sam jeden jest tem czemś, co żywi pragnienia, podejmuje usiłowania, ma potrzeby, ich odczucie, coś sobie przedstawia i stosownie do tego sądzi i postępuje. Gdybyśmy nawet przypuścili taki skrajnie nieprawdopodobny wypadek, że wszystko, co ma na sobie i z sobą przydatnego mu do życia, taki odcięty od reszty ludzi, on sam sobie sporządził z materjału surowego, że i wszystkie narzędzia, któremi się posługiwał przy tem sporządzaniu, były jego własnemi wyrobami, to już bardzo trudno będzie sobie wyobrazić jednostkę tak bardzo pomysłową i uzdolnioną do oparcia się sam na sam wszelkim wrogim wpływom klimatu i drapieżcom, któraby od dzieciństwa na tyle wczesnego żyła w tak zupełnem odosobnieniu, żeby nie mogła sobie niczego przypominać ze sposobów, jakiemi swą egzystencję ochraniali jej rodzice, wogóle ta grupa społeczna, na której łonie owa jednostka się urodziła. Do takich zresztą wyjątkowych i zapewne czysto fikcyjnych wypadków sięgać nie potrzeba. Człowiek, wzięty w ogromnie przeważającem przecięciu, ma wciąż przed sobą mnóstwo wydarzeń i przedmiotów, których postaci nie może sobie wytłumaczyć inaczej, jak że przy ich wytworzeniu był czynny ktoś świadom swoich życzeń i przystosowywujący przedsiębrane przez sie-

bie kroki do swej znajomości warunków ziszczenia owych życzeń — a przecież, że to nie był on sam ten, który tak sobie tłumaczy owo zjawisko. Zauważa w niem bowiem bądźto przebiegi wydarzeń, bądź też widoczne tychże rezultaty, np. odciski nóg, rąk, dalej to wszystko, w czem rozpoznaje czyjeś „wyroby", i przypomina sobie wyraźnie, z pewnością niezachwianą, że wydarzenia i przedmioty bardzo podobne tym, które teraz zauważył, powstawały zawsze, kiedykolwiek on sam miał pewne życzenia, np. chciał chodzić po gruncie niezupełnie twardym, względnie gdy chciał coś zrobić z materjału miękkiego, wykonać przedmiot odpowiedni obmyślanemu przezeń przeznaczeniu. Z drugiej strony pamięta też z równie silną pewnością, że nie był w tem miejscu o takim czasie, aby te ślady mogły pochodzić od niego, zresztą także ich wielkość i kształt mogą nie odpowiadać, a zwłaszcza jest zupełnie pewny, że ani chciał wykonać potrzebne do tego ruchy, ani ich faktycznie nie wykonywał. Tak prowadzą najprostsze z danych bezpośrednich świadomości, wzbogacanych o pamięć świeżych przeżyć, każdą jednostkę ludzką znajdującą się w normalnych warunkach na jawie, t. j. wśród wymiany wrażeń i reakcyj ruchowych z jej pełnem otoczeniem, do wniosku, że istnieją oprócz niej inni ludzie, zachowujący się pod wielu względami podobnie do niej, zaś pod pewnemi inaczej, w szczególności zaś, że kierujące całkiem przejrzyście ich zachowaniem się życzenia ich na bliższą w czasie metę, czy też na dalszą skierowane, są przeważnie niezależne od jej własnych życzeń, odrębne i odmienne a bardzo często są tym ostatnim życzeniom przeciwne, wchodzą nawet z niemi w czynny konflikt.

Cała ta rzeczywistość społeczna, na którą składają się poczęści zgodne i wspierające się wzajemnie postępki członków jednej grupy ludzkiej, poczęści nie krzyżujące się i obok siebie biegnące, poczęści zaś ich współzawodnictwa i walki, otrzymuje od wielu relatywistów miano czysto praktycznej. A to dla zaznaczenia, że stwierdzenie takiej rzeczywistości rozmaicie względem siebie ustosunkowanych zabiegów ludzkich, obracających się głównie około utrzymania i poprawy ich biologiczno-gospodarczej konsumcji i produkcji

nie uprawnia jeszcze do wniosków natury naukowej, teoretycznej, o tem, co jest rzeczywistością dostępną dla ludzkiego poznania, co wogóle ma znaczyć ten termin: „poznawać coś", i jakiemi drogami postępuje poprawne, ścisłe poznawanie. W zabiegach praktyczno-życiowych dążność do wytworzenia w sobie obrazów dostosowanych do otoczenia, do zachodzących w niem warunków walki o samozachowanie się i o rozwój, jest środkiem a nie celem usiłowań. Dlatego jest w nich uwaga zwrócona z reguły tylko na to, co w danym czasie i miejscu jest bezpośrednio lub pośrednio związane z zaspokojeniem popędu zamozachowawczego jednostki i gatunku, oraz biologiczno-rozwojowego, na to, co zagraża i na to, co nęci, jako też na to, co zdaje się upoważniać do przewidywań tamtych wydarzeń, czyto przykrych, czy przyjemnych i prowadzić do nich. Skutkiem tego obrazy powstające w świadomości osobników, są fragmentaryczne, uwarunkowane przez każdoczesną sytuację praktyczną, i dopóki zgodność sądów między sobą i z doświadczeniami sama, jako taka, t. j. jako wiedza uzasadniona, nie urywkowo i dorywczo, ale w sposób przynajmniej pozornie pełny, nie zacznie sprawiać z a d o w o l e n i a, nikt się nie zaprząta poważnie, żywo i z wyraźnem, jasnem uświadomieniem pytaniami, c o j e s t i c z e m j e s t (t. j. jakiem z istoty swej jest) ale najwyżej j a k d z i a ł a na nas i na przedmioty, na których nam zależy, to coś, czyto tylko ukazanego ręką, czy opisanego słowami mniej lub więcej dokładnie, j a k d z i a ł a w oznaczonem miejscu, czasie i wśród innych wyszczególnionych okoliczności. Żaden jednak relatywista a może i żaden badacz wogóle z jakiemikolwiek zapatrywaniami na możliwość sądu, wzniesionego ponad subjektywne różnice odczuwań, nie potrafiłby — tak odważylibyśmy się twierdzić — odsłonić logicznie, przekonywująco owego rzekomego przełomowego momentu, p r z e d którym ten lub ów człowiek albo lud jeszcze się nie interesował wcale takiemi związkami zjawisk, zdarzeń, słów, zdań, co nie budziły żadnych nadziei ani obaw o losy organizmu, a p o którym już tego rodzaju zainteresowanie, zaciekawienie czy upodobanie w nim nurtowało. Wiadomo, ze uwagę nietylko ludzi pozostających na bardzo niskim szczeblu kultury, ale nawet

wielu zwierząt przykrępowuje do siebie widok lub odgłos czegoś, czem się czują mocno podnieconymi przyjemnie, a niekiedy też ubezwładnionymi i niezdolnymi do oporu czynią ich wrażenia oszałamiająco przykre. Oczywiście wątki słów, znaków matematycznych, dowodzeń, których sensu dany osobnik nie może schwycić i objąć, nie zdołają go zainteresować, bo nie czuje się niemi podnieconym dość intensywnie. W jakiejże znów fazie p r z e d czy p o przełomie umieścimy religijnego mistyka, którego szczęściem jest wizja Dobroci Bożej? W tem widzeniu, nie będącem spostrzeganiem wzrokowem, ale odczuwaniem wewnętrznem, wynurzają się ponad próg świadomości według własnych zwierzeń mistyków religijnych, kolejno rozmaite powody ich uszczęśliwiania, które bynajmniej nie rywalizują ze sobą, ale raczej wzajemnie się potęgują. Rozradowany przeczuciem w Bogu pierwszej bezwzględnej podstawy wszystkich wartości, nieskończoną pełnią i doskonałą harmonją Jego przymiotów, cieszy się mistyk bez ujmy dla tej bezinteresownej radości, znajdowanej w przedmiocie kontemplacji także zależnością wszelkich swych losów, a zwłaszcza aktów swej woli i umysłu, od Istoty dobrej i mądrej. Jest więc taki mistyk równocześnie w obu fazach tak starannie rozdzielanych przez relatywistę. Rozważa to, co wyczuwa, w świadomem i stanowczem oderwaniu od okoliczności, czy dla niego samego wytryśnie z rozważanej sprawy jakieś dobro, zadowolenie lub korzyść duchowa, a zarazem błogą mu jest pewność, że został podatnem narzędziem Opatrzności niemniej życzliwej mu, jak potężnej.

Wielu chłodnym badaczom przedewszystkiem skłonnym do analizy przedstawiają się takie zespoły rzekomych widzeń i dążeń czemś anormalnem. Uważają oni mistyczne zapędy ku przeniknięciu wewnętrznym zmysłem (intuicją lub wglądem, czy wyczuciem) do dna krynicy jedności wiążącej wszechświat za objawy opanowania umysłu chorobliwego psychicznie i fizjologicznie przez nastroje uczuciowe. Tem samem jednak muszą zakładać, jako nie podlegające kwestjonowaniu zespoły zachowań się i cech niechorobliwe, normalne, występujące prawidłowo u ludzi o budowie ciała i psychiki, albo wcale niezakłóconej, albo w stopniu mini-

malnym. Cóż innego jednak może być bardziej w oczy bijącym warunkiem wytworzenia pojęć o tem, co normalne i o tem, co anormalne, jak że we współżyciu ludzkiem, w odnoszeniu się członków grup wzajemnie do siebie pod naciskiem potrzeb praktycznych jednostkowych i dążeń samozachowawczych, ogarniających i spajających silniej lub słabiej każdą zbiorowość, uświadomi się członkom całości społecznej zwykłość i niezwykłość świadczeń ich towarzyszy. Ta ostatnia, t. j. niezwykłość, wystąpić musi wnet w sensie dwojakim. Mianowicie w znaczeniu tego wszystkiego, czego ktoś dokazał ponad przeciętną miarę, czy to będą dzieła uwieńczone uznaniem, aprobatą a co najmniej tolerowane, czy też groźne bezpieczeństwu osób, ich czci, mienia, a powtóre znów tych wszystkich funkcyj, wykonanych robót i sporządzonych przedmiotów, które nie dorastają miary przeciętnej, zatem roboty dopuszczane wprawdzie a nawet wymagane w postaci odpowiedniejszej popytowi za niemi, ale niedołężne i niepożyteczne, a obok nich zachowania się szkodliwe, pochodzące widocznie z niedorozwoju charakteru, jak z braku zwyczajnego nawet panowania nad sobą i poczucia godności, np. drobne tchórzostwa, oszustwa, kradzieże.

Po upływie okresów czasu znaczniejszych, o ile tu lub tam nie nastąpił jakiś ostry przełom, nagły spadek, podskok lub zastój w rozwoju psychicznym i w równoległym mu fizycznym danego społeczeństwa, ulega zmianom, niekiedy wzbogaceniu a bodaj czy nie częściej zubożeniu treść tego, co dotąd uchodziło za normalne, t. j. takich zachowań się i wyświadczeń, których z nieznacznem ryzykiem błędu można się spodziewać (względnie obawiać, jeśli są to postępki oceniane ujemnie, chociażby niesłusznie, przez przemożną w tym czasie i miejscu opinję środowiska). Niemniej jednak zauważenie takich „normalności" w reakcjach osobników ludzkich na określone warunki i podniety, acz w zgoła specjalnej atmosferze wpływów dziedziczenia tradycyj, klimatu i t. d., i pomimo, że nie było ono pierwotnie plonem zainteresowań teoretycznych, ale praktycznych potrzeb we współżyciu, było najważniejszym może dzięki swej potężnej sile motywacyjnej a bardzo wczesnym etapem w urabianiu pojęć ogólnych, w uogólnianiu przeżyć, w wiązaniu spostrzeżeń częściej wy-

stępujących razem w bardzo podobnej postaci, w zastępowaniu ich wspólnym znakiem słownym. Te normalności reakcji w jednej współżyjącej grupie, różne oczywiście u różnych plemion i bynajmniej niewiecznie trwałe, utrzymywały się przecież i dziś jeszcze utrzymują poprzez pokolenia: Tem samem dawały i dają broń do ręki krytykom bezgranicznego relatywizmu w jego poglądzie, że nieuchwytne jest to wszystko, czemu zdaje się przysługiwać atrybut istnienia realnego, czyli że ono jest lub było a nietylko zmienia się lub zmieniało się, że znajdowało się tylko w procesie powstawania lub ginienia. To, za czem tęsknił niemiecki poeta-myśliciel w często przytaczanym zwrocie: „der ruhende Pol in der Erscheinungen Flucht", ów biegun spoczywający wśród umykania zjawisk nie przestał być nigdy przedmiotem poszukiwań nawet w tych kierunkach filozoficznych, którym ich konsekwencja nakazywałaby mi wrzucić go do rupieciarni przestarzałych pomysłów. Zaiste wszystkie nauki specjalne, których metody i wyniki w czambuł obalać nie postało w głowie żadnemu rozsądnemu relatywiście, mówią wciąż o przedmiotach, wchodzących w zakres ich zapatrywań, że się zachowują, że trwają, jakkolwiek są w ustawicznym ruchu, w przebiegu zmian rozwojowych, a także zachodzą u wielu z nich procesy przeciwne rozwojowi: zanikanie i wyradzanie się — przez czas trwania jednak takiego procesu podległy mu przedmiot t r w a.

(Ciąg dalszy nastąpi)

Prof. Witold Rubczyński.

Drobiazgi hymnologiczne.

„Salve festa dies".

Pieśń „Salve festa dies" śpiewana bywa u nas podczas procesji wielkanocnej w oryginalny sposób: Tekst jej łaciński, t. j. dwuwiersze, zawierające coraz to nową treść, przeplata stały refren polski: „Przez twoje święte zmartwychwstanie". Słowa łacińskie śpiewa zwykle kler, refren zaś polski powtarza po każdej zwrotce łacińskiej pieśni cały lud. Nie od rzeczy będzie przypatrzeć się bliżej znamiennej tej pieśni wielkanocnej, a raczej obu jej częściom, złączonym u nas w jednym śpiewie tylko na mocy zadawnionego zwyczaju.

Autorem pieśni „Salve festa dies" jest[1]) Wenancjusz Fortunatus. Urodził się on około r. 530 w Ceneda, miejscowości, położonej w północnych Włoszech koło dzisiejszego Treviso. Studja filozoficzne odbywał w Rawennie. Potem udał się na dwór króla Siegberta, zwiedził też południową Francję, zachwycając wszystkich swojemi pieśniami. W klasztorze w Poitiers, będącym podówczas ogniskiem nauk i kultury, zapoznał się ze świątobliwą księżniczką Radegundą, małżonką Klotara II, pędzącą tamże zakonne i świątobliwe życie. Pod jej wpływem zwrócił się do ascezy, przyjął święcenia kapłańskie i został Ojcem duchownym klasztoru. Oddawał się przytem pracy literackiej, tworząc prześliczne pieśni, z których niektóre weszły do liturgji, jak np.: „Vexilla regis", „Quem terra, pontus, sidera", „Pange lingua

[1]) por. Annal. hymn. t. 50, str. 79.

gloriosi" (o męce Pańskiej) i „Salve festa dies". W r. 599 obrany biskupem Poitiers, umarł w rok potem, otoczony nietylko sławą poety chrześcijańskiego, lecz i rozgłosem świątobliwości.

Hymn „Salve festa dies" miał pierwotnie znacznie większą ilość zwrotek, obecnie w śpiewie zastosowane zostało tylko 5 strof tej pieśni. Formą ich są heksametry, złączone z pentametrami; forma ta, umiłowana przez poetów rzymskich, osobliwie przez Owidjusza, stosowaną była szczególnie przy pisaniu elegij. Podajemy tutaj tekst zwrotek używanych obecnie w liturgji, z dołączeniem własnego przekładu:

1. *Salve festa dies, toto venerabilis aevo,*
Qua Deus infernum vicit et astra tenet!

Witaj święty dniu, dobo na wieki szczęśliwa,
W której piekło Bóg przemógł i niebo zdobywa!

2. *Ecce renascentis festatur gratia mundi,*
Omnia cum Domino dona rediisse suo!

Oto niw odrodzonych ogłasza dźwięk miły,
Że wraz z Panem swym wszystkie nam dary wróciły!

3. *Namque triumphanti post tristia tartara Christo,*
Undique fronde nemus, gramina flore favent!

Bo gdy Chrystus po zgonie w triumfie powstawa,
Zieleń gaje wkrąg stroi i kwieciem lśni trawa!

4. *Legibus inferni oppressis, super astra meantem,*
Laudant rite Deum, lux, polus, arva, fretum!

Kiedy, piekło zdeptawszy, mknie w gwiezdne przestworza,
Wielbi Boga dzień z nocą, ląd stały, toń morza!

5. *Qui crucifixus erat Deus, ecce per omnia regnat,*
Dantque Creatori cuncta creata precem!

Bóg, co był ukrzyżowan, owłada świat cały,
Społem wszystkie stworzenia ślą Stwórcy pieśń chwały!

Po każdym zaś dwuwierszu łacińskim śpiewa się u nas następujący refren polski:

Przez twoje święte zmartwychwstanie,
Boży Synu, —
Odpuść nam nasze zgrzeszenie:
Wierzymy, iżeś zmartwychwstał,
Żywoteś nam naprawił,
Śmierci wiecznej nas zbawił,
Swoją świętą moc zjawił!

Polska pieśń, należąca do najstarszych zabytków naszego języka, powstała prawdopodobnie w II połowie wieku XIV. Najstarszy rękopis znajduje się w Pradze, jako jeden z rękopisów kapitulnej bibljoteki św. Wita. Mógł powstać koło r. 1400. Drugi tekst tejże pieśni, według Juszyńskiego, pochodzi z r. 1445. Brzmi on następująco:

Przez twe święte zmartwy wstanie,
Boży Synu,
Odpuściż nam zgrzeszenie,
Ty jeś ten dzień sam wsławił,
Żywoteś nasz naprawił,
Śmierci wiecznej nas zbawił,
(Pan Bóg) swoją moc zjawił!

Pieśń tę przytacza Seklucjan (w. XVI) z następującemi zmianami: Zamiast: „Tyżeś ten dzień wsławił" — „Wierzym, iż Bóg zmartwychwstał". Następnie: „Żywot nasz naprawił, swą moc zjawił".

Słowa „Boży Synu", jak słusznie zauważa sędziwy jubilat, prof. Brückner, [1]) są późniejszym wtrętem, dodanym dla większej pewności tekstu.

Porównując ze sobą tekst łacińskiej pieśni „Salve festa dies" i tekst polski „Przez twoje święte zmartwychwstanie", odrazu zauważamy wyraźną różnicę formy obu utworów. Pierwsza pieśń łacińska, to utwór artystyczny o doskonałej budowie, dzieło wytwornego smaku artystycznego, noszące wybitne cechy dawnego antyku, zawierające myśli podniosłe i, żeby się tak wyrazić, głęboko teologiczne; druga pieśń, pieśń polska, to utwór o zakroju typowo ludowym. Forma pieśni polskiej niezmiernie jest prosta. Pierwsze jej dwa rządki związane są jedynie assonansem, inne mają rymy w 4 rządkach te same, nader słabe i czysto gramatyczne. Również i treść polskiej pieśni nie odznacza się głębokiemi spostrzeżeniami, ogranicza się tylko do stwierdzenia faktu zmartwychwstania, oraz jego skutków i prośby o odpuszczenie grzechów. Właśnie jednak dla swej prostoty i ludowości śpiewa ją lud nasz od tylu wieków z wielkiem przejęciem i nabożeństwem.

---

[1]) Średniowieczna pieśń religijna polska. *Bibljoteka narodowa,* Kraków, str. 67.

Ponieważ zwyczaj splatania łaciny z językiem polskim, naogół mówiąc, zupełnie u nas wygasł, a tekst łacińskiej pieśni, śpiewany w polskim przekładzie, szerokim masom ludu dałby lepiej odczuć radość z wielkiego święta zmartwychwstania, może kiedyś miarodajne czynniki zdecydują się wprowadzić zamiast łacińskiego tekstu wierny jego przekład. Zdaniem naszem byłoby to z wielkim pożytkiem dla nabożeństwa ludu, a samej pieśni łacińskiej wielceby się przysłużyło, ukazując ogółowi wiernych przecudne perły natchnienia, jakie ona w sobie zawiera.

Ks. Tadeusz Karyłowski T. J.

Rozwój i znaczenie umów zbiorowych.

Chcąc wyjaśnić znaczenie umów zbiorowych dla prawnej, społecznej i gospodarczej budowy społeczeństwa, trzeba sięgnąć do Rewolucji francuskiej z końca XVIII w. Rewolucja bowiem ta, jak rzadko jakie inne wydarzenie historyczne, znamionuje nowy okres w dziejach.

W dziedzinie, nas tu obchodzącej, najbardziej znamiennym faktem jest zakaz stowarzyszeń zawodowych i gospodarczych. Ustawa z 15 czerwca 1791, znana jako *Loi Chapelier*, przypomina w art. 1, że „jednym z fundamentów konstytucji francuskiej jest zniesienie wszelkiego rodzaju korporacyj, obejmujących obywateli tego samego stanu i zawodu". Żeby zaś korporacje te nie przetrwały lub nie odrodziły się pod jaką inną postacią zrzeszenia, art. 2 postanawia, że „obywatele tego samego stanu i tego samego zawodu, przedsiębiorcy, ci, którzy mają sklepik otwarty, robotnicy i czeladnicy jakiegokolwiek rzemiosła, nie mogą, gdy się razem znajdą, powoływać przewodniczącego, ani sekretarza, ani skarbnika, nie mogą prowadzić spisów, przeprowadzać uchwał albo obrad, układać regulaminów w dziedzinie rzekomo wspólnych interesów". Ostatnie wyrazy są nadzwyczaj cenne, gdyż nietylko wskazują motyw zakazu asocjacji zawodowej i gospodarczej, ale nadto są wyrazem nowej filozofji społecznej.

Zawód nie ma żadnych interesów wspólnych, niema dobra zawodowego, jak niema dobra powszechnego.

Dotychczasowa filozofja społeczna, wsparta na Arystotelesie i św. Tomaszu, twierdziła, że społeczeństwo, państwowo zorganizowane, składa się z rodzin oraz z różnego rodzaju

zrzeszeń i grup, opartych głównie o wykonywany zawód lub bliższość zamieszkania; że wskutek tego dobro powszechne jest dobrem rzeczywistem, w którem uczestniczą wszyscy obywatele, ale różnem od prywatnego dobra poszczególnych jednostek; że obok i w obrębie dobra powszechnego istnieje dobro zawodu, który przeto powinien być prawnie zorganizowany, aby stanowić ogniwo pośrednie między jednostką a państwem.

Według nowej filozofji indywidualistycznej społeczeństwo jest zbiorem jednostek równych i niezależnych. Dobro powszechne, to najwyższe dobro największej liczby obywateli. Jedyną i najważniejszą rzeczywistością jest człowiek wolny, niezależny, sam sobie wystarczający, „osobnik". Jego wola jest źródłem praw i obowiązków. Wszelki autorytet opiera się na umownej lub zbiorowej woli jednostek, a nie na prawie przyrodzonem. Wszelkie t. zw. organizmy, jak całe społeczeństwo i państwo, są wytworem umowy prywatnej lub społecznej. Pobudką zaś do takiego lub innego działania jest dobro osobiste, takie, jak je pojmuje jednostka pod wpływem swych skłonności naturalnych, zgodnie z własnem ujęciem celu i środków, do niego wiodących. Biorąc za podstawę wolność i niezależność osobników, indywidualizm powinien był uznać wolność asocjacji. Uznawał ją teoretycznie, ale nie uznawał praktycznie, w zastosowaniu do życia. Miał on zrozumienie dla wolności jednostkowego działania, dlatego, że nie uznawał interesów wspólnych jakiegoś zawodu lub stanu, które nazywał rzekomemi. Asocjacja, na takiej podstawie oparta, musiała zmierzać, jego zdaniem, do ucisku, do jakichś celów ukrytych, bo w rzeczywistości istnieją tylko dobra poszczególnych jednostek, a niema ogólnego dobra wielu lub jakiejś grupy.

W takiem społeczeństwie indywidualistyczno-liberalnem, składającem się z jednostek, a w którem dobro jednostki ma wyłączne znaczenie, władze publiczne nie mogą wpływać na regulowanie wzajemnych stosunków między osobnikami, bo niema dobra powszechnego, którego one są stróżem, i bo to krępowałoby wolność jednostek; nie normują też tych stosunków korporacje i zrzeszenia poprostu dlatego, że przestały istnieć. Jest tylko państwo, a w obrębie tej po-

wszechnej organizacji żyją i działają niezależne i wolne jednostki, z których każda zmierza do własnego i na swój sposób pojmowanego celu. Stosunki między takimi osobnikami układają się w dwojaki sposób. Jeśli ich interesy są zgodne albo zbieżne, wtedy samorzutnie powstaje społeczna harmonja interesów, której wytworzenie ułatwia wiele instytucyj, np. w dziedzinie gospodarczej podział i współdziałanie pracy, wymiana, podaż i popyt i t. d. W tym duchu powstało wezwanie: „Czyń każdy w swem kółku, co każe Duch Boży, a całość sama się złoży". Interesy zaś rozbieżne a nawet sprzeczne uzgadnia dobrowolna umowa, głównie na gruncie, przygotowanym przez prawo podaży i popytu. Najbardziej oczywistym dowodem rzeczywistości takiego uzgodnienia jest akt kupna i sprzedaży. Interesy są tu sprzeczne: sprzedający chce sprzedać jak najdrożej, kupujący — kupić jak najtaniej, a mimo to dochodzi do uzgodnienia wspólnej ceny. Samorodna harmonja i dobrowolna umowa wysuwają się na pierwsze miejsce, państwo jedynie strzeże porządku prawnego i publicznego bezpieczeństwa.

Czy wolność, harmonja samorodna i dobrowolna umowa usuwa wszelkie braki i niesprawiedliwości, które były w dawniejszych społeczeństwach, zbudowanych na filozofji społecznej? Niezawodnie tak, odpowiada filozofja indywidualistyczna. Jeśli zaś będą jakie niedoskonałości i krzywdy, to ich źródłem będzie nie ustrój, lecz zła wola jednostek albo pozorna tylko realizacja wolności. Charles Perin wadami moralnemi, chciwością, nieumiarkowaniem, tłumaczył wszystkie wady społeczne, jak lichwa, niesprawiedliwa cena, nawet krzywdy gospodarcze.

Nie wszystkich jednak przekonało twierdzenie, że źródłem braków i niesprawiedliwości społecznych, zwłaszcza w dziedzinie stosunku między kapitałem i pracą, jest niska moralność gospodarcza. Wielu było skłonnych do mniemania, że źródło zła tkwi w samym ustroju gospodarczym, liberalno-indywidualistycznym.

I rzeczywiście, coraz bardziej stawało się widocznem, że samorodna harmonja nie utożsamia się ze sprawiedliwością i miłością społeczną, lecz z przewagą kapitału. To samo się działo i z dobrowolną umową. Gdy stały naprzeciw sie-

bie dwie klasy, z których jedna miała wiedzę, kapitał a często i obronę prawną po swej stronie, a druga była tych dóbr pozbawiona i utrzymywała się tylko z codziennego zarobku, nadto była sypką gromadą piasku, rozdzieraną przytem wewnętrzną konkurencją o zajęcie i zarobek, to harmonja i umowa, choćby najbardziej dobrowolna, była w rzeczywistości wygraną pierwszej klasy, wyrazem jej interesów. Ekonomja literalna w gruncie rzeczy jest ekonomją własności i kapitałów wyzwolonych z obowiązków. Kodeks cywilny Napoleona jest kodeksem własności, w którym stosunkom pracy najemnej poświęcono zaledwie kilka artykułów. Co więcej, dobrowolna umowa zamieniła się na walkę klasową, którą rozpętał socjalizm, znalazłszy ku temu warunki przedmiotowe, jak przewaga kapitału, wyzysk robotników i dzieci, bezbronność z powodu zakazu asocjacji zawodowej i abstynencji państwa.

Pierwsza połowa XIX wieku, a przynajmniej piewsze jego dziesięciolecia, są okresem walk, nieraz krwawych, o lepsze warunki bytu, w szczególności o prawo asocjacji, czyli prawo zbiorowego działania. Robotnicy powracali stale do tego postulatu, nietylko dlatego, że zorganizowana gromada stanowi siłę, ale także dlatego, że wśród nich stale się utrzymywała pamięć dawnych organizacyj, cechowych i gildyjnych, majstrów i czeladników, co więcej, same organizacje trwały jako tajne.

Rzecz naturalna, tego rodzaju walki były szkodliwe dla spokoju społecznego, dla przemysłowców i dla samych robotników. Ludzie dobrej woli, zwykle niezainteresowani w walce kapitału i pracy, a nawet sami przemysłowcy dążyli do pokojowego załatwienia zatargu, do rozstrzygnięcia arbitrażowego lub pogodzenia się zamiast złamania jednej i zwycięstwa drugiej strony. W r. 1860 przemysłowiec Jan Mundella doprowadził, po długim oporze kolegów i robotników, do utworzenia rozjemczego urzędu dla przemysłu pończoszniczego i rękawicznego w Nottingham.

Odtąd coraz częściej zbiorowe zatargi kończą się jakgdyby traktatem, określającym warunki współżycia obu stron, w szczególności warunki pracy i płacy, którym miały odpowiadać warunki umów jednostkowych. Były coraz częstsze

wypadki, że zawartą umowę zbiorową zmieniano lub zastępowano inną bez walki strajkowej lub lokautowej, lecz jedynie na drodze pertraktacyj.

Rozwojowi umów zbiorowych w Anglji sprzyjały dwa zjawiska: częściowe zniesienie zakazu asocjacji w r. 1825 i brak socjalizmu o podkładzie walki klasowej.

Umowę zbiorową z pracodawcą lub grupą pracodawców może zawierać niezorganizowana grupa pracobiorców, i pierwotnie tak się najczęściej działo. Przedstawia to jednak wiele niedogodności: płynna masa robotnicza nie może przystąpić do pertraktacyj z odpowiednim autorytetem i siłą, nie może dać zapewnienia, że umowa zbiorowa z jej strony będzie dotrzymana. Zupełnie inaczej sprawa wygląda, gdy jako strona występuje dobrze zorganizowane stowarzyszenie zawodowe. Ustawa z r. 1825 umożliwiła rozwój związków zawodowych i tem samem rozwój umów zbiorowych.

Drugą pomyślną okolicznością dla rozwoju umów zbiorowych w Anglji było to, że w tym kraju nie przyjął się socjalizm, ani teorja i praktyka walki klasowej. Umowy zbiorowe są organem pacyfikacji i solidarności społecznej. Nie ulega wątpliwości, że są wypadki, w których umowa zbiorowa zmierza do demagogicznych celów, aby roznamiętnić pracobiorców i stworzyć z nich element, gotowy do walki klasowej, do zniszczenia jakiegoś pracodawcy, do pognębienia jakiegoś innego stowarzyszenia zawodowego. Ale zasadniczo źródłem i celem umów zbiorowych jest zakończenie zatargów na drodze ustępstw i umowy, a nie zwycięstwa jednej strony nad drugą, jest nietylko zapewnienie dobrych warunków pracy, ale także spokojnej pracy wytwórczej, przynajmniej na okres trwania umowy. To też przemysłowcy bardzo także cenią to następstwo umów zbiorowych. Z drugiej strony umowa zbiorowa przedstawia wielkie wartości dla pracobiorców: usuwa wśród nich wewnętrzną konkurencję o zajęcie i zarobek, pochodzącą zwłaszcza od robotników słabszych lub będących w nędzy, od kobiet i młodzieży, którzy się godzą na wszelki zarobek, byleby pracę znaleźć; stwarza równowagę sił obu kontrahentów, t. j. pracodawców i pracobiorców, tak iż umowa może być naprawdę dobrowolną umową, a nie przymusową; zresztą odpowiada

koncentracyjnemu charakterowi współczesnego życia gospodarczego, w którem na pierwsze miejsce wysuwa się masa, a nie jednostka, jednostajność, a nie różnorodność. W tych warunkach umowa zbiorowa, wprowadzając pokój do stosunków między kapitałem i pracą, zapewniając pracobiorcom lepsze warunki płacy i pracy, umożliwiając kierowanie się zasadą sprawiedliwości i dobra powszechnego, a nie, jak się dawniej często działo, wyzyskiem przez pracodawców, przemocą przez pracobiorców, zmierza do poprawy gospodarki kapitalistycznej i raczej do jej utrwalenia w doskonalszej postaci, niż obalenia. Taki wynik nie może się podobać zwolennikom walki klasowej. Wskutek tego w Anglji, nie uznającej walki klasowej, stowarzyszenia zawodowe i umowy zbiorowe potężniały coraz bardziej i zdobywały decydujący wpływ na ułożenie się stosunków między kapitałem i pracą. W innych krajach rozwój był znacznie słabszy. Przed wojną umowy zbiorowe nie miały we Francji prawie żadnego znaczenia, dlatego że stowarzyszenia zawodowe, zwłaszcza syndykalistyczne, były przesiąknięte ideą walki klasowej, posuniętej nieraz do absurdu (sabotaż, walka nieprzygotowana, świadome zmierzanie do roznamiętnienia strajkowego i przegrana i t. p.) oraz dlatego, że miały one przedewszystkiem charakter polityczny, a drugorzędnie dopiero zawodowy. W Niemczech rozwój umów zbiorowych nie dorównywał temuż rozwojowi w Anglji, ale był poważny, najpierw dlatego, że istniały dość silne stowarzyszenia niesocjalistyczne (chrześcijańskie, liberalne i in.), oraz dlatego, że stowarzyszenia zawodowe socjalistyczne, o ile tylko mogły, broniły swej niezależności od socjalistycznej partji politycznej, a tem samem od nakazów walki klasowej i dążyły do wyrobienia własnej polityki, opartej na celowości gospodarczo-zawodowej, a nie politycznej. W Polsce umowy zbiorowe nie były dostatecznie rozwinięte. Przyczyną tego był najpierw stan prawny (zakaz stowarzyszeń w b. zaborze rosyjskim, a od r. 1906 walka rządu ze stowarzyszeniami zawodowemi, które rząd uznawał za organy walki politycznej i trudności językowe i narodowościowe w b. zaborze pruskim); następnie związanie ruchu zawodowego z ruchem socjalistycznym (najsilniej w b. zaborze austrjackim), z ruchem politycznym

(bardzo silnie w b. zaborze rosyjskim, a nawet pruskim). Po wojnie umowy zbiorowe objęły wszystkie dziedziny pracy najemnej, zarówno robotniczej, jak pracowniczej. Niestety, ruch zawodowy nie ma tej niezależności, jaką powinien posiadać. Nie o to chodzi, że poszczególne odłamy ruchu zawodowego są ściślej związane z pewnemi stronnictwami, uznawanemi za swe ekspozytury na terenie parlamentarnym, ale o to, że stronnictwa kierują ruchem politycznym i uzależniają go od siebie. Stąd w działalności stowarzyszeń zawodowych, przy zawieraniu umów zbiorowych zbyt często decydują motywy polityczne, a nawet demagogiczne; stąd też prawie nigdzie indziej nieznane zjawisko masowej fluktuacji członków, przechodzących od jednych związków do drugich. Chorobie tej podlegają najsilniej stowarzyszenia zawodowe robotnicze. Stowarzyszenia zawodowe chrześcijańskie dają nadto gorszące widowisko, dla którego nie można znaleźć żadnego usprawiedliwienia, że dotychczas nie stworzyły centralizacji z jednym zarządem głównym, że w r. 1926 istniały centrale samodzielne w Warszawie, Krakowie, Lwowie, Katowicach, Wilnie i Poznaniu, przyczem niektóre z tych central powstały już za czasów zjednoczonej Polski i że dopiero 6 lutego 1927 utworzono centralę w Katowicach zaledwie dla Katowic, Krakowa i Lwowa, ośrodków pod względem przemysłowym słabych. Nic dziwnego, że w tych warunkach umowy zbiorowe nie zyskały takiego znaczenia, jakie powinny były mieć.

Tam więc, gdzie nie było specjalnych przeszkód, umowy zbiorowe stały się zjawiskiem pierwszorzędnego znaczenia w dziedzinie stosunku między kapitałem i pracą. Ustawodawca jednak wobec tego zjawiska zajmował stanowisko obojętne. Prawodawstwo, przesiąknięte liberalnym indywidualizmem, znało tylko umowy jednostkowe. Umowy zbiorowe naogół nie miały skutków prawnych, w szczególności sądownictwo nie przyznawało im mocy obowiązującej względem umów jednostkowych.

Wtedy umowy zbiorowe, jak powstały obok prawa, a częściowo wbrew prawu obowiązującemu, tak samo wytworzyły własne sankcje. Jest to zjawisko powszechnie znane — i nieuniknione, że gdy władze publiczne nie speł-

niają tych funkcyj, których od nich życie wymaga, wtedy społeczeństwo, grupa zainteresowana tworzy własne organy i własne sankcje.

Jakiego rodzaju były te sankcje?

Stowarzyszenia zawodowe zmierzają do tego, aby skupić wszystkich pracobiorców danej kategorji lub taką przeważającą liczbę, aby mogły mieć decydujący wpływ na rynek pracy. Tylko wtedy bowiem będą posiadać dostateczną siłę do zrównania się z pracodawcami i do opanowania konkurencji wewnątrz danej grupy zarobników. Sankcją tego dążenia był postulat, aby pracodawcy przyjmowali do pracy tylko robotników zrzeszonych, należących do jakiegokolwiek stowarzyszenia zawodowego. Oczywiście, przy tej sankcji, jak i przy następnych nie obeszło się bez nadużyć, jak np. gdy stowarzyszenie o określonym kierunku ideowym zmuszało pracobiorców innych przekonań do zapisywania się na jego listę. Ale to są nadużycia i zboczenia od właściwej linji, zdarzające się łatwo tam, gdzie instytucja prywatna wykonywa funkcję, którą powinny spełniać władze publiczne. Sama jednak dążność była zdrowa.

Stowarzyszenia zawodowe wymogły od swoich członków, aby nigdzie nie przyjmowali pracy na innych warunkach, niż ustalone przez umowę zbiorową; nigdzie, to znaczy, ani u tych pracodawców, którzy zawarli umowę zbiorową, jak u tych, którzy nią nie byli związani. Chodziło tu przedewszystkiem o to, aby pracodawcy, nie chcący uznać umów zbiorowych, nie pogarszali tych warunków, które przez obie strony były przyjęte jako sprawiedliwe, a przynajmniej jako możliwe, oraz aby swoim oporem nie zniszczyli samej instytucji umów zbiorowych, mającej tak doniosłe znaczenie dla pracobiorców i pracodawców. Drugim motywem było pragnienie dotrzymania warunków, przyjętych w umowach zbiorowych: chodziło o opanowanie samowoli pracobiorców. Jeśli wszyscy zarobnicy albo przynajmniej decydująca większość należy do stowarzyszeń i jeśli stowarzyszeni zachowują karność, wtedy stowarzyszenie zawodowe może przyjąć na siebie zobowiązanie, że umowa zbiorowa będzie zachowana.

Ideałem stowarzyszeń zawodowych było dążenie, aby

umowy zbiorowe miały moc wobec umów jednostkowych, aby te nie mogły w niczem odstępować od tamtych, chyba że zawierały lepsze warunki pracy. Sądy jednak nie przyznawały umowom zbiorowym takiego uprawnienia i dlatego stowarzyszenia pragnęły je osiągnąć własną mocą.

Stowarzyszenia zawodowe nie poprzestawały tylko na tych dążeniach i sankcjach. Jak wspomniałem, umowy zbiorowe są instytucją pokoju społecznego. Dlatego zawarciu umowy zbiorowej początkowo coraz częściej, a później stale towarzyszyło tworzenie instytucyj i komisyj o różnych nazwach. Komisje te, które ostatecznie weszły do istoty umów zbiorowych, mają na celu następujące zadania: 1. czuwanie nad zachowaniem warunków umowy zbiorowej; 2. interpretowanie samej umowy i jej poszczególnych paragrafów; 3. dostosowanie do nowych warunków, np. pracy akordowej, albo z powodu wprowadzenia innego surowca lub narzędzia pracy i t. d.; 4. rozjemstwo i pojednanie, aby umowę zbiorową przedłużyć lub ulepszyć bez uciekania się do walki strajkowej. Komisje te, będące wypływem organizacji pracobiorców i pracodawców, spowodowały jakgdyby władzę ustawodawczą, sądowniczą i wykonawczą.

Tym sposobem dokonała się zasadnicza zmiana ustroju liberalno-indywidualistycznego. W tym systemie, który się składał tylko z jednostek i państwowej organizacji i nie uznawał żadnych interesów wspólnych, wytworzył się organizm pośredni, oparty o rodzaj wykonywanej pracy, obejmujący pracodawców i pracobiorców, czyli cały zawód, regulujący ogólne warunki pracy, stwarzający ramy, w obrębie których zawierano umowy jednostkowe, podlegające pewnej władzy, reprezentującej obie strony, t. j. pracodawców i pracobiorców, kierujący się własnem prawem umownem, własnym kodeksem, jako podstawą działania i orzeczeń, a będącym manifestacją interesów wspólnych, ogólnego dobra zawodowego. Trzeba wreszcie dodać, że ten organizm pośredni między jednostką a państwem spełnia nadto wiele zadań w dziedzinie gospodarczej i zawodowej, których wymagało owo dobro zawodu całego, np. udziela zapomóg i rent chorym, inwalidom, starcom, ułatwia znalezienie pracy lub przetrzymanie okresu bezrobocia, wychowuje i kształci młodzież,

przygotowując ją do przyszłej pracy zawodowej, reprezentuje zawód wobec władz państwowych i gminnych i t. d.

Mimo to państwo liberalne zachowywało nadal obojętność wobec tak doniosłej instytucji. Pierwszą zdaje się próbę, i to bardzo nieśmiałą, uczynił ustawodawca holenderski, gdy 13 lipca 1907 r. postanowił, że umowa jednostkowa, zawierająca postanowienia sprzeczne z umową zbiorową, a odnoszące się do tych samych osób, może być unieważniona na żądanie pracobiorców. Nieco większe zainteresowanie okazała nauka prawnicza, ale także dopiero pod sam koniec XIX wieku.

Do prawnego ujęcia umowy zbiorowej najprościej było użyć teorji kontraktualnej. Zresztą było to prawie konieczne, dlatego że teorja prawa nie znała innej podstawy niż indywidualistyczna. Uznanie jednak umowy zbiorowej za umowę dwustronną nie wyjaśniało głównych znamion tej instytucji. Jeśli umowa zbiorowa jest umową dwustronną, w jaki sposób może obowiązywać tych, którzy się na nią nie zgodzili, zwłaszcza pracodawców? Jeśli jest umową dwustronną, jak może obowiązywać tych członków stowarzyszenia, którzy przeciw niej głosowali? Czyżby można było zawierać umowę i jednocześnie przeciw niej oponować? Nie można powołać się na wolę większości, gdyż wola większości może być podstawą prawa i regulaminu, ale nie umowy. Te i inne trudności wprost uniemożliwiały uznanie umowy zbiorowej za umowę dwustronną. Stawało się coraz jaśniejszem, że tak zwana umowa zbiorowa, taka, jaką życie wytworzyło, jest czemś więcej niż umową.

Inni widzieli w umowie zbiorowej rodzaj traktatu pokojowego, zawartego przez walczące ze sobą strony, gdy walka ustała, albo jednostronną deklarację pracodawcy, że będzie przyjmował pracobiorców do pracy na ustalonych wspólnie warunkach. Ale to były tylko analogje; największym brakiem tych teoryj był brak odpowiedzialności prawnej obu stron za niedotrzymanie zobowiązań, zaciągniętych w umowie zbiorowej.

Inni wreszcie przekroczyli granice teorji indywidualistycznej. Źródłem umowy zbiorowej nie jest umowa, lecz solidarność faktyczna. Ludzie wykonujący pewien zawód,

tworzą osobną grupę, związaną solidarnością nazewnątrz w stosunku do innych grup i nawewnątrz. W grupie takiej powstają pewne wzajemne prawa i obowiązki, których zachowania wymaga bezpośrednio dobro tej grupy, a pośrednio dobro całego społeczeństwa. Umowa zbiorowa jest całkowitem lub częściowem uporządkowaniem tych praw i obowiązków, jest jakgdyby regulaminem zawodu i początkiem normalnej jego organizacji. Wtedy staje się rzeczą zrozumiałą, dlaczego t. zw. umowa zbiorowa obowiązuje wszystkich, nawet tych, którzy jej nie podpisywali, ani się do niej przyłączyli, lub ją nawet zwalczają. Zwolennicy tej teorji, zwanej korporacyjną, instytucjonalną i t. p., dzielą się dość wyraźnie na dwie grupy, zależnie od tego, czy moc obowiązującą regulaminów zawodu opierają ostatecznie na woli państwa, które solidarności faktycznej nadaje postać prawną, czy na prawie przyrodzonem, którego wyrazem jest właśnie owa solidarność faktyczna, co zresztą nie znosi suwerennej władzy państwa. Uczeni chrześcijańsko-społeczni należą do tej grupy, a nie do tamtej.

Gdy tak nauka rozstrzygała prawną istotę umów zbiorowych, wojna przerwała zarówno pracę naukową, jak rozwój samych umów zbiorowych.

Po wojnie umowy zbiorowe stały się powszechnem zjawiskiem. Niema chyba żadnych umów jednostkowych, któreby nie podlegały postanowieniom umów zbiorowych. Reglamentacja prawna stała się zadaniem pilnem i tem bardziej musiała być przedsięwzięta, że przedstawiciele warstwy pracobiorców, zarówno katolickich, jak socjalistycznych, zajęli najwyższe stanowiska w państwach.

Rozporządzenie niemieckie z 12 grudnia 1918 r., obowiązujące także w b. zaborze pruskim, postanawia, że klauzule umów jednostkowych z mocy prawa są nieważne i muszą być zastąpione postanowieniami umów zbiorowych, chyba, że są korzystniejsze dla pracobiorców i nie były w umowie zbiorowej zgóry wykluczone; nadto minister pracy ma prawo upowszechnienia umowy zbiorowej, t. j. rozciągnięcia jej mocy obowiązującej na cały zawód lub okręg.

W kilka miesięcy później, 25 marca 1919 r., ustawodawca francuski ogłosił bardzo starannie opracowaną (a od-

dawna przygotowaną) ustawę o zbiorowych konwencjach pracy. Ustawa francuska stała się wzorem dla wielu innych, np. finlandzkiej; projekty polskie również się na niej opierają. Trzeba wszakże dodać, że ustawa ta jest ustawą okresu przejściowego. Stoi na stanowisku kontraktualnem, bardzo drobiazgowo i starannie, ale z konieczności bardzo zawile, omawia wolność jednostek przystąpienia do umowy zbiorowej i wycofania się z niej. Z drugiej strony uznaje stowarzyszenie za przedstawicielstwo zawodu, przynajmniej w pewnych wypadkach i upoważnia je do występowania w sądach w obronie interesów jednostek lub zawodu. Ale nie uznaje, z samego prawa, obowiązującej mocy umów zbiorowych względem jednostkowych.

Inne ustawy lub rozporządzenia zajmują również niezdecydowane stanowisko, chociaż przeważnie przechylają się do korporacyjnego, uznając moc wiążącą umów zbiorowych, t. j. rozszerzanie ich mocy obowiązującej na dany okręg lub zawód, prawo stowarzyszenia do reprezentowania całego zawodu i t. p.

Na zdecydowanie korporacyjnem stanowisku stanął ustawodawca włoski w ustawie z 3 kwietnia 1926 r. Świadczą o tem następujące zasady tej ustawy: 1. przymus organizacyjny: wszyscy członkowie, wykonujący dany zawód, muszą należeć do organizacji danego zawodu, t. j. muszą być wpisani na listę członków zawodu przez władze miejskie; 2. władza zawodowa: zarząd prawnie uznanego stowarzyszenia zawodowego reprezentuje wszystkich członków danego zawodu bez względu na to, czy należą do stowarzyszenia czy nie należą, w szczególności ma prawo nakładania opłat na wszystkich, zawierania umów zbiorowych, obowiązujących wszystkich. Wprawdzie władza ta jest, jeśli tak można powiedzieć, klasowa, t. j. osobno pracodawców, osobno pracobiorców i osobno zawodów wyzwolonych. Ale rozporządzenie wykonawcze do tej ustawy z 1 lipca 1926 r. przewiduje istnienie „korporacji", t. j. stałego organu łączności między klasowemi stowarzyszeniami. Otóż te organy korporacyjne w celu spełnienia swych zadań mają prawo między innemi: 1. zażegnywać spory, mogące powstać między związanemi jednostkami; 2. ogłaszać, po uprzedniem

porozumieniu się ze stowarzyszeniami, ogólne regulaminy w zakresie warunków pracy, mające charakter umów zbiorowych i ich moc obowiązującą; 3. popierać i subwencjonować wszystkie przedsięwzięcia stowarzyszeń, mające na celu lepszą organizację produkcji; 4. otwierać biura pośrednictwa pracy; 5. normować sprawę zawodowego wykształcenia (art. 44). Pewnem osłabieniem zasady korporacyjnej jest to, że „korporacja" nie jest wypływem stowarzyszeń zawodowych lub nawet wyborów, lecz częścią administracji, mianowaną przez ministra korporacyj, że ustawa nie zatrzymuje sądownictwa pracy, związanego z zakazem strajków i lokautów, przy korporacji, lecz przekazuje je sądom apelacyjnym [1]).

W całym tym wykładzie nie wspomniałem o ustawodawstwie sowieckiem, gdyż ono, mojem zdaniem, nie wnosi nic nowego w tej sprawie. Kto się oprze na indywidualizmie, ten dojdzie albo do przewagi jednostki i osłabienia państwa, albo do przewagi państwa nad jednostką. Socjalizm wybrał tę drogę, a bolszewizm zaszedł na niej bardzo daleko. Jedna i druga wszakże jest sprzeczna z naturą społeczeństwa, które obok jednostki i państwa zna nadto organizmy pośrednie. Umowy zbiorowe i zasada korporacyjna odpowiadają właśnie tej naturze społeczeństwa.

[1]) O innych szczegółach zob. Ks. A. Szymański, *Mussolini i korporacyjna przebudowa Włoch.* Lublin 1927 (112).

Ks. Dr A. Szymański.

Stosunki Kardynała R. Bellarmina z Polską i Polakami.

(Na podstawie korespondencji).

Treść: Wstęp. Korespondencja Bellarmina fragmentem ogromnej korespondencji humanistyczno-reformacyjnej Polaków z cudzoziemcami w w. XVI i w początkach XVII. Wielkie znaczenie B. jako teologa i reformatora, geneza jego stosunków z Polską. — 1. Źródła pracy. — 2. Uczniowie B. w korespondencji z dawnym profesorem. — 3. Starania o sprowadzenie B. do Polski. — 4. Korespondencja B. z Zygmuntem III. i królewiczem Władysławem. — 5. Korespondencja z dostojnikami świeckimi i duchownymi w Polsce. — 6. Sprawa Zofji Dębińskiej i A. Koniecpolskiego. — 7. B. a Jezuici polscy. Obrona Kardynała przez Tyszkiewicza. — 8. Sprawa Bzowskiego. — Zakończenie. Ogólna charakterystyka stosunków i ich wartości historycznej.

Jakkolwiek zapatrywalibyśmy się na wzajemną zależność i wpływ epoki na wybitne jednostki i naodwrót, musimy wiek XVI uznać za klasyczny przykład równorzędności i współmierności tych dwu tworzących historję czynników. Jeśli ją można porównać do dramatu, to w wieku XVI wielkości tła dziejowego zgodnie odpowiadają wielkością swą ludzie tego czasu. Na brak ludzi wiek ten skarżyć się nie potrzebuje. Całkowita przemiana stosunków, zupełne przetworzenie wszystkich dziedzin życia od filozofji począwszy a skończywszy na sztuce i ekonomji społecznej, dokonało się wysiłkiem wybitnych, często genjalnych jednostek, które z wielką płodnością rodziły się na żyznej glebie humanizmu i ruchów reformacyjnych. Nowe prądy społeczno-kulturalne, przygotowujące się przez dziesiątki lat w całokształcie stosunków i w szerokich warstwach ówczesnego społeczeństwa, zdobywały pełną świadomość i wyraz w umysłach wybitnych jednostek, by znowu drogą powrotną,

wsparte siłą ich myśli i potęgą ich czynu twórczego, rozlać się na całe społeczeństwo i przetworzyć je w duchu nowych potrzeb i zasad. Raz po raz przez cały wiek XVI ukazują się na widowni jednostki, które w pewnej określonej dziedzinie życia wywierają wprost przytłaczający wpływ na współczesnych. A wpływ ten nie ogranicza się do jednego narodu czy państwa, ale szybko obejmuje całą Europę. Poczucie łączności kulturalnej między narodami widzimy wtedy ogromne, bodaj czy nie silniejsze niż dzisiaj przy tylu ułatwieniach komunikacji. Każda nowa myśl, każda idea religijna, każdy nowy talent twórczy budzi natychmiast bardzo żywe zainteresowanie, często entuzjazm, a nawet fanatyczny posłuch.

Na takiem podłożu rozrasta się do ogromnych rozmiarów korespondencja i wymiana myśli między ludźmi tych samych i przeciwnych obozów, bez względu na granice państw i narodów. Wystarczy wybić się w jakiejś dziedzinie ponad przeciętność, aby zaraz z całej Europy otrzymywać listy, a od panujących i możnych zaproszenia w gościnę czy różne zaszczytne godności.

Tych kilka ogólnych uwag podaliśmy, by niemi wyjaśnić genezę stosunków Bellarmina z Polską. Bellarmin jest jedną z naczelnych postaci kontrreformacyjnego ruchu i jednym z najwybitniejszych reformatorów katolickich. Nazewnątrz... walka z herezją, nawewnątrz... naprawa stosunków w Kościele — oto cel i treść życia Bellarmina. Cała jego działalność jednym ożywiona duchem i zawsze z tych samych płynąca pobudek i do tych samych zdążająca celów, rozpada się na dwa okresy.

Pierwszy obejmuje naukowo - teologiczną działalność Bellarmina, działalność zaczętą objęciem katedry w Louvain w r. 1570, a uwieńczoną wydaniem głównego, o epokowem dla teologji katolickiej i ruchu kontrreformacyjnego znaczeniu dzieła: *„Controversiae christianae fidei adversus huius temporis haereticos"* (w Ingolsztadzie 1586—1593). Drobniejsze jego prace w zakonie czy w Kongregacjach rzymskich i na stanowisku teologa papieskiego są już tylko dodatkiem lub konsekwencjami. Placówką, na której zabłysnęła w całej pełni wiedza i talent Bellarmina i która zdecydowała

o dalszych losach jego życia, była katedra kontrowersyj na Gregorjańskim uniwersytecie, utworzona specjalnie dla Bellarmina. Owocem 11 letniej profesury jest dzieło „*Controversiae*". Od czasów świetności filozofji i teologji scholastycznej w w. XIII nie ukazało się żadne dzieło, któreby wywarło równie potężny, a nawet wprost przygniatający wpływ. „*Controversiae*", które i do dziś nie straciły jeszcze swego znaczenia i wartości, na lat kilkadziesiąt stają się dla teologów, polemistów, kaznodziejów poprostu wszystkiem. Ze zdumiewającą łatwością zdobywają sobie „*Controversiae*" nietylko podziw i uznanie powszechne, ale także stają się odrazu ogólną i wspólną własnością. Niemi żyją i żywią się tak przeciętne, zwykłe jednostki — co nie byłoby dziwnem — jak i bardzo nawet wybitne zdolności, że przytoczymy jako przykład Skargę. Doskonałym wyrazem wrażenia i wpływu, jaki wywarło dzieło Bellarmina jest powiedzenie jakiegoś protestanta, cytowane przez biskupa Ditrichstein'a z Ołomuńca: „20 wydań w 30 latach! Wszędzie czytają Bellarmina i wierzą mu! Każde jego słowo czci się jako wyrocznię nowego proroka, a nawet jako prawdę odwieczną". [1])

Tajemnica powodzenia, z jakiem spotkały się „*Controversiae*", leży przedewszystkiem w tem, że Bellarmin zrozumiał potrzebę chwili, zerwał z wyłącznością spekulacyjną scholastyki, której był zawsze wrogiem i sporo twardych pod jej adresem słów powiedział, a cały punkt ciężkości przeniósł na stronę pozytywną. Ogromna wiedza i znajomość Pisma św., Ojców kościoła i pism t. zw. reformatorów sprowadziły Bellarmina z obłoków subtelnej abstrakcji na realny teren pozytywnej polemiki, teren, który od samego początku obrali teolodzy protestanccy. Z tym momentem skończyła się niewspółmierność walki, płynąca z niewspółmierności broni. Dzięki Bellarminowi nauczyli się i zrozumieli teolodzy katoliccy, że nie wystarczy operować choćby najkunsztowniej pewną sumą pojęć i pewną ograniczoną sumą faktów, ale trzeba rozbić cały warsztat pracy źródłowej i pozytywnej.

[1]) Emmerich Raitz von Frentz S. J.: *Der ehrwürdige Robert Bellarmin S. J. ein Vorkämpfer für Kirche u. Papstum* 1542—1621. Herder, Freiburg, str. 49.

Drugim powodem wielkiego wpływu Kontrowersyj jest uwzględnienie w nich przez Bellarmina i gruntowne a po raz pierwszy w tym stopniu przez niego dokonane opracowanie kilku, przed wystąpieniem Lutra powierzchownie tylko i ogólnikowo omawianych traktatów o Piśmie św., Kościele, Papieżu. Bellarmin cały spór od szczegółów takich np. jak Sakramenta, sprowadził do podstaw i zasadniczych założeń o Kościele, objawieniu i t. d., czyli do tego, co dziś nazywamy apologetyką i teologją fundamentalną.

Drugi i ostatni okres życia Bellarmina od r. 1599 do 1621, t. j. okres piastowania godności kardynalskiej, ma charakter więcej praktyczny. Praca naukowa schodzi na plan dalszy, jej miejsce zajmuje szeroka działalność nad reformą kościelną, nad wprowadzeniem w życie dekretów Soboru Trydenckiego. Terenem tej działalności obok diecezyj najpierw w Kapui, a potem w Montepulciano, jest Kurja papieska i Kongregacje rzymskie. I tu mamy drugi powód, wyjaśniający nam rozległą korespondencję Bellarmina, tak urzędową jak i prywatną.

„A priori" można przypuszczać, że wobec takiego znaczenia i wpływu, jaki Bellarmin wywierał na współczesnych, tak przez dzieła teologiczne jak i przez bezpośrednią działalność reformatorską, nie może braknąć między osobistościami, z któremi koresponduje, Polaków. Przez cały wiek XVI Polska utrzymuje bezpośrednią łączność z Zachodem, bierze żywy udział w kulturalnych przemianach, jakie się wtedy w Europie dokonywały. Korespondencja Bellarmina jest tylko drobnym fragmentem ogromnej całości, która, o ile już dziś można sądzić, wzrośnie do imponujących rozmiarów, jako chlubny pomnik naszej kulturalnej łączności z Zachodem.

1. Przystępując do właściwego tematu, muszę kilka słów powiedzieć o źródłach tej pracy.

W 30 lat po śmierci Kardynała w r. 1650, jego biograf, jezuita Jakób Fuligatti ogłosił 186 listów Bellarmina.[1])

[1]) *Roberti Bellarmini S. R. E. Cardinalis e S. J. Epistolae Familiares* Romae Typis Dominici Manalphii. Anno Jubilei MDCL. — edidit Jacobus Fuligatti S. J. (egzemplarz w Polsce tylko u Czartoryskich).

Wedle relacji Ks. Le Bachelet'a, wydawcy Korespondencji Kardynała, własnoręczny Fuligatti'ego kopjarjusz znajduje się w Archiwum Zakonu, zawiera 228 listów i jest zaopatrzony w autentyczne aprobaty władz kościelnych. Wniosek z tego prosty, że służył jako egzemplarz do druku. Dla niewiadomych bliżej przyczyn Fuligatti w czasie druku odrzucił jeszcze 42 listy. [1])

Wśród wydrukowanych znajduje się 27 listów, pisanych do Polski i Polaków, a w tem 4 do króla Zygmunta III. Na podstawie świadectwa samego wydawcy wiemy, że było ich więcej. [2]) Fuligatti w wydaniu swem pominął je świadomie ponieważ nie miał na oku celów naukowych. Z dostępnych sobie listów Bellarmina zrobił wybór, który miał z jednej strony być dowodem rozległych stosunków Kardynała, a z drugiej charakteryzować i oświetlić jego osobiste zalety. Listów o charakterze urzędowym, pisanych bardzo często w sprawach polityczno-kościelnych pierwszorzędnej wagi, Fuligatti w zbiorze swym nie uwzględnia szerzej, nie nadadawały się bowiem do celu, jaki wydawnictwu swemu przeznaczył. Naodwrót zaś z tego samego zapewne powodu i korespondencja Kardynała z Polską znalazła u Filigatti'ego tak wielkie względy. Na 186 listów drukuje aż 27 pisanych do Polski i Polaków. Stanowią one ogromną większość, bo prawie $^4/_5$ wszystkich znanych nam listów Bellarmina do Polski. Nie chcemy wyprzedzać wyników naszej pracy, zobaczymy jednak, że ogólny charakter korespondencji wielkiego Kardynała z Polską odpowiadał znakomicie tendencji wydawcy „*Epistolae Familiares*".

Zbiór Fuligattiego ma bardzo podrzędne tylko znaczenie dla poznania stosunków i działalności Bellarmina i obejmuje zaledwie drobną cząstkę jego olbrzymiej korespondencji. „Pod względem liczby i ważności, pisze Le Bachelet,

---

[1]) M. Le Bachelet S. J.: *Bellarmin avant son Cardinalat. 1542—1598. Correspondance et documents.* — Paris. G. Bauchesne 1911. Preface p. XIV.

[2]) *Vita Roberti Cardinalis Bellarmini e S. J.* italice scripta a Jacobo Fuligatto: latine reddita a Silvestro Porta Sancta: Sacerdotibus eiusdem Societatis. Leodii, typis Joannis Cuvverx 1626. Liber IV, cap. VI (bez paginacji).

kolekcja ta przedstawia korespondencję Wielebnego Sługi Bożego w stopniu bardzo mało znacznym; listy w niej zawarte nie stanowią ani dziesiątej części tych listów, które przeglądnąłem i skopjowałem. Przytem wszystkie odnoszą się tylko do czasu po wyniesieniu Bellarmina na godność kardynalską". [1])

Całość korespondencji Bellarmina, o ile tylko była dostępną, zebrał dopiero w pierwszych latach naszego wieku i do druku przygotował wspomniany już dwa razy Ks. Le Bachelet, francuski jezuita. Pierwszy tom jego Bellarminianów wyszedł w r. 1911, zawiera materjały z okresu przed nominacją na kardynała *Bellarmin avant son Cardinalat, 1542—1598*. Dalszych tomów Le Bachelet już nie wydał, przedwczesna śmierć nie pozwoliła mu dzieła dokończyć.

Materjały odnoszące się do Polski, a znajdujące się w zbiorze Bacheleta [2]) zostały mi udostępnione, razem z wyczerpującemi wiadomościami o stanie całości zbioru. [3]) One też razem z listami, wydanemi przez Fuligatti'ego, stanowią główne źródło tej pracy, nie wyłączne jednak, bo i gdzie indziej dało się odnaleźć nieco szczegółów, uzupełniających całość obrazu.

2. Stosunki Bellarmina z Polakami zawiązały się w Rzymie. Pierwszy raz zetknął się bliżej z nimi jako profesor kontrowersyj na Uniwersytecie Gregorjańskim. Założenie i otwarcie tego uniwersytetu schodzi się z wzmożeniem ru-

[1]) Le Bachelet op. cit. Preface p. VII.

[2]) Zawdzięczam to Ks. Edwardowi Kosibowiczowi T. J., który z wielkiem poświęceniem swego czasu i ofiarą wakacyj, przeglądnął bardzo dokładnie materjały, zebrane przez Ks. Le Bachelet'a, a złożone w jezuickiem kolegjum na wyspie Jersey, i wszystko, cokolwiek w jakiś sposób odnosiło się do Polski, skopjował. Za tę przysługę składam Mu na tem miejscu serdeczne dzięki.

[3]) Materjały, zebrane przez Bachelet'a, obejmują 7 grubych tek z listami Bellarmina i do Bellarmina. Listów będzie 2 do 3 tysięcy. Teka pierwsza jest już gotowa do druku i obejmuje korespondencje i materjały od marca 1599 do kwietnia 1602 r. W tej tece gotowej już do druku i posiadającej nawet kościelne *imprimatur*, podaje Le Bachelet przedmowę, zawierającą dwa rozdziały: *Caractère général de la publication.* i *Caractère spécial du présent volume.* O stosunkach z Polską w przedmowie tej Le Bachelet ani nie wspomina.

chu kontrreformacyjnego w Polsce. Reakcja katolicka po r. 1559, a zwłaszcza z chwilą przybycia jezuitów na ziemie polskie, przybiera z każdym rokiem na sile. Jednym z jej objawów, a w konsekwencji później i przyczyn, które ją wzmagały, są coraz częstsze wyjazdy młodzieży polskiej i duchownych na studja teologiczne na uniwersytety katolickie. Rozumie się, że na pierwszem miejscu inicjatorzy i przewódcy reakcji katolickiej mieli oczy zwrócone na Rzym, który, zmieniwszy gruntownie swe oblicze pod wpływem wielkich reformatorów katolickich, stał się ogniskiem odrodzeńczego ruchu w Kościele. Troska papieży, wsparta pomocą zakonów, gromadzi w rzymskich uczelniach cały zastęp najwybitniejszych teologów i uczonych, wśród których jedno z pierwszych miejsc zajmuje Bellarmin. Poprzedzony sławą z Louvain, zaczyna wykładać w r. 1576.

Pomiędzy pierwszymi jego uczniami widzimy polskich magnatów Jerzego i Alberta Radziwiłłów. Wysłani przez starszego brata księcia Mikołaja Krzysztofa Sierotkę do Rzymu na studja w roku objęcia katedry przez Bellarmina w Gregorjanum, znajdowali się pod opieką samego papieża Grzegorza XIII, faktyczną jednak pieczę nad Radziwiłłami, a zwłaszcza nad Jerzym, mieli jezuici. Generał zakonu wychowawcą i nauczycielem teologji Jerzego mianował O. Achillesa Gagliardi.[1]) Trzeba bowiem pamiętać, że Jerzy Radziwiłł, mając zaledwie lat 18, wyjechał do Rzymu już jako koadjutor-nominatus biskupa wileńskiego Protaszewicza z prawem następstwa. Pobyt w Rzymie i studja tamże miały być z jednej strony przeciwdziałaniem wpływom pierwszej młodości, spędzonej w kalwiniźmie, a z drugiej przygotowaniem do godności biskupiej i rządów diecezją.

Ta, tak można, jeśli idzie o Grzegorza XIII, a na pewno czujna, jeśli idzie o jezuitów,[2]) opieka nie przeszkodziła zupełnie, że młody magnat od samego początku poczynał sobie w Rzymie po magnacku i przez wystawność życia za-

[1]) Rostowski: *Lituanicarum S. J. historiarum lib. IV*, n. 17, p. 192. editio Martinow.

[2]) *Listy Ks. Piotra Skargi T. J. z lat 1566—1610.* Wydał Ks. Jan Sygański T. J. Kraków. 1912. list 41, str. 78: Skarga Everardo Mercuriano 10 Octobris 1575.

wiódł nieco nadzieje, polecającego go Generałowi Zakonu, Skargi.[1]) Uwiadomiony o sposobie życia swego brata, książę Sierotka, nie mogąc nastarczyć pieniędzy na jego szerokie potrzeby, postanowił radykalnie sprawę załatwić przez odwołanie Jerzego do Polski,[2]) gdzie pod okiem brata dokończyłby studjów. Zamiarom tym przeciwstawił się energicznie Grzegorz XIII i nie zgodził się na powrót Jerzego do kraju, motywując to swoje postanowienie względami na dobro i potrzeby Kościoła i podkreślając z naciskiem konieczność gruntownych studjów teologicznych, których nigdzie poza Rzymem Jerzy nie pofrafi odbyć lepiej i korzystniej, bo nigdzie nie znajdzie lepszych profesorów.[3]) Chwilowo interwencja papieża odniosła skutek. Jerzy pozostał w Rzymie, sposobu życia jednak nie zmienił. Rozgniewany już na dobre książę Sierotka, brata wreszcie do Polski odwołał.

W czasie niedługiego pobytu w Rzymie (niespełna dwa lata) Jerzy słuchał wykładów Bellarmina i zapoznał się ze sławnym już wtedy teologiem bliżej. Mimo dość bujnego życia młodego biskupa-nominata, niebardzo harmonizującego z atmosferą posoborową, Bellarmin — czy dlatego, że wystawnego życia Radziwiłła nie brał tak tragicznie, jak surowy Skarga, czy też, że przez czas i późniejsze zasługi Jerzego dla Kościoła zatarły się ujemne wrażenia z okresu rzymskiego, a pozostały tylko dodatnie, żywo i serdecznie wspomina bliskie stosunki, jakie go łączyły z Radziwiłłem w czasie tegoż pobytu w Wiecznem Mieście:

„Przed 24 prawie laty zacząłem tego znakomitego księcia, pisał Bellarmin po śmierci Jerzego do Sierotki, szanować i czcić, owszem lubieć i kochać, a wiedziałem, że i on mnie bardzo miłował, gdy codzień wykładów moich słuchał, prawie stale do mszy św. służył, często odwiedzał, a jeszcze częściej przeze mnie był odwiedzany".[4])

Raz tak serdecznie zawiązane stosunki między profesorem i uczniem przetrwały do śmierci tegoż ostatniego.

[1]) Listy Ks. P. Skargi. list. 46, str. 85: Skarga Everardo Mercuriano 12 Martii 1577.

[2]) tamże list. 53, str. 95. Skarga Everardo Mercuriano 9 Octobris 1577.

[3]) *Theiner: Annales ecclesiastici* t. II, p. 211.

[4]) *Epistolae familiares*, ep. VII, p. 18. Nicolao Chrisphoro Radzivilio, a. 1600 (bez dokładnej daty).

Wprawdzie nie znalazłem żadnych śladów ich wzajemnej korespondencji, spotkali się jednak w każdym razie jeszcze przynajmniej dwa razy ze sobą. W r. 1591 Kardynał Jerzy zjeżdża do Rzymu na konklawe po śmierci Grzegorza XIII. Bellarmin przebywał wtedy we Frascati, willi pod Rzymem. Schronił się tam, by wykończyć trzeci tom *Kontrowersyj*. Radziwiłł zaraz po wyborze Innocentego IX nalegał na Generała Zakonu Klaudjusza Aquaviwę o odwołanie Bellarmina do Rzymu, by mógł się z dawnym profesorem i przyjacielem zobaczyć. Bellarmin jednak nie chciał opuścić Frascati, prosi przeto Generała o wytłumaczenie i przeproszenie Kardynała Jerzego. Powodem tej niespodziewanej odmowy była obawa przed nominacją na kardynalstwo; Innocenty IX bowiem zaraz po wyborze chciał Bellarmina godnością tą odznaczyć i tylko usilne nalegania i prośby Generała Aquaviwy sprawiły, że papież spełnienie swych zamiarów odłożył do następnego konsystorza.[1]) Konsystorz ten jednak nie doszedł nigdy do skutku, bo Innocenty w kilka tygodni po wyborze umiera. Radziwiłł zostaje na drugiem konklawe i dopiero 1592 r. opuszcza Rzym,[2]) miał więc dość czasu do zobaczenia się z Bellarminem.

Upływa lat ośm; dawny profesor zostaje jego kolegą w kardynalskiem kolegjum i już jako purpurat wita Radziwiłła, który w r. 1599 przybył do Rzymu na otwarcie jubileuszu, by już więcej do Ojczyzny nie wrócić. Przy otwarciu Świętej Bramy zasłabł i po miesiącu, 21 stycznia 1600 roku umarł. Przy śmierci Jerzego było obecnych czterech jezuitów, w tem dwu Polaków: OO. Albert Czerniakowski i Fryderyk Szembek,[3]) a Kardynał Bellarmin oddał uczniowi swemu i przyjacielowi ostatnią przysługę, odprowadzając jego zwłoki na miejsce wiecznego spoczynku do kościoła al Gesu. Żal swój po stracie przyjaciela wyraził w liście do brata zmarłego, Księcia Mikołaja Krzysztofa.[4])

[1]) Le Bachelet, op. cit. str. 315. Generał Aquaviwa do Bellarmina z Rzymu 30 listopada 1591.

[2]) *Encyklopedja Kościelna Nowodworskiego*, t. 23. str. 3.

[3]) Wielewicki: *Dziennik spraw domu OO. Jezuitów u św. Barbary w Krakowie*. t. II, str. 3.

[4]) *Epistolae familiares*, ep. VII, pag. 18. (patrz przypisek 4 str. poprzedniej).

Żeby już do Radziwiłłów nie wracać, dodaję zaraz, że i później nie zerwał z nimi Bellarmin stosunków. Książę Sierotka w lecie 1601 r. wysłał do Rzymu dworzanina Jerzego Aleksandra[1]) w celu załatwienia różnych spraw, uzyskania odpustów i przywilejów, Bellarminowi zaś przesłał kosztowne futro, prosząc go o pośrednictwo i poparcie w Kurji. Kardynał życzenia Radziwiłła spełnił i sprawy pomyślnie pozałatwiał, futra jednak w myśl stale praktykowanej zasady przyjąć nie chciał.

„Aczkolwiek uznaję — pisał — w tych darach Waszą względem mnie życzliwość i dziękuję, jako przystoi za nie, przecież postanowiłem mieć zawsze wolne ręce od wszelkich upominków i nieraz już nie przyjąłem lub odesłałem zacne dary książąt. Jeśli od tego mojego postanowienia odstępuję względem Waszej Książęcej Wysokości, to dlatego jedynie, żeby nie potrzeba było tak daleko odsyłać owego futra. Ale usilnie proszę, aby Książęca Mość, jeśli mię kocha, więcej podobnych darów już nie przysyłał, chyba że chce, bym je sprzedał i otrzymane pieniądze ubogim rozdał, co zamyślam także uczynić i z temi darami, które obecnie od Niej otrzymałem". [1])

Drugim wybitnym uczniem Bellarmina był kardynał Bernard Maciejowski. W r. 1582 udaje się na studja do Rzymu i u jezuitów słucha teologji, a między innymi profesorami i Bellarmina. Po powrocie do kraju 1588 r. zostaje biskupem łuckim. Gdy Kardynał Jerzy Radziwiłł obejmował w trzy lata później katedrę krakowską, król Zygmunt III pragnął Maciejowskiemu oddać rządy diecezji wileńskiej, nie zgodziła się jednak na to wileńska kapituła, nie chcąc koroniarza mieć biskupem. Czekał przeto Maciejowski jeszcze dziewięć lat na zaszczytniejszą katedrę. Była nią krakowska, osierocona po śmierci Radziwiłła. Bellarmin dowiedziawszy się o wyborze Maciejowskiego na pasterza tej stolicy od papieskiego dworzanina, który doniósł mu o tym fakcie, zasyła Maciejowskiemu życzenia.

„Wielce ucieszył mię P. Bartłomiej, dworzanin Jego Świątobliwości, dając znać, żeś został wybranym biskupem krakow-

[1]) Nazwiska owego posłańca Radziwiłłowskiego nie zdołałem na pewno ustalić. Możliwe, że jest to towarzysz Księcia Sierotki z peregrynacji do Ziemi św. Jerzy Aleksander Skorulski.

[2]) *Epistolae familiares*, ep. XIV: Nicolao Chr. Radzivilio 26 Septembris 1600.

skim. Spodziewam się bowiem, że wyjdzie to na wielką chwałę Bogu i pożytek Kościoła, a Ty znajdziesz najszersze pole, na którem będziesz mógł wyzyskać wspaniałe, dawniej już otrzymane dary Ducha Św. Kto wie, czy nie to właśnie było przyczyną, czemu Opatrzność Boska nie chciała Ci otworzyć dostępu na biskupstwo wileńskie, ażeby Cię właśnie zachować na obecną potrzebę. Winszuję Ci więc tego nowego przyrostu zaszczytów, lecz bardziej jeszcze kościołowi krakowskiemu i całemu Królestwu polskiemu winszuję". [1])

Mniej więcej w rok później Maciejowski prosi Bellarmina o wyjednanie u Ojca św. pozwolenia dla Piotra Ziemackiego, by mógł otrzymać święcenia kapłańskie i objąć katedralne godności. Ów Piotr Ziemacki był wedle Niesieckiego [2]) pisarzem grodzkim krakowskim, a potem kanonikiem. [3]) Bellarmin poruczoną sobie sprawę załatwił pomyślnie, a oznajmiając o tem Maciejowskiemu, donosi mu o swej nominacji na arcybiskupstwo w Kapui. [4]) Ton listu bardzo serdeczny i przyjacielski.

Ten sam charakter mają dwa wzajemne listy Bellarmina i Maciejowskiego z r. 1605. [5]) Maciejowski otrzymał biret kardynalski, wybierał się przeto po kapelusz i z podziękowaniami *ad Limina.* Zanim mógł wyjechać, umarł Klemens VIII. W liście do Bellarmina wyraża swój smutek z powodu tego zgonu, żal, że nie mógł być na konklawe i zapowiada przyjazd do Wiecznego Miasta po przejściu największych upałów. Nie doszedł jeszcze zapewne list ten do Bellarmina, a znowu umiera Leon XI, z nowego zaś wyboru wychodzi Paweł V. Donosząc w odpowiedzi Maciejow-

[1]) *Epistolae fam.* ep. XVIII, p. 46. Eppo Cracoviensi electo (bez daty).

[2]) Niesiecki: *Herbarz Polski* (wyd. Bobrowicza, Lipsk 1845) t. X. str. 168.

[3]) Dlaczego Piotr potrzebował aż z Rzymu pozwolenia na przyjęcie święceń, nie wiem; możliwe, że albo był świeżym konwertytą, albo może sprawowanie urzędu sędziowskiego ściągnęło nań przeszkodę kanoniczną. Czy ten Piotr W. Ziemacki jest identycznym z Wojciechem Ziemeckim, kanonikiem krakowskim, zmarłym w r. 1603, trudno dojść, zresztą sprawa ta z naszym tematem nie ma związku. Łętowski. Katalog biskupów... t. IV. str. 315.

[4]) *Epistolae familiares,* ep. XXV. p. 61. Eppo Cracoviensi 16 Maii 1602.

[5]) Teki Le Bachelet'a: Maciejowski do Bellarmina 17 kwietnia 1605 (teka 3. fol. 68); Bellarmin do Maciejowskiego 6 czerwca 1605 (Teka 3, fol. 18, minuta autogr.)

skiemu o nowym elekcie i o nadziejach, jakie w kolegjum kardynalskiem przywiązują do nowego papieża, Bellarmin zaprasza biskupa krakowskiego do Rzymu, z pewnym delikatnym naciskiem na konieczność przyjazdu i naznacza termin jesieni, poza którą nie należy wyjazdu odkładać.

Rostowski *w Historji jezuitów na Litwie,* pisząc elegjum pośmiertne Marcinowi Szyszkowskiemu, biskupowi łuckiemu, opowiada, że „młodość swą przeważnie w szkołach zakonu przez lat przeszło dziesięć przepędził; w Rzymie za profesora wymowy miał Franciszka Benci, teologji zaś Roberta Bellarmina; im to wiedzę swą, o której rozległości można się przekonać z pism Marcina, zawsze z wdzięcznością przypisywał". [1]) Nie zapomniał o uczniu swym i Bellarmin. Gdy w r. 1604 Szyszkowski został biskupem łuckim po śmierci Gomolińskiego, Kardynał przysyła mu życzenia i swój włoski większy katechizm, który Szyszkowski chciał przełożyć na język polski i łaciński.

„Książeczkę nauki chrześcijańskiej króciuchną, zastosowaną do pojęć dzieci, a drugą nieco obszerniejszą dla nauczających, napisałem z rozkazu papieża, nietyle w nich szukając wytworności czy popisywania się nauką, ile krótkości i jasności... Rzecz to błaha, prawie dziecinna, ale nie bezpożyteczna; dlatego można ją już czytać po francusku i hiszpańsku, a jeśli za staraniem Przewielebności Waszej po łacinie i po polsku jeszcze czytaną będzie, niemało przybędzie jej powagi". [2])

Uczniem Bellarmina był również i Benedykt Woyna, biskup wileński. Woyna, następca Jerzego Radziwiłła na katedrze wileńskiej, prosił Kardynała, jako dawnego swego profesora, [3]) o poparcie u papieża sprawy zatwierdzenia jego wyboru na biskupstwo. Tym razem interwencja Bellarmina nie była potrzebną, sprawa nie natrafiała na żadne przeszkody. Bellarmin w odpowiedzi składa Woynie jedynie życzenia owocnej dla dobra dusz pracy pasterskiej. [4])

---

[1]) Rostowski loc. cit. p. 288, n. 43.

[2]) *Epistolae familiares,* ep. XXXVII, p. 86. Eppo luceoriensi a. 1605 (bez daty). Szyszkowski rzeczywiście przełożył Katechizm Bellarmina, ale tylko na język łaciński; Estreicher, t. XII, str. 447, (Brown: *Bibljoteka Pisarzów Asystencji Polskiej* T. J. str. 437). Wyszły i polskie przekłady pióra innych autorów.

[3]) Rostowski, loc. cit. p. 240, n. 22.

[4]) *Epistolae familiares,* ep. III, p. 9; Eppo Vilnensi 13 Julii 1600.

Niespełna w dwa miesiące później pisze Bellarmin drugi list do Woyny, życzliwy, ale poważny, w którym wzywa Biskupa do gorliwej i energicznej pracy nad diecezją. Pochwala zamiar założenia we Wilnie kolegjum dla Rusinów,[1]) przypomina mu jednak rzeczy ważniejsze i pilniejsze, a mianowicie naprawę stosunków panujących w diecezji w myśl „memorandum", zostawionego przez opata Aleksandra Komulovica po odbytej przez niego wizytacji.

Nadzieja, że słowianin prędzej dogada się i porozumie ze współplemieńcami, skłoniła papieża Klemensa VIII do wysłania na wschód i do Moskwy w celach unji antytureckiej wizytatora łacińskich kościołów Turcji europejskiej A. Komulowica. W powrotnej drodze z Moskwy otrzymał Komulowic od nuncjusza Malaspiny rozkaz odbycia kanonicznej wizyty w diecezji wileńskiej. Rozkaz ten spełnił, a na wyjezdnem zostawił kapitule i administratorowi, którym był Woyna, szereg uwag i postanowień, wróciwszy zaś do Rzymu, złożył obszerny memorjał o stanie diecezji.[2]) Bellarmin czy z memorjału czy też na podstawie bezpośrednich relacyj Komulowica znał dobrze stan wileńskiej diecezji jak i postanowienia, zostawione przez wizytatora, nie zaniedbał przeto otwarcie przypomnieć ich Woynie.

„Dowiedziałem się od opata Komulowica... — pisze — że przed laty uchwalono bardzo pożyteczne dekrety i w tym (wileńskim) kościele je złożono. Rozumie Wielebność Wasza sam, choćbym milczał, jak konieczną jest rzeczą dla dobrego rządu Kościoła, aby te pożyteczne dekrety weszły w życie. Tę uważałem za stosowne napisać teraz, niedlatego jakobym chociaż w najdrobniejszej mierze nie wierzył Twej pasterskiej czujności, lecz ażeby Przewielebność Wasza, co sam chętnie uczyni spełnił jeszcze chętniej za moją zachętą i pochwałą". [3])

Przytoczyliśmy ten urywek z listu Bellarmina, ponieważ w nim przebija się jego gorliwość o dobro Kościoła i dusz, połączona z taktem i umiarem w dążeniu do tego celu.

---

[1]) Dom a Guépin: *Un Apotre de l'union des Églises au XVII s.* Paris, H. Oudin, 1897. Introduction p. CLVII.

[2]) Pierling: *La Russie et le St. Siège,* t. II, p. 331—360.

[3]) *Epistolae Familares,* ep. V, p. 13: Eppo Vilnensi, 8 Septembris 1600.

Wymienieni dostojnicy polskiego kościoła nie wyczerpują listy Polaków, uczniów Bellarmina. Prawdopodobnie był nim także i Maciej Pstrokoński, biskup przemyski, a później kujawski. Łubieński, biograf Pstrokońskiego, podaje, że bawił on w Rzymie w latach profesury Bellarmina,[1]) trudno więc przypuścić, by w okresie w którym wybitne indywidualności profesorskie tak po stronie katolickiej jak i protestanckiej ściągały tłumy słuchaczów, Pstrokoński przynajmniej dorywczo, dla samej ciekawości nie słuchał wykładów sławnego kontrowertysty. W każdym razie kiedyś jakieś zbliżenie między nimi musiało nastąpić, skoro w r. 1601, jako nominat na katedrę przemyską, zwraca się Pstrokoński do Bellarmina z prośbą o poparcie zatwierdzenia nominacji u papieża, a zarazem o przywilej zatrzymania jednego z beneficjów.[2]) Bellarmin w odpowiedzi oświadcza, że sprawa potwierdzenia nominacji poparcia nie potrzebuje, jako że dojrzałość króla w mianowaniu biskupów jest tak wielka, iż nie zachodzi niebezpieczeństwo, by jego kandydata papież nie potwierdził. Zatrzymanie atoli beneficjum, ponieważ wymaga ono osobistej rezydencji, napotyka na trudności, lecz w tej sprawie obiecuje poczynić pewne kroki, o ile sprawiedliwość i sumienie pozwoli — „quantum iustitia et conscientia patientur".[3])

3. Uczniów Bellarmina wśród episkopatu i polskich dygnitarzy kościelnych było zapewne znacznie więcej, niż wymieniliśmy, bo wyjazdy na studja do Rzymu w tym czasie są częste, Przez nich to rozchodziła się sława wielkiego profesora, zanim zajaśniała w całej pełni przez wydanie *Kontrowersyj*. Że była ona niemałą, świadczą polemiki, jakie się toczą i u nas około jego osoby i jego pism,[4])

[1]) *De ortu, vita et morte Matthiae de Buzenin Pstrokoński... Regni Supremi Cancellarii et eppi Vladislaviensis.* Varsoviae in officina J. Rossowski S. R. M. Typographi A. D. 1631, str. 19 (egz. Biblj. Jagiel.)

[2]) Najprawdopodobniej probostwo gnieźnieńskie. Niesiecki, op. cit. t. VII, str. 365.

[3]) Teki Le Bachelet'a, teka 5, fol. 112, bruljon autografu: Bellarminus Eppo Premisielni 24 Januarii 1601.

[4]) Polemiki teologiczne, jako nie należące do tematu, pomijamy, polemikę o osobę Bellarmina, interesującą ze stanowiska historji kul-

świadczą też starania o sprowadzenie Bellarmina do Polski.

Bezpośrednim powodem, który sprawę tę wysunął i aktualną uczynił, były interpelacje z Rzymu o heretyków włoskiego pochodzenia, przebywających na dworze Batorego. Widziano w Rzymie niekonsekwencję między katolickiemi przekonaniami Króla a utrzymywaniem różnowierców. Nuncjusz Bolognetti wysłał do Rzymu pod datą 23 kwietnia 1583 r. długi memorjał, wyczerpująco zdający sprawę z zachowania się włoskich wygnańców: Buccelli, Michała Brutto, Simona Simoniusa, Fausta Socina i innych.[1])

Memorjał ten wywołał wspomnianą interpelację, zwróconą do króla Stefana. Batory tłumaczył się Nuncjuszowi, że toleruje na dworze różnowierców i pozwala im nawet na małżeństwa z katoliczkami tylko dlatego, aby ich w ten sposób sprowadzić zpowrotem do Kościoła. By zaś cel ten skuteczniej i prędzej dało się osiągnąć, prosi papieża o przysłanie do Polski Toleta i Bellarmina.[2]) Nuncjusz zdał sprawę z rozmowy z Królem i doniósł o jego prośbie, gdy jednak nie nadchodziła pozytywna odpowiedź, a Król nalegał, nuncjusz Bolognetti wysyła znowu list do sekretarza stanu kardynała di Como z przypomnieniem sprawy, tym razem wymieniając już tylko Bellarmina.

Jego Królewska Mość znowu nalegał na mnie — pisze Nuncjusz — i to usilniej niż kiedykolwiek, bym prosił Ojca św., ażeby polecił posłać Królowi O. Bellarmina zaraz po mojem przybyciu do Rzymu. Ponieważ J. K. M. przypuszcza i pragnie, aby rzeczony Ojciec koniecznie mógł przybyć do Warszawy na czas Sejmu z powodu rzeczywistej korzyści, której podówczas można się spodziewać, a czas zwołania sejmu nie powinien przekraczać terminu przyszłego października, przeto postanowiłem uprzedzić o tem listownie, bo widzę, że J. K. M. życzy sobie stanowczo, aby w tej sprawie stało się zadość jego woli. Już nawet nie mogę ani wspominać o heretykach na Jego dworze, aby nie przypominał mi zawsze tego samego... Widząc tedy, że ten monarcha takie ma upodobanie w rzeczy tak pożądanej nawrócenia here-

---

tury, rozpatrzymy na końcu, mówiąc o stosunkach jego z polskimi jezuitami.

[1]) Theiner: *Annales Ecclesiastici*, t. III, p. 727—733. Teki rzymskie P. A. Um. Akta Bolognetti'ego. t. IV, Bolognettus Card. Sabello.

[2]) Theiner, op. cit. p. 757. Le Bachelet op. cit. p. 140, nota 1.

tyków, ufam, że Jego Świątobliwość poleci, aby bez względu na jakiekolwiek trudności, życzeniu Króla stało się zadość przez przysłanie jakiejś wybitnej osobistości, jeśli nie O. Bellarmina, to przynajmniej O. Tuccio Sycyljanina, którego tu bardzo zalecają, lub kogoś podobnego, choć J. K. M. upiera się przy Bellarminie; a kiedy usprawiedliwiałem zwłokę uwagą, że prawdopodobnie ów Ojciec był bardzo potrzebnym w Rzymie, będąc mężem znamienitym, odpowiedział mi Król J. M.: właśnie dlatego, że jest mężem tak wybitnym, mam powód proszenia o niego, bo go bardzo potrzebuję". [1])

Ostateczny wynik starań Batorego był ujemny, papież nie zgodził się na wysłanie Bellarmina.

4. Równie wysoko cenił go i Zygmunt III. Czci swej dla Kardynała nieraz dał wyraz w listach i często zwracał się doń z prośbą o pośrednictwo w różnych sprawach osobistych czy też kościelnych.

Jeszcze za życia Baronjusza (t. zn. przed r. 1607) posłał Król do Kongregacji Obrzędów lekcje brewjarzowe o świętych patronach Szwecji do zatwierdzenia. [2]) Lekcje te dostał w swoje ręce Baronjusz, pokreślił je mocno i pozmieniał, i dopiero tak poprawione otrzymały potwierdzenie Kongregacji. Król ze zmian tych nie był zadowolonym, nie odpowiadały, jak powiada, dawnym tradycjom, odesłał je przeto po kilku latach zpowrotem do Rzymu przez kapelana swego Macieja Montanusa, [3]) z ponowną prośbą o zatwierdzenie pierwotnej redakcji, a o poparcie zwrócił się do Bellarmina. [4]) Kardynał osobiście polecił sprawę kierownikowi Kongregacji, ta zaś odesłała mu ją zpowrotem do zreferowania i zaopinjowania. [5]) Mając już teraz sprawę od-

[1]) Theiner, loc. cit.

[2]) Lekcje pacierzy kapłańskich o świętych są to poprostu krótkie żywociki.

[3]) Coby to był za Górski, niepodobna dojść, tak że podejrzywam fałszywy odpis. Żadnego Macieja Górskiego, czy Góreckiego, czy Montanusa w źródłach znaleźć nie mogłem. Król w liście nazywa go: Capellanum nostrum, sacerdotem egregia pietate eruditioneque praeditium.

[4]) Carte Cerviniane 54/207, kopja Zygmunt III do Bellarmina z Rzymu 1616 r. (Teki Le Bachelet'a).

[5]) Valicella k. 9, n. 7, folio 82 Bellarmin do Kongregacji Obrzędów. (Teki Le Bachelet'a).

daną sobie całkowicie, Kardynał załatwia ją po myśli Króla. Dodatki Baronjusza zostały odrzucone, w tekście nadesłanym z Polski Bellarmin zmienił kilka zaledwie słów i tak ustalony i zatwierdzony tekst odesłał Królowi z pozwoleniem na druk.[1])

Inny, chronologicznie najbliższy poprzedniemu list z r. 1618 przynosi dość ważny dla charakterystyki Króla szczegół. Nietolerancja religijna Zygmunta III nie musiała znowu być tak wielką, skoro w osobnym liście usilnie prosił Bellarmina o wstawiennictwo u papieża za pewnym heretykiem, więzionym przez Kongregację św. Oficjum. Nazwiska tego heretyka Fuligatti niestety nie podał, wstawiając rozmyślnie literę *N.* W podobny sposób postąpił i w kilku innych wypadkach, sądząc widocznie, że zbyt one świeże jeszcze, by można było wszystkie nazwiska ogłaszać.[2]) Bellarmin usprawiedliwiając się, że w tych sprawach ostateczna decyzja zależy tylko od papieża, uspakaja Króla i oznajmia mu, iż ów *N.* został już wypuszczony z więzienia, przebywa w klasztorze karmelitów i jest nawet nadzieja odwołania przez niego błędów.[3])

Sprawy potwierdzenia nominacji biskupów polskich na różne katedry były częstym przedmiotem wzajemnej korespondencji Zygmunta III i Bellarmina. I tak w r. 1614 poleca Kardynałowi wyjednanie zatwierdzenia nominacji Jana Andrzeja Pruchnickiego, biskupa kamienieckiego, na katedrę lwowską i zatrzymanie przez tegoż z powodu wielkiego zniszczenia majątków biskupich w archidiecezji lwowskiej sieciechowskiego opactwa.[4]) W r. 1620 o to samo prosi dla Jana Wężyka, nominata przemyskiego,[5]) a na krótko

[1]) Carte Cerviniane. 54/209; kopja bardzo niedokładna i zniszczona (Teki L. B.): Bellarmin do Zygmunta III z Rzymu 1 czerwca 1616 r.

[2]) Le Bachelet nie znalazł autografu tego listu, więc nie można i tą drogą dojść, za kim Król się wstawiał.

[3]) *Epistolae familiares,* ep. CLII p. 346: Bellarminus Sigismundo III R. P.

[4]) Carte Cerviniane, 54/205, kopja (Teki L. B.): Zygmunt III do Bellarmina 16 sierpnia 1614 r.; Bellarmin do Zygmunta III 17 października 1614.

[5]) *Epistolae familiares,* ep. CIXIII p. 370: Sigismundo III R. P. 17 Februarii 1620.

przed śmiercią Bellarmina, w przededniu prawie wojny tureckiej, liczy na jego interwencję u Grzegorza XIV, w celu uzyskania pomocy na wojnę.[1])

Kilka innych listów łączy się z wydaniem w r. 1619 i poświęceniem dziełka: *De officio Principis Christiani*[2]) królewiczowi Władysławowi. Oprócz samej dedykacji, zamieszczonej w książce, wysłał Bellarmin listy do Króla[3]) i Królewicza,[4]) w których motywuje dedykację tak zasługami obu względem Kościoła i religji, jak i względem zakonu.

„Przyczyną dlaczego Tobie przedewszystkiem, Najdostojniejszy Władysławie, książkę tę poświęciłem, było, że ty jeden tylko w pierwszej już młodości, jakbyś był starym wodzem, wojskami mądrze kierujesz, wojny ciężkie sprężyście prowadzisz i spełniasz wszystkie obowiązki roztropnego monarchy. I nie dziwić się temu, skoro Cię Opatrzność Boża wybrała i powołała nie na rządzenie jednem tylko królestwem, ale na zdobycie wielu naraz i to bardzo wielkich, a potem na kierowanie niemi. Na Ciebie bowiem czeka rozległe Królestwo Polskie, Tobie prawem dziedzictwa należy się Królestwo Szwecji; ono niesprawiedliwie Ci wydarte, w swoim czasie jako właściwemu dziedzicowi odda Bóg, sędzia sprawiedliwy i Pan królów ziemi. Twojem wreszcie jest na podstawie wyboru księstwo Moskwy, które jakoby ogromne królestwo rozciąga się od północy na wschód przez niezmierzone krainy. Ciebie więc, umieszczonego jakby w przedsionku królestw i przygotowanego do sprawowania świętych i pobożnych rządów nietylko naukami, ale i przykładem przesławnego Rodzica, ja starzec i kapłan chciałem w dobrem utwierdzić — nie moją mądrością, bo ta bardzo marna jest, ale prawdziwemi i najświętszemi wyrokami Bożego Prawa".[5])

Teoretyczne wskazania z księgi pierwszej „*De Officio Principis Chr.*" ilustrują zawarte w księgach drugiej i trzeciej przykłady świętych i pobożnych monarchów lub książąt. Wśród nich daje Bellarmin na końcu krótki żywot św.

---

[1]) *Epistolae familiares,* ep. CLXXXVI p. 346, Sigismundo III 22 Julii 1621.

[2]) *De officio Principis Christiani,* libri tres auctore Roberto S. R. E. Card. Bellarmino e S. J. ad Sereniss. Principem Vladislaum Sigismundi III Poloniae et Sueciae Regis Filium. Coloniae Agrippinae apud Joannem Kinchium sub Monocerote. Anno 1619). Cum licentia et Superiorum permissu.

[3]) *Epistolae Fam.,* ep. CLVII p. 358: Sigismundo III. a 1619.

[4]) tamże ep. CLVIII p. 359. Vladislauo Sig. III. R. Filio 26 Februarii 1619.

[5]) Dedykacja książki: *De Officio Principis Christiani.*

Kazimierza (na podstawie Grzegorza Święcickiego. 1604). Zrobił to tendencyjnie, a myśl, która nim kierowała, tak ujmuje w zakończeniu dedykacji:

„Szczęśliwie się zdarzyło, że najbliższym naszemu wiekowi z pośród świętych książąt jest Kazimierz, którego Ojciec św. Leon X w poczet świętych policzył. Ten święty młodzieniec, ponieważ był synem króla polskiego, jak Ty nim obecnie jesteś, i ponieważ sławny wielu wspaniałemi cnotami, krótką ścieżką do nieba doszedł, może dla Ciebie stać się odpowiednim mistrzem życia i obyczajów. Jeśli jego śladami pójdziesz dalej, jak to czynisz teraz, nic Cię nie potrafi sprowadzić z drogi prawdziwej pobożności i sprawiedliwości". [1])

Zaraz po otrzymaniu książki i listu dedykacyjnego Władysław podziękował Bellarminowi za ten wielki dowód życzliwości i przyjaźni. [2])

5. Reszta znanych nam listów Kardynała, pisanych do Polaków, ma podobnie jak i poprzednie, treść bardzo rozmaitą. Widać z nich, że interesował się sprawami Polski, a zwłaszcza, co jest zupełnie zrozumiałem, sprawami kościelnemi. Jeszcze jako profesor Gregorjanum zabierał głos w dyskusji kalendarzowej i w staraniach, by zreformowany kalendarz został przyjęty także przez Rusinów. [3]) Znał, jak widzieliśmy, wielu biskupów polskich, tak uczniów swych jak i starszych, którzy raz po raz zjeżdżali do Rzymu (np. Rozdrażewskiego), [4]) odbierał od nich gratulacje po wyniesieniu swem na godność kardynalską. Wśród całej masy listów gratulacyjnych wyróżnia się, mogący nawet służyć za wzór literacki, długi list sędziwego Prymasa Karnkowskiego. [5]) Również i Bellarmin przy różnych okolicznościach pisał do Polski listy gratulacyjne. Jąnowi Tarnowskiemu np., biskupowi włocławskiemu składa życzenia,

[1]) Dedykacja z książki: *De Officio Principis Christiani.*

[2]) Carte Cerviniane 54/208 (Teki L. B.) Władysław do Bellarmina 6 czerwca 1619.

[3]) Pierling op. cit. 224 i nast; Załęski: *Historja Jezuitów w Polsce* t. I, str. 330.

[4]) *Epistolae Familiares,* ep. IV, p. 11, Eppo Vladislaviensi 18 Jan. 1600. Wspomina o swych rozmowach z poprzednikiem Tarnowskiego, Rozdrażewskim i z nuncjuszem Aldobrandinim, późniejszym Klemensem VIII.

[5]) Archivum Postul. Bell. 6, kopja z autogr. (Teki L. B.): Karnkowski do Bellarmina z Łowicza 21 czerwca 1599 r.

po zatwierdzeniu tegoż na tę godność przez papieża,[1]) a w dwa lata później (1602) przeprasza go, że nie mógł zająć się osobiście poleconymi mu przez Tarnowskiego sprawami, ponieważ mianowany arcybiskupem Kapui, opuścił Rzym i przeniósł się do swojej diecezji.[2]) Dymitrowi Solikowskiemu dziękuje za gratulacje z powodu wyniesienia do godności kardynalskiej i obiecuje opiekę nad synowcem, prawdopodobnie Wojciechem Solikowskim.[3]) — Opat z Trzemeszna, Wojciech Mieliński (1584—1621), przyjaciel i dobrodziej poznańskich jezuitów, otrzymawszy potrzebne papiery od prymasa Karnkowskiego, wybrał się z końcem 1601 r. do Rzymu. Głównym celem podróży było otrzymanie zatwierdzenia od Klemensa VIII wszystkich przywilejów i praw opactwa.[4]) Przybycie Mielińskiego do Rzymu poprzedziły listy jego własne do Generała zakonu i do Bellarmina, a także listy polecające jezuity Rogériusa. W drodze opat zachorował i musiał zatrzymać się w Padwie. Pisze tam do niego list Bellarmin, dziękując za życzliwość dla polskich współbraci i zasyłając życzenia rychłego powrotu do zdrowia.[5])

Szczerym, samorzutnym objawem czci, jaką żywili katolicy do Bellarmina, jest list wojewody brzesko-kujawskiego, Jana Gostomskiego, gorliwego po nawróceniu katolika. Po śmierci generała Aquaviwy, na wybór nowego wyjechał do Rzymu z dwoma innymi jezuitami polskimi, także i Mikołaj Łęczycki. Korzysta z tej sposobności wojewoda, wielki jezuitów przyjaciel i posyła przez Łęczyckiego Bellarminowi list z pięknym różańcem, aby gdy będzie się na nim modlił, pamiętał przed Majestatem Pańskim o grzeszniku Gostomskim,[6]) Kardynał dziękuje w odpowiedzi i odwza-

[1]) patrz przyp. 4 strony poprzedniej.

[2]) *Epistolae Familiares*, ep. XXIV, p. 59: Eppo Vladislaviensi 7 Maii 1602.

[3]) tamże ep. IX, p. 23: Eppo Leopoliensi 25 Februarii 1600; Niesiecki, t. VIII, str. 455.

[4]) Ks. Dr. Łukowski: *Archiwum Trzemeszeńskie, Roczniki Tow. Przyjaciół Nauk, Poznań.* 1882, r. XI. str. 363 i 406.

[5]) *Epistolae Familiares.* ep. XXVIII: Bellarmin do opata z Trzemeszna 6 stycznia 1602.

[6]) Volumina Iurium fol., 51 (Teki L, B.): Gostomski do Bellarmina 9 września 1615.

jemnia się ostatniem swem dziełkiem: „*De felicitate sanctorum*“,[1]) List ten jest charakterystycznym dla poznania psychiki Kardynała, a mianowicie tej dziwnej i rzadkiej harmonji pokory z pełną świadomością swego znaczenia i powagi.[2])

Wybór Pawła V (1605) na stolicę papieską odbił się echem także i w korespondencji Bellarmina. Szymon Rudnicki, biskup warmiński, niewiadomo z jakiego powodu, zaniepokoił się, czy nowy papież będzie miał dość zrozumienia dla potrzeb jego diecezji, pisze więc list do Bellarmina, by zasięgnąć u niego informacyj. Kardynał uspakaja jego obawy:

„Lubo największe troski w staraniu o wszystkie kościoły codziennie cisną i znoją dobrego papieża, przecież obok innych ta najbardziej jego serce przejmuje, jakby mógł oczyścić wreszcie kraje północne z tylu różnorodnych herezyj... Nie powinna zatem Dostojność Wasza powątpiewać, jakoby potrzeby Kościoła warmińskiego nie leżały na sercu papieżowi albo nam wszystkim, którzy wydaliśmy się na jego usługi. Żegnaj najlepszy Biskupie i w ślady wielkiego owego Hozjusza, oraz innych poprzedników Twoich, biskupów warmińskich wstępuj“.[3])

Inaczej zareagował na wybór Pawła V Jan Andrzej Pruchnicki, podówczas kanonik krakowski, przebywający od kilku lat, jako poseł na dworze króla hiszpańskiego w Hiszpanji i Neapolu.[4]) W liście do Bellarmina wyraża żal, że nie on, Kardynał, został wybrany papieżem.[5]) Bellarmin nie podzielał pragnień Pruchnickiego. Całą duszą odwracał się od samej myśli piastowania najwyższego w Kościele urzędu i całą duszą modlił się do Boga o odsunięcie tego „nieszczęścia“.[6])

---

[1]) *De aeterna felicitate sanctorum, Romae 1616.*

[2]) *Epistolae Familiares* ep. CXXXI, p. 301: Palatino Inovladislaviensi 9 Martii 1616.

[3]) tamże, ep. XLIII, p. 97: Eppo Varmiensi, Calendis Octobris 1605.

[4]) Niesiecki, t. VII, str. 500.

[5]) Na wybór ten rzeczywiście się zanosiło. Jeśli nie stał się faktem, to najpierw dlatego, że Bellarmin był Jezuitą, a powtóre, że nie lubił polityki i zdolności w tym kierunku nie okazywał. Raitz v. Frentz loc. cit. str. 157.

[6]) *Epistolae Familiares,* ep. XL, p. 91: Joanni Andrae Pruchnicio, 15 Junii 1605.

Półtora miesiąca później (5 sierpnia 1605 r.) pisze Bellarmin drugi list do Pruchnickiego, tym razem już nie w sprawie osobistej. Po śmierci Jana Zamoyskiego zaczęto rozszerzać fałszywe, uwłaczające czci Wielkiego Kanclerza pogłoski. Pruchnicki prosił Bellarmina o interwencję w celu poskromienia oszczerców. Kardynał wziął sobie sprawę tę szczerze do serca. Nie wiedział nic o owych bajkach, bo nigdy nie czytuje głupstw i kłamstw tych ludzi, „którzy tydzień w tydzień rozsiewają po mieście wszystko, co robią lub mówią wybitni mężowie". Oburzony do głębi uwłaczaniem czci tak znakomitego męża, wezwał prefekta miasta, by skarcił plotkarzy i polecił im oszczerstwa odwołać. Pruchnickiemu jednak radzi przyczyny bajek usunąć, ponieważ nie w Rzymie one powstały, lecz w Wenecji; należałoby przeto przedewszystkiem tam interwenjować, a z Polski postarać się o prawdziwe informacje i urzędowe zaprzeczenie. [1])

Za zasługi swoje, położone w czasie spełniania wspomnianej już legacji przy dworze hiszpańskim, Pruchnicki został zamianowany przez Króla Zygmunta III biskupem kamienieckim. Na konsystorzu papieskim sprawę tę referował w lecie 1607 r. kardynał Montalto. Wobec bardzo przychylnych i korzystnych dla Pruchnickiego informacyj, zatwierdzono jednogłośnie królewską nominację. Donosząc o tem Pruchnickiemu do Neapolu, Bellarmin składa mu gratulacje, jako biskupowi kamienieckiemu. [2]) Jeszcze raz siedm lat

[1]) *Epistolae Fam.*, ep. XLI, p. 93: eidem, 5 Augusti 1605. Coby to były za bajki zniesławiające Zamoyskiego, niepodobna dojść. Najprawdopodobniej odnosiły się do jego stanowiska względem Kościoła i różnowierców. Wskazuje na to pochodzenie ich z Wenecji, gdzie właśnie wtedy mocna wrzała opozycja przeciw jezuitom, która ukończyła się wreszcie ich wypędzeniem. Prawdopodobnie ich przeciwnicy powoływali się na niechęć Zamoyskiego względem jezuitów i może rozciągali ją szerzej. Patrz: Matthaei Dresseri: *Epistola ad generosum Dom. Thomam Zamoscium Generosi Domini Joannis Zamosci... filium.* Lipsiae 1607. Chwali zmarłego Kanclerza, iż był wrogiem jezuitów i ochronił Polskę od tego nieszczęścia, jakie obecnie Wenecję spotyka. Zachęca Tomasza, by ojca naśladował. (Przedrukowany w Działyńskiego: *Collectanea do życia J. Zamoyskiego* str. 297).

[2]) Archiv. Vaticanum Mss. Jessuit. 22. epist. 64 (Teki L. B.): Bellarmin do Pruchnickiego 17 sierpnia 1607.

później zajmował się Bellarmin sprawą Pruchnickiego, wtedy mianowicie, gdy Zygmunt III użył pośrednictwa Kardynała przy staraniach o zatwierdzenie przeniesienia Pruchnickiego na stolicę lwowską, razem z zatrzymaniem opactwa sieciechowskiego (patrz wyżej).

Echa sławnego sporu o łasce (de auxiliis) doszły i do Polski, wowołując polemikę. Mimo dekretu Pawła V, który obu stronom zakazał surowo wzajemnego zarzucania sobie herezji, pojawiły się i u nas pisma, wydane przez niechętnych jezuitom dominikanów, piętnujące zdanie Moliny i towarzyszów jako heretyckie. Doniósł o tem tak Generałowi zakonu jak i Kardynałowi biskup poznański Andrzej Opaliński. Dzięki interwencji Bellarmina zainteresował się sprawą sam papież i przyobiecał przez wikarjusza generalnego dominikanów skarcić i ukarać owych wojowniczych polemistów.[1]) — Bellarmin Opalińskiego znał najprawdopodobniej osobiście, bo Andrzej jeszcze jako sekretarz w. k. bawił 1604 r. w Rzymie w poselstwie od Króla w sprawie dyspensy na małżeństwo z Konstancją, dla złożenia hołdu nowemu papieżowi i przyspieszenia beatyfikacji Stanisława Kostki.[2])

Z listów do wybitnych osobistości w Polsce, chronologicznie najpóźniejsze są trzy listy Kardynała do Wawrzyńca Gębickiego, włocławskiego biskupa, a potem prymasa. Znali się obaj osobiście. Poznali się jednak nie w Rzymie, lecz w Neapolu. Było to zapewne w latach od 1594 do 1597, kiedy Bellarmin przebywał w tem mieście, jako przełożony neapolitańskiej prowincji; a Gębicki bawił we Włoszech w poselstwie do Klemensa VIII i wrócił do kraju dopiero 1599 r.[3]) Biskup włocławski, opierając się na tej znajomości, gdy wysłał do Rzymu w r. 1615 synowca

[1]) *Epistolae Familiares,* ep. LXXXIII, p. 185: Andrae Opaliński eppo Posnaniensi 29 Januarii 1611. Zresztą sprawa ta nie była nową w r. 1611, albowiem już w r. 1600 w długim memorjale do Klemensa VIII skarżyli się jezuici na dominikanów polskich o rozszerzanie fałszywych wieści, jakoby nauka jezuitów o łasce została potępioną. Roma, Biblioth. Angelica, ms. 861, p. 206—208. (Teki L. B.)

[2]) Załęski loc. cit. t. I. str. 682.

[3]) *Encyklop. Kość. Nowodworskiego* t. VI, str. 156; Raitz v. Frentz op. cit. str. 89.

swego Piotra, wtedy jeszcze kanonika krakowskiego (później został biskupem przemyskim, wreszcie krakowskim) z relacją o stanie diecezji włocławskiej, dał mu także i list do Bellarmina. Poleca w nim Piotra opiece Kardynała, a zarazem wyraża szczery podziw dla pisarskiej i naukowej jego działalności. [1]) Nie zapomniał także i Bellarmin o znajomym Polaku z Neapolu; po każdym liście Gębickiego odpisuje mu serdecznie, a gdy na krótko przed śmiercią dowiedział się o zamianowaniu Gębickiego prymasem i o jego gorliwości w pasterskich obowiązkach (synody: diecezjalny w Łowiczu 1620 r. a prowincjonalny w Piotrkowie 1621 r.) gratuluje mu tego zaszczytu. Nastrój listu poważny, ascetyczny, czuć w nim przeczucie bliskiej śmierci, stąd przejęty oderwaniem od ziemi i jej spraw a myślą o życiu przyszłem. [2])

---

[1]) *Epistolae Familiares,* ep. CXXVII, p. 286: Laurentio eppo Vladislaviensi 12 Decembris 1615.

[2]) tamże. ep. CLXXXII, p. 412: eidem 30 Martii 1621.

(Dok. nast.)

Ks. Stan. Bednarski T. J.

Przegląd piśmiennictwa.

Pamiętnik literacki. Czasopismo kwartalne, poświęcone historji i krytyce literatury polskiej, wydawane przez Towarzystwo Literackie im. Adama Mickiewicza, pod redakcją Bronisława Gubrynowicza. We Lwowie 1927, zesz. I—II, str. 262, zesz. III - IV, str. 265—484, 1 nl. 8°.

Najpoważniejszy i do niedawna jedyny organ historyków literatury, który wkrótce będzie święcił ćwierćwiecze istnienia, przechodził ciężkie chwile w czasie wojny i bezpośrednio po wojnie. Ów „kwartalnik" zmuszony był do ograniczenia swych rozmiarów do minimum, pojawiał się nawet raz na parę lat, z trudem powracając do norm rocznika. Dopiero w roku zeszłym, pod redakcją prof. Gubrynowicza zdołał zbliżyć się do norm przedwojennych, wychodząc w postaci 2 podwójnych zeszytów, w roku bieżącym zaś powraca nareszcie do właściwej mu formy kwartalnika. Treść ostatniego rocznika jest nader bogata i różnorodna, tem bardziej, że ilość „rozpraw", do których zaliczano dawniej niezupełnie słusznie mniej ważne artykuły, została obecnie ograniczona na korzyść „miscellaneów", zawierających materjał nader ciekawy, przyczem niektóre z nich jak np. praca prof. Gubrynowicza mogłyby jednak śmiało być zaliczone do rozpraw.

„Rozprawy" w liczbie sześciu, rozpoczyna B. Suchodolskiego: *Kult przeszłości wśród szlachty polskiej XVI wieku. Zagadnienia i wyniki.* Autor daje tu interesującą próbę realizacji w pewnym zakresie postawionej przez siebie (w „Ruchu Literackim", styczeń 1927) tezy o konieczności stworzenia nowej gałęzi nauki, która zajęłaby się badaniem zawartości i struktury psychicznej ludzi dawnych epok, a nie ich wytworów lub czynności, które są przedmiotem badania innych nauk historycznych. Zastosowanie tezy w wspomnianym artykule zahacza o szereg problemów, z których najbardziej uderzające jest to, co autor mówi o ujmowaniu przez szlachtę zagadnień socjalno-prawnych. Całości artykułu brak pogłębienia, cechuje ją pewna jednostronność w oświetlaniu niektórych zjawisk, ale oryginalność ujęcia i wartość impulsywna jest niewątpliwa. Po tej rozprawie, raczej odno-

szącej się do metodologji, przechodzimy następne w porządku chronologicznym: A. Brückner w artykule p. t. *Paskwalina S. Twardowskiego*, charakteryzuje ten poemat, jako wykwit baroku literackiego, przyznaje, że Twardowski materjał zaczerpnął od obcych, ale pragnął w poemacie — zdaniem autora — po sarmacku potępić miłość wogóle; że zaś czuł, że nie zwalczy tego nieprzyjaciela, poemat jego tchnie pesymizmem. Artykuł zawiera nadto cenne sprostowanie tekstu. Jan Gw. Pawlikowski, świetny znawca mistyki Słowackiego, twórca pomnikowego wydania „Króla-Ducha" w art.: *Chronologja pism genezyjskich i rozwój genezyjskich pomysłów Słowackiego* z niezmierną wnikliwością wprowadza ład w chaos kilku redakcyj „Rozmowy z Helionem i Helois", oraz „Genezis z ducha", ustalając względną, a częściowo i bezwzględną chronologię tychże oraz „Samuela Zborowskiego" i „Listu do Rembowskiego" i zaznacza w ogólnych zarysach rozwój pomysłów genezyjskich Słowackiego od partych na współczesnych teorjach ewolucyj przyrodniczych do gubiących się w mrokach gnostyckich. Dwie cenne rozprawy poświęcone zostały Norwidowi. T. Makowiecki w obszernej rozprawie *Młodzieńcze poglądy Norwida na sztukę*, daje znacznie więcej, niż zapowiada tytuł. Jest to pierwszorzędna analiza struktury psychicznej młodego Norwida, związana z obrazem wszystkich tych czynników zewnętrznych, które w jej ukształtowaniu się mogły odegrać rolę, zakończona syntetycznym rzutem oka na związek tej psychiki i jej przejawów z późniejszą twórczością. Przemyślenie metody, wartość wyników, zalety ujęcia stylowego, stawiają rozprawę tę na wysokim poziomie i każą pragnąć pojawienia się dalszych prac autora. Wł. Dobrowolskiego *Norwidowa opowieść o wiecznym Rzymie i wiecznym człowieku „Quidamie"*, to bardzo dobra analiza poematu, wraz z krytyczną oceną jego stosunku do historji. Całokształt eklektycznej filozofji Asnyka objął H. Szucki w rozprawie: *Sonety Asnyka, „Nad głębiami" na tle filozofji XIX wieku*, widząc w niej jako główne podstawy: ewolucjonizm i solidaryzm. Z poglądem autora na niektóre kierunki filozoficzne XIX w. ze stanowiska katolickiego trudno się zgodzić.

Stosunkowo mało miejsca zajmują w tym roczniku materjały we właściwem tego słowa znaczeniu, zawierają jednak same pozycje piewszorzędne. Najważniejsza z nich to kompletny niemal tekst mitycznej *Marancji*, komedji rybałtowskiej, poszukiwany od tak dawna, a odnaleziony świeżo za wskazówkami K. Badeckiego w zbiorach Bibljoteki kórnickiej przez jej obecnego dyrektora Dra Pociechę. Tekst opracowany przez tyle zasłużonego, pierwszorzędnego znawcę przedmiotu, jak K. Badecki, nie zawodzi oczekiwań i okazuje się jednym z bardzo charakterystycznych okazów samorodnej komedji staropolskiej. Bardzo przekonywujący jest wywód Dyr. Kotuli, który utożsamia tłumacza Owi-

djusza Malchera Kurzelowczyka z Malcherem Pudłowskim we wstępie do tekstu, odnalezionego przez siebie w okładce starej książki dalszego ciągu przekładu Owidjuszowego „Lekarstwa na miłość" tegoż Kurzelowczyka. Do najciekawszych materjałów należy ogłoszona przez L. Bernackiego korespondencja Franciszka Wężyka z Michałem Wiszniewskim, a zwłaszcza list Wiszniewskiego, zawierający szereg pytań, odnoszących się do stosunków literackich Księstwa Warszawskiego i odpowiedź Wężyka, z r. 1840, pełna sądów o ludziach i stosunkach, bezstronnych, choć niepozbawionych subjektywnego oświetlenia o jego własnem stanowisku literackiem i i., oraz list Wężyka o kursie literatury słowiańskiej Mickiewicza i wogóle jego stosunek do wieszcza. Szereg niewydanych tekstów przynoszą nadto rozprawki zaliczone do „miscellaneów": R. Ganszyńca dalszy ciąg *Pololatinów*, drukowanych w poprzednich tomach „Pamiętnika" (mianowicie poemat mistrza Olochocha: „De curie miseria") i piękny humanistyczny wiersz nieznanego autora na śmierć Andrzeja Odrowąża, omówiony z ogromnym zasobem erudycji, a przedewszystkiem Vrtela-Wierczyńskiego: *Dwa przyczynki do Dialogu mistrza Polikarpa* (Dwie pieśni o marności świata doczesnego z Kancjonału byczyńskiego z XVII w.) i Br. Gubrynowicza *O nieznanych utworach W. Reklewskiego.* Autor jedynej rozprawy o zapomnianym poecie-legjoniście w artykule tym krytycznie omawia całą jego spuściznę pozostałą w rękopisie i przez siebie odnalezioną, oraz drukuje z niej dłuższy poemat p. t. „Robienie kwiatów" i poemat heroi-komiczny p. t. „Cecylja utracona", który daje mu sposobność do szczegółowszego omówienia historji tego rodzaju literackiego w Polsce. Interesujące pokłosie zebrał Stanisław Łempicki z sześciu tomów „Archiwum Historji i Filozofji medycyny", oraz „Wspomnień z przeszłości" Dra Szokalskiego i ugrupował systematycznie zebrane wiadomości dokoła nazwisk 30 pisarzy naszych, przyczem szczególnie obszerne, a nieznane, odnoszą się do postaci Juljana Szotarskiego.

Ważny materjał i wiadomości bibljograficzne zawierają dalej P. Bańkowskiego: *Udział Podczaszyńskiego w „Revue Encyclopédique"* (autor zebrał już dawniej interesujące mickiewicziana z tego czasopisma, por. „Pam. liter." XXI), J. Nieczuja Urbańskiego: *Mowy masońskie Stanisława Potockiego* (*Uwagi bibljograficzne i materjały*); nowe światło na znane utwory padają z artykułów Vrtela-Wierczyńskiego (j. w.), A. Brücknera: *Historja o Ekwanusie* (zestawienie parafrazy Paprockiego z oryginałem), S. Seligi: *Świrski jako tłumacz Georgik Wergilego,* S. Biegańskiego: *Goszczyński jako krytyk literacki* (głównie o jego filozofji literatury i wpływie na współczesnych, zwłaszcza na Zienkowicza), K. Sochaniewicza: *Na marginesie sporu o Kusego i Sokoła* (o ochronie zwierzyny w ustawodawstwie staropolskiem), O. Peista: *„Kordjan" Słowackiego — „Peer Gynt"*

Ibsena (analogje ideowe, zresztą dalekie), Z. Niemojewskiej-Gruszczyńskiej: *Właściwości medjalne naszych wieszczów* (interpretacja znanych faktów z ich życia i twórczości, niepozbawiona jednostronności), nakoniec J. Kijasa: *Źródła historyczne powieści „Ogniem i mieczem"*. Ostatnia praca daje sumienne zestawienie stosunku Sienkiewicza do źródeł; wiadomości z tego zakresu stanowiły najlepszą część rozprawy autora: „Kaczkowski jako współzawodnik Sienkiewicza" (Prace hist.-liter., nr. 21), a z zestawienia tego wynika stwierdzenie zarówno historycznej sumienności, jak i historycznego zmysłu u wielkiego powieściopisarza.

Z pośród recenzyj, które są liczne, omawiają nowości i prawie wszystkie przynoszą nowe dane, zasługuje specjalnie na podkreślenie recenzja M. Kridla o wydaniu „Króla-Ducha" przez Pawlikowskiego. — Brak miejsca pozwolił jedynie na zasygnalizowanie treści artykułów, których większość posiada wysoką wartość naukową. Dzięki niej i dzięki tendencji do ożywienia pisma, ostatni rocznik „Pamiętnika" nietylko podtrzymuje, ale nawet podnosi na wyższy poziom dawne tradycje tego wydawnictwa.

Dr. Z. Ciechanowska.

Przegląd bibljoteczny. Wydawnictwo Związku bibljotekarzy polskich. Redaktor Edward Kuntze. Rocznik I, 1927. Kraków, 8⁰, str. 192, tabl. 4.

Dzięki energji naczelnego redaktora i jego współpracowników, Dra Birkenmajera i Dra Grycza, powołany został do życia organ, którego potrzeba dawała się zdawna odczuwać, a stała się aktualną tem bardziej po wojnie, gdy bibljoteki nasze są w okresie dostosowywania się do zmienionych warunków politycznych i ekonomicznych. Toteż z pośród 4-ch głównych artykułów pierwszego rocznika, trzy poświęcone są sprawom ogólno-polskiej polityki bibljotecznej. Dyr. Rygiel z Wilna proponuje scentralizowanie i wzmocnienie władzy bibljotecznej („Organizacja naczelnych władz bibljotecznych"), Dyr. Muszkowski dowodzi potrzeby reformy rozporządzenia o egzemplarzu obowiązkowym („Sprawa książki w nowej ustawie prasowej"), Dr. Birkenmajer uzasadnia konieczność najszybszego powołania do życia bibljoteki narodowej i podziału jej zadań między mającą powstać tą instytucją w Warszawie, a Bibljoteką Jagiellońską. Dopełniają treści rocznika: artykuł K. Dobrowolskiego „Modlitewnik króla Aleksandra z r. 1491" w British Muzem, A. Bara „Przyczynki do wykazu pseudonimów i kryptonimów polskich", recenzje przez Ad. B., W. Budkę, Z. Ciechanowską, J. Muszkowskiego, K. Piotrowicza, przegląd czasopism i bogata kronika, poświęcona wyłącznie sprawom polskim, która zawiera m. i. sprawozdania z działalności bibljotek, opracowane przez J. Grycza, A. Jędrzejowską, M. Łodyńskiego, A. Lewaka, T. Remera i i. Treść urozmaicona i żywotna, poruszanie problemów istotnych, bardzo sta-

ranna szata wydawnicza, stawiają tę nową publikację odrazu na wysokim poziomie, wyższym od niejednego z analogicznych wydawnictw obcych. „Przegląd", którego ukazanie się wywołało żywy oddźwięk wśród bibljotekarzy polskich i obcych, zainteresuje zapewne i szersze koła kulturalne, boć przecież dobrze zorganizowana bibljoteka to jeden z najważniejszych warsztatów pracy naukowej i oświatowej.

Z. C.

Anna Zahorska: T r u c i z n y. Powieść współczesna. Warszawa 1928, Dom Książki Polskiej, str. 266.

Autorka „Trucizn" jest współpracowniczką naszego pisma, nie wypada więc nam zbytnio chwalić jej książki, aby nie wyglądało to poniekąd na przemawianie *pro familia sua.* Nie możemy jednak nie powiedzieć, że „Trucizny" uważamy za bardzo pożądaną książkę.

Nie chodzi nam tutaj o ocenę artystycznych jej walorów; tu zrobilibyśmy uwagę, że występująca w drugiej połowie powieści figura Białeckiego rozsadza pierwotny, zdaje się, plan autorki, wprowadza drugą grupę zagadnień, które z korzyścią dla zamierzonej architektoniki mogłyby stać się tematem powieści innej. Chodzi nam tutaj przeważnie o treść i tendencję książki. Treść główna — załamanie się polskiej duszy Wasilewicza pod naporem radykalnego chłopomaństwa białoruskiego — jest nawskroś aktualna (proces „Hromady" w Wilnie!), dobrze zaobserwowana; problem, jaki stoi przed kulturą polską na kresach wschodnich, w otrzeźwieniu Wasilewicza co do istoty dobrze rozwiązany, chociaż wymagałoby jeszcze pogłębienia pytanie: co i jak konkretnie czynić, by nad kulturalnem podniesieniem białoruskiego ludu pracować bez podrażnienia jego narodowych uczuć. Historja Białeckiego, rozsadzająca ramy głównego zagadnienia, to świat zagadnień moralnych na tle powojennych obyczajów naszych miast wielkich. I tu autorka uzdrowienie widzi w uznaniu chrześcijańskiego sumienia za najwyższego regulatora czynów ludzkich, odnoszącego tak piękne zwycięstwa w Polucie Wasilewiczowej.

W liście swoim do autorki, umieszczonym w książce jako przedmowa, pisze ks. arcyb. Teodorowicz: „Powieść, która nie kala, ale podnosi, nie rozstraja duszy, ale uczy i ostrzega, jest dzisiaj zjawiskiem, niestety, rzadkiem. Dlatego mogę Panią tylko gorąco zachęcić do tak zbożnego apostolstwa piórem". Do tak kompetentnej rekomendacji możemy tylko dorzucić ze swej strony gorące życzenie, aby te wyjątkowe „Trucizny" rozeszły się szeroko w naszem społeczeństwie.

Ks. Jan Urban.

Zdzisław Dębicki: Rozmowy o literaturze. Nakł. Gebethnera i Wolffa, 1927, str. 242.

Każda książka, wychodząca z pod tego pióra, jest wielkim nabytkiem dla umysłowości polskiej. Nawet, kiedy się która z nich zwraca do określonego koła czytelników, pożytek przyniesie każdemu inteligentnemu Polakowi, który ją do ręki weźmie. Treścią swoją każda z nich wywołuje cały świat zainteresowań, formą — kształci smak estetyczny, sprawia prawdziwą rozkosz czytającemu. Bo Zdzisław Dębicki idzie w pierwszym rzędzie współczesnych prozaików polskich, cechuje go niezmącony spokój, umiar w sądach, prostota w wyrażeniu. Taka prostota, że się zdaje raz po raz, że jaśniej a prościej niż on niktby nie wypowiedział tych samych myśli.

Te zalety zdobią także „Rozmowy o literaturze". Przedewszystkiem miał w nich na myśli zawód literacki; dla towarzyszów po piórze, zwłaszcza tych najmłodszych, „co idą", kreśli większą część z pośród tych 30-u rozdziałów, co się na jego książkę składają. Znajdą w nich sporą wiązankę doświadczeń i przemyśleń, z których możnaby utworzyć kanon „literackiego rzemiosła". Ale — powtarzamy — książkę z wielkim pożytkiem przeczyta także każdy inteligentny „konsument" literatury. Dopomoże mu ona do skrystalizowania w sobie wielu refleksyj i postulatów, które przy czytaniu utworów literackich snują się po jego duszy zaledwie jako szukające swego wyrazu i kształtu mgławice. Nadto, nam, czytającemu ogółowi, uświadamia książka Zdzisława Dębickiego obowiązki, niestety zaniedbywane, względem tego zawodu, który dostarcza umysłom i sercom pokarmu i zajmuje jedno z pierwszych miejsc wśród czynników, tworzących kulturę narodu, stanowiących duchowe jego bogactwo.

Ks. J. Urban.

Czesław Lechicki: Kościół ormiański w Polsce (Zarys historyczny), z 10 rycinami i mapą. Lwów 1928, skład główny w księgarni Gubrynowicza i Syna, str. 182.

Ormianie w Polsce są grupą ludności, zasługującą na to, by nią zainteresował się żywo ogół polski tak ze względu na jej czcigodną starożytność, jak i ze względu na rolę jaką wielu z tej grupy odgrywało w historji katolicyzmu u nas i wogóle historji naszej. Jubileusz najczcigodniejszego pasterza tej grupy, ks. arcybiskupa Teodorowicza, jaki przed paru miesiącami obchodziło całe polskie społeczeństwo, uczynił historję Ormian polskich bardziej jeszcze aktualną. Popularyzację tej historji wziął sobie za zadanie autor wymienionej powyżej książki, posługując się licznemi drukowanemi pracami dawniejszych autorów. Nie rości sobie więc ta praca pretensji do naukowości, nie przynosi żadnych odkryć archiwalnych, lecz, jak na popularną historję, cel zamie-

rzony osiąga znakomicie. Na tle historji narodu ormiańskiego, początków chrześcijaństwa w nim i zapanowanie schizmy monofizyckiej kreśli autor pewne lub przypuszczalne dzieje osadnictwa Ormian w Polsce i krajach sąsiednich, streszcza historję biskupstwa ormiańskiego we Lwowie i katedry tamże, obszernie opowiada o przyjęciu Unji z Rzymem przez arcybiskupa Torosowicza i utrwaleniu jej za jego następców, przechodzi pokolei ich rządy i kreśli sylwety najwybitniejszych pasterzy aż do obecnego włącznie. A postacie niektórych z nich są nader interesujące, jak np. arcybiskupa Stefanowicza, który umarł jako starzec 107-letni, albo Isakowicza, znakomitego kaznodziei. W szeregu tych postaci przebija zarazem wielki patrjotyzm polski.

Pracy p. Lechickiego możnaby zarzucić tu i ówdzie chaotyczność, powtarzanie się, pewną sumaryczność sądów zarówno w pochwałach, jak i w naganach. Że józefinizm zasługuje na potępienie ze stanowiska katolickiego, to rzecz oczywista — nie należy jednak oburzać się na to, że Józef II skasował kilka parafij ormiańskich, które już nie posiadały parafjan, jak przyznaje autor. Skasowanie kolegjum ks. Teatynów — to inna rzecz. Anachronizmem brzmi nazwa „Małopolski Wschodniej", kiedy się mówi o czasach z przed wojny, albo nawet o czasach przedrozbiorowych. Historję Armenji kończy autor wskrzeszeniem niepodległości w r. 1918 i pozostawia nieświadomego rzeczy czytelnika w mniemaniu, że ta niepodległość istnieje dotąd, gdy tymczasem została ona właściwie zniszczoną przez bolszewizm rosyjski. Również mylnie mógłby kto wywnioskować z przypisku na str. 117, że Ormianie unici w Rosji pozostali pod zwierzchnictwem biskupów łacińskich aż do naszych czasów, gdy tymczasem w roku, jeśli się nie mylę, 1910-ym utworzoną została dla nich odrębna jednostka administracyjna z administratorem apostolskim, rezydującym w Tyflisie. Niedokładności takich możeby się znalazło więcej, są to wszakże drobiazgi, które właściwej wartości książki nie nadwerężają.

Ks. J. Urban.

Erich Wasmann S. J.: Eins mit Gott. Gedanken eines christlichen Naturforschers. Herder, Freiburg in Breisg. 1928; str. XIV + 104.

Ks. Wasmann, znany szeroko ze swych prac naukowych, zwłaszcza na polu biologji, rozprawiał się niejednokrotnie z nowoczesnym monizmem filozoficznym i jako przeciwstawienie jego rozwinął teorję chrześcijańskiego monizmu, opartego już nie na jedności substancji, ale na jedności pierwszej Przyczyny wszystkiego, co istnieje. W niewielkiej książeczce p. t. „Christlicher Monismus" ujął on podstawowe prawdy światopoglądu chrześcijańskiego, aż do najwyższego stopnia zjednoczenia człowieka z Bogiem, w Komunji św. i w chwale niebieskiej. Prawdy to znane, lecz podane w szacie nowoczesnej i przez uczonego, który każde

pojęcie i twierdzenie stara się uzasadnić. I w tem właśnie, oraz w oryginalnem ujęciu i przeprowadzeniu treści leży właściwa wartość tej książeczki, będącej, pod zmienionym tytułem, trzeciem wydaniem „Chrześcijańskiego monizmu". Będzie ona pożądaną dla osób wykształconych, duchowieństwu zaś może służyć jako wybór tematów i gotowych szkiców konferencyj dla inteligencji.

S. P.

Bibljoteka Ligi Katolickiej Diecezji Częstochowskiej Nr. 1—3 1927—28.

W nowoorganizującej się u stóp Jasnogóry diecezji polskiej, wre praca twórcza. Obok misyj i rekolekcyj uprawiających grunt w znaczniejszych zwłaszcza centrach, obok stowarzyszeń, które mają za zadanie plon dobrego ziarna utrwalać i pomnażać, powstaje diecezjalna prasa, szerząca dobre perjodyczne i nieperjodyczne wydawnictwa. Główne miejsce wśród tych ostatnich zajmuje „Bibljoteka Ligi". Mamy w tej chwili w ręku 3 broszury w małej 8-ce, 35, 55 i 40 stronne, wszystkie z pod pióra tego samego autora, t. j. Najdostojniejszego Pasterza, który jest ośrodkiem całego tego katolickiego ruchu, jaki w tej chwili wychodzi z pod stóp Jasnogóry. Pierwsza z tych broszur, w formie pasterskiego listu, kreśli program akcji katolickiej; druga zbiera rozmaite przemowy i odczyty wygłoszone o Ojcu chrześcijaństwa i papiestwie; trzecia rozwija piękną myśl, przeprowadzoną starannie aż do ostatnich konkluzyj, że Eucharystja jest w organizmie Kościoła prawdziwem sercem. Tak myśl, jak styl dostojnego autora charakteryzuje jasność, prostota, teologiczna gruntowność a przytem gorące ukochanie wszystkiego, co katolickie i nadprzyrodzone. Nie wątpimy, że broszury te wiele dobrego zrobią duszom i dopomogą do gruntowania nowej diecezji na silnych podstawach.

J. R.

Stan. Starzyński: Współczesny ustrój prawno-polityczny Polski i innych państw słowiańskich. Nakładem K. S. Jakubowskiego. Lwów 1928, str. 288.

Firma drukarska Jakubowskiego we Lwowie przedsięwzięła wydawnictwo p. t. „Monografje i podręczniki" z różnych dziedzin wiedzy i zagadnień praktycznych, których napisanie powierzyła wybitnym siłom naukowym i literackim. Czwarty tom tego wydawnictwa leży przed nami, a tytuł wyżej wypisany dokładnie mówi o treści książki. Jest to podręcznik politycznego ustroju Polski z dodaniem, widać dla porównania, rozbioru ustrojów innych państw słowiańskich po wojnie. Dlaczego właśnie słowiańskich? Czy one przedstawiają jakąś wspólną charakterystyczną im tylko właściwą cechę nowych konstytucyj? Zresztą mniejsza o to. Książka napisana jasno, uwzględnia bogato litera-

turę przedmiotu, tu i ówdzie zajmuje stanowisko krytyczne co do różnych naszych urządzeń.

Z niedokładności, nieuwzględnionych w „erratach" zauważyliśmy na str. 25 fałszywą datę dekretu naczelnika Piłsudskiego, kilkakrotne nazywanie marcowej rewolucji rosyjskiej rewolucją Kiereńskiego (który został wtedy tylko jednym z ministrów gabinetu ks. Lwowa), wyrażenie „Centralny Cik", co jest pleonazmem, gdyż „Cik" jest instytucją wyłącznie centralną w S. S. S. R., podczas gdy komitety wykonawcze podrzędne i lokalne czytane są w skróceniu „Ispołkomy". Książka może być pożyteczną nietylko dla studentów prawa, ale także dla nauczania nauki obywatelskiej w szkołach ogólno-kształcących i dla każdego, kto chce uświadomić sobie dokładniej ustrój własnego państwa.

J. U.

Bol. Wilanowski: Ustępstwa ze strony Kościoła na rzecz państwa, poczynione w konkordacie z 10 lutego 1925 r. w świetle konkordatów innych. Odbitka z „Rocznika Prawniczego Wileńskiego" Skład główny w księg. św. Wojciecha w Wilnie, 1927, str. 64.

Metodą porównań z konkordatami innemi, poczynając od konkordatu Napoleona z r. 1801, autor oświetla ustępstwa, jakie Kościół poczynił w konkordacie, zawartym z Polską, na rzecz państwa. Streszczają się one w zabezpieczeniu obywateli polskich przed niepożądanemi wpływami czynników obcych w dziedzinie kościelnej, w zabezpieczeniu lojalności obywatelskiej dygnitarzy kościelnych, zabezpieczeniu interesów polskich w dziedzinie kościelnej w miejscowościach językowo mieszanych, przyznaniu państwu różnych praw w sprawach mieszanych, wzmocnieniu przez Kościół autorytetu państwa wśród wiernych. — W końcowem streszczeniu autor zauważa, że ustępstwa, jakie w dziedzinie spraw materjalnych (zezwolenie na parcelacje dóbr duchownych i t. p.) rząd nasz wytargował, „są największe, jakich kiedykolwiek Stolica Apostolska w konkordatach przez się zawieranych komukolwiek udzieliła".

Ks. J. U.

Roman Zawiliński: Dobór wyrazów. Słownik wyrazów bliskoznacznych i jednoznacznych. Kraków 1928, nakładem „Poradnika językowego"; 8^0, str. 633. Skład główny u Gebethnera i Wolffa.

Tadeusz Bałaban: Poradnik językowy dla pracowników biurowych. Warszawa 1928. Wojskowy Instytut Nauk.-Wydawn. 16^0, str. 250.

Znany ze swych prac w dziedzinie języka polskiego i redaktor *Poradnika Językowego*, dyr. R. Zawiliński, wykończył niedawno obszerniejszy Słownik synonimów i wyrazów o pokrewnem znaczeniu. Pierwszy jego zeszyt ukazał się w r. 1926, dwa ostatnie z początkiem b. r. Cel tej pracy jest wyłącznie praktyczny: dopomóc piszącemu do szybkiego znalezienia różnych

wyrazów na oznaczenie tej samej rzeczy. Stąd autor nie wdaje się w objaśnienie znaczenia lub pochodzenia wyrazów, ani w kwestję używania ich przez autorów klasycznych, lecz pragnie uczynić ze swej książki przystępny i praktyczny podręcznik.

W układzie jego poszedł autor za wzorem analogicznych słowników zagranicznych i ujął cały materjał rzeczowo, dzieląc go na sześć rozdziałów głównych i tysiąc grup szczegółowych, w których znowu kolejno następują po sobie rzeczowniki, czasowniki, przymiotniki, zwroty, wyrażenia przysłowiowe i t. d. Praca jego była więc skomplikowana i mozolna, ale dla korzystającego z niej nie przedstawia najmniejszej trudności. Potrzebujący jakiegoś wyrazu szuka go w obszernym alfabetycznym słowniku, obejmującym 342 strony druku i tu znajduje odnośnik liczbowy do odpowiedniej grupy synonimów. Dzięki takiemu urządzeniu i przejrzystemu układowi korzystanie ze słownika nie przedstawia żadnej trudności, tak że posługiwać się nim może każdy, nie wyjmując młodzieży wyższych klas szkół średnich. Toteż autorowi należy się prawdziwe uznanie za opracowanie podręcznika, jakiego brak odczuwało się oddawna.

Nieco odrębny charakter ma wydany przez Wojskowy Instytut Nauk.-Wyd. Poradnik Językowy, opracowany przez T. Bałabana. Niewielka ta książeczka przeznaczona jest głównie dla pracowników biurowych, którym ma ułatwić prowadzenie korespondencji przez podanie polskich wyrazów, w miejsce obcych, odziedziczonych z czasów niewoli. Kilka kartek wstępnych zawiera trochę ogólnych uwag z zakresu składni, które mają sprostować częstsze omyłki, popełniane pod wpływem języka niemieckiego i rosyjskiego, resztę zaś książeczki wypełnia słownik wyrazów, częścią rodzimych polskich, przeważnie zaś obcego pochodzenia, do których autor podaje synonimy polskie. Zakres słownika ogranicza się narazie do dziedziny wojskowej i służbowej korespondencji biurowej, z wyłączeniem handlowej, w przyszłości rozszerzy się prawdopodobnie znaczniej. *S.*

Oprócz tego nadesłano do Redakcji:

Major K. Czarnecki: Podziemne roboty fortyfikacyjne w gruntach ciężkich. Instytut Wojskowy naukowo-wydawniczy, Warszawa, 1928, str. 133.

Ks. Jan Piwowarczyk: Na prawo czy na lewo. Odbitka z „Ateneum kapł.", Włocławek, 1928, str. 11.

Archiwum historji i filozofji medycyny oraz historji nauk przyrodniczych. Red. A. Wrzosek. Tom VII, zesz. II. Poznań 1927.

Const. Michalski C. M.: La Physique nouvelle et les différents courants philosophiques au XIV siècle. Cracovie, 1928, str. 71.

Ks. A. Deschamps: Cud współczesny, przeł. z franc. ks. Dr. J. Bączek. Nakł. L. Fiszera, Łódź—Katowice, 1927, str. 95. Rzecz o wybitnem cudownem uzdrowieniu w Lourdes.

Georges Guitton S. J.: Léon Harmel. Action Populaire, éd. „Spes", Paryż, 2 tomy, str. 344 + 437.

Ks. Nikodem Cieszyński: Rocznik katolicki na r. 1928. Poznań, str. XXXV+700, z 34 ilustracjami. Cena brosz. egz. zł. 14·—, opr. zł. 16·50.

Comte Sig. Lasocki: Un Diplomate polonais au Congrès d'Arras en 1435. Paris 1928, str. 78 in 4⁰ z kilku reprodukcjami dokumentów.

Tad. Seweryn: Z żywym kurkiem po dyngusie. (Prace Komisji etnograf. Polskiej Ak. Um. Nr 6). Kraków 1928, str. 53.

Wład. Namysłowski: Proces chorwacki XIII wieku. (Rozpr. Pol. Akad. Um., Wydz. hist.-filozof.). Kraków 1928, str. 45.

Historja powiatu Żnińskiego pod red. Dra Stefana Truchima, opracowali: M. Gumowski, St. Truchim i A. Wojtkowski. Poznań 1928, nakł. W. Tuchołki, str. 260 in 8⁰, kilka drzeworyt. i 2 mapy.

Zdz. Kleszczyński: Siostry Kleo, nowele. Nakł. Gebethnera i Wolffa, str. 178.

Jan Rogala: Płomień, powieść. Nakł. Gebethnera i Wolffa, str. 284.

Wydawnictwa Herdera, Fryburg in Br.

P. Alois Bogsucker S. J.: Die Eigenmessen der Gesellschaft Jesu, str. 99 in 16⁰.

Dr. Robert Linhardt: Das Geheimniss des Kelches. 15 Fastenbetrachtungen, str. 150 in 8⁰ min.

Konrad Kümmel: Heilige Jugendzeit. Erzählungen für jugendliche Kommunikanten, str. 370 in 8⁰.

René de Maumigny S. J.: Katholische Mystik, str. 352 in 8⁰.

D. Cutbertus Butler: Sancti Benedicti Regula monasteriorum, str. 210 in 8⁰.

R. Leiber S. J.: Konnersreuth. Tatsachen und Grundsätze, str. 46.

Friedrich Zoepfl: Deutsche Kulturgeschichte. 3 und 4 Lieferungen.

Sprawozdanie z ruchu religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

Postępy unji kościelnej na kresach wschodnich.—Trudności akcji unijnej.—Romanizm czy helenizm?

Akcja nad pozyskaniem dla Kościoła katolickiego prawosławnych z pozostawieniem im ich rodzimego obrządku we wskrzeszonej Polsce jest, jak wiadomo, zupełnie świeżej daty. Przez pierwsze sześć lat po odzyskaniu niepodległości, chociaż przypadła nam znaczna część terenów, na których kwitnęła niegdyś unja, w sposób barbarzyński przez Rosję zniszczona, nie powstała żadna poważniejsza inicjatywa w kierunku jej wskrzeszenia, ani ze strony naszego Kościoła, ani ze strony ludności prawosławnej, niegdyś unickiej. Sporadyczne próby, podejmowane przez jednostki z pośród ruskiego kleru z b. Galicji, by obudzić unickie sympatje i wspomnienia na Podlasiu i Wołyniu, kończyły się niepowodzeniem z różnych powodów, między któremi niepoślednie znaczenie miały trudności polityczno-administracyjne, np. obawa wywołania na nowych terenach owych przykrych tarć między dwoma obrządkami katolickiemi, jakich widownią była Galicja. Desygnowany jeszcze na początku wojny światowej przez J. E. metropolitę Szeptyckiego na biskupstwo łuckie obrządku wschodniego ks. biskup Bocian nie osiągnął nigdy tego stanowiska i umarł jako sufragan metropolity lwowskiego. Nadto sytuacja była wciąż niewyjaśniona, umysły czem innem pochłonięte, sam Kościół katolicki na kresach dźwigał się mozolnie z przybicia, jakiemu uległ za rządów caratu i z ruin przez wojnę spowodowanych. Przypominano sobie niekiedy w prasie katolickiej dziejowe posłannictwo religijne Polski na Wschodzie, nie robiono jednak w tym kierunku przez lat kilka żadnego kroku.

Zdaje się, że ta sprawa weszła u nas na porządek dzienny dopiero w jesieni 1923 r., podczas obchodu jubileuszu ku czci męczennika unji, św. Józafata Kuncewicza, kiedy i Stolica św., na której już zasiadał obecny papież, Pius XI, zwróciła na nowo uwagę katolickiego świata na dyssydenckie kościoły wschodniej Słowiańszczyzny. Już w parę miesięcy potem J. E. ks. biskup podlaski, Przeździecki, bawiąc w Rzymie, otrzymał od Stolicy św. pełnomocnictwa i misję do zakładania pod swoją jurysdykcją parafij wschodniego obrządku, o ile będą takie żądania ze strony prawosławnej ludności. W rzeczy samej w ciągu lata 1924 r. powstało na męczeńskiej ziemi Podlasia parę takich ośrodków, w których ludność, pomna swej katolickiej przeszłości, pragnęła do Kościoła powrócić, prosiła wszakże o pozostawienie jej tego obrządku, w którym chwalili Boga oni sami i ich dziadowie. Tych kilka „parafij" (liczniejszą z nich była Hola) powierzone zostały przez ks. biskupa duchowej pieczy kapłanów, którzy także zgłosili przejście z prawosławia do Kościoła katolickiego. W kwietniu 1925 r. uzyskali za pośrednictwem nuncjatury warszawskiej także inni ks. biskupi diecezyj kresowych podobne, jak biskup podlaski, upoważnienia i niebawem po kilka ośrodków tej nowej unji powstało w diecezjach wileńskiej, mińskiej i łuckiej. Do pasterzy i konsystorzy łacińskich poczęły się zgłaszać całe nawet parafje prawosławne z prośbami o przyjęcie ich pod posłuszeństwo Ojca św. i danie im kapłanów ich obrządku. Kapłani ci zresztą rekrutowali się prawie wyłącznie z świeżo nawróconych do katolicyzmu. Do pracy na tem polu zgłosił się także jeden z zakonów, Jezuici, którzy już w roku 1924 postanowili utworzyć gałąź wschodniego obrządku i początek temu dali, zakładając misyjną stację w Albertynie pod Słonimem, rozszerzoną niebawem na dom nowicjacki.

Tę akcję nad wskrzeszeniem unji na ziemiach, na których była zaginęła, pod władzą i kierownictwem biskupów łacińskich usankcjonował *implicite* także konkordat, zawarty przez Rzeczpospolitą ze Stolicą Apostolską. Ustalono bowiem w nim, że diecezje obrządku wschodniego w byłej Galicji pozostały w dawnych swych granicach, podczas gdy poza niemi kler nawet tego obrządku podlegać ma jurysdykcji miejscowych biskupów łacińskich. W jesieni 1926 r. odbyli ks. biskupi diecezyj kresowych konferencję w Wilnie w celu ustalenia zasad akcji nad pozyskaniem prawosławnych dla Kościoła, o czem w swoim czasie pisaliśmy na tem miejscu (*Przegląd Powszechny,* grudzień 1926).

Tak pchnięta naprzód akcja po trzech latach, t. j. latem 1927 roku, przedstawiała się liczbowo, jak następuje:

14 parafij urządzonych, 7 w stadjum przygotowania, wiernych w nich około 20.000, kapłanów pracujących na tem polu 25, w tem 16 nawróconych z prawosławia, 3 Jezuitów, 3 Redemptorystów, 2 nowowyświęconych. (Referat ks. biskupa Przeździeckiego na zjeździe w Velehradzie). W ciągu ostatnich kilku miesięcy cyfry te jeszcze wzrosły. Z doniesień Katolickiej agencji prasowej (KAP) w Warszawie z ostatnich tygodni dowiadujemy się o erygowaniu nowej parafji wschodnio-słowiańskiego obrządku na Podlasiu (Dokudów), o przyjęciu w Wilnie na łono Kościoła dwóch kapłanów prawosławnych i jednego diakona, z których jeden przywiódł do katolicyzmu swoją parafję, tak że obecnie w archidiecezji wileńskiej parafij unickich jest już dziesięć. Dowiadujemy się z tegoż źródła, że w diecezji łuckiej istnieją cztery parafje i jedna filja z łączną liczbą parafjan 7.260 dusz, z czego na samą parafję Dubieczno przypada 4.300 wiernych. Wiemy skądinąd o istnieniu pięciu unickich parafij w diecezji pińskiej, a na Podlasiu narachowaliśmy takich parafij dziesięć. Suma zatem takich parafij w czterech diecezjach, w których ta praca jest prowadzona, wynosi w chwili obecnej 30, liczbę wiernych można przypuszczalnie określić na 25.000. Jeżeli weźmie się pod uwagę, że ludność prawosławna w Polsce wynosi około 3 miljonów, to liczba pozyskanych dla Kościoła katolickiego nie dosięga nawet jednego na sto — są to więc dopiero skromne początki, ale pamiętajmy, że mamy do czynienia z ruchem zupełnie młodym, nieskonsolidowanym, a przytem natrafiającym na duże przeszkody, o których zaraz będzie mowa.

Jakież to przeszkody i trudności stoją na zawadzie w tem apostolskiem dziele?

Pierwszą wielką trudnością w rozwinięciu pracy unijnej jest brak kapłanów, którzyby mogli całkowicie się jej poświęcić. Zdawałoby się rzeczą najbardziej naturalną, powołać do tej pracy księży unickich z Galicji. Tymczasem projekt taki uznano w kołach kierowniczych za nierealny, tak są warunki tej pracy skomplikowane i trudne. Nie może chyba być mowy, pominąwszy już antagonizm narodowościowy, o użyciu do tej pracy unickiego kleru świeckiego, który obarczony rodzinami wymaga zupełnie innych warunków bytowania, aniżeli jakie może dać pracownikom apostolskim teren iście misyjny, pozbawiony dostatecznego uposażenia dla pracującego na nim kleru. Unicki kler bezżenny, o którego wychowanie stara się episkopat ruski, będzie przez długi jeszcze czas potrzebny na miejscu dla wzmocnienia unji, zagrożonej przez schizmatycką, sekciarską i bolszewicką propagandę. Wspomnijmy, że już w ciągu tego roku odpadło do schizmy około 20.000 unitów Rusinów, zwłaszcza na

Łemkowczyźnie, podminowanej przez propagandę rosyjską jeszcze przed wojną. Nadawałyby się przeto do powołania do pracy na nowych terenach tylko kongregacje zakonne OO. Bazyljanów i OO. Redemptorystów, co zresztą w skromnych rozmiarach zrobiono. Trzeba jednak zauważyć, że i te kongregacje, które dotąd pracowały w ciasnych granicach jednej, językowo jednolitej prowincji, mogłyby z dużym pożytkiem pracować tylko na tych częściach terenu misyjnego, których ludność posługuje się tym samym językiem, t. j. na Wołyniu, części Podlasia i Pińszczyzny; już zaś trudniej byłoby im przystosować się do warunków językowych i obrządkowych np. w okolicach z ludnością białoruską. O poświęceniu się większej liczby miejscowych księży łacińskich na tę pracę, chociaż znają oni dobrze warunki lokalne i mowę ludową, także trudno narazie myśleć. Zbyt bowiem mało posiadamy kapłanów dla prawidłowej obsługi duchownej wiernych samego łacińskiego obrządku, by można było odstępować ich dla osobnej pracy misyjnej.

Z powodu tych trudności, zadawalniano się dotąd powierzaniem pozyskanych dla katolicyzmu grup prawosławnych księżom przyjętym również z prawosławia, doświadczenie jednak wykazało, że na tej metodzie poprzestać nie można. Wprawdzie między tymi konwertytami pozyskano dla Kościoła kilku wybitniejszych kapłanów, którzy o tyle z większym pożytkiem potrafią pracować na powierzonych im placówkach, że najlepiej rozumieją psychikę swoich współwyznawców, ale obok tych o najszczerszych intencjach konwertytów wślizgnęła się, niestety, także pewna liczba jednostek o niewielkiej duchowej i moralnej wartości, które też najcałkowiciej zawiodły położone w nich przez Kościół zaufanie. Nie znalazłszy w unji tych warunków bytowania, czy też nawet karjery, na jaką liczyli, odpadli zpowrotem do prawosławia, z którego wyszli. Jasna więc rzecz, którą sami lepsi konwertyci zrozumieją i uznają za słuszną, że na samych nawróconych z prawosławia polegać w tej pracy nie można.

Po tych doświadczeniach znaleziono zdaje się drogę właściwą: trzeba będzie wytworzyć zupełnie nowe kadry księży, pochodzących z tych samych kresów, na jakich mają w przyszłości pracować, wychowując ich odrazu także w tym samym obrządku, w którym mają spełniać swoje kapłańskie i apostolskie obowiązki. Podobno już na konferencji księży biskupów w Wilnie powstała myśl utworzenia jednego wspólnego Instytutu dla wychowania przyszłych pracowników w nowej unji, myśl ta jednak, nie wiemy, dlaczego, nie została dotąd urzeczywistnioną, natomiast w każdem z seminarjów kresowych diecezyj przygotowuje się obecnie po kilku kle-

ryków, którzy zgłosili chęć pracowania we wschodnim obrządku. Obok wspólnych z innymi kolegami przedmiotów teologicznych wykładane są im liturgja w obrządku wschodnim, porównawcza teologja i wogóle te przedmioty, które w sposób szczególny mają ich przygotować do przyszłego misjonarskiego zawodu. Klerycy ci, pochodzący przeważnie z ludu niegdyś unickiego, będą chyba najodpowiedniejsi, aby trafić do swoich współziomków prawosławnych i wskrzesić zapomniane tradycje jedności religijnej z Rzymem. Oczywiście nie można się spodziewać stworzenia w krótkim czasie dużych zastępów podobnych misjonarzy i dlatego cała akcja unijna na naszych kresach może być urzeczywistniana tylko w powolnem tempie.

Inna trudność, jaką spotyka akcja katolicka wśród prawosławnych, pochodzi z niezrozumienia jej doniosłości dla Kościoła, a nawet z jawnej nieżyczliwości, objawiającej się często nawet tam, gdzieby jej być nie powinno. Że podobna akcja spotyka się z wrogą postawą samej cerkwi prawosławnej w Polsce, to rzecz zrozumiała. W rzeczy samej wszędzie, gdziekolwiek objawiły się wśród ludu sympatje do unji, władze cerkiewne występują natychmiast z przeciwdziałaniem, często nie przebierającem w środkach. Straszenie latynizacją i spolszczeniem, przekręcanie nauki katolickiej o papiestwie i nieomylności papieża, wywoływanie widma dawnych rzekomych polskich prześladowań prawosławnych — takie są sposoby, któremi cerkiew usiłuje utrzymać przy sobie lud, który się do niej zniechęcił, lub odzyskać swoje straty. Trzeba tu odrazu powiedzieć, że ze strony Kościoła katolickiego znacznie mniej czyni się dla utwierdzenia w wierze katolickiej nowo pozyskanych prawosławnych. Literatury religijnej popularnej w narzeczach ludowych nie posiadamy dotąd prawie żadnej, o misjach czy rekolekcjach w nowo pozyskanych ośrodkach, na wzór misyj ludowych, urządzanych w parafjach łacińskich, prawie nie słychać, z wyjątkiem sporadycznej pracy OO. Redemptorystów na Wołyniu. Stąd nic dziwnego, że jak niektórzy niepewni ich pasterze, podobnie niektóre parafje świeżo dla unji pozyskane chwieją się w wierze, a nawet częściowo od Kościoła odpadają.

Powiedzieliśmy wyżej, że praca unijna napotyka na trudności nawet z takiej strony, z którejby ich obawiać się nie należało. Otwarcie przyznajmy, że należytego poparcia nie znajduje ona u większości duchowieństwa łacińskiego; wielu naszych księży zukosa patrzy na nią, mając wciąż przed oczyma widmo przymusowego nawracania na prawosławie przez rząd carski i czując stąd jakąś instynktowną odrazę do wszystkiego, co trąci wschodnim obrządkiem. Wielu, zapewne w najlepszej wierze, żywi przekonanie, że

pożyteczniejszą i pewniejszą dla Kościoła katolickiego byłaby akcja nad nawracaniem prawosławnych na obrządek łaciński, któryby ściślej, niż obrządek wschodni, zjednoczył ich z Kościołem katolickim. W większej jeszcze mierze z podobnem pojmowaniem rzeczy i podobną odrazą do wskrzeszania unji na kresach spotykamy się wśród miejscowego polskiego społeczeństwa, tak że kapłan, pracujący w tym kierunku, zgóry musi być przygotowany nietylko na brak poparcia ze strony swoich współwyznawców, ale niejednokrotnie wprost na to, że będzie zwalczany przez nich. Oczywiście mówimy tu o przeważającej opinji, której nie podzielają dość wybitne choć rzadsze jednostki w naszem społeczeństwie.

Wreszcie akcja unijna nie znalazła dotąd dostatecznego zrozumienia w kołach rządowych. Wprawdzie według zasady tolerancji religijnej, przyjętej jako zasada ogólna w Polsce, jak i według zawartego ze Stolicą św. konkordatu nie może być podstawy prawnej do przeszkadzania wskrzeszeniu unji na kresach; można zanotować także objawy życzliwości dla tej akcji ze strony pewnych jednostek w służbie państwowej; naogół wszakże ma się wrażenie, że sfery oficjalne patrzą raczej niechętnie na akcję, zapoczątkowaną przez naszych księży biskupów. Być może, że grają tu rolę pewne względy, któreby można nazwać bizantynizmem politycznym: podczas gdy prawosławie będzie zawsze łatwiejsze do ulegania takim czy innym żądaniom sfer rządowych, katolicyzm, chociażby obrządku wschodniego, oparty o episkopat zależny od Rzymu, potrafi zachować względem państwa większą samodzielność. Katolicy są przekonani, że broniąc wolności swojego Kościoła przed wszelkiemi zakusami ze strony chociażby własnego państwa, nie pozwalając religji wciągać do przemijających rachub politycznych, najlepiej przysługują się także narodowi i państwu, takie jednak przekonanie niełatwo znajduje dostęp do głów zawodowych polityków i biurokratów. Przynajmniej dotąd widzimy, że kiedy prawosławie doznaje opieki i wydatnej materjalnej pomocy ze strony rządu, kiedy się asygnuje pieniądze na odnawianie prawosławnych katedr, które niegdyś były katolickiemi kościołami (np. w Pińsku), to dla unji nic pod tym względem się nie robi i zdana ona jest na własne swoje siły. A dodajmy, że nie został dotąd stworzony przez społeczeństwo żaden fundusz do popierania misji katolickiej na naszym Wschodzie, ryczałty zaś, jakie diecezje katolickie otrzymują w myśl konkordatu, nie wystarczają nawet na utrzymanie łacińskich parafij i instytucyj kościelnych tego obrządku. Tymczasem jakiś fundusz specjalny dla popierania unji jest niezbędny, wobec tego, że w nowo tworzących się

parafjach trzeba budować cerkwie i kaplice i całkowicie utrzymywać kler, gdyż ludność dla unji pozyskana składa się wyłącznie z ubogich wieśniaków, nie mających żadnych środków na tak wielkie wydatki.

Przejdźmy do następnej trudności w szerzeniu unji. Stanowi ją zagadnienie języka, w jakim praca ta ma być prowadzona. Teoretycznie zagadnienie to jakby nie istniało: nauczać lud należy w tym języku, jakim on sam w codziennem swem życiu posługuje się. W rzeczywistości jest to problem bardziej złożony. Kresowe nasze prowincje przedstawiają całą gamę narzeczy ludowych, teoretycznie zaliczanych do dwóch języków: białoruskiego i ukraińskiego. Dodajmy, że na te języki i narzecza wielki wpływ wywarła i wielkie ślady na nich pozostawiła rusyfikacja z czasów carskich, tak że w wielu okolicach lud nie odróżnia się w swojem poczuciu narodowościowem od Rosjan. W takiej sytuacji powstaje pytanie: jakim językiem ma się posługiwać pracujący nad tym ludem misjonarz, czy duszpasterz z największą ekonomją dla siebie a największym pożytkiem dla religijnego wychowania. W prawosławiu ta kwestja nie istnieje w tym stopniu jak w unji, chociaż i tam w ostatnich czasach przychodzi ona do głosu; prawosławni mniej sobie zadają trudu z głoszeniem kazań, katechizacją, przenosząc punkt ciężkości posługiwania pasterskiego na liturgję i udzielanie sakramentów. W praktyce posługiwali się dotąd przeważnie językiem rosyjskim i tylko część kleru prawosławnego na Wołyniu poczyna walczyć o prawa języka ukraińskiego w cerkwi. Przed księdzem unickim na kresach, chociażby stał jak najdalej od wszelkiej polityki, sprawa języka jest zawsze niebezpiecznym szkopułem. Niepodobna w każdej niemal parafji używać odrębnej gwary, jaką ludność miejscowa się posługuje, co byłoby nawet wzięte za złe przez samychże wiernych; musi się więc dążyć do jakiegoś ujednostajnienia, do posiłkowania się jakimś inteligentniejszym językiem, niż proste gwary ludowe. Otóż na Wołyniu tylko sprawa ta nie nastręcza trudności większych: można się tam posługiwać w nauczaniu religijnem językiem małoruskim, czyli ukraińskim bez wywołania większych sprzeciwów. Gorzej jest w okolicach, w których dialekty ludowe przechodzą jedne w drugie lub w których rusyfikacja poczyniła większe postępy, a szkoła polska w ostatnich czasach wprowadza do gwar ludowych nowe językowe pierwiastki. Tutaj jakimkolwiek językiem będzie posługiwał się misjonarz, więcej spotka krytyków i wrogów niż zwolenników. Posługując się językiem rosyjskim, czy w żywem słowie czy w druku, narazi się na zarzut podtrzymywania dawnej sztucznej rusyfikacji ludu, zarówno ze strony polskiej,

jak i ze strony uświadomionych Białorusinów i Ukraińców; używanie białoruszczyzny, nie posiadającej dotąd prawie żadnego piśmiennictwa, będzie wystawiane znowu przez stronę polską i rosyjską jako hodowanie sztucznego językowego nowotworu i za nim idących separatyzmów narodowych i politycznych; gdyby mu przyszło do głowy użyć w swojej pracy języka polskiego, wywołałby słuszne podejrzenia, że unja jest tylko środkiem do spolszczenia ludności i spotkałby się tym razem ze zgodnem przeciwdziałaniem ze strony zarówno Rosjan, jak Białorusinów. Słowem w każdym wypadku będzie miał co najmniej dwóch przeciwników, a jednego tylko zadowolonego. Mamy wrażenie, że ta właśnie trudność językowa jest dzisiaj głównym powodem, że nie posiadamy dotąd odpowiedniej literatury ludowej dla ludności nawracającej się z prawosławia. Trudność tę wszakże czynniki powołane muszą pokonać i problem rozwiązać w najbliższym czasie, jeżeli pracy unijnej chce się zapewnić powodzenie. Dowiadujemy się, że w Wilnie ma być założone pisemko ludowe w języku rosyjskim; zamiar ten powitać należy z uznaniem, ale jednocześnie stwierdzić, że trudności całej on nie rozwiąże. [1])

Wreszcie ostatnia trudność pracy misyjnej leży w zagadnieniu rozumienia obrządku. Trudność zdawałoby się czysto techniczna i należąca do wewnętrznej karności kościelnej, jednak niebłaha i dla wielu wprost zasadnicza. Zgadzają się wszyscy na to, że konwertytom z prawosławia należy pozostawić nietkniętym ich obrządek, lecz przy bliższem wejrzeniu w sprawę powstaje pytanie, co należy do obrządku i na czem polega jego nietykalność.

Przed kilku miesiącami w serji broszur wydawanych przez Benedyktynów wschodniego obrządku pod ogólnym tytułem *Irenikon*, [2]) wyszła broszura p. t. *L'Uniatisme*. Autor jej, z pochodzenia Francuz, ks. Charon, przed wielu laty przyjął wschodni obrządek i zmienił swe nazwisko na słowiańskie Cyryla K o r o l e w s k i e g o. Pracuje naukowo w Rzymie, jest dobrym znawcą obrządków wschodnich, zwłaszcza melchickiego, należy także jako konsultor do Kongregacji kościołów Wschodnich. W cytowanej broszurze stoi na stanowisku, że usiłowania pociągnięcia do jedności kościelnej wschodnich Kościołów dlatego idą tak opornie i małe wydają rezultaty, że wszystkie zawarte dotychczas unje latynizowały

[1]) W Warszawie wychodzi od pewnego czasu także po rosyjsku pisemko katolickie p. t. *Kitież*, poziom jednak jego odpowiedni nietyle dla ludu, jak raczej dla inteligentniejszych czytelników. (Adres redakcji: Mazowiecka 11, m. 31).

[2]) Adres tego klasztoru i redakcji *Irenikon'u*: Prieurè d'Amay S/Meuse (Belgja).

się z biegiem czasu. Nie pochodziło to z intencyj Stolicy św., która stale zapewnia powracającym do jedności utrzymanie ich obrządku w całej czystości, ale z różnych historycznych powodów, między niemi z niezrozumienia na czem polega obrządek wschodni! Zdaniem Korolewskiego, sprzeniewierzenie się temu obrządkowi zachodzi nietylko wtedy, kiedy się zamienia częściowo liturgję wschodnią na łacińską, lub zapożycza żywcem z tej ostatniej różne praktyki pobożne, ale i wtedy, kiedy kościoły unickie zatracają pewne życiowe zwyczaje Wschodu, np. posty, sposób noszenia się duchowieństwa, kiedy odstępują od norm karności wschodniej i przystosowują się do kodeksu prawa kanonicznego, przyjętego na Zachodzie, kiedy wychowują się duchowo w ascezie zachodniej, wreszcie nawet wtedy, kiedy przyjmują całą dogmatykę, rozwiniętą na Zachodzie już po kościelnym rozłamie w kierunku scholastycznym z zapoznaniem sposobów ujmowania dogmatów, właściwych starym Ojcom Kościoła greckiego. Wyrabia się w ten sposób w katolickiej szkole zupełnie zachodni typ myślenia, podobnie jak i typ nabożeństwa, obyczajów, który z unity czyni człowieka obcego Wschodowi, pomimo nawet zachowania w jakiejś części zewnętrznej szaty obrzędowej. Ten właśnie typ, który rozwija się z jakąś fatalnością wszędzie, gdzie do unji przystąpiono, nazwał ks. Korolewski „unijatyzmem", co w jego poczuciu różni się od unji, jedności, jako takiej i jest zjawiskiem ujemnem i dla postępu jedności kościelnej szkodliwem. Ten typ unity bowiem musi odstręczać prawosławnych i wzbudzać w nich podejrzenie, że unja służy tylko za pomost do latynizacji, do zatracenia swoistej psychiki wschodniego chrześcijaństwa. Za wytwarzanie „unijackiego" typu mniej winni ks. Korolewski łacińskich misjonarzy czy teologów, którym w psychikę wschodnią wczuć się trudno, niż samych unitów, którzy usiłują o ile możności we wszystkiem upodobnić się do swych braci po wierze, łacinników. Nie potrzebujemy dodawać, że ten niepożądany typ „unijatów" znajduje autor broszury przedewszystkiem u naszych grekokatolików, wywodzących swój początek z unji brzeskiej.

Nie możemy tu wdawać się w szczegółowy rozbiór poglądów ks. Korolewskiego, broszura jednak jego zasługiwała na wzmiankę, jako stawiająca przed pracownikami na polu unijnem kwestję: jak szeroko rozciągnąć pojęcie obrządku? Instrukcje Stolicy św. z naciskiem przypominają potrzebę poszanowania obrządku wschodniego w całej jego czystości, lecz w szczegóły nie wchodzą. Czyżby misjonarz wśród prawosławnych, a potem duszpasterz neo-unitów, wreszcie teolog i pisarz, po przyjęciu litery dogmatu katolickiego, po uznaniu zwierzchnictwa papieża nad całym Kościołem, miał

zamknąć przed sobą wszelki dostęp do skarbów Kościoła zachodniego, by przypadkiem nie począł myśleć kategorjami teologów łacińskich, nie zapożyczył czegoś, chociażby pożytecznego z kanoniki, ascetyki czy liturgji łacińskiej? Nie mówimy tu nawet o jednostkach, ale czy taką barjerę ma wystawić przed sobą cały Kościół unicki, by nie stać się, według nomenklatury Korolewskiego, „unijackim"? Zdaje nam się, że nawet w ciasnym zakresie liturgji jest to niemożliwem. Z jednej strony niepodobna po przyjęciu katolicyzmu zachować w niej pewne jawne ślady schizmy, np. kult „świętych", którzy żyli po rozdziale kościołów i mogli być wrogami wiary i Kościoła katolickiego; z drugiej niepodobna nie starać się otrząsnąć swego obrządku z pewnej martwoty, w jakiej pogrążyła go schizma i nie korzystać ze środków, jakie Duch Święty w ciągu wieków podawał Kościołowi prawdziwemu dla rozbudzenia coraz żywszej wiary i miłości ku Zbawicielowi. Nie da się także w dogmatyce poprzestać na św. Janie Damasceńskim z dodaniem późniejszej szkoły bizantyjskiej i najnowszej rosyjskiej (zarażonej *notabene* protestantyzmem), a z wykluczeniem tysiącletniego dorobku myśli teologicznej na Zachodzie. Z rozumowań tedy ks. Korolewskiego tę chyba tylko wskazówkę praktyczną da się wyłuskać, że pracownicy na terenie unji nie mogą przystępować do działalności z jednostronnem przygotowaniem, jakieby im wystarczyło gdzie indziej, i bez doskonałego wniknięcia w duszę ludzi Wschodu; po drugie, że to, co się przeszczepi na teren unji z Kościoła łacińskiego, nie powinno być przenoszone stamtąd żywcem, ale winno harmonijnie kojarzyć się z dotychczasowemi formami życia religijnego na Wschodzie, przystosowując się o ile tylko można do jego typu, do jego stylu. Jeżeli zaś i to ktoś nazwie drogą do latynizacji, ten stanowczo przenosi formę nad treść religijną, a to nie da się wprost pogodzić z duchem prawdziwego katolicyzmu.

Poza tem zastrzeżeniem w pracy unijnej na naszych kresach wzięto za zasadę uszanować wszystkie właściwości obrządkowe, jakie wytworzyły się w cerkwi rosyjskiej i do jakich przywykła ludność prawosławna, o ile tylko dadzą się one pogodzić z wiarą katolicką. Niektórzy nawet skłonni są uważać ten obrządek, nazywany urzędowo wschodniosłowiańskim, za odrębny i inny od obrządku unitów galicyjskich, grecko-katolickiego, jako bardzo już zlatynizowanego. Jakże się zmieniły zapatrywania owych czasów, kiedy to na Podlasiu gotujący się do odstępstwa Popiele i Wójciccy „oczyszczali" obrządek z „łacińskich naleciałości", a lud tych naleciałości bronił i kiedy Pius IX w encyklice 3 maja 1874 r. gromił owych rzekomych purystów i stawał w obro-

nie tych zmian, jakie w obrządku unickim zostały zaprowadzone na synodzie zamojskim i zatwierdzone przez Stolicę św.! Wtedy pewne zakusy puryfikacyjne nawet w Galicji były podejrzewane o schizmę, jak np. używanie krzyża z ukośną przecznicą. Obecnie niektórzy zwolennicy „czystości wschodniego obrządku" z pośród katolików, wręcz przeciwnie oskarżają unitów galicyjskich o zbyt wielkie zlatynizowanie swojej liturgji i w tej także okoliczności upatrują przeszkodę do użycia ich do pracy apostolskiej wśród prawosławnych... Zresztą i wśród unitów w Galicji nie brak głosów, domagających się przywrócenia unji typu czysto wschodniego, nawet według pojęć ks. Korolewskiego. Rzecznikiem takiej puryfikacji jest między innymi ks. Dr Kostelnyk w miesięczniku *Nywa,* wydawanym dla księży ruskich we Lwowie. Rozróżnia on dwa typy chrześcijaństwa: romanizm i helenizm i ten drugi uważa za jedynie odpowiedni dla kościoła unickiego i korzystny dla postępów jedności kościelnej na Wschodzie. O tych debatach wspominamy zresztą tylko mimochodem dla lepszego uwydatnienia ważności problemu obrządkowego w pracy unijnej. Szczegółowe jego rozpatrzenie i obowiązujące w praktyce rozstrzygnięcia należą już do władz kościelnych.

Ks. Jan Urban T. J.

Powstanie spółdzielczości spożywczej i jej stan obecny w Polsce.

Wyzysk, który w I połowie XIX w., poparty doktryną. liberalnej szkoły ekonomicznej, święcił niebywałe orgje, wywołał dwie formy samoobrony u pokrzywdzonych rzesz robotników, pozbawionych opieki państwa w myśl podstawowej zasady liberalnej szkoły, że prawa naturalne, rządzące życiem społecznem ułożą same wszystko jak najpomyślniej dla wszystkich, byle tylko ich działaniu dać folgę.

Jedną z tych form samoobrony był strajk, drugą współdzielczość. Obie zrodziły się w Anglji, na tym samym gruncie, co doktryna ekonomiczna, która w swych skutkach je wywołała. Z Anglji przeniosły się i do nas.

Jakkolwiek obie miały ten sam cel na oku: mianowicie obronę przed wyzyskiem kapitalistów, to jednak zgoła odmiennego były ducha.

Duchem strajku była społeczna walka o byt, duchem współdzielczości społeczna współpraca dla ułatwienia sobie wzajemnie egzystencji. Strajk — był tylko nową, obok konkurencji, formą

walki o byt, formą swoistą dla warstw żyjących z pracy najemnej, formą jednak zgodną z doktryną liberalizmu, która wszak sankcjonowała wzajemne wydzieranie sobie zysku w gospodarstwie. Spółdzielczość natomiast była z istoty swej obcą liberalizmowi, a to nietyle przez ideę współpracy, ile przez ideę wyrugowania zysku z gospodarstwa. Rzecz przytem szczególna — spółdzielczość jest dzieckiem *bussinessman'a* pierwszej klasy, „jednego z książąt przemysłu" Roberta Owena, który nadto z powodów zasadniczych wcale dziwnych, do tego dziecka nie miał ochoty się przyznać. Uważając bowiem, że dla wyrugowania zysku, trzeba koniecznie znieść jego jedyne narzędzie, pieniądze, albowiem przez nie wszędzie zysk się wciska, uwziął się, by wynaleźć kombinację spółdzielczą, ale taką: usuwającą pieniądz jako środek wymiany. Zaczął od kombinacyj komunistycznych. Nie udała mu się żadna; pozakładane kolonje komunistyczne po krótkiem trwaniu poupadały. Nie udało mu się również zastąpienie pieniądza jako miernika wartości, bonami pracy, czego próbował w stowarzyszeniu, które nazwał magazynem wymiany, gdzie tyle bonów pracy miał otrzymać wytwórca, ile godzin pracy kosztował go produkt. Okazało się to kombinacją otwierającą drogę do wyzysku wzajemnego jeszcze większego niż przy pośrednictwie pieniądza. Ale mimo tych doświadczeń Owen nie zmienił swego poglądu, że tam gdzie pieniądz środkiem wymiany, zysku nie da się usunąć. To też z pewnem lekceważeniem spoglądał na założone w Rochdal z inicjatywy jego własnych uczniów pierwsze udane stowarzyszenie spółdzielcze. Uważał je za pewnego rodzaju przedsiębiorstwo filantropijne, niegodne zresztą jego ideałów spółdzielczych, jako że przyjęło pieniądz za środek wymiany. Tymczasem dzięki temu właśnie udało się tam wprowadzić w życie jego pomysły reformatorskie, mianowicie wyrugowanie zysku kapitalistycznego przez usunięcie pośrednika handlowego przy nawiązaniu bezpośredniego stosunku między wytwórcami a spożywcami. Ewentualny zysk pieniężny postanowiono usunąć przez zwroty nadwyżek ze sprzedaży produktów stowarzyszonym a to w stosunku do kwoty uskutecznionych przez nich zakupów.

Ci, którzy pierwsi wprowadzili to w czyn nazwali się Sprawiedliwymi Pionierami z Rochdal. Dzięki nim dziecko Owena, spółdzielczość, wreszcie przyszło na świat. Od nich też zaczął się w świecie pracy ruch realizujący to, co Owen zawsze wskazywał robotnikom jako sposób właściwy wyzwolenia się od wyzysku kapitalistów: nie wywłaszczanie cudzych bogactw, lecz stwarzanie nowych kapitałów, przez organizację nowych form przedsiębiorstw, w którychby pracownik mógł sobie zachowywać całkowity wytwór swej pracy.

To założone w Rochdal stowarzyszenie było pierwszą spółdzielnią spożywców. Przy powstaniu w 1843 r. liczyło tylko 28 członków, lecz wkrótce wykazało takie pożytki, że w parę lat li-

czyło już kilkaset członków, a po wszystkich okręgach robotniczych Anglji zaczęły się mnożyć podobne organizacje. Dla wydatniejszej działalności potworzyły związki, pozakładały własne magazyny handlowe i wytwórnie dla swych członków, i dziś są armją, liczącą w Anglji około 5,200.000 członków, w 1.200 spółdzielniach posiadających 100 własnych wytwórni i wykazujących obrót roczny wyżej 200 miljonów funtów szterlingów.

Jakże się rzecz przedstawia u nas. Pierwsze zwiastuny ruchu zjawiły się około 1870 r. Przyjęły się nierównomiernie. Najlepiej na gruncie Kongresówki, mniej w Małopolsce a najmniej w Wielkopolsce (za to w tych dwu dzielnicach rozwinęła się silnie spółdzielczość kredytowa i handlowo-rolnicza). W Kongresówce spółdzielczość znalazła gorącego apostoła w E. Abramowskim, który ją propagował w szeregu swych rozpraw upatrując w niej drogę do urzeczywistnienia „socjalizmu bezpaństwowego" według własnego pomysłu. Praktycznie zaś ogromne zasługi położył dla spółdzielczości St. Wojciechowski, późniejszy prezydent Rzeczypospolitej.

Już przed wojną spółdzielnie spożywcze doszły u nas do wcale pokaźnej liczby. W 1914 r. istniało ich na całym obszarze dzisiejszej Polski aż 1090 [1]). Były jednak przeważnie drobnego typu i przeważnie niezorganizowane w związki, wykazywały zaś tylko 150.000 członków. Wojna ruch spożywczo - spółdzielczy ożywiła, z rozmachem jednak zaczął dopiero się szerzyć po odżyciu Państwa i doprowadził w 1927 r. do 4.204 czynnych spółdzielni.

Z pośród nich było z początkiem 1927 r. tylko 2.029 spółdzielni zorganizowanych w związki, reprezentujące 779.349 członków [2]). Związków tych jest siedm. W praktyce życia utworzyły się z nich trzy ugrupowania. Pierwsze to Związek Spółdzielni Spożywców Rzeczp. Polskiej „Społem" w Warszawie i Związek Rewizyjny Spółdzielni Wojskowych; reprezentuje ono 52% ogółu spółdzielni zorganizowanych w związki i 58·4% ich członków.

Drugie ugrupowanie stanowią związki należące do tzw. Unji Związków Spółdzielczych, mianowicie Związek Rewizyjny Spółdzielni Kółek Rolniczych w Krakowie, Związek Spółdzielni Zarobkowych i Gospodarczych w Poznaniu, Związek Stowarzyszeń Zarobkowych i Gospodarczych we Lwowie i wreszcie Związek Spółdzielni Polskich w Warszawie, które razem reprezentują 9·4% spółdzielni związkowych i 28% ich członków. Trzecie zaś ugrupowanie to spółdzielnie ukraińskie, zgrupowane w liczbie 786 [3]) w Związku Rewizyjnym Spółdzielni Ukraińskich we Lwowie (Rewizyjny Sojusz Ukraińskich Kooperatyw), który reprezentuje 38·6% ogółu spółdzielni związkowych, ale tylko 13·6% ich członków.

---

[1]) Kazimierz Weydlich: Ruch współdzielczy.
[2]) „Społem" nr. 1 z r. 1928.
[3]) Dane za r. 1925.

We spółdzielczości spożywczej — podobnie zresztą jak przed wojną — przodują ziemie byłego zaboru rosyjskiego. Działa tam najsilniejszy ze związków, Związek Spółdzielni Spożywców Rzeczp. Polskiej „Społem", obejmujący 817 spółdzielni [1]), (w czem tylko 31 spółdzielni na terenie Małopolski a 22 na terenie Śląska Górnego i Cieszyńskiego). Związek ten liczy około 416 tys. członków. Dla szerzenia umiejętności spożywczo-spółdzielczej, teoretycznej i praktycznej, zwłaszcza zarządom spółdzielni potrzebnej, wydaje poważnie redagowany dwutygodnik instrukcyjny *Społem.* Poza tem dla popularyzacji ruchu spółdzielczego wydaje tygodnik p. t. *Spólnota.* Dla ułatwienia zaś prasie informacji o ruchu spółdzielczym, zorganizował ruchliwe biuro prasowe, rozsyłające komunikaty prasowe o wszystkich aktualnościach ruchu spożywczo-spółdzielczego naszego i zagranicznego [2]).

Najlepszą jednak propagandą dla celów związku są osiągnięte przezeń rezultaty praktyczne w dziedzinie handlowej i wytwórczej. Ilość członków jego spółdzielni wprawdzie zmniejszyła się dość znacznie (o 18% w ciągu dwu lat 1925 i 1926), mimo to jednak wzrosły jego obroty handlowe i wytwórczość. I tak gdy za rok 1925 obrót handlowy hurtowni związkowych wynosił 41 miljonów złotych, to za rok 1926 podniósł się do 54 milj., a za pierwsze tylko półrocze 1927 wykazał 35 milj. zł. co wynosi 51% ponad obrót w tym samym czasie w r. 1926. [3]) Dziś w dziale artykułów spożywczych jest związek największym hurtownikiem w Polsce, a w usuwaniu pośrednictwa handlowego, kroczy na czele innych związków (hurtownie tych razem wykazały za rok 1926 tylko 30 milj. zł. obrotu).

W dziedzinie wytwórczej jest dopiero w początkach pracy nad usunięciem pośrednictwa obcego kapitału. Ogólna wartość produkcji związkowej za rok 1928 doszła 5 miljonów złotych.

Słabiej przedstawia się ruch spożywczo-spółdzielczy na innych obszarach Polski. Tak w Małopolsce, jak zwłaszcza w Wielkopolsce, spółdzielnie kredytowe i spółdzielnie rolniczo-handlowe wysuwają się pod względem gospodarczym i społeczno-ideowym na plan pierwszy. Ruch spożywczo-spółdzielczy o ile chodzi o organizacje polskie nietylko się tu nie rozwija, ale wprost się cofa. Związek Spółdzielni Zarobkowych i Gospodarczych w Poznaniu, wykazał ubytek wynoszący 29·7% członków, a Związek Stowarzyszeń Zarobkowych i Gospodarczych we Lwowie ubytek wynoszący aż 51% członków, za czas od 31/XII 1924 do 31/XII 1926. Zadawalniająco natomiast trzymają się spółdzielnie ruskie.

Naogół Polska w wynikach swego ruchu spożywczo-spółdzielczego pozostaje znacznie w tyle poza innemi krajami europej-

[1]) Dane za rok 1926 „Społem" nr. 1 z r. 1928.

[2]) Adres Związku Spółdzielni Spożywców R. P. a zarazem wymienionych dwóch pism: Warszawa, Mokotów, ul. Grażyny 13.

[3]) Kalendarz „Społem" 1928.

skiemi. Liczbą zorganizowanych wyprzedza tylko Hiszpanję, Bułgarję i może Holandję, która ma tylko 10% ludności zorganizowanej. Możemy ostatecznie pocieszać się tem, że takie Stany Zjednoczone kroczą daleko za nami, mając tylko 2·5% ludności zorganizowanej. Jednem jednak wyprzedza Polska wszystkie kraje świata: spółdzielczością w wojsku. Polska jest jedynym krajem na świecie, posiadającym, obejmującą całą armję, jednolitą i samodzielną organizację spółdzielczą spożywców armji. Organizacja polega na tem, że przy każdym pułku, przy każdym baonie korpusu Ochrony Pogranicza i większych garnizonach, gdzie wyższe dowództwa, istnieją samodzielne, wedle zasad ogólnej ustawy o spółdzielniach funkcjonujące, spółdzielnie spożywców. Należą do nich członkowie korpusu oficerskiego i podoficerowie zawodowi, a czynią zakupy i korzystają z całego dorobku oświatowo-kulturalnego także szeregowi niezawodowi. Wszystkie te spółdzielnie należą do Związku Rewizyjnego Spółdzielni Wojskowych, roztaczającego nad niemi opiekę instrukcyjną. Nadto prowadzi on u nich pracę kulturalno-oświatową i wydaje dla nich pismo fachowe *Społem — Wojskowy Przegląd Spółdzielczy.* Z początkiem 1927 r. było ogółem 238 tych spółdzielni. Nadto należało do Związku 12 spółdzielni mieszkaniowych. Mimo tak wydatnej liczby spółdzielni Związek nie prowadzi samodzielnie działalności handlowej; na podstawie osobnej umowy wszystkie spółdzielnie wojskowe zaopatrują się w towary w hurtowni Związku Spółdzielni Spożywców Rzeczp. Polskiej i w jego oddziałach prowincjonalnych. Za rok 1926 sprzedano we spółdzielniach towarów za 25 milj. zł. Prócz sklepów spożywczych spółdzielnie państwowe posiadały 2 piekarnie, 13 masarni, 17 warstatów szewsko-krawieckich i 12 innych wytwórni, poza tem prowadziły 111 świetlic, herbaciarni, fryzjerni, czytelni itp. Czystego dochodu przyniosły 828.462 zł. z czego przeszło 20% obrócono na cele kulturalne.

Dr. Jan Mikułowski

Radjotelewizja.

Coraz głośniej w świecie o niedalekiej już przyszłości, kiedy będzie można nietylko rozmawiać i słyszeć się poprzez dalekie przestrzenie, ale także widzieć osobę rozmawiającą. Kilka uwag, zamieszczonych w niniejszem sprawozdaniu, pozwoli czytelnikowi zorjentować się, jak daleko posunięto sprawę przenoszenia obrazów drogą telegraficzną i jakiemi środkami to zadanie dzisiaj technika rozwiązuje.

Na czem polega przesłanie obrazu na odległość? Dla wyłuszczenia samej idei tej procedury, wystarczy mówić o obrazie dwutonowym, złożonym jedynie z plam czarnych i białych. Ta-

kim obrazem jest rękopis, druk, karta meteorologiczna; fotografja natomiast jest obrazem wysoce skomplikowanym, zawiera bowiem wszystkie odcienie i stopniowania plam jasnych i ciemnych.

Celem przesłania obrazu drogą telegraficzną, rozkłada się go na sieć, ułożoną z jasnych i ciemnych punktów, podobnie jak na kliszy autotypicznej. Te punkty muszą być przetransponowane na sygnały telegraficzne, które nadaje się i odbiera w tym porządku, w jakim uszeregowano punkty obrazu. Ponieważ w obrazie są tylko dwa rodzaje elementów: punkty jasne i ciemne, więc do sygnalizacji wystarczy włączanie i przerywanie prądu; włączenie prądu da punkt ciemny, przerwanie zaś punkt biały. W ten sposób układ przestrzenny elementów obrazu zamienia się w aparacie nadawczym w następstwo czasowe sygnałów, a zamianę odwrotną uskutecznia aparat odbiorczy.

Taka jest zasada wszelkiego przenoszenia obrazów telegrafem. Zasada ta powstała już w połowie XIX wieku, wkrótce po rozpowszechnieniu się telegrafu. Pierwszymi jej wykonawcami są Bain i Bakewell w Anglji, Caselli we Francji, Hipp w Austrji; od nich bierze początek metoda telautograficzna nadawania obrazów, która przedstawia się następująco. Na metalowej folji sporządza się kopję obrazu zapomocą atramentu, nie przewodzącego prądu elektrycznego. Folję nawija się na walec, osadzony na drobno gwintowanej śrubie, jako na osi. Za każdym obrotem walec przesunie się wzdłuż osi o jeden krok śruby. Folji dotyka w czasie ruchu walca nieruchomy kolec metalowy. Dzięki obrotowi i jednoczesnemu postępowi walca wzdłuż śruby osiowej, kolec opisuje po nawiniętej folji linję śrubową, której skręty leżą bardzo blisko siebie. Na tej linji przechodzi kolec przez miejsca metaliczne lub przez izolowane atramentem. Folja jest połączona z jednym biegunem źródła prądu elektrycznego, kolec z drugim, wiec gdy kolec dotyka miejsca metalicznego folji, płynie prąd i jest nadawany sygnał „czarny"; gdy kolec napotyka miejsce izolowane, prąd się przerywa, nadany jest sygnał „biały".

W aparacie odbiorczym walec identycznych rozmiarów musi wiernie powtarzać ruch walca nadawczego. Ten warunek synchronizmu obu walców jest najważniejszy, jeśli punkty obrazu, odtworzonego na stacji odbiorczej, mają uzyskać to samo rozmieszczenie, co w obrazie nadanym.

Doskonalszą od poprzedniej jest metoda reljefowa, której nazwa pochodzi stąd, że białe i czarne elementy obrazu sa na kliszy nadawczej odróżnione jako wgłębienia i wypukłości. Głębokość reljefu jest miarą stopnia jasności, dzięki czemu można prócz czarnych i białych punktów uwzględnić w nadawaniu punkty pośredniej jasności. Taką rzeźbioną kliszę sporządza Edouard Belin w ten sposób, że obraz fotografuje na bromosrebrnym papierze, w którym żelatyna nabrzmiewa stosownie do światło-

cieni obrazu. Kolec, objeżdżający kliszę, waha się po wzniesieniach i wgłębieniach, a te wahania, przeniesione na opornicę prądu lub na mikrofon, wyzwalają sygnały elektryczne, które polegają na stopniowaniu natężeń prądu.

Przetwarzanie sygnałów elektrycznych na elementy obrazowe, czyli odbiór, może być dokonany różnemi metodami. Najstarszą jest metoda elektrochemiczna. Na walec nawija się papier, przepojony roztworem cyjanku potasu, żelazocyjanku potasu, lub jodku potasu, zadanego skrobią. Jak w aparacie nadawczym, tak i tu kolec dotyka powierzchni papieru. Prąd ze stacji nadawczej, ewentualnie wzmocniony w miejscu odbioru, przechodzi przez walec, papier i kolec i w miejscu zetknięcia kolca z papierem dokonywa przemiany elektrochemicznej, która zaznacza się jako czarny punkt. Gdy kolec w aparacie nadawczym trafi na miejsce izolowane, prąd nie płynie w odbiorniku, zatem miejsce zetknięcia kolca z papierem pozostaje białe. W ten sposób na wirującym wraz z walcem papierze utworzy się linja śrubowa, złożona z kolejnych punktów, względnie ciągów białych i ciemnych, co razem daje wyraźny obraz.

Druga metoda odbioru polega na magnetycznych własnościach prądu. Prąd stacji nadawczej wzbudza magnetyzm w elektromagnesie stacji odbiorczej i tem samem przyciska kolec do walca, obciągniętego papierem i kalką, dając w ten sposób punkt ciemny.

Powyższy schemat nadawania i odbioru ulegał w różnych szczegółach rozwojowi. Folję nadawczą sporządzać można sposobem fotograficznym np. systemem Bakera, ogłoszonym w 1926 r. Carbonnelle umieszcza kolec piszący odbiornika na membranie, czem zwiększa szybkość działania odbiorników elektromagnetycznych. Szybkość tę podają na 600 elementów w sekundzie. Przyjmując więc 16 elementów na milimetrze kwadratowym, możnaby odtworzyć obraz formatu 9×12 cm przybliżenie w 5 minutach. Rozwój radjotelegrafji, zwłaszcza dzięki lampie katodowej, otwarł przed telegrafją obrazów nowe drogi. Przesyłanie sygnałów przewodami elektrycznemi nie może przekraczać pewnej prędkości; tymczasem zwiększenie prędkości nadawania to kwestja życia telegrafji obrazów. Jako wielki sukces przytaczają nadanie 20 obrazków filmowych w ciągu jednej godziny przy doświadczeniach Korna w 1913 r.

Kolosalnym postępem w metodach odbioru było zastąpienie kolca promieniem świetlnym, a kalki papierem fotograficznym. Korn przeprowadza prąd, idący od stacji nadawczej, przez nitkę metalową, umieszczoną między biegunami magnesów: urządzenie, zwane galwanometrem nitkowym. Pod wpływem prądu nitka wychyla się z pierwotnego położenia tem więcej, im prąd jest silniejszy; po ustaniu prądu wraca na dawne miejsce. Nitka zasłania sobą trójkątne okienko, poza którem znajduje się papier

fotograficzny na wirującym walcu. Przed okienkiem, zasłoniętem nitką galwanometru, ustawia się silne światło. Gdy prąd ze stacji nadawczej odchyli nitkę, poprzez mniej lub więcej odsłonięte okienko pada na papier fotograficzny promień światła. Trójkątny kształt okienka zapewnia znaczne stopniowania w natężeniu światła w miarę większych lub mniejszych wychyleń nitki.

Światło i papier fotograficzny wyzyskuje E. Belin przy pomocy oscylografu. Między dwoma biegunami magnesu rozpięta jest pętla z cienkiego drucika, a do niej przytwierdzone małe zwierciadełko. Prąd, płynący w pętli, wychyla ją mniej lub więcej w miarę swego natężenia, a wraz z nią wychyla zwierciadło. Promień światła, odbity od zwierciadła, wykonywa zatem wahania w tem tempie, w jakiem zmienia się prąd w pętli; rzucając ten promień na ścianę, widziałoby się świetlny punkt, drgający tam i zpowrotem w takt ruchów zwierciadła. Zamiast na ścianę, rzuca się ten wahający promień na płytkę szklaną, której przeźroczystość od jednej do drugiej przeciwległej krawędzi przechodzi całą skalę stopniowań aż do zupełnej nieprzeźroczystości. Zależnie od miejsca, na które w tej ustopniowanej blendzie padnie światło, na drugą jej stronę przedostaje się promień mniej lub więcej osłabiony. Tam już czeka na niego soczewka, która każdy promień, przejęty od blendy, przesyła w jeden i ten sam punkt, mianowicie na papier fotograficzny. Obie ostatnie metody dają obrazy z wszystkiemi odcieniami jasności, a przytem w sekundzie odtwarzają kilka tysięcy elementów obrazu. Mimo tej prędkości odbioru nie są to metody wolne od wszelkiej bezwładności i pewnej jeszcze powolności. Prócz światła bowiem muszą iu być wprawione w ruch wcale nieznikome masy drucików t zwierciadła.

Prawie zupełnie wolną od bezwładności jest metoda odbioru, oparta na własnościach komórki Kerra, udoskonalonej przez Karolusa. Nie wdając się w jej mechanizm działania, można komórkę Kerra scharakteryzować jako tego rodzaju blendę czyli przysłonę, która pod wpływem sygnałów elektrycznych staje się mniej lub więcej nieprzeźroczystą — i to w ścisłej zależności od mocy każdego sygnału. Ustawiona pomiędzy źródłem światła, skupionego w jeden promień, a walcem z nawiniętym papierem fotograficznym, taka przysłona, poddana działaniu sygnałów ze stacji nadawczej sprawi to, że promień odtworzy na papierze wszystkie stopnie jasności, jakie posiada nadawany obraz.

Inny jeszcze sposób zużytkowania światła polega na lampach jarzących. Są to rurki, wypełnione rozrzedzonemi gazami, zwykle helem, neonem lub argonem, z tkwiącemi wewnątrz dwiema elektrodami, czyli końcówkami metalowemi, któremi doprowadza się napięcie elektryczne. Gdy to napięcie przekroczy pewną wysokość, gaz w rurce świeci. Można zatem wzmocnione sygnały nadawcze doprowadzać wprost do elektrod lampy jarzą-

cej i zapomocą jej kolejnych błysków i przygasań kopjować obraz na stacji odbiorczej.

Niezwykle szybka technika odbioru byłaby jednak daremną, gdyby nie dorównywała jej w szybkości technika nadawania obrazów. I tutaj, równie jak przy odbiorze, idzie się w kierunku wyzwolenia od bezwładności mas. Zamiast na prąd sygnałowy oddziaływać przez kolec, objeżdżający po obrazie, oddziaływa się nań przez światło poszczególnych elementów obrazu. Pośredniczyła tu komórka selenowa, lub komórka fotoelektryczna.

Pierwiastek chemiczny, selen, posiada tę własność, odkrytą już w r. 1873 przez Smitha i Maya, że wskutek naświetlenia znacznie maleje jego opór elektryczny, a tem samem wzrasta prąd, płynący przez selen. Można zatem stopniem jasności poszczególnych elementów obrazu nadawczego modulować prąd w komórce selenowej, a tem samem punkty świetlne przetwarzać na sygnały elektryczne. Wadą komórki selenowej jest bezwładność, polegająca na tem, że z ustąpieniem bodźca świetlnego nieodrazu powraca jej pierwotny opór. Błąd ten można jednak w znacznym stopniu skompensować. Ostatniem dziś słowem w technice nadawania obrazów jest komórka fotoelektryczna. Jej urządzenie opiera się na zjawisku, odkrytem przez Hallwachsa, że metale naświetlone wyrzucają z siebie elektrony, t. j. elektryczność ujemną, a ilość wyrzuconych elektronów pozostaje w związku z ilością światła, która je wyzwoliła. Tę własność posiadają w wybitnym stopniu szczególniej metale grupy alkalicznej: sód, potas, rubid, cez. W komórce fotoelektrycznej tym elektronom każe się spełniać taką samą funkcję, jaką pełni najpospolitsza skrętka przy żarówce: mają zamykać i otwierać prąd elektryczny. Jest to zwieracz prądu o idealnych zaletach: po pierwsze, elektrony posiadają znikomą masę, praktycznie równą zeru i dlatego szybkość zmian prądu przy pomocy takiego zwieracza jest nieograniczona; a powtóre zależnie od ilości elektronów, prąd jest słabszy lub silniejszy. Tę samą funkcję spełniają elektrony w lampce katodowej, stosowanej w radjofonji; lecz w lampce katodowej wypędza się elektrony z metalu przez żarzenie drucika, w komórce fotoelektrycznej przez naświetlanie katody, powleczonej zazwyczaj amalgamem potasu. Silnie oświetlone elementy obrazu kolejno przesuwają się przed katodą komórki i w miarę swej jasności wydobywają z niej więcej lub mniej elektronów, a tem samem zamykają silniejszy lub słabszy prąd elektryczny. Już w r. 1926 uzyskano szybkość nadania bardzo znaczną; w systemie Karolus-Telefunken wystarczyło $1^1/_2$ minuty na przekazanie obrazu 9×12 cm długiemi falami radjotelegraficznemi; na krótkich falach ten czas ma zejść do 20 sekund.

Rozkład obrazu na elementy dokonywany jest w systemie

Karolus-Telefunken jeszcze starym sposobem: obraz wiruje na walcu, a silny promień światła opisuje na nim linję śrubową, jak kolec w metodzie telautograficznej. Ale ruch wirowy walca ma pewne granice szybkości, których praktycznie nie można przekroczyć.

Na zupełnie nowych zasadach oparli rozkład obrazu dwaj wynalazcy angielscy: Jenkins i Baird. Jenkins prześwietla diapozytyw lub film i światło to rzuca na dwie tarcze szklane, przyszlifowane na obwodzie pryzmatycznie, oraz nadaje tarczom ruch obrotowy, każdej z inną szybkością. Dzięki współdziałaniu tarcz promień, przechodzący przez nie, ulega okresowo powtarzającym się załamaniom, a obraz rozkłada się na linje pionowe i poziome. Wszystko dzieje się tak szybko, że w sekundzie można podobno przesłać do 20 obrazków filmowych. Ładny postęp w porównaniu z próbą Korna w 1913 r. Zamiana światła na prąd dokonywa się w komórce fotoelektrycznej, odbiór zaś uskutecznia się również zapomocą pryzmatycznych tarcz, sterujących po nieruchomym papierze fotograficznym promieniem z lampy, której siła światła zmienia się w zależności od odebranych ze stacji nadawczej sygnałów.

Wszystkie omówione dotąd metody są w zasadzie tylko fototelegrafją. Dopiero system Bairda stanowi krok ku właściwej telewizji. W telewizji chodzi o to, by sygnały elektryczne, na które został rozłożony obraz, wszystkie skupić na bardzo krótkim ułamku sekundy; wówczas dzięki znanej bezwładności siatkówki oka wywołane temi sygnałami błyski świetlne, rozłożone na stacji odbiorczej przestrzennie, będą na oko działać jakby współczesne, a więc wytworzą obraz. — Schemat nadawania i odbioru u Bairda tak się przedstawia. Promienie światła padają z obrazu na nieprzeźroczystą tarczę, zaopatrzoną na powierzchni w otworki, które ułożono w pewną linję krzywą tak, że otworki przypadają kolejno coraz bliżej środka tarczy, to znów coraz bliżej obwodu. Tarcza wykonywa 600 obrotów w minucie. Za nią wiruje w przeciwnym kierunku z częstością 2000 obrotów na minutę druga tarcza, wyglądem przypominająca koło zębate z głębokiemi prostokątnemi wcięciami. Patrząc przez te zęby i otworki tarcz w czasie obrotu, widzi się całkowity obraz, choć jest oczywiste, że poprzez otworki i wcięcia w każdej chwili dochodzi do oka światło tylko z małego i to coraz innego elementu obrazu; lecz wrażenia następują po sobie tak szybko, że oko zlewa je w jeden obraz. Ale nie zleje ich w jedno komórka fotoelektryczna. Dla niej każde dwa niejednoczesne promienie są osobnem wrażeniem; każdy więc punkt obrazu będzie w niej transponowany na odrębny sygnał elektryczny. Te sygnały, odpowiednio wzmocnione na stacji odbiorczej, wzniecają kolejne błyski w lampach jarzących, rozmieszczonych na wirującej tarczy w takiej samej linji krzywej, jak otworki w tarczy aparatu nadawczego. Dzięki temu samemu roz-

stawieniu lamp szybko wirująca tarcza powoduje zlewanie się w oku kolejnych błysków w jeden obraz. — Nie umiemy podać, do jakiego stopnia doskonałości Baird zdołał doprowadzić swój system; że jednak celem jego prac nie jest jedynie doskonała telegrafja obrazów, lecz telewizja, o tem świadczy sama nazwa założonej w Anglji „Baird Television Developpment Co".

Trudno dziś przewidzieć, jakie będą dalsze losy radjotelewizji. Już Korn w 1926 r. zwraca uwagę, że w koło wysiłków nad ziszczeniem telewizji nie wciągnięto promieni katodowych czyli elektronów w oddawna znanem urządzeniu, zwanem rurką Brauna. Dziś możemy zanotować fantastycznie brzmiącą wiadomość, że przy pomocy udoskonalonej rurki Brauna świeżo udało się Rogowskiemu w Akwizgranie rejestrować fotograficznie zmiany i analizować ruchy, dokonywane w miljardowej cząstce sekundy. Tak wielka szybkość analizy obrazu o wiele przekroczyłaby najdalej idące wymagania telewizji.

Trzeba zwrócić uwagę na jeszcze jedną możliwość postępu. Dotychczas przesyła się obrazy tylko jedną falą, a zatem jako pojedynczy ciąg sygnałów. Niewiadomo jednak, czy nie uda się znaleźć sposobów, aby kilka części obrazu nadawać i odbierać równolegle kilkoma falami, względnie jedną falą złożoną, którą rozwikła się przy odbiorze. Są to zagadnienia, które już w najbliższych latach mogą być rozwiązane, jeśli telewizja, najmłodsze dziecko radjotechniki, róść będzie tak szybko, jak dotąd.

Ks. J. Dorda T. J.

REDAKTOR I WYDAWCA: *KS. JAN URBAN T. J.*

Druk ukończono 31 marca 1928 r.

Twierdza Ossolińskiego.

aere perennius.

Za kilka tygodni we Lwowie, podczas Zielonych Świąt, obchodzić będzie nauka i kultura Polski setną rocznicę działalności Instytutu Narodowego, który przekazał ówczesnym gnębionym rodakom Józef Maksymiljan Ossoliński ku pokrzepieniu serc i ducha dalszych, najdalszych pokoleń. Z całą świadomością a zarazem wrodzoną mu skromnością tworzył *monumentum aere perennius*... naprzekór panoszącej się wtedy c. k. germanizacji. Kiedy dogorywał w Wiedniu J. M. Ossoliński 17 marca 1826 r. dzieło, które go przeżyć miało, już było obmyślane przezornie i zabezpieczone od podstępów wroga.

Potomek zasłużonego w Polsce rodu Toporczyków, z Tęczyna ród swój wiodących, po ojcu i po matce z Ossolińskimi najbliżej krwią związany, był typem staropolskim w najlepszem tego wyrazu znaczeniu. Urodzony w 1748 r. w Woli Mieleckiej zapamiętał, jako podrostek, schyłek panowania Augusta III. Kształcił się u OO. Jezuitów w Warszawie i bardzo wiele im zawdzięczał, aby tylko wspomnieć tu ks. Adama Naruszewicza i ks. Karola Wyrwicza.

Wcześnie rwał się do pióra, mając dostęp do „Zabaw przyjemnych i pożytecznych" (1769—1777) i do „Monitora". Szczęśliwie trafił na początki działań Stanisława Augusta, korzystając z bibljoteki królewskiej; dla dalszych jego umiłowań było najważniejszem, że uczęszczając do bibljoteki Załuskich, zżył się z Janockim, niepospolitym bibljotekarzem. Ten wprowadzał go w tajniki olbrzymiego księgozbioru warszawskiego. Nabierał tak Ossoliński zamłodu w Polsce wol-

nej tchu i sił do dalszej obywatelskiej działalności, która przypaść już miała w dzielnicy zagrabionej rozbiorem, dokąd go kierowały dobra po ojcu odziedziczone.

Nie będziemy tu wchodzić w szczegóły biograficzne, skądinąd znane i rozjaśnione[1]). Przypomnijmy tylko, że jako deputat obywatelstwa polskiego w sprawach galicyjskich przebywał przez czas dłuższy w Wiedniu i wcześnie zbliżył się do dworu cesarskiego, aby zapewnić sobie poparcie w planach, któremi się nie chwalił, ale miał już wtedy zamiary narodowe na myśli. Trafił bowiem Ossoliński do Wiednia na lata, jakby stworzone dla zbierania bibljoteki. Józef II skasował w całem swem państwie klasztory i nieprzebrane tysiące książek zaroiły się w Wiedniu. — Po klęsce maciejowickiej i po tragedji trzeciego rozbioru J. M. Ossoliński nie mógł już marzyć o zabiegach dyplomatyczno-politycznych z Kościuszką. Zwrócił się ostatecznie ku bibljofilstwu, którego podstawy były już w owych latach (1794 r.) bardzo poważne, skoro bibljoteka J. M. Ossolińskiego opierała się na bibljotece rodowej zamku Ossolińskich, dubletach Tad. Czackiego, części zbioru księdza Hieronima Juszyńskiego i t. d.[2]). Szczęśliwy los pozwolił Ossolińskiemu pozyskać wcześnie towarzysza zabiegów bibljotecznych tej miary, co Sam. Bogumił Linde, którego stosunek dziesięcioletni z bibljoteką Ossolińskiego wydał błogosławione owoce i dla zbiorów przyszłego lwowskiego fundatora i dla twórcy rosnącego już z roku na rok Słownika języka polskiego. — Nadeszła jednak chwila koniecznej rozłąki obu mężów nauki, jakby stworzonych do stałej współpracy. Kiedy powstało w Warszawie w r. 1804 Liceum, rząd ówczesny nie mógł znaleźć lepszego dyrektora, niż właśnie Lindego. Mówi o tem sam Ossoliński w bardzo ciekawym liście własnoręcznym do księcia Generała Ziem Podolskich Ad. Kaz. Czartoryskiego. Z listu tego przytaczam tu kilka ważniejszych ustępów:

---

[1]) W. Kętrzyński: *Z. N. im. Ossolińskich,* Lwów, 1894. M. Gębarowicz i K. Tyszkowski: *Z. Nar. im. Ossolińskich,* Lwów, 1926. Prof. A. Fischer: *Z. N. im. Ossolińskich, Zarys Dziejów.* Lwów, 1927, stron 120 z 23 ilustracjami.

[2]) Ob. studjum prof. Fischera l. c. str. 20.

Z Wiednia, 19 Decembris 1803.

Lindego charakter nie jest zawodny. Potrzebuje jednak ośmiu lat czasu przy nowym zatrudnieniu, które wziął na siebie, ażeby jego Dykcjonarz cały wyszedł... Idzie tu o dzieło, które choćby i niedoskonałe było, jak ja go znam, jest niezmiernie ważnym zbiorem materjałów; ponowione tak snadnie być nie może, i służy za zasadę wydoskonalenia języka pracą czyją, któryby ten skład krytycznie przebrakował i roztrząsnął... Doskonałością tego dzieła ma być choćby i zbyteczna obfitość... Dopiero potym klasyczne dzieło z niego się wybrać może [1]).

Już z tych zdań widzimy życzliwe a zarazem samodzielne stanowisko Ossolińskiego wobec tyloletniej, mozolnej pracy Lindego.

Pierwotny zamiar Ossolińskiego, aby zbiory swe ulokować w Zamościu, należącym wówczas do Austrji, nie mógł przyjść do skutku, ponieważ Zamość w r. 1809 przeszedł do Księstwa Warszawskiego. Ossoliński zdecydował się na przeniesienie fundacji swej do Lwowa. Kupił tam w r. 1817 na licytacji klasztor pokarmelitański (po Karmelitankach trzewiczkowych), ułożył statut dla swej fundacji, potwierdzony przez cesarza Franciszka I (8 maja 1817 r.) i ułożył plan swej fundacji w sześćdziesięciu paragrafach, a wśród nich mieścił się obowiązek wydawania c z a s o p i s m a n a u k o w e g o. Już od początku chciał bowiem przezorny patrjota stworzyć we Lwowie, na kresach wschodnich, ognisko silne dla badań naukowych nad dziejami literatury i kultury polskiej.

Pomimo przeszkód, jakie tej wspaniałomyślnej fundacji losy przeciwne stawiać poczęły, myśl obywatelska inicjatora i fundatora wzięła górę:

...pragnąłem jedynie zrobić przysługę swej ojczyźnie, rozciągnąć jej użyteczność do najdalszych pokoleń. Jeżeli nadając temu dziełu istnienie, nadałem i t r w a ł o ś ć, celu mych zamiarów dopiąłem. Mogę rzec z Horacym: *exegi monumentum aere perennius* [2]).

Bóg pobłogosławił szlachetnym zamiarom Ossolińskiego. Monument jego nie jest martwym zbiorem rękopisów i ksiąg.

---

[1]) Arch. Dom. XX. Czartoryskich, sygn. 23, str. 285—287 *(passim).*

[2]) F i s c h e r, l. c. str. 31.

On naprawdę żyje i szerzy życie duchowe z pokolenia w pokolenie.

Wizerunek duchowy obywatela patrjoty nie byłby wyraźnym, gdybyśmy nie wspomnieli bodaj pokrótce, czem wypełnił on długi a pracowity swój żywot: nie samem przecież zbieraniem rzadkich rękopisów i druków polskich i obcych! Miał on swoje umiłowania, mocniejsze od śmierci. Wyraził je w dziele zbiorowem, pełnem olbrzymiej erudycji, a odstraszającem dzisiejszą powojenną młodzież samemi rozmiarami niesamowitemi. Wszakżeż jego „Wiadomości Historyczno-krytyczne do dziejów Litereratury Polskiej" (tytuł bez końca jak tasiemiec), zaczęte w druku 1819 roku, a niedokończone za życia, objęły ogółem w pięciu tomach in 8^0 stronic przeszło dwa tysiące sześćset! Dla niejednego może ten cały antykwaryczny zbiór nazwać się *rudis indigestaque moles*, ale doświadczony szperacz znajdzie tam i dziś jeszcze po pracach Czackiego, Lelewela, Bentkowskiego, Wiszniewskiego i w. i. sporo żywiącego, niespleśniałego ziarna, sporo pobudki do dalszych poszukiwań owocnych. Same przedmowy do tych tomów są dziś niezwykłe, oryginalne, dziwaczne, nieraz cierpkie i chropawe, ale zawsze swojskie i pouczające. Co krok, bibljograf trzyma tam za połę historyka, obaj sobie bądź pomagają, bądź przeszkadzają. Jedyna to w swoim rodzaju gmatwanina. Wszystko pisane przeważnie stylem i tokiem Liwiusza, w którym do końca życia smakował Ossoliński — aleć i wpływ staropolskich wyrazów co krok się przebija.

Przyjaciel Linde ciągle tam żywy i słownik jego właśnie u boku Ossolińskiego powstawał wyraźnie. Wiek XVI lwią część „Wiadomości" pochłonął. Stanisław Orzechowski (stryjec herbowny!) ledwie się w dwu tomach na przeszło dziewięciuset stronicach rozsadził! Jego tu mowa brzmi najdonośniej. Lindemu się zwierzał z trosk swych autorskich:

Jak tu widzisz, rozmaite wiadomości pod różne życiopisma podłożone, tak w samej rzeczy je skupiałem... Czego później dopadłem, to na łożnych dokładałem świstkach... Pisało się w domu i w drodze, w tej i owej bibljotece, wśród zgiełku miasta i w mojem lubem, badeńskiem ustroniu...

A do członków Towarzystwa Warsz. Przyjaciół Nauk szczerze jak ziemianin powie:

Niechaj chcący korzystać z mojej zbierki, pamiętają, że im zostaje wiązać i kopić... Przecież, gdy czas przyjdzie i sama mieszanina uporządzi się na słownik życio- i księgopiski... Nie doczekam ja tego; ale wziąłem środki, żeby puścizna po mnie narodu nie minęła...

Francuz Bayle był mu oczywiście dalekim a poważanym wzorem... Aleć i swojskie przykłady zagrzewały i krzepiły. Z przedmowy do tomu III bije żywa wdzięczność dla mistrza szkół jezuickich A. Naruszewicza, co splotła się z uwielbieniem obywatelskiem, polskiem dla naczelnika Szkoły Kadetów, a zarazem autora *Myśli o pisarzach polskich.*

„Wiadomości histor.-krytyczne" dotarły niebawem do Wilna i obudziły tam żywe zainteresowanie młodzieży uniwersyteckiej. Między Filomatami rej wodził zawsze rozległem oczytaniem i wszechstronnością Franciszek Malewski, który jako syn rektora Uniwersytetu wileńskiego miał łatwy dostęp do wszelkich nowości księgarskich. On też pierwszy zwrócił uwagę przyjaciela swego, nauczyciela kowieńskiego, pisząc 21 października 1819 r. z Wilna do Ad. Mickiewicza:

Czy widziałeś kiedy dzieło Ossolińskiego *Wiadomości historyczne?* Ja je raz już czytałem i teraz czytam, bo się n a c z y t a ć n i e m o g ę. Co do pracy, gruntowności badań, dzieło, można powiedzieć, pierwsze w polskim języku, co do s t y l u k l a s y c z n e; tyle dawnych, pięknych, wskrzeszonych wyrazów, tyle toków (!) łacińskich żywcem przeniesionych! Jak tylko dzieło to o d t a n i e j e, kupię je sobie i kupi książnica filomatów — dojdzie do ciebie.

Ale dobre chęci Malewskiego nie starczyły. Tych rozmiarów dzieło nie „odtaniało". Za drogie było dla filomatycznych kieszeni. Bądź co bądź, zachwyt Malewskiego był szczery, jakkolwiek miał się w Warszawie spotkać z oziębiającą krytyką, skoro Pietraszkiewicz ze stolicy naszej donosił o tem, jak wygadują tam na karczemny styl *Wiadomości!* Już zbytnio dawała się czuć odległość czasów między pokoleniem Załuskich a wielbicielami Osińskich.[1])

[1]) *Korespondencja Filaretów,* wyd. Czubka, t. I, 174 (9. X. 1819); 8. I. 1820; 22. I. 1820; 25. X. 1820; 7. III. 1821; 25. X, 1821.

Trudno zresztą dziwić się młodzieży ówczesnej warszawskiej, skoro nawet uczony tej miary co Michał Wiszniewski jeszcze w kilkanaście lat potem w sposób lekceważący [1]) wyraził się o doniosłości studjów historyczno-krytycznych Ossolińskiego, zrażony ich archaicznym, dziwacznym gawędziarstwem. Istotnie, darem opowiadania nie celował, a brakiem pomysłowej konstrukcji ideowej mógł odstraszyć.

Natomiast skrzętnem gromadzeniem olbrzymiego materjału historyczno-obyczajowego do wielkiej epoki Zygmunta Starego, dawał przykład, jak zbierać budulec monograficzny i jak od monografij mniejszych dążyć ku syntezie wielkiej, obejmującej przełomowe w Rzpltej czasy. Pójdą za nim inni aż do dni naszych.

Losy instytucji, założonej zabiegami i zasługą Ossolińskiego, przechodziły koleje zmienne, jak wszystko, co polskie w latach dzielnicowych. Dał ten instytut od początku niemal „próbę kochania", kiedy przebył prześladowania policji austrjackiej. Nie tu miejsce rozwodzić się nad patrjotyzmem Konstantego Słotwińskiego, dyrektora Zakładu Ossolińskich, skazanego na ośm lat Kufsteinu. Zwolna tylko zaczęło Ossolineum po zabliźnieniu ran, zadanych przez głupią i mściwą biurokrację czarnożółtą, dawać dowody swej żywiołowej siły.

Dopiero po wprowadzeniu konstytucji 1867 r. za kuratorji księcia Jerzego Lubomirskiego zaczęło Ossolineum odgrywać właściwą sobie rolę. Kurator potrafił dobrać instytucji odpowiednich ludzi, jak Bielowski, Antoni Małecki, W. Kętrzyński. Stanęła otworem dla młodzieży akademickiej czytelnia, doskonale zorganizowana.

Ossolineum stało się i zostało rojem pracowitych pszczół, zbierających miód dla użytku całych pokoleń... Któż dziś obliczy, ile Ossolineum wydało z siebie uczonych i znanych pracowników? Cyfry rosły zdumiewająco. Kiedy w roku 1880 w pracowni naukowej Ossolinei studjowało 1959 osób, to w r. 1901 studjowało ich już 5.757, a podany w monografji prof. Fischera na str. 87 diagram ruchu w pracowni

[1]) HLP. (1840) t. I, 144. Chwali obywatelskie zasługi O-go, a nie umie wniknąć w duchowe pobudki pisarza, poniekąd jeszcze samouka.

Zakładu Narodowego dosięga w r. 1912 niebywałej wysokości, aby potem w latach 1915 i 1919 skutkiem wojny światowej, a potem polsko-ukraińskiej, spaść do zatrważającego poziomu, z którego znowu dźwiga się strzeliście w r. 1925.

Nie mniej pouczającym jest spis kuratorów, dyrektorów, kustoszów, sekretarzy, stypendystów Zakładu Ossolińskich. Jakiemiż glossami mógłby ktoś, świadomy czasów i ludzi, opatrywać niejedno głośne nazwisko! Znajdzie się z pewnością taki specjalista-pamiętnikarz, który przypomni dzisiejszym, skąd się wziął w Zakładzie Ossolińskich w roku 1833 Karol Sienkiewicz, jaki to był *ammanuensis* Mieczysław Romanowski (1860—1863), jak zaś upamiętnili się stypendyści tacy, jak Józef Dzierzkowski, Stanisław Przyłęcki i Józef Kaz. Turowski.

Miało Ossolineum pokolenia dzielnych ludzi, których z tkliwem wzruszeniem przycisnąłby do łona swego wielki fundator Zakładu — dziś zaś podrasta młode pokolenie gorliwych, z roku na rok coraz więcej zasługujących się pracowników młodych i najmłodszych. Żywotność instytutu coraz wspanialsze daje owoce. Oby dalsze stulecie spełniło nadzieje Założyciela, oby Ossolineum stawało się coraz głośniej i pożyteczniej dla całej Polski *aere perennius!*

Józef Kallenbach.

Z dyskusji o ustrój szkoły średniej.

Cała Europa powojenna zainteresowała się bardzo żywo sprawami szkolnemi. Reformy Gentile'go we Włoszech, krótkotrwałe zwycięstwo Bérarda we Francji, gruntowne przemiany w metodach nauczania w Niemczech, nie mówiąc już o wielkim ruchu w tej dziedzinie, jaki obserwujemy w krajach anglosaskich, wszystko to dowodzi, jak po wojnie gorąco wzięły sobie do serca narody kulturalne wychowanie i wykształcenie młodego pokolenia.

Nasze państwo znalazło się w sytuacji jeszcze trudniejszej, niż społeczeństwa oddawna cieszące się wyrobioną tradycją państwową. Odziedziczyliśmy przedewszystkiem różne systemy szkolne i wychowawcze, stosowane w państwach zaborczych, systemy obce naszym potrzebom, niezawsze dostatecznie rozwinięte, systemy zresztą przedwojenne. Trzeba więc było polonizować szkolnictwo wprost doraźnie i dążyć do ujednostajnienia nauczania w całej Polsce. Stosunkowo szybko zabrano się do ustalenia programów i typów szkół średnich; szkolnictwo powszechne ogromnie rozległe, bardzo rozmaicie postawione w różnych dzielnicach, mające przytem niepospolicie wielkie zadania w państwie, przygniecionem ogromną liczbą analfabetów, rozbudowywało się szybko pod dyktandem potrzeb życia. Wysiłek ten zilustrować można cyframi osiągniętemi w niedługim czasie. Jeżeli dziś mamy przeszło 64.000 nauczycieli i ponad 26.000 szkół powszechnych, to jest to dowód wielkiej pracy i starania o podniesienie oświaty w szerokich masach.

Przy tak intensywnej rozbudowie wszerz niezawsze równym krokiem szła organizacja wewnętrzna, w znaczeniu założeń ideowych. Zasadniczo wcześniej przystąpiono do

rzeczy raczej łatwiejszych i ustawowo określono organizację szkół wyższych, dość wczas opracowano szczegółowo programy różnych typów szkoły średniej ogólnokształcącej, ale szkoła powszechna rozwijała się w całokształcie szkolnictwa w ogólnie zakreślonych ramach siedmioletniej nauki. Dyskusje na temat stosunku szkoły powszechnej do średniej trwały dość długo bez rezultatu konkretnego, gdy nagle wicepremjer Bartel zapowiedział (przed półtora rokiem) ostateczne ustalenie ustroju szkolnictwa w duchu szkoły jednolitej. Zwołana dnia 5 grudnia 1926 r. komisja ministerjalna uchwaliła tezy zasadnicze reformy, ogłoszone w prasie z początkiem lutego 1927 r.[1]) Niektóre z nich, jak np. piąta, postanawiająca zniesienie egzaminów dojrzałości a zastąpienie ich egzaminami wstępnemi do uczelni akademickich, nie były zasadami istotnemi. Komisja obradowała jednak dalej pod przewodnictwem Ministra W. R. i O. P. Dra Dobruckiego i wygotowała na jesień r. 1927 projekt ustawy. W przedmowie do tej publikacji p. Minister, przypomniawszy długie prace przygotowawcze, wypowiada słowa nacechowane głębokiem zrozumieniem ważności decyzji w tej sprawie: „Spodziewam się, że dyskusja publiczna nad nim przyniesie wiele wartościowych argumentów i wniosków, które z całą troską

[1]) Brzmiały one: 1. obowiązek szkolny zaczyna się dla dziecka w tym roku kalendarzowym, w którym ono kończy lat 7; jednakowoż mogą być przyjmowane dzieci sześcioletnie, odpowiednio rozwinięte; 2. szkolnictwo powszechne siedmioletnie z równoczesnem dążeniem do możliwie najwyższego stopnia organizacyjnego szkół (t. zn., by zakładać szkoły kilkuklasowe); 3. program szkół średnich ogólnokształcących, oparty na programie 7-letniej szk. powsz.; 4. szkoła średnia pięcioletnia połączona z gimnazjum dwuletniem przygotowującem do uniwersytetu trwa lat 5; 5. egzamin dojrzałości zniesiony, natomiast ma obowiązywać egzamin wstępny do gimnazjów, względnie do wyższych uczelni; 6. szkoły zawodowe winny przyjmować młodzież po wypełnieniu przez nią obowiązku szkolnego, to zn. najwcześniej w wieku lat 14-tu lub 13-tu; dążyć należy do przezwyciężenia niewłaściwego stosunku opinji do szkół zawodowych, między innemi przez nadanie tym szkołom należytych uprawnień w stosunku do szkół wyższych; 7. w ustroju szkolnictwa doniosłą rolę ma odegrać szkolnictwo dokształcające; 8. reforma ma być realizowana z energją, ale zarazem z całą oględnością, przy zachowaniu zasady stopniowego, ewolucyjnego przekształcania szkolnictwa istniejącego.

(*Przegl. Ped.* r. 1927, str. 115).

o wybór najlepszego rozwiązania tych ważnych zagadnień wezmę pod rozwagę". [1])

Ustawa jest bardzo zwięzła: postanowienia szczegółowe obejmują tylko 21 artykułów. Kto jednak pragnie zrozumieć ducha ustawy i dojść jej źródeł, musi przestudjować dość szczegółowe objaśnienia, a nieraz zajrzeć jeszcze do podstawowej pracy naczelnika wydziału Min. W. R. i O. P., p. Wł. Radwana: „Postulaty w sprawie ustroju szkolnictwa w Rzeczypospolitej Polskiej" (Warszawa 1925).

Ustawę ożywia szlachetna myśl, by „otwierać dostęp do szkół wszelkich stopni dzielnym i zdolnym jednostkom z wszelkich środowisk społecznych tak, aby drogą naturalnego współzawodnictwa wyższe poziomy wykształcenia osiągały jednostki najbardziej odpowiednie" (Ustawa o ustroju szkolnictwa, str. 13). Ponieważ dotychczas o dostępie do wyższych stopni wykształcenia decydował często los, bo np. w danej miejscowości było gimnazjum, więc dzieci tam mieszkających rodziców były uprzywilejowane, podczas gdy zdolne dzieci wiejskie musiały kończyć naukę w szkółce, przeto chodzi „o rozszerzenie powierzchni rekrutacyjnej tak, aby prawdopodobieństwo rozwoju istotnych indywidualnych wartości jednostek bardziej wybitnych było tak wielkie, jak na to pozwala rzeczywistość społeczna w danych warunkach społeczno-gospodarczych" (Ustawa, str. 14). Mówiąc krótko powinno się zbudować takie szkoły, żeby one wyłowiły najlepsze jednostki i pozwoliły im się w zupełności rozwinąć. W tym celu ustawa tworzy siedmioklasową szkołę powszechną (z obowiązkiem szkolnym w siódmym roku życia), a nie szkołę „ludową", by najpierw każdy obywatel mógł zdobyć potrzebną wiedzę i przejść odpowiednie wyszkolenie umysłowe, a następnie, by mógł w miarę warunków istotnych rozwijać się i kształcić dalej.

Podstawą przeto całego ustroju szkolnego jest szkoła siedmioletnia, a po jej ukończeniu może uczeń przejść do szkoły średniej ogólnokształcącej, pięcioletniej, jednak po „sprawdzeniu kwalifikacyj", co nie jest jednoznaczne ze skła-

[1]) Ustawa o ustroju szkolnictwa (Projekt Komisji powołanej przez Ministra W. R. i O. P. Warszawa 1927; na str. 4).

daniem egzaminu; zresztą „szkoła średnia ma opierać swój program nie na wynikach pracy przeciętnej siedmioklasowej szkoły powszechnej, lecz na tym poziomie wykształcenia, jaki zapewnia program siedmioklasowej szkoły powszechnej".

GRAFICZNY OBRAZ USTROJU SZKOLNICTWA

(z książki W. Radwana: Postulaty w sprawie ustroju szkolnictwa str. 29.

Wiek		Lata nauki
22 - 23	Oświata pozaszkolna / Szkoły wyższe	XVII
21—22		XVI
20—21		XV
19—20		XIV
18—19		XIII
17—18	Szkoły dokształcające / Szkoły zawodowe / Szkoły średnie ogólnokształcące	XII
16—17		XI
15—16		X
14—15		IX
13—14		VIII
12—13	Szkoły powszechne	VII
11—12		VI
10—11		V
9—10		IV
8—9		III
7—8		II
6—7		I
do 6 lat	Wychowanie przedszkolne w domu lub w ochronce	

W szkołach średnich pięcioletnich przewiduje ustawa opuszczanie ich przez młodzież nawet po trzech latach, jeśli dalej nie zamierzają się kształcić (art. 18). Zasadniczo jednak projekt dba o to, by nigdzie nie było „ślepych ulic", z których nie możnaby wejść na pewien, wyższy stopień szkolnictwa zawodowego czy wyższego i dlatego też szkoły i kursy zawodowe mają dwie kategorje (art. 20). Jedne przyjmują kandydatów posiadających wykształcenie w zakresie programu siedmioletniej szkoły powszechnej najwyższego

stopnia organizacyjnego, drugie staną otworem właśnie dla tych, którzy opuszczą gimnazjum po dzisiejszej klasie szóstej.

Szkoły wyższe będą miały albo charakter szkół akademickich, albo będą tylko kursami wyższemi. Wśród nich na szczególną uwagę zasługują studja pedagogiczne o kursie co najmniej rocznym, na których maturzyści szkoły średniej będą się kształcić na nauczycieli szkół powszechnych (art. 25), wobec czego seminarja nauczycielskie okażą się w przyszłości typem przeżytym.

Ten najogólniejszy zarys ustawy, znany zresztą już dość dawno z książki p. W. Radwana, a później z ośmiu tez, był przedmiotem żywej dyskusji przewidzianej już przez autora „Postulatów" i uprzedzonej polemiką z argumentami „konserwatystów". Stała się ona żywszą w r. 1927, a rozpoczął ją dość głośno prof. Władysław Witwicki referatem pozornie godzącym tylko w szkołę średnią. Na zjeździe Stowarzyszenia dyrektorów polskich szkół średnich państwowych w dn. 19 lutego 1927 r. z ramienia uniwersytetu warszawskiego wygłosił on odczyt p. t.: „Poziom umysłowy dzisiejszych maturzystów" (druk. w *Przeglądzie Współczesnym* — marzec 1927 Nr 59). Oparłszy się na wynikach ankiety między profesorami uniwersytetu, zarzucił referent szkole średniej, że bardzo niedostatecznie przygotowuje młodzież do studjów w uniwersytecie zarówno w zakresie wiadomości, jak również pod względem formalnego wykształcenia do pracy umysłowej. Bardzo silnie uderzył prof. Witwicki na „prywatny przemysł szkolny", a wśród rzeczowych przyczyn obniżenia poziomu nauczania w szkole średniej wymienił przedewszystkiem: 1. nieodpowiednie programy, 2. brak odpowiednio wykwalifikowanych nauczycieli, 3. niski poziom kultury w kraju i postęp demokratyzacji. Prof. Witwicki nie dotykał wcale spraw ustrojowych, wykazał jednak, że dzisiejsze ośmioletnie gimnazjum nie spełnia należycie swego zadania. Sprawą ustroju gimnazjum zajął się szczegółowo Zjazd Tow. Nauczycieli Szkół Wyższych i Średnich odbyty w Krakowie dn. 20 i 21 kwietnia 1927 r. i oświadczył się za ośmioletnią szkołą ogólnokształcącą.

Ważniejsze tezy uchwalone wtedy brzmią:

II. 1. Szkoła powszechna jest przeznaczona dla ogółu, a nie dla pewnych wybranych jednostek, winna być więc w ten sposób zorganizowana, by ogół młodzieży kurs pełny 7-letni w całej rozciągłości przechodził. Obowiązek szkolny trwa lat 7, dla jednostek mniej zdolnych lub mniej pilnych, które w tym czasie nie opanowały przepisanego minimum programu, może być przedłużony o 2 lata.

2. Szkoła powszechna winna prócz dania zasadniczego wykształcenia ogólnego także przygotować do życia w społeczeństwie, wobec czego powinna obejmować dwa stopnie: niższy 4-letni, dający prócz znajomości czytania i pisania najelementarniejsze wiadomości o świecie ze szczególnem uwzględnieniem Polski i wyższy 3-letni, przygotowujący do życia obywatelskiego i uwzględniający potrzeby i warunki terytorjalne.

III. Szkoła średnia. 1. Gimnazjum jest przeznaczone dla młodzieży, która wykazuje wyraźne zdolności intelektualne, ma za zadanie danie gruntownego wykształcenia ogólnego, a przez to uzdolnienie do studjów wyższych w szkołach akademickich. Opiera się na czterech klasach szkół powszechnych i przyjmuje adeptów na podstawie odpowiedniego egzaminu wstępnego.

2. Gimnazjum winno być 8-letnie, tworzące organiczną całość, podzieloną na dwa stopnie: niższy 5-letni jednolity z obowiązkową nauką łaciny od klasy I (klasa pierwsza ma charakter propedeutyczny, ma służyć poznaniu i selekcji uczniów), wyższy trzyletni zróżnicowany na trzy typy, klasyczny, humanistyczny i matematyczno-przyrodniczy, różni się nie jakością grup przedmiotów, lecz ilością godzin i metodą prowadzenia nauki.

3. Ponieważ gimnazjum jest w przeciwieństwie do szkoły powszechnej przeznaczone nie dla ogółu, lecz dla wyraźnie uzdolnionych intelektualnie, przeto od początku winno mieć program własny i używać swoistej metody nauczania. Przejście jednakże do gimnazjum nie jest zamknięte dla odpowiednio uzdolnionych i wyrobionych uczniów ze szkół powszechnych po zdaniu egzaminu wstępnego, przyczem wstępujący do klasy III mogą być zwolnieni od egzaminu z łaciny, którą mają nadrobić w ciągu roku w klasie przy życzliwej opiece odnośnego nauczyciela.

W ożywionej dyskusji, jaka poprzedziła uchwały, szczególnie dobitnie wyjaśnił Dr. Ziemnowicz nieporozumienia, jakie powstają na tle hasła szkoły jednolitej. W Polsce niema tego podkładu do politycznego traktowania tego hasła, jaki istnieje w Anglji i we Francji [1]), gdzie są szkoły uprzywilejowane i nieuprzywilejowane. Zresztą np. w Stanach Zjednoczonych, imponujących nam nieraz swem szkolnictwem, nastąpił odwrót od szkoły jednolitej, a Niemcy, naród pedagogów, stworzyli u siebie tylko 4-letnią szkołę podstawową, *Grundschule*. Ponadto bardzo pięknie uzasadnił prof. Kot

[1]) We Francji *école unique* zwraca się silnie przeciw prywatnym szkołom katolickim, które cieszą się ogromnem poparciem społeczeństwa katolickiego i wielką frekwencją uczniów.

konieczność oparcia naszej kultury na głębokiem studjum łaciny, na podłożu nam bardzo potrzebnem i pożytecznem.

Nie wchodzimy w dalsze szczegóły tez i dyskusji, gdyż szereg mówców przedewszystkiem ze świata uniwersyteckiego (prof. Estreicher, prof. Dyboski, rekt. Krause, rekt. Matakiewicz, prof. Wachholz) poruszał sprawę jednolitego ośmioletniego studjum gimnazjalnego, opartego o łacinę i to było zasadniczą osią zjazdu. Motywowano to zaś koniecznością wytworzenia mocnej twórczej inteligencji, któraby mogła prowadzić należycie pracę w społeczeństwie naszego młodego państwa.

Tu właśnie zachodzi największa sprzeczność pomiędzy obrońcami dawnego ośmioletniego studjum gimnazjalnego a propagatorami nowego, pięcioletniego. „Nie jest możliwe — pisze p. Wł. Radwan — pozostawienie w rękach tej szkoły (średniej ogólnokształcącej) monopolu na wytwarzanie warstwy inteligenckiej. Całe życie społeczne, a szczególnie ustrój szkolnictwa musi zmierzać do zniesienia inteligencji, jako warstwy kulturalnej. Ustrój szkolnictwa musi zmierzać do wszczepiania cech dodatnich, które ta warstwa przynosi, całemu narodowi przez wszystkie ogniwa systemu szkolnego w miarę ich zadań i właściwości. Nie jest możliwe również pozostawianie w rękach szkoły średniej monopolu na przygotowywanie młodzieży do studjów wyższych". (Postulaty w sprawie ustroju szkolnictwa, str. 42, 43).

Rozumowanie to — niezupełnie jasne — ogromnie przecenia znaczenie inteligencji, jako pojęcia stanu grupującego tylko absolwentów szkół średnich, takiej poprostu inteligencji, która, mogąc na żądanie okazać świadectwo maturyczne, nie musi być jednak obdarzona rzeczywistą inteligencją. Bo chyba o zniesieniu takiej tylko „inteligencji" może być mowa; sam autor przecież mówi o wydobywaniu zewsząd wszystkich talentów i kształceniu ich (str. 77), więc też nie chodzi mu — widać — o nic innego, tylko o inteligencję, o elitę umysłową społeczeństwa.

Zdaje się nam, że specjalna stanowość inteligencji jest urojeniem, jak również nierealnem rozumowanie o jednostkach z warstw ludowych, które przeszedłszy szkołę średnią stają się „wysferzeńcami", to znaczy zrywają kontakt z tem

środowiskiem, z którego wyszły (str. 114). Zdaje się, że kontakt zerwać muszą, chodzi jedynie o to, by zachowali oni względnie zdobyli jakąś podstawę duchowej kultury i nie stawali się tylko karjerowiczami. Te wypadki są sporadyczne i za nie szkoły średniej winić nie można. Cechy stanowości ona wcale nie posiada i wprowadza niezwykle cenne jednostki do naszego życia kulturalnego. Rozumiejąc więc doskonale chęć otwarcia naścieżaj dobrej szkoły powszechnej szerokim masom ludowym, nie umiemy się wmyśleć w to stanowisko, które organicznie wyższemu szczeblowi szkolnictwa chce odebrać rzekome przywileje, rzekome dlatego, że całkiem naturalne. Bo, choćbyśmy z największą radością ujrzeli masy naszej młodzieży skierowywujące się po ukończeniu siedmioletniej szkoły powszechnej do szkoły zawodowej, to jednak musimy przyznać, że ten, który ma zdolności do zajęcia kierowniczego czy twórczego stanowiska w społeczeństwie musi zdobyć sobie odpowiednie horyzonty myśli, gdyż bez tego będzie jednookim Cyklopem. Tych zaś bardzo ważnych kwalifikacyj nie da mu szkoła zawodowa, ponieważ nie jest to jej celem. Trzebaby więc zgodzić się na uznanie znaczenia szkoły ogólnokształcącej wprost w imię konieczności solidnego wytwarzania dóbr kulturalnych.

Przez nie zaś rozumiemy także wartości etyczne. To co p. Wł. Radwan mówi z głębokiem i szacunku godnem przekonaniem o brakach w charakterze naszej inteligencji, o dyletantyzmie duchowym czy nawet o jej kondotjerstwie ideowem jest rzeczą, której żaden ustrój szkolny sam z siebie dać nie może. Te nieocenione w życiu wartości etyczne rodzą się tylko z prostego, gorącego ukochania ideału, rodzą się z duszy domu, czy z duszy nauczyciela i żadnej innej zbawczej recepty na to niema.

Tu dochodzimy do jądra zagadnienia szkoły i wychowania w naszej Rzeczypospolitej. Pozbawieni przez zaborców własnej, swobodnej twórczości na polu wychowania, straciliśmy jasność kierowniczego ideału wychowawczego. W typowo właśnie inteligencki sposób zaczęliśmy od ram ustrojowych, zamiast od obrazu ideowego. Gdy St. Konarski tworzył nowoczesną szkołę polską, dał jej kościec moralny w swej mowie: „De viro bono et cive honesto ab ine-

unte aetate formando" i to był kanon pijarskiego a później narodowego wychowania na lat sto[1]), to też stało się w dużej mierze rdzeniem działalności Komisji Edukacji Narodowej. Dziś brakło nam gorącej wiary w swój ideał i silnej woli Konarskiego i dlatego przy naogół dużo pomyślniejszych warunkach zewnętrznych nie możemy wyjść z pewnego amorfizmu ideowego i dziwimy się, oglądając go u młodzieży, która wyrasta przy nas i na nas się wzoruje[2]).

II.

Napomknąwszy nawiasowo o tak oczywistym pewniku że braków woli nie można leczyć wyłącznie atmosferą intelektualnej pracy, zaznaczyliśmy przez to drugorzędną w zasadzie wartość dyskusji o ustroju szkolnictwa. Ponieważ ona jednak zastąpiła nam ową tak poważną dyskusję, którą przed 150 laty wywołało utworzenie Komisji Edukacji Narodowej, dyskusję Popławskich, Bielińskich, Piramowiczów[3]) pragniemy wspomnieć jeszcze o dwu poważnych głosach, jakie ostatnio podniosły się w tej sprawie. Oba wyszły z kół uniwersyteckich, jeden to memorjał Polskiego Towarzystwa Filologicznego[4]), drugi to opinja wydziału humanistycznego uniwersytetu lwowskiego[5]).

Oba zajmują się stosunkiem szkoły powszechnej 7-letniej do szkoły średniej; memorjał P. T. F. życząc najszybszej realizacji szkole 7-letniej, żąda jednak gimnazjum ośmioletniego. W tej samej sprawie Wydział Humanistyczny taką wygłasza opinję: „Przemiana ośmioletniej szkoły średniej ogólnokształcącej na pięcioletnią i przekazanie zadania,

[1]) Por. St. Tync: Nauka moralna w szkołach Komisji Edukacji Narodowej, Kraków 1922, str. 32—49.

[2]) Na moment etyczno-religijny przy ustalaniu celów wychowania, pominięty w omawianym projekcie, zwraca uwagę Memorjał Senatu Uniw. Lubelskiego (*Muzeum* 1928, I, str. 93).

[3]) Por. St. Kot: Historja wychowania, Kraków 1925, str. 401—420, 428—435.

[4]) Ogł. w *Kwartalniku Klasycznym* 1928 I II, str. 45—57; autorem jest prof. J. Kowalski.

[5]) W sprawie projektu ustawy o ustroju szkolnictwa, Lwów 1927, str. 24.

które dotąd pełniły trzy najniższe klasy szkoły średniej, trzem najwyższym oddziałom siedmioletniej szkoły powszechnej, należy do najbardziej zasadniczych zmian, projektowanych w nowym ustroju szkolnictwa. O zmianę tę toczy się spór zacięty. Trudno byłoby ten spór rozumieć i łatwo możnaby się na tę zmianę zgodzić, gdyby ona miała być tylko czysto formalna i gdyby miała polegać jedynie na przesunięciu pewnych klas ze szkół jednej kategorji, do szkół kategorji innej. Tak jednak nie będzie; projektowana zmiana nie będzie miała charakteru tylko formalnego; gdy zostanie dokonana, zniknie odtąd na zawsze ten sposób wyszkolenia umysłowego, który w dzisiejszych warunkach młodzież odbiera w pierwszych trzech klasach szkoły średniej ogólnokształcącej, czyli w t. zw. gimnazjum niższem" (str. 8 i 9). Odrazu memorjał zajmuje się sprawą najważniejszą, to jest nauczycielem i jego przygotowaniem na ewentualnych kursach i wnioskuje na tej zasadzie obniżenie poziomu nauki, które potrwa bardzo długo, jak również gorsze przygotowanie do pracy w gimnazjum pięcioletniem.

Zasadniczo zaś „skrócenie nauki w szkole średniej do lat pięciu pociągnie za sobą wielkie utrudnienie w skutecznem spełnieniu jej zadań lub spełnienie to nawet uniemożliwi. Zadania te, których określeniem projekt ustawy o ustroju szkolnictwa wcale się nie zajmuje, są: 1) rozwinięcie umysłu, 2) dostarczenie pewnego zasobu wiadomości, objętego wyrażeniem „wykształcenie ogólne", 3) przygotowanie do studjów naukowych w szkołach akademickich, 4) oddziaływanie wychowawcze" (str. 12). Zdaniem memorjału, tych zadań szkoła pięcioletnia spełnić nie będzie mogła, zwłaszcza że szkoła średnia straci wtedy trzy lata najpodatniejsze do przyswajania wiadomości pamięciowych. Okres ośmioletni rozbity na 3+5, przez różne przygotowanie sił nauczycielskich, pracujących w szkole powszechnej i średniej, następnie przez pewien wstrząs, spowodowany samem przejściem, nie będzie miał tej wartości wychowawczej i kształcącej, jaką ma dziś.

Pomijając słuszne rozważania na temat bardzo niepewnego pomysłu szkoły średniej trzyletniej, przytoczymy bardzo ważny ustęp memorjału, godzący w rdzeń poprzed-

nio podanego (na str. 7) rozumowania o inteligencji jako warstwie. „Projekt Ustawy oraz „Objaśnienia" nie doceniają ogromnie ważnej roli, jaką odgrywa w społeczeństwie szkoła średnia ogólno-kształcąca. Nie widzą w niej organizmu szkolnego o swoistym charakterze lub też charakteru tego należycie nie ujmują; nie pamiętają w mierze dostatecznej o tem, że szkoła średnia ogólno-kształcąca posiada prawo własnego życia i dostosowują ją z jednej strony do najwyżej zorganizowanej szkoły powszechnej, mającej przeważnie dopiero w ciągu szeregu lat powstać w całej pełni, z drugiej strony do tej części młodzieży, która nie zamierza nawet pięciu lat poświęcić wykształceniu ogólnemu. A przecież należycie zorganizowana szkoła średnia ogólno-kształcąca dostarczać winna inteligencji, decydującej o poziomie kulturalnym tego społeczeństwa. Toteż narody dobrze rozumiejące misję szkoły średniej ogólno-kształcącej, zaczynają po okresie różnych prób wracać znowu do szkół średnich 7- 8- i więcej klasowych" (str. 15). Wypowiedziawszy się tak zasadniczo o wartości szkoły średniej produkującej inteligencję narodu, memorjał nie zarzeka się przeciw wypróbowaniu wartości szkoły średniej pięcioletniej. Możnaby utworzyć kilka szkół średnich pięcioletnich w miejscowościach mających najwyżej zorganizowane szkoły powszechne i po okresie próby, najmniej dziesięcioletnim, zaobserwować wyniki nauczania.

Poprzednie wywody na temat wartości inteligencji jako wytwórczyni wartości kulturalnych i znaczeniu szkoły średniej w tej pracy rozwija jeszcze wymowniej memorjał Polskiego Towarzystwa Filologicznego. Jak więc widzimy, istotą, jądrem całego zagadnienia jest sprawa wychowania i wykształcenia jednostek twórczych, w najszerszem tego słowa znaczeniu, jednostek wyrabiających i pomnażających świadomy wysiłek kulturalny. Przyszli inżynierowie równie jak księża, przyszli badacze naukowi w tej samej mierze jak i sędziowie czy nauczyciele muszą wejść w życie mając silną bazę kulturalną, by móc budować dalej silnie i trwale kulturę polską. Tymczasem chwiejnie postawiona i po macoszemu potraktowana szkoła średnia nie będzie mogła dać tej wzmożonej, świadomej siebie i swych obowiązków energji

moralnej i intelektualnej, jakiej oczekuje od niej społeczeństwo.

P. J. Kucharzewski w swej bardzo pouczającej książce *Od białego caratu do czerwonego* [1]) odtwarza nam uczucia Al. Hercena, gdy w r. 1847 znalazł się na Zachodzie. „On, Scyta, pasierb historji, zapóźniony i wykolejony w edukacji, wobec tych szkolonych od dziesiątków pokoleń ludzi ma uczucie krzywdy, goryczy, ...skrzywdzone uczucie narodowe podsuwa sofizmat: ta bogata przeszłość — to pęta dla swobodnego rozwoju. Myśl ta, rzucona nieśmiało, stanie się zczasem kamieniem węgielnym teorji. Tymczasem już ubogi pasierb cywilizacji rzuca parę znamiennych słów lekceważenia dla tego bogactwa, którego nie jest zdolny przejąć w pełni; niepotrzebne wspomnienia, dziesiątki wieków wyzierają z za każdego ograniczonego sądu... Bogactwo spadkowe przedstawiać mu się zaczyna jako balast raczej, niż skarb“ (I, 380).

Nie jesteśmy Scytami, ani pasierbami historji, jesteśmy jednak jednym z narodów młodszych, jesteśmy społeczeństwem powstrzymanem chwilowo w rozwoju przez warunki zewnętrzne. Musimy więc dobrze rozważyć środki, mogące nas wzmocnić kulturalnie i państwowo, jak również przemyśleć bardzo rozważnie i wytworzyć bardzo starannie obraz kulturalnego Polaka, do którego nasze wychowanie i wykształcenie ma zmierzać. Tego właściwie nie zrobiliśmy — obrazu ideału kierowniczego nie posiadamy i skutkiem tego gubimy się w sprawach pomniejszych reform, niepomni starego przysłowia: „lepsze jest wrogiem dobrego“.

W tem właśnie bardzo charakterystyczne są dwa ostatnie głosy, że przypominają nam stare źródła kultury europejskiej i nie radzą ich zasypywać. Charakterystycznem jest również, że społeczeństwo wielkim plebiscytem powszechnym oświadcza się za tym kierunkiem, posyłając swe dzieci do gimnazjum humanistycznego, a unikając typu matematyczno-przyrodniczego, do którego inicjatorowie tak przesadne przywiązywali nadzieje. Nie wchodzimy tu w szczegóły tak ciekawego zjawiska, podnosimy je jednak, bo

[1]) Warszawa 1923.

trzeźwy obserwator nie może go lekceważyć. Drugie również zjawisko, dość jednomyślnie oceniane i określane, to obniżenie poziomu nauczania, przypisywane zmianom nieprzemyślanym i niewypróbowanym programów. Sądowi ogółu, wyrażonemu także w memorjale Pol. Tow. Filologicznego, sprzeciwiają się słowa Projektu ustawy („niedomagania dzisiejszej szkoły średniej nie są w znaczniejszej mierze wynikiem wad programowych", str. 41). Ile głosów odzywało się właśnie w sprawie braków programów! Zdaje się, że do spokojnego rozważenia tych zarzutów najbardziej kompetentną byłaby Naczelna Rada Wychowania Narodowego, organ doradczy Min. W. R. i O. P., na którego utworzenie czekamy lat dziesięć.

Rezultat ostateczny dyskusji, oczywiście jeszcze nieskończonej, gdyż np. w ostatnich dniach Senat Uniwersytetu Jagiellońskiego rozważał sprawę projektu ustawy o ustroju szkolnictwa, ale opinji swej nie ogłosił jeszcze, da się streścić w kilku zdaniach: Zasadniczo uznaje się szkołę powszechną siedmioletnią i życzy się jej najlepszego rozwoju (memorjał Pol. Tow. Filologicznego), główna jednak kampanja toczy się o szkołę średnią ogólnokształcącą ośmioletnią,[1]) która, zdaniem jednych, przedewszystkiem jest powołana do wytworzenia inteligencji narodu, zdaniem innych ma rolę o wiele skromniejszą — prawie jednej ze szkół zawodowych (Wł. Radwan: op. cit. str. 42).

Pierwsi, opierając się na dawnem przedwojennem a zwłaszcza powojennem doświadczeniu narodów zachodnich, ostrzegają przed tak zasadniczą zmianą, bo widzą w niej wielkie niebezpieczeństwo dla kultury, zwłaszcza przy braku kadr nauczycielskich; drudzy śmiało wstępują na drogę prób niezupełnie dobrze przygotowanych, owiani zbożną chęcią co rychlejszego przygotowania Polsce wysoko oświeconych mas. Ponieważ jednak autor Objaśnień do ustawy wyraźnie mówi, „że przy likwidowaniu jakiejś kategorji zakładów troską organizatorów szkolnictwa winno być zachowanie i umożliwienie dalszego rozwoju zdobyczom

[1]) Warto dodać, że już zawiązało się we Lwowie Towarzystwo obrony ośmioletniego gimnazjum pod przewodnictwem dra Tadeusza Lehr-Spławińskiego, prof. uniw. lwowskiego.

likwidowanej kategorji szkół" (str. 51 i 52), przypuszczać przeto słusznie można, że zdrowy zmysł rzeczywistości uchroni nasze szkolnictwo przed jakąś szkodliwą innowacją i raczej pójdzie za radą memorjału lwowskiego, by najpierw rzecz proponowaną troskliwie wypróbować.

Poruszyliśmy w tem sprawozdaniu jedno tylko zagadnienie reformy ustroju szkolnictwa i to pobieżnie, ponieważ porządek dzisiejszej dyskusji szkolnej nie jest organiczny i zasadniczo można tu mówić o pomieszaniu wartości. W każdym razie sprawy szkolne, które mają decydować o wyglądzie naszego narodu i państwa, o jego strukturze kulturalnej na najbliższe lat dziesiątki powinny gorąco zająć społeczeństwo tak na nie obojętne i bierne, mimo że chodzi tu o jego dzieci. Nie chodzi tu wcale o chwilowe wiecowe wystąpienia, tylko o coś o wiele ważniejszego: o stałe śledzenie życia szkoły i jej przemian, o zabieranie głosu w tych sprawach, wypowiadanie opinji mniej może doktrynalnej, ale zato życiowo realnej. Przechodzimy bowiem ciągle koło zagadnień niezwykle ważnych i mających różnorodne a poważne oblicza, choćby tylko koło sprawy wychowania dziewcząt, stojącej u nas bezwładnością, a nie posuwamy ich naprzód, zapominając o tem, że tracimy drogi czas i jeszcze cenniejsze siły. Jeżeli zaś rozwinie się dyskusja, to tylko nad sprawami „modnemi", najaktualniejszemi; ogół tych pięknych i głębokich zagadnień, jakie obejmuje szkolnictwo i polityka szkolna, leży poza kręgiem widzenia, a w każdym razie, zainteresowania społeczeństwa. To powinno stanowczo ulec zmianie, i do wypowiedzenia się społeczeństwa słusznie nawołuje nasz minister oświaty.

Franciszek Bielak.

Stosunki Kardynała R. Bellarmina z Polską i Polakami.

(Na podstawie korespondencji).

(Dokończenie)

6. Nietylko w Polsce, ale i szeroko po świecie rozeszła się wieść o niesłychanym gwałcie Aleksandra Koniecpolskiego. W kilku zdaniach sprawa przedstawia się następująco. Znęcony znacznym posagiem, możny ten z nazwiska i koligacyj ale niebogaty szlachcic, pojął za żonę Zofję Dębińską, córkę podkomorzego mielnickiego, za zgodą i poparciem samegoż pana podkomorzego i jego małżonki, pragnących splendoru senatorskiego rodu dla swego bądź co bądź skromniejszego nazwiska. Połączeniu się tych dwu rodów stanął na przeszkodzie opór panny, która nie zgodziła się na małżeństwo i idąc do ślubu pod przymusem, jawnie protestowała przeciw gwałtowi. Po tych niezwykłych zaślubinach nie odbyło się wesele i panna młoda pozostała w domu rodziców; przeprowadzenie się jej do domu męża odłożono na później. — Z tą chwilą sprawa staje się coraz więcej interesującą, ale i tajemniczą. Po kilku miesiącach nietylko za zgodą, ale nawet za osobistem wstawiennictwem Koniecpolskiego u mniszek od św. Agnieszki na Stradomiu (Bernardynki), Zofja wraz z młodszą siostrą Dorotą przenosi się do tego klasztoru na mieszkanie. I znowu upływa pewien, tym razem nie długi już okres czasu; Koniecpolski wzywa rzekomą żonę do opuszczenia klasztoru a przenie-

[1]) *Epistolae Familiares,* ep. CXXVII, p. 286: Laurentio eppo Vladislaviensi 12 Decembris 1615.

[2]) Tamże, ep. CLXXXII, p. 412: eidem 30 Martii 1621.

sienia się do jego domu... i spotyka się ze stanowczą odmową! Zofja zasłania się postanowieniem poświęcenia się na służbę Bożą w tymże klasztorze i złożeniem już ślubu dziewictwa. Wszelkie perswazje, namowy i naciski, wywierane przez rodzinę, znajomych, zakonnice, a nawet przez komisję biskupią z sufraganem Pawłem Dębskim na czele, nie odnoszą żadnego skutku. Zofja wszystkim odpowiadała, „żeby jej nie przeszkadzali w drodze Pańskiej i w jej ślubach Bogu oddanych, ale żeby jej dopomagali, jako najpilniej". [1]) Gdy Koniecpolski wyczerpał wszelkie środki, a z Rzymu, dokąd Zofja przez możnych a nieznanych bliżej protektorów szukała dla siebie opieki i sprawiedliwości, spodziewano się lada dzień rozstrzygnięcia niekorzystnego dla Aleksandra, szalony ten i zuchwały człowiek w sam Wielki Tydzień 1612 roku, 16 kwietnia, w nocy, z bandą zapłaconych drabów i pachołków swych dworskich napada na klasztor św. Agnieszki, petardą wysadza w powietrze furtę. Obstawiwszy wszystkie wejścia przez część wspólników, sam z kilku innymi przetrząsa klasztor. Mniszki były właśnie zgromadzone w chórze na jutrzni; tam Koniecpolski udaje się najpierw; szukając żony, zrywa welony zakonnicom, obchodzi się z niemi brutalnie. Nie znalazłszy sióstr Dębińskich w chórze, wraca do klasztoru, przegląda celę po celi; gdzie zastaje drzwi zamknięte, wywala je przemocą, wreszcie znajduje w celi byłej przełożonej Zofję z Dorotą w objęciach zakonnicy, struchlałe, zalane łzami i pogrążone w rozpaczliwej modlitwie. Wybuch petardy zbudził je ze snu; przeczuwając nieszczęście i grożące sobie niebezpieczeństwo, nie mając nawet czasu na ubranie się, schroniły się do celi przyjaciółki swej i opiekunki. Nie pomagają żadne protesty, błagania i groźby straszną pomstą Bożą na gwałciciela; słabe

[1]) *Obrona Panien Klasztoru S. Agnieszki w Krakowie na Stradomiu, przeciwko Politykom, którzy zapomniawszy uczciwego sumienia, Boga, mówią, iż dobrze uczynił Aleksander Koniecpolski, który gwałtownie najechał Klasztor tychże Panien w Wielki Tydzień (kiedy wierni Boży niewinną Mękę Pańską rozmyślają, a największy złoczyńcy pokutują), o piątej godzinie w noc, petardą Klasztor rozbiwszy, Kościół zwiolował, Panny Bogu Wszechmogącemu ślubami związane wziął gwałtem, a zatym prawa wszelakie zgwałcił: Przez Jana Miłopolskiego Szlachcica Polskiego wydana w Krakowie R. P. 1612* — (egzemplarz Biblj. Czartoryskich, drugi i ostatni był w Dzikowie), str. 10.

niewiasty, wobec przemocy brutalnej, musiały w tym wypadku przegrać. Koniecpolski sam wyniósł z klasztoru nieprzytomną Zofję, opierającą się zaś siostrę jej, Dorotę, przemocą wyprowadzili pachołcy. Zaczęło już świtać, gdy „zwycięska" drużyna schodziła ku przygotowanym za klasztornym ogrodem nad brzegiem Wisły łodziom. Przeprawiono się na drugą stronę; stała tam kolasa i konie gotowe do drogi. Ruszono żywo naprzód. Po kilku godzinach jazdy Koniecpolski z ofiarami swej przemocy był już poza granicami diecezji krakowskiej, w której pobyt był dla niego oczywiście niemożliwym. Wieść o zbrodni błyskawicznie obiegła całe miasto. Już o godzinie szóstej rano, więc ledwie w godzinę po gwałcie i ucieczce zbrodniarzy, komisja biskupia była na miejscu. Tego samego jeszcze dnia biskup Tylicki powołał Koniecpolskiego przed swój sąd, a ponieważ ten do dwóch tygodni się nie stawił, na zwołanym specjalnie synodzie diecezjalnym, w kościele Wszystkich Świętych, przy przepełnionej tłumem świątyni wyklął go uroczyście.[1]) Nie wzruszył się tą karą zbrodniarz, owszem, przeciwnie, mając przez ustawodawstwo polskie zapewnioną bezkarność aż do wyroku sejmowego, dopuścił się gwałtu na Zofji, więził ją na zamku wieluńskim; gdy zaś niespełna w rok po porwaniu, urodziwszy syna, skończyła swój straszliwie tragiczny żywot, poślubił (?) Dorotę.

Za Dębińskiemi nie ujął się ani ich ojciec, ani nikt z bliższej rodziny; wogóle stanowisko rodziny w tej całej sprawie jest mocno niejasne i niesympatyczne. Skargę do sądów grodzkich i na sejm wniosły pokrzywdzone mniszki i jakiś dalszy krewniak Zofji. Dzięki możnej protekcji i przeróżnym kruczkom prawnym, Koniecpolski zdołał przez długie trzy lata odsuwać wyrok od siebie.[2]) Nie uniknął go jednak ostatecznie. Zbrodnia była zbyt krzycząca, pogwałcenie moralności zbyt jaskrawe, by i ona miała ujść bezkarnie. 18 marca 1615 r. został Aleksander wyrokiem sejmu zaocznie skazany na banicję. Tak skończyła się sprawa,

[1]) *Obrona Panien* passim i Wielewicki: loc. cit. t. III, str. 64 i nast.

[2]) Autor *Obrony* w bardzo silnych słowach podnosi tę bezkarność zbrodni i gorąco atakuje prawo *neminem captivabimus*, jako niedorzeczne i zawierające w sobie rażące sprzeczności.

ponury rzucająca cień na stosunki samych początków XVII stulecia dziejów naszych!

Przed kilkudziesięciu laty prof. J. Mycielski poświęcił tym wypadkom osobne, wyczerpujące, a może nawet za rozwlekłe studjum.[1]) Wykorzystał w niem wszystkie dostępne dokumenty, całość przejął właściwą sobie sympatją dla ofiar tragedji, a nawet pewnem zrozumieniem religijnej strony tego niezwykłego psychologicznego dramatu. Nie wyjaśnił przecież pewnych ciemnych punktów z pierwszego aktu tej tragedji, t. j. z okresu przed porwaniem, owszem, nawet ją jeszcze zaciemnił i pogmatwał niepotrzebnie.

Dzisiaj nie posiadamy, poza jednym nieznanym Mycielskiemu listem Bellarmina do mniszek od św. Agnieszki, żadnych nowych dokumentów, sądzimy jednak, że i na podstawie posiadanego materjału potrafimy zagadki, podniesione przez profesora rozwiązać, a rozwiązanie to będzie równocześnie przedstawieniem ważnej roli, jaką w całej tej sprawie odegrał Bellarmin.

Najważniejszem źródłem do pierwszego okresu tragedji Zofji Dębińskiej, oprócz *Dziennika* Wielewickiego, jest wspomniana już w przypiskach broszura polemiczna, wydana w r. 1612, wnet po gwałcie, p. t. *Obrona Panien Klasztoru św. Agnieszki w Krakowie na Stradomiu.* Już prof. Mycielski zrobił przypuszczenie, że autorem jej jest jakiś jezuita, przypuszczenie poparte tak analizą samego tekstu, jak i bijącą w oczy zbieżnością nietylko relacyj ale i poszczególnych wyrażeń i słów, zachodzącą między *Obroną* a *Dziennikiem* Wielewickiego. Sama zbieżność, naszem zdaniem, niczego nie dowodzi; dowodziłaby bowiem wtedy dopiero, gdyby Wielewicki był obecnym w r. 1612 w Krakowie i pisał diarjusz swój dzień po dniu, tak, jak zachodziły wypadki. Tymczasem wiemy, że dziennik ten jest kompilacją pierwotnych źródeł, dziś nam częściowo nawet nieznanych, dokonaną znacznie później; a więc zbieżność, do której autor studjum o losach Dębińskiej takie przywiązuje znaczenie dowodowe, równie dobrze może pochodzić i z tego, że autor *Dziennika* miał pod ręką *Obronę Panien,* opierał się na niej i przejął

[1]) *Porwana z Klasztoru.* „Przegląd Polski", r. 1885, t. III i IV.

z niej nietylko opis zdarzeń, ale nawet poszczególne wyrażenia.

Odrzucając ten dowód na autorstwo broszury przez jakiegoś jezuitę, nie odrzucamy samej hipotezy, owszem, uważamy ją za bardzo prawdopodobną, w każdym razie nie ulega wątpliwości, że jezuici są tą ukrytą ręką, która nad Zofją od samego początku roztacza troskliwą opiekę, broni jej wolności osobistej i niezależności. — Nazwisko autora *Obrony* jest oczywiście zmyślonem; mówi to wyraźnie *Dziennik Wielewickiego.*[1]) Autor, uważający czyn Koniecpolskiego za klęskę i zgubę (koniec...) dla Polski, sam nazywa się miłującym, miło... polskim, ponieważ nawołuje do ukarania zbrodniarza i odwrócenia tem samem kary za bezkarną zbrodnię od Polski. Że zaś za tym kryptonimem kryje się jezuita, wnosimy przedewszystkiem z tego, że mówi o korespondencji Bellarmina z Zofją i ogłasza w dodatku trzy listy Kardynała. Już zaś nikt inny wtedy w Krakowie nie mógł o tem wiedzieć, ani dokumentów tych znać i wogóle pośredniczyć między prostą szlachcianką a sławnym Kardynałem, jak tylko jezuici.

Na podstawie tego przypuszczenia, które potwierdzi nam cały przebieg sprawy, przypatrzmy się rozwojowi wypadków.

Małżeństwo Zofji i Koniecpolskiego, ułożone zgóry bez jej wiedzy, miało być przedewszystkiem interesem. Koniecpolski szukał majątku, a stary Dębiński wywyższenia rodu. Ani jednego ani drugiego nie pragnęła Zofja, jej jedynym zamiarem było poświęcić się Bogu na służbę. Stąd plan wydania ją za mąż, wyjawiony wreszcie, spotkał się z jej stanowczym sprzeciwem. Nie pomogły perswazje i groźby, Zofja, nie zdradzając jednak zamiaru wstąpienia do klasztoru,[2]) odpowiadała zawsze jedno i to samo, że ręki Aleksandrowi nie odda. Odmowa wywołała znowu gniew i groźby ze strony ojca, jeszcze większą natarczywość ze strony Koniecpolskiego. Sytuacja stała się bardzo naprężoną, tak iż dalszy opór mógł narazić Zofję na gwałt ze strony narzeczonego, który, jak się potem pokazało, gotów się był wa-

[1]) Wielewicki op. cit. t. III, str. 67, „sive fictum, sive verum sit id nomen".

[2]) Wielewicki op. cit. str. 65.

żyć na najgorsze i szalone czyny. Wtedy to po raz pierwszy objawia się działanie niewidzialnych protektorów Zofji. Zostaje obmyślony i ułożony plan postępowania taki, jakiego nigdy nie wymyśliłaby prosta córka szlachecka, a który mogli wymyśleć tylko ludzie, dobrze znający prawo kościelne.

Dębińska, ulegając przemocy, zgadza się na ślub, ale, zapewne pouczona przez protektorów, „jawnie często oświadczała, że żadną miarą na małżeństwo, do którego wbrew swej woli została zmuszoną przez rodziców, nie zgodziła się". [1])

Wedle prawa kanonicznego małżeństwo, do którego jedna ze stron została zmuszoną, jest samo z siebie nieważnem i gdy tylko zostanie udowodniony przymus, obie strony, o ile zgody nie odnowią, muszą się rozejść. Wiedziała o tem dobrze Zofja i dlatego tak jawnie głosiła o swem zniewoleniu do małżeństwa przez rodziców.

Przedstawmy sobie teraz, jaka wytworzyła się sytuacja wobec takich oświadczeń Zofji, których i przy samym ślubie nie omieszkiwała zapewne szczególnie podkreślić! Kiedy i gdzie ślub ten się odbył, niewiadomo. Zofja miała stryja Erazma Dębińskiego, dziekana od św. Michała. Można więc przypuszczać, że on sam, będąc całą duszą za małżeństwem, ślub bratanicy dawał. Jakkolwiek bądź było, szczegół to bez znaczenia, tak kapłanowi, który ślub dawał i protokół ściągał, jak i całemu otoczeniu musiało być jasnem, że wobec stanowczego sprzeciwu Zofji małżeństwo jest nieważnem. Nie pozostawało więc Koniecpolskiemu nic innego, jak odważyć się już teraz na gwałt i Zofję zabrać przemocą, albo sprawę zatuszować i oporną Dębińską zostawić w domu rodziców, w nadziei, że przecież rozmyśli się i zgodzi na gody weselne, co byłoby dowodem z jej strony, że już opierać się przestała. Ufano może, że przez zostawienie Zofji spokojne w domu rodziców, uda się ją zjednać, by sprawy nie oddawała do sądu biskupiego, wtedy bowiem wynik procesu byłby oczywiście niepomyślnym dla Aleksandra. Ostatecznie wróciła sytuacja z przed ślubu, Zofja pozostała w domu rodziców, a więc bądź co bądź była bezpieczną i zyskała na czasie. A tego właśnie najbardziej pragnęła ona sama, to

[1]) Tamże i *Obrona* loc. cit.

osiągnąć chcieli jej protektorzy. Zaraz po ślubie, w największej tajemnicy przed rodziną, poszły do Rzymu listy Zofji do Kardynała Bellarmina, a przez niego i do papieża. Jest oczywistem, że listów nie mogła wysyłać sama, ale musiał ktoś wpływowy pośredniczyć i sprawę jej, jeśli miała cośkolwiek osiągnąć, gorąco poprzeć. Tymi pośrednikami byli jezuici, bo nie był nim ani biskup krakowski, który w sprawę tę został znacznie dopiero później wmieszany, ani nuncjatura, która również dopiero po kilku miesiącach otrzymała z Rzymu instrukcje dla Zofji pomyślne, będące już tylko owocem poprzednich starań. Poparcie jezuitów musiało być bardzo silne, informacje dla Zofji jak najkorzystniejsze, skoro Bellarmin, zapracowany i zajęty bardzo ważnemi sprawami Kościoła, zajął się jednak niedolą polskiej dziewczyny od pierwszej zaraz chwili, nie z musu i grzeczności, ale całą duszą i najgorliwiej.

Listów Zofji i listów polecających jej sprawę nie znamy, z odpowiedzi jednak Kardynała treść prośby jest całkiem jasna. Zyskawszy na czasie przez pozostanie w domu rodziców, postanowiła zaskoczyć wszystkich faktem dokonanym: wstąpić do klasztoru. Na podstawie prawa kanonicznego mogła to uczynić nawet w tym wypadku, gdyby jej małżeństwo było ważnem. Prawo bowiem daje możność w wypadku *matrimonii rati non consumati* każdej ze stron, nawet bez zgody strony drugiej, wstąpić do klasztoru, a wtedy przez złożenie ślubów małżeństwo samo się rozwiązuje. Zofja nie potrzebowała się uciekać do tego przywileju i o prawo korzystania z niego ubiegać się aż w Rzymie, bo jej małżeństwo było nieważnem, ale z drugiej strony nie mogła wstąpić do klasztoru, boby jej, wobec sprzeciwu rodziców i Koniecpolskiego, który uważał ją za swoją żonę, żaden klasztor nie przyjął z obawy przed przykrościami. Z tej trudnej sytuacji nie było innego wyjścia, jak tylko oddanie Zofji w bezpośrednią opiekę Kościoła. Nuncjusz, z rozkazu papieża miał się sprawą zająć, a przedewszystkiem nakazać przełożonej wybranego przez Zofję klasztoru przyjęcie jej do nowicjatu mimo sprzeciwu rodziny. Najwyraźniej pisze o tem Bellarmin:

„Abym mógł w miarę możności pomóc ci do wypełnienia się tak pobożnych pragnień, zaraz udałem się do Ojca św. i oddałem mu twój list, a zarazem usilnie go prosiłem, by nie pozwolił wyrządzić ci krzywdy, skoro nie może ciebie krzywda spotkać, by nie była ona zarazem i krzywdą Niebieskiego Oblubieńca. Odpowiedział mi Ojciec św., że napisze do nuncjusza swego apostolskiego, aby nikt nie robił ci przeszkód, lecz byś mogła swobodnie przywdziać habit zakonny, świętą profesję złożyć i na zawsze już z owemi świątobliwemi dziewicami w służbie Bożej pozostawać". [1])

List, który z końcem czerwca musiał nadejść do Krakowa, podniósł zapewne na duchu Zofję i skrzepił nadzieją bliskiego wyzwolenia.

Wyzwolenie jednak nie nadchodziło. Mija miesiąc za miesiącem, a Rzym i nuncjatura milczy. Położenie Zofji staje się coraz trudniejsze, zwłaszcza że umiera matki Zofji, Marja z Kopciów Dębińska, [2]) zostawiając obie córki bez opieki. Pisze przeto Zofja 16 września 1611 r. drugi błagalny list do Bellarmina, ponawiając dawne prośby i oznajmiając już konkretnie, że pragnie wstąpić do klasztoru św. Agnieszki PP. Bernardynek.

Zaczyna się drugi okres oczekiwań. Zanim nadeszła odpowiedź od Kardynała, w położeniu Zofji znowu zachodzi niespodzianie bardzo korzystna zmiana. 18 października t. r. przenoszą się obie Dębińskie do klasztoru św. Agnieszki, który już w skrytości serca Zofja wybrała na miejsce swej służby Bożej, i to przenoszą się za zgodą samego Koniecpolskiego. Stajemy znowu wobec zagadki na pozór nierozwiązalnej. Sam Koniecpolski stara się o umieszczenie Zofji w klasztorze i tamże ją osobiście odprowadza...! Jak to wytłumaczyć? Sądzimy, że bardzo prosto! Jest to tylko dalszy ciąg metody postępowania, przyjętej przez Zofję po ślubie. Z chwilą śmierci matki, obie siostry, wobec równoczesnej nieobecności ojca, zostały bez opieki. Stary Dębiński, otrzymawszy wiadomość o śmierci żony, polecił wstrzymać obrzędy pogrzebowe aż do swego powrotu. Korzysta z tych okoliczności Zofja i proponuje, aby na czas do powrotu ojca

[1]) *Epistolae Familiares,* ep. LXXXV, p. 191: Sophiae Debińskae 20 Junii 1611.

[2]) *Obrona,* p. 6.

mogła przenieść się do klasztoru św. Agnieszki. Po świeżej śmierci matki takie pragnienie poświęcenia czasu żałoby na dewocję było zupełnie naturalnem. Koniecpolski znowu znalazł się w sytuacji bardzo podobnej do owej po ślubie. Albo skorzysta z braku opiekunów i zabierze przemocą Zofję, albo upomni się o swe rzekome prawa w sądzie biskupim, albo wreszcie i tym razem ustąpi Zofji. Wybrał znowu ostatnią ewentualność, w nadziei, że przez to ustępstwo zjedna sobie Zofję, owszem, że w murach zakonnych staje jej upór, zatęskni za światem, a może nawet za nieuznawanym dotąd mężem. Pamiętajmy ciągle, że Koniecpolski o korespondencji rzymskiej i o zamiarach Zofji nic nie wiedział. Sam więc prosi przełożoną klasztoru o przyjęcie Zofji, do której przyłączyła się jej młodsza siostra. Jest w tym fakcie gorzka ironja, jest już zawiązek przyszłej tragedji. Za Zofją zamknęła się furta klasztorna, którą dopiero pół roku później otworzy gwałt Koniecpolskiego.

Po niedługim czasie wraca stary Dębiński. Mają się odbyć oficjalne uroczyste obrzędy pogrzebowe ś. p. Podkomorzyny. Ojciec wzywa córki, by wyszły z klasztoru i wzięły w pogrzebie udział. Otrzymuje odpowiedź odmowną, „iż nie pójdziemy, ale tu w tym klasztorze do śmierci Panu służyć będziemy". [1]) Rodzina i zakonnice dopiero teraz dowiadują się o stanowczem postanowieniu obu sióstr. Z tą chwilą zaczyna się ich duchowa martyrologja, nawet z punktu widzenia czysto ludzkiego, do głębi wzruszająca. Stary Dębiński i Koniecpolski używają wszelkich możliwych sposobów i środków, by oporne dziewczyny wydostać z klasztoru. Nie będziemy opisywać szczegółów tej walki, która pociągnęła za sobą komisje biskupie, interdykt rzucony na klasztor i już miała się skończyć zwycięstwem bohaterskich sióstr i zakonnic, które z początku bardzo im niechętne, zniewolone jednak męstwem Dębińskich, stanęły ostatecznie po ich stronie. Zrobił to już prof. Mycielski. Wszelkie ataki, perswazje, groźby spotykają się z jedną jedyną odpowiedzią: „iż z tego klasztoru nie wynijdziemy dla ślubu czystości, którychmy uczyniły Panu Bogu, ale tu w czystości do śmierci

[1]) *Obrona* p. 7 (A4).

Panu Bogu służyć będziemy". A mają ufność, że „wspomoże Pan Bóg, któremuchmy się oddały, iż nie wynijdziemy stąd".[1])

Wspomógł je i Bellarmin, by nie wyszły! Na drugi list Zofji nadeszła jeszcze życzliwsza, a bardzo charakterystyczna dla psychiki Kardynała odpowiedź. Przebija się w niej w słowach silnych a nawet ostrych dusza gorąca, która nie zna kompromisu i zwłoki w sprawach Bożych.

„List Twój, pisze do Zofji, który pobożnością tchnie i religijnością, wzruszył mię bardzo i gdybym miał tyle władzy ile woli, dawno już wolna od wszelkich przykrości służyłabyś z weselem Chrystusowi Panu Najsłodszemu twemu Oblubieńcowi, aczkolwiek i teraz z niemniejszym pożytkiem duchowym służysz Mu w uciskach. Rozmawiałem znowu z Ojcem św. Pawłem V i powiadomiłem go o wszystkiem, coś napisała mi 16 września, nie przestając prosić, aby raz już wreszcie napisał do nuncjusza swego apostolskiego, by on rozkazał cię przyjąć do owego świętego zgromadzenia i w niem złożyć profesję. Ogromnie boleję, że świat do tego stopnia przemaga, iż zdolny jest tak długo odwlekać spełnienie pobożnych pragnień Bogu oddanej dziewicy".[2])

Dlaczego Ojciec św. obiecanej po pierwszym liście interwencji w nuncjaturze nie spełnił? Sądzimy, że poprostu zapomniał o niej i przeoczył ją w całej masie bardzo ważnych spraw kościelno-politycznych, jakie właśnie wtedy z powodu wewnętrznych stosunków w Polsce załatwiano. Druga interwencja Bellarmina odniosła już skutek, zwłaszcza że niebawem za Zofją wstawił się u papieża sam Zygmunt III. Drobna dotąd sprawa rodziny Dębińskich przemienia się jeszcze przed gwałtem kwietniowym na zdarzenie głośne, które zajmuje najwyższe powagi i władze. Papież w instrukcji dla nuncjusza Simonetti poleca sprawę zbadać i sprawiedliwie rozstrzygnąć.[3])

Nie miała jednak Zofja szczęścia. Nuncjusz umiera, zanim zdołał polecenie papieskie spełnić. Papież na jego miejsce do tej sprawy deleguje biskupa płockiego Marcina Szyszkowskiego, który razem z biskupem krakowskim Ty-

[1]) *Obrona* p. 7 (A4).

[2]) *Epistolae Familiares* ep. LXXXVII, p. 194: Zophiae Debińskae 3 Novembris 1611.

[3]) *Relacje Nuncjuszów*. Paryż 1864. T. II, str. 114. Relacja dla Nuncjusza Ruini.

lickim miał wreszcie całą rzecz skończyć i wydać dekret, uznający małżeństwo Zofji za nieważne i polecający jej przyjęcie do klasztoru Bernardynek. Trzeci list Bellarmina, pisany do Zofji, nie przynosi już nic nowego, oznajmia tylko rychłe, pomyślne zakończenie sprawy.[1])

Zakończył ją, zanim obie Dębińskie, otrzymawszy wreszcie przychylny dla siebie dekret, mogły przywdziać habity i złożyć profesję, w znany nam już sposób Koniecpolski gwałtem z dnia 16 kwietnia 1612 r.

Rola, jaką w tej sprawie odegrał Bellarmin, z punktu widzenia ogólno-historycznego mniej ważna, jest cennym przyczynkiem do psychologji Wielkiego Kardynała, a interesującem zjawiskiem dla historyka kultury. Widać z tego zdarzenia, jak religja głęboko tkwiła w duszach ludzi ówczesnych, jak potrafiła je absorbować, skoro sprawa powołania zakonnego polskiej szlachcianki, nawet nie magnatki, mogła wywołać tyle zainteresowania i zająć sobą najwyższe władze kościelne i państwowe.

Jeśli zaś idzie o rolę Bellarmina, to już prof. Mycielski podkreślił pewien rys piękna, jaki się zaznaczył w szlachetnej, bezinteresownej opiece sędziwego purpurata nad polskiem dziewczęciem w nieznanym mu kraju.[2]) Dlatego też tragedję Zofji odczuł Kardynał bardzo silnie.

„Cohorrui totus" — „przerażenie mię ogarnęło", pisze do mniszek od św. Agnieszki, gdy po gwałcie aż w dwu listach skarżyły mu się na swą krzywdę i popełnione świętokradztwo, „przerażenie mię ogarnęło, gdy dowiedziałem się z Waszego listu o tak wielkiem świętokradztwie... Ów gwałtownik, który nie swoją, ale Chrystusa porwał oblubienicę, poniesie napewno zasłużoną karę, a choćby nawet uniknął rąk ludzkich, nie ucieknie — żyw czy zmarły — przed prawicą wszechmocnego Boga".[3])

7. Po tym dłuższym epizodzie, któremu poświęciliśmy więcej miejsca, aby wyjaśnić przy tej sposobności tajemniczość sprawy, niepotrzebnie przez autora *Porwanej z kla-*

[1]) Znany tylko z tłumaczenia polskiego, które załączył Miłopolski w *Obronie* str. 28.

[2]) Mycielski, loc. cit. *Przegląd Polski*, 1885, t. IV, str. 89.

[3]) *Epistolae Familiares*, ep. XCV, p. 212: Monialibus St. Agnetis, 4 Augusti 1612.

szforu zaciemnionej, przejdziemy do przeglądu kilku jeszcze szczegółów, odnoszących się do stosunków Bellarmina z Polską.

Obraz ich bowiem byłby niezupełnym, gdybyśmy nie dodali choć kilku słów o stosunku Kardynała Roberta do polskich jezuitów. Wszak samorzutnie narzuca się pytanie, czy Bellarmina znał osobiście i z nim korespondował Skargą, który przecież tak obficie czerpie ze skarbca jego teologicznej wiedzy? Niestety, odpowiedź wypadnie zupełnie negatywnie. Napewno można powiedzieć, że nie spotkali się ze sobą nigdy, albowiem w latach rzymskich Skargi Bellarmin wykładał w Louvain, a prawdopodobnie i nie korespondowali, bo jak dotąd, niema ani śladu bezpośredniej między nimi wymiany myśli.

Znał jednak Bellarmin innych jezuitów Polaków. Byli to albo jego rzymscy uczniowie, jak np. Marcin Smiglecki,[1]) albo prowincjałowie i delegaci na kongregacje jeneralne czy prokuratorów.

W r. 1593 na kongregację generalną 5-tą, zwołaną za życia Aquavivy, udali się z Polski, wraz z prowincjałem Ludwikiem Masselli, Ojcowie Jakób Wujek i Stanisław Grodzicki.[2]) Na kongregacji tej Bellarmin był bardzo czynny, jako obrońca generała. Polska opowiedziała się także za Aquavivą przeciw knowaniom garstki malkontentów hiszpańskich. Od tego czasu zaczyna się znajomość Grodzickiego z Bellarminem. Gdy po latach kilkunastu Grodzicki wydał pierwszy tom swoich kazań łacińskich,[3]) posłał go Bellarminowi, przypominając mu znajomość i rozmowy z czasów kongregacji.

„Nie zapomniałem i ja — odpisał Kardynał — o bardzo miłem przestawaniu z W. W. w czasie kongregacji jeneralnej. Dlatego też sprawił mi wielką przyjemność list, który pamięć owego czasu odnowił. Kazania W. W. bardzo odpowiednie, zwłaszcza teraz w adwencie, czytają mi w czasie posiłku, inaczej nie miałbym możności ich przeczytania. Podobają mi się, raz dlatego, że same w sobie są mądre i pożyteczne, a powtóre dlatego, że bardzo są podobne do tych

[1]) Załęski loc. cit. t. I, str. 749.

[2]) Wielewicki loc. cit. t. I, p. 168.

[3]) *Quadripertitae Conciones* Stanislai Grodicii S. J. *in IV Dominicas Adventus...*, w Krakowie u Piotrkowczyka 1605 r.

kazań, jakie głosiłem w kościele mym kapuańskim, gdy tam spełniałem obowiązki arcybiskupa. Gdyby kazania W. W. przed dwoma lub trzema laty doszły mych rąk, byłyby im oddały wielką przysługę". [1])

List Bellarmina wydrukował Grodzicki na początku drugiego tomu kazań. Musimy mu przyznać zmysł praktyczny, trudno bowiem o lepszą rekomendację, zwłaszcza jeśli się zważy na słowa listu, w których wielki Bellarmin pokornie wyznaje, że gdyby wcześniej kazania Grodzickiego otrzymał, byłyby mu wielką pomocą w głoszeniu Słowa Bożego. Zapewne, w powiedzeniu Kardynała było nieco komplementu, ale była też i szczera, prosta skromność Bellarmina, jedna z najpiękniejszych ozdób tego wielkiego męża.

Na tej samej kongregacji z r. 1593 dyskutowano plany ordynacji studjów dla szkół zakonu, przygotowywane od kilku lat w komisji, do której należał i Bellarmin. Opinje jego zachowały się. Wydał je Le Bachelet. Przed ostateczną redakcją i zatwierdzeniem *Rationis Studiorum* zjechali się w r. 1595 do Rzymu prowincjałowie włoscy, wśród nich Bellarmin jako prowincjał neapolitański, rektor Kolegjum rzymskiego i prowincjał polski Bernardyn Gonfaloniero. Protokół obrad motywuje obecność polskiego prowincjonała tem, że Polska chciała w studjach trzymać się porządku włoskiego — *Polonia enim italicum ordinem sequi cupiebat.* Porządek ten wedle opinji wzmiankowanej komisji polegał na tem, aby ordynacja była krótsza, jaśniejsza, bardziej uporządkowana i aby usunięto niektóre przepisy, obrażające czytelnika, jak np. o emulacji w regułach prowincjała i inne. Protokół obrad podaje dokładnie proponowane zmiany. [2])

I na następnej kongregacji po śmierci generała Aquavivy, na której Bellarmin nie występował już bezpośrednio, spotkał się znowu z Polakami. Wspomnieliśmy już wyżej, że właśnie wtedy Mikołaj Łęczycki pośredniczył między Janem Gostomskim a Kardynałem.

Spór jezuitów polskich z Akademją krakowską nie oszczędził także i Bellarmina. Akademicy

[1]) *Quadripertitae Contiones*, wstęp do tomu II. Kraków 1606, u N. Loba
[2]) Le Bachelet, op. cit. p. 518.

wszystkich chwytali się sposobów, byle tylko wydostać przywilej wyłączności, a do założenia szkół jezuickich w Krakowie i Poznaniu nie dopuścić. Udali się przeto i do Bellarmina z prośbą, by wstawił się za Akademją u generała zakonu Aquavivy. Kardynał, wedle Wielewickiego,[1]) rzeczywiście miał interwenjować, a Akademji odpisał przychylnie. Listu tego nie znalazłem; w każdym razie nie był on dowodem jakiejś niechęci czy nielojalności Bellarmina względem jezuitów polskich. Jeżeli list ten Kardynał pisał, to dlatego, by kres położyć sporowi, który ani obu stronom chwały nie przynosił, ani nauce polskiej korzyści.

Wogóle całą działalność Wielkiego Kardynała charakteryzuje dążność do łagodzenia sporów między katolikami. Takiem było jego stanowisko w polemikach filozoficznych i teologicznych, takiem w sławnym sporze *de auxillis*, takiem w sprawie Galileusza, takiem wreszcie i w sporze o szkoły w Polsce. Jego szeroki i głęboki umysł wznosi się ponad ciasnotę i krótkowzroczność, a gorące serce, oddane sprawie Bożej, widziało przedewszystkiem te miljony dusz zbałamuconych herezją, bolało niezmiernie nad rozbiciem chrześcijaństwa i nad każdym nieumiarkowanym sporem wśród katolików, który żadnych nie przynosił korzyści i siły rozpraszał.

A jednak ta wielkość umysłu i serca nie przeszkadzała Bellarminowi być pełnym dobrotliwości i życzliwości dla ludzi. Zajęty najważniejszemi sprawami Kościoła, znajdował czas na załatwianie nawet drobiazgów, byle tylko proszącym sprawić przyjemność, a jeśli kiedy odmówił prośbom, to nigdy ze względu na siebie. Dwa przykłady!

W r. 1618 O. Mateusz Bembus, następca Skargi na stanowisku królewskiego kaznodziei, wybrał się w pielgrzymkę do Rzymu, wioząc ze sobą ostatnią, dopiero co wydaną książkę: *Pastor vigilans*,[2]) by ją ofiarować na audiencji Ojcu św. Nie był pewnym czy zostanie życzliwie przyjętym, trzeba się przeto kogoś poradzić. Idzie do Bel-

[1]) Wielewicki, op. cit. t. III, str. 177.

[2]) *Pastor vigilans, sive ars regendi animas... Pastoribus omnibus Ecclesiasticis proposita* per R. P. Mattheum Bembum S. J. Kraków u Piotrkowczyka 1618.

larmina i prosi o przeczytanie książki i oddanie jej lub nieoddanie, wedle tego jak uzna za lepsze, papieżowi. Kardynał podjął się tej „cenzury", książkę przeczytał i polecił osobiście wręczyć ją Pawłowi V. Na cenzurze i poleceniu Bellarmina kaznodzieja polskiego króla wyszedł bardzo dobrze; papież dziękował za dar i Generałowi Zakonu i autorowi, gdy był po raz drugi na audiencji, książkę zaś kazał zachować w watykańskiej bibljotece. [1])

Drugi przykład dotyczy jakiegoś krewniaka prymasa Wojciecha Baranowskiego. Krewniak ów, będąc w Rzymie, otrzymał od papieża dużo różnych odpustów i łask duchownych, ale po powrocie do kraju zapomniał sobie biedak, co to za odpusty; udaje się przeto przez innego jezuitę, wspomnianego już wyżej Fryderyka Szembeka, do Bellarmina, by ten dowiedział się od papieża, jakich mu odpustów udzielił. Tym razem nie mógł już Kardynał tej niefortunnej prośbie zadośćuczynić, ale mimo to odpisuje osobiście Szembekowi i tłumaczy, że nie wypada pytać papieża, jakich udzielił łask, zwłaszcza że napewno i papież już o nich nie pamięta. Nie pozostaje zatem nic innego proszącemu, jak znieść spokojnie stratę łask duchownych źle strzeżonych. [2])

Przytoczyliśmy i ten drobny szczegół, bo nietylko uzupełnia charakterystykę Bellarmina, ale jest znamienny dla psychiki ludzi z okresu kontrreformacji. [3])

---

[1]) Wielewicki, op. cit. t. III, p. 242.

[2]) Bellarmin do Fr. Szembeka 19 marca 1615. Archiw. Prow. Małopolskiej T. J. Księga autografów.

[3]) Pomiędzy suplikami Bellarmina, zanoszonemi do Stolicy Apost. znajdują się dwie w sprawach Polaków:

1. Wstawia się za Teofilem Wiesołowskim (Wiessoloschi nobilis Polonus), przebywającym na studjach w Rzymie, aby mógł bez listów dimisorjalnych swego biskupa (włocławskiego), z którym nie można się szybko porozumieć, otrzymać święcenie mniejsze, ut capax fiat beneficii ecclesiastici obtinendi. Archiv. Vatic. Gesuit. 19 fol, 1.

2. Prosi o uwolnienie z nieprawidłowości (irregularitate) Mateusza Presoviusa, który jako mnich, diakon, porzucił katolicyzm i ożenił się. Nawróciwszy się jednak potem, pragnie otrzymać święcenia kapłańskie. Kardynał wstawia się do papieża o zwolnienie go od przeszkód kanonicznych, a jako motywy podaje: nawrócenie się, ubóstwo (quia pauperrimus est) i polecenia jezuitów polskich. Archiv. Vat. Gesuit. 19, fol. 12.

Za życzliwość i dobroć odwdzięczali się jezuici polscy Kardynałowi w różny sposób. Największym objawem hołdu, jaki mu mogli złożyć i złożyli, to ten ogromny, przemożny wpływ, jaki wywarło na nich a konsekwentnie na ich pisma i pracę wielkie dzieło Bellarmina o kontrowersjach. Ponieważ zagadnienie to wykracza poza zakres naszych zainteresowań i tematu, pomijamy je i zostawiamy teologom do rozpatrzenia, nie możemy jednak pominąć o b r o n y s a m e j o s o b y Kardynała przez polskich jezuitów.

Oba walczące ze sobą obozy, katolicki i protestancki, w polemice słownej nie oszczędzały się wzajemnie, a roznamiętnienie mas było bardzo podatnym gruntem do powstawania potwornych nieraz bajek i fałszów, przyjmowanych przez bezkrytyczne umysły za prawdę. Jeżeli ową gorącość przekonań i ich obrony możemy uważać za objaw dodatni, wobec współczesnej nam obojętności dla zasad religijnych i wyznaniowych, to z drugiej strony celowe i świadome bałamucenie ciemnych mas przez zmyślania i wstrętne paszkwile należy uznać za objaw ujemny, zmniejszający bardzo moralną wartość dodatniej strony polemiki. Sprawiedliwość każe wyznać, że strona katolicka była pod tym względem znacznie więcej umiarkowaną niż protestancka. Pamfletowa, oszczercza literatura różnowiercza, wzorowana na „Mowach stołowych" Lutra, może mieć nawet wartości językowe, zaszczytu jednak swym twórcom stanowczo nie przynosi.

Kardynał Bellarmin jeszcze za życia padł ofiarą nieprawdopodobnego wprost paszkwilu, napewno jednego z najwstrętniejszych, na jaki za ludzkiej pamięci zdobyła się nienawiść. W r. 1614 pojawił się druk, anonimowy oczywiście, rzekomo w oficynie Ludwika Königa w Bazylei, [1]) p. t.: *Prawdziwa historja o śmierci rozpacznej jezuity Roberta Kardynała Bellarmina.* Nieznany oszczerca opowiada w niej już na siedm lat przed właściwą śmiercią Kardynała najdokładniejsze szczegóły o jego zejściu z tego świata, o straszliwych wy-

[1]) Wyparł się tego sam König w liście, ogłoszonym przez Tyszkiewicza w *Vindiciae Doctrinae S. J. a calumniis Patroni Torunensium Anonymi.* Cracoviae, in Officina A. Perticovii A. D. 1616. W liście tym powołuje się na świadectwo obywateli i przyjaciół, że nigdy wogóle nawet nie posiadał drukarni.

rzutach sumienia, jakie go za zbrodnie życia dręczyły. Autor wie, że Bellarmin „ryczał jak lew i że ognisty kozieł miał go zanieść na plecach do piekła". „Dokładnym" informacjom o śmierci odpowiadają równie dokładne i wyczerpujące wiadomości o życiu Bellarmina. Trudno powtarzać i wymieniać te potworności i niedorzeczności, jakie wymyśliła nienawiść. Życie Sardanapala i najgorszych znanych w historji zbrodniarzy i rozpustników trzebaby nazwać bardzo jeszcze cnotliwem wobec życia Kardynała. Autor policzył np. najdokładniej, że zgwałcił on 2236 razy prawo małżeńskie, że z 1642 kobietami miał stosunki, 15 dziewic z najwyższych rodów magją swoją znęcił, a potem wymordować i wytruć je kazał, itd. itd., — cały paszkwil w tym guście i stylu. Rzecz zbija się własną swą potwornością i niedorzecznością. Tak też potraktował ją Bellarmin. Za całą odpowiedź wezwał notarjusza i polecił spisać akt, że jeszcze żyje.

Możnaby sądzić, że taka odpowiedź powinna zupełnie wystarczyć, że najbardziej nawet namiętne i ciemne głowy wiary tym absurdom nie dadzą. Było jednak inaczej! I to jest objaw dla psychiki szerokich mas protestanckich jeszcze smutniejszy, niż powstanie samego paszkwilu. Jeden z protestanckich historyków nazywa tę historję prawdziwą hańbą Niemiec.[1]) Paszkwil ten nietylko miał dwa wydania w Niemczech, ale rozszedł się po Francji, Anglji, dotarł bardzo szybko do Polski, został zaraz przedrukowany w Gdańsku, rozchwytywano go z ciekawością i... dawano mu wiarę. Skłoniło to jezuitów do podjęcia obrony Kardynała. W Niemczech Gretser wydał w r. 1615 broszurę zbijającą: *Libelli famosi, quo vix post hominum memoriam impudentior et flagitiosior prodiit adversus Ill. Cardinalem Bellarminum, castigatio.* U nas po wyjściu gdańskiego przedruku, rozprawił się z nim krótko ale energicznie jezuita Jerzy Tyszkiewicz w polemicznej broszurze: *Vindiciae doctrinae Societatis Jesu.*[2]) Zwraca się ona przedewszystkiem przeciw kutym i wysyłanym z Torunia zarzutom, odnoszącym się do rze-

[1]) Cytuje Duhr: *Geschichte d. Jesuiten in d. Ländern deutscher Zunge* t. II, część druga, str. 665.

[2]) Patrz przyp. strona poprzednia.

komej nauki jezuitów o restrykcji mentalnej, o władzy papieskiej i tyranobójstwie. W czasie pisania tej broszury zjawia się ów paszkwil, Tyszkiewicz uzupełnia ją przeto i na końcu ostatniego rozdziału rozprawia się energicznie z oszczercami Bellarmina. W Archiwum Stanu w Watykanie zachowała się urzędowa cenzura repliki Tyszkiewiczowej, podpisana przez czterech cenzorów.[1]) Prócz kilku drobnych sprostowań, cenzorzy robią autorowi uwagę, że zbyt ostro, zgryźliwie *(nimis mordacifer)* poczyna sobie z przeciwnikami. Rzeczywiście ton jest cięty, ale i rzecz zasługiwała na ostre potępienie.

Tyszkiewicz zaczyna opowiadaniem o ukazaniu się książki, zarzucającej Bellarminowi tyle zbrodni, że chociażby i Matuzalema przeżył, nie potrafiłby ich dla braku czasu popełnić. Dziwi się przeto Gdańszczanom i Toruńczykom, w jaki sposób mogli owi ludzie, skądinąd roztropni i poważni i nie byle jakiego imienia w Polsce, takie niedorzeczności drukować, a gdy z Gdańska do Torunia zostały przywiezione, w otwarte objęcia je przyjąć, chciwie a z przyjemnością czytać, przyjaciołom udzielać i gorliwie po całej Polsce rozrzucać. „Naśladują oni, mojem zdaniem, sępów albo muchy, które gdy poczują woń cuchnącego trupa, zaraz zlatują się, a unikają tego co zdrowe; podobnie Toruńczycy, gdy coś korzystnego o nas się mówi, udają, że nie słyszą, jeśli zaś wrogiego, z największą radością to przyjmują". [2])

W dalszym ciągu swych wywodów polemicznych nie zadawala się Tyszkiewicz tem ogólnem zbiciem, wykazującem niedorzeczność paszkwilu, ale podaje krótki rys życia Kardynała, powołuje się na własną dobrą z nim znajomość i na sądy współczesnych. Wśród tych sądów nie brak i przychylnych opinij rożnowierców. Michał Koletus, luteranin, minister z Gdańska, dowiedziawszy się o wydaniu paszkwilu, potępił go w kazaniu jako kłamliwe oskarżenie. Inny zaś, podobno wybitny kalwinista, obywatel hamburski wydrukował swój list do przyjaciela, w którym nie przypuszcza nawet,

[1]) Arch. di Stato, Censurae librorum, t. 3, fol. 331
[2]) Tyszkiewicz loc. cit. str. 47.

by ktoś mógł wierzyć w owe niedołężne i wstrętne bajki, choćby z tej tylko racji, że Bellarmin jeszcze żyje. Najciekawszą jednak w całej replice Tyszkiewicza jest historja, podana na samym końcu broszury. Przytoczymy ją, ponieważ nie pozbawiona jest wartości, jako charakterystyczny szczegół dla kulturalnego oblicza tych czasów.

„Przeor Bernardynów w Oliwie, Filip Adler, dowiaduje się od gdańskich senatorów, z którymi częste miewał rozmowy, o paszkwilu przeciw Bellarminowi. Luteranie wierzą w niedorzeczności tam podane tak mocno, iż daremnie przeor próbuje ich przekonać i bronić Kardynała i jezuitów. W czasie tej dyskusji oznajmiają, że właśnie prosto z Rzymu przyjechał do Oliwy żydek polski. Wołają go zaraz, wchodzi: pyta go przeor: coż nowego nam z Rzymu przynosisz? Co słychać z kardynałem Bellarminem, czy żyje jeszcze, jakie jego życie i obyczaje? Nadstawiają uszy Gdańszczanie w nadziei, że żyd za nimi mówić będzie. Atoli on oznajmia, że Kardynał żyje i prowadzi życie bardzo uczciwe a nieskalane, dodaje przy tem, że żydzi napewnoby się zaraz nawrócili na wiarę chrześcijańską, gdyby widzieli wszystkich, a przynajmniej większość katolików, życie swe na modłę życia kardynała prowadzących".

Wiadomość tę, dodaje Tyszkiewicz, otrzymałem od Ojca Andrzeja Chlewowskiego, Cystersa, męża wielkiej pobożności i uczciwości, obecnie opata wągrowickiego, naocznego świadka rozmowy.[1]) Opowiadanie to nie pozbawione humoru, dla współczesnych miało zapewne dużą wartość dowodową, zbijającą niedorzeczne zarzuty paszkwilu.

By już wyczerpać całość materjału, musimy poświęcić chwilę jednej jeszcze chronologicznie najpóźniejszej sprawie, w której Kardynał ważną, a nawet decydującą odegrał rolę. Mamy na myśli polemikę o europejskim, jakbyśmy dziś powiedzieli, rozgłosie, wywołaną zniesławieniem franciszkańskiego filozofa scholastycznego Duns Scota przez dominikanina Abrahama Bzowskiego. O ile mogliśmy zbadać, o sprawie tej nikt jeszcze u nas nie pisał, dlatego i o niej kilka słów powiemy, mając pod ręką bogaty materjał.

---

[1]) Tamże str. 51 i 52.

Epoka renesansu i walk religijnych, obok całego szeregu postaci naprawdę wielkich, wydała także sporo ludzi nieprzeciętnych, wybitnie zdolnych, ruchliwych i jeśli idzie o dzieła pisane, bardzo płodnych, często przytem namiętnych, a nawet burzliwych. Do tych ostatnich należy polski dominikanin Abraham Bzowski, za granicą Bzoviusem zwany, kontynuator Baronjusza. Już to jedno tylko określenie wystarcza za dowód, że musiał Bzowski być jednostką wybitną, skoro kontynuacja *Annałów* jemu została powierzoną i skoro on sam odważył się na podjęcie tej pracy. A przecież to tylko fragment z życia i przedsięwzięć Bzowskiego. Dotąd osobą jego nikt bliżej się nie zajął. Szkoda, bo postać to interesująca, ruchliwa, bujna. Urodzony w r. 1567 w Proszowicach, po pierwszych naukach w Secyminie i Akademji Krakowskiej, wstępuje do dominikanów. Wysłany na studja do Rzymu, po ich ukończeniu wykłada teologję w Ferrarze, a filozofję w Medjolanie. Odwołany do kraju, pełni urząd kaznodziei w Poznaniu, zakłada konwent dominikański w Warszawie, jeździ wreszcie na Śląsk, jako komisarz generalny swego zakonu. W r. 1611 wyjeżdża powtórnie do Rzymu, by już więcej do Polski nie wrócić. Nie zerwał jednak z krajem stosunków, utrzymując korespondencję i obdarzając bibljoteki dominikańskie cennemi darami w księgach.[1]) Namiętny i skrajny w sądach, wywołuje wiele sprzeciwów i polemik; największa i najsławniejsza z nich, to właśnie sprawa o Duns Scota, w którą wmieszany został i Bellarmin, jako przewodniczący Kongregacji Indeksu.

W t. XIII Annałów[2]) pod rokiem 1294 podał Bzowski pod złośliwym i ironicznym łytułem: *Joannis Scoti mors et laudes,* niby żywot i charakterystykę franciszkańskiego filozofa, a w rzeczywistości bardzo niesmaczny i niezgodny z prawdą paszkwil. Podnietą do jego napisania była niechęć Bzowskiego do franciszkanów, a szczególniej do Duns Scota, jako najwybitniejszego przeciwnika św. Tomasza z Akwinu i obrońcy

---

[1]) *Podręczna Encyklp. Kościelna* Chełmickiego t. V—VI, str. 243.

[2]) *Annalium Ecclesiasticorum post Illustr... Caesarem Baronium... t. XIII.* auctore R. P. Fr. Abrahamo Bzovio Polono... Coloniae Agrippinae a. 1616. col. 1029.

dogmatu Niepokalanego Poczęcia.[1]) Wyolbrzymiając i ironinizując niejasność dzieł Scota, odmawia im wszelkiej wartości, owszem wskazuje na złe skutki, jakie w zakonie franciszkańskim i wogóle w umysłach zwolenników systemu Scota wywołały. Najbardziej zaś niesmacznem jest zmyślone opowiadanie o nagłej śmierci Scota, mającej być karą za jakiś ukryty czy jawny jego grzech i o letargu, z którego miał się przebudzić i dopiero w grobie *semel sepultus bis mortuus*, naprawdę skonać. Trzy jadowite epigramaty, przytoczone przez Bzowskiego, jeszcze silniej podkreślają złą wolę autora.

Cały ten atak, wymierzony wyraźnie przeciw franciszkanom, którzy Scota uważali i po dziś dzień uważają za największą naukową chlubę swego zakonu, dotknął ich bardzo. Nic przeto dziwnego, że rozpoczęli kontrakcję. Maciej Ferchius wydał w r. 1619 pierwszą apologję,[2]) w rok później drugą, w tym samym roku w Antwerpji Hugo Cavellus prof. teologji w Lowanjum wydał na nowo komentarz Scota do 1 i 2 księgi *Sentencyj* Lombarda, poprzedził go zaś życiorysem filozofa i apologją, zbijającą zarzuty Bzowskiego.[3])

W 11 rozdziałach przechodzi po kolei wszystkie fałsze i oszczerstwa, zawarte w elogjum Bzowskiego i wykazuje jego złą wolę, aby wreszcie wyciągnąć wniosek, że wystąpienie Bzowskiego należy potępić, a miejsce obciążone z 13 tomu *Annałów* usunąć.

Zanim jednak *Apologja* Cavellusa mogła się swobodnie rozchodzić, przeszła cały szereg ataków ze strony dominikanów, którzy przez swoje wpływy i znaczenie za wszelką cenę starali się uzyskać jej potępienie. Dzieje tych starań opisuje Hugo Mac Caghwell, zwany po humanistycznemu Hugo Magnesius, franciszkanin irlandzki, w dziełku: *Apologia Apologiae pro J. Duns Scoto.*[4]) Skoro tylko została wy-

[1]) Hugo Cavellus: *Apologia pro J. Duns Scoto adversus opprobria, calumnias et iniurias, quibus P. Abrahamus Bzovius Ord. P....eum onerat;* Antverpiae 1620.

[2]) *Correptio Scotica Joannis Duns Scoti Doctoris Subtilis vitam et mortem explicans Abrahamo Bzovio Polono...* authore Matthaeo Ferchio Veglensi, Camberii 1620.

[3]) Patrz przyp. 1.

[4]) *Apologia Apologiae pro Ioanne D. Scoto...* (tytuł bardzo długi), per F. Hugonem Magnesium Hibernum, Parisiis 1623.

daną „Apologja" Cavellusa, zaraz dominikanie zaskarżyli ją przed biskupem Antwerpji; niezadowoleni z jego orzeczenia przychylnego dla „Apologji", udają się do nuncjusza belgijskiego, kardynała Sanseverino, a gdy i tu nie uzyskują upragnionego potępienia, próbują jeszcze szczęścia u nuncjusza krajów nadreńskich, wreszcie odnoszą się do Kongregacji Indeksu, a Bzowski sam od siebie wnosi prośbę, by *Apologję* potępiono. W Kongregacji biorą ją w obroty dwaj, zasiadający w niej dominikanie: jej sekretarz i Magister S. Palatii. Przygotowuje się wszystko do jej zakazania i wreszcie zostaje wydany wyrok potępiający. W najkrytyczniejszym już momencie, bierze w swe ręce sprawę Bellarmin, jako przewodniczący tejże Kongregacji, i odrazu przeważa na korzyść pokrzywdzonych franciszkanów.

Jeszcze przed przekazaniem tej historji Kongregacji Indeksu, generalny prokurator fraciszkanów złożył dłuższy memorjał generałowi jezuitów Mutiusowi Vitelleschi z prośbą, aby powagą swoją wpłynął, gdzie należy, na usunięcie inkryminowanego miejsca z *Annałów*. Zanim generał coś w tej sprawie przedsięwziął, wpłynęła druga z nią złączona sprawa *Apologji* Cavellusa. Wtedy generał przesłał Bellarminowi wspomniany memorjał z listem, w którym prosił kardynała, aby jako przewodniczący Kongregacji wstrzymał wykonanie wyroku, zakazującego rozszerzanie *Apologji*, aż w imię sprawiedliwości nie zostanie wysłuchaną i druga strona.[1])

Kardynał, który jak wynika z odpowiedzi dotąd bliżej sprawy nie znał, a raczej nie był poinformowany o jej zakulisowej stronie i na posiedzeniu Kongregacji, gdy wszyscy jej członkowie jednogłośnie żądali potępienia *Apologji*, chociaż osobiście był przeciwny temu potępieniu, nie chciał narzucać wszystkim swego zdania, po liście generała natychmiast wstrzymał wykonanie wyroku i kazał czekać na nowe rozporządzenia. Ciekawem jest — dodajamy nawiasem — określenie przez samego Bellarmina jego nie bardzo zdaje się przyjemnego stanowiska w Kongregacji Indeksu. Tłumaczy się bowiem generałowi, że gdyby mógł pierwszy głos zabierać, toby nie doszło do uchwały potępiającej *Apolo-*

[1]) Mutius Vitelleschi do Bellarmina, bez daty, r. 1620. (teki L. B.)

gję, ale że ma tam „ostatnie" słowo, a wszyscy inni przed nim mówią, więc gdy oświadczono się przeciw franciszkanom, nie mógł sam jeden sprzeciwiać się tej uchwale. [1])

Teraz dopiero zabrał się kardynał do przestudjowania gruntownego całej sprawy. Zachowała się jego opinja o elegjum Bzowskiego z *Annałów* [2]), opinja dla Bzowskiego nietylko nieprzychylna, ale wprost druzgocąca. W 16 punktach zebrał Bellarmin wszystkie zarzuty przeciw Bzowskiemu, wykazując jego złą wolę i świadomą dążność do przekręcafaktów i przedstawienia Scota w niekorzystnem świetle, w punkcie zaś ostatnim wyciągnął następujący wniosek: „z tego co się powiedziało wynika, że książkę (Bzowskiego) należy całkiem zakazać, względnie tymczasowo, aż zostanie poprawioną, zwłaszcza, że wedle ogólnej opinji roi się od błędów".

Ta ostra, a słuszna i na analizie tekstu *Annałów* oparta cenzura Bellarmina odrazu przechyliła zwycięstwo na stronę pokrzywdzonych franciszkanów. Kongregacja Indeksu zmuszoną była wydać teraz nowy wyrok, który nietylko uwalniał od wszelkiego zarzutu *Apologję* Cavellusa, ale i Bzowskiemu nakazał milczenie tak długo, aż oczyści i poprawi tekst *Annałów*.

Cavellus skorzystał z przychylnego załatwienia sprawy i uzupełnił swą *Apologję* przez włączenie do niej cenzury Bellarmina (bez wymieniania jego nazwiska), przez co rozumie się podniósł wartość przekonywującą swej *Apologji*. Bzowski zaś, nie mogąc już bezpośrednio przeszkodzić rozchodzeniu się jej, postarał się o polemiczną odpowiedź na *Apologję*. [3]) Autorem odpowiedzi był młody dominikanin Mikołaj Jansenius, który w złośliwości przewyższył Bzowskiego. [4]) Repliką na broszurę Janseniusa jest wspomniana

[1]) Bellarmin do Generała M. Vitelleschi, bez daty, (teki L. B.)

[2]) Archiv. Vatic. 19, fol. 391. Censura et iudicium de his quae frater Abrahamus Bzovius scripsit tomo 13 Annal Ecclest. anno 1294, pag. 1029. (teki L. B.)

[3]) Jansenius Nicolaus O. P. *Animadversiones et scholia in Apologiam nuper editam de morte et vita Duns Scoti adversum Abrahamum Bzovium.* Coloniae 1622.

[4]) *Libellum scripsit nimis iniuriosum et maledicti plenum in praefatum P. Cavellum, in quo et Scotum et ordinem eius verborum aculeis pungit, et mordet et iniuriosis dicteriis lacerat. Hugo Magnesius: Apologia Apologiae p. V.*

kilka razy *Apologia Apologiae* Hugona Mac Caghwella. W niej to autor nieżyjącemu już Bellarminowi, jako obrońcy pokrzywdzonego zakonu, poświęcił gorące i pełne wdzięczności wspomnienie. Sama sprawa Bzowskiego nie skończyła się i teraz. Polemika trwa dalej, śledzenie dalszych jej losów już do nas nie należy. Mówiliśmy o niej o tyle tylko, o ile łączy się z osobą Bellarmina, który w tym jedynym wypadku zmuszony był użyć swej powagi na niekorzyść Polaka.

Tak przedstawia się obraz stosunków Wielkiego Kardynała z Polską. W rozprawie naszej nie pominęliśmy ani jednego dokumentu, staraliśmy się wszystkie, o ile tylko można było, wpleść i wciągnąć w całość obrazu, a przedewszystkiem wyciągnąć z nich jak najwięcej konkretnej treści historycznej. Nie jest ona bogatą w nowe, nieznane choćby tylko szczegóły. Dokumenty, które mieliśmy pod ręką, stanowią jeśli nie całość, to w każdym razie bardzo przeważającą większość korespodencji Bellarmina z Polską i w sprawach polskich; możliwe uzupełnienia z materjałów, spoczywających po prywatnych zbiorach (o ile wogóle istnieją), ogólnego obrazu całości nie zmienią, dlatego już teraz możemy scharakteryzować całość stosunków pod względem wartości historycznej jako drugorzędną. Bellarmin wogóle wielką polityką Kościoła niechętnie się zajmował. Zmuszony okolicznościami i wolą papieży, załatwiał pewne bardzo nawet ważne sprawy kościelno-polityczne krajów zachodnich, sprawami zaś Polski interesował się tylko ubocznie. Jako jeden z przewódców odrodzenia katolickiego i kontrreformacji, nie mógł nie zwracać bacznej uwagi na kraj, do którego stanowiska w sprawach kościelnych Stolica Apostolska przywiązywała bardzo wielkie znaczenie. Jeżeli dodamy do tego starania o unję i wiecznie wtedy aktualną kwestję lig antytureckich, będziemy mieli punkty zaczepienia dla zainteresowania Belarmina Polską i Polakami. Do tych ogólno-kościelnych powodów dołączyły się jeszcze osobiste stosunki i znajomości. One właśnie i to na pierwszem miejscu składają się na treść obrazu,

gdy tamte, ogólno-kościelne, stanowią raczej tło. Treść ta jednak nie przestaje być intresującą ze stanowiska historji kultury, dorzuca bowiem niejeden szczegół do ogólnych stosunków Polski z zachodem, do charakterystki Bellarmina i osób z nim korespondujących, przy najbardziej zaś pesymistycznej ocenie wartości historycznej tych stosunków, praca nasza rozwiązuje przynajmniej pytanie, które nieraz musiało się samorzutnie nasuwać historykom naszej kultury: jak się przedstawia osobisty stosunek Wielkiego Kardynała do Polski, wobec tak przemożnego wpływu jego dzieł teologicznych na teologiczno-polemiczną literaturę 16 i 17 wieku.

Ks. Stan. Bednarski T. J.

Zagadnienie rzeczywistości jako przedmiotu odkryć.

(Ciąg dalszy)

Wracamy się do kwestji głównej, od której rozwiązania zależy, czy stosunki między wrażeniami zaznawanemi przez różnych ludzi i w różnych czasach dadzą się odnieść do jednego układu niezmiennego i — wyrażając się obrazowo — na nim utwierdzić, do niego sprowadzić, jakby do jednego mianownika tak, iżby cała zmienność tłumaczyła się zasadami tego układu, a on sam przedstawił się czemś stałem, objektywnem, niezależnem od różnic w odczuwaniu. Owa kwestja, tak ciężko ważąca na szali uzasadnień wyboru między odpowiedzią „tak" a „nie" na pytanie, czy możemy wykrywać coś więcej, niż stosunki między naszemi czuciami, przedstawieniami, sądami, pojęciami, pragnieniami — streszcza się w zagadce: na czem oparte jest przekonanie, że ktoś inny od tak przekonanego „ja" czuje, wyobraża sobie, ma na myśli lub osądza to samo właśnie, co owo „ja". Jest to kwestja jedności sensu i dróg do niej wiodących.

Krańcowy relatywista, jakim był w starożytności słynny mowca i okrzyczany za nihilistę z powodu swych wyników Gorgjasz, przeczy z miejsca, jakoby było można zakomunikować coś drugiej osobie (w szczególności zaś jakąś prawdę — t. j. sąd prawdziwy o czembądź — nawet gdyby którakolwiek z prawd była dla człowieka pochwytna, czego nie przyznaje). Wychodził Gorgjasz tak, jak i dzisiejsi relatywiści, z doświadczenia, że bardzo często trudno jest dogadać się z kimś, pomimo, iż mówi takim samym językiem,

co nie jest wytłumaczalne inaczej, jak że ten ktoś drugi podkłada pod wyraz, używany wspólnie przez obu, inny sens. To zaś przywiązywanie różnego sensu do słów brzmiących tak samo, lub bardzo podobnie, każe domyślać się różnych warunków powstania takiej różnej nomenklatury. A tu ponad inne objaśnienia, np. zapomocą specjalnych gwar używanych w poszczególnych środowiskach, niekiedy nawet w obrębie jednej rodziny, lub prostego faktu, że kogoś nauczono nazywać rzeczy niewłaściwem ich imieniem, nasuwa się ogólniejsze i prostsze tłumaczenie, że ten ktoś dlatego rozumie coś innego przez dany wyraz, bo mu się skojarzył z innemi wrażeniami odczuwanemi choćby na widok tych samych przedmiotów, do których inni władający zresztą tą samą mową odnoszą odmienne swoje wrażenia, a w następstwie też i przedstawienia o treści różniącej się od jego przedstawień.

O przykłady nietrudno. Stosownie do rozmaitego, jak powszechnie wiadomo z potocznych doświadczeń, nastawienia uwagi i przewagi skojarzeń bądźto estetycznych, bądź społeczno- lub religijno-etycznych widok węża, jaszczurki, owcy i w. i. zwierząt budzi w różnych ludziach nietylko wręcz sprzeczne nastroje uczuciowe upodobania (sympatji) lub odrazy (antypatji), ale także zgoła odmienne rysy w zachowaniu się tych stworzeń wybijają się na czoło w świadomości ich widzą, zwłaszcza jeżeli nie jest zoologiem. Malarz-estetyk Hogarth wraz z niejednym ze swych poprzedników i następców będzie się zachwycał pięknością skrętów ciała wężowego, mienieniem się ich barw i połysków, podczas gdy ten, kto wie o drapieżności wężów i jej w danym wypadku się obawia a zarazem przywiązuje wagę do usymbolizowanej przez Biblję ich zdradliwości i przebiegłości, śledzi czujnie ruchy tego zwierzęcia nie bez obrzydzenia i niepokoju, że zwierzę to nagle napadnie na widza. Inaczej znów zupełnie patrzy na węża włościanin litewski, przywykły do widoku nieszkodliwego gatunku tej klasy kręgowców u siebie w domu, gdzie jest stałym mieszkańcem i ulubionym towarzyszem dzieci w ich zabawach — jedzą z wężami z jednej misy — i przechowuje się o nim przesąd, że przynosi szczęście. Nie jest to dla Litwina ani coś nadzwy-

czajnie pięknego, ani podstępnie złośliwego, ale istota pożyteczna (pożyteczna, bo tępi w domu myszy i robactwo), raczej dobrotliwa i swojska przy całej zagadkowości sposobu, w jaki ma się przydawać ludziom. Analogicznie całkiem co innego uświadamia się, pierwej i silniej zaprząta uwagę duszpasterza-kaznodziei, obserwującego zachowanie się owiec, dbałego o zbawienie duchowe własnych „owieczek", aniżeli przypatrującego się ich ruchom krytyka takich metod wychowawczych, które nie wyrabiają samodzielności sądu i decyzji, krytyka skłonnego do utyskiwań na t. zw. „owczy" pęd w społeczeństwie już wadliwie wychowanem.

Nowsza lingwistyka, a nawet już każdy dokładniejszy słownik, stwierdza wielość znaczeń, jakich w ciągu wieków nabrał prawie każdy wyraz, co więcej, wyjaśnia psychologicznie i zmianami stosunków społecznych przesuwanie się znaczeń jednego wyrazu, wypieranie tychże przez znaczenia coraz to nowsze, a jednak wystarczy też zaglądnąć do pierwszego lepszego słownika, ażeby zobaczyć, że w wypadkach, kiedy się nasuwa wątpliwość co do właściwego w danym razie sensu wyrazu, sens ten odsłania się zazwyczaj ze związku słów w zdaniu, które bądźto jako przydawki, dopowiedzenia, bądź też jako orzeczenia lub podmioty gramatyczne wskazują, jaką własność, jaki przedmiot lub jakie zajście miał mówiący na myśli. Nie jest więc tak zgoła beznadziejną sprawa zrozumienia tego, co ktoś drugi chciał zakomunikować, przez osobę znającą jego język, jeżeli przedstawienia i sądy, których wyjawienie ktoś sobie zamierzył, były jednoznacznie określone, t. j. nie rozpływały się w wewnętrznym zamęcie i w falowaniu między niezgodnemi z sobą cechami. Sam najskrajniejszy relatywista objawia swemi wywodami w żywem słowie czy w piśmie, iż nie wątpi o możliwości trafnego pochwycenia ich sensu przynajmniej przez część słuchaczy lub czytelników dostatecznie już umysłowo rozwiniętą i przystosowaną, t. j. zaopatrzoną w niezbędne do tego wiadomości oraz wygimnastykowaną logicznie. Wszak czułby się osobiście dotkniętym i pokrzywdzonym, gdyby go ktoś, powołany do wyrażenia opinji, posądził na chwilę o postępowanie bezcelowe.

Okolicznością ważną w sporze między relatywizmem

a realizmem jest niezaprzeczalne zjawisko, że stopnie trudności — a tak samo naodwrót możnaby powiedzieć łatwości — w przejrzeniu cudzych zamiarów oddania (częstokroć także u d a w a n i a) jakiejś myśli, życzenia, przychylności lub nieprzychylności, są mnogie i że dadzą się wymienić, uporządkować i objaśnić warunki, od których zależy, jak wysoki to będzie stopień, t. j. czy będzie łatwiej lub trudniej jednemu człowiekowi zrozumieć drugiego.

I tak nikt chyba nie zaprzeczy zdaniu wypróbowanemu przez przejścia prawie każdej doświadczeńszej ludzkiej jednostki, że najłatwiej rozumieją się wzajemnie — naturalnie w pewnym zakresie swych przeżyć, nie wymagającym specjalnych wiadomości — i odgadują nawet bez słów cudze życzenia, humor w danej chwili, przedmioty trosk lub namysłów, ludzie, którzy się ze sobą, jak się to zwykle mówi, zżyli, wzrośli w jednej atmosferze kultury towarzyskiej, poglądu na świat, zajęć zawodowych, niekoniecznie blizcy krewni, ale o dostatecznie podobnej organizacji psychofizycznej, związani także tradycjami historycznemi lub przekazanemi normami obyczaju jednej grupy społecznej. Sam język wspólny, będący w potocznem użyciu, zwłaszcza od dziecka, nie dostarcza już wprawdzie środków ułatwiających w równie wysokim stopniu przeniesienie się w cudze stany i akty duchowe i jednakowo zabezpieczających od pomyłek, co długoletnie zżycie się, wszakże zawsze jeszcze nie wymaga takiej usilności i ostrożności przy wysnuwaniu wniosków o tem, co i jak ktoś odczuł, pomyślał, wyrozumował, zamierzał, jak język w y u c z o n y, którego arkana, szczególnie wtedy, gdy jest jeszcze językiem żywym, tu i owdzie ujdą uwagi nawet najtęższego znawcy. Jeszcze zaś i poza niedokładną znajomością cudzego języka wydarzają się sytuacje wiadome z opowieści podróżniczych, kiedy to trzeba było użyć znacznej pomysłowości, żeby się porozumieć na migi co do przedmiotów i działań z nimi najpotrzebniejszych, np. ich kupna lub zamiany i to się udawało. Dzieje archeologji i lingwistyki porównawczej obejmują wypadki jeszcze trudniejszego przedarcia się przynajmniej do części zawartości psychicznej i kulturalnej ludów oddawna zaginionych, z któremi więc już nawet na migi

nie było można się porozumieć, a których mowy dźwięki albo wcale nie były znane, albo tylko w drobnych okruchach dochowały się zniekształcone przez ludy, które zajęły ich siedziby, w nazwach miejscowości. Otóż te istne triumfy nauki dokonały się zapomocą badania pomników architektury i rzeźby owych ludów, umieszczonych na nich napisów, względnie malowideł, i odcyfrowania zawartego w nich alfabetu, z którego też częstokroć — jak przy piśmie hieroglificznem, ale niezawsze — można było już zarazem wnioskować o sensie wyrazów a nie o samem jedynie ich brzmieniu dla ucha. Odsłoniło się w ten sposób życie religijne z wierzeniami i kultem, polityczne, obyczajowe i społeczno-gospodarcze szczepów z przeszłości zamierzchłej, o których dotąd prawie nic nie wiedziano.

Otóż gdy porównamy łatwiejsze i trudniejsze sposoby zasięgnięcia wiadomości mniej lub więcej ściśle naukowo uzasadnionych o tem, co ktoś, nie będący własnem, indywidualnem „ja" badacza, lub choćby tylko zaciekawionego z jakichkolwiek powodów jego przeżyciami, co on myśli, a raczej już myślał, wyobrażał sobie, czuł, do czego dążył, to przedewszystkiem zauważymy jedną różnicę podstawową, typową. Jej rozpiętość odbija się na rozmaitych jakościach sposobów wnikania w cudzą psychikę.

I tak można wobec zachowania się innej istoty żywej z przypuszczalnem czuciem i ruchem dowolnym stawiać sobie albo pytania bardzo ogólne, dotyczące cech wspólnych we funkcjach największej liczby tego rodzaju jestestw, albo także jeszcze ogólne, ale już bardziej wyspecyfikowane, których przedmiotami są rysy wspólne, w mniejszej liczbie wypadków dziejących się wśród okoliczności bliżej określonych, albo wreszcie pytania, całkiem konkretne o to wszystko, czem dana faza żywota psychicznego śledzonego właśnie osobnika jest zapełniona i wyodrębnia się zarówno od faz poprzednich i następnych, jak od żywotów innych osobników, a co ma znów wspólnego z innemi porównywanemi fazami i osobnikami. Jeżeli chcemy wiedzieć, czy jakieś jestestwo jest głodne, spragnione, zalęknione lub podrażnione, to nie musimy czekać na wrażenia, względnie spostrzeżenia, o treści bardzo skomplikowanej, a tem mniej potrzeba nam

do osiągnięcia takiego celu dążyć ruchami i przyrządami kunsztownie obmyślanemi i skonstruowanemi, jednem słowem, eksperymentami, by powstałe w ich następstwie spostrzeżenia, przywiodły nas ostatecznie do odpowiedzi przytakującej lub przeczącej na owe pytania. Przeciwnie: wystarczy nam, gdy spostrzeżemy u śledzonego wzrokiem naszym człowieka lub zwierzęcia kompleksy ruchów stosunkowo proste, szybkość, ewentualnie powolność w przyjmowaniu jadła czy napoju, w oddalaniu się, w dygotaniu, drżeniu, pomimo, że nie jest zimno, w nieskoordynowanem miotaniu się, które bardzo łatwo współodczuwamy i rozumiemy jako stan podniecenia tak silnego, że nie daje się powściągnąć i opanować przez wolę czynną z pewnym planem i namysłem.

Ale bezsilną jest z reguły ciekawość nasza, gdy chcemy zgadnąć, co ktoś sobie w danej chwili pomyślał lub przypomniał, jeżeli nam o tem nie powie. Najwyżej uśmiech na jego twarzy przemawia za domniemaniem, że coś zabawnego odżyło we wspomnieniu i zaprząta świadomość; dopiero przy pomocy symbolów złożonych i związanych z niemi znaczeń, jakie wśród mówiących pewnym językiem są właśnie w tym czasie i w tej okolicy przyjęte, można, dorozumiewając się spraw niedość jasno wyrażonych z kontekstu wyrazów wnikać w szczegóły treści pomyślanej, odczutej, upragnionej lub odrazą przejmującej osobę, której życie psychiczne chciałoby się odcyfrować. A takie odcyfrowywanie, o ile nie zachodzi wypadek ścisłego zżycia się z sobą pewnej grupy ludzi, musi postępować poprzez to, co bardziej pospolite i zwyczajne, ku momentom rzadszym i bliższym samego rdzenia indywidualności. Zawsze jednak, gdy mowa artykułowana, nie złożona z samych wykrzykników, służy do zakomunikowania innym treści swoich spostrzeżeń i myśli, powodów wzruszeń i kierunków dążeń, musi ona mieścić w znaczeniach słów, któremi rozporządza, coś jednorodnego gatunkowo. Z samych imion własnych, t. j. wyrazów oznaczających indywidua, czyli jednostkowych ludzi, ich oddzielne rody, kraje, góry, rzeki, nie da się złożyć żadna mowa. Nawet rodowód językowy tych imion (etymologja) wykazuje, że je utworzono ze źródłosłowów o znaczeniu ogólniejszem,

co jest szczególnie widocznem na imionach słowiańskich, niemniej wyraźnie wszakże występuje też w imionach starohelleńskich i starogermańskich. Bez wyrażenia podobieństwa, już zauważonego albo dopiero upragnionego z rzeczami, osobami lub ich przymiotami, oznaczanemi wspólną nazwą i stanowiącemi jakieś utrwalone w pamięci zbiory indywidualnych wypadków, ich klasy, nie mogli się nasi przodkowie obejść nawet przy nadawaniu sobie lub innym imion własnych.

Odnosimy się wreszcie do wielu kolei (czy też odcinków) cudzego życia psychicznego, za pośrednictwem reminiscencyj z własnych przeżyć i jedynie na drodze prostych wyczuwań, których nie zdołalibyśmy wysłowić w całej ich konkretnej pełni i skłębionej obfitości, a tem mniej uzasadnić wnioskowaniami, iż się nie mylimy w domyśle, że ten lub ów człowiek w tej oto chwili tak a nie inaczej czuje, waha się lub postanawia z motywów, o których zdaje nam się, żeśmy je przejrzeli pomimo, iż nam nie dopomógł żadnem słowem w tem naszem usiłowaniu przeniknięcia go. Otóż do wyższego stopnia pewności, że owo wyczucie było trafnem, dochodzimy z reguły tylko wtedy, gdyśmy z tym człowiekiem wiele przestawali i przy sposobnościach stosunkowo licznych a zarazem rozmaitych — pod względem konstellacyj zewnętrznych warunków — przekonali się, iż postępował w dalszym ciągu po ukazaniu się takich a takich zmian na jego twarzy lub po takiej a takiej gestykulacji czy postawie zawsze w sposób określony, a odpowiedni owemu wyczuciu i potwierdzający zawarte w niem domysły, ilekroć jego twarz miała właśnie taki wyraz i całą postacią swą objawiał właśnie takie ruchy, tak brzmiał jego głos przy wypowiadaniu słów zresztą obojętnych dla odnośnej sprawy, jak teraz. Jak widzimy, jest to rozumowanie na zasadzie analogji między wielu zapamiętanemi doświadczeniami, a wynik jego nie może się nigdy równać co do ścisłości dowodowi uzyskanemu z przesłanek wystarczających logicznie, jednakże proporcjonalnie do liczby spożytkowanych doświadczeń rośnie bez granic jego prawdopodobieństwo, nie przestając przecież nigdy być tylko prawdopodobieństwem, czyli nie zdobywa

sobie nasz wynik prawa do tego, by był wyrażony w formie apodyktycznej.

Nie bardzo pocieszający jest rezultat tego przeglądu zjawisk i rozważań dla kogoś, ktoby chciał dowiedzieć się z większą dokładnością i pewnością a bez znaczniejszego trudu o tem, co się dzieje w świadomości podobnego mu jestestwa. To, czego objawy najmniej budzą wątpliwości co do przeżyć cudzych, jakie się w nich odbijają, to, co się nam narzuca wprost poprzez widok czyichś ruchów lub dźwięków głosowych, jak nagły przestrach, gniew, ból fizyczny, głód, jest w swojej treści bardzo ubogie, ogólne, wspólne ludziom i zwierzętom. Dopiero gdy się śledzi bacznie tempo, w jakiem się wyraża czyjś przestrach, gniew i t. d., można stąd wnioskować o jego temperamencie typowym, ale jeszcze nie o indywidualnych właściwościach składających się na zaokrąglony do pewnego stopnia obraz sposobu odczuwania myślenia, postanawiania, urabiającego się lub już urobionego charakteru. Oparta zaś na dłuższem zżyciu się z niewielu jednostkami zdolność odgadywania ich pełnych, konkretnych stanów emocjonalnych, zamiarów a nawet niektórych myśli z najdelikatniejszych zmian na twarzy, w postawie i geście, ma zakres nader ograniczony nietylko pod względem liczby osób, do których się rozciąga, ale także pod względem wyjaśniania sobie teraźniejszości owych przeżyć, ich przeszłością i snucia horoskopów na przyszłość. Pozostaje do obfitszego dopełnienia własnych przeżyć sądami możliwie poprawnie ugruntowanemi, jedynie droga p o ś r e d n i a między tamtemi obiema, naogół o wiele żmudniejsza, o ile w niej chodzi o uchwytywanie tożsamości i różnic w sensie wyrazów mniej więcej jednakowo brzmiących a używanych przez rozmaite jednostki w rozmaitych sytuacjach każdej z nich, przy nierównem ponadto ich rozwinięciu fizycznem i umysłowem i odrębnych właściwościach ich organizacji. Jest to głównie droga ustawicznych porównywań tego, co mówią z tem, jak się zachowują nazewnątrz i z tem, co wypada nam przypuszczać o ich zamiarach poprzednich, o pobudkach tychże, o towarzyszących zamiarom i pobudkom myślach, wnioskując z ich postępków. Droga ta prowadzi nawet często do sprostowania domysłów, które

wydawały się w pierwszej chwili najmniej wątpliwemi, tak iż nasunięte niemi sądy miały pozory rzeczywistości. Stąd, że ktoś szybko je, wnioskuje się o jego dobrym apetycie, o tem, że był bardzo głodny w chwili gdy zaczął jeść. W wielu wypadkach jednak okazuje się, że to szybkie jedzenie pochodziło z pośpiechu do jakiejś ważnej i pilnej sprawy. Uciekający w bitwie nieprzyjaciel robi całkiem naturalne wrażenie owładniętego paniką a jednak przodkowie nasi mieli nieraz sposobność do przekonania się, że ucieczka walczących z nimi Tatarów bywała tylko wojennym fortelem, celem wciągnięcia w zasadzkę i otoczenia. Objawy gniewu uchodzą powszechnie za coś niedwuznacznego i niezawodnego, a przecież sztuka wychowywania małych dzieci zniewala rodziców lub nauczyciela do przybierania wszelkich zewnętrznych pozorów, że są mocno rozgniewani i to wtedy nawet, gdy ów wychowawca czuje się raczej skłonnym do śmiechu.

Gdy tak często doświadczyliśmy i to nieraz w sposób nader dla nas dotkliwy, iż byliśmy w błędzie, tłumacząc sobie czyjeś zachowanie się (włączywszy w to choćby jedno uderzające słowo, gest lub mimikę), chcąc uniknąć podobnej pomyłki nadal, staramy się o to, by się w świadomości roztoczyły wszelkie możliwe motywy, które, zdaniem naszem, nadawały się z niejakiem prawdopodobieństwem do tego, żeby skłonić osobnika położonego w danej chwili w środkowem polu naszej uwagi, do postąpienia tak a nieinaczej. Oczywiście, jeżeli zasób naszych doświadczeń jest dość obfity i uprzytamnia się z pośród ich treści wszystko to, co jest w istotnym związku ze sprawą obecnie aktualną, bierzemy w rachubę także najskrajniejszą ewentualność. A mianowicie, że ów osobnik zachował się w krytycznej chwili jak automat, odruchowo, nie zdając sobie sprawy, z jakich pobudek tak postępuje (względnie mówi coś), czy kieruje jego ruchami jakiś zamiar, czy te ruchy wykonuje z życzliwości lub z nieżyczliwości ku komuś, czy dla miłej wygody i spokoju, czy przeciwnie ze zniecierpliwienia i z rozdrażnienia. Mówi się o tego rodzaju wypadkach potocznie, że dotyczący człowiek znajdował się wtedy w stanie zmniejszonej poczytalności, na co wpłynęły albo odurzające substancje

przyjęte przez jego organizm a w szczególności przez jego system nerwowy centralny, albo przejściowe zaburzenie psychiczne i towarzyszące temuż podniecenie nerwów i systemu krwionośnego, jak gdy mamy prawo użyć wyrażenia, że mu uderzyła krew do głowy i przyćmiła świadomość podejmowanych reakcyj, albo wreszcie, że podlega trwalszemu patologicznemu zakłóceniu. Zjawiska zresztą znane dobrze i oświetlane czyto przez psychologję mowy, czy przez psychologję tłumu, wogóle społeczną, uczą nas, że niezmiernie trudno jest pociągnąć idealną (jakby matematyczną) linję graniczną pomiędzy postępowaniem z uświadomionych motywów a mniej lub więcej automatycznem. Konieczności życiowe wyznaczają z reguły nieprzekraczalny w czasie termin ludzkim postępkom, jakimkolwiek ruchom dowolnym, a zwłaszcza odezwaniom się w żywem słowie, niekiedy też i pisemnym, a gdy praktycznie niemożliwem jest namyślać się dłużej nad wszystkiem, co się przedsięweźmie i co się wypowie, przybywa z pomocą nawyk, a ten, jak powszechnie wiadomo, mechanizuje, ujednostajnia mnóstwo naszych czynności, począwszy od chodzenia, jedzenia, pływania, tańczenia a skończywszy na częstszem używaniu pewnych zwrotów językowych i posługiwaniu się w myśleniu pewnemi przenośniami i wyobrażeniami typowemi, na sądzeniu takiemi kategorjami, z któremiśmy się najwięcej oswoili i dzięki którym udaje nam się podążać dalej ze stosunkowo najmniejszym wysiłkiem umysłowym, po linji najsłabszego oporu. Tak też i temu, kto się przypadkiem znajdzie wśród rozniamiętnionego tłumu — a nie ma dość odwagi ani rzutkości w myślach i słowach — najłatwiej jest poddać się przemożnej fali i ani się spostrzeże, jak postąpi w sposób, na któryby się nigdy nie zdobył, gdyby miał trochę spokojnych chwil do namysłu w samotności, i któregoby nie był zaaprobował u innych, gdyby był wolnym od takiej masowej sugestji.

Gdy próbujemy wyszukać odpowiedź możliwie jak najlepiej uzasadnioną dotychczasowemi przeżyciami i poprawnie z nich wysnutemi konsekwencjami, na pytanie, czy i jakie świadome motywy, czy przeciwnie automatyzm nawyknień lub czysta mechanika życiowa rozwojowa, czy też

wreszcie i jaka określić się dająca kombinacja motywów z bodźcami mechanicznemi złożyły się na ten oto ruch tego człowieka, znajdziemy podobieństwo sytuacji naszej z tą, która zachodzi, kiedy ktoś chce rozwikłać kłębek złożony nie z jednej nici, ale z wielu. Wypada nam wziąć pod uwagę:

1) Jak się dotychczas zachowywał człowiek, którego chcemy przejrzeć, wśród okoliczności najpodobniejszych do obecnych i czy ujawniała się u niego wtedy wyraźniej i to za częstszemi nawrotami przewaga pewnego motywu, czy też przeciwnie zaszły objawy dopuszczające wielorakie tłumaczenie, a wśród nich także wskazujące na bezwiedną odruchowość, czyli na zupełny brak namysłu.

2) Czy w odstępie czasu przedzielającym od owych postąpień spotkało tego człowieka coś, o czem możemy słusznie przypuszczać, sądząc po nas samych, że wpłynęły te jego przejścia i zaznania na wzmocnienie pewnych motywów a na osłabienie innych, w krańcowych wypadkach nawet na wynurzenie się ponad próg świadomości jednych, a na wygaśnięcie innych, lub że w ciaśniejszym lub szerszym zakresie skutkiem owych przejść była mechanizacja, czyli stępienie świadomości na powody, dla których się wykonuje pewien ruch, zaś innego ruchu się zaniechało.

3) Czy samo posunięcie się w wieku nie wystudziło pewnych motywów a ewentualnie nie przydało nowych?

4) Czy otoczenie społeczne nie wywiera na jednostkę nacisku dość odpowiednio zorganizowanego, aby być skutecznym, zapomocą wychowania, ustawodawstwa, jego egzekutywy w tym kierunku, aby pewne motywy żywiej uświadamiać i potęgować, zaś inne wypierać — coby pozwalało przewidywać, że przypuszczalne motywy już i w danym wypadku są czynne z większem lub mniejszem natężeniem?

Do odpowiedzi na tego rodzaju pytania może prowadzić tylko rozbiór czyli analiza szerszych kompleksów wydarzeń na ich elementy jak najprostsze a wspólne dla większej liczby wypadków, tem samem i ogólne, ustalone w swej jednoznaczności, takie, jak powód postąpienia tak a nie inaczej, co do którego jest wątpliwem, czy sprawca go sobie uprzytamniał, dalej faktycznie okazana przewaga jednego uprzytomnionego powodu nad innemi, zwłaszcza o ile jest

podstawa do wniosku, że i te inne się uświadamiały, zmiany motywów silniejszych na słabsze i odwrotnie, czyli odbywające się w ich wzajemnem ustosunkowaniu, zależność owych zmian od wieku, od otoczenia i stanu własnego ciała. Cały to jest, jak widzimy, szereg pojęć ogólnych, do których tworzenia impuls jest dany przez samą dążność do odgadnięcia cudzych przeżyć i poruszających niemi sprężyn. Jakkolwiek pod wrażeniem niepowodzeń w takich usiłowaniach wcześnie już powstało przysłowie, że tylko Istota, niezmiernie przerastająca człowieka, Bóg, przenika tajniki serc ludzkich, to jednak owe wysiłki nie ustawały nigdy. Acz bowiem rezultaty ich bywały zazwyczaj nader ułamkowe i ogólnikowe, zbyt były ważkie interesy jednostkowe i zbiorowe w grze około ich osiągnięcia przynajmniej częściowo i wraz z ryzykiem błędu na niejednym punkcie, aby zdobył się ktokolwiek na całkowitą rezygnację z chęci dowiedzenia się, co zamierza, czego doświadczył i co sądzi jego bliźni o sprawie żywotnej dla wszystkich.

O ile nie polegamy na zagadkowej, „instynktownej" intuicji, mogącej mieć źródło w zżyciu się z pewnemi osobami, nieokreślonem bliżej w swej treści i stopniu, możemy stawiać, rozwijać i utwierdzać domysły o cudzych przeżyciach w sposób podległy kontroli jedynie pod warunkiem, że będziemy przestrzegać przytem jakiejś planowości. Bez niej bowiem zgubilibyśmy się w chaosie drobiazgów, nie zapanowalibyśmy nad całością naszego przedsięwzięcia, nad układem stosowanych w niem środków i stopniowo osiąganych celów. Otóż taka planowość zasadza się przedewszystkiem na tem, że postępować będziemy od skupiania uwagi na rysach bardziej wspólnych z ogólnych w cudzych zachowaniach się, a które to rysy są podstawami do wniosków o rodzajowych i gatunkowych cechach cudzych przeżyć, do konstatowania i opisu rysów coraz bardziej specjalnych aż ku nigdzie dotąd niepowtórzonym, jednostkowym. Ta droga, zstępująca z góry ku dołowi od elementów najogólniejszych i najprostszych ku ich związkom (kompleksom) najbogatszym w treść i najbardziej złożonym, musi mieć wprawdzie z punktu widzenia psychologiczno-genetycznego, t. j. ze względu na postępujące w czasie porząd-

kowania przeżyć wedle stopni ich podobieństw i różnic, poprzedniczkę w drodze wręcz przeciwnej od dołu ku górze, czyli od jednostkowych danych ku coraz wyższym ich uogólnieniom. Jednakże jak w przeważnej części nauk indukcja i dedukcja, wydobywanie praw ogólnych ze szczegółów i wywodzenie szczegółów z założeń ogólnych, wzajemnie się uzupełniają, tak i w tych wysiłkach podstawowych dla teorji rzeczywistości, wychodzącej poza zakres szukającego jej „ja", wysiłkach skierowanych ku wiernemu odtworzeniu sobie przeżyć cudzych, nie jest, jak to zaraz zobaczymy, ani wymaganiem koniecznem w imię ścisłości naukowej, ani wskazanem metodycznie a praktycznie już zgoła niemożliwem wstrzymywać się ze zstępowaniem od góry ku dołowi, od elementów ku kompleksom aż do czasu, kiedy wszystkie doświadczenia dostępne badaczowi przeżyć cudzych będą zebrane, uporządkowane, a uogólnienia z nich poprawnie uczynione. Wszak wtedy dopiero droga odwrotna wstępująca od dołu, od materjałów przeżyć, ku górze, czyli ku powszechnym rządzącym niemi prawom, mogłaby uchodzić za całkowicie odbytą, gdyby wolno było pominąć fakt, iż w ciągu tej pracy umysłowej nagromadził się j u ż n o w y d a l s z y materjał przeżyć, mający równe prawo do opracowania.

Najprostszym, napozór już żadnych trudności nie sprawiającym, wypadkiem odtwarzania w sobie cudzych przeżyć wydaje się ten, gdy dwu lub więcej ludzi porozumiewa się ze sobą w jednym języku, jaki identyczny przedmiot (względnie identyczne przedmioty i i l e ich, jeśli są policzalne i dają się traktować jako jedna klasa) ci ludzie spostrzegają — a raczej świeżo spostrzegli — w przybliżeniu współcześnie. Do ustalenia pomiędzy nimi — więc jakby na tle intersubjektywnem — co oni wszyscy mają na myśli patrząc (oczywiście chodzi tu o ciała z ich jakościami i ruchami), służą nietylko wyrazy zrozumiałej im wszystkim mowy, ale także w celach dostatecznej kontroli, czy ich użyto jednoznacznie, ruchy wskazujące rąk, względnie ich palców, w razie bliskości przedmiotu także ruchy dotykające, obejmujące, odczuwane napięcia muskułów przy ściskaniu, ugniataniu, ciągnięciu, pchaniu, dalej wąchanie, smakowanie, od-

bieranie wrażeń temperatury. Wśród wprowadzania w grę tych rozmaitych środków udaje się z reguły zgodne stwierdzenie tożsamości obserwowanego przedmiotu, zwłaszcza, jeżeli odnoszone do niego wrażenia są dość wyraźne, czyli niepołożone na samym progu pobudliwości narządów zmysłowych jednego z obserwatorów.[1]) Przeciwnie tylko co do niektórych jakości (a także i ruchów) jest osiągalne bez dalszych pomocniczych środków porozumienie, jak dadzą się one scharakteryzować, to znaczy, co można o nich orzec ogólniejszego, nam swojskiego z dawniejszych naszych przeżyć i związanego już z pewnym symbolem w postaci czyto wypowiadanego słowa, czy znaku pisarskiego, czy gestu. Zailustrujmy rzecz kilku przykładami możliwie najprostszemi. Dwóch ludzi spiera się o to, czy woda, do której obaj mniej więcej równocześnie włożyli ręce, jest ciepła, czy tylko letnia, gdybyśmy nawet przyjęli dla uproszczenia sytuacji, że temperatura ich rąk, od której zależy ta ocena ciepłoty wody, była jednakowa, to przecież do porozumienia się, t. j. do zgody na jeden sąd w tej sprawie dojdzie dopiero wtedy, gdy się umówią, że taką wodę będą nazywać ciepłą, której temperatura zmierzona termometrem uznanym przez nich obu za funkcjonujący należycie, dosięgnie 20° C, lub przekroczy odnośny znaczek a na wszelki wypadek żadna z tak umawiających się stron nie będzie mogła dostrzec gołem okiem odstępu słupa rtęci poniżej od znaczka. Dwóch ludzi próbuje ugniatać pastelinę do lepienia figurek; jeden z nich twierdzi na podstawie prób takich z tym samym materjałem, który przedtem lub potem był także i przez drugiego ugniatany, że ta pastelina jest miękka, jego towarzysz, że twarda. Rozstrzygnie między nimi dopiero przyrząd mierzący ściśle ciśnienie na powierzchnię pasteliny w gramach i skutki tego ciśnienia w oznaczonym czasie. Mianowicie o ile zgodzą się na nazwanie takiej masy miękką, w którą wtłoczy się w ciągu dajmy na to 5 minut cały ciężarek ważący tyle a tyle gramów.

[1]) Wypadki poddanego sugestją istnienia przedmiotów, jako też jakości przedmiotów spostrzeganych zresztą i przez innych, o ile jeszcze inne cechy zauważone dadzą się do nich odnieść, zawisły od warunków osobnych, dających się zazwyczaj zauważyć i ustalić.

Podobnie ma się rzecz w zakresie wrażeń słuchowych, wrażeń zapachu i smaku i różnice występujące w wypowiedzeniach dwóch co najmniej osób, gdy one na podstawie owych wrażeń coś orzekają o ich podnietach odnoszonych do tego samego źródła (jeden brzmiący instrument, jeden pachnący kwiat, jedna butelka soku) mogą być ostatecznie rozsądzonemi po stronie objektywnej, czyli po stronie podniet, jedynie przez pomiar, czyto długości fal głosowych w zakresie wrażeń słuchowych, czy też przez pomiar chemicznej zawartości połączeń lub roztworów, o ile w nich przypuszczamy pozapodmiotowe warunki naszych wrażeń woni i smaku.

Najdobitniej może zaznacza się ta nieodzowna potrzeba apelacji do równoważnika ilościowego na odróżnianiu i ich nazywaniu przez różne osobniki ludzkie, mówiące tym samym językiem i rozporządzające tym samym zapasem wyrazów barw. Pominąwszy już nadmienione poprzednio anormalności, ślepotę barwną całkowitą lub częściową t. j. braki odczuwań wszystkich lub niektórych wrażeń barwnych, natrafiamy bardzo często na takie wypadki, że widzowie nie zgadzają się w nazwaniu jakiegoś odcienia barwy, położonego na widmie słonecznem w pobliżu granicy między barwami, rozróżnianemi zresztą przez tych widzów całkiem stanowczo. Powszechnie wiadomo, że niejeden nazywa zielonem jeszcze to, co dla innego już jest niebieskiem i tak samo indywidualnie subjektywnemi bywają demarkacje między kolorami żółtym a pomarańczowym, pomarańczowym a czerwonym, fioletowym a indygo-szafirowym i t. d. Na widmie słonecznem ułatwiają prążki Frauenhofera dokonanie większej części tych rozgraniczeń — ale poza tem w przyrodzie mamy przed sobą ciągłość przejść między bliskiemi sobie na widmie tonami barwnemi, oraz między ciemnością i jasnością tych samych tonów. Niema innego sposobu zakomunikowania przez jednego widza innemu, który z mnóstwa odcieni barw się ujrzało, jak pokazać go na widmie słonecznem, po uzupełnieniu tegoż w miejscach zajętych przez wspomniane prążki i oznaczyć przytem ściśle wedle metody stosowanej do najnowszej reprodukcji barwnej widm, mianowicie w ten sposób, że się przy linji prostej lub kolistej

barw umieszcza podziałkę, przy której punktach przynajmniej dziesiętnych są uwidocznione długości fal świetlnych, wytwarzających jako podniety wrażenia tuż obok oddanych odcieni barw, zaś wedle teorji paralelistycznej, odpowiednich owym wrażeniom, im towarzyszących a przez naukę przyporządkowanych tymże. Tak np. na kole barw, które zamieścił Ostwald w swojej „Farbkunde" z r. 1923 na str. 85, oznaczony jest pierwszy widzialny na skraju widma kolor czerwony liczbą 810, bo tyle miljonowych części jednego milimetra wynosi długość fali elektromagnetycznej światła odpowiedniej wrażeniu tej czerwieni, względnie wywołującej jej wrażenie przy normalnej dla człowieka budowie narządu wzrokowego i centralnego systemu nerwowego. Kolorowi jasno żółtemu na pograniczu przejścia w zieleń przyporządkowana jest cyfra 572, cyfra 390 najskrajniejszemu widzialnemu fiołkowemu. Możliwem jest także oznaczanie wszystkich odcieni barw widma zapomocą odpowiednich im liczb drgań w jednej sekundzie począwszy od 400 do 750×10^{12}. Są też możliwe oznaczenia objektywne odcieni barw widmowych zapomocą współczynników załamania się fal świetlnych przy przechodzeniu przez pryzmat z określonego materjału, gdy gaz z którego i do którego odbywa się przechodzenie, również ściśle określono, mianowicie jego zawartość chemiczną i gęstość, a także przy pomocy względnych odległości od najbliższych linij Frauenhofera po obu stronach w widmie słonecznem, skoro położenia tych linij względem siebie są, jak dotąd, stałe, zaś odległości proporcjonalne do długości uzyskanego widma. Także stopnie jasności i ciemności barw oraz ich nasycenia mogą być objektywnie ilościowo oznaczone przez współobserwatorów za zgodnem uznaniem wyników ich wzajemnej kontroli przy starannem wzięciu w rachubę ogółu poznanych dotąd warunków psychologicznych ich porównania i rozróżnienia, a fizycznych i fizjologicznych warunków ich dostrzeżenia, jeżeli tylko między tymi widzami niema ślepych na barwy wszystkie lub na niektóre. Ślepi bowiem na barwy wogóle nie mogą tem samem stwierdzać stosunków między nasyceniami barw a nadto zielona część widma słonecznego wydaje im się najjaśniejszą, tak samo, jak ślepym na czerwień (protanopom) — a nie żółta, jak

innym. Protanopom też barwa czerwona wydaje się bardzo ciemną, zaś bardzo jasną czerwień mieszają z zielenią. Ślepi na zieleń (deuteranopowie) mieszają z sobą te kolory czerwone i zielone, które dla oka normalnego są równie jasne. Wreszcie ślepym na barwy niebieskie i żółte pierwsze wydają się całkiem czarnemi a drugie białemi. Nazywa się ta anormalność tritanopją.

Ilekroć objawia się jakiś taki zbiorowy wysiłek ludzki, w którym widnieje dążność ku przekonaniu się, czy pewne cechy orzekane o przedmiocie dostrzegalnym dla wielu wystąpiły przed tymi wieloma w postaci zgodnej, chociażby nie takiej samej, to dającej się uzgodnić, czyli przedstawić w sądach związanych ze sobą stosunkami wynikania lub nadrzędności i podrzędności — powtarza się też i to zjawisko, że rozmaite jakości przechodzące w sposób ciągły jedna w drugą, niepochwytne stałym terminem słownym tak, aby już nic innego nie oznaczał, przekładamy na mowę liczb, punktów geometrycznych, linij, powierzchni, brył i zmian w ich położeniach względem siebie. Zdaje się ten objaw mieć źródło w tem, że chwiejna postawa wobec kwestji, z czem mamy do czynienia, zawiesza nasze działanie, gdy zaś to zawieszenie zapowiada się na nieokreślony przeciąg czasu, to także uwaga zaczyna się rozpraszać i połączone z nią natężenie zamiaru, aby rozwiązać ową kwestję, słabnie. Odczuwamy przykre ubezwładnienie życia naszej świadomości. Przeciwnie zaś niczego tak nie jesteśmy pewni, jak świeżo wykonanych przez nas czynności. Do takich zaś czynności spełnianych na przedmiotach, o których chcemy wydać jakiś sąd, należy przedewszystkiem mierzenie i liczenie. Mierzy się znów i liczy najłatwiej społem, gdy co najmniej dwie jednostki mierzące, wzajemnie się kontrolują i wspomagają, np. trzymając po obu końcach rozpięty sznur mierniczy, śledząc razem języczek u wagi.

Już dla współżycia ludzkiego, stosunkowo bardzo prymitywnego, są takie czynności, jak zliczanie i rozdzielanie ważnemi w wysokim stopniu, Dotyczą nader żywotnych interesów jednostek, składających gromadę, a zarazem interesu tejże jako całości. Policzenie sił własnych i nieprzyjacielskich, zdobytych łupów, nagromadzonych zapasów żyw-

ności było dla plemion żyjących ustawicznie na stopie wojennej z sąsiedniemi, niemal równoznaczne z kwestją ich dalszego bytu. Zliczając przedmioty jednorodne (pod pewnym względem) przyporządkowujemy każdy z nich z osobna jednej z liczb postępującego szeregu — a więc ustosunkowujemy przedmioty z liczbami zazwyczaj głośno wymienianemi, w sposób całkiem przejrzysty i możliwy do sprawdzenia przez każdego ze świadków takiego porachunku, robionego głośno. Wszyscy ci świadkowie, słuchacze a zarazem widzowie tworzą sobie łatwo zgodne zupełnie w istocie obrazy przedmiotów przyłączanych w myśli do drugich, jako że stanowią odtąd pewne zbiory, oznaczalne liczbami. Jestto przyłączanie o tyle łatwiejsze i szybsze, niż inne łączenie, iż nie potrzeba fizycznie przymocowywać jednych przedmiotów do drugich, co wymaga z reguły wysiłku fizycznego, pokonywania nieraz znaczniejszych oporów. Tak urasta rachowanie na najprostszy pierwowzór czy model łączącej czynności umysłowej. Z drugiej strony także r o z d z i e l a n i e przedmiotów mających jakąśkolwiek wartość pożytkową, t. j. dla utrzymania lub uprzyjemnienia życia, np. upolowanej zwierzyny, zdobyczy wojennej musiało być zarówno aktem o wybitnie s p o ł e c z n e m znaczeniu i o społecznych następstwach grożących w razie niezgodzenia się uczestników na jego rezultat, jak i czynnością umysłową, rozkładającą według pewnych obranych wskaźników („linij wytycznych") jakąś całość na części — z reguły nie jednorakie — lub jakiś zbiór na elementy, wzięte w oderwaniu od możliwych między niemi różnic, czyli jako dające się wzajemnie za siebie podstawić, jako zupełnie sobie równe przynajmniej z pewnego punktu widzenia, pomijającego umyślnie różnice jako nieistotne w danych okolicznościach. Wiadomo z opowiadań podróżników, jak czujni są ludzie, wydający się bardziej od innych zbliżonymi do stanu pierwotnego, lub bardziej zdegradowanymi umysłowo, t. zn. dzicy, na równomierność (czyli sprawiedliwość) rozdziału korzyści i szkód, nagród i kar, na proporcjonalności pierwszych do podjętych trudów i wykonanych świadczeń w sensie dodatnim, zaś drugich do popełnionych zaniedbań i wykroczeń, przyczem prymitywna psychika spuszcza z uwagi

stany podmiotowe sprawców, świadomość i natężenie ich zamiarów. Przy rozdzielaniu czegoś między członków grupy społecznej następuje tak, jak i przy zliczaniu przyporządkowywanie przedmiotów, jednakże już nie liczbom, których szereg się przechodzi rachując, ale poszczególnym osobnikom ludzkim, czy też ich zbiorom, zawodom składającym się na całość gospodarki społecznej. I tu więc odbywa się czynność ustosunkowywania, tylko już o wiele bardziej skomplikowana, licząca się z tem, co ktoś już dał ogółowi i czego się po nim można spodziewać na podstawie doświadczeń dotąd zebranych.

Ze zliczaniem i rozdzielaniem, które to czynności, jak widzieliśmy, jest uzasadnionem brać zarówno z ich strony społecznej, jak i ze strony zawartych w nich aktów umysłowych: osądzania i stwierdzania, łączy się w najbliższem sąsiedztwie czasowem i z nich się rozwija psychicznie i logicznie pomiar będący już poważnym krokiem na drodze ku celowi, jakim jest opanować swą wiadomością niezależne od niej przebiegi wydarzeń, czyli ująć te wydarzenia w stosunki wykryte między ich składnikami a stanowiące budowę ich całości. Będzie to właśnie pierwszy uchwyt rusztowania rzeczywistości, z której się sztucznie, ale owocnie dla dalszego postępu wiedzy narazie wyjęło samą osobę sądzącego o niej rzeczywistości tak umniejszonej o podmiot jej badań. Volkelt w dziele swem z r. 1918 p. t. „Gewissheit und Wahrheit" nazywa taką rzeczywistość krótko transsubjektywną (pozapodmiotową). Między znaczeniem wyrazu „transsubjektywny" a dotąd używanego „transcendentny" (przekroczny) ta chyba zachodzić będzie różnica, że „transcendentny" oznacza to wszystko, co wychodzi nietylko, jak sprawy pozapodmiotowe, poza dane świadomości jednostki w jej obecnej najbliższej fazie czasowej (choćby nie w ściśle matematycznym momencie, „punkcie" czasu teraźniejszego), ale także to, coby wogóle miało wychodzić poza obręb świadomości ludzkiej branej rodzajowo (nie jednostkowo), a to tak w teraźniejszości jak w przeszłości, zaś wedle przewidywań też i w przyszłości. Kto się wystrzega dowolności w przypuszczeniach a wieloznaczności w terminach, ten, zdaniem naszem, uczyni lepiej, gdy po-

przestanie w podstawowych rozważaniach na śledzeniu powodów skłaniających do przyjęcia rzeczywistości transsubjektywnej bez przesądzań o tem, co może, a co nie może być człowiekowi wogóle danem bezpośrednio.

Otóż przypatrujcie się zjawiskom obejmowanym zapomocą symbolu słownego „pomiar", można w nich łatwo wykryć cechy pochodzenia społecznego, a więc między podmiotowego a zarazem (także obok tych cech) takie, które wskazują, iż człowiek zaczynający cośkolwiek mierzyć, wykraczał już tem samem poza przeżycia bezpośrednie, czasowo najbliższe chwili obecnej. Wyrazu „mierzyć" używa się wprawdzie często w znaczeniu szerszem, co zdawałoby się przemawiać przeciw powyższemu zdaniu, o ile zawiera ono w sobie pogląd, iż tylko na tle współżycia ludzkiego i dochodzących w niem do skutku porozumień a w następstwie umów, powstały pomiary. Można wyrażać się tak, że goniący za zwierzyną albo uchodzący przed silniejszym od niego drapieżcą „mierzy" okiem odległość, jaka ich jeszcze dzieli, lub że kto chce przeskoczyć rów lub przepłynąć wpław rzekę, „mierzy" okiem ich szerokość i głębokość. Do takiego „mierzenia" nie potrzeba oczywiście żadnej społecznej wymiany myśli ani życzeń. Nie jest to jednak mierzenie w sensie ścisłym, ale jedynie ocenianie na ogół rozciągłości oglądanych przedmiotów połączone z odczuciem potrzeby dostosowania swoich zabiegów a szczególnie ich intensywności do tego, jak długa droga będzie musiała być przebytą z odpowiednią chyżością tak, aby dogonić, względnie nie być dogonionym, aby przeskoczyć, czy przepłynąć, zanim opuszczą siły. A dopiero, jeżeli jednostka tak oceniająca odległości, należy do społeczeństwa, które już posiada ustalone jednostki miernicze i umie liczyć ponad dwadzieścia, t. j. jest już wolne od konieczności posługiwania się palcami rąk i nóg przy liczeniu, będzie owa jednostka w swych próbach dokładniejszej oceny podawać sobie w myśli jakieś liczby takich przyjętych społecznie jednostek. Nazwy wielu miar, które do niedawna były w użyciu jeszcze u ludów cywilizowanych i nawet gdzie niegdzie dotąd u nich pozostały, takie jak łokieć, stopa, cal i u Rzymian krok — świadczą o tem, że je zaczerpnięto z części ludzkiego ciała,

przyczem musiano z natury rzeczy obierać za podstawę wzrost przeciętny, średni, do którego oznaczenia niezbędną była wielka ilość porównań a ostatecznie ustanowienie przez władze nadzorujące obrót handlowy tej miary średniej, przeniesienie jej na przedmioty nie podlegające zniszczeniu stosunkowo rychłemu, np. na sztaby metalowe. Z ustaleniem jednostki mierniczej bynajmniej nie kończy się w praktyce życiowej współudział dwóch lub więcej jednostek ludzkich przy pomiarze, t. j. przy stwierdzaniu, ile jednostek miernicznych mieści się w badanej rozciągłości przestrzennej przedmiotu, albo w jego ciężarze, którego mierzenie nazywamy ważeniem. Owszem z niewielu tylko wyjątkami przestrzegana jest w oczach naszych ta reguła, że obaj zainteresowani gospodarczo, względnie ich zastępcy — o ile jeden z nich nie naraża się na zarzut niesumienności — wzajemnie kontrolują swoje wyniki obserwacyjne, wyzyskane tak zapomocą przykładania jednostek mierniczych do przedmiotu, jak zapomocą ich liczenia i odczytywania cyfr uwidocznionych na przyrządach mierniczych. Spierają się z sobą często, zarzucając jeden drugiemu brak dokładności i ścisłości w tych czynnościach, jak np. to, że druga strona nie przyłożyła ponownie jednostki mierniczej do tej samej części mierzonego przedmiotu, t. j. na tym samym punkcie ograniczającej go linji prostej, który przylegał do końcowego punktu przytkniętej bezpośrednio przedtem jednostki mierniczej, czyli że przyporządkowanie widzialnych i dotykalnych konturów linijnych jednego przedmiotu takimże konturom drugiego (mierzonego temu, którym go mierzono) nie było zupełne, że pozostawiało nieprzyporządkowane składniki, dające się pokazać, po jednej lub po drugiej stronie. Zarzucane wzajemnie błędy w ocenianiu ułamków jednostek mierniczych, tego, co niedostaje lub co przekracza punkty znaczone na skali, stają się zazwyczaj przedmiotami obustronnych, kompromisowych ustępstw — a tak rezultat pomiarów, uznany wkońcu przez dwu lub więcej ludzi, nabiera wybitnie charakteru wytworu społecznego. Także na wyższym szczeblu kultury umysłowej, gdy badacz, kierujący się wyłącznie pobudkami zainteresowania teoretycznego, dokonuje samotnie pomiarów w swej pracowni, sprawdza obserwacją swe hipo-

tetyczne obliczenia i naodwrót przekłada na symboliczną mowę zrównań wyniki zestawione swych spostrzeżeń — to owoce tych jego prac stają się wspólną i stałą własnością nauki dopiero po powtórzeniu odnośnych doświadczeń i po rewizji wywodów przez osoby kompetentne w tej specjalności. Naturalnie niepodobna zgóry oznaczyć, ani jak wielka liczba tych osób sprawdzających wystarczy, ani też jak muszą być uzdolnionemi. Jeden tu tylko warunek narzuca się oczywisty: mianowicie potrzeba wiernego uchwycenia metody cudzych pomiarów i ich wyników, czyli że ten, kto nie zrozumiał, jakiemi drogami ktoś inny doszedł do takich a takich rezultatów, albo kto nie umie wyrazić tych rezultatów zgodnie z ich sensem mianym na myśli przez odkrywcę, kto tego sensu nie rozumie, nie może być sędzią kompetentnym w kierunku sprawdzania ze znakiem dodatnim, zaś wyrok odsądzający uda mu się skutecznie poprzeć jedynie wtedy, gdy wykaże niezrozumiałość wydarzeń powszechną, t. j. nietylko dla niego, oceniającego, ale i dla wszystkich, którzy używają tej samej symboliki słów lub znaków, z czego będzie wynikało, że rzekomy odkrywca popadając w sprzeczność z obranemi przez siebie zasadami oznaczenia swych spostrzeżeń i myśli słowami lub graficznie, nie miał jednoznacznych przedstawień a w konsekwencji też sądów i pojęć jasnych. Zresztą dalsze koleje nauki rozstrzygają o tem, czy czyjś pomiar i wogóle czyjeś obserwacje, tudzież wnioski były poprawne. W tem może dobitniej jeszcze niż w tamtych wzajemnych kontrolach i naprostowywaniach objawia się kooperatywizm myślowy a zwłaszcza współpracownictwo zajętych przyporządkowywaniem jednakich (liczbowo lub gatunkowo) przedmiotów, względnie wydarzeń, jednakim miarom. Obok jednak tego momentu społecznego na dnie wszelkich usiłowań, które przeglądają ze zjawisk, znamionujących jakiekolwiek miernictwo, zasługuje na baczną uwagę kwestja takich najprostszych motywów, któreby nam tłumaczyły powstanie pojęcia miary i czynności wykonywanych w celach mierniczych.

Przy całej różnorodności naszych przeżyć: odmienianiu się i zluzowywaniu jednych przez inne, odczuwamy przecież mniej lub więcej odporne, a nawet niekiedy zgoła

sztywne — narazie przynajmniej — granice dla rozlewnego bujania tych zmian. I tak przedewszystkiem w normalnych stosunkach każdy z nas prawie od kolebki doznaje ograniczeń swobody poważnej części swoich impulsów ku ruchom przez jakąś więź społeczną, która mu tamuje pewne ruchy dowolne, zaś do innych — zatem prawie wcale już nie dowolnych — przymusza lub też usiłuje nas skłonić, byśmy coś wykonali, o ile na to stać nas będzie, ochotnie, w każdym razie jednak już nie pod bezpośrednim przymusem fizycznym. Zmienność znów i różnorodność treści naszych spostrzeżeń, t. j. składających się na moc wrażeń zmysłowych ulega ograniczeniu już przez to, że narzucają się nam trwalsze lub mniej trwałe związki pewnych wrażeń umiejscawiane, które my odnosimy do przedmiotów, jako posiadających cechy stalsze, istotniejsze, lub mniej stałe, przygodne — a ponadto zauważamy wiele takich ośrodków dla lokalizacji wrażeń, które to ośrodki — przez nas objektywizowane jako realne przedmioty, ukazują nam wiele podobieństw w jakościach czuć naszych przerzucanych w nie i dokoła nich, jak mówią empirjokrytycy, drogą introjekcji, czy też jak utrzymuje krytyczny realizm, podobieństwo w cechach przedmiotów, o ile na domysły co do tych cech i co do istnienia samych przedmiotów naprowadzają nas czucia nasze i zachodzące między niemi stosunki.

Był to niewątpliwie owocny etap w pochodzie umysłu ludzkiego ku objęciu i opanowaniu różnorodności a zarazem zmienności w świecie zjawisk, gdy w ślad za utrzymującem się dłużej współistnieniem cech, względnie wskazujących na nie czuć jednakich, zarysowywały się w świadomości obserwatorów osobne przedmioty ze skupionemi w nich cechami i rozpoczęła się ich klasyfikacja stosownie do stopni znajdowanych między temi przedmiotami podobieństw i różnic. Ale porządkowanie i upraszczanie obrazu świata tylko na tej zasadzie groziło martwotą wyniku, odbiegnięciem od tętna życia, odczuwanego w samym sobie, w tym właśnie osobniku, który tak porządkował i upraszczał, sztywnością, jaka się rodzi wówczas, gdy jakiś pogląd przeocza czy lekceważy porządek następstwa zmian po sobie w czasie. Wprawdzie i dla klasyfikacji samych przedmiotów statycz-

nych, czyli t. zw. rzeczy, względnie pojętych na ich obraz osobników żywych, w przeciwieństwie zaś do klasyfikacji ruchów czyli przedmiotów dynamicznych nie jest obojętnem, jak długo trwa współistnienie skupionych w nich cech nieodłącznych, czyli istotnych, jednakże sama względna długotrwałość czy krótkotrwałość tego współistnienia, to zawsze tylko wynik porównania z jakąś inną mniejszą lub większą trwałością, nie daje zaś treścią swą żadnego punktu oparcia dla scharakteryzowania stosunku między wcześniejszemi a późniejszemi fazami trwania.

Otóż tem, co zdaniem naszem pomogło umysłowości ludzkiej wyjść poza czysto statycznie klasyfikatorski kąt widzenia, pobudziło ją do naukowego ulepszania pojęć miary i pomiaru, utartych w praktyce życiowej — a przypuszczalnie nawet przyświecało od początku najpierwotniejszemu kształtowaniu tych pojęć, wydawanym równolegle z tem kształtowaniem sądom mierząco-oceniającym najdawniejszym — była rytmiczność z kołującemi jakoby nawrotami (kolejna powrotność), przeżywana we własnych stanach fizycznych i duchowych, i przytem uderzająca uwagę w bliższem i dalszem otoczeniu. Nam samym wciąż przypomina się wrażeniami mięśniowemi, odczuwanemi naokół klatki piersiowej, to regularne powtarzanie się po sobie faktów, że wdychamy powietrze, potem je wydychamy, potem znów wdychamy i tak dalej aż do końca życia. Podobny rytm, jak długo trwa zwykły chód lub bieg w odróżnieniu od pewnych tańców, przedstawiają kolejno po sobie wykonywane ruchy obu nóg, kurczenie się i rozszerzanie serca, jawa i sen, praca i wypoczynek. W przyrodzie otaczającej odpowiada tym powtarzanym nawrotom kolejność pór dnia i nocy z większem zróżniczkowaniem przez fazy pośrednie w tem kole, jak świt i zmierzch, podobnież kolejność odmian księżyca i co najważniejsze, kolejność pór roku, odbijająca się zwłaszcza poza obu zwrotnikami na budzeniu się roślinności do życia, jej rozkwitaniu, dojrzewaniu nasion i zamieraniu z nie kończącemi się powrotami, podczas gdy jednostki żywe ustępują miejsca innym. Ten to rytm zmian nasunął zapewne człowiekowi pomysł mierzenia i to przypuszczalnie mierzenia najpierw czasu, za czem zdaje się przemawiać podobień-

stwo brzmienia wyrazów łacińskich *mensura* i *mensis* (miesiąc = księżyc, którego powracającą pełnią lub nowiem dawniej mierzono czas, a nie położeniami słońca na firmamencie), podczas gdy przyjmowany przez niektórych etymologów greckich praźródłosłów dla *μέτρον* (miary niem. *Mass*) wyraża się najwierniej w czasowniku *μέδω* oznaczającym zaradzania na przyszłość, a więc także z sensem raczej czasowym niż przestrzennym. Odkąd jednak uświadomiono sobie niemożność dokładniejszych i szczegółowszych pomiarów czasu bez pomiarów dróg przebywanych przez przedmioty znajdujące się w ruchu jednostajnym i naodwrót zależność tychże dróg jedynie od czasu trwania ruchu (o ile się nie przyspieszał ani nie opaźniał), stawała się sprawa pomiarów przestrzennych pilniejszą. Przynaglały ją zresztą potrzeby życiowe wszędzie tam, gdzie jak w Egipcie i w Mezopotamji podział gruntów uprawnych między ludność musiał skutkiem wylewów często się ponawiać i łączyć się ze stwierdzaniem obszarów przydzielanych.

Dla mierzenia czasu nastręcza się w sposób zgoła naturalny taka jednostka miernicza, która nie zawiera ni mniej ni więcej, jak pewien zamknięty w sobie cykl wydarzeń, przed którego rozpoczęciem się i po którego zakończeniu przebiegały względnie przebiegają lub przebiegać będą inne takie same cykle, np. czas obiegu księżyca dokoła ziemi, po którego upływie ukazuje on nam tak samo oświeconą tarczę (miesiąc księżycowy), czas obrotu ziemi dookoła słońca (rok słoneczny) i t. d. Dla pomiarów przestrzeni udało się dopiero w systemie metrycznym uzyskać jednostkę miernicza, dającą się przez człowieka zużytkować (nie za małą i nie za wielką w stosunku do jego organizmu) a przytem najbardziej wspólną ludziom ze względu na łączący ich wszystkich przedmiot zainteresowania, ziemię, na której żyją, wreszcie stałą w tym sensie, iż nacechowany nią model ma stałe wymiary w określonej temperaturze [1]). Każdy z nas bowiem znajduje się na jakimś południku ziemskim, którego 40-to miljonową częścią jest z wielkiem przybliżeniem metr. Mierzenie metrem nie jest połączone z niewygodami ani dla

[1]) Również nie za niskiej i nie za wysokiej, ale takiej, aby było można jej używać bez szczególniejszych osobnych zabiegów i kosztów.

karła ani dla olbrzyma a najmniej dla człowieka średniego wzrostu. A wkońcu. słynna sztaba platynowa, przechowywana w Sèvres pod Paryżem, mieszcząca naznaczony na sobie pierwowzór metra, ulega dostrzegalnym zmianom długości dopiero skutkiem znacznego podniesienia się lub obniżenia temperatury powyżej lub poniżej przeciętnego poziomu ciepłoty, w której znajdujący się człowiek zazwyczaj dokonywa pomiarów.

Już przed dotarciem do tej najstalszej i możliwie objektywnej, międzynarodowej — tem bardziej międzypodmiotowej — jednostki mierniczej starano się z pobudek praktycznych i teoretycznych zabezpieczyć tę miarę długości, która obowiązywała dla obrotu w danym kraju i miejscu, przed zachwianiem czyto przez fałszerzy, czy przez nieuważnych i niedbałych o. to, że pewne ciała nie nadają się na przyrządy miernicze, np. przybierają nieobliczalnie na objętości, gdy zamokły, a kurczą się, gdy wysychają. Niemniej doniosłym momentem, obok tego społecznego nacisku na ustalenie się miar i na ich uniezależnienie od postronnych wpływów, jest sama psychologja mierzenia. Kto tę czynność spełnia, ten przedstawia sobie, jak jednostka miary pozostaje jedną i tąsamą przez cały czas przykładania jej do mierzonej linji przedmiotu albo też jeżeli jego przyrząd mierniczy, np. używana przy pomiarach ziemi taśma, ma na sobie znaczonych więcej jednostek miary, traktuje je, gdy przydziela ich kończyny poszczególnym punktom mierzonego przedmiotu, jako dające się bez sprowadzenia zmiany w wyniku, wzajemnie jedna za drugą podstawiać, wymieniać, czyli jako sobie równe. Odstępy między linijkami na skali przyrządu mierniczego obchodzą nas podczas mierzenia nim tylko ze względu na okoliczności, jak wiele ich jest, o czem zazwyczaj objaśniają cyfry umieszczone przy linijkach — jako cecha bowiem nieodłączna a przytem główna odstępów najdrobniejszych jest już zgóry założona równość i w zaufaniu do niej trwamy, dopóki ocena wzrokowa lub dotykowa w naszym własnym oglądzie nie przekona nas o wadliwości takiego przyrządu i jego skali. Bardziej wydoskonalone aparaty miernicze z ich precyzyjnością są już owocami postępu naukowego ku objektywności pomiarów — a postęp ten miał

najdawniejsze swe punkty wyjścia nie w przyrządach posiadających już jakieś skale ale poprostu w powtarzanem przykładaniu przyjętej jednostki mierniczej do mierzonego przedmiotu. Staje zatem pytanie, co się dzieje najbardziej elementarnego w świadomości człowieka w chwili, gdy rozpoczyna wykonywać po raz pierwszy w swem życiu jakiś pomiar i co też w ruchach dowolnych jego ciała będzie odpowiadało temu wydarzeniu umysłowemu, t. j. podjętej próbie zbadania stosunku rozciągłości jednokierunkowej między dwoma ciałami? Zbyt ryzykownemi byłyby domysły na temat przeżyć człowieka pierwotnego, jakie w nim przypuszczalnie mogłyby się rozgrywać, gdy zaczął mierzyć. Nieco przesłanek pochwytniejszych dostarczają systemy miar i wag w najdawniejszych bliżej znanych cywilizacjach: egipskiej oraz chaldejskiej.[1]) Ale także obserwacje odpowiednie, czynione nad zabawami dzieci, zwłaszcza gdy budując domy z kostek lub kart, skombinowane ze wspomnieniami dorosłych z ich wieku dziecinnego i wsparte analizą psychologiczną, mogą rzucić światło na to zagadnienie.

W pewnym momencie swego żywota człowiek zauważa, że musi powtórzyć ruchy pewnych części swego ciała tyle a tyle razy, aby od jednego krańca jakiegoś odstępu między dwoma ciałami albo i dwoma końcami jednego ciała sięgnąć i dosięgnąć krańca drugiego. Taką poruszaną częścią ciała może być noga podnoszona naprzemian z drugą nogą, przyczem za każdym razem stawia się jeden krok, może być także

[1]) Z dzieł nowszych o kulturze egipskiej, jak M o r e t a: *Le Nil et la Civilisation Egyptienne* (w kolekcji *L'Évolution de l'humanité* La Renaissance du Livre Paris 1926), o babilońskiej *Die babylonische Geisteskultur* von H. W i n k l e r (w *Wissenschaft und Bildung* Leipzig 1907), a także już z dawniejszych (jak zbiorowe wydawnictwo pod kierunkiem Iwana Müllera *Handbuch der klassischen Alterfumswissenschaft* 1886), gdzie są uwzględnione także miary egipskie (na str. 665), dowiadujemy się, że jednostkami miar długości były t. zw. królewski, wielki babiloński, perski lub fenicki ł o k i e ć, dalej rozmaite stopy, nazywane od narodów i krajów, a także, mianowicie w Chaldei, drogi, do których przebycia chodem normalnego człowieka potrzeba jednostki czasu (tam wynosiła ona 2 minuty). Ta odległość, pomnożona przez 30, dawała chaldejską milę. Także szerokość dłoni, piędzi lub pięści i palca dostarczały jednostek mierniczych. Również u Rzymian był jedną z miar długości krok (passus) = 1·48 m.

taką częścią łokieć, gdy przesuwamy inny przedmiot wzdłuż jednej z naszych rąk i śledzimy, ile razy nasz łokieć pomieści się w owym przedmiocie. Możemy też jeszcze obrać za miejsce jednostki miary naszą stopę, szerokość dłoni lub palca. Przy takiej zmianie położeń jednego z odnóży naszych lub zakończonych stawami ich części względem przedmiotu ukazującego się nam jako leżący poza naszem ciałem, albo też względem odstępu między dwoma przedmiotami, tworzymy sobie mimowoli obraz czegoś podzielonego, tylko naszemi przedstawieniami na tyle równych części, ile jednakowo powtórzonych ruchów wykonano lub dałoby się wykonać temi częściami (łokciem, stopą, całą nogą i t. d.) albo przedmiotami, które można za nie podstawić, jako że im są równe swą rozciągłością, aby od jednego kresu całości dzielonej w ten sposób idealnie dostać się, postępując w tym samym kierunku, do kresu drugiego. Najczęściej spotyka wykonującego takie ruchy ten zawód, że część zkolei ostatnia okazuje się mniejszą od poprzednich, o ile ma być istotnie częścią całości, zaś odstęp równy reszcie odstępów musi już wyjść poza granicę całości, czyli że mamy do czynienia z ułamkiem i tu już powstaje przed ostatecznem załatwieniem pomiaru kwestja, czy stosunek między rozciągłością pozostałej mniejszej części a tą, którą posiada obrana jednostka miernicza, da się wyrazić liczbami całkowitemi tak w liczniku jak w mianowniku owego ułamka. To, jak wiadomo z elementarnej matematyki, jest możliwem tylko wtedy, jeżeli dla obu tych wielkości: mniejszej i większej, da się wyszukać taka nowa wspólna jednostka miernicza, którąby się zupełnie bez reszty, t. j. bez pozostawienia znowu jakiejś części mniejszej mieściła skończoną ilość razy w obu wielkościach. Dopóki nie uda się wynaleźć takiej wspólnej jednostki mierniczej, oznaczenie cyfrowe stosunku między pozostałą przy pomiarze rozciągłości przedmiotu spostrzeganego częścią mniejszą a przyjętą początkowo jednostką miernicza będzie tylko przybliżone a niezupełnie ścisłe. Jedynie albo licznik, albo mianownik ułamka będzie liczbą całkowitą, zamkniętą, cyfrowo oznaczalną — zaś w pierwszym wypadku do mianownika, w drugim do licznika zawsze coś jeszcze pozostanie do dodania w dalszych

ułamkach i w ten sposób będzie można tylko przybliżać się do dokładnego ujęcia stosunku, czyli do takiego, któreby już było wolnem nawet od najmniejszego błędu. A że niewspółmierność zachodzi także między wielu tworami czystych konstrukcyj umysłowych i oglądowych, stwierdzona tam drogą ścisłych wywodów, np. między liczbą 2 a jej pierwiastkami kwadratowym, sześciennym i t. d., między przekątnią kwadrata a jego bokiem, przeto i każdy, kto przystępuje do mierzenia odstępów w jego otoczeniu, nasuniętych mu przez dane zmysłowe, musi się liczyć z ewentualnością, iż ta jednostka miernicza, którą sobie obrał, pozostaje w takim stosunku ilościowym do badanego właśnie odstępu, że nie da się wyszukać wspólna miara dla owej jednostki i dla reszty wypadającej po uskutecznionym za jej pomocą podziale idealnym długości napotkanej — przynajmniej że nie da się wyszukać w tym czasie, jaki pozostaje do rozporządzenia i przy pomocy tych przyrządów powiększających, t. j. tych mikroskopów i połączonych z nimi aparatów mierniczych, jakie się dotąd udało zbudować i ulepszyć pod względem ich precyzji. To też wszelkie stwierdzanie faktycznych stosunków ilościowych musi podobnie poprzestawać na przybliżeniach, jak znów matematyk zadowala się z konieczności pewną liczbą miejsc dziesiętnych i oznacza tylko jedną literą, jak np. Π, lub e albo logarytm jakiejś liczby całkowitej, usymbolizowany w ten sposób niewymierny stosunek lub liczbę irracjonalną.

Dla pożyteczności życiowej pomiarów, praktycznej i technicznej, niema uszczerbku stąd, iż operują one przybliżeniami przystosowanemi w swym stopniu do każdoczesnej potrzeby. Zresztą o ile chodzi o przydzielenie określonego quantum dóbr wymiennych za inne, dające się tak jak tamte odłączyć z większéj całości z oznaczeniem liczby całkowitej jednostek mierniczych (względnie ich współmiernych części), to jest tu możliwa do osiągnięcia taka dokładność, na jaką tylko pozwala czułość naszych organów zmysłowych oraz wag i miar używanych w odnośnym zakresie obrotu gospodarczego. Dopiero, gdy patrzymy z punktu widzenia i zainteresowania czysto teoretycznego, naukowego, na sprawę uchwytności i ewidencji stosunków między obserwowanemi

przez nas rozciągłościami, ich kierunkami i to w dodatku z wzięciem pod uwagę następstwa czasowego poszczególnych spostrzeżeń, zatem też zmian w tych stosunkach, czyli ruchów i ich chyżości — rzecz się komplikuje poważnie. Kto mierzył długość jakiegoś przedmiotu czyli jego rozciągłość w jednym kierunku lub odległość między dwoma przedmiotami tak, iż przykładał więcej razy obraną przez siebie jednostkę mierniczą (lub sumę takich jednostek oznacza na podziałce), ten o ile nie uległ zakłóceniu pamięci lub nawet przytomności, posiada pewność, że „powtarzał" określone do pewnego stopnia swoje ruchy dowolne, przyczem z ruchem ręki łączył się ruch trzymanego przez nią jednego i tego samego przedmiotu, stanowiącego w jego rozumieniu i wedle jego zamiaru przyjętą jednostkę mierniczą. Terminowi „powtarzał" przysługuje tylko pod tym względem jednoznaczność, że zachodziło podobieństwo między poszczególnemi ruchami, zasadzającemi się na przykładaniu jednostki mierniczej (względnie oznaczonej sumy takich jednostek) w porządku zkolei ciągłym i jednokierunkowym, o ile przy każdym następnym ruchu zachowywano się tak samo wobec dalszej części mierzonego przedmiotu, jak przy wcześniejszych ruchach wobec części poprzednio już nakrytej miarą, czyli dotykano obu kresów każdej części oboma kresami miary, ponadto zaś wszystkie ruchy prócz pierwszego miały tę cechę wspólną, iż dawał się z nich domyśleć z a m i a r przestrzegania prawidła, aby jeden z kresów miary był stale przytykany do tego samego punktu na linji przedmiotu, na którym poprzednio jeden z kresów miary się znajdował. Otóż tego zbiorowego faktu powtarzanych własnych czynności można być pewnym, chyba, że w ciągu ich wykonywania kogoś opuściła przytomność i pamięć, bo skoro z mierzeniem łączy się ciche lub głośne liczenie przyłożonych do przedmiotu jednostek mierniczych, trudno sobie przedstawić zajętego tem tak bardzo roztargnionego i myślącego o czemś innem, by nie był świadom tych skombinowanych czynności wymagających z natury swej pewnego natężenia uwagi.

Upewnieni pamięcią o własnych przeżyciach a w szczególności o wysiłkach mierniczych co do jednego i tego samego planu czynności, który związał naszą przeszłość z teraźniej-

szością i zwraca się ku przyszłości, wykraczamy poza bezpośrednie dane naszej obecnej świadomości i podporządkowujemy swoje „ja" pod pojęcie osoby, która trwa i rozwija się. Nie możemy być jednak całkiem pewnymi, czy licząc owe powtarzane ruchy dowolne nie pomyliliśmy się, bądźto w ten sposób, żeśmy niektórym z tych ruchów nie przyporządkowali żadnej liczby z szeregu liczb całkowitych, bądź też, żeśmy w tym przyporządkowywanym szeregu opuścili przez przeoczenie lub przez momentalne zapomnienie jedno lub więcej ogniw. Mogła także powstać pomyłka w samem przykładaniu jednostki mierniczej, jeżeli nastąpi jakieś niezauważone przez mierzącego przesunięcie się ręki przy dotykaniu mierzonego przedmiotu początkowym krańcem jednostki owej lub podziałki, albo wogóle napięcie uwagi przy wykonywaniu tych czynności uległo na chwilę rozluźnieniu. Na takie możliwe błędy nie ma miernictwo ludzkie innych środków zaradczych, jak t. zw. sprawdzenie pomiaru (weryfikację), czyli ponawianie aktu mierniczego tak długo, dopóki następujące po sobie wyniki nie będą się zupełnie zgadzać, przyczem odmiana warunków takiego eksperymentu, o ile tylko jest możliwe, jest bardzo wskazaną, np. urządzona tak, iż się mierzy od drugiego końca w kierunku odwrotnym, albo, że inna osoba wykonuje pomiar i t. p.

Na drodze ku jak najbardziej zabezpieczonemu od popełnianych przez jednostki mierzące błędów i mających też źródła w ich indywidualnych warunkach stwierdzaniu stosunków rozciągłości (a z przybliżeniem możliwie najwyższem do zupełnie trafnego ich ujęcia) napotyka wszelakoż nauka przeszkody, mnożące się w miarę dążenia do coraz większej precyzji, w miarę rosnących odległości, które wypada pomierzyć i w miarę, jak przedmiotami pomiarów muszą się stawać także kierunki i chyżości. Przy najdrobniejszych, niedostrzegalnych gołem okiem zmianach kierunku, czyli krzywiznach dwóch porównywanych z sobą linij wynikają na większy dystans już znaczne niedokładności w wynikach pomiarów. Zakłóca je także odmienna chyżość ruchu porównywanych ciał lub odmienny kierunek tegoż ruchu. Ostatecznie w celu możliwie jak największego przybliżenia się do ideału ścisłości pomiarów przestrzennych (obejmują-

cych rozciągłości wraz z kierunkami), czasowych i pomiarów energji (gdzie chyżość ruchu obok poruszającej się masy lub jej ciśnienia musi wejść w rachubę) musi być obranym jakiś system współrzędnych w odniesieniu do którego — za przybraniem jeszcze odpowiednio dobranego momentu, od którego ma się liczyć czas—jako też jednostki czasowej, dałyby się wszystkie stany i wszystkie zmiany przedmiotów czyli wydarzenia wyrazić zapomocą odpowiednich kombinacyj liczb. O każdym elemencie świata fizycznego byłby w zasadzie orzekalny zespół oznaczeń ilościowych wyrażających, w jak wielkiem oddaleniu, podanem w liczbie jednostek mierniczych rozciągłości ów element w czasie, sprecyzowanym znów zapomocą ilości jednostek mierniczych czasu, znajdował się czy znajduje od obranych trzech osi współrzędnych, dalej jak wielka jest jego chyżość, t. j. droga, przebywana w jednostce czasu w odniesieniu do punktu przecięcia się owych trzech osi przyjętego jako nieruchomy, droga również wyznaczalna zapomocą liczby jednostek mierniczych rozciągłości, wreszcie o ile ta chyżość nie jest równa zeru, jej kierunek dający się także oznaczyć liczbami, mianowicie określającemi stosunki ilościowe między najdrobniejszemi przyrostami (różniczkami) oddaleń od osi współrzędnych w najmniejszej czasowej fazie ruchu, t. j. takiej, która więcej niż każda inna przybliża się do granicy zero.

(Dokończenie nastąpi)

Prof. Witold Rubczyński.

Francja i Alzacja.

Centralizm czy regjonalizm?

Słusznie zupełnie dumni są Francuzi z jednolitości swego państwa i zwartości duchowej narodu. Dwadzieścia zgórą wieków współżycia — bo podbijana przez Juljusza Cezara Galja była już organizmem państwowym, mającym własną cywilizację — sprawiło, że aż do ostatniej wojny nie było we Francji żadnych ruchów odśrodkowych. Był tylko żywy ruch regjonalistyczny w Bretanji, był ruch prowansalski o charakterze wybitnie literackim, było sporo lokalnych narzeczy — i to wszystko. Bezwzględna i przewidująca zarazem polityka królów francuskich, a potem centralizm Napoleona I sprawiły, że naród francuski jest dziś najbardziej jednolitym stopem ludzkim świata. Czyżby jednak zaczynał się proces odwrotny? Czy też mamy tylko do czynienia ze złośliwemi próbami bez jutra? Notujemy bowiem w powojennej Francji cztery różne agitacje autonomistyczne, z których jedna jest naprawdę poważna: ta, której polem jest odzyskana Alzacja i Lotaryngja.

Opinja francuska naogół mało się tą sprawą zajmuje: albo wcale jej nie zna, albo ma o niej pojęcia opaczne. Radykał francuski chętnie całą odpowiedzialność zrzuca na alzackich „klerykałów"; katolik — skłonny jest przypuszczać, że jeśli są jeszcze jakieś „sprawy alzackie", to tylko dlatego, iż „loże" paryskie prowokują ludność katolicką odzyskanych prowincyj; zacny republikanin umiarkowany, zwolennik religijnego uspokojenia, ale zarazem „Republiki jednej i niepodzielnej", podejrzliwie i niechętnie się odnosi do wszelkich regjonalizmów i partykularyzmów; wreszcie „przeciętny" Fran-

cuz, czytelnik organów „wielkiej informacji", jest przekonany, że niema w Alzacji żadnego autonomizmu, a są tylko intrygi awanturników i agentów niemieckich... „Mojem dojrzałem zdaniem, urobionem na podstawie pilnych badań, niedomagania alzackie są artykułem importowanym" — zapewnia w konkluzji swej ankiety Edward Helsey, wysłaniec *Journal'a*[1]). Myśmy również na miejscu sprawę badali, odbyliśmy do Alzacji trzy podróże od czasu wojny i z konkluzją Helsey'a zgodzić się nie możemy. I nie my tylko: tak wybitny pisarz francuski jak Lucjan Romier ogłosił na łamach *Figara* w styczniu 1926 r. szereg artykułów o sprawach alzackich: „Najpierw fałszem jest — pisał na wstępie[2]) — że obecny stan umysłów w Alzacji i Lotaryngji wywołany został przez taką czy inną propagandę. Ruch rozwinął się nie na powierzchni, lecz wyniknął z głębi". Jest to oczywiste dla każdego bezstronnego i poinformowanego obserwatora.

I. Trochę historji.

W r. 1648, na mocy traktatów westfalskich, cesarz niemiecki przekazał królowi francuskiemu swe prawa do Alzacji. Francja była wówczas krajem scentralizowanym. Natomiast w Alzacji panował jeszcze ustrój feodalny; roiło się tam od autonomicznych księstewek biskupich i świeckich, tudzież od ziem niemieckich książąt posesjonowanych. Pragnąc ze względów politycznych być w jak najlepszych stosunkach ze swymi wasalami, Ludwik XIV uszanował ten ustrój. Unifikacja była jednak celem polityki królewskiej i była realizowana wszelkiemi sposobami: w r. 1681 miasto Strasburg uznało dobrowolnie suwerenność króla francuskiego.

Ale dopiero Wielka Rewolucja uczyniła z Alzatczyków i Lotaryńczyków „Francuzów": dekrety z 4 i 9 sierpnia 1789 r. zniosły wszelkie przywileje i wszelką zależność od suwerena świeckiego czy kościelnego, francuskiego czy obcego. A dnia

[1]) Por. Edouard Helsey: *Nofre Alsace*, Paris, Albin Michel, 1927; 304 str. in 16⁰. Jest to dość płytka ankieta, jaka ukazała się w styczniu 1927 r. na łamach paryskiego *Journal'a*. Autor gwałtownie zaatakował księdza Haegy, który mu wytoczył proces przed sądem przysięgłych w Colmar. Helsey dołączył do swej książki sprawozdanie z procesu (8—12 IV 1927).

[2]) Por. *Figaro* z 27 stycznia 1926 r.

14 lipca 1790 r. delegaci departamentów alzackich i lotaryńskich wzięli udział w Paryżu w *Fête de la Fédération*, składając przysięgę na wierność „Narodowi, Prawu i Królowi". Aż do roku 1870 Alzacja i Lotaryngja stanowiły integralną część państwa francuskiego.

Po przegranej wojnie 1870-71 r. Niemcy zabrały Francji Alzację i część Lotaryngji ze względów strategicznych. Traktat frankfurcki (10 maja 1871) uświęcił tę stratę, ale już 17 lutego 1871 r. pos. Emil Keller odczytał na posiedzeniu Zgromadzenia Narodowego w Bordeuax uroczystą deklarację, podpisaną przez wszystkich 35 posłów Alzacji i Lotaryngji i oświadczającą, że „wszelkie traktaty, odrywające od Francji owe prowincje, wbrew ich woli, są niebyłe i nieważne" *(nuls et non avenus)*; poza tem podpisujący zobowiązali się „w imieniu swojem, swych mocodawców, swych dzieci i wnuków, wiecznie rewindykować prawo Alzacji i Lotaryngji pozostania członkami narodu francuskiego". Zaś dn. 16 lutego 1874 r. 15 nowo obranych posłów zaanektowanych prowincyj złożyło w *Reichstagu* wniosek nagły, domagający się przeprowadzenia plebiscytu. Wniosek ten poparł pos. Teutsch (18 lutego 1874) w dłuższym wywodzie, przyjętym przez *Reichstag* sarkastycznemi uśmiechami. Wniosek oczywiście został odrzucony [1]).

Francja rozstała się z Alzacją i Lotaryngją z uczuciem bólu i bezsilności. *Pensons en toujours, n'en parlons jamais!* — powiedział wkrótce o sprawie alzackiej Leon Gambetta, jeden z tych, co protest z Bordeaux podpisali. Pomimo agitacji Pawła Deroulède'a i jego Ligi Patrjotów (założonej w r. 1882), idea rewanżu nie miała we Francji wielu zwolenników. Nastroje Francji przedwojennej najlepiej w tym względzie sformułował Rajmund Poincaré w swej mowie strasburskiej z 12 lutego 1928 r.[2])

[1]) Teksty protestów alzackich z lat 1871 i 1874 znajdzie czytelnik w broszurze prof. J. G. Kergomard'a p. t. *Les Départaments envahis d'Alsace et de Lorraine* (Paris, Hachette, 32 str. in 8°).

[2]) P. Poincaré mówił: „Zbyt dobrze znaliśmy okropności wojny, aby się nie lękać nowego krwi rozlewu; obawiając się zamącić pokój, poddawaliśmy surowej kontroli nasze najmniejsze czyny, gesty, słowa; aby uniknąć konfliktu, byliśmy gotowi uczynić wszystko, na co g odność Francji pozwalała

Niemcy podzielili Alzację na trzy *Bezirk'*i (Strasburg, Colmar i Metz) i 22 *Kreis'*y; całość stanowiła oddzielny *Reichsland*, zarządzany przez *Ober-Praesident'*a, a od r. 1879 — przez *Statthalter'*a; w tym samym roku Alzacja-Lotaryngja otrzymała *Landesausschuss*, złożony z 58 członków, wybieranych przez głosowanie w połowie dwustopniowe, a w połowie trzystopniowe. Dnia 31 maja 1911 r. nadał Berlin zaanektowanym prowincjom nową konstytucję z małym parlamentem, dwuizbowym zasiadającym w Strasburgu, w specjalnie na ten cel wybudowanych okazałych gmachach [1]). Przy *Statthalter'*ze (był nim w chwili wybuchu wojny von Dallwitz) istniał rodzaj rządu lokalnego, składającego się z czterech ministerstw: oświata, sprawiedliwość i wyznania, finanse i domeny, rolnictwo i handel, roboty publiczne. Na czele tego rządu stał *Staatssekretär*, mianowany przez rząd Rzeszy (był nim w r. 1914 von Tschammer-Quaritz).

Organizacja ta, podyktowana względami polityki zagranicznej, nie podobała się pangermanistom i kołom wojskowym. To też w czasie wojny przygotowany został plan zniesienia instytucyj lokalnych w Strasburgu i włączenia *Reichslandu* do Prus. Odnośny projekt opracowany został w r. 1917, w Bingen, nad Renem, na specjalnej konferencji, której z ramienia naczelnego dowództwa niemieckiego przewodniczył gen. von Hahndorff. Niemcy jeszcze pewni byli zwycięstwa. Ale w rok potem zmieniła się sytuacja: w przewidywaniu klęski Berlin postanowił ratować granicę z r. 1871. Ks. Maks badeński, nowy kanclerz Rzeszy, mianuje 9 października 1918 r.

I tak, nie chcąc się nigdy pogodzić z myślą odwetu trwaliśmy nieruchomi i zaniepokojeni przed sfinksem przeznaczenia aż do dnia, kiedy rządy cesarskie Niemiec i Austro-Węgier, pijane pychą, rozpętały nad ich narodami i nad naszym katastrofę, którą do ostatnich chwil usiłowaliśmy zażegnać. Ale tego dnia, panowie, odzyskaliśmy swobodę ruchów i przysięgliśmy sobie, że nie złożymy broni przed zapewnieniem podwójnego wyzwolenia Alzacji i Lotaryngji..." (Tekst francuski w *Journal des Débats* z 13 II. 28).

[1]) Izba Wyższa składała się z 46 członków, z których połowę mianował cesarz, a druga połowa składała się z wirylistów (przedstawiciele wyznań, sądownictwa, szkolnictwa i życia gospodarczego); prezesem Izby Wyższej został Hoeffel. Izba Niższa *(Landtag)* składała się z 60 posłów, wybieranych drogą powszechnego głosowania; skład partyjny tej pierwszej

Statthalter'em burmistrza m. Strasburga Schwandera, Alzatczyka, protestanta, z Niemcami pojednanego. Von Dallwitz i von Tschammer podali się do dymisji, protestując przeciwko „nowemu kursowi" w Alzacji. Na czele rządu alzackiego miał stanąć Karol Hauss, jeden z przywódców miejscowego Centrum, drukarz i autor kilku komedyj, napisanych w narzeczu alzackiem. Schwander i Hauss działali w porozumieniu z Dr. Ricklinem, prezesem *Landtagu* alzackiego, który dnia 12 czerwca 1917 r. oświadczył na plenum tego zgromadzenia, że „ludność Alzacji i Lotaryngji pragnie pozostać w nierozerwalnej łączności z Rzeszą niemiecką" [1]). Dnia 16 października 1918 r., w Berlinie, pod-sekretarz stanu w Min. Spraw Wewnętrznych Lewald zażądał od grupy posłów alzackich deklaracji, że „tylko ludność Alzacji i Lotaryngji ma prawo decydować o swoim losie". Posłowie Peirotes (socjalista) i ks. Delsor odmówili; nawet Dr. Ricklin, również poseł do *Reichstag*'u, oświadczył, iż dziś jest za późno, bo „trzy czwarte ludności są za przyłączeniem do Francji".

Schwander i Hauss nie mogli znaleźć ministrów wśród polityków alzackich i chcieli podać się do dymisji. Tymczasem wybuchła w Niemczech rewolucja, 9 listopada Alzacja dowiedziała się o abdykacji Wilhelma II, a w nocy z 9 na 10 przybył do Strasburga z Kiel'u pociąg pełen marynarzy, którzy wraz z miejscowymi socjalistami utworzyli zaraz *Soldatenrat*. Wówczas, 11 listopada, *Landtag* alzacki przekształcił

i ostatniej Izby był następujący: 11 Lotaryńczyków, 28 katolików, 10 liberałów i 11 socjalistów; prezesem *Landtagu* został dr. Ricklin, lekarz z Dannemarie, Alzatczyk zupełnie z przynależnością do Rzeszy pojednany. Por. Döring: *Die staatsrechtliche Stellung des Statthalters von Elsass-Lothringen nach dem Gesetz vom 31 Mai 1911.* — Por. także Carré de Malberg: *La condition juridique de l'Alsace-Lorraine dans l'Empire allemand.* Paris, 1914.

[1]) Por. Jean de Pange: *Les libertés rhénanes* (Paris, Perrin, 1922), str. 233. — Cenna książka hr. de Pange (XLVIII+370 str. in. 16°) traktuje o ruchach autonomistycznych w Nadrenji i w Alzacji. Rozdział, poświęcony Alzacji, zawiera krytyczny opis polityki francuskiej w Alzacji w pierwszym roku po jej odzyskaniu. — Por. tegoż: *Les soirées de Saverne* (Paris Attinger, 1928); są to trzy ciekawe bardzo rozmowy na temat sprawy alzackiej, oraz spraw francusko-niemieckich wogóle; rozmowa pierwsza — biorą w niej udział Alzatczyk, Kanadyjczyk, prefekt-centralista i autor — regjonalista, — w znacznym stopniu wyświetla czytelnikowi psychologję alzackiego „wrzenia".

się na Radę Narodową *Volksrat*, która wystosowała do ludności proklamację zapowiadającą utworzenie „tymczasowej delegacji rządzącej". Wobec tego „zamachu stanu" Schwander i Hauss bez oporu ustąpili. W całym kraju zaczęły się samorzutne manifestacje frankofilskie, a domy zaczęto przybierać w francuskie kolory. W Strasburgu jednak *Soldatenrat*, w większości niemiecki, zabrania wywieszania sztandarów francuskich. Rada Narodowa nie ma żadnej siły do rozporządzenia, aby *Soldatenrat* rozpędzić, więc zaleca mieszkańcom wyrozumiałość i umiarkowanie, aby uniknąć krwi rozlewu.

Niedługo jednak trwało panowanie *Soldatenratu;* między 17 a 25 listopada wojska francuskie weszły do Alzacji, witane wszędzie z żywiołowym entuzjazmem [1]). Trudno jest nam dziś orzec, czy terror *Soldatenratu* był istotnie tak wielki, że Rada Narodowa z Drem Ricklin'em na czele nie mogła powziąć żadnej wyraźnej uchwały, określającej stosunek Alzacji do Francji. Raczej skłonni jesteśmy widzieć w jej dwutygodniowem milczeniu dowód podwójnej gry Dra Ricklin'a, zamaskowanego „neutralisty".

Po okupacji całej Alzacji przez wojska francuskie, 27 listopada 1918 r., prezesem Rady Narodowej został ks. kanonik Delsor (1847-1927), proboszcz z Marlenheim, wierny Alzatczyk i stały wobec Niemiec opozycjonista. Ale właśnie w przeddzień, w Paryżu, Clemenceau powołał do życia *Conseil supérieur d'Alsace et de Lorraine,* o którym będzie jeszcze mowa. A jeszcze dnia 15 listopada rząd paryski mianował w Strasburgu, Metzu i Colmarze trzech Komisarzy Republiki, mających wykonywać całość funkcyj administracyjnych w okresie przejściowym. Zależeli oni formalnie od premiera i ministra wojny, ale faktycznie od podsekretarza stanu w ministerstwie wojny Jeanneney'a, antyklerykała i centralisty. Komisarzem Republiki w Strasburgu został szwagier Jeanneney'a Maringer. Zainstalowawszy się w Pałacu *Statthaltera*, Maringer zaczął parlamentować z ks. Delsorem: chodziło mu głównie o to, aby Rada Narodowa uchwaliła jak najprędzej jakąś

[1]) Por. Louis Madelin: *Les heures merveilleuses d'Alsace et de Lorraine,* Paris, Hachette, 1919; 248 str. in. 16°. — Jest to dokładny i bardzo liryczny opis wejścia wojsk francuskich do Alzacji w listopadzie 1918 r. Autor nie porusza wcale zagadnień politycznych, z reaneksją związanych.

lojalistyczną wobec Francji rezolucję i rozwiązała się. Na rezolucję ks. Delsor się zgodził, ale nie na rozwiązanie.

Dnia 5 grudnia, na uroczystem posiedzeniu Rady, jej prezes odczytał deklarację, witającą „z radością powrót Alzacji i Lotaryngji na łono Francji".

„Prowincje nasze będą dumne z tego — czytamy dalej w rezolucji — że odnalezionej matce-ojczyźnie zawdzięczają, z zachowaniem swych tradycyj, wierzeń i interesów ekonomicznych, zagwarantowanych im uroczyście przez wodzów zwycięskiej armji, nową erę wolności, pomyślności i szczęścia".

W dalszym ciągu rezolucja stwierdzała, że „agitacja neutralistyczna jest dziełem znikomej mniejszości agentów niemieckich" i — powołując się na protest Bordeaux — proklamowała „odzyskanie przez Alzację i Lotaryngję swego prawa i przyłączenie ich do Francji bezsporne i ostateczne". Rada Narodowa przyjęła tę rezolucję jednomyślnie, poczem ks. Delsor rzekł: „Referendum nie jest potrzebne; ono już się dokonało!" Z „Marsyljanką" na ustach, wśród okrzyków: *„Vive la France!"* Rada się odroczyła.

Dnia 9 grudnia przybył do Strasburga z urzędową wizytą prezydent republiki, Rajmund Poincaré, któremu towarzyszyli premier Clemenceau, marszałkowie Francji i wodzowie armij sprzymierzonych [1]). Radny Ungemach, witając prezydenta na dworcu rzekł: „Widziałeś pan tłum, słyszałeś pan okrzyki: jest to plebiscyt świetny i nieodparty".

Prezydent nie złożył jednak wizyty Radzie Narodowej, ani nie przyjął jej delegacji: Paryż postanowił Radę ignorować.

Ostatnim aktem radosnego powrotu wyzwolonych pro-

[1]) Armję polską reprezentował na uroczystościach strasburskich gen. Józef Haller; rząd francuski zaprosił również do Strasburga Romana Dmowskiego, prezesa Komitetu Narodowego Polskiego; autor tego studjum uczestniczył w wycieczce dziennikarzy zagranicznych. — Dnia 8 grudnia 1918 r., kolonja polska w Paryżu, z inicjatywy ś. p. Władysława Mickiewicza, Stanisława Szpotańskiego i Zygmunta Zaleskiego urządziła manifestację z pochodem przez Bulwar St-Germain i złożeniem wieńca u statuy m. Strasburga na placu Concorde. „W chwili zwrócenia Francji ziem zabranych jej prawem przemocy", — głosiła odezwa — manifestacja miała na celu dać wyraz „radosnemu uczuciu Polaków, oraz ich głębokiej nadziei, że realizująca się idea sprawiedliwości da życie Polsce wielkiej, zjednoczonej i niepodległej". (Por. *Polak* z 11 XII 1918).

wincyj na łono ojczyzny była scena, jaka się rozegrała 8 grudnia 1919 r. w paryskiej Izbie Posłów: dnia tego 24 posłów trzech odzyskanych departamentów zasiadło znów w parlamencie francuskim. Pos. François odczytał w ich imieniu uroczystą deklarację stwierdzającą, że „w obu prowincjach nie podniósł się żaden protest przeciwko traktatowi wersalskiemu, przywracającemu Alzatczykom i Lotaryńczykom narodowość francuską", że wybory z 16 listopada były w Alzacji i Lotaryngji „wyborami plebiscytowemi", albowiem wszyscy kandydaci manifestowali jawnie i otwarcie swe stałe uczucia względem odzyskanej ojczyzny".

Minęły przecież dnie entuzjazmu. Wyłoniły się nieuniknione trudności wzajemnej adaptacji.

II. Polityka Francji w Strasburgu.

Reaneksja Alzacji i Lotaryngji nie mogła być załatwiona w ciągu paru tygodni. Powrót tych dwóch prowincyj na łono Francji wprowadził do organizmu francuskiego ciało ani nie nowe, ani nie całkiem obce, ale w każdym razie ciało od reszty organizmu różne. Przez lat 48 Francja i Alzacja rozwijały się osobno i odnalazły się bardzo zmienione. Francja republikańska i świecka, antyklerykalna nawet, z r. 1919., nie była podobną do Francji cesarskiej i urzędowo katolickiej z r. 1860. Alzacja ze swej strony również się zmieniła: wpływy niemieckie niewątpliwie zapuściły korzenie w duszy elit alzackich, szczególnie elit duchownych, urzędniczych i gospodarczych. Musiało to utrudnić wzajemne porozumienie się. I utrudniło.

W r. 1917 gabinet Ribot'a powołał do życia specjalną konferencję, która odbyła pod przewodnictwem Ludwika Barthou szereg posiedzeń w ministerstwie spraw zagranicznych. Wysłuchała ona wielu Alzatczyków, którzy tuż przed wojną zdołali się schronić do Paryża, a między innymi b. posłów do *Reichstagu* Laugel'a, Blumenthala i ks. Wetterlé'go. Chodziło o ustalenie ustroju Alzacji po jej powrocie w ramy Francji. Laugel proponował utworzenie w Strasburgu Komisarjatu Generalnego, przy którym funkcjonowałaby rada regjonalna, złożona z delegatów trzech rad departamentalnych.[1])

[1]) Por. *Procés-verbaux de la Conjerence d'Alsace-Lorraine,* Paris 1917, str. 275 i 300.

Ale kiedy władzę we Francji objął Clemenceau, konferencja poszła w zapomnienie i protokóły z jej zebrań również. Rozejm zaskoczył rząd francuski. Wierny swej zasadzie improwizowania, Clemenceau nie zajrzał nawet do protokółów konferencji. Zresztą sprawami alzackiemi wogóle nie miał czasu się interesować i oddał je — jak powiedziano wyżej — podsekretarzowi stanu Jeanneney'owi. Ten ostatni nie przewidywał nawet trudności, na jakie się wkrótce natknął. Jego polityka była bardzo prosta: podporządkować jak najprędzej odzyskane departamenty administracji francuskiej; żadnych prób regjonalizmu, ani partykularyzmu: centralizm!

Dekret z dnia 26 listopada 1918 r., ustanawiający *Service général d'Alsace-Lorraine* Jeanneney'a, miał na celu „centralizować działalność trzech komisarzy Republiki" i „załatwiać z innemi ministerstwami wszelkie sprawy, wynikające z reintegracji odzyskanych terytorjów". Ów dekret powołał także do życia *Conseil supérieur d'Alsace-Lorraine.* Organizm ten miał spełniać funkcje doradcze przy podsekretarzu stanu, będącym jednocześnie kierownikiem *Service'u* i prezesem *Conseil Supérieur.* W skład owej Wyższej Rady wchodziło 30 osób, mianowanych albo wprost przez rząd, albo na propozycję trzech komisarzy republiki.

Wyższa Rada nie reprezentowała wcale ludności Alzacji i Lotaryngji, natomiast mogła do tego tytułu pretendować Rada Narodowa. Ta ostatnia zebrała się jeszcze raz 19 grudnia i uchwaliła jednomyślnie rezolucję, zwracającą uwagę rządu paryskiego, że „nie pretenduje wcale do władzy ustawodawczej", ale przypomina, iż „Alzacja i Lotaryngja posiadały dotychczas, z siedzibą w Strasburgu, swą administrację własną"; celem uniknięcia „kroków niewłaściwych i przedwczesnych", Rada proponuje rządowi swą współpracę „w interesie sprawy francuskiej".

Jeanneney kontynuował wszakże swą politykę centralistyczną. Było to sprzeczne z poczynionemi Alzatczykom obietnicami. Jeszcze dnia 23 listopada 1914 r. generalissimus Joffre pisał w instrukcji do dowódcy I Armji, okupującej południowo-zachodni kąt Alzacji: „Winniśmy przedewszystkiem strzec, się aby w niczem nie zadrasnąć uczuć partykularyzmu i tradycjonalizmu, które są zapewnione Alzacji...

utrzymanie przywiązania do naszego kraju i posługiwanie się naszym językiem. Dlatego wypada — szczególnie w rzeczach religijnych — unikać wszelkiego kroku, któryby wyglądał na zamach na wolności, pozostawione przez rząd niemiecki".

Władze wojskowe francuskie, zgodnie z instrukcją naczelnego wodza, nadały tym obietnicom jak największy rozgłos. Dnia 25 listopada 1918 r., wchodząc do Strasburga, powtórzył je gen. Gouraud: „Francja przychodzi do was — czytali Alzatczycy w afiszach rozlepionych po całem mieście — jak matka do swych drogich dzieci, zgubionych lecz odnalezionych. Nietylko uszanuje wasze zwyczaje, tradycje miejscowe, wierzenia religijne i interesy gospodarcze, lecz nadto opatrzy ona wasze rany i zapewni w tych ciężkich dniach wasze odrodzenie".

Jak Alzatczycy zrozumieli powyższe obietnice? Że administracja lokalna i sądownictwo pozostaną w ich rękach; że konkordat z r. 1801, zawarty przez Napoleona ze Stolicą Apostolską i przez Niemcy uszanowany, będzie skrupulatnie nadal wykonywany; że szkoły pozostaną wyznaniowemi; że Francja wyciągnie należyte konsekwencje z faktu, iż życie gospodarcze obu prowincyj dostosowało się do nowych warunków, albowiem głównym rynkiem zbytu przemysłu metalurgicznego Lotaryngji, oraz przemysłu włókienniczego i rolnictwa Alzacji były — Niemcy.

Czy te nadzieje zawiodły? Alzatczycy twierdzą, że tak. Częściowo mają rację. Zaraz po okupacji rząd francuski uczynił jednak gest zręczny i bardzo kosztowny: na mocy dekretu z 26 listopada 1918 r. władze francuskie wymieniły miljard marek niemieckich, znajdujących się wówczas w posiadaniu Alzatczyków po kursie *al pari* (1 fr. 25), kiedy ówczesny kurs giełdowy marki nie przekraczał 81 centymów. Wraz z konwersją depozytów w bankach i przeliczaniem wszystkich umów prywatnych, cała ta reforma monetarna kosztowała skarb francuski 2.230 miljonów fr.[1]) Był to „wspa-

[1]) Por. artykuł *Matin'*a z 3 stycznia 1922 r.: „Comment fut opérée la valorisation du mark en Alsace et en Lorraine". Wycofany miljard marek leżał nieproduktywnie w piwnicach kas skarbowych Strasburga i Metzu przez trzy lata, a tymczasem kurs waluty niemieckiej ciągle spadał. Dopiero w r. 1922 marki te sprzedano z wielką stratą bankom alzac-

niały prezent, na jaki Alzatczycy i Lotaryńczycy nie liczyli", jak pisała *Lothringer Volkszeitung* z 4 marca 1919 r. Ale „prezent" ten nie zjednał ich bynajmniej dla polityki centralizacyjnej.

Prasa alzacka, szczególnie prasa katolicka coraz krytyczniej wyrażała się o akcji Jeanneney-Maringer. Ponieważ na zakomunikowaną rezolucję Rady Narodowej z 19 grudnia Clemenceau odpowiedział ks. Delsor'owi — za pośrednictwem komisarza Maringer'a — dnia 14 stycznia 1919 r., że nie może przyznać Radzie Narodowej, jako ciału, żadnej władzy, przeto opinja wywarła presję na wybranych przez rząd przedstawicieli alzackich i latarýńskich w *Conseil Supérieur*, aby poinformowali władze centralne o nastrojach ludności [1]).

Dnia 25 lutego 1919 r. otwarta została w ministerstwie wojny pod przewodnictwem Jeanneney'a pierwsza sesja Wyższej Rady Alzacji i Lotaryngji. Zaraz na wstępie Lotaryńczyk Prevel, mer m. Metzu, oświadczył, że „władze alzacko-lotaryńskie winny zasiadać w Strasburgu", a co do nastrojów dwu prowincyj, to określił je jako *plus qu'une gêne, presque du mécontentement;* w konkluzji domagał się utworzenia Wysokiego Komisarjatu Republiki w Strasburgu, z prawem decydowania na miejscu we wszystkich sprawach lokalnych po zasięgnięciu rady „osobistości alzackich". Inni przedstawiciele alzaccy go poparli, a francuscy członkowie Wyższej Rady nie oponowali: Jeanneney zgodził się zasadniczo na ideę Komisarjatu.

Dnia 21 marca rząd mianował Aleksandra Millerand'a swym delegatem w Strasburgu z tytułem *Commissaire Général de la République*. Millerand przyjął nominację pod warunkiem, że *Service* Jeanneney'a będzie zniesiony, na co Clemenceau się zgodził. 25 marca Millerand przybył do Stras-

---

kim, które dzięki temu kapitałowi wzięły udział w konsorcjum francuskiem uczestniczącem w założeniu *Banque de Silésie*. Ale kiedy owe marki dojechały do Katowic, ich wartość nie przekraczała 2% ceny kupna.

[1]) Dnia 12 lutego 1919 r., na zjeździe w Strasburgu, katolicy alzaccy uchwalili rezolucję, domagającą się, aby *autorités responsables* urzędowały w stolicy Alzacji i aby powołano do życia *assemblée délibérante* alzacko-lotaryńską.

burga, przyjął zaraz dziennikarzy i powtórzył im w imieniu rządu obietnice, poczynione jeszcze przez Joffre'a w r. 1914. „Uszanujemy skrupulatnie wierzenia, poglądy i zwyczaje Alzacji i Lotaryngji" — mówił Millerand. Utworzył zaraz przy Komisarjacie Generalnym 9 dyrekcyj, odpowiadających ministerstwom. Drogą prywatnych rozmów z działaczami alzackimi ustalił, że Rada Narodowa faktycznie więcej się nie zbierze, a Wyższa Rada, stworzona 26 listopada 1918 r., będzie zwołana na sesję do Strasburga. Dnia 3 października 1919 r. parlament francuski uchwalił na wniosek Komisarza Generalnego nowy podział administracyjny Alzacji i Lotaryngji; odnośna ustawa określa ten podział jako „tymczasowy", ale do dziś dnia nic w nim nie zmieniono. Nie przywrócono dawnych granic departamentów francuskich z przed r. 1870: ograniczono się do przemiany na „departamenty" trzech dawnych „Bezirków" [1]). Wreszcie dnia 17 października parlament uchwalił ustawę, na mocy której sprawy Alzacji i Lotaryngji oddane były pod bezpośrednie władanie prezesa Rady Ministrów. Na mocy tej ustawy Komisarjat Centralny mógł być zniesiony tylko drogą ustawodawczą.

W styczniu 1920 r. Millerand opuścił Strasburg, bo został premjerem: na opróżnione przez się miejsce mianował Alapetite'a, b. rezydenta francuskiego w Tunisie. Dnia 9 września 1920 r. ukazał się dekret, powołujący do życia „tymczasowo" zamiast dotychczasowej Wyższej Rady, *Conseil Consultatif,* składający się z 35 członków, a mianowicie 3 senatorów, 6 posłów i 21 radców generalnych trzech departamentów, tudzież 5 specjalistów mianowanych przez rząd.

Po próbie centralizacji nastąpiła zatem próba decentralizacji. Ale wkrótce centralizm odzyskał swoje prawa. Już 17 stycznia 1922 r., nazajutrz po dojściu do władzy Rajmunda Poincaré, ukazał się dekret, oddający sprawy alzackie we władanie ministra sprawiedliwości (a nie premjera, jak dotychczas). Zaś w r. 1924, po zwycięstwie kartelu lewicy, E. Herriot zniósł Komisarjat Generalny i *Conseil Consultatif* w Strasburgu, podporządkowując wszystkie sprawy departamentów

[1]) Oto lista trzech nowych departamentów z ich obecnymi prefektami: *Haut-Rhin* (Susini), *Bas-Rhin* (Borromée) i *Moselle* (Manceron).

alzacko-lotaryńskich odnośnym ministerstwom. Zapowiadając powyższe decyzje w swej deklaracji ministerjalnej z 17 czerwca 1924 r., Herriot wyraził przekonanie, że „przyspieszając dzień, w którym znikną ostatnie różnice w prawodawstwie między departamentami odzyskanemi, a całością terytorjum republiki", rząd zadośćuczyni najgłębszym życzeniom ludności; naturalnie, Herriot nie omieszkał dodać, iż rząd uszanuje utrwalone stosunki, oraz interesy materjalne i moralne ludności, ale nie przeszkodzi mu to wprowadzić do Alzacji i Lotaryngji całokształtu prawodawstwa republikańskiego.

Ta zapowiedź poważnie zaniepokoiła Alzatczyków. Bardzo prędko Paryż się spostrzegł, że „życzenia ludności" trzech departamentów są inne. Ale mimo to, dekretem z 14 listopada 1924 r., Komisarjat Generalny i *Conseil Consultatif* zostały zniesione. Ustawa z 24 lipca 1925 r. dekret ten zalegalizowała.

III. Nastroje alzackie.

Kiedy się o trudnościach alzackich rozmawia z naszymi francuskimi przyjaciółmi, irytuje ich wyrażenie „sprawa alzacka", drażni podział na Francuzów i na Alzatczyków. „We Francji — mówią — są tylko Francuzi". Bo nasi przyjaciele nie rozróżniają pojęcia narodowości od pojęcia obywatelstwa. W sensie przynależności państwowej (obywatelstwa) Alzatczycy są niewątpliwie Francuzami, ale w sensie narodowości tylko mniejszość uważa się za Francuzów. Alzatczycy są niewątpliwie szczepem rasy germańskiej, mówią od wieków narzeczem niemieckiem, a ich językiem literackim jest język niemiecki. Nie są przez to Niemcami i nimi być nie chcą; chcą pozostać sobą. Jest ich miljon i zamieszkują zwartą masą terytorjum położone między Renem a Wogezami. Lotaryńczycy są bardziej zmieszani. Historyczna Lotaryngja (której część tylko zaanektowały Niemcy w r. 1871) jest niewątpliwie krajem mówiącym po francusku, aczkolwiek na jego wschodniej krawędzi, w dolinach Mozelli i Saary, zaczyna się już teren językowy niemiecki.

Pomimo zmiennych losów politycznych Alzacji i Lotaryngji, granica językowa w ciągu ostatnich trzech wie-

ków „nie podlegała tu żadnym poważniejszym zmianom“ [1]). Po traktacie frankfurckim 75% gmin zaanektowanych prowincyj mówiło po niemiecku. W r. 1910 stosunek ten wzrósł do 87%, ale przyczyną był szybki rozwój przemysłu metalurgicznego w Lotaryngji, który spowodował znaczny napływ ludności niemieckiej z Nadrenji. Istotnie, kiedy w r. 1878 na 487.869 mieszkańców Lotaryngji zaanektowanej (dziś dep. Moselle) po francusku mówiło 256.248 (52%), to w r. 1920, 655.211 mieszkańców po francusku mówiło już tylko 146.097 (22%). Podobnie jak na Śląsku Górnym, germanizacja posunęła się naprzód równolegle z uprzemysłowieniem kraju.

Dziś Alzacja i Lotaryngja liczy ogółem 1.795.000 mieszkańców, z czego dep. Haut-Rhin liczy 671.000, Bas-Rhin — 490.600, a Moselle — 633.400. Pod względem wyznaniowym, jest tam 1.400.000 katolików, 360.000 protestantów i 35.000 izraelitów. Katolicy alzaccy są nimi nietylko w wykazach statystycznych; są świadomymi swych obowiązków i praw synami Kościoła; są doskonale zorganizowani. W czasie wyborów w listopadzie 1919 r., zawarli blok z demokratami (Frey) i zdobyli wszystkie 24 mandaty alzacko-lotaryńskie. Dnia 11 maja 1924 r. utracili tylko 3 mandaty w dep. Bas-Rhin, skąd wyszli 2 socjaliści (Peirotes i Weil), oraz komunista Hüber.

Urzędowy tytuł partji katolickiej Alzacji i Lotaryngji brzmi *Union Populaire Républicaine Nationale* (UPRN). Przekształcona została z dawnego „centrum“ alzackiego na zjeździe w Strasburgu 12 lutego 1919 r. Jej prezesem został Dr. Pfleger, dający zupełne gwarancje lojalizmu wobec Francji. Ale bardzo prędko zaczęły się incydenty: niektórzy działacze uważali, iż szef partji niedość energicznie broni interesów alzackich w Paryżu. 23 października 1921 r. ks. Schaeffer, proboszcz z Graffenstaden, potępił oportunizm przywódców partyjnych i oświadczył, że zamiast politykować w Paryżu powinni „zagrozić protestem w Lidze Narodów w razie, gdyby rząd francuski zamierzał naruszyć kościelne *status quo* Alzacji“. Dr. Pfleger podał się do dymisji. Wobec naglących próśb cofnął ją, ale wystosował do zarządu partji list, wyszczegól-

[1]) Por. artykuł Dra Pawła Lévy w *Mercure de France* (15 II. 1922) p. t. „La lutte pour l'allemand en Alsace et en Lorraine de 1870 à 1918, str. 114.

niający warunki, od których swe pozostanie uzależnia; głównym było zobowiązanie się partji do wysuwania i popierania przy wszelkich wyborach tylko takich kandydatów, którym „nic nie można zarzucić z punktu widzenia francuskiego". Zarząd U. P. R. N. list przyjął, choć posłowie Tomasz Seltz, Michał Walter, Medard Brogly i ks. Müller „potępili wyrażenia listu" (*Matin*, 14 XI. 21). W r. 1924 na miejsce Pflegera przewodniczącym Unji został pos. Seltz, zaś pos. Waltera mianowano prezesem zarządu partji.

Prasa katolicka Alzacji i Lotaryngji stale nie uwzględniała dyrektyw zarządu partji i nie przestawała uderzać w ton opozycyjny. Prasa ta znajduje się w ręku młodego duchowieństwa alzackiego, nie znającego wcale Francji i przesiąkniętego intelektualnemi wpływami niemieckiemi. Głównemi dziennikami katolickiemi — mającemi razem około 160.000 czytelników — są: *Elsässer* (Strasburg), *Lothringer Volkszeitung* (Metz), *Elsässer Kurier* (Colmar) i *Mulhauser Volksblatt* (Miluza). Wraz z kilkoma innemi tygodnikami wszystkie te organy należą do konsorcjum „Alsatia", na którego czele stoi ks. Haegy, jego dusza i założyciel. Ks. Haegy jest zacnym i surowym kapłanem; mieszka stale w Colmarze, gdzie zajmuje jeden pokój przy szpitalu Sióstr św. Józefa. Ale jest nieprzejednany na punkcie partykularyzmu alzackiego, tak jak wszyscy jego współpracownicy, zarówno duchowni jak i świeccy. Wśród współpracowników duchownych wyliczyć należy ks. Schiess'a, redaktora *Elsässer*'a; ks. Cuny'ego, redaktora *Lothringer Volksztg.*, oraz ks. Fasshauera, do niedawna redaktora *Elsässer Kurier*, a obecnie zasuspendowanego i pod kluczem. Głównym współpracownikiem świeckim ks. Haegy'ego był nauczyciel gimnazjalny Józef Rosse, dziś także będący pod kluczem za agitację autonomistyczną.

O agitacji tej napiszemy nieco dalej. Tu stwierdzimy tylko fakt, że pomimo wszelkich uchwał i manifestacyj U. P. R. N., przeprowadzenie linji demarkacyjnej pomiędzy partją katolicką a obozem autonomistycznym jest rzeczą niemożliwą. „Jesteśmy Alzatczykami — mówił memu koledze Michelin'owi z *La Croix* (6 III. 27) pewien wybitny katolik alzacki — i chcemy, aby Francja szanowała nasze tradycje i nasze wolności, jak nam uroczyście obiecała. Chcemy a u t o n o m j i

administracyjnej, utrzymania szkoły wyznaniowej i prawa mówienia naszym językiem..." A stosunek do Francji? Dnia 7 stycznia 1928 r. zarząd U. P. R. N., zebrawszy się w Strasburgu, uchwalił rezolucję, stwierdzającą już nie po raz pierwszy, że „w międzynarodowem tego słowa znaczeniu kwestji alzackiej niema", że „wszystkie dyskusje i trudności alzackie są wewnętrzną sprawą francuską", która zagranicy, a przedewszystkiem Niemiec nie obchodzi. Rezolucja powiada dalej, że U. P. R. N. „zwalcza i dezaprobuje" agitację autonomistyczną, ale podkreśla, iż „rząd ma nietylko obowiązek przedsiębrać represalja, ale przedewszystkiem stosować politykę konstruktywną, mającą na celu usunięcie przyczyn istniejącego niezadowolenia" (*Echo de Paris,* 8 I. 28).

Poza katolikami istnieją jeszcze cztery inne uprupowania partyjne w Alzacji, a mianowicie: demokraci, radykali, socjaliści i komuniści. Partja demokratyczna założona została w Strasburgu 25 lutego 1919 r. Jej najwybitniejszymi działaczami są sen. Fryderyk Eccard, pos. Karol Frey i prezes strasburskiej Izby Handlowej Herrenschmidt. Demokraci są lojalistami francuskimi, ale są jednocześnie regjonalistami. Partja radykalna Alzacji była początkowo gwałtownie centralistyczna, albowiem szybkie wprowadzenie ustroju „świeckiego" było w jej oczach jedynym środkiem na położenie kresu „dyktaturze klerykalnej". Ale nie wszyscy radykałowie alzaccy poszli za swym przywódcą-centralistą Franciszkiem Oesingerem: jego rywal Georg Wolf, b. pastor protestancki, przeprowadził 30 maja 1926 r. scysję w łonie radykalizmu alzackiego i zgrupował dokoła siebie radykałów-regjonalistów. Wkrótce potem ci ostatni założyli partję postępową *(Fortschrittsparfei),* na której czele stanął b. radykał Kamil Dahlet. Postępowcy zaczęli wydawać własny organ p. t. *Das Neue Elsass,* ale władze francuskie, dopatrując się w jego artykułach sympatyj autonomistycznych, zawiesiły go 16 marca r. b.

Socjaliści alzaccy są jedyną partją zdecydowanie centralistyczną. Są oni panami sytuacji w Strasburgu i w Miluzie, gdzie mają większość w radach miejskich; to też socjaliści są merami tych dwu miast: pos. Peirotes w Strasburgu, Wicky w Miluzie. 30 czerwca 1926 r. federacje socjalistyczne departamentów Bas-Rhin i Haut-Rhin wydały manifest, skie-

rowany przeciwko „wszelkiej próbie regjonalizmu, autonomizmu czy separatyzmu, któraby miała na celu naruszenie jedności Francji demokratycznej i republikańskiej".

Natomiast komuniści alzaccy są nietylko autonomistami, ale nawet separatystami. Ich poseł Hüber wygłosił w Izbie Posłów, dnia 8 grudnia 1927 r., w czasie dyskusji nad budżetem, prowokacyjną mowę, w której powiedział m. i.: „Alzacja i Lotaryngja domagają się prawa wolnego stanowienia o swym losie... Tylko partja komunistyczna może je całkowicie wyzwolić... Francja kłamie i nie dotrzymuje swych obietnic..." (*Humanité,* 9 XII. 27).

Z powyższego przeglądu politycznych organizacyj alzacko-lotaryńskich widzimy, że tylko mniejszość (socjaliści i radykali) godzi się na politykę centralistyczną Paryża. Większość natomiast ludności odzyskanych prowincyj (katolicy demokraci, postępowcy i komuniści) głoszą hasła regjonalizmu, autonomji administracyjnej, autonomji politycznej, a nawet separatyzmu. Ta nieufność wobec Paryża tłumaczy się nietylko przyczynami ideologicznemi, ale także rozbieżnością zdań w szeregu spraw praktycznego współżycia.

Najważniejszemi i najdrażliwszemi są sprawy związane ze stanowiskiem Kościoła katolickiego w Alzacji-Lotaryngji. Są tu dwa biskupstwa: nazajutrz po skończonej wojnie stał na czele diecezji strasburskiej Mgr. Fritzen, Niemiec, schorzały już starzec, a na czele diecezji Metzu — Mgr. Benzler, wprawdzie Lotaryńczyk, ale lojalista niemiecki. Rząd francuski poczynił już na początku 1919 r. nieurzędowo odpowiednie kroki u Stolicy Apostolskiej, aby tych dwu biskupów zastąpiono przez dwu Francuzów. Stało się to w kwietniu: w Strasburgu został mianowany Mgr. Ruch, Alzatczyk z pochodzenia, dotychczas kapelan wojskowy przy XX korpusie armji francuskiej [1]); w Metzu — Mgr. Pelt, Lotaryńczyk francuski. Te dwie nominacje wywołały dużą emocję wśród katolików obu prowincyj: byli oni przekonani, iż nowi pasterze zostaną wybrani z łona odnośnych kapituł; w Strasburgu np. kandydatem był generalny wikarjusz ks. Jost... Nowi biskupi

[1]) Ksiądz Fasshauer, czyniąc aluzję do wojskowych odznaczeń ks. biskupa, nazwał go na łamach autonomistycznego organu *Volksstimme* „Monseigneur-Croix-de-Guerre".

mają do dziś dnia sytuację trudną, szczególnie Mgr. Ruch, który — wobec wielu wypadków niesubordynacji politykujących księży alzackich — oświadczył 16 września 1927 r. na zjeździe katolickim w Colmar'ze, że: „Bardziej niż ktokolwiek, Kościół katolicki z odrazą się odnosi do klerykalizmu, równie szkodliwego dla religji, jak i dla wolności..." (*Echo de Paris,* 17 I. 28).

Z drugiej przecież strony „świeccy" republikanie francuscy nie mogą się pogodzić z tem, że konkordat z r. 1801 — przekreślony we Francji szeregiem ustaw, których ukoronowaniem był jednostronny rozdział Kościoła i Państwa (1905) — pozostaje nadal w życiu w Alzacji. Prezes Ligi Praw Człowieka, prof. Wiktor Basch, oburzał się niedawno, że interesy Kościoła katolickiego w Alzacji są „monstrualnie popierane"... (*Volonté,* 8 I. 28). Nietylko więc brak giętkości ze strony „politykujących księży alzackich" utrudnia sytuację ks. biskupa strasburskiego.

Przejdźmy teraz do kwestji t. zw. Muttersprache. W cytowanej już przez nas książce Edward Helsey dowodzi na kilku stronach, że językiem macierzystym Alzatczyków to nie *hochdeutsch,* a *elsässer ditch;* ten ostatni nie jest językiem literackim, a tylko narzeczem, którem Alzatczycy zawsze będą mówili w domu; niema żadnych jednak powodów, aby robić z Alzacji kraj dwujęzyczny w literackiem tego słowa znaczeniu: przez pewien czas nauczania języka niemieckiego w szkołach początkowych nie da się uniknąć, ale „po okresie od 20 do 30 lat język francuski powinien być jedynym językiem narodowym" [1]). Tej ewentualności właśnie obawiają się Alzatczycy. Stan obecny jest następujący: w szkołach początkowych na 30 godzin tygodniowo są 3 godziny języka niemieckiego, 2 lub 3 katechizmu i 4 religji (nauka katechizmu i religji odbywa się po niemiecku); reszta przedmiotów wykładana jest zasadniczo po francusku, za wyjątkiem tych oddziałów w których dzieci nie rozumieją dostatecznie tego języka. Nie zadowala to Alzatczyków, którzy pragnęliby, aby językiem wykładowym pozostał niemiecki; ale administracja francuska jest niewzruszona: na *régime* obecny zgodziła się nie bez oporu.

[1]) Por. Helsey, *op. cit.* str. 55.

Nauczyciele przybyli „z wewnątrz" nie cieszą się zaufaniem rodziców, ani swych alzackich kolegów; nie rozumieją się nawzajem; są różnej formacji intelektualnej i moralnej [1]). To samo spotykamy wśród urzędników administracji cywilnej, w sądownictwie, wśród kolejarzy. Na wszystkich wyższych szczeblach stanęli urzędnicy francuscy *(cadre national)*, a urzędników miejscowych *(cadre local)* awansuje się niechętnie na stanowiska bardziej odpowiedzialne. Początkowo urzędnicy francuscy otrzymywali specjalne odszkodowanie za funkcjonowanie w Alzacji. Od stycznia 1920 r. już tego niema, ale nadal istnieje dodatek do pensji, przeznaczony dla urzędników władających francuskim i niemieckim; tylko że dla Alzatczyków ten dodatek wynosi 8% poborów, a dla Francuzów — 16%.

Unifikacja ustawodawstwa dotychczas nie została przeprowadzona pomiędzy Francją a odzyskanemi prowincjami; i nic dziwnego, unifikacja jest przedsięwzięciem trudnem i wymagającem dużego czasu; Niemcy się z nią uporali dopiero w trzydzieści lat po aneksji. Ale wobec braku unifikacji Alzatczycy płacą stosunkowo więcej podatków państwowych i miejskich, niż mieszkańcy reszty Francji. Jest to m. i. rezultat bardziej rozbudowanego i bardziej kompletnego ustawodawstwa społecznego, bo w tej dziedzinie Niemcy wyprzedziły Francję. „Większe opodatkowanie" jest faktem, ale nie jest to wina Francji. Alzatczycy ustawicznie się skarżący, często przesadzają. W danym zresztą wypadku, jeśli więcej łożą na ubezpieczenia społeczne i na urządzenia miejskie, to przecież sami z tego korzystają.

Unifikacja gospodarcza Alzacji-Lotaryngji z macierzą dokonała się bez większych wstrząśnień dzięki postanowieniu

[1]) Już dnia 3 maja 1920 r., w kilka miesięcy po wejściu wojsk francuskich, *Elsässer Kurier* tak charakteryzował stan szkolnictwa: „Położenie jest rozpaczliwe. Zamiast dawnych nauczycieli, o których wspominaliśmy z wdzięcznością, mamy teraz panów i — niestety — panie szczycących się swym ateizmem. Podręczniki szkolne — to nędza moralna, gdzie żadne Boskie słońce nie świeci... Panowie pedagogowie — to istne karykatury mianowane na dyrektorów naszych szkół wbrew woli mieszkańców. Niech sobie idą precz i to jak najprędzej! Musimy działać energicznie, bo na nasze groby spadnie odpowiedzialność za to, co się w naszem szkolnictwie dzieje...".

Traktatu Wersalskiego, że przez pięć lat od jego wejścia w życie produkty przemysłu odzyskanych dzielnic będą wchodziły do Niemiec bez żadnych opłat. Ten okres pięcioletni wystarczył, aby przemysły metalurgiczne i włókiennicze Francji i Alzacji sharmonizowały swoje interesy.

Sieć kolejowa Alzacji i Lotaryngji przejęta została przez państwo francuskie; kolejarze w ogromnej większości należą do kadr lokalnych. W r. 1919 władze francuskie zaczęły mianować na zawiadowców stacyj, dyrektorów warstatów i t. p. Francuzów nie umiejących po niemiecku. Wówczas wybuchł na kolejach alzackich (10 września) strajk generalny, którego władzom nie udało się złamać — ustąpiły zatem, przyjmując „ultimatum" kolejarzy i odwołując tych wszystkich urzędników, którzy nie posiadali języka niemieckiego. W r. 1923 sieć kolei alzacko-lotaryńskich weszła do *Consortium des réseaux français,* mającego na celu uzgodnienie polityki taryfowo-budżetowej siedmiu wielkich sieci kolejowych francuskich. Nie podoba się to alzatczykom i np. 1 grudnia 1927 r. komisja Izby Posłów do spraw alzackich dyskutowała nad propozycją posłów alzackich, mającą na celu wyłączenie sieci alzackiej z konsorcjum. Sprzeciwił się temu imieniem rządu minister robót publicznych, Andrzej Tardieu, zapowiadając, że jeśliby sprawa weszła na plenum Izby, rząd nie zawaha się postawić kwestji zaufania.

(Dokończenie nastąpi)

Kazimierz Smogorzewski.

Z powodu IV wydania „Dziejów Polski" M. Bobrzyńskiego[1]).

I.

Żadna publikacja z zakresu historji polskiej nie wywołała tak silnego oddźwięku w naszem społeczeństwie, jak wydane w r. 1879 *Dzieje Polski* Michała Bobrzyńskiego. Po wydaniu tego dzieła rozpoczęła się gorąca polemika między historykami polskimi, a to z tego powodu, że *Dzieje* były właściwie pierwszą samodzielną i oryginalną syntezą naukową, której podjął się uczony polski, dochodząc w wynikach do zupełnie nowych poglądów. Zainteresowanie dziełem wzmógł jeszcze fakt, że autor nie ograniczał się do samego przedstawienia momentów dziejowych, lecz zajął wobec nich stanowisko subjektywne, zależnie od swoich poglądów na drogi rozwoju narodu.

Dziś, patrząc z perspektywy prawie lat pięćdziesięciu, przyznać musimy, że I wydanie dzieła Bobrzyńskiego stanowiło przełom w naszem piśmiennictwie historycznem i pchnęło dalsze badania na nowe, czysto naukowe tory.

Nic przeto dziwnego, że *Dzieje* doczekały się w dość krótkim stosunkowo czasie (10 lat) trzech wydań, stając się nieodzowną książką dla każdego, kto interesował się przeszłością naszego narodu. Na wydanie IV czekać trzeba było jednak dość długo, bo aż lat czterdzieści. Przyczyna tego leżała nie w braku zainteresowania do dzieła uczonego, lecz w tem, iż on sam porzuca pracę historyczną dla życia politycznego dawnej Galicji. Dopiero po latach kilkudziesięciu, po wycofaniu się z polityki, przystępuje z nową energją do pracy, której rezultatem — czwarte wydanie *Dziejów*.

Siłą faktu, mając przed sobą pracę, która powstała właściwie przed laty pięćdziesięciu, nasunie się nam pytanie, czy i o ile zo-

[1]) Michał Bobrzyński: *Dzieje Polski w zarysie*. Wydanie IV uzupełnione, Warszawa 1927, nakład Gebethnera i Wolffa. T. I str. 296, T. II str. VI, 332.

stała ona uzupełniona i czy autor przedstawił dzieje narodu polskiego zgodnie z obecnemi wymaganiami i stanem nauki historycznej. Sam tytuł dzieła wskazuje, że mamy tu do czynienia nie z zasadniczą przeróbką dawnych wydań, lecz tylko z ich uzupełnieniem. I faktycznie praca nad wydaniem IV polegała w dużej mierze na wstawianiu ustępów do pewnych rozdziałów, lub też na wyrzucaniu innych, odnośnie do których autor zmienił swe zapatrywanie.

Zasadniczy natomiast zrąb dzieła pozostał ten sam, chociaż w przeprowadzeniu nie brak zmian tak w układzie treści jak i tytułach rozdziałów oraz paragrafów, przyczem zauważyć należy, że autor stara się o przedstawienie faktów w świetle zupełnie nowem, odnośnie do rezultatów dzisiejszej wiedzy historycznej. Zmiany te, naogół korzystne, wplótł autor mistrzowsko w tekst, dzięki czemu dzieło nie straciło nic ze swych walorów literackich, czego przy wspomnianej metodzie możnaby się obawiać. W jednym tylko wypadku przeoczył autor sprzeczność w swych poglądach, a mianowicie na str. 67 omawia kwestję niezależności kościoła polskiego (biskupstwo misyjne) stosownie do wyników badań Kehr'a i Abrahama, lecz na str. 72 zostawia z wyd. III niezmieniony ustęp, z którego czytelnik dowiaduje się, że dopiero zjazd z r. 1000 wyzwolił kościół polski z pod zależności niemieckiej. Na str. 183 odsyła do § 24 zamiast § 20.

Wszystkie uzupełnienia podniosły niewątpliwie wartość podręcznika, chociaż odnośnie do zmiany tytułu § 51 (wyd. III, § 57) z „Plany Zbigniewa Oleśnickiego" na „Wyprawa pod Warnę", można mieć zastrzeżenia, gdyż chyba lepiej pierwotny tytuł oddawał treść wspomnianego rozdziału, w którym katastrofa warneńska stanowi tylko końcowy epizod.

Przy porównaniu wyd. III i IV rzuca się niemal w oczy zasadnicza zmiana, jaką autor wprowadził do nowego wydania. Wstrzymuje się mianowicie od sądów subjektywnych, czy dane zjawisko dziejowe było dodatnie czy ujemne dla dalszego rozwoju państwa polskiego, oraz unika wszelkich ostro sformułowanych sądów, które tak charakterystyczne były w wyd. III. Nie znajdzie się już w nowem wydaniu tak silnie podkreślonej konieczności autokracji, która miała zapewnić Polsce potęgę, co daje się wyczuć w wyd. III przy każdej sposobności, kiedy autor omawia stosunek poddanych do swego władcy. I tak np. przerabiając ustęp o Bolesławie Szczodrym § 15, wypuścił autor tego rodzaju zdania: „Z każdym rokiem rosła doniosłość tego faktu (wzrost znaczenia kościoła polskiego), który w swoich następstwach zbliżał Polskę do Zachodu, budząc w niej ideę wolności i samoistności społeczeństwa wobec wszechwładzy monarszej. Działo się to na nieszczęście kosztem idei monarchicznej, która w umysłach narodu dotkliwą, pierwszą poniosła porażkę, a czy nie działo się zawcześnie? Czy nie lepszym był dla Polski ówczesnej jeszcze do pe-

wnego czasu ów absolutyzm pierwszych Bolesławów, który społeczeństwo nawpół dzikie siłą fizyczną utrzymywał w karbach? Czy społeczeństwo to idei wolności umiało rozsądnie użyć?" (str. 148, wyd. III). W § 23 odnośnie do załamania się idei politycznej Mieszka Starego nie daje autor również swego zapatrywania tak silnie akcentowanego w wyd. III. str. 173/4. „Trudno na tę nieugiętą, niezmordowaną postać Mieszka Starego patrzyć bez głębokiego współczucia, trudno jednak nie wiedzieć, że zasada bezwzględnej, patrjarchalnej władzy książęcej, którą reprezentował, już się w narodzie przeżyła... Powtarzamy pytanie, czy nie zanadto, czy nie zawcześnie?" Druga natomiast zmiana o charakterze ogólnym (unikanie ostro sformułowanych sądów) najlepiej da się uplastycznić na przykładach zmiany tytułów poszczególnych rozdziałów. Tytuł rozdz. IV, wyd. III (str. 137) „Żywioły wsteczne pracują nad wywróceniem dzieła Mieczysława i Bolesława Chrobrego" zmienia w wyd. IV na: „Dzieło pierwszych Piastów zachwiane" (rozdz. II, str. 85); rozdz. V, wyd. III (str. 151) „Bolesław Krzywousty państwo Chrobrego przywraca i rozwija"; wyd. IV „Bolesław Krzywousty idzie śladem Chrobrego" (rozdz. III, str. 98); rozdz. VI, wyd. III (str. 163) „Synowie Krzywoustego nie umieją utrzymać całości i siły państwa" — wyd. IV „Walka o monarchję między synami Krzywoustego" (rozdz. IV, str. 110); Okres II, rozdz. III, wyd. III (str. 528) „Możnowładztwo chwyciwszy za rządy, przyłącza Litwę a gromi Krzyżaków" — wyd. IV „Unja z Litwą i pogrom Krzyżaków" (rozdz. III, str. 193); rozdz. IV, wyd. III (str. 290) „Zbigniew Oleśnicki prowadzi rządy polskie w kościelnym kierunku" — wyd. IV „Zbigniew Oleśnicki sprawuje rządy polskie" (rozdz. V, wyd. III, (str. 316) „Kazimierz Jagiellończyk łamie przywileje stanów" — wyd. IV „Kazimierz Jagiellończyk" (rozdz. V, str. 242). Rys ten uwidacznia się również w tekście, jak np. w genealogji Mieszka, gdzie opuszcza wyraz „p o r w a ł" a zostawia „p o ś l u b i ł Odę, córkę margrafa Thietricha, mniszkę z klasztoru Kalwe" (str. 66). Następnie na str. 70 znikło zdanie odnoszące się do walki Chrobrego z rodziną o tron, w którem mówił: „(Bolesław) n i e p r z e b i e r a j ą c w ś r o d k a c h, braci i krewniaków siłą oręża z ich siedzib wypędził i w y t ę p i ł" (str. 117, wyd. III). Silniej jeszcze uwydatnia się to stanowisko w przedstawieniu sceny na zamku krakowskim, jaka rozegrała się między Jadwigą, Wilhelmem i panami małopolskimi (zob. wyd. IV, str. 201, — wyd. III, str. 267).

Lecz tak skreślenia, jak również i wtręty w dawny tekst nie zadowalają w zupełności wymagań, jakie dzisiaj postawić musimy *Dziejom*. Zasadniczym brakiem jest pominięcie, niemal zupełne, rozwoju kulturalnego narodu polskiego. Braku tego nie zdołają zapełnić krótkie ustępy, oświetlające pewne momenty zjawisk kulturalnych, gdyż dziś dzięki monumentalnej pracy ś. p. Kazimierza Morawskiego, oraz szeregowi rozpraw prof. Jana Pta-

śnika, nauka historji kultury polskiej postąpiła tak daleko, że w podręczniku znaleźć powinna niemniejsze uwzględnienie niż zjawiska rozwoju społeczno-gospodarczego, którym autor poświęca znaczną część swego dzieła, przedstawiając je jasno, przystępnie i w sposób wręcz nieprześcigniony. W opisie rozwoju gospodarczo-społecznego nie zadowala się autor znanemi monografjami, lecz daje nowe poglądy, wnikając głębiej w istotę rozwoju społecznego Polski średniowiecza.

Gorzej natomiast wyszło przedstawienie historji politycznej. Mimo zmian i przeróbek całego szeregu paragrafów, historja zawiera jeszcze dość niedomówień i braków, które utrudniać będą czytelnikowi, niespecjaliście, naukę dziejów ojczystych. By twierdzenie to nie wypadło gołosłownie, pozwolę sobie omówić niektóre zagadnienia.

Już przedstawienie panowania Mieszka I wymaga sprostowań i uzupełnień, ponieważ autor nie uwzględnia wyników pracy prof. Zakrzewskiego [1]) i każe pierwszemu księciu chrześcijańskiemu wstąpić na tron gnieźnieńsko-poznański w r. 960 (*Dzieje* str. 66), podczas gdy prof. Zakrzewski źródłowo stwierdza w swej rozprawce, że Gniezno było tylko ogniskiem kultu, a nie stolicą kraju, nawet w średniowiecznem znaczeniu (str. 18); roku zaś wstąpienia na stolec książęcy nie oznacza, uważając go za nieznany (str. 40). Pomija też autor zupełnie stosunki polsko-skandynawskie, z powodu czego przedstawienie panowania pierwszego chrześcijańskiego księcia nie może czytelnikowi daś pełnego i wiernego obrazu ówczesnego położenia Polski.

Tego samego typu niedomówienia autora zauważamy i w dalszem przeprowadzeniu *Dziejów*. I tak w opisie zjazdu gnieźnieńskiego, podnosząc jego znaczenie dla Polski z powodu założenia metropolji gnieźnieńskiej, przemilcza fakt zwolnienia Bolesława od zależności lennej. Wprawdzie dodaje ostrożnie, że „akt Ottona w Gnieźnie był zapowiedzią koronacji Bolesława“ (str. 72), lecz sądzę, że ze względu na opowiadanie Thietmara ostrożność ta była zupełnie niepotrzebna i nawet w podręczniku przyjąć można fakt ten za pewnik [2]). Większem natomiast zaufaniem darzy autor Wojciechowskiego, przyjmując jego hipotezę o zajęciu Krakowa przez Czechów, w czasie rokoszu przeciw Śmiałemu (str. 93), mimo że ta, oparta jest na późniejszej zapisce kronikarza czeskiego, a nie zgadza się z opowiadaniem Galla-Anonima. Zresztą sam Kosmas nie mówi wcale o zajęciu Krakowa przez Czechów, lecz tylko o nadaniu korony czeskiej i polskiej Wratysławowi przez cesarza Henryka [3]).

---

[1]) Zakrzewski Stanisław, *Mieszko I jako budowniczy państwa polskiego*, „Bibl. składnicy“ Nr. 1).

[2]) Przyjmuje to prof. Zakrzewski, *Bolesław Chrobry Wielki*, str. 134.

[3]) Na tej podstawie prof. Zakrzewski i Grodecki odrzucają hipotezę Wojciechowskiego.

Panowanie natomiast Krzywoustego oraz okres rozbicia dzielnicowego, kreśli autor z wielkiem wczuciem się w epokę, nie przeładowuje jej szczegółami, dzięki czemu po przeczytaniu tych ustępów zostaje w świadomości jasny i pełny obraz ówczesnych stosunków. Lecz w okresie tym nie można zgodzić się na zapatrywania autora odnośnie do napadów tatarskich i na łączenie z niemi kolonizacji niemieckiej. Badania Balzera, Zachorowskiego, Tyca i Grodeckiego, dowodnie wykazały, że spustoszenia wywołane napadem tatarskim zostały wyolbrzymione przez historyków niemieckich i że, jeśli można mówić o kolonizacji niemieckiej w miastach, to w odniesieniu do wsi sprawa nie przedstawiała się tak groźnie dla polskości. Nawet odnośnie do miast usiłuje prof. Ptaśnik wykazać [1]), że o zupełnem zalaniu żywiołem niemieckim wszystkich miast w Polsce nie może być mowy. Można zatem oceniać bardzo korzystnie lokację wsi na prawie niemieckiem i podnosić jej dodatnie strony, lecz w dzisiejszej nauce nie da się już utrzymać twierdzenie: „prędki ale stanowczy ratunek przyszedł z zewnątrz, a zjawił się w postaci niemieckiej kolonizacji" (str. 140), gdyż nie dzięki przybyszom Niemcom, lecz dzięki zrozumieniu przez społeczeństwo polskie wartości nowego ustroju prawnego i postępu gospodarczego, potrafiły zniszczone księstwa w dość krótkim stosunkowo czasie odbudować spalone wioski (napad tatarski dotknął zresztą Małopolskę, Sandomierskie i Śląsk) i wykazać tem samem swą dużą tężyznę narodową, która nie pozwoliła ukorzyć się przed dziczą, jak uczynili to pobratymcy Rusini.

Toż samo przypisywanie nadmiernej wartości wpływom zewnętrznym można zauważyć w przedstawieniu roli, jaką w odbudowaniu dzielnicowej Polski przyznaje autor czeskim Przemyślidom. Niema kwestji, że rządy te zostawiły owocne następstwa (organizacja administracji), lecz jeśli chodzi o sam fakt zespolenia dzielnic, to w sądzie: „te rządy przekonały Polaków, że pomimo półtorawiekowego rozdziału, mogą przecież i to z wielkim dla siebie pożytkiem, tworzyć jedno polityczne ciało" (str. 159) nie docenia autor już wczesnej roli społeczeństwa polskiego w dziele zespalania rozbitej całości. A przecież nie w innym celu sięgał po koronę królewską Henryk Brodaty i syn jego Pobożny, nie do czego innego zmierzał Henryk IV, który plany swoje przekazał Przemysławowi, nie do czego innego dąży i samo społeczeństwo, którego zdrową myśl polityczną najlepiej reprezentuje szermierz zjednoczenia, arcybiskup gnieźnieński, Jakób Świnka. Zupełnie natomiast przemilcza autor wpływy zewnętrzne władców niemieckich i czeskich, którzy starali się od początków rozbicia nie dopuścić do zjednoczenia Polski pod berłem piastowskiego księcia.

---

[1]) W rozprawie *Narodowości w miastach dawnej Polski* (Samorząd Miejski t. V str. 889 - 891).

Ostry zarzut autora pod adresem Łokietka („wpadł na nierozsądną myśl"... str. 161; „...słabość, którą okazał"... str. 162) z powodu wezwania Krzyżackiej pomocy dla obrony Pomorza, wymagałby silniejszego uzasadnienia, gdyż ze znanych dotąd źródeł raczej wynika, iż Łokietek, gruntujący swą władzę w Małopolsce (spór z Muskatą), nie mógł myśleć o wyprawie na Pomorze, gdyż to byłoby niewątpliwie przyśpieszyło wybuch buntu w Krakowie. Nie doczekały się również zmiany przestarzałe poglądy na rolę Wincentego z Szamotuł w walce z Krzyżakami (str. 170), ani na treść aktu wyszehradzkiego z r. 1335 (str. 173) odnośnie do Śląska, o którym mówi, że Kazimierz zrzekł się go w Wyszehradzie na rzecz Luxemburgów. Niema też ani słowa o akcie krakowskim Kazimierza z r. 1339, w którym król polski zrzeka się praw zwierzchniczych do zhołdowanych przez monarchów czeskich księstw śląskich i księstwa płockiego.

Okres rządów andegaweńskich w Polsce przerabia autor na podstawie prac z lat ostatnich, lecz nawet w nowem oświetleniu nie znajdzie czytelnik odpowiedzi na pytanie dzięki czemu „w czasie jego (Ludwika Węgierskiego) rządów Polska, mimo walk wewnętrznych i waśni, wzmocniła się i dojrzała do podjęcia śmiertelnej walki z Zakonem Krzyżackim?" (str. 199). Zapewne jaśniej wystąpiłyby dodatnie strony rządów Ludwika, gdyby autor podniósł jego zasługi w ujednostajnieniu administracji (wprowadzeniu w całej Polsce urzędu starostów) a przedewszystkiem jego politykę faworyzowania miast, lecz o tem w podręczniku ni słowa. Z tego powodu czytelnik jest wręcz zaskoczony podanem wyżej twierdzeniem, do wysnucia którego wystarczyło autorowi tylko stwierdzenie, że Ludwik „zapewnił Polsce spokój (?) i rozwój na innych granicach (?) i pozwolił jej prowadzić dalej dzieło Kazimierza Wielkiego" (str. 199).

Panowanie trzech pierwszych Jagiellonów, przedstawione w końcowych rozdziałach I tomu, stanowi bodaj najcenniejszą część „Dziejów". Epoce tej tak ważnej dla rozwoju stosunków wewnętrznych, jak niemniej i polityki zewnętrznej, poświęca autor więcej miejsca i choć zmian tutaj stosunkowo wiele nie wprowadził, jednak dość jasno zarysował rozwój dziejowy narodu. Gruntowniej przerabia autor czasy Jagiełły i przewagi Oleśnickiego, przedstawiając w zupełnie nowem świetle sprawy husyckie oraz walkę z Świdrygiełłą. Uwypukla również rolę, jaką odegrał król w sporze o następstwo tronu w r. 1429—30. Nie zmienia natomiast poglądu na wartość unji dla Polski twierdząc: „Wezwanie na tron Jagiełły zbawiło więc Polskę od zagłady, grożącej jej ze strony Krzyżaków..." (str. 213). Przecież Polska już za Kazimierza Wielkiego nie lękała się zagłady (sam autor stwierdza to na str. 181), a cóż dopiero powiedzieć o czasach późniejszych, kiedy rozwój ekonomiczny państwa, tak świetnie zapoczątkowany przez Kazimierza Wielkiego w całej pełni zajaśniał w okresie rzą-

dów Ludwika, o czem autor sam mówi: „Wzmocniła się (Polska) i dojrzała do podjęcia śmiertelnej walki z zakonem krzyżackim" (str. 199). Bezsprzecznie unja z Litwą była dla Polski jedną z podstaw jej mocarstwowego stanowiska, lecz raczej o Litwie można powiedzieć, że została ocalona od zagłady i w ten sposób również na innem miejscu stawia problem sam autor, opisując krytyczną sytuację Jagiełły i Litwy przed przyjęciem chrześcijaństwa (str. 207).

Czasy Warneńczyka uzupełnia autor tylko wstępem z zakresu stosunków wewnętrznych (spór o dziesięciny), pomijając, podobnie jak i w czasach panowania Jagiełły, kwestję planów Oleśnickiego, zmierzających do rewindykacji Śląska. Porusza tę sprawę w opisie panowania Kazimierza Jagiellończyka, ograniczając się tylko do podania sukcesów polskich na Śląsku, a zarazem powodu, dlaczego kraina ta do Polski nie wróciła. (Polityka rodowa Jagiellonów). Zdając sobie sprawę z ważności coraz silniej zarysowującego się problemu wschodnio-południowego, który w dużej mierze zaciążył nad całą późnieiszą polityką królów polskich, dodaje autor w nowem wydaniu cały paragraf, poświęcony omówieniu stosunków, jakie układały się między narodami na południowo-wschodnich rubieżach Polski i w ten sposób przygotowuje niejako grunt do przejścia w okres następny, do opisu planów Olbrachta.

Zamyka autor tom I wiadomościami z zakresu geografji historycznej Polski i dołącza mapę z r. 1492. Niestety, ta nie odwiada warunkom, jakich się dziś od tego rodzaju pracy wymaga i to tak merytorycznie jak i w wykonaniu graficznem.

Uzupełnienia literatury, podane na ostatniej stronie tomu (str. 296), nie wyczerpują jeszcze zasadniczych publikacyj, które z wielkim pożytkiem mogłyby znaleźć w podręczniku miejsce. Wymienię przynajmniej kilka jak: Ptaśnik Jan *Miasta w Polsce* (*Wiedza Współczesna* t. II), Lwów 1922; tegoż autora *Kultura włoska wieków średnich w Polsce,* Warszawa 1922; Bogusławski W. *Dzieje Słowiańszczyzny północno-zachodniej do połowy XIII w.,* t. I—IV, Poznań 1887—1900; Wachowski K. *Słowiańszczyzna Zachodnia,* Warszawa 1902. Z monografij obejmujących specjalne problemy: Zakrzewski St. *Bolesław Szczodry,* próba portretu, Lwów 1911 (Księga pam. ku czci Uniw. Lwow.); Dąbrowski Jan *Polityka andegaweńska Kazimierza Wielkiego* (Kwart. hist. t. 36, r. 1922); Halecki Oskar. *O znaczeniu i genezie rządów andegaweńskich w Polsce* (Kwart. hist. t. 35, r. 1921); Mikrot W. *Walka w Polsce o stosunek kościoła do państwa od r. 1434 do 1440.* (*Przegl. Akad.* 1881).

Również wykaz błędów nie obejmuje jeszcze wszystkich, jakie się do dzieła zakradły. Str. 113 2. wiersz od dołu „1082" poprawić na „1182". Str. 136 w ustępie „Literatura" uzupełnić tytuł rozprawy A. Semkowicza *Kwart. hist.* t. V r. 1891.

Dr. Karol Piotrowicz.

II.

Z uczuciem niezwykłego zainteresowania bierze historyk do ręki IV wydanie *Dziejów Polski w zarysie* Michała Bobrzyńskiego. W przedmowie uprzedza autor, że w ciągu długich lat, poświęconych pracy publicznej, nie tracił z oka rozwoju nauki historycznej, przygotowując zaś nowe wydanie swego dzieła, uwzględnił w niem dokonane w tym czasie „liczne i znakomite badania". Zapowiedź ta nabiera szczególnej doniosłości w odniesieniu do tomu drugiego, obejmującego epokę nowożytną. Jednym z najbardziej znamiennych rysów dzieła Bobrzyńskiego jest krańcowa różnica w ocenie epoki średniowiecznej i nowożytnej. Wszystkie twórcze, dodatnie momenty naszych dziejów przenosi on w głąb średniowiecza; trzy ostatnie wieki istnienia Rzpltej są natomiast w jego oczach obrazem stopniowego rozkładu i nadchodzącego upadku, szeregiem ciężkich win i błędów; są, podług słynnych słów autora „gwałceniem tych wyższych praw, które Bóg narodom dla ich życia i rozwoju przepisał".

Otóż, od chwili ukazania się III wydania *Dziejów* (1887), świetny rozwój naszych badań historycznych nietylko wydobył mnóstwo nieznanych faktów, nietylko wyświetlił szereg zagadnień, ale — co ważniejsze — stworzył nowe metody i punkty widzenia, oraz ustalił pewne prawdy ogólne, miarodajne przy ocenie nowożytnych dziejów Polski, zwłaszcza zaś dominującego problemu upadku państwa. Nie wdając się w szczegółowe przedstawienie rozwoju naszej myśli historycznej w ciągu ostatnich dziesięcioleci, uważam za niezbędne ustalenie głównych wyników, które należy mieć przed oczyma przy rozpatrywaniu nowego wydania książki Bobrzyńskiego. Można je ująć, mojem zdaniem, w cztery zasadnicze punkty: 1^0 Ustrój państwowy dawnej Rzpltej, jej strukturę społeczną, zjawiska kulturalne, siły umysłowe i moralne, a nawet przełomowe momenty w jej dziejach (np. rokosz Zebrzydowskiego) należy rozpatrywać nie w oderwaniu, ale na tle porównawczem ówczesnej Europy, i w tem świetle oceniać wartość i zdatność życiową stosunków i urządzeń dawnej Polski. 2^0 Upadek państwa polskiego niepodobna traktować jako zjawisko wyjątkowe, świadczące o specyficznej niezdolności Rzpltej do samodzielnej egzystencji, ale jako typowy objaw epoki, wywołany zasadniczemi przesunięciami w układzie sił mocarstwowych, oraz ogólnemi tendencjami i atmosferą polityczną XVIII stulecia. 3^0 Dawniejsi badacze przyznawali wprawdzie, że społeczeństwo polskie w przededniu rozbiorów usiłowało dźwignąć się z upadku, atoli przedstawienie tych usiłowań, w braku dostatecznego materjału faktycznego, wypadało skąpo i ułamkowo; cały wysiłek ogniskowano zazwyczaj około kilku wielkich dat (Konarski, Komisja Edukacyjna, Ustawa 3 maja), które traktowano jako zjawiska poniekąd odosobnione na tle ogólnego rozkładu. Nowsze ba-

dania stwierdziły, że ruch reformatorski sięgnął dużo głębiej w przeszłość, że zataczał szersze kręgi, że pozytywne wyniki pracy bardziej były wydatne, zatem możliwość ratunku nierównie znaczniejsza, aniżeli to dawniej przypuszczano. Wreszcie 4⁰ dawniejsi badacze nie byli w stanie ocenić w całej rozciągłości roli, jaką w upadku państwa odegrały mocarstwa postronne. Trzeba było na to szczegółowych studjów archiwalnych, wydobycia całego mnóstwa nieznanych materjałów źródłowych, by móc stwierdzić, że najzbawienniejsze nieraz zamysły reformatorskie załamały się nie z winy społeczeństwa, lecz pod naciskiem czynników postronnych; że obca opieka i ingerencja stanowiły czynnik pierwszorzędnego wprost znaczenia; że „historja nie zna przykładu, aby na którykolwiek naród skierowały państwa europejskie tyle świadomej, celowej, zgodnej roboty trucicielskiej ile jej włożono w zabijanie Rzplitej" [1]). Jeżeli więc z jakiegokolwiek względu, to przedewszystkiem z tego rozpatrywać można upadek Polski jako zjawisko wyjątkowe.

Zadaniem niniejszej oceny będzie zatem rozpatrzenie, o ile uwzględnił autor w IV wydaniu swej pracy nowe metody i kryterja, obowiązujące dziś każdego badacza bez względu na jego stanowisko osobiste; o ile zmodyfikował pod ich wpływem swój pogląd na rozwój nowożytnej Polski; w jakiej wreszcie mierze skorzystał z wyników badań monograficznych?

Wierny swej zapowiedzi doprowadzenia książki do dzisiejszego stanu nauki, uzupełnił autor wykazy bibljograficzne dziełami, opublikowanemi po r. 1926. Praca ta, naogół dokładna, wymaga gdzie niegdzie sprostowań i uzupełnień. Tak dziwnie ubogo wypadła literatura, poświęcona dziejom reformacji: ani słowa o pracach Brücknera, Wierzbowskiego, ks. Warmińskiego, Merczynga, o szeregu studjów, ogłoszonych w czasopiśmie *Reformacja w Polsce*. Zdanie autora, że „do panowania Jana III, oprócz wymienionego dzieła Korzona, mamy szereg rozpraw drobniejszych, odnoszących się głównie do spraw wojennych", wymaga podwójnego sprostowania: dzieło Korzona nie dotyczy wogóle panowania Jana III, któremu poświęcono natomiast, obok rozprawek z historji militarnej, obszerną pracę z dziedziny historji politycznej (Konarski, *Polska przed odsieczą wiedeńską*). Wyliczając dotyczące XVIII w. prace Smoleńskiego, pomija autor najważniejszą (*Przewrót umysłowy w Polsce 18 w.*) W literaturze do Sejmu Czteroletniego znalazło się miejsce na rzecz Skałkowskiego: *Polska od Sejmu W. do trzeciego rozbioru,* będącą poprostu wiązanką tekstów do użytku szkół średnich, przemilcza Bobrzyński natomiast podstawowe dzieła Askenazego, Dembińskiego i Lorda, przez co czytelnik odnosi mimowoli wrażenie, że ostatnie słowo w tej

[1]) Konopczyński, *Pierwszy rozbiór*, w dziele *Przyczyny upadku Polski* 1918, str. 217.

sprawie ma w dalszym ciągu ks. Kalinka. Trudno wreszcie nie zwrócić uwagi na fakt, że autor nie uwzględnia zupełnie literatury obcej, niezbędnej dla znajomości nowożytnej historji polskiej.

Nie poprzestając na zestawieniu prac opatrzył Bobrzyński niektóre z nich zwięzłą charakterystyką: tak słyszymy, że t. II *Historji politycznej Polski* w wyd. Akad. Umiej. słabszy jest od pierwszego, że jeden z historyków podjął się wyświetlenia zbyt trudnego tematu, inny zaś, zamiast historji, daje mowę pogrzebową. Podobne kwalifikowanie poważnych dzieł bez przytoczenia jakichkolwiek argumentów, musi, rzecz jasna, wywołać stanowcze zastrzeżenie, jako krańcowo sprzeczne z duchem krytyki naukowej.

Drugą nowością, która uderza w IV wydaniu książki Bobrzyńskiego, jest zupełna zmiana nagłówków poszczególnych rozdziałów. Poprzednio zawierały one sformułowaną w niezwykle dobitny, wręcz druzgocący sposób ocenę danego okresu: obecnie ujmują one w nierównie łagodniejszej formie zasadniczą jego treść. Tak rozdział II, pierwotnie zatytułowany: „Słaba i krótkowidząca polityka Zygmunta I gubi posłannictwo dziejowe narodu i wytwarza anarchję", obecnie przybrał łagodniejsze miano: „Pokój za każdą cenę". Rozdział IV zamiast: „Zygmunt III marnuje owoce wielkiej pracy Stefana Batorego", nazywa się krótko „O monarchję". Rozdział V: „Błędna polityka zewnętrzna doprowadza Polskę do utraty politycznego znaczenia w Europie", nazwano obecnie: „Wojna na trzy fronty". Zasadniczo jest to oczywista zmiana korzystna; należy jednak zauważyć, że niezawsze poszczególne nagłówki ujmują trafnie treść danego okresu. Tak rozdział VI, obejmujący epokę od najazdu Karola Gustawa do Sejmu Niemego, został zatytułowany: „Próby dźwignięcia się z upadku"; tymczasem, pomijając krótki okres „walki o naprawę Rzplitej" za Jana Kazimierza, w żadnej dobie naszych dziejów nowożytnych niema właśnie tak mało prób dźwignięcia się z upadku, tak mało myśli i poczynań reformatorskich. Rozdział VII, obejmujący lata 1720—1773, nosi nagłówek „Przewaga Rosji kończy się pierwszym rozbiorem"; na pierwszy plan wysunięto zatem to, co stanowi istotę okresu wielkiej wojny północnej, gdy tymczasem dominującem zjawiskiem epoki pomiędzy traktatem poczdamskim a konwencją petersburską jest nie jednostronna supremacja rosyjska, a powstanie i utrwalenie się skierowanego przeciw Polsce związku pomiędzy Prusami a Rosją, czynnikiem zaś równorzędnym z przewagą Rosji — niszczycielska polityka pruska, osiągająca swój punkt szczytowy w działalności Fryderyka W. Tu nasuwa się jednakowoż pytanie zasadnicze: czy zmiana tytułów oznacza również zmianę w zapatrywaniach autora? Odpowiedź da szczegółowe porównanie obecnej edycji dzieła z wydaniem poprzedniem.

Dobrze znane autorowi czasy Olbrachta i Aleksandra przeszły do nowego wydania niemal bez zmiany. Bobrzyński podnosi

wprawdzie rezultaty badań Finkla, atoli zupełnie ich nie uwzględnia, podobnie jak cennego opracowania Papée'go, które określa niesłusznie jako zużytkowanie badań poprzedników: w roztrząsane ostatnio problemy polityki dynastycznej Jagiellonów (zjazd w Lewoczy, odrębna elekcja Zygmunta I na w. ks. litewskiego) głębiej nie wnika. W obrazie panowania Zygmunta Starego wycieniował autor politykę wschodnią Polski, szczegółowiej przedstawił działalność Bony, wzrost malkontentyzmu i wojnę kokoszą. Przybył nowy ustęp, odtwarzający wrażenie i następstwa hołdu pruskiego, oraz drugi, poświęcony rozkwitowi gospodarczemu miast w pierwszej połowie XVI w. Przy omawianiu próby reform skarbowo-wojskowych w pierwszym okresie rządów Zygmunta, modyfikuje autor nieco dawniejsze wywody; gdy uprzednio stał na stanowisku, że sprawcami upadku reform byli magnaci, podczas gdy szlachta spełniła obowiązek wobec państwa, obecnie, uwzględniając wyniki badań Konopczyńskiego, stwierdza, że sprawę pogrzebał opór sejmików, w dalszym jednak ciągu podtrzymuje wniosek, że odpowiedzialność ponoszą magnaci, którzy przykładem swym pociągnęli rzesze szlacheckie. Istotna zmiana poglądów ujawnia się natomiast w kwestji zwycięstwa szlachty nad innemi warstwami społecznemi. Poprzednio pisał autor, że „z miastami poszła rzecz łatwiej", natomiast „trudniej... przyszło szlachcie pognębić lud wiejski". Teraz słyszymy wręcz przeciwnie, że pognębienie włościaństwa okazało się rzeczą łatwiejszą. Ponieważ związane z tą sprawą wywody pozostały bez zmiany, niełatwo przeto zrozumieć przyczynę tej różnicy sądu.

W porównaniu z epoką Zygmunta I czasy jego następcy wykazują nierównie mniej zmian. Rozkwit badań nad reformacją i unją, głównemi zagadnieniami doby ostatniego z Jagiellonów, ani jednym głębszym refleksem nie odbił się na kartach *Dziejów Polski w zarysie*. Gdzie niegdzie drobna, małoznacząca zmiana, jak rozszerzenie ustępu o egzekucji dóbr, lub wtrącenie wzmianki o petycji rycerstwa litewskiego z pod Witebska w 1562 r. Przy opisie pierwszego bezkrólewia uzupełnia autor obraz zabiegów kandydackich o tron polski; przy panowaniu Batorego streszcza wyniki nowszych badań nad Kozaczyzną oraz wyraża przypuszczenie, że w razie dłuższego życia Stefana doszłoby zapewne do rokoszu, którego stłumienie rzuciłoby podwaliny pod budowę silnego rządu.

Najgruntowniej potraktował autor czasy Zygmunta III. Zmienionym został porządek ustępów w kierunku zapewnienia przewagi układowi chronologicznemu, co uwydatnia korzystnie rozwój i wzajemne powiązanie wydarzeń; skróceno przydługie ustępy o polityce habsbursko-katolickiej Zygmunta III, dodano natomiast szereg szczegółów, zaczerpniętych przeważnie z badań W. Sobieskiego (zabiegi Dymitra o tron polski, sprawa „obwarowania" konfederacji warszawskiej, małżeństwa austrjackiego, roli Skargi

w rokoszu Zebrzydowskiego). Zasadniczej ewolucji uległ pogląd autora na politykę Zygmunta III wobec Moskwy: poprzednio potępiał go bezwzględnie za zaprzepaszczenie możliwości unji, obecnie znajduje dlań słowa usprawiedliwienia, tłumacząc, że plan Żółkiewskiego nie rokował szans powodzenia, aczkolwiek zmuszony jest równocześnie wyznać, że król kusił się o zrealizowanie jeszcze bardziej fantastycznego przedsięwzięcia podboju Moskwy i nawrócenia jej na katolicyzm.

Przy Władysławie IV nowym jest ustęp, dotyczący zatargu z Gdańskiem o cło morskie. Czasy Jana Kazimierza, Michała i Jana III pozostały bez zmiany. Do epoki saskiej dodano dwa krótkie ustępy o próbach „polityki emancypacyjnej" oraz planach rozbiorczo-sukcesyjnych Augusta II. Panowanie Stanisława Augusta zyskało rozwinięcie pewnych momentów: dopiero u schyłku daje autor nowe, obszerniejsze przedstawienie ostatniego roku Sejmu W., drugiego rozbioru i insurekcji.

Przytoczone zestawienie wykazuje, że obecna edycja dzieła jest nieznacznie zmienionem wydaniem z r. 1887. To samo ujęcie całości, ta sama konstrukcja poszczególnych rozdziałów i ustępów, te same zasadnicze poglądy na ludzi i wydarzenia, ten sam sąd o całości dziejów nowożytnych, wyrażający się w przedrukowaniu bez zmiany końcowych „Uwag". Autor nie uwzględnia przyjętej powszechnie przez młodsze pokolenie historyków metody porównawczej, nie rozpatruje dziejów Polski w związku z ogólną ewolucją systemu europejskiego, co dziwniejsza, lekceważy wyniki czysto erudycyjne; dokonane przezeń uzupełnienia stanowią znikomą cząstkę dorobku naukowego ostatnich dziesięcioleci. Wykazanie wszystkich zmian, jakie należałoby wprowadzić do książki Bobrzyńskiego, by reprezentowała ona dzisiejszy stopień nauki historycznej, byłoby w wielu względach równoznacznem z napisaniem na nowo dziejów nowożytnej Polski. Ograniczę się do wykazania, odnośnie do znanego mi bliżej okresu od połowy w. XVII, że autor nietylko nie zużytkował rezultatów nowszych badań, ale zaniedbał sprostowania szeregu błędów faktycznych. Słyszymy zatem, że Karol Gustaw zainaugurował wobec Polski nowy kierunek polityki zaborczo-ujarzmiającej rzekomo w przeciwieństwie do „szlachetnego i głębiej politycznie myślącego Gustawa Adolfa" (str. 180): tymczasem wiadomo, że polityka Gustawa Adolfa wykazuje zupełnie analogiczne rysy (dążenie do bezwzględnego wyparcia Polski z nad Bałtyku, podburzanie sąsiadów, szukanie związków z malkontentami wewnętrznymi). Słyszymy następnie, że stronnictwo austrjackie za Jana III powstało jedynie dzięki jego chwiejności i potrzebowało sześciu lat, by się utworzyć (str. 205): naprawdę było ono zorganizowane już w chwili elekcji i knowaniami swemi niemało przyczyniło się do udaremnienia planów Sobieskiego. Twierdzi autor, że za tego panowania istniało stronnictwo francuskie, zmierzające do zreformowania

państwa, i że zamysły te doznawały poparcia z Wersalu; w rzeczywistości grupa magnatów, pozostających na żołdzie francuskim, nie miała żadnego programu reform, zaś Ludwik XIV okazywał się wobec tej sprawy obojętnym, jeżeli nie niechętnym. *Rozmowa plebana z ziemianinem* Łukasza Opalińskiego figuruję w dalszym ciągu jako dzieło Starowolskiego (str. 757); ogłoszone w r. 1683 *Rozmowy Artaxesa i Ewandra* St. Her. Lubomirskiego podane są jako wytwór epoki saskiej pod r. 1709 (str. 226). Dwukrotnie podał autor mylną datę śmierci Karola XII (1717 zam. 1718), podobnie jak zaniedbał poprzednio sprostowania daty rozejmu altmarckiego (1627 zam. 1629). Konarski jest w dalszym ciągu, narówni z Załuskimi, wychowankiem szkoły lunewilskiej Leszczyńskiego, której przypisano wogóle nader ważny wpływ na odrodzenie narodu (str. 237), aczkolwiek legendę tę rozwiał w ostatniej swej pracy Boyé. Czartoryscy mieli planować w r. 1752 arcydoniosły zamach konfederacki, udaremniony przez Brogliego i Brühla (str. 239), aczkolwiek istnieje specjalna monografja, wyświetlająca to zagadnienie w zupełnie odmiennym sensie. Katarzyna wstrzymała pomoc dla „Familji" w r. 1763 jakoby na skutek perswazji Fryderyka II (str. 240) — teza dawno obalona przez Askenazego. Ustanowione przez Czartoryskich w czasie pierwszego bezkrólewia komisje „nie mogły rozwinąć energji rządów biurokratycznych" wskutek ustroju kollegjalnego (str. 343), jakgdyby kollegjalizm nie był wówczas panującą normą w państwach najbardziej biurokratycznych i absolutnych, co autor—historyk prawa—mógł stwierdzić na podstawie obszernego dzieła, poświęconego genezie Rady nieustającej. Konfederacja dyzunicka w 1767 r. zawiązana została w Łucku (zam. Słucku); marszałek kor. Stanisław Lubomirski zaliczony do generacji, która wystąpiła na widownię po pierwszym rozbiorze (str. 259), gdy najintensywniejsza jego działalność przypada na okres konfederacji barskiej; ministerstwo Pitta rzekomo upadło w r. 1792, gdy w rzeczywistości przetrwało ono do r. 1801 (str. 277).

Co ważniejsze, autor pozostawił bez zmiany szereg poglądów i charakterystyk o znaczeniu wprost decydującem dla całego XVIII w., przez to zaś dla upadku Rzpltej. Wiadomo dziś na podstawie szeregu nowszych prac, że panowanie Augusta III było epoką twórczą, w której skrystalizowały się zasadnicze pomysły reform stanisławowskich, w których toczyła się w całej pełni walka o naprawę Rzpltej, w której wystąpił na widownię szereg działaczy pierwszorzędnej miary. Pogląd Bobrzyńskiego na charakter epoki, na sejmy i poczynania reformatorskie, na Czartoryskich, Załuskich, Konarskiego, utrzymany jest na poziomie publikacji Roepella z przed lat pięćdziesięciu. Podobne stanowisko zajmuje autor wobec odrodzenia ery stanisławowskiej. Badacz tak bezstronny a kompetentny, jak Fr. Bujak, którego odczyt o siłach gospodarczych dawnej Polski spotkał się z dodatnią oceną

Bobrzyńskiego, stwierdza, że „praca ta wykazuje wspaniałe momenty. Siły gospodarcze rosną zdumiewająco szybko. Odrodzenie jest wszechstronne i całkowite, moment bezwładności tak politycznej jak i gospodarczej został przezwyciężony". Bobrzyński powtarza dawny swój sąd, że postęp był „nieskończenie mały", „że był on dziełem drobnej garstki ludzi", że „pierwszy rozbiór... ani pod względem moralnym, ani pod względem politycznym nie wstrząsnął silnie narodem". W sprawie „ofiary dziesiątego grosza" pomija autor zupełnie rzeczowe wywody Korzona, podtrzymując w całej pełni tezę Kalinki, że wyłączną przyczyną niepowodzenia była prywata i krzywoprzysięstwo szlachty. Jeżeli wreszcie chodzi o politykę zagraniczną Sejmu W. i przymierze polsko-pruskie, które w ostatnich czasach doczekało się daleko sięgającej rewizji, ani na chwilę nie usiłuje Bobrzyński wyzwolić się z zaklętego kręgu sugestji autora *Ostatnich lat panowania St. Augusta.*

Z drugiej zaś strony napróżno szukać w nowem wydaniu książki Bobrzyńskiego chociażby drobnej cząstki tego, co nowsza historjografja powiedziała o próbach dźwignięcia się z upadku, udaremnionych dzięki intrygom i przemocy państw postronnych. Dość wskazać, że ani słowem nie wspomniano o istnieniu szeregu traktatów, w których Prusy i Rosja brały w opiekę wolnościowy ustrój polski i przyrzekały przeciwstawić się próbom reform; że przemilczano tak znamienne momenty, jak sejm grodzieński 1744 r., w którego trakcie dyplomaci pruscy stwierdzali z rozpaczą, że nie są w stanie przeciwstawić się dążeniu całego narodu do aukcji wojska i skarbu; jak denuncjowanie zamysłów reformatorskich dworu polskiego przez Marję Teresę w Petersburgu, jak groźba wojny, którą Repnin i Benoît wstrzymali w r. 1766 projektowane ograniczenie „wolnego nie pozwalam". Wreszcie rzecz zasadnicza. Wiadomo dziś niezbicie na podstawie szczegółowych studjów archiwalnych, że pierwszy rozbiór spadł na Polskę nie dlatego, że pozostawała w nierządzie, lecz że z nierządu postanowiła się dźwignąć wbrew wysiłkom Katarzyny. Wiadomo, że drugi rozbiór był odpowiedzią na ustawę rządową 3 maja, trzeci zaś bezpośredniem następstwem insurekcji. Obowiązkiem uczonego, bez względu na ostateczny jego sąd o upadku Polski, było stwierdzenie tego zjawiska, że państwa ościenne, w szczególności Rosja, respektowały całość Rzpltej, jak długo trwała ona w marazmie, z chwilą natomiast, gdy przebudziła się do niepodległości i reform, ukarały ją rozbiorem. Bobrzyński powtarza bez najmniejszej zmiany dawniejszy swój wyrok, że „nie sąsiedzi, tylko nieład wewnętrzny przyprawił nas o utratę politycznego bytu". Fakty te dostatecznie są wymowne, by ocenić wartość konstrukcji Bobrzyńskiego. Co więcej: jeżeli można było spierać się dawniej na temat tendencyjności i pesymizmu jego dzieła, zważywszy ówczesny stan wiadomości o XVIII w., to powtarzanie identycznych

sądów dzisiaj, jest wyrazem najbardziej skrajnego aprioryzmu i najbardziej jaskrawego pesymizmu, na jaki mogła się zdobyć historjografja polska.

Autor sięgnął jednakowoż dalej i postanowił wykazać, że jego poglądy są odzwierciedleniem zapatrywań, powszechnie przyjętych w nauce. Kreśląc w dodanych w zakończeniu dzieła „Uwagach nowych" rozwój najnowszej naszej historjografji, stawia śmiałe twierdzenie, że od chwili wystąpienia „szkoły krakowskiej" zapanował w nauce niepodzielny pogląd, że „zgubił nas nierząd wewnętrzny, i że wina upadku leży w nas samych". Na odmienne traktowanie rzeczy ważyli się jedynie „goniący za tanią popularnością" publicyści. Próbę rewizji poglądów przyniosła dopiero wojna światowa. Istnienie optymistycznej „szkoły warszawskiej" jest złudzeniem. „Redagując to nowe wydanie *Dziejów Polski*" — pisze autor — „studjowałem uważnie prace historyczne, jakie w ostatnich pięćdziesięciu latach się ukazały, z zamiarem, ażeby z nich wyłowić owe optymistyczne, korzystne sądy o ludziach i wypadkach, które oceniałem surowo, i — sądów takich optymistycznych nie znalazłem". Na poparcie tej tezy — szereg przykładów. Pesymistą jest zatem Kubala, ponieważ wydał ujemny sąd o Marji Ludwice, a w szkicu o *Zaprzepaszczonej krainie* wydobył „najczarniejszą kartę naszej historji"; pesymistą Smoleński, jako autor *Ostatniego roku Sejmu Wielkiego*; Korzon, „obniżając charakter Sobieskiego i Stefana Czarnieckiego, przesadnym pesymizmem aż gorszy"; Askenazy charakterystyką Leszczyńskiego i przedstawianiem dyplomacji Sejmu Czteroletniego „nie pokrzepia naszego serca". Mimo głębokiego szacunku wobec autorytetu naukowego prof. Bobrzyńskiego muszę stwierdzić, że trudno o bardziej dowolne operowanie faktami i nazwiskami. Bobrzyński wyrywa z rozległego dorobku danego historyka jedno dzieło, lub nawet jeden drugorzędny szczegół, interpretuje go w sposób, budzący nieraz głębokie wątpliwości, i na tej podstawie formułuje sąd o stanowisku autora w naszej historjografji. Jeżeli Kubala ogłoszony został pesymistą dlatego, że przedstawił srogą wyprawę hetmanów polskich na zbuntowaną czerń w r. 1654, to należy przypomnieć, że na miano pesymisty zasługuje nie ten historyk, który, przedstawiając całokształt epoki, odtwarza również zjawiska ujemne, lecz taki, który dokonuje sztucznego doboru z tendencją zapewnienia przewagi stronom ciemnym, względnie, który zjawiska, uznane za dodatnie, przedstawia w świetle negatywnem. Praca Smoleńskiego jest — mojem zdaniem — udokumentowanem świadectwem, że konstytucja 3 maja została zaaprobowana przez większość społeczeństwa szlacheckiego, zaś Sejm W. spędził ostatni rok na pożytecznej pracy nad rozbudową rozpoczętego dzieła. Korzon był historykiem nietylko *Doli i niedoli Jana Sobieskiego*, lecz przedewszystkiem *Wewnętrznych dziejów Polski za St. Augusta*: jakie jest znaczenie tej pomnikowej pracy, jakie

konkluzje, wypowiedziane w wspaniałem *Zamknięciu* — zbyteczne przypominać. Askenazy wreszcie jest tym historykiem, który, narówni z „goniącymi za tanią popularnością" publicystami, zarazem zaś narówni z Albertem Sorelem i Alfredem Rambaud wypowiedział pogląd, że wewnętrzny rozstrój Polski był przy rozbiorach „doniosłym spółczynnikiem pochodnym", właściwa zaś przyczyna leżała w ówczesnych stosunkach europejskich; który w odniesieniu do epoki saskiej wyraził nawskroś optymistyczny sąd, że ogół narodu uznawał potrzebę i pragnął reform skarbowo-wojskowych; który stwierdził, że społeczeństwo polskie w XVIII w. nie było gorsze, aniżeli reszta ówczesnej Europy. To wszystko równoważy chyba ujemny sąd o osobistości Leszczyńskiego. Jeżeli zaś chodzi o pogląd Askenazego na dyplomatów Sejmu W., który rzekomo „nie pokrzepia naszego serca", wystarczy rzucić okiem na *motto Przymierza polsko-pruskiego*: „A lubo, co do skutku, na jedno wypada, czyli zdrada pochodzi z wczesnego podstępu, czyli ze zmienności, jest wszelako różnica między tymi, którzy uwodzić się dają obrotem złej wiary, a tymi, którzy zawód cierpią z niestałości, bądź osób, bądź rzeczy na świecie. Pierwszych o własną nieroztropność, drugich za los przeciwny, lub za cudze chyba przestępstwa winować można".

Innym przykładem metody krytyczno-polemicznej autora, który wywołać musi zdziwienie, jest ustęp, poświęcony odczytowi Konopczyńskiego p. t. *O wartość naszej spuścizny dziejowej*. Konopczyński, przemawiając w momencie, kiedy prąd apologetyczny, występujący najsilniej w pracach nie-historyków Art. Górskiego i Chołoniewskiego osiągnął punkt szczytowy, charakteryzuje go z aż nazbyt wyraźną ironją: „Optymizm przysięgłych obrońców imienia polskiego przesiąka w szerokie koła, spływa z piór dziennikarskich na szpalty gazet i triumfalnie otrębuje swe zwycięstwo nad ciężką zmorą — „szkołą krakowską". Słychać, że w wielkim boju uczonych poglądy publicysty Buszczyńskiego zatriumfowały". Bobrzyński wysnuwa z tych słów nieoczekiwany wniosek, że Konopczyński ujrzał w broszurze Chołoniewskiego „zwycięstwo nad ciężką zmorą — szkołą krakowską". Że prelegent w odczycie swym przestrzega przed odrzuceniem dorobku badawczego historyków krakowskich, że w szczególności oświadcza się za wszystkiemi zasadniczemi twierdzeniami Szujskiego „największego naszego dziejopisa po śmierci Lelewela", że poddaje rzeczowej krytyce kierunek apologetyczny, że sprowadza znaczenie *Ducha dziejów Polski* do właściwych rozmiarów — nie przeszkadza to krytykowi zaliczyć go do rzędu tych pisarzy, którzy oświadczyli się za „trującym haszyszem Chołoniewskiego". Rzecz jasna, że przy podobnej metodzie cytowania i interpretowania poglądów, sprawa optymizmu i pesymizmu w naszej historjografji pozostanie wciąż daleką od wyklarowania.

Obroniwszy w ten sposób stanowisko „szkoły krakowskiej",

przechodzi autor do skreślenia poglądu na epokę porozbiorową i wskrzeszenie państwa polskiego, by z tej perspektywy ocenić dzisiejsze zadania nauki historycznej. Sama myśl uzupełnienia dzieła podobnem zakończeniem jest bezwątpienia szczęśliwa, atoli sposób wykonania budzić musi poważne zastrzeżenia. Czy przy dzisiejszym stanie wiedzy, kiedy historja porozbiorowa stanowi odrębny przedmiot umiejętnych badań, dokonywanych z całym aparatem metody naukowej, kiedy historji wojny światowej poświęca się tysiące wydawnictw źródłowych i studjów krytycznych, było rzeczą właściwą ujmować tak rozległy, skomplikowany a niedość jeszcze wyświetlony przedmiot na czterech stronicach? Mogło się to dokonać jedynie kosztem radykalnego uproszczenia zarówno tematu, jak poglądów — i tak jest istotnie. Gdy dzisiejsza nauka stara się wyjaśnić genezę naszych ruchów powstańczych, wytłumaczyć ich rację, a poniekąd konieczność, nadewszystko zaś podkreśla ich wielkie znaczenie dla polityczno-moralnej świadomości narodu — czyż nie muszą razić swą jednostronną tendencją podobne lakoniczne określenia: „Ruchawki z 1846 i 1848 r. pogłębiły represję we wszystkich dzielnicach, powstanie z r. 1863 utrąciło reformy Wielopolskiego, ale stało się źródłem politycznego doświadczenia, z którego wyrosła cała następna organiczna praca".

W wyższym jeszcze stopniu występuje ten rys przy omawianiu genezy wskrzeszenia państwa polskiego. Fakt ten, zdaniem Bobrzyńskiego — był naturalnym następstwem pracy gospodarczej i rozwoju kulturalnego w epoce porozbiorowej, które nakazały szacunek nawet największym wrogom. Stąd wyniknął manifest wielkoksiążęcy, stąd orędzie listopadowe, „a koalicja zwycięska nie mogła (*sic*) już uczynić mniej, jak ogłosić nasze zjednoczenie i niepodległość". Niepodległość Polski była zatem zgóry poniekąd uwarunkowana i przesądzona sukcesami „pracy organicznej", wysiłek zaś polityczny i militarny, podjęty w czasie wojny przez społeczeństwo polskie po obu stronach walczących frontów miał jedynie znaczenie „krwawej manifestacji", z którą historykowi wolno załatwić się mimochodem... w przypisku. Bardziej jednakowoż, aniżeli ten skrajnie pasywistyczny pogląd, uderzać musi sposób przedstawienia tych poczynań pokojowych, na których karb składa autor odzyskanie niepodległości. Wspomina więc o g ó l n i k o w o o rozpowszechnianiu się oświaty i poczucia narodowego wśród szerokich warstw ludowych, o tworzeniu związków gospodarczych i kulturalnych, o udziale Polaków w ruchu naukowym i literackim, by następnie całą zasługę k o n k r e t n ą skupić koło dzielnicy galicyjskiej. Tam naród okazał „niespodziewanie wielką zdolność rządzenia się", tam tworzono „wyższego rzędu związki samorządne i polityczne" z myślą dostarczenia przyszłemu państwu polskiemu „polityków, urzędników, sędziów i nauczycieli", stamtąd wreszcie wyszli mężowie stanu, którzy

„jako ministrowie skarbu, oświaty, a nawet spraw zagranicznych wielkiej monarchji, dawali naszej rządzenia zdolności głośne świadectwo. Najwięksi wrogowie" — konkluduje autor — „nauczyli się nas szanować i z nami się liczyć". Podobny tok rozumowania i dobór faktów przejmuje nieuprzedzonego czytelnika zdumieniem. Czyż w historji ostatnich lat pięćdziesięciu nie było istotnie zjawisk, które w wyższym stopniu uderzyć mogły uwagę historyka i polityka? Wspaniały opór zaboru pruskiego przeciw największej potędze świata, który nawet z ust wrogów wywołał słowa podziwu dla polskiej zdolności organizowania i rządzenia się, zwycięski pochód polskości w dzielnicach zgermanizowanych, który umożliwił dzisiejszą ich rewindykację, walka o polskość na kresach wschodnich, podziemna praca oświatowa i walka o szkołę polską w zaborze rosyjskim, wreszcie odżycie haseł niepodległościowych i powstanie organizacyj wojskowych w przededniu wojny światowej — czyż to wszystko nie świadczy stokroć dobitniej o żywotności i aspiracjach narodu, nie pozostaje w bardziej bezpośrednim związku z odzyskaniem niepodległości i z większą racją nie powinno się znaleźć na kartach dzieła polskiego historyka, aniżeli fakt dostarczenia monarchji habsburskiej kilkunastu ministrów oświaty i skarbu, a nawet (!) jednego ministra spraw zagranicznych?

Pozostaje omówienie wywodów końcowych, poświęconych Polsce niepodległej: uważam jednak, że są one zbyt przesiąknięte subjektywnemi zapatrywaniami politycznemi, by mogły stanowić w tej chwili przedmiot krytyki historycznej.

Powyższe wywody pragnę zamknąć paru uwagami natury zasadniczej. Ocena omawianego dzieła nie była zadaniem łatwem dla młodego historyka, którego skromne poczynania naukowe nie pozostają w żadnym stosunku do ogromu niespożytych zasług znakomitego autora. Przystępując do pracy z należnym szacunkiem, zarazem jednak z pełnym krytycyzmem, zmuszony byłem postawić szereg zarzutów merytorycznych. Co więcej, pozwolę sobie wyrazić przekonanie, że podręcznik historji polskiej, przeznaczony w pierwszym rzędzie dla szerokich warstw czytelniczych, zwłaszcza dla młodzieży, który kosztem odrzucenia całego dorobku badawczego ostatniego pokolenia przedstawia sprawę upadku Rzplitej z nieuzasadnionym pesymizmem, jest, mimo uznanych oddawna walorów społeczno-wychowawczych, zjawiskiem w pewnej mierze ujemnem. Tem mocniej muszę jednak podkreślić, że moje uwagi krytyczne odnoszą się wyłącznie do sposobu opracowania IV wydania, nie dotyczą zaś w najmniejszej mierze samego dzieła. Jak historyk epoki jagiellońskiej nie będzie doszukiwał się błędów na mistrzowskich kartach Szajnochy, jak badacz Sejmu Czteroletniego powinien zaniechać polemiki z arcydziełem ks. Kalinki, tak *Dzieje Polski w zarysie* Michała Bobrzyńskiego nie mogą dziś stanowić przedmiotu krytyki, jako jedno z klasycznych dzieł naszej histo-

rjografji. Czas niewątpliwie utrwali to wyjątkowe jego stanowisko. Zamilkną związane z książką pogłosy aktualne, ustaną spory na temat przesadnego pesymizmu, szkodliwości czy pożytku wyrażonych tam poglądów; zostanie dzieło pomnikowe, owoc rozległej wiedzy, potężnego talentu, głębokiej troski patrjotycznej, zarazem zaś jeden z najznamienniejszych dokumentów naszej myśli historyczno-wychowawczej. Dlatego uważam, że wydawcy uczyniliby nieskończenie stosowniej, oddając dziś w ręce publiczności dawno wyczerpane, niepospolite dzieło niepospolitego uczonego i męża stanu w dawnej, niezmienionej postaci, aniżeli uzupełnione w sposób, nie odpowiadający dzisiejszym wymogom wiedzy historycznej.

Dr Józef Feldman.

Przegląd piśmiennictwa.

F. H. Schüth S. J: Mediatrix. Innsbruck, 1925, str. 354.

Tytuł rozprawy może w błąd wprowadzić, przedmiotem jej bowiem nie jest w pierwszym rzędzie Wszechpośrednictwo NMP., lecz raczej jej współudział w dziele Odkupienia. Okazją pojawienia się książki była rozprawa dogmatysty Bartmanna pt. „Christus ein Gegner des Marienkultes?", w której sprowadza stanowisko NMP. w dziedzinie zbawczej do roli macierzyństwa Bożego, pojętego jednostronnie, w znaczeniu fizycznem („rodzonej matki") oraz do Jej potężnego Orędownictwa, wynikającego z Jej świętości osobistej. B. oparł się jedynie na tych pewnikach dogmatycznych, aby łatwiej pojednać wierzących protestantów z kultem Maryjnym, rażącym ich w Kościele katolickim. Na końcu jednak rozprawy zwraca się B. przeciwko „nieuzasadnionym i przesadnym" poglądom wielkiego Scheebena i „romańskich" marjologów, którzy przypisują NMP. — zgodnie zresztą, jak sam B. przyznaje, z „pobożnem mniemaniem" wiernych i kaznodziejstwem kościelnem — jakiś przedmiotowy udział w samem dziele Odkupienia. Tę właśnie naukę pragnie Schüth uzasadnić, słusznie bowiem zauważa, że aktualny dziś problem orzeczenia dogmatycznego Wszechpośrednictwa NMP. jest w ścisłym związku z tą prawdą i z niej wynika.

Rozprawę swą dzieli na dwie części — w pierwszej wykazuje, że powszechne macierzyństwo duchowne NMP względem odkupionej ludzkości przedstawia się w tradycji kościelnej jako wynik Jej nader ścisłego stosunku nietylko do osoby Zbawiciela, ale i do Jego dzieła zbawczego. Stosunek ten wyraża się początkowo (np. już u św. Ireneusza) raczej w obrazie zaślubin duchownych pomiędzy Nowym Adamem, Chrystusem, a Nową Ewą - Marją, dla odnowy upadłej ludzkości. Prawda, że po Soborze Efeskim dominuje w tradycji pojęcie „Boga Rodzicy", lecz pojęcie to włącza i poprzednie, a w każdym razie nie zacieśnia się jedynie do macierzyństwa fizycznego, to bowiem uzależnione jest od etycznego przyzwolenia Marji („fiat"), która tem samem — jak to później

dobitnie wyraził św. Tomasz — „imieniem całego rodu ludzkiego" oświadczyła gotowość zawarciu nowego z Bogiem przymierza i „poczęła" zbawienie świata. Pod tym względem — jest to oryginalna i słuszna myśl autora — należałoby Marję raczej z Adamem porównać... Jeżeli zatem Ojcowie nazywają Marję „przyczyną naszego zbawienia", to nietylko w tem znaczeniu, że powiła Zbawiciela, ale wyrażają przez to Jej przedmiotowy udział w samem dziele Odkupienia. — Jakiż to udział? Stanowi to przedmiot drugiej części rozprawy. Trudność jest w tem, jak pogodzić tę prawdę z dogmatem, że Chrystus jest jedynym Pośrednikiem między Bogiem a ludzkością i jedynym Odkupicielem świata, oraz z tem, że Marja sama jest odkupiona. Z pierwszym zarzutem łatwiej się sprawić. Wystarczy wskazać na pośrednictwo drugorzędne Kościoła, jako ciała mistycznego Chrystusa, na sakramenty, jako narzędzia łaski. Druga trudność jest poważniejsza. Nawet Scheeben nie śmiał nazywać Marji „Współodkupicielką", bo ten tytuł wyraża pewną współrzędność z Chrystusem w dziele zbawczem, wolał w myśl symbolizmu biblijnego upatrywać w Niej „pomocnicę", jako w nowej Ewie. Po okólnikach różańcowych Leona XIII autor nasz jest śmielszy, lecz czyni tyle zastrzeżeń, że poza Scheebena nie wybiega. W określeniu sposobu współdziałania Marji z Chrystusem autor posługuje się terminologją Scheebena, niedość może precyzyjną pojęciowo. Wprowadza ideę przyczynowości biernej, odbiorczej. Dość było wskazać na wyrażenie Piusa X (1904) o zasłudze w szerszem tego słowa znaczeniu *(de congruo)*. Autor jest za tem, aby definicja Wszechpośrednictwa Marji objęła i Jej współudział w Odkupieniu.

Pod względem formalnym rozprawa Schütha pozostawia wiele do życzenia. Dezorjentujące podpodziały, nużące powtarzania, rozwlekłość stanowią jej stronę ujemną. Metodycznie rażą mistyczne rozważania wplecione w argumentację, pewien maksymalizm w wydobywaniu ze słów i zestawień jak najobfitszej treści. Pogląd organiczny na dzieło zbawcze nieraz zbytnio w szczegóły się zapuszcza, np. w idei *connubium divinum* Ciała mistycznego. Dodatniem tu jest określenie stanowiska Marji w ciele mistycznem jako jego serca i przedniego organu Ducha Św. Materjału pozytywnego niewiele, dotknięto tylko punktów wytycznych w tradycji, a strona spekulatywna oparta prawie wyłącznie na Marjologji Scheebena.

Trwałą zasługą autora pozostanie wykazanie *„ad oculos"*, że Wszechpośrednictwo NMP. ma swe teologiczne uzasadnienie w Jej przedmiotowym udziale w Odkupieniu, co niezawodnie stanowi wyższy jeszcze tytuł Jej chwały.

Ks. M. Morawski

Katholische Mystik. Das aussergewöhnliche Gebet von René de Maumigny S. J. Mit einem Lebensbild des Verfassers und einer Einführung in die Mystik von Karl Richstätter S. J. Freiburg i. Br. 1928. Herders Verlag. S. 334.

Proste, jasne i praktyczne dziełko O. de Maumigny, noszące w oryginale francuskim tytuł: „Oraison extraordinaire", znane jest już od kilku lat czytelnikom polskim jako „Modlitwa mistyczna"; weszła jako III tom do „Bibljoteki życia wewnętrznego". Jest to właściwie dotychczas jedyna poważna książka w języku polskim, która podaje całokształt zagadnień mistycznych. Nie dorównuje ona wprawdzie rozległością i gruntownością takim dziełom jak klasyczna książka O. Poulaina S. J. *Des grâces d'oraison* (10 wydań), czy Zahna: *Einführung in die christliche Mystik* (5 wyd.) czy też Mgra Farges'a: *Les phénomènes mystiques* (2 wyd.), mimo to cieszy się wielką powagą i znaczną poczytnością, liczy już 10 wydań.

Obecne niemieckie wydanie, oprócz doskonałego tłumaczenia samego oryginału francuskiego, podaje krótki życiorys O. Maumigny'ego, jego charakterystykę jako kierownika duchownego i charakterystykę jego mistyki. Prócz tego zamieścił O. Richstätter na stu blisko stronach rodzaj wstępu do mistyki, gdzie omawia jej istotę, różne jej kierunki w ciągu wieków, a wreszcie bardzo praktyczne wskazówki dla kierowników, znacznie odbiegające od poglądów Sandreau'a czy Louismeta, a zdaniem naszem teoretycznie dużo pewniejsze, a życiowo o wiele bezpieczniejsze.

Ks. J. Andrasz.

Św. Jan od Krzyża: Wnijście na górę Karmelu. Księga I—III. Przełożyła z hiszpańskiego Eug. Kostecka. Lwów 1927, Nakładem „Bibljoteki Religijnej", str. 427.

Porwać się na przekład mistycznych pism św. Jana od Krzyża, trzeba na to odwagi nielada. Należą przecież do rzeczy, jeśli nie najtrudniejszych, to bardzo trudnych do tłumaczenia. Otóż zdobył się na nią nie żaden fachowy teolog, ale niewiasta, p. Eugenja Kostecka; odpowiadając tym czynem swoim na słynne pytanie: „Niewiastę mężną któż znajdzie?" Czasem jednak odwaga bywa porywaniem się z motyką na słońce. Wiele przekładów książek religijnych, dokonanych u nas przez pióra niewieście, aż nadto tego dowiodły. Zraziły potem swoją zadziwiającą nieudolnością ogół inteligentny do czytania książek religijnych. Dlatego, mając wielką cześć dla dzieł św. Doktora, z mieszanem uczuciem brałem do ręki przekład polski.

Przeczytawszy na wyrywki kilkanaście różnych ustępów, stwierdza się z uczuciem zadowolenia, że to nie jest jednak partaczenie, ale rzeczywiście tłumaczenie, które uchwyciło właściwą myśl i znaczenie oryginału. Stwierdzić trzeba, że czytelnik przy

pomocy tego przekładu, może wnikać w mistyczne głębie i subtelności św. Jana od Krzyża, bo są rzeczywiście oddane. — Czy mu to przyjdzie łatwo? Inna to sprawa. Nie sprzyja temu sama rzecz, nie sprzyja temu również pewna właściwość polskiego przekładu: może jeszcze zbyt niewolnicze trzymanie się składni hiszpańskiej, zwłaszcza w budowie zdań. Te zdania splątane, ciągnące się nieraz po 10 wierszy, czy nie będą dla niejednego odgrywać roli straszaka od tajemniczych pól mistycznych. Szkoda, że tłumaczka nie poszła tutaj za francuskim przekładem Hoornaerta, który — posiadając wyborne zrozumienie myśli oryginału — znacznie swobodniej przelewał ją w francuską formę.

Życzymy, by w następnych tomach to przelewanie treści hiszpańskiej w polskie formy przybrało pełniejsze rozmiary, wówczas wzniosła i głęboka doktryna św. Jana od Krzyża stanie się zrozumialsza i przystępniejsza dla polskiego czytelnika, a poważny wysiłek tłumaczki zostanie uwieńczony jeszcze większem powodzeniem.

Ks. J. Andrasz.

Małżeństwo w świetle nauki katolickiej. Praca zbiorowa profesorów Uniwersytetu Lubelskiego. Lublin, nakł. „Towarzystwa Wiedzy Chrześcijańskiej", 1928, str. 390. (Cena egzemplarza — 9 zł, dla członków T. W. Ch. — 7·65 zł, dla zamawiających w Tow. W. Ch. w Lublinie — 8 zł, wraz z kosztami przesyłki).

Wychodząc z założenia, że jest obowiązkiem samych katolików, odrodzić i utrwalić zagrożoną dziś rodzinę katolicką, jedną z głównych podstaw cywilizacji, pragną profesorowie Wydziału Prawa Kanonicznego Uniwersytetu Lubelskiego przyjść im z pomocą niniejszą zbiorową pracą. Tematem jej jest małżeństwo, autorowie starają się oświetlić je z różnych stron, aby wykazać znaczenie i rolę tej instytucji, jej obowiązki i prawa.

Całość poprzedza znany nam już obszerny List Pasterski Biskupów polskich o małżeństwie z r. 1921, poczem następuje wysoce interesująca część, złożona z trzech rozdziałów i obejmująca ogólne zagadnienia wstępne. O. Jacek Woroniecki O. P. rozwija podstawowe zasady filozoficzne i teologiczne chrześcijańskiej nauki o małżeństwie, jako instytucji pochodzenia bożego i o charakterze społecznym, którą podkopał głównie indywidualizm, zapoczątkowany przez Reformację XVI w. Podkreślić tu trzeba wszechstronne i trzeźwe rozpatrzenie stosunku mężczyzny i kobiety, oraz jasne wyłożenie celów małżeństwa, uwzględniające zarówno stronę duchową, jak zmysłową. — Zbadanie kompetencji Kościoła i państwa w stosunku do małżeństwa stawia sobie za zadanie O. Gommar Michiels O. C. i poświęca temu sporo miejsca, gdyż chce dać nietylko wykład nauki katolickiej, ale wyprowadzić odnośne zasady tak, aby je uznać musiał każdy bezstronny człowiek i świadomy swych zadań prawodawca. W tym

celu bierze za punkt wyjścia wewnętrzną naturę małżeństwa chrześcijańskiego i naprzód określa tę jego sferę, która nie podlega żadnej władzy ludzkiej, tylko Bogu, a następnie, analizując zakres praw Kościoła i państwa, rozgranicza pozostałą sferę między te dwie instytucje. — W trzecim rozdziale rzuca prof. Ignacy Czuma krótki obraz historycznego rozwoju prądów, skierowanych w ciągu paru ostatnich wieków przeciw małżeństwu. Wykazuje, jak systematycznie prądy te, poczynając od Lutra, poprzez gallikanizm, rewolucję francuską, materjalizm i skrajny ewolucjonizm zniekształcały coraz bardziej katolicką naukę o małżeństwie, doprowadzając do ślubów cywilnych, a za niemi do rozwodów, które stały się pierwszym krokiem do upadku samej instytucji małżeństwa. Toteż dziś, kończy autor swą pouczającą rozprawę, widzi się rosnące otrzeźwienie, coraz więcej prawników odrzuca indywidualizm i zaczyna podkreślać „zobowiązanie", jako podstawę prawną umowy małżeńskiej.

Po tych ogólnych uwagach następuje w trzeciej, głównej części dzieła, obszerniejszy wykład o poszczególnych punktach katolickiej nauki o małżeństwie. Kolejno następują więc rozdziały: o małżeństwach mieszanych, — ks. Piotr Kałwa, o ślubach cywilnych — ks. Jan Wiślicki, o unieważnieniu małżeństwa — O. G. Michiels O. C., o nierozerwalności małżeństwa — O. J. Woroniecki O. P., o separacji małżeńskiej — ks. Henryk Insadowski. Każdy z tych rozdziałów stara się przedłożyć dokładnie zasady i postępowanie Kościoła w danym wypadku. Cennem uzupełnieniem rozdziału o nierozerwalności małżeństwa jest obszerna rozprawa ks. Antoniego Szymańskiego o socjologji rozwodów, w której bada wpływ ich na małżeństwo, dzieci, kobietę i moralność, a wnioski swe popiera dowodami, zaczerpniętemi z doświadczenia innych krajów i cyfr statystycznych. W ostatniej wreszcie części zestawia prof. Roman Longchamps de Berier obowiązujące obecnie w różnych dzielnicach Polski prawodawstwo, dotyczące zawarcia i rozwiązania małżeństwa, z wyłączeniem jego skutków osobistych i majątkowych.

Powyższe ogólne streszczenie pokazuje, jak bogaty materjał mieści się w tem dziele. Niektóre kwestje pominięto w niem zupełnie, np. o zaręczynach; nie zajęto się też szczegółowo rozbiorem przeszkód małżeńskich i dyspens, samym aktem zawarcia małżeństwa i bezpośredniem przygotowaniem do niego — leżało to jednak zapewne w zamiarach wydawców, którzy nie chcieli powiększać i tak już obszernego zbioru sprawami, dla celu jego mniej ważnemi. Zato w materji poruszanej widoczna jest planowość, ścisłość, staranie o jasne wytłumaczenie każdego zagadnienia, podanie ogólnego przynajmniej stanu historycznego i najważniejszych źródeł. Pewne powtarzanie się, nieuniknione przy tego rodzaju pracy, zostało jednak ograniczone do minimum; ton opowiadania spokojny i rzeczowy, w jednej tylko z rozpraw może

zanadto moralizujący. Wydanie staranne i przejrzyste, błędy drukarskie stosunkowo nieliczne.

W książce niniejszej otrzymujemy dzieło, jakiego mogą nam pozazdrościć katolicy innych krajów. Zostanie ono bez wątpienia chętnie przyjęte przez duchowieństwo, ale przedewszystkiem pragniemy je polecić inteligencji świeckiej; wśród dzisiejszego pomięszania pojęć, znajdzie ona tam prawdziwe przedstawienie katolickiej nauki o małżeństwie i rozwiązanie niejednej dręczącej trudności.

Ks. St. Podoleński.

M. B. Lepecki: W sercu czerwonego lądu. Przygody z podróży po Paragwaju, Boliwji i Brazylji. Warszawa (1928). Instytut wydawniczy „Bibljoteka Polska". Duża ósemka. Str. 2 nlb+290+4 nlb. 14 plansz rotograwurowych i 60 rycin.

Z tego, co się pospolicie nazywa przygodą, co drażni niepokojem i zmusza z zapartym oddechem śledzić zmagania się w nierównej walce, właściwie niewiele wplótł w swoje opisy kpt. Lepecki. Opowiada poprostu co widział i słyszał podczas swojej włóczęgi po stolicy Paragwaju i jej przedmieściach, na mętnych falach Pilkomayo i na grobach plemienia Padjagła, w koczowisku kacyka Zlamy Ingarkoka i w haciendach białych kolonistów, szkicuje nic nieznaczące drobiazgi z codziennego życia Białych i Kolorowych, powtórzy nawet charakterystyczną plotkę. Lecz właśnie z tych drobniutkich, pamiętnikarskich kresek urósł prawie bezwiednie olbrzymi, czarujący krajobraz świata naprawdę egzotycznego, świata bezbrzeżnych stepów i lasów galerjowych, po którym się przechadza w niszczycielskim majestacie *formento* (burza), ogień i nawpół dzikie plemiona czerwonoskórych „Mohikanów".

Z opisów tych emigrant polski i uczony etnolog wyłowi niejedną trafną przestrogę i ciekawe zjawisko ludoznawcze, chociaż książka Lepeckiego w zamierzeniu nie jest ani „przewodnikiem" ani „studjum" etnologicznem. To też niektóre z plansz i rycin, wielce pożądane w dziele etnologicznem, w popularnym opisie stają się wulgarne, rażą nagim realizmem i z książki czynią owoc zakazany dla młodzieży. *J. K.*

Wydawnictwa dla młodzieży Spółki Akcyjnej „Ostoja", Poznań ul. Pocztowa L. 15.

Pracująca w ścisłem porozumieniu z ogólno-krajowem Zjednoczeniem Młodzieży Polskiej księgarska spółka akc. „Ostoja" jest dziś instytucją szczególnie ważną przez swe różnorodne wydawnictwa, służące potrzebom organizacyj młodzieży. Świeżo ukazał się tu znowu szereg nowości z różnych działów. W dziale pieśni obok paru drobnych broszurek wydano ozdobnie, w dużym formacie: 6 pieśni, przeważnie religijnych, kompozycji Fel.

Nowowiejskiego i dwa zbiorki po 6 pieśni religijnych ks. Fr. Walczyńskiego. W zbiorze sztuczek teatralnych dla młodzieży męskiej wyszedł: „Korsarz Bałtyku" przez H. Antoine i komedja „Figiel w pułapce" przez Fr. Biedronia; dla żeńskiej zaś młodzieży: „Obraz Matki Najśw." i krotochwila „Bolszewik w spódnicy". Bibljoteka wieczornicowia zyskała dwa nowe tomiki: „Cześć pracy" przez A. Niesiołowskiego i „Śladami Marji" przez F. Żurowską. Trzy korowody dla młodzieży żeńskiej p. t. „Kalina" ułożyła Cz. Wolniewiczówna. Zbiorek „Śpiew i śmiech" zawiera 37 pieśni i piosenek. Ukazało się również kilka tomików bibljoteczki sportowej: Boisko, Bieg na 100 m., Bieg rozstawny, Skok w zwyż. Dla młodzieży rolniczej wydano osobną broszurę „Konkursy przysposobienia rolniczego", zawierającą szereg wskazówek w tym kierunku pracy, rozwijanej dziś silnie przez Zjednoczenie Młodzieży Pol. Wreszcie dla młodzieży żeńskiej ukazała się ozdobnie wydana, ilustrowana książka „Młode serca" przez Ks. S. P.; zawiera ona kilkanaście interesujących opowiadań z życia dziewcząt polskich i stara się pogłębić w czytelniczkach ducha religijnego i moralnego, oraz przyczynić się do ich wyrobienia społecznego. *N.*

Nowy i doniosły organ.

Sprawy komunalne, należące do kompetencji miejskich i wiejskich samorządowych instytucyj, rozrosły się do tego stopnia, że zaczynają tworzyć całą odrębną gałąź polityki, równie ważnej dla dobrobytu kraju i obywateli, jak skomplikowanej i trudnej. A ponieważ czynny udział w tej polityce należy dziś w pewnej mierze nie do nielicznych tylko jednostek, ale do tysięcy i tysięcy obywateli, którzy w ciałach samorządowych pracować muszą, jest rzeczą jasną, że potrzeba koniecznie organu, któryby do tej pracy przysposabiał i służył w niej za przewodnika. Taki właśnie organ p. t. *Kraj* zaczął od 1 kwietnia b. r. wychodzić w Warszawie i mamy w tej chwili przed sobą trzy pierwsze jego zeszyty.

Po starannem zapoznaniu się z treścią pierwszych tych numerów, czujemy się w obowiązku szczerze powinszować tak wydawcy, którym jest Polska Agencja Publicystyczna, jak redaktorowi, którym jest L. W. Biegeleisen. W artykułach jest rozmaitość, bogactwo tematów, gruntowność i głębokie ukochanie kraju, o którego podniesienie chodzi. Mile zwłaszcza uderza wyraźne staranie, by przez przedstawianie — często zapomocą ilustracyj — dobrych przykładów nietylko zagranicznych ale i ojczystych, pobudzać gminy do szlachetnej emulacji, do inicjatywy i wysiłku. Ufamy, że tygodnik ten, tak rozpowszechniony, jak na to zasługuje, całemu życiu naszych miast i wiosek odda ogromne usługi. Specjalnie powinien on znaleźć się w ręku księży, którzy na sprawy samorządowe pośrednio lub bezpośrednio wielki wpływ wywierać mogą i powinni. Forma zewnętrzna jest bardzo pociągająca; cena stosunkowo niska, bo prenumerata roczna tygodnika, wychodzącego in 4° w dwukolumnowym druku z ilustracjami, wynosi wraz z przesyłką tylko 30 zł. Adres Redakcji i Administracji *Kraju* Warszawa Boduena.

Z ujemnych spostrzeżeń notujemy jedynie nie dość staranną ko-

rektę, zwłaszcza w zeszycie drugim, a nadto niepotrzebną, w zeszycie trzecim, wzmiankę o krematorjach, bo instytucja ta, przez Kościół bezwzględnie zakazana, w katolickim kraju nie powinna wchodzić w żadne rachuby.

J. R.

Oprócz tego nadesłano do Redakcji:

Nakł. Krakowskiej Spółki Wydawniczej:

Łuk. Górnicki: Dworzanin polski. Opracował R. Pollak. (Bibl. Narodowa, ser. I N. 109). Str. LXXXV+427.

Franc. Zabłocki: Sarmatyzm. Oprac. L. Bernacki. (Bibl. Narod. ser. I. N. 115), str. XLVIII+152.

Dr. Jul. Morawski: Choroby psychiczne, oraz zasady walki z niemi. Kraków 1928, str. 57.

Stef. Ciesielska-Borkowska: Reforma szkolnictwa we Francji etc., str. 28.

Tad. Zieliński: Sofokles i jego twórczość tragiczna. Str. IX 484.

Dr. H. Barycz: Polska za pierwszych królów elekcyjnych. (Teksty źródłowe do nauki w szkole średniej), str. 32.

Wydawnictwo firmy Gebethner i Wolff:

Tad. Dębicki: Moi enzi Nzadi. U wrót Konga, z 10 ilustr., str. 122.

Stan. Miłaszewski: Farys, komedja romantyczna w 7 odsłonach, str. 178.

Stan. Szpotański: Synowie klęski. Powieść historyczna, str. 298.

Rafał Malczewski: Narkotyk gór. Nowele, str. 182.

Gen. E. de Henning-Michaelis: Burza dziejowa. Pamiętnik z wojny światowej, str. 246.

E. Czekalski: Milczące młyny. Nowele, str. 192.

Z. Kisielewski: Amerykanka. Powieść, str. 193.

Jan Wiktor: Srogi pies i sentymentalny zając, str. 160.

Nakł. Gubrynowicza i Syna, Lwów.

Karol Frenkel: O pojęciu moralności, str. 254.

Antoni Loster: Bolszewizm walutowy, str. 33.

Tenże: Przez wyzwolenie waluty do uzdrowienia pieniądza, str. 53.

Wyd. Herdera, Fryburg w Bryzg.

Dr. Josef Schmid: Der Epheserbrief des Apostels Paulus (Bibl. Studien XXII B. 3–4 H.) Str. IX+466.

Otto Bardenheker: Der Brief des heil Jakobus. Str. 160.

Wenceslaus Pohl: De vera religione quaesstiones selectae, str. XIX+338.

Nakładem różnych.

Ks. prof. Szydelski: Religja helleńska, Stary Testament i Chrześcijaństwo. Odb. z *Ateneum Kapł.* str. 71.

Rozprawy wydz. matematyczno-przyrodniczego Polskiej Akad. Umiej. Tom. 25—26 (za rok 1925 i 1926). Kraków 1928.

Stan. Pigoń: Autograf „Zdań i uwag" A. Mickiewicza. Wilno, nakł. Twa Przyjaciół Nauk. 1928, str. 40.

Die Österreichische Aktion, Programmatische Studien von A. M. Knoll, A. Missong etc. Wien 1927, str. 302.

Ks. Dr. Miecz. Dybowski: O typach woli. Badania eksperymentalne, Książnica-Atlas. Lwów-Warszawa 1928, str. 167.

Pismo Święte. Wyd. Księgarni św. Wojciecha. tom III, str. 690.

Andrzej Bór: Prześladowanie Kościoła katolickiego w Meksyku. Księg. Kroniki Rodzinnej, Warszawa, str. 108.

Aleks. Łęczycki: Rytm tętnic. (Poezje). Kraków, skład gł. Gebethnera. str. 31.

Bogdan Suchodolski: Przebudowa podstaw nauk humanistycznych. Skład główny Ossolineum, str. 63.

R. Umiastowski: Morze jako źródło bogactwa narodu (Bibl. Żołnierza Polskiego N. 4), Warszawa 1928, Wojsk. Inst. Nauk.-Wyd.

Joseph Douillet: Moscou sans voiles. Editions Spes, Paris 1928, str. 252.

V. Bernadot O. P., G. Desbuquois S. J., M. Riquet S. J.: Le Joug du Christ. Réponse aux Théologiens d'Action Française. Paris, Ed. Spes, str. 155.

Sprawozdanie z ruchu religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

Ze spraw kościelnych w Rumunji. — Rozwiązanie stowarzyszenia „Przyjaciół Izraela".

W Rumunji przedwojennej katolicyzm ze swymi 100 tysiącami wyznawców i dwoma biskupstwami obrządku łac. (Bukareszt i Jassy) stanowił nieznaczną wyznaniową grupę wśród prawosławnego ogółu ludności, tolerowaną przez państwo (na którego czele stał król katolik!), nie stwarzającą jednak dla niego, państwa, poważniejszego politycznego zagadnienia. Powstanie po wojnie światowej „Wielkiej Rumunji" stworzyło w niej właśnie takie zagadnienie. W spuściźnie po Austrji przypadła Rumunji Bukowina, posiadająca kilkadziesiąt tysięcy katolików, należących aż do trzech obrządków, rozbiór zaś historycznych Węgier dał jej przeszło 5 miljonów ludności, z której prawie połowę stanowią katolicy (około miljona obrz. łac. i 1.400 tysięcy obrządku greckiego), podczas gdy w drugiej połowie obok 1.800 tysięcy prawosławnych jest znowu około miljona protestantów. Jeżeli dodamy katolików, mieszkających w odzyskanej od Rosji Bessarabji, to można będzie ogólną cyfrę wyznawców Kościoła katolickiego w Rumunji ocenić na okrągło 2.700 tysięcy (1.250 tys. łacinników i 1.450 tys. obrz. wsch.). Stanowi to pokaźny odsetek (18%) całej ludności państwa rumuńskiego. W ten sposób stosunek państwa w większości swej prawosławnego do Kościoła katolickiego urósł na zagadnienie pierwszorzędnej doniosłości, zwłaszcza jeśli wziąć pod uwagę, że tylko katolicy wschodniego obrządku, czyli unici, należą do narodowości rumuńskiej (z wyjątkiem wszakże pewnej ilości Rusinów i Węgrów), podczas gdy katolicy-łacinnicy przeważnie są Węgrami, Niemcami, Polakami, tak iż zagadnienie wyznaniowe komplikuje się przez problemy narodowościowe.

Należało się spodziewać, że wobec tak pokaźnej ilości katolików w państwie rząd rumuński postara się o uregulowanie prawnego stosunku Kościoła drogą zawarcia konkordatu ze Stolicą Apostolską. Już w r. 1919 przybył do Bukaresztu nuncjusz papieski, a rząd wysyłał niejednokrotnie do Rzymu swoich agentów dla pertraktacyj. Sprawa jednak zawarcia umowy z Watykanem posuwała się bardzo powoli wobec rozbieżności dążeń zainteresowanych stron. Rząd, ulegający wpływom wyższego kleru prawosławnego i pokusom zakorzenionego bizantynizmu, usiłował wytargować dla siebie jaknajwiększą ingerencję w sprawach kościelnych i ograniczyć liczbę biskupów katolickich, podczas gdy Rzym pragnął obronić te wolności, jakiemi cieszył się Kościół na Węgrzech i zapewnić mu swobodny rozwój na przyszłość. Komplikowały sprawę jeszcze bardziej odrębne dążności kleru węgierskiego, który bolał nad poćwiartowaniem zwartej do niedawna swojej organizacji kościelnej i bał się usankcjonowania nowych granic diecezyj przez konkordat. Stąd już w r. 1921 broszura *Le Concordat des Roumains*, wydana w Budapeszcie, wylicza cztery różne projekty konkordatu, wychodzące z różnych stron (od rządu, z Rzymu, z grona episkopatu) i wszystkie poddaje krytyce. Nie mogły także sprawy konkordatu ułatwić wypadki, jakie wnet poczęły się rozgrywać w przyłączonym Siedmiogrodzie: cerkiew prawosławna, wspomagana w tem przez administrację, rozwinęła akcję celem przeciągnięcia na swoją stronę unitów, nie mogąc zrozumieć, by wyznawcy wschodniego obrządku, a więc według wschodniego sposobu myślenia — prawosławni, mogli zależeć od Rzymu i jednocześnie być dobrymi Rumunami. Kler prawosławny także przy każdej okazji, na wiecach i w parlamencie, z ambony i łamów swej prasy, zwalczał stale samą myśl zawarcia konkordatu, upatrując w nim pomniejszenie suwerenności państwowej.

Bądź co bądź rok temu (w maju 1927 r.) konkordat został w Rzymie podpisany przez pełnomocnika rządu rumuńskiego. Reguluje on ustrój Kościoła obu obrządków, zamykając go w obecnych granicach państwa rumuńskiego; pozostawia istniejące dotąd arcybiskupstwo obrz. wsch. w Blaj (*czyt.* Błaż) z trzema sufraganjami, z liczby zaś dawnych diecezyj łacińskich uznaje Temesvar i Satmar, poddając je, podobnie jak Jassy, arcybiskupowi, rezydującemu w Bukareszcie. Diecezja w Wielkim Waraždynie przestaje *de facto* istnieć, złączona z biskupstwem w Satmar. Umowa reguluje częściowo kwestję uposażenia kleru, zasiłków rządowych na cele kultu, poza tem omawia sposób obsadzania stolic biskupich, ustanawia przysięgę lojalności względem króla i konstytucji, traktuje o prowadzeniu szkół kościelnych, ogłasza-

niu orędzi pasterskich i t. d. Nie zadowala ta umowa wszystkich uprawnionych nadziei i dążeń Kościoła katolickiego; bądź co bądź stwierdza legalną jego egzystencję w państwie i zapewnia wszystkim jego obrządkom wolność.

Niestety, zapewne nie bez winy ze strony przedstawicieli hierarchji prawosławnej, konkordat dotąd nie został ratyfikowany ani ogłoszony. Owszem ostatnie miesiące zaznaczyły się pociągnięciami rządu, bardzo groźnemi dla katolicyzmu. Do izb ustawodawczych został wniesiony projekt ustawy wyznaniowej, mającej obowiązywać wszystkie wyznania, a sprzeciwiającej się w niejednym punkcie zawartej z Rzymem umowie. Tak np. projektowano poddanie orędzi biskupów katolickich do wiernych uprzedniej cenzurze ministerstwa kultu — ustanowienie osobnej przysięgi na wierność dla kleru katolickiego, podczas gdy od podobnej przysięgi są wolni duchowni prawosławni — podział majątku kościelnego w razie jeżeli część ludności danej parafji zmienia wyznanie (co szczególnie obliczone na podkopanie materjalnej egzystencji unji). Przeciwko takiemu projektowi musieli zaprotestować przedstawiciele episkopatu katolickiego, a rzecz szczególna, że podobne protesty posypały się ze strony protestantów i żydów.

W obronie wolności Kościoła odbyły się wiece protestacyjne, zwłaszcza ludności unickiej, najbardziej przez projekt ustawy zagrożonej. Tłumione przez administrację i policję, ruchy te masowe kosztowały niemało ofiar, np. w pewnej miejscowości żandarmerja rozprószyła kościelną procesję, księży unickich w szatach kościelnych pobiła i wtrąciła do więzienia; protesty jednak owe wywołały duże wrażenie i wpłynęły na zmodyfikowanie zgubnego projektu. Pierwotna redakcja, uchwalona w izbie posłów, została w kilku punktach złagodzona przez senat, poczem ostatecznie w tej złagodzonej formie przyjęta przez izbę niższą. Odrzucony został paragraf, przewidujący pozbawienie Kościoła jego własności w razie przejścia części parafjan na inne wyznanie; paragraf o cenzurze listów biskupich nakazuje komunikowanie ich tekstu ministerstwu równocześnie z przesłaniem klerowi, widocznie w celu przeszkodzenia ogłoszenia tych orędzi, które nie znalazłyby łaski w oczach rządu; natomiast pozostały przykre paragrafy o przysiędze, o sposobie meldowania zmiany wyznania, o religji dzieci w małżeństwach mieszanych i inne.

Uchwalona przez obie izby ustawa nie została jeszcze podpisana (do dnia pisania niniejszego sprawozdania) przez regencję, do której, jak wiadomo, należy także patrjarcha Miron. Ten najwyższy dostojnik cerkwi prawosławnej zdradzał niekiedy bardziej tolerancyjne stanowisko w stosunku

do Kościoła katolickiego. W jesieni 1927 r., przyjmując wizytę Mgra d'Herbigny z Rzymu, któremu towarzyszył także katolicki arcybiskup Bukaresztu, winszował temu ostatniemu, że został członkiem-wirylistą senatu; nie szczędził uznania dla nauki i cnót kapłańskich kleru katolickiego, podczas gdy na kler własny uskarżał się z powodu jego ciemnoty, zeświecczenia i zmaterjalizowania; zapytywał nawet, czy nie byłoby możliwem kształcić prawosławnych teologów w instytutach katolickich, by uchronić ich od rozkładowego wpływu protestantyzmu na uniwersytetach niemieckich. Czy te wynurzenia były tylko czczemi komplementami dla katolicyzmu? Istnieje jednak rozpowszechnione podejrzenie, że jeśli patrjarcha-regent ociąga się z położeniem swojego podpisu na uchwalonej ustawie, to nie dlatego, że ona w wielu punktach jest krzywdzącą jeszcze dla katolików, ale przeciwnie, że wydaje mu się dla wyznań nieprawosławnych zbyt ustępliwą. Wyraźniej jeszcze zwalczają każdy cień ustępstwa na korzyść mniejszości wyznaniowych inni członkowie hierarchji cerkwi panującej, zwłaszcza metropolita w Sybiu (Hermannstadt), który pragnąłby zupełnego zniszczenia unji w Siedmiogrodzie.

Jak widzimy, katolicyzm, a zwłaszcza unja w zaprzyjaźnionej z nami politycznie Rumunji stoi przed niepewnem jutrem. Czy zostanie ratyfikowany konkordat? Czy będzie ogłoszona ustawa, nazywana już ustawą „kulturkampfową"? Trudno odgadnąć. O ileby się rozpętała walka przeciw Kościołowi, a zwłaszcza przeciw Rumunom unitom, to państwo rumuńskie okazałoby się podwójnie względem nich niewdzięcznem. Po pierwsze bowiem z szeregów kleru unickiego w Siedmiogrodzie pochodzili budziciele odrodzenia narodowego i twórcy piśmiennictwa rumuńskiego w 18 wieku, podczas gdy właściwa Rumunja prawosławna (Wołoszczyzna i Mołdawja) spała jeszcze snem twardym, skrępowana przez biskupów Greków, nasłanych z Fanaru i przez niewolę turecką. Nie prawosławnym więc przystoi udzielać unitom lekcyj patrjotyzmu rumuńskiego. Powtóre przyłączenie do Rumunji powitali siedmiogrodzcy unici z radością jako zjednoczenie narodu całego — czyżby mieli być za to skazani na zagładę? Niebezpieczeństwo wszakże, zdaje się, rozumie doskonale wyższy kler unicki i dlatego gotuje się do obrony swej wiary. Odradza się z upadku zakon bazyljański, przychodzą w sukurs zasłużeni na Wschodzie Asumpcjoniści, zakładane są zgromadzenia zakonne żeńskie, po parafjach intensywnie odbywane są misje ludowe. Cerkiew unicka, która za rządów węgierskich liczyła trochę może za wiele na opiekę państwa, obecnie pozostawiona jest własnym siłom. Lecz jest prawem w historji Kościoła dowiedzionem,

że właśnie w przeciwnościach i trudnościach siły katolicyzmu rozwijają się i mężnieją.

Kwietniowy zeszyt urzędowego organu Stolicy Apostolskiej *Acta Apostolicae Sedis* przyniósł niespodziankę. Został w nim ogłoszony dekret Św. Kongregacji Oficjum z dnia 25 marca r. b., rozwiązujący pobożne stowarzyszenie pod nazwą „Przyjaciół Izraela". Nazwaliśmy ten dekret najwyższego urzędu, powołanego do czuwania nad czystością wiary i obyczajów, niespodzianką wobec tego, że stowarzyszenie przezeń rozwiązane znajdowało się w stadjum nadzwyczaj szybkiego rozwoju, licząc w liczbie swych członków tysiące księży, setki biskupów i kilkunastu kardynałów. Znane już było także u nas, w Polsce, przyjęte pod opiekę kilku księży biskupów i J. E. kard. Kakowskiego w Warszawie.

Historja tego stowarzyszenia krótka. Założone zostało dopiero w r. 1926 w samej stolicy chrześcijaństwa przez grono kapłanów, pragnących modlitwą i działalnością swoją przyczynić się do nawrócenia narodu żydowskiego. Duszą stowarzyszenia, przeznaczonego tylko dla duchowieństwa, był ks. Antoni van Asseldonk, prokurator generalny Zakonu Św. Krzyża w Rzymie. *Amici Israel*, nie tworząc zwartej organizacji ani nie płacąc żadnych wkładek, obiecywali modlić się i pielęgnować swe życie duchowne w szczególnej intencji pozyskania Żydów dla Chrystusa, popierać akcję misyjną w tym kierunku, odnosić się szczególnie życzliwie do narodu żydowskiego. W celu ustalenia ideologji stowarzyszenia komitet jego centralny począł wydawać pisemko w formie broszurek pod tytułem *Pax super Israel*, którego ukazało się kilka numerów.

I właśnie to pisemko spowodowało rozwiązanie stowarzyszenia przez Stolicę Apostolską. Dekret św. Kongregacji, która wniknęła w naturę i cel związku i rozpatrzyła wydane zeszyciki *Pax super Israel*, oddaje najpierw pochwałę usiłowaniom zachęcania wiernych do modlitwy i współpracy nad nawróceniem Żydów do Królestwa Chrystusowego. Przypomina dalej, że Kościół katolicki zwykł był zawsze modlić się za naród żydowski, pomimo jego zaślepienia, za naród, który do czasów Jezusa Chrystusa był depozytarjuszem boskich obietnic. Powodując się miłością, Stolica Apostolska brała Żydów w obronę przeciwko niesprawiedliwym uciskom, i teraz, potępiając wogóle zawiść i niezgody między narodami, w sposób szczególny potępia nienawiść do narodu, niegdyś przez Boga wybranego, nienawiść zwaną zwykle „antysemityzmem". Mimo to w sposobach mówienia i działania „Przyjaciół Izraela" znalazła Kongregacja rzeczy niezgodne z rozumieniem Kościoła, z myślą Ojców św. i li-

turgją i dlatego postanowiła rzeczone stowarzyszenie rozwiązać, co też Ojciec św. Pius XI potwierdził i ogłosić polecił.

Wczytując się w odezwy, rozsyłane przez ks. Asseldonka, jak również w pisemko *Pax super Israel*, można się domyśleć, co spowodowało taką ocenę Św. Kongregacji i rozwiązanie stowarzyszenia. Publikacje te cechuje ton egzaltowany: naród żydowski nietylko z przeszłości przedchrześcijańskiej, ale i obecnie miałby być uważany za szczególnie drogi Panu Bogu; „przyjaciołom" jego nietylko zabrania się nienawiści względem niego, ale poleca się unikać przypominania mu zbrodni, dokonanej na Chrystusie; nie trzeba mówić o jego „nawróceniu", boć on posiada wiarę w prawdziwego Boga, tylko o „powrocie" do odrzuconego Mesjasza; zabrania się przypisywania Żydom jako narodowi kierownictwa masonerją, mamonizmu, lichwiarstwa, zarzucania braku patrjotyzmu; nakazuje się podkreślanie szczególnych prerogatyw Izraela i t. d. Nie potrzeba podejrzewać ks. Asseldonka o świadomą chęć eksploatowania chrześcijańskiej miłości na rzecz materjalnej korzyści żydostwa. Niewątpliwie miał on tylko cele duchowne na oku. Jednak, gdyby literalnie zastosować się do jego zasad, może nieraz osłabiłoby się usprawiedliwioną odporność chrześcijan wobec ekonomicznego i obyczajowego naporu ze strony Żydów z wątpliwą zresztą korzyścią dla sprawy ich nawrócenia.

Dekret z dnia 25 marca oczywiście nie gani ani miłości chrześcijańskiej względem Żydów, ani usiłowań w kierunku pozyskania ich dla wiary prawdziwej, owszem, pochwala takie uczucia i nakazuje je. Wyrażając się potępiająco o antysemityzmie, daje bardzo cenną i praktyczną wskazówkę katolikom tych krajów, w których „kwestja żydowska" istnieje. Nakreśla środkową drogę między pogańskim nacjonalizmem, a romantycznem idealizowaniem „narodu wybranego". Drogę tę nazwalibyśmy „realizmem katolickim".

Krajom takim, jak Polska, mająca w swych granicach 3 miljony Żydów, przypomina ten dekret niezmiernej doniosłości problem religijny i kulturalny: jak pracować nad pozyskaniem dla chrześcijaństwa tych obcych mas bez uronienia dla siebie choćby krzty z wartości, jakie zawdzięczamy temuż chrześcijaństwu. Niestety, nietylko dla rozwiązania tego problemu, ale nawet dla zrozumienia jego doniosłości nic jeszcze u nas nie uczyniono. A tymczasem kwestja żydowska, obok kwestyj takich jak bolszewicka, jak narodowości kresowych, jest niewątpliwie z rzędu tych zagadnień, postawionych przed Polską przez Opatrzność, których rozwiązanie (zgodne lub niezgodne z myślą Bożą) może stanowić o racji naszego bytu między narodami.

Ks. Jan Urban T. J.

Pierwszy Polski Zjazd Teologiczny.

Istniejące od 1924 r. Polskie Towarzystwo Teologiczne zaprosiło swych członków i gości na pierwszy swój zjazd naukowy w wolnej Polsce do swej siedziby Lwowa, na dni 11 i 12 kwietnia b. r. Zjazdowi użyczył gościny w swych murach Uniwersytet Jana Kazimierza, który też witał uczestników ze wszystkich stron Polski przez usta swego Rektora, Ks. Gerstmana, przy obecnych w Auli uniwersyteckiej na posiedzeniu inauguracyjnem wielu profesorach tej sławnej uczelni. Ks. Arcybiskup Twardowski, protektor Zjazdu, odprawił mszę św. na intencję pomyślności obrad w archikatedrze lwowskiej i przemówił ślicznie w auli uniwersyteckiej na temat zgodności rozumu i wiary. Zaszczycili swą obecnością zebranie inauguracyjne także Ks. Arcybiskupi ruski, Szeptycki i ormiański, Teodorowicz, nadto wojewoda lwowski, Borkowski i zastępca komisarza miasta, prof. Matakiewicz, który zakończył swe przemówienie owacyjnie przyjętem oświadczeniem: „Lwów zawsze wierny Ojczyźnie, będzie też zawsze wierny Kościołowi". Na ręce ks. Arc. Twardowskiego nadszedł telegram od Ojca św., przysłali życzenia także prawie wszyscy arcypasterze polscy, niektóre kapituły i Wydziały teologiczne, nadto Ruskie Towarzystwo Teologiczne oraz Rektor lwowskiego Seminarjum duchownego ruskiego. Nie brakło też telegramu od Ministra W. R. i O. P., dr. Dobruckiego.

Zjazd miał charakter ściśle naukowy. Istnieje bowiem w Polsce także „Związek Zakładów Teologicznych", który odbył już swe cztery Zjazdy, ostatni w roku ubiegłym w Kielcach, a który ma za cel raczej nadawanie jednolitego kierunku organizacyjnego wychowaniu i studjum kleru w Polsce. Polskie Towarzystwo Teologiczne nie jest jedynem zrzeszeniem naukowem teologów polskich. Najstarszem takiem zrzeszeniem jest Wydział Teologiczny przy Towarzystwie Przyjaciół Nauk w Toruniu (od r. 1870), następuje po nim Towarzystwo Teologiczne w Tarnowie (od r. 1906), potem Wydział Teologiczy przy Tow. Przyjaciół Nauk w Poznaniu (od 1916), wreszcie Towarzystwo im. Benedykta XV z wydawnictwem „Polonia Sacra" w Krakowie. Wszystkie te zrzeszenia pozostają w bliskim kontakcie z Pol. Tow. Teol. we Lwowie, albo stały się nawet częściowo jego placówkami. Pol. Tow. Teol., powstało dzięki inicjatywie Ks. Szydelskiego i Ks. Długosza. Sieć swą rozszerzyło już na całą Polskę, ośrodkami organizacyjnemi są Wydziały teologiczne przy Uniwersytetach i Seminarja duchowne. Sekretarzem jest główny organizator Zjazdu Ks. Prof. Aleksy Klawek, ze Lwowa. Organem Towarzystwa jest *Przegląd teologiczny,* finansowany poważnie przez Two „Bibljoteka religijna im. Ks. Arc. Bilczewskiego" we Lwowie.

Prócz posiedzenia inauguracyjnego, na którem wygłosił obszerne przemówienie, Prezes Pol. Tow. Teol., Ks. Szczepan Szy-

delski, a głęboko ujęty wykład naukowy p. t. „Augustynizm i tomizm w myśli chrześcijańskiej" Ks. Konstanty Michalski z Krakowa, odbyły się w sali Unji Lubelskiej dwa posiedzenia plenarne, a po salach innych dwie serje posiedzeń sekcyjnych. Sekcyj było pięć: filozoficzna, dogmatyczna, biblijna, historyczna, liturgiczna. Całemu Zjazdowi i sekcji biblijnej przewodniczył Ks. W. Michalski z Warszawy, sekcji filozoficznej Ks. Al. Pechnik ze Lwowa, dogmatycznej Ks. Jan Urban z Krakowa, sekretarzował Zjazdowi Ks. Seweryn Kowalski z Poznania. Referatów zgłoszono 38, wartość ich naukową będzie można ocenić w całości po wydaniu ich w Pamiętniku Zjazdu. Niektóre z referatów wywołały bardzo żywą dyskusję, zwłaszcza wykład Ks. Kwiatkowskiego T. J. o stosunku teorji elektronicznej do hylemorfizmu, Ks. Urbana o znamionach prawdziwego Kościoła i jego członkach, Ks. Umińskiego o zagadnieniu Hozjańskiem, Ks. Szydelskiego o idei odrodzenia w misterjach pogańskich i w listach św. Pawła, Ks. Kosteckiego Z. K. o świętości Chrystusa.

Prezes Towarzystwa zaznaczył w swej przemowie, że ten pierwszy Zjazd teologiczny w Polsce ma być przeglądem sił a zarazem zachętą do wydajnej, skoordynowanej pracy nad rozwojem teologji w Polsce. Zagranica pracuje bardzo nietylko nad teologją spekulatywną na podstawie nauki św. Tomasza, lecz także nad naukami pozytywnemi w dziedzinie biblistyki, językoznawstwa, historji porównawczej religji itd. Gdy porównamy naszą literaturę teologiczną współczesną z literaturą teologiczną zagraniczną, uderzy nas nasze ubóstwo, nasze „dziecięctwo" teologiczne. Powodem tego przepracowanie księży, nawet profesorów, niewielka jeszcze stosunkowo liczba naukowo przygotowanych pracowników, pozostałości po czasie zaborów. Wiele jednak młodych sił z każdej prawie diecezji studjuje zagranicą, przynosi chlubne dyplomy, pisze poważne prace tak, iż można mieć uzasadnione nadzieje, że nauki teologiczne rozwiną się w odrodzonej Polsce, czego sobie życzą także inteligenci świeccy, zajmujący się i u nas coraz żywiej zagadnieniami religijnemi i skarżący się na brak prac naukowych w tej dziedzinie w ojczystym języku.

Stwierdzał ten stan rzeczy bez obsłonek w swym referacie p. t. „Zadania teologji w Polsce" na ostatniem zebraniu plenarnem ks. Henryk Likowski z Warszawy, zachęcając wszystkich do wytężonej pracy na tem polu. Referat jego wywołał długą i poważną dyskusję, w której liczni mówcy podawali różne środki zaradcze a wszyscy zaznaczali, że nauki teologiczne w Polsce mają przed sobą wspaniałą przyszłość, o ile tylko wszyscy teologowie polscy podadzą sobie zgodnie dłonie. Sekretarz Towarzystwa ks. Klawek, podał plan wzajemnego wypożyczania sobie książek naukowych i czasopism, zwłaszcza starszych, przez instytuty teologiczne, zachęcał do informowania ogółu duchowieństwa na zebraniach kapłańskich o ruchu teologicznym zagranicą, a także oznaj-

mił, że Towarzystwo teologiczne zamierza przystąpić do wydawnictwa *Polskiej Encyklopedji Teologicznej* mającej objąć całokształt materjału teologicznego w jakich 15 tomach po 200 stron. Obiecuje finansować to wydawnictwo „Bibljoteka religijna" lwowska, dzięki życzliwości swego kierownika administracyjnego ks. Chwiruta. Sekcja historyczna Zjazdu podała do wiadomości plenum swoje szczegółowe uchwały, mocą których powstała stała Komisja do pracy nad historją Kościoła w Polsce.

Na wniosek Zarządu Towarzystwa wybrano członkami honorowymi zasłużonych dla nauki polskiej, ks. Prof. Fijałka z Krakowa, ks. Prałata Hozakowskiego z Poznania i ks. Kazimierza Waisa ze Lwowa. Ciepłe słowa wspomnienia poświęcono zmarłym członkom Towarzystwa, a dzielnym pracownikom na polu naukowem ks. Biskupowi Szcześniakowi i ks. Wład. Szczepańskiemu T. J. — Po przemówieniach pożegnalnych zebrali się uczestnicy Zjazdu w kaplicy seminaryjnej na „Te Deum", celebrowanem przez J. E. Ks. Arc. Twardowskiego, który też przyjął wszystkich na miłym raucie w swym pałacu. Zjazd prawdziwie wzorowo zorganizowany, a licznie obesłany zbliżył, do siebie teologów polskich i zachęcił ich do pracy; dlatego też Polskie Towarzystwo Teologiczne, a zwłaszcza jego Zarząd może się szczerze radować z całkowitego udania się chlubnego przedsięwzięcia.

Ks. Fr. Kwiatkowski T. J.

Rozwój kinematografji a katolicyzm.

W ostatnich dniach (23-25 kwietnia) odbył się w Hadze w Holandji międzynarodowy kongres katolicki dla spraw kinematografji, zwołany przez Biuro Katolickie propagandy filmowej. Mamy nadzieję, że w najbliższym czasie będziemy mogli podać sprawozdanie z obrad tego kongresu; tymczasem umieszczamy artykuł, dotyczący r o z w o j u kinematografji i s t o s u n k u k a t o l i c y z m u do filmu w różnych krajach,

Redakcja.

Kino jest dziś niewątpliwie jednym z najpotężniejszych środków propagandy kulturalnej. Na całym świecie, co wieczór daje ono w sposób łatwy tanią i dość wszechstronną rozrywkę miljonom widzów. Według statystyk amerykańskich jest czynnych na świecie 52.000 kinoteatrów z ogólną liczbą około 21.000.000 miejsc. W samej Ameryce Półn. działa około 27.000 teatrów świetlnych, posiadających 11.000.000 miejsc na widowni. W ciągu miesiąca przewija się przez sale kinowe cała ludność tego kraju. Europa posiada około 20.000 kinoteatrów. We Francji jest ich 5.000, w Niemczech 4.000, u nas, w Polsce jest 500 kin.

Nie ulega wątpliwości, że dziś kino staje się coraz bardziej nieodzownym czynnikiem kształtowania smaku estetycznego i wy-

robienia etycznego najszerszych warstw społecznych świata. Doniosłość swą i odrębność w tym kierunku zawdzięcza kino oddziaływaniu na zmysł wizualny człowieka, a stanowiący jedno z najistotniejszych ogniw apercepcji.

Oczywiście kino narówni z dziennikarstwem, literaturą, beletrystyką i teatrem stało się w rękach spekulujących na ludzkich namiętnościach przedsiębiorców narzędziem demoralizacji, siewcą uczuć antyspołecznych, wszelkich haseł wywrotowych, narzędziem propagandy szowinistycznej. Wystarczy tu przypomnieć „Land unter dem Kreuze".

Tem niemniej kino ma też za sobą poważne zasługi dla nauki, wiedzy, jakiemi było sfilmowanie wyprawy na Mount Everest, do Afryki, Indji i t. p. Dzięki ostatnim ulepszeniom odegra wielką rolę jako współczynnik prac laboratoryjnych w chemji, fizyce, medycynie. Dzięki niemu można otrzymać najbardziej wiarygodne dokumenty pewnych zdarzeń o doniosłości historycznej (Film „Polonia restituta").

Zasługą filmu jest podjęcie propagandy antymilitarnej, która wydała tego rodzaju niezwykłe filmy, jak francuskie „J'accusse!" i „Verdun", amerykańskie „The big parade", „Drut kolczasty", „Czterech jeźdźców Apokalipsy", angielski „Miss Cavelle".

Niezwykły rozwój kinematografji, opartej o nowe elementy ekspresji artystycznej i technicznej, nadawszy zainteresowaniom ludzkim odbiegający od utartych szlaków kierunek, spowodował — przypuszczać należy — czasowe przesilenie w dziedzinie teatru i literatury, tak że poczęto mówić nawet o ich upadku. Nad literaturą poważną, wnikliwą, refleksyjną zapanowała Muza sensacji, zrodzona z płytkiego sensualizmu. To było zło, które zrodził — jakoby — kinematograf. Zaczęto się więc zastanawiać nad opanowaniem tej nowej bestji apokaliptycznej, która dławić poczęła ludzkość, nad sposobem zaradzenia niezdrowej przewadze kinematografji nad innemi czynnikami kultury, nad harmonizowaniem jej z temi czynnikami.

Epokę naszą, którą zaraz skwapliwie zaczęto nazywać kinematograficzną, cechuje jakoby pewien nerwowy pośpiech, brak i skąpstwo czasu dla refleksyjnej pracy umysłu. Myślenie a zwłaszcza zastanawianie się, badanie przyczyn i skutków samodzielnym wysiłkiem umysłu to wszystko w czasach tak nerwowego rozkołysania się powierzchni życia uznane zostało przez przeciętnego człowieka ulicy (the man of streett) za nazbyt uciążliwe. Kinematograf przez swe wszędobylstwo: zdolność przenoszenia nas w najrozmaitsze epoki, strefy geograficzne i środowiska socjalne spełnia życzenia przeciętnego obywatela świata, który — skoro nie wszystko może osobiście doświadczyć i nie wszędzie dotrzeć — chce jednak w i d z i e ć jak najwięcej, najwyraziściej a przedewszystkiem jak najszybciej. Na tem tle wyrasta oczywiście pewna płytkość w intelektualnem ujmowaniu zjawisk życia, stanowiąca konsekwencję

zbyt wielkiej łatwości w doznawaniu i poznawaniu. Obok tego kinematograf, stworzywszy specjalny kult przygody, „niemożliwego" niszczy, zwłaszcza u młodzieży, poczucie rzeczywistości i właściwości środków, któremi można osiągnąć w życiu stanowisko, powodzenie czy sławę, wytwarza niezdrowe pragnienie życia wystawnego, dzięki temu, że co najmniej połowa tematów filmowych zaczerpnięta jest z życia plutokracji, arystokracji, życia teatralnego i wogóle cyganerji, gdzie luksus, nonszalancja w dysponowaniu środkami materjalnemi jest pierwotną i zasadniczą cechą. Rozgłos i powodzenie t. zw. gwiazd filmowych zawraca głowy zwłaszcza młodzieży żeńskiej. Jak stwierdziły obserwacje czynione nad młodzieżą gimnazjalną zagranicą, a również i w Warszawie, marzenia o „sławie gwiazdy kinematograficznej" stanowią główny ośrodek zainteresowań dużej części młodzieży żeńskiej, stwarzając przykre i zgubne w skutkach pozerstwo, dosłownie wykolejając młodzież z orbity jej rzeczywistych życiowych obowiązków i przenosząc w krainę fantasmagorji.

U chłopców znów filmy awanturnicze z życia preryj amerykańskich i jej mieszkańców, dzikich c o w b o y ó w, budzą pociąg do włóczęgi, do szukania przygód, który niezawsze da się opanować do ram czysto platonicznego zainteresowania.

Na temat zainteresowań poszczególnemi rodzajami produkcji filmowej uzyskano w Anglji b. ciekawe dane statystyczne. P. Sindney Bernstein, właściciel kilku teatrów świetlnych w Londynie, rozesłał 30.000 kwestjonarjuszy do rozmaitych przedsiębiorstw filmowych, księży, członków parlamentu, lekarzy, adwokatów, aktorów. Tematem ankiety było ustalenie powodów uczęszczania do kina: Dla filmu, dla scenarjusza czy też dla gwiazdy? Z odpowiedzi na pierwszy punkt dało się ustalić, jakie rodzaje filmów cieszą się największem powodzeniem. Frekwencja na dramatach salonowych wynosi 14.75%, na komedjach 14.5%, na filmach awanturniczych 14.25%, na melodramatach 12.5%, na filmach historycznych 12%, wojennych 10.75%. Zainteresowania mężczyzn przechylają się oczywiście w stronę filmów awanturniczych, na drugiem miejscu stawiają dramaty salonowe, na trzeciem komedje. Kobiety chodzą najwięcej na filmy salonowe, następnie dopiero na komedje. Wynik tej ankiety, jakkolwiek może nie dla wszystkich społeczeństw całkowicie miarodajny, w każdym bądź razie stanowi dziś poważną wskazówkę dla producentów filmowych a z drugiej strony podstawę dla wniosków natury moralnej i społeczno-wychowawczej.

W Polsce niestety nie obserwujemy systematycznego zainteresowania się problemami kinematografji i odpowiedniego przystosowania jej do zadań i potrzeb życia społecznego. Wytwórczość mamy bardzo słabą, zarówno pod względem inwencji, jak i środków materjalnych. Do niedawna rynek nasz był zalewany różną tandetą pod względem artystycznym i moralnym. I dziś nie dzieje się lepiej.

Opinja katolicka natomiast nieomal w niczem nie przejawiła zainteresowania sprawą filmu. Ostatnio po powstaniu Komitetu Lig katolickich sytuacja uległa zmianie na lepsze, o tyle, że filmy o specjalnie religijnym charakterze są wyświetlane pod jego protektoratem. Z zadowoleniem możemy podkreślić, że powstają powoli też kina parafjalne, zwłaszcza na prowincji.

W sprawie rozstrzygnięcia kwestji omawianej i podniesienia zainteresowania kinematografją stawiamy następujące postulaty:

1. Należy stworzyć Komitet katolicki dla spraw filmowych i przyłączyć go do Międzynarodowego Biura;

2. W lokalnych komitetach cenzury powinien zasiadać stale przedstawiciel Kościoła;

3. Poczynić kroki wstępne w kierunku stworzenia rodzimej produkcji filmowej w duchu katolickim;

4. Wszystkie czasopisma katolickie (poza specjalnemi teologicznemi) winny otworzyć rubrykę filmową.

Niemcy, z właściwą swej rasie przenikliwością i metodycznością, już od samego powstania kinematografji zwrócili uwagę na kinoteatr jako na środek wychowawczy. W pierwszych latach obecnego stulecia na zjeździe pedagogicznym w Osnabrück założono protest przeciwko demoralizującym przedstawieniom teatralnym i kinowym. W r. 1908 odbył się we Wrocławiu zjazd katolickiego nauczycielstwa, który opracował szereg postulatów w sprawie zwalczania demoralizujących filmów. W r. 1913 założono w Berlinie specjalne stowarzyszenie, którego zadaniem jest dostarczanie dla młodzieży odpowiednich filmów. Ostatnio w Niemczech wielkie poruszenie umysłów wywołał film „Król Królów". Z jednej strony uzyskał on pochwałę arc. Salzburga, w którym po raz pierwszy go wystawiono, dr. Riedera, uznanie kard. Bertrama, sfer pedagogicznych nietylko katolickich i protestanckich, ale i żydowskich, z drugiej strony kard. Faulhaber wypowiedział się z protestem przeciw wyświetlaniu tego filmu, ponieważ przedstawia on Chrystusa w pojęciu racjonalistycznem. J. Eminencja zaoponował również przeciw nagrywaniu dla filmu t. zw. przedstawień pasyjnych w Oberammergau.

Powszechny protest, zainicjowany przez katolików niemieckich z Norymbergi, wywołał protestancki film o Lutrze. Przeciw wyświetlaniu filmu zaprotestował zkolei też kard. Faulhaber, którego autorytet w Niemczech cieszy się powszechnem uznaniem. Twórcą filmu „Luter" jest jeden z fanatycznych przywódców protestantyzmu, były prezes „Związku ewangelików", założyciel Koła luteran, ex-dworski kaznodzieja, pastor Döhring. Film Döhringa tchnie fanatyczną nienawiścią do katolicyzmu, dla której nic nie znaczy dokonanie szeregu fałszerstw historycznych. Przeszłość Kościoła Katolickiego została przedstawiona jednostronnie i wysoce złośliwie. Autor zionie szczególną niechęcią przeciw zakonom, toteż w jego oświetleniu praca kulturalna zgromadzeń zakonnych, bez

której, według słów protestanckiego teologa Herdera, Europa nadal byłaby ziemią przepastnych błot i dziewiczych puszcz, streszcza się jedynie do obżarstwa, pijaństwa i swawoli, składających się na beztroskie życie klasztorne. Ze szczególną pasją odmalowano życie w klasztorach, jako środowisko rozpusty i zgorszenia. Wykroczenia jednostek wystarczyły reżyserowi do rzucenia błotem na cały Kościół. Rzym papieży w ujęciu Döhringa to jedno wielkie widowisko komedjanckie, na którem handluje się zbawieniem duszy, relikwjami, godnościami kościelnemi i t. p. Na tem tle występuje prorok Luter, osaczony intrygami, walcząc z symonją i wszelkiemi szachrajstwami, prowadzi chrześcijaństwo — jak głoszą odpowiednio spreparowane napisy — „od Rzymu ku Chrystusowi". Luter staje przed sejmem w Worms. Niestety reżyserja zapomniała przedstawić tego wrażenia, jakie wywarł Luter na zebranej szlachcie i książętach. Toć widząc tego niepozornego mnicha, na którego twarzy malowało się ubóstwo duchowe, Karol V powiedział, iż „ten mniszek nigdy nie zjednałby go sobie dla swego wyznania". Moment kulminacyjny stanowi sprawa odpustów, ma się rozumieć, że protestancki teolog z całą bezceremonjalnością pomieszał sprawę odpustów z pojęciem absolucji. *Bayrische Volkszeitung* reasumując swe uwagi woła: „Toć małe dziecko katolickie mogłoby pouczyć w tej sprawie wielkich teologów z Berlina! O nauko!". Jasną jest rzeczą, że powodem wystąpienia Döhringa jest obawa kontrreformacji, lęk przed konkordatem i szkołą wyznaniową. Takim jest film, który ośmielono się zaofiarować całemu społeczeństwu niemieckiemu. Nie ma to nic wspólnego z historycznem przedstawieniem postaci Wirtemberskiego mnicha, nie jest to świetlana legenda o twórcy nowej wiary, zato dyszy nienawiścią i podjudza wzajem obywateli jednego kraju".

Problem wyzyskania kinoteatru na rzecz propagandy zasad moralnych nie schodzi ze szpalt prasy niemieckich katolików. Tak np. w jednym z numerów *Germanji* z końca lutego znajdujemy ciekawy artykuł p. t. „Der Film als ethisch-soziales Werbemittel". Artykuł ten kończy następujący szereg tez: Obowiązkiem sfer kierowniczych życia kulturalnego staje się — 1. Ujawnianie i zalecanie filmów, sprzyjających podniesieniu się i wyrobieniu duchowemu młodzieży. 2. Zainteresowanie fachowców sprawą podniesienia poziomu filmów kulturalnych, w myśl zasady połączenia przyjemnego z pożytecznem. Należy produkować filmy odpowiadające zainteresowaniom współczesnej generacji. 3. Reklamowanie wartościowych filmów z pomocą umiejętnej techniki afiszowej i inseratowej. 4. Zaleca się systematyczną pracę w kierunku a) pomocy materjalnej dla filmów kulturalnych, b) kontaktu ze zrzeszeniami, które mogłyby propagować dobry film wśród swych członków, c) stałego porozumiewania się z prasą, nakładcami, wyższemi uczelniami, słowem ze wszystkiemi czynnikami, które mogłyby być pomocą dla zamierzonego celu. W Austrji sprawie filmu poświęca

wiele miejsca *Schönere Zukunft* i *Kirchenzeitung*. Niedawno gazety podawały wiadomość, że pod protektoratem ks. kard. Piffla zostanie wyświetlony we Wiedniu szereg filmów. Wybitny ten dostojnik kościelny w pismach swych i przemowach wzywa ustawicznie do rozwinięcia w tej dziedzinie prawdziwego apostolstwa. Niemieccy katolicy oddawna zrozumieli, że nie wystarczy tylko kontrola nad produkcją filmową i ograniczanie się do oczekiwania na owoce działalności wytwórni, pracujących pod znakiem interesu, należy przystąpić do wytwórczości, podjętej z ducha i założeń katolickich. To też w Niemczech istnieje blisko już lat pięć parę towarzystw filmowych jak „Leogesellschaft" lub „Sphera" w Berlinie, które produkują filmy o katolickich tendencjach. Z wytwórni tych pochodzą znane również i w Polsce „Żywot Chrystusa", „Dekalog", „Golgota". W Austrji wytwórnia Sascha dzięki szeregowi filmów, osnutych lub powiązanych z motywami biblijnemi, przyczyniła się do produkcji, odpowiadającej założeniom katolickim. Do takich filmów zaliczyć należy „Króla niewolników", „Sodomę" i t. d.

W Ameryce Pół., która zresztą monopolizuje nieomal produkcję filmową świata, wiele dokonano dla stworzenia filmu, opartego na założeniach chrześcijańskich i służącego propagandzie etycznej. Produkcję amerykańską, jak i wogóle twórczość literacką tego młodego kulturalnego kraju, cechuje pewien prostolinijny optymizm życiowy, który już z natury rzeczy czyni z filmów amerykańskich pożądany środek propagandy. Niezależnie od tego, jeden z wybitnych reżyserów amerykańskich, francuz zresztą z pochodzenia, Cecil de Mille stworzył cały szereg filmów opartych na tekstach ewangelicznych lub też propagujących zasady etyczne. Cecil de Mille, wsławił się już pierwszem swem dziełem p. t. „Dziesięcioro przykazań"; niezwykły przepych reżyserji, śmiałość pomysłów technicznych, jak odtworzenie przejścia żydów przez morze, zwróciły powszechną uwagę świata na tego reżysera. Zachęcony powodzeniem swego dzieła, Cecil de Mille zrealizował obraz, przedstawiający dzieje Chrystusa p. t. „Król królów". Dla jak najściślejszego oddania ducha Ewangelji Cecil de Mille zaprosił na doradców szereg wybitnych duchownych katolickich, w miarę potrzeby zwracał się także do duchownych protestanckich a nawet i rabinów. Nie przeszkodziło to jednak, że gmina żydowska Nowego Jorku zaprotestowała przeciw filmowi Król królów, jakoby szerzącemu nienawiść rasową.

Amerykańscy wytwórcy dbają naogół o poziom moralny swych filmów. Niedawno prezes jednej z największych wytwórni filmowych w New-Jorku pod nazwą Metro-Goldwin-Meyer Co, zwrócił się do wszystkich producentów z apelem i szeregiem wskazówek, mających na celu ukrócenie w wytwórczości filmowej wszystkiego, co sprzeciwia się moralności. To samo towarzystwo Goldwin-Meyer wyprodukowało film „Ben-Hur", stanowiący prze-

róbkę znanej powieści „Ben-Hur". — Film ten, został właśnie przyjęty z entuzjazmem przez żydów, stanowiąc jakoby apologję żydostwa prześladowanego, cierpiącego a wkońcu triumfującego nad swymi wrogami. W filmie tym epizodycznie ukazuje się postać Chrystusa. Dla zorjentowania jakich potrzeba nakładów, żeby stworzyć film o wartości trwalszej, należy przytoczyć, że koszta filmu Król królów obliczono blisko na 3 miljony dol., koszta Ben Hura podobno przekroczyły tę sumę.

Obiega również cały świat katolicki, nakręcony przez jedno z większych przedsiębiorstw, film kronikarski z ostatniego kongresu eucharystycznego w Chicago.

Towarzystwo filmowe National Co w New-Jorku przystąpiło do realizacji filmu p. t. „Utajony Bóg". Treścią filmu jest Eucharystja, jej kult i historyczny rozwój jego wśród narodów. Scenarjusz napisał jezuita ks. J. Husslein, redaktor czasopisma „America". Nad wykonaniem filmu czuwa specjalna komisja, na której czele stoją trzej biskupi. Koszta filmu obliczono na pół miljona dolarów.

Wspomniana wytwórnia Metro-Goldwin-Meyer wyprodukowała film, który w katolickiej Irlandji wywołał powszechne protesty, z powodu swego antykatolickiego i antyirlandzkiego charakteru. Potężna emigracja irlandzka w Ameryce z arcybiskupem Filadelfji, kard. Dougherty na czele zaprotestowała przeciw wyświetlaniu tego filmu. Wytwórnia mimo strat sięgających blisko 200.000 dolarów film wycofała.

Sprawa kinematografji znalazła może najwięcej zrozumienia i czynnej reakcji we Francji. Od kilku lat datuje się już praca produkcyjna w kierunku stworzenia oryginalnych filmów religijno moralnych w duchu katolickim. Do takich filmów zaliczyć należy wyprodukowany jeszcze w r. 1925 film „Le miracle de Lourdes" (w którym główną rolę odegrał Paweł Wegener, niemiec. Był to nawet jeden z pierwszych przejawów współpracy kulturalnej francusko-niemieckiej). Film ten ma niezwykle piękny i wzruszający moment z cudownym krucyfiksem, przypominającym wizerunek Chrystusa w Limpias, a następnie moment uzdrowienia chorej w czasie błogosławieństwa Najśw. Sakramentem w Lourdes.

Do takich duchem chrześcijańskim owianych filmów, należy film „Cud wśród wilków", którego premjera odbyła się w gmachu Opery paryskiej, pod protektoratem władz państwa.

W połowie r. 1927 zorganizowano w Paryżu pod honorową prezesurą samego kard. Dubois, specjalny Komitet Kinematograficzny, którego zadaniem jest scentralizowanie akcji katolickiej w dziedzinie kinematografji. Komitet w programie swoim przewiduje: przeciwdziałanie szkodliwym wpływom, jakie wywiera kinoteatr na moralność publiczną, popieranie producentów filmowych służących sprawie filmów etycznie dodatnich, budzenie w społeczeństwie z pomocą żywego słowa i prasy krytycznej świadomości

wobec filmów szkodliwych i należytego zainteresowania dla filmów dobrych. W tym celu Komitet podejmie pracę nad rozszerzeniem i urozmaiceniem w pismach działu krytyki kinematograficznej. Wszystkie większe organizacje katolickie we Francji współpracują ze wspomnianym komitetem. Doniosłość rozciągnięcia należytej opieki nad kinematografją rozumie szczególnie J. Eminencja kard. Dubois, który chętnie prezyduje na pokazach dobrych filmów, który w swych przemówieniach podkreśla, że niema Muza mówi, i że należy baczyć, by mowa jej nie siała zgorszenia. W Paryżu Ojcowie Assumpcjoniści, którzy postawili sobie za zadanie szerzenie ideałów moralnych z pomocą teatru i założyli w tym celu na Quai de Passy t. zw. „Bon theatre", dają też w ciągu roku cały szereg przedstawień kinematograficznych, które się umiejętnie przeplatają z przedstawieniami teatralnemi, odczytami i zebraniami towarzyskiemi. Poza tem wszystkie większe parafje starają się zainstalować w domu parafjalnym własny aparat kinematograficzny, który w soboty i święta mógłby pracować również dla sprawy kultury duchowej i dobra Kościoła. Wogóle wśród kleru katolickiego Francji obserwujemy wielkie zainteresowanie sprawą kinoteatru i jego ewentualną rolą w dziele apostolskiem. Na kongresie katolickich pracowników w dziedzinie kina, jaki odbył się w styczniu b. r. w Tuluzie, wzięli bardzo liczny udział duchowni katoliccy.

Oczywiście, że na usługi tak powszechnego zainteresowania się ze strony katolicyzmu kinematografją, należało stworzyć własną prasę specjalną. W tym celu założono czasopismo, poświęcone zadaniom krytyki filmowej ze stanowiska katolickiego p. t. *Des dossiers du Cinema.*

We Francji wyprodukowano cały szereg filmów o wyraźnej tendencji. Do najważniejszych należy zaliczyć wspomniane już „Cud w Lourdes", „Cud wśród wilków", w połowie zeszłego roku wyświetlany w Warszawie „Deszcz róż", osnuty na tle życia św. Teresy od Dzieciątka Jezus. Francuski jego tytuł brzmi: „La rose effeuillée", wśród innych filmów należy wymienić Agonję Jeruzalem (L'agonie de Jerusalem). W r. 1927 wyprodukowano film, jeden z potężniejszych filmów katolickich współczesnych, obrazujący życie zakonników i zakonnic we Francji (Les religieux et religieuses de France). Film ten obliczony był na pozyskanie sympatji szerszych kół społeczeństwa dla pracy kulturalnej zakonów. Ideałom i życiu współczesnej młodzieży poświęcony jest film „Bohaterskie serca" (Les coeurs heroiques), oparty na motywach z działalności skautów francuskich. Powszechną popularnością cieszy się dawno już wyprodukowany film „Żywot Joanny d'Arc".

Romanse znanego i popularnego na całym świecie pisarza katolickiego, Pierre l'Ermite, (jest to kapłan, proboszcz z pod Paryża), posłużyły do stworzenia całego szeregu filmów, mających

pierwszorzędne walory etyczne, a jednocześnie obliczonych na pobudzenie ciekawości mas. Do takich należy: „Kobieta z zamkniętemi oczami" (la femme aux qeuń fermés), „Wielka przyjaciółka", (La grande amie) i „Jak zabiłam moje dziecko" (Comment j'ai tué mon enfant). Francuska produkcja filmowa interesuje się żywo tematami polskiemi. Dowodzi tego wytworzenie szeregu filmów, jak „Św. Stanisław" i zapowiedziane nakręcenie filmów p. t. „Męczeństwo św. Sadoka i jego towarzyszy" oraz „Częstochowa".

Nie poprzestając na istniejących wytwórniach katolicy francuscy przystąpili do stworzenia nowych. Tak więc biskup z Amiens poświęcił 17 XII r. z. fundamenty nowej wytwórni p. n. „Vitalux". Budujące się nowe atelier jest obliczone na produkcję wielkich filmów, rozporządza poważnemi kapitałami. Popieranie dobrych filmów i wogóle kontrola kinematografji interesuje bardzo żywo społeczeństwo włoskie. Wytwórnie włoskie mają już za sobą cały szereg filmów, jużto związanych z ideologią chrześcijańską, już nawiązujących do historji chrześcijaństwa. Do takich należą „Neron", „Quo vadis" (filmowane dwukrotnie), „Biała siostra" i w. p. Korzystając z zezwolenia zmarłego papieża Benedykta XV dokonano zdjęć wnętrz i muzeów watykańskich a także niektórych fragmentów z życia Ojca św. Zfilmowano również uroczystości Roku Jubileuszowego i wystawę misyjną. Papież posiada w pałacu aparat kinematograficzny, na którym są wyświetlane niektóre godne uwagi filmy, jak „Król królów". Dla popierania filmów wychowawczych powstało w Medjolanie konsorcjum, które wydaje własny organ p. t. „La rassegna del teatro e del cinematografo". Niedawno w Rzymie w obecności króla i jego rodziny oraz dostojników państwa wyświetlano film, stworzony z racji 700-lecia franciszkańskiego p. t. „Św. Franciszek z Assyżu". Św. Franciszka gra Pasqualini. Film ten w Polsce znany jest p. n. „Serafin ludzkości".

Do filmów, opartych na motywach chrześcijańskich, należy wytworzony we Włoszech film „Cesarz Wezpazjan", „Zwycięstwo Konstantyna" i „Męczeństwo chrześcijan".

Zainteresowanie się sprawą filmu przybiera w Holandji bardzo realne kształty. Oto z inicjatywy Międzynarodowej Unji Katolickich Związków Kobiecych, której siedzibą jest Rotterdam odbył się wstępny zjazd, mający na celu przygotowanie „Międzynarodowego Kongresu katolickiego dla spraw kinematografji". Powstało już Międzynarodowe Biuro Katolickie Propagandy Filmowej, które ostatecznie przygotowało ten kongres, którego termin oznaczono na 23-25 kwietnia r. b. w Hadze.

J. Czarnecki.

Od Redakcji.

Przed dwoma laty uważaliśmy się za zmuszonych napiętnować mianem „oszczercy" p. majora J. Żychowskiego z Warszawy z powodu nieprawdziwych szczegółów, umieszczonych w piśmie *Pro Patria,* a dotyczących współpracowniczki naszego pisma, p. Z. (Zob. *Przegląd Powszechny* lipiec-sierpień 1926 r., str. 206 i 207). Obecnie otrzymaliśmy od p. majora Ż. pismo wyjaśniające, że 1) jeden z dwóch inkryminowanych mu ustępów nie pochodzi z pod jego pióra, lecz został samowolnie dodany przez redakcję *Pro Patria,* a drugi opierał się na krążącej opinji, która znalazła swój wyraz w innem warszawskiem piśmie; 2) że po zwróceniu przez nas uwagi na nieprawdziwe twierdzenie, usiłował umieścić sprostowanie w *Pro Patria,* którego jednak redakcja owego pisma nie przyjęła; 3) że nie jest autorem późniejszych notatek w tejże sprawie w *Pro Patria* umieszczonych; 4) że uznaje swój postępek za „nieoględny". Wobec tego wyjaśnienia, szkoda że tak późno nadesłanego, redakcja uznaje, że p. major Ż. działał w dobrej wierze i na miano „oszczercy" nie zasłużył.

Na polski ołtarz w Nazarecie.

Od siedmiu już przeszło wieków Kustodja i Misja Franciszkańska Ziemi św. z polecenia Stolicy Apostolskiej stoi na straży Miejsc św. w Palestynie. W długim tym okresie czasu synowie św. Franciszka nietylko starali się o zachowanie praw Katolików do tych św. pamiątek po Zbawicielu, ale też przy pomocy wiernych całego świata dbali wedle możności o ich przyozdobienie i upiększenie. Po wybudowaniu zaś niedawno bazyliki Konania P. Jezusa w Getsemani i bazyliki Przemienienia Pańskiego na górze Tabor, przystępują obecnie do wzniesienia nowej bazyliki Zwiastowania Najśw. Marji Panny w Nazarecie. Koszta budowy będą pokryte ofiarami zebranemi przez Komisarjaty Ziemi świętej, wewnętrzne zaś przyozdobienie bazyliki, jako to mozaiki, ołtarze, organy itd. będą darami poszczególnych krajów katolickich. Aby i nasza ukochana Polska miała w tem jakąś zasługę i honor, niżej podpisany uzyskał od Kustosza Ziemi św. upoważnienie do zbierania ofiar na ołtarz św. Antoniego dla tej nowej bazyliki. Pod ołtarzem wyryty będzie napis: Polonia semper fidelis erexit hoc altare (Polska zawsze wierna wzniosła ten ołtarz).

Znając wielką ofiarność Narodu polskiego, jesteśmy pewni, że nie da on się prześcignąć w hojności katolikom innych krajów, i że zarówno duchowieństwo jak i lud polski nie pożałują Najśw. Panience i św. Antoniemu obfitych jałmużn, które prosimy nadsyłać pod adresem:

Rev. Aurelius Borkowski O. F. M.
St. Saviours's
Palestine — Jerusalem

REDAKTOR I WYDAWCA: *KS. JAN URBAN T. J.*

Druk ukończono 1 maja 1928 r.

Zagadnienie „korytarza" pomorskiego ze stanowiska geografji politycznej.

Terytorjum Rzeczypospolitej polskiej przedstawia w dzisiejszych granicach obszar zwarty i dobrze naogół skomasowany. Tę ogólną cechę dwa jedynie zakłócają wyjątki. Są to owe dwa „półwyspy", tak wybitnie zaznaczające się w kształcie państwa: wileński, wysunięty ku północnemu wschodowi, oparty o Dźwinę, oraz na północnym zachodzie pomorski, sięgający wybrzeża Bałtyku. Stanowiąc stosunkowo wąskie wypustki, wciśnięte między obce terytorja i luźniej skutkiem tego związane z wnętrzem państwa, przedstawiają one nietylko najbardziej w razie wojny narażone strategicznie i trudne do obrony prowincje kresowe, ale i przedmiot sąsiedzkich tendencyj zaborczych, znajdujących wyraz bądź bezpośredni w oficjalnych akcjach politycznych, bądź pośredni w obcej opinji publicznej, prasie, publicystyce, — nawet nauce. Mamy więc, obok głośnej w ostatnich czasach „sprawy" wileńskiej, poruszany nieustannie ze strony niemieckiej problem t. zw. korytarza pomorskiego.

W fizycznym zespole ziem polskich owa wypustka terytorjum państwowego, jaką dzisiaj tworzy województwo pomorskie, nader znamienny przedstawia szczegół. Wszak naturalnym obszarem państwa polskiego jest przestrzeń Europy rozpięta między Karpatami a Bałtykiem. Przestrzeń życiowa Polski, pozbawiona na wschodzie i zachodzie wyraźnych naturalnych granic, posiada je na południu i północy w postaci górskiego łańcucha i wybrzeża morskiego. Ale gdy do pierwszej z tych przyrodzonych granic, reprezentowanej

przez łuk Karpat, przypiera Rzeczpospolita na ogromnej przestrzeni — drugiej, t. j. brzegu Bałtyku, dotyka jedynie na wąskim skrawku, stanowiącym zaledwie 3% jej obwodu (dla Niemiec stosunek ten wynosi 35%), a sięga do niej właśnie za pośrednictwem pomorskiego półwyspu.

Paradoksalne to zjawisko znajduje wytłumaczenie w geograficznych warunkach [1]), utrudniających Polsce dostęp do morza w ciągu jej dziejów i sprawiających, że i w przeszłości państwo polskie na wąskiej jedynie przestrzeni Gdańskiego Pomorza opierało się o wybrzeże. Wewnętrzny obszar nizin polskich odgradza od Bałtyku grobla pojezierzy przebiegająca przez Pomorze i Prusy Wschodnie, przecięta przełomem dolnej Wisły. Stworzona przez nasypy skandynawskiego lodowca, garbi się ona pasmami i wzgórzami moren czołowych, wśród których rozlewają się setki jezior i moczarów, połączonych splątaną siecią strumieni. U południowego jej skłonu zaległy długim pasem piaszczyska naniesione przez lodowcowe wody, podłoża ogromnych niegdyś puszcz leśnych pomorskich, pruskich, mazowieckich i podlaskich. Pozostałością ich są dzisiejsze bory Tucholskie, puszcza Myszyniecka, Rożańska, Augustowska. Te przyrodzone zapory, których zwartość i hamujące znaczenie większe oczywiście były w przeszłości niż dzisiaj, stanowiły od początku istnienia państwa polskiego poważną przeszkodę do oparcia granic o wybrzeże. Walczyć trzeba było o dostęp do morza zarówno z Pomorzanami, którzy, jak słusznie podkreśla Semkowicz: „dzięki właśnie naturalnym a tak mocnym granicom, mimo swe lechickie pobraterstwo z Polakami, objawiali zawsze silny separatyzm plemienny“ [2]), — z Prusakami, wreszcie z niebacznie nad dolną Wisłę przywołanymi Krzyżakami, którzy za tą zasłoną silną znaleźli ostoję. Jedyna wpoprzek pojeziernej grobli z wnętrza Polski biegnąca otwarta naturalna droga, to ów prastary, suchy „szlak bursztynowy“, dążący do Bałtyku wzdłuż zachodniego brzegu Wisły. Ułat-

[1]) J. Smoleński: Przyrodzony obszar Polski i jego granice etc. *Przegląd geograficzny* VI. 1926.

[2]) W. Semkowicz: Rola czynników fizjograficznych w rozwoju dziejowym Polski. — Przewodnik Kongresowy II. Zjazdu Słow. Geogr. i Etnogr. w Polsce 1927.

wiony nim dostęp z południa umożliwił Polsce wiekowe panowanie nad Gdańskiem Pomorzem, jako leżącem na jego osi, — dzięki niemu w pasie z niem sąsiadującym utrzymał się nad morzem etnograficzny żywioł polski. Ten pas kraju, predestynowany niejako z natury dla roli łącznika Polski z wybrzeżem, to właśnie nasz obecny pomorski półwysep.

Dziwnem mogłoby się wydawać, że odzyskanie przez zmartwychwstałą Rzeczpospolitę tego drobnego stosunkowo i rdzennie polskiego obszaru, który wszak przed gwałtem rozbiorów przez setki lat do Polski należał, stanowi szczególny kamień obrazy dla naszych zachodnich sąsiadów, — że przez opinję niemiecką jego utrata odczuwana jest wyjątkowo silnie i przedstawiana jako specjalna krzywda. Punktem zaczepienia jest tu niezaprzeczony fakt, że „korytarz" pomorski odcina Prusy Wschodnie od reszty terytorjum Niemiec, stwarza z nich izolowaną eksklawę.

Zjawisko to, — jako równoznaczne z rozerwaniem jednolitego obszaru państwowego przedwojennych Niemiec i utrudnieniem przez to bezpośrednich i swobodnych stosunków komunikacyjnych z resztą państwa integralnej jego części, której grozić rzekomo ma wskutek tego ekonomiczna ruina, — traktuje się ze strony niemieckiej jako stan krzywdzący, nienaturalny, sprzeczny z zasadami geograficznemi, jako bezprzykładne geograficzno-polityczne curiosum. Powstała już spora literatura ujmująca kwestję w ten sposób.[1])

Przypatrzmy się ile w tem prawdy, objektywnie rzecz rozważając. — Zacznijmy od konkretnej sprawy komunikacji. Tę na drodze morskiej utrzymują oczywiście Prusy Wschodnie z Niemcami po dawnemu, przyczem stworzono jeszcze nowe linje żeglugi, jak stale funkcjonującą między Piławą a Swinemünde, — w r. 1919 położono nowy kabel z Tenkitten do Leby. Chodzi tu jednak o drogę lądową, przeciętą przez nowe granice polityczne. Wiadomo, że artykuł 98 Traktatu Wersalskiego gwarantuje Prusom Wsch. możność swobodnej komunikacji wpoprzek pomorskiego „korytarza". Niemieckie pociągi przebiegają tu przez polskie terytorjum

[1]) Deuticke, Jaeger, Eichler, Kayser, Witschel i cała niemiecka szkoła „geopolityczna".

bez przeszkody, wolne od rewizji i jakichkolwiek utrudnień, ruch osobowy i transport towarów odbywa się w sposób niczem niekrępowany. Bynajmniej nie dowiedziono, by ten rodzaj komunikacji przyniósł Prusom Wsch. gospodarcze szkody, — zresztą udowadniać tego nawet nie próbowano. Natomiast, przyznając, że Polska dostępu do morza potrzebuje, suggerowano myśl, że dostęp ten zostałby jej dostatecznie zapewniony przez prawo przejazdu i przewozu przez terytorjum niemieckie, bez posiadania przez nią Pomorza. Byłoby to więc rozwiązanie sprawy podobne do istniejącego, tylko że z zamienionemi rolami. Z objektywnego stanowiska trudno zgodzić się na to, by ocena zjawiska, jako takiego, zależna była od tego, czy odnosi się ono do Niemiec, czy do Polski.

Ważniejsza, — bo zasadnicza, — jest sprawa eksklawy, — odcięcia Prus Wschodnich od reszty niemieckiego państwa. Czy jest to zjawisko istotnie tak wyjątkowe, że nie posiada analogji w ukształtowaniu innych państw, — i czy w przypadku Prus Wsch. ma ono rzeczywiście cechy pogwałcenia racjonalnych geograficznych zasad? W odpowiedzi na pierwsze pytanie przytoczyć można szereg eksklaw współczesnych. Pomijam znane w obrębie samych Niemiec, gdzie enklawy i eksklawy państw związkowych są liczne, oraz podobne stosunki nierzadkie w Sowdepji, gdyż dotyczą terytorjów państw wchodzących wspólnie w skład większej politycznej całości. Ale wszak częścią Stanów Zjednoczonych jest od r. 1867 Alaska, terytorjalnie z niemi niezwiązana, odgrodzona Kanadą, — do Stanów Zjedn. należy również strefa wzdłuż kanału panamskiego. Posiadłością włoską jest położona na dalmatyńskiem wybrzeżu Zara, oddzielona od Italji przez obszar jugosłowiański. — W przykładach tych mamy do czynienia z eksklawami leżącemi na wybrzeżach wspólnego lądu — połączenie z resztą państwa zapewnia im morze.

W podobnej roli znajdują się Prusy Wsch. wobec Niemiec. Były one w stosunku do nich od początku kolonją, powstałą zdala od rdzennego obszaru, a nie wzrosłą u kresów jego zasięgu. Pruskie dzierżawy Krzyżaków w ciągu XIII i z początkiem XIV wieku graniczyły na zachodzie z Pomorzem Gdańskiem, którem władali wówczas bądź nie-

zależni książęta (Świętopełk, Mestwin) bądź Polska (Przemysław III., Łokietek). Po okresie walk z Polską, wywołanych zagarnięciem przez Zakon Gdańskiego Pomorza (Płowce-Grunwald, Wojna Trzynastoletnia...) trwają Prusy Wschodnie od pokoju toruńskiego 1466 do końca XVIII. w., — do czasów rozbioru Polski, — w pełnej izolacji, w podobnych więc warunkach jak obecnie, oddzielone od Brandenburgji przez „korytarz" polski Prus Królewskich. Jak zobaczymy niżej, niemiecka ludność Prus Wsch. tworzy i dzisiaj — podobnie jak w przeszłości — izolowaną wyspę etnograficzną. To też charakter polityczny eksklawy, brak bezpośredniego terytorjalnego połączenia z Niemcami, jako odpowiednik znamion kolonji osadniczej, której brak etnicznego pomostu, jest tu geograficznie uzasadniony i pozostaje w harmonji z właściwościami obszaru i jego sąsiedztwa.

Czy wynika stąd, że niemiecka dążność do zniesienia pomorskiego „korytarza" i do związania Prus Wsch. z resztą Niemiec jest objawem sztucznym, opartym jedynie na pamięci niedawnego władania cudzym obszarem? Bynajmniej. Istnieją pewne tendencje rozwojowe państw, jakgdyby oparte na ich elementarnej dynamice, dające się stwierdzić w historji i ujęte przez naukę w formę poniekąd praw [1]). Do takich należy dążność skierowana ku terytorjalnemu połączeniu obszarów państwa luźnie z niem związanych oraz dziedzin zamieszkałych przez ten sam naród. Tej oto naturalnej dążności odpowiada kampanja niemieckiej opinji przeciw pomorskiemu półwyspowi, — z tego stanowiska jest ona zrozumiała i z jej trwałością trzeba się liczyć.

Ale takie, niejako biologiczne tendencje ekspansyjne organizmów państwowych rzadko dzisiaj trafiają w przestrzeń politycznie „obojętną", najczęściej spotykają się one z odwrotnie skierowanemi i równie, albo więcej uzasadnionemi naturalnemi dążnościami państw sąsiednich. Otóż stwierdzić można, że istnienie pomorskiego półwyspu i wola utrzymania go przez Polskę odpowiada również elementarnemu prawu dynamiki żywego i chcącego się rozwijać państwa. Truizmem będzie przypominanie dążności do dostępu do morza, jako

[1]) Ratzel, Dix, Wütschke, Haushofer, Maull etc,

podstawowej geopolitycznej tendencji, która zaznaczała się tak wyraźnie (choć nieraz nieświadomie) w naszych dziejach wbrew wszelkim trudnościom geograficznej i politycznej natury. Ta dążność do oparcia granic o Bałtyk, której historyczną realizacją było nietylko władanie nad Gdańskiem Pomorzem, ale i Unja z Litwą i zdobycie praw suwerennych nad Prusami Wsch., odpowiada życiowej potrzebie opanowania przez państwo najbardziej naturalnej granicy swego przyrodzonego obszaru, oraz wyzyskania związku z morzem i wiąże się z najistotniejszemi interesami natury ekonomicznej.

Drugą naturalną tendencją, — podobnie w formę geopolitycznego „prawa" ujętą, — kierującą Polskę ku Gdańskiemu Pomorzu, jest dążność do opanowania ujścia Wisły, jako rzeki, której cały poza tem obszar leży w granicach państwa. Wszak dzisiaj poniżej Tczewa, w odległości zaledwie dwudziestu kilku kilometrów od ujścia, opuszcza Wisła teren polski, po którym zdążała przeszło 700 kilometrowym biegiem, płynąc od samych źródeł przez polskie tylko ziemie. Zebrane po drodze wody i drogi kieruje ku naturalnemu wylotowi, ku przyrodzonej bramie kraju, którą sztuczna granica o krok przed ujściem zamyka. Nic dziwnego, że istnieć tu musi tendencja ekspansji, odpowiadajaca również ogólnemu prawu — temu samemu, które np. Litwie kazało zająć Kłajpedę.

Stwierdzając zasadnicze, geograficzne podstawy stosunku Polski do jej pomorskich kresów, odrazu wyciągnąć stąd można jeden wniosek. Można mianowicie zgóry powiedzieć, że wszelkie pomysły zgodnego z interesem Niemiec rozwiązania sprawy „korytarza" drogą odstąpienia go przez Polskę za jakąś inną — choćby najcenniejszą — rekompensatę, powierzchni tarcia usunąćby nie zdołały. Bez względu na fluktuacje aktualnej polityki dążność Polski do oparcia o morze i dostępu do ujścia Wisły przejawiać się musi w jej polityce jako zjawisko stałe, związane z geograficznem położeniem państwa, nie dające się przeto usunąć. Posiadanie Pomorza jest częściową tej dążności realizacją.

Z rozważań powyższych wynikło, że zarówno niemiecki napór na korytarz pomorski, jak polska wola utrzymania go, odpowiadają naturalnym, geograficzno-politycznym ten-

dencjom życiowym obu państw interesowanych. Trzeba jednak zaznaczyć, że pierwsza z nich jest wyrazem pewnej potrzeby, — druga konieczności. Jest rzeczą znamienną, na którą zbyt mało zwraca się uwagi przy roztrząsaniu problemu „korytarza" pomorskiego, że okres, w którym Prusy Wsch. nie były eksklawą i łączyły się bezpośrednio z terytorjum państwa niemieckiego, to okres wyjątkowy nieistnienia państwowości polskiej. Te dwa zjawiska pozostają z sobą w związku: mianowicie zdają się wzajemnie wykluczać. Sądzę, że to najlepiej ilustruje różnicę wagi, jaką dany problem dla obu stron przedstawia. — W każdym razie, trwając przy założeniu istnienia niezależnej Polski, nie można za normalne i miarodajne uważać stosunków, panujących w czasie jej podziału i z podziałem tym przyczynowo związanych.

Rozpatrywanie kwestji „korytarza pomorskiego" wyłącznie pod kątem granic politycznych, jakie jego przynależność stwarza, oraz ogólnych dążności i potrzeb obu interesowanych państw, jako całości, sprawy nie wyczerpuje. Pomija bowiem właściwości wewnętrzne samego wchodzącego tu w grę obszaru, traktując go jako przestrzeń obojętną. Tymczasem w omawianym problemie odgrywają również ważną rolę momenty etnograficzno-narodowe, — stąd konieczne jest wzięcie pod uwagę stosunków ludnościowych panujących w obrębie „korytarza". Zasadniczo chodzi więc o stwierdzenie polskiego lub niemieckiego charakteru dzisiejszego województwa pomorskiego. Pozornie komplikuje rzecz kwestja kaszubska. Starano się, jak wiadomo, ze strony niemieckiej wykazać odrębność narodową zamieszkujących północną część województwa Kaszubów, potomków lechickiego plemienia dawnych Pomorzan. Ich mowa, przedstawiana niekiedy jako odrębny rzekomo język słowiański, uznana jednak została przez lingwistykę za narzecze polszczyzny nadmorskie, przeciwstawiające się kontynentalnym. Co się tyczy samookreślenia narodowego, jest ono tu zupełnie niedwuznacznem, — lud ten przez kilkanaście ostatnich lat przed wojną światową wybierał do parlamentu niemieckiego i sejmu pruskiego posłów polskich i za czasów zaboru poczuwał się nie mniej niż dzisiaj do polskości. Już w czasie spisu ludności w r. 1905 prezes rejencji gdańskiej konstatuje, że w pow.

Kościerzyńskim, Kartuskim i Wejherowskim większość Kaszubów podaje polski język za ojczysty [1]). W r. 1912 w popularnej geografji Prus Zachodnich skarży się znawca kraju F. Braun, że Kaszubi, „których narodową odrębność nieraz przeceniano, przyłączyli się najzupełniej do Polaków i podtrzymują skutecznie wielkopolską propagandę".[2]). — Skoro więc język kaszubski jest odłamem polszczyzny a oni sami uważają się za Polaków, niema najmniejszej podstawy, by ich statystyka polska miała traktować oddzielnie.

Według ostatniego spisu ludności 1921 r. województwo pomorskie jako całość liczy 82% Polaków. We wszystkich (bez wyjątku) 18 powiatach Polacy stanowią w niem większość, — w 12 powiatach większość ta przenosi 75% ogółu mieszkańców. Wyniki tego spisu dla Pomorza szczegółowo opracował S. Pawłowski [3]). Obliczył, że 82·6% osad (miast, gmin wiejskich i obszarów dworskich) ma przewagę polską, — że przeszło połowa (53%) wszystkich osad ma odsetek Polaków przenoszący 90%, jest więc prawie czysto polską. Podobną przewagę Niemców posiada zaledwie 2·5% osad. Zwarty obszar polski zajmuje przeszło 90% powierzchni województwa.

Na podstawie spisu niemieckiego z r. 1910 starano się wykazać (A. Penck 1921 i i.),, że terytorja zamieszkałe w większości przez Polaków tworzą tu odosobnione wyspy, że natomiast wpoprzek dzisiejszego „korytarza" pomorskiego ciągnie się ku Prusom Wsch. pomost niemiecki, równoległy do Noteci a następnie towarzyszący dolnej Wiśle. Jest to fikcja, której rzeczywistość zaprzecza. Spisu urzędowego niemieckiego z r. 1910 nie można brać poważnie w rachubę, naprzód ze względu na jego zasadniczą w kwestji narodowościowej niepewność, dostatecznie jaskrawo oświetloną przez Romera (l. c.) następnie dlatego, że wobec istniejących wówczas stosunków politycznych swoboda otwartego przyznawania się do narodowości polskiej była na Pomorzu skrępowana, wreszcie ponieważ od tego czasu żywioł niemiecki skutkiem dobro-

[1]) Por. E. Romer: *Polacy na kresach pomorskich i pojezierzach.* Prace Geogr. II., Lwów 1919.

[2]) Fritz Braun: *Landeskunde der Prowinz Westpreussen.* Lipsk 1912.

[3]) S. Pawłowski: *O rozmieszczeniu ludności polskiej w woj. pomorskiem.* Poznań 1927.

wolnej emigracji uległ tu poważnemu zmniejszeniu. Opierając się na ostatnim spisie z r. 1921 i wyzyskującej jego wyniki mapie Pawłowskiego, stwierdzić można, że większość polska zajmuje dzisiaj na Pomorzu terytorjum zwarte, pas nieprzerwany, wiążący obszar Wielkopolski z wybrzeżem morskiem. Skupienia niemieckie reprezentują na tem terytorjum enklawy, zagęszczone głównie nad Wisłą i w południowej części województwa skutkiem celowej kolonizacji, ale bynajmniej nie łączące się w jednolity pomost, któryby spajał Brandenburgję z Prusami Wschodniemi.

„Korytarz" pomorski jest więc obszarem bezsprzecznie polskim, który ze stanowiska etnograficznego bezspornie się Polsce należy; zamysł oderwania go od Rzeczpospolitej byłby pogwałceniem kardynalnej zasady narodowej. Korytarz zapewnia konieczne dla państwa polskiego połączenie z morzem, a izolując Prusy Wschodnie, tworząc z nich niemiecką polityczną eksklawę, nadaje prowincji tej cechę zgodną zupełnie z jej charakterem izolowanej etnograficznej wyspy, będącej w istocie nie dzielnicą, lecz kolonją Niemiec.

Prof. Jerzy Smoleński.

Wychowawczo-oświatowa akcja socjalizmu w Polsce.

II. Socjalizm przedwojenny i powojenny. — T. U. R. dorosłych i młodzieży. — Organizacje sportowe. — Towarzystwo przyjaciół dzieci. — Ocena działalności.[1])

Wojna światowa zamknęła 25-letni prawie okres rozkwitu socjalizmu, reprezentowanego przez „2-gą" Międzynarodówkę.[2]) Dzień 1-go sierpnia 1914 r. przekreślił cały radosny entuzjazm, jaki rozbrzmiewał na dotychczasowych zjazdach międzynarodowych i wiarę we własne siły. Jeszcze dwa lata przedtem, na nadzwyczajnym Kongresie w Bazylei, J. Jaurès odczytał w imieniu Międzynarodowego Biura Socjalistycznego manifest przeciw wojnie i zakończył swe przemówienie słowy: „Międzynarodówka reprezentuje całą moralną siłę świata!" — a tymczasem potęga ta okazała się niezdolną do zapobieżenia pożodze światowej, owszem sama padła jej ofiarą. Członkowie jej znaleźli się naprzeciw siebie w rowach strzeleckich, nie z przymusu jedynie, ale w wiel-

[1]) I-sza część p. *Przegląd Powszechny* z marca b. r.

[2]) Dotychczasowe Międzynarodówki robotnicze przedstawiają się następująco: „I-a" założona przez K. Marxa w Londynie, w r. 1864, rozpadła się z powodu niezgodności poglądów we własnem łonie już w r. 1872. „2-a" zawiązana na międzynarodowym kongresie socjalistów w Paryżu, w r. 1889, doszła do największego znaczenia i przetrwała do r. 1914. Niewielka „$2^1/_2$" Międzynarodówka utworzyła się z końcem 1920 r. w Wiedniu, jako człon pośredni między „2-ą" a komunistyczną t. zw. „3-ą" Międzynarodówką, założoną w Moskwie w r. 1919.

kiej albo i przeważnej części z własnej woli, w obronie swej ojczyzny. Rozbicie wdarło się nawet do Partyj w obrębie poszczególnych krajów, a pierwsze lata po skończonej wojnie były świadkiem dalszego procesu rozkładowego w ich szeregach. Masy proletarjatu oczekiwały bowiem, że teraz ziszczą się czynione im tylekroć obietnice raju socjalistycznego, nie mogąc zaś doczekać się go, zrażały się do Socjalnej Demokracji i porzucały jej szeregi.

Dopiero kilka lat po wojnie, w r. 1923, zdołali zwolennicy dawnych przekonań zebrać się znowu na wspólne narady w Hamburgu, by „po przezwyciężeniu spiętrzonych trudności" odbudować na nowo zrujnowany gmach. Na gruzach jego powstała teraz świeża „Socjalistyczna Międzynarodówka Robotnicza"; co do rzeczy miała ona być dalszym ciągiem starej „2-ej" Międzynarodówki, ale wszyscy czuli, że jest to twór nowy.[1]) Stąd „kierownicy (jej) — pisał *Robotnik* (1925 nr. 242) — przykładają wielką wagę do odróżniania Międzynarodówki powojennej od przedwojennej" i numerację Kongresów rozpoczynają od tego okresu; Kongres hamburski nazwano pierwszym, a następny, który odbył się w Marsylji w sierpniu 1925 r., drugim.

Nowa organizacja rozwijała się żywo. Obok niezaprzeczonej klęski przyniosła bowiem wojna i związana z nią rewolucja także spore korzyści dla ruchu proletarjackiego, gdyż stworzyła nowe, pomyślne warunki dla walki klasowej. „Sproletaryzowała ona — pisze Karol Kautsky w przedmowie do swego monumentalnego dzieła „Materjalistyczne pojmowanie dziejów" (r. 1927) — olbrzymie masy istnień drobnomieszczańskich, napełniła ogromne masy obojętnych i małodusznych zainteresowaniem politycznem i społecznem", trzeba tylko zorganizować je należycie i wyszkolić, a wtedy „wstąpienie ich do szeregów Socjalnej Demokracji musi ją uczynić niezwyciężoną i oddać jej pełną władzę polityczną" (p. *Robotnik* 1928 nr. 2).

---

[1]) Powstała ona z połączenia Międzynarodówek 2 i $2^1/_2$, działa w ścisłem porozumieniu z Amsterdamską Międzynarodówką Związków Zawodowych, a siedzibę stałą ma w Londynie; na czele jej stanął Artur Henderson (Anglja).

Do ujęcia tej władzy w swe ręce dąży też socjalizm powojenny niedwuznacznie. Podczas gdy dawniej zajęty był głównie walką klasową i organizowaniem mas robotniczych i wogóle posiadał „charakter opozycyjny", to po wojnie sytuacja ta zmieniła się gruntownie. Wbrew głoszonym dawniej zasadom i praktyce zajmowali teraz socjaliści fotele ministerjalne, starali się obsadzić posterunki kierownicze w samorządach i ważniejszych instytucjach. Płynęło to z przekonania, że dokonana przez wojnę zmiana stosunków politycznych i społecznych przybliżyła znacznie możność wprowadzenia ustroju socjalistycznego. Trzeba więc, powiedziano, przygotować zawczasu ludzi, którzy byliby w stanie objąć władzę kierowniczą; owszem nie należy ograniczać się tylko do stworzenia elity „przywódców", ale trzeba podnieść kulturalnie także masy, aby uczynić je zdolnemi do współpracy w nowym porządku rzeczy i zabezpieczyć przed agitacją komunistyczną.

W powyższym stanie rzeczy — w nadziei rychłego zrealizowania ustroju socjalistycznego i płynącej stąd trosce o zdobycie najszerszych wpływów na stosunki polityczne, społeczne i gospodarcze — leży klucz do zrozumienia spotęgowanej i systematycznej dziś (na małą skalę istniała ona zawsze) akcji oświatowo-wychowawczej socjalizmu. Wysuwane poza tem racje, jak ogólny pęd do oświaty i czas, jakim rozporządza dziś robotnik dzięki 8-godzinnemu dniowi pracy, są prawdziwe, ale w porównaniu z tamtemi drugorzędne. Oświata miała stać się teraz nową, czwartą „formą walki" obok dawniejszej działalności politycznej, zawodowej i współdzielczej.

Na „I-szym Oświatowym Zjeździe Międzynarodowym", który się odbył w Oksfordzie od 15—17 sierpnia 1924 r., przy udziale 70 delegatów z 26 krajów, utworzono „Robotniczą Międzynarodówkę Oświatową" (opartą o Amsterdamską Międzynarodówkę Zawodową). Zadaniem jej było, przy uwzględnieniu odrębności warunków w poszczególnych krajach co do formy pracy, dawać ogólne dyrektywy, dzielić się doświadczeniem, gromadzić materjały statystyczne, przeprowadzać ankiety, pomagać organizacjom

krajowym przez informacje, zjazdy, międzynarodowe szkoły wakacyjne i t. d.

Polska Partja Socjalistyczna stanęła również do pracy na tem polu. I jej bowiem zdaje się, że „warunki zarówno przedmiotowe, jak i podmiotowe... umożliwiają zakończenie tego okresu (dzisiejszego) przez powołanie do życia nowego ustroju... socjalistycznego". Spełnienie się jednak tych nadziei zawisło od „dojrzałości i przygotowania klasy robotniczej", i stąd płynie postulat „wychowania mas", podniesienia ich oświaty i kultury.[1]) Jak bowiem oświadczył na XX Kongresie P. P. S. w Warszawie zmarły niedawno redaktor *Robotnika*, pos. F. Perl: „Walka polityczna, wszelkie korzyści gospodarcze i polityczne byłyby tylko korzyściami dorywczemi, gdybyśmy jednocześnie nie pogłębiali świadomości mas, gdyby korzyści te nie były oparte na uświadomieniu klasy robotniczej".

Do dzieła zabrano się zaraz po zakończeniu wielkiej wojny. Już na „Zjeździe kulturalno-oświatowym", który odbył się w Krakowie w listopadzie 1919 r. przy udziale 176 delegatów socjalistycznych z kraju, wykazywano potrzebę „planowej pracy nad pogłębieniem uświadomienia socjalistycznego". Zgodzono się wprawdzie, że znaczną część ogólnej akcji oświatowej należy powierzyć organizacjom bezpartyjnym, ale uchwalono, iż pracę nad kształceniem „socjalistów" powinna przejąć organizacja partyjna z Centralnym Wydziałem kult.-oświatowym na czele. Wykonanie tego programu było dziełem lat następnych, zajęły się tem częścią Kongresy partyjne, a przedewszystkiem powołane do tego organizacje socjalistyczne.

Praca miała się rozwijać w dwóch zasadniczych kierunkach: szerzenia oświaty wśród szerokich sfer robotniczych i wychowywania młodych proletarjuszy. Organem pierwszej miała się stać przedewszystkiem prasa socjalistyczna. Dla poparcia jej urządza się od r. 1925 stale t. zw. „Dzień prasy", poświęcony zbieraniu funduszów i propagandzie, odbyty zaś z początkiem 1926 r. XX Kongres P. P. S. uznał sprawę socjalistycznej prasy za najważniejszą. „Statut

[1]) M. Niedziałkowski: „Teorja i praktyka socjalizmu", 1926, str. 81, 90.

organizacyjny P. P. S.", zrekonstruowany w r. 1926, głosi też (art. 87, 89, 90), że pisma partyjne są własnością Partji, redaktorów ich wyznacza Rada Naczelna i wogóle wydawnictwo pism partyjnych, broszur i książek prowadzi, względnie kontroluje Centralny Komitet Wykonawczy P. P. S.

Obok słowa drukowanego, spełniającego rolę informatora i kierownika ideowego wśród szerszych sfer, stworzono osobne instytucje oświatowe i wychowawcze, których cechą, jak wyraził się jeden z leaderów tej pracy, pos. K. Czapiński, jest „integralność", t. zn. że „chcą niemal od urodzenia otoczyć pieczą młodego obywatela-proletarjusza". Należą do nich w Polsce: Towarzystwo Przyjaciół Dzieci, organizacje młodocianych i sportowe, Towarzystwo Uniwersytetu Robotniczego dorosłych i młodzieży, wydziały oświatowe; o instytucjach tych pomówimy nieco obszerniej poniżej.

Socjalizm polski nie zadawala się jednak pracą w łonie własnej Partji, lecz interesuje się, wzorem zagranicy, także szkolnictwem ogólnokrajowem i „poświęca wiele sił" jego reformie, oczywiście dla tych samych, co powyżej, powodów. Wspomniany już uprzednio „Program P. P. S." wylicza szereg postulatów w tej dziedzinie, a XX Kongres P. P. S. (r. 1926) uchwalił osobny wniosek w tej sprawie i wezwał „do energicznej walki o bezpłatną, świecką i jednolitą szkołę, pozbawioną wpływów klerykalnych, nacjonalistycznych i uniezależnioną od władz administracyjno-politycznych".

Tak przedstawia się w najogólniejszem swem uzasadnieniu i treści oświatowo-wychowawcza działalność socjalizmu w Polsce. Przypatrzmy się teraz ważniejszym jej szczegółom.

Systematyczna i obliczona na większą skalę akcja na tem polu rozpoczyna się w Polsce od założenia w r. 1923 „Towarzystwa Uniwersytetu Robotniczego" (T. U. R.) z centralą w Warszawie. Inicjatorem jego i później prezesem był pos. Ign. Daszyński, który jako ideę przewodnią wskazał mu „oświatę wszechstronną a jednocześnie socjalistyczną". T. U. R. miało się stać „centralnym warsztatem oświatowej pracy", zadaniem jego było „podniesienie kulturalnego poziomu pracujących mas, przetworzenie ich na świadomych swych wielkich zadań robotników-obywateli,

robotników-socjalistów"; miało przyczynić się do budowy „gmachu polskiej kultury proletarjackiej".

Kultura ta miała objąć zarówno stronę intelektualną jak i moralną — T. U. R.-owi bowiem chodzi nietylko o wiedzę, lecz także o charakter tego „nowego człowieka, którego wychowuje". Odpowiednio do celu dobrane też zostały formy pracy tej instytucji; są niemi przedewszystkiem: odczyty, wprowadzanie do pracy samokształceniowej, czytelnie i bibljoteki, popieranie teatru amatorskiego, śpiewu i muzyki, wycieczki krajoznawcze. Organizowaniem tych prac zajmują się miejscowe koła, t. zw. Oddziały i to możliwie własnemi siłami; Centrala warszawska udziela bowiem chętnie informacyj, ale prelegentów wysyła stosunkowo rzadko ze względu na koszta i brak ludzi (w r. 1927 wygłosili jej prelegenci 114 odczytów).

Do zadań Centrali T. U. R. należy, obok ogólnego kierownictwa i udzielania pomocy miejscowym Oddziałom, organizowanie poważniejszych przedsięwzięć, jak np. wycieczek zagranicznych (urządzono ich już kilka), a przedewszystkiem, jako jedno z „naczelnych zadań", otwieranie szkół robotniczych, mających wyszkolić przyszłych działaczy robotniczych, oświatowych i zawodowych. Pierwszą taką próbą był dwutygodniowy kurs wakacyjny, urządzony w r. 1925 w Aninie pod Warszawą, gdzie 29 uczestników z całego kraju otrzymało za minimalną opłatą mieszkanie i utrzymanie, oraz wysłuchało 36 wykładów na temat „Współczesna Polska"; drugi taki sam kurs dla działaczy na kresach wschodnich otwarto z końcem tegoż roku w Warszawie. W r. 1925 zorganizowano tamże „Uczelnię robotniczą", która miała dać słuchaczom wykształcenie uzupełniające, w zakresie czwartej klasy szkoły średniej, by ich wyrobić na „świadomych bojowników klasy robotniczej". Z początkiem r. 1926 otwarto w stolicy 10-tygodniową Szkołę T. U. R., która miała przygotować do pracy w klasowych związkach zawodowych; program jej obejmował 155 godzin wykładów i 100 godzin dyskusyjnych. Główny nacisk był położony na zaprawianie słuchaczy do samodzielnej pracy; uczestnicy z całego kraju, w liczbie 39, mieszkali w internacie, wszystkie wydatki ponosiła szkoła. Z końcem tegoż roku otwarto

w Warszawie, w budynku gimnazjum Zw. Zaw. Nauczycieli Szkół Średn., stałą „Szkołę T. U. R. dla młodocianych robotników"; jest to poprostu wieczorowa szkoła dokształcająca dla miejscowej młodzieży pracującej, którą stworzono dlatego, że chciano mieć szkołę, w której „panowałaby atmosfera przychylna dla ideałów walki wyzwoleńczej klasy robotniczej". [1])

Wspomnieliśmy już poprzednio, że obok pracy oświatowej w łonie własnej partji zajmuje się P. P. S. także żywo sprawą szkoły w Polsce wogóle. T. U. R. uznało tę kwestję za powierzoną szczególnie sobie; II-gi jego Zjazd, odbyty w listopadzie 1925 r. w Krakowie, uchwalił protest przeciw reformom szkolnym ówczesnego ministra W. R. i O. P., St. Grabskiego. Na III-im zaś Zjeździe, w lutym 1927 r. w Katowicach, oświadczono, że T. U. R. występuje czynnie wszędzie, gdzie chodzi „o opinję demokracji polskiej w dziedzinie organizacji szkoły, podstaw wychowania i wogóle oświaty" i zaznaczono to przez protest przeciw rozporządzeniu min. Bartla o praktykach religijnych w szkole, żądanie jednolitej szkoły i „uniezależnienia szkoły od wpływów postronnych, a w pierwszej mierze klerykalnych".

T. U. R. stało się zatem dla Polskiej Partji Socjalistycznej znakomitym organem do szerzenia jej wpływów pod osłoną akcji oświatowej, to też nic dziwnego, że wzięła je pod swą szczególną opiekę i postanowiła zcentralizować w niem całą akcję oświatową i wychowawczą wśród proletarjatu. Wzywała do tego Rada Naczelna już w styczniu 1925 r., a na II Zjeździe T. U. R. (listopad 1925 r.) uchwalono, iż „wszystkie poczynania oświatowe na terenie Związków Zawodowych winny być prowadzone w ramach organizacyjnych T-stwa Uniw. Rob." [2]) Organizacja rosła w siłę,

---

[1]) Z ważniejszych dzieł innych Oddziałów T. U R. należy wymienić seminarjum nauczycielskie żeńskie w Łodzi (przekształcone od sierpnia 1927 r. z istniejących tam od dwóch lat kursów nauczycielskich), oraz dość poważną bibljotekę w Krakowie, liczącą kilkanaście tysięcy książek.

[2]) Także krakowski „Uniwersytet Ludowy im. A. Mickiewicza" został po 27-letniej działalności przejęty, w październiku 1926 r., przez miejscowe Oddziały T. U. R.

z początkiem 1927 r. liczyła 106 Oddziałów i przeszło 6.000 członków, a budżet jej zamykał się cyfrą około 100 tysięcy złotych. Od r. 1925 jest ona członkiem „Robotniczej Międzynarodówki Oświatowej" w Amsterdamie.

W Oddziałach T. U. R. znajdowało się od początku sporo młodzieży. Właściwa jej psychika i potrzeba stosowania odpowiednich metod pracy wzbudziła myśl wyodrębnienia kół młodzieży z pośród starszych i udzielenia im pewnej samodzielności, która nie wykluczałaby jednak dostatecznej kontroli z góry. Uchwałę taką, mimo sprzeciwu niektórych członków, przeprowadzono już na II Zjeździe T. U. R. (1925 r.) i wprowadzono bezzwłocznie w czyn. „I-szy Ogólno-krajowy Zjazd Socjalistycznej Młodzieży Robotniczej" — który w dniach 31.I—2.II 1926 r. skupił w Warszawie partyjne związki młodzieży „Siła" z Śląska Górnego i Cieszyńskiego, oraz robotnicze związki sportowe — był zarazem I-ym Zjazdem nowej, samodzielnej „Organizacji Młodzieży T. U. R." Według statutu, uchwalonego na powyższym zjeździe, organizacja ta jest instytucją autonomiczną, związaną z Towarzystwem Uniwersytetu Robotniczego (dorosłych). Naczelną jej władzą jest Komitet Centralny, wybierany na Zjeździe i jego Egzekutywa, organem zaś *Głos Młodzieży Robotniczej* (ukazuje się sporadycznie). Organizacja jest członkiem „Federacji związków młodzieży socjalistycznej w Polsce" (utworzonej na powyższym zjeździe w Warszawie i obejmującej wszystkie organizacje młodzieży socjalistycznej w kraju), oraz „Międzynarodówki Młodzieży Socjalistycznej".[1]) Z końcem 1926 r. liczyła 59 kół i 4.901 członków.

Organizacji Młodzieży T. U. R. wytyczono szeroki zakres działania. Główna jej praca, podobnie jak w T. U. R. dorosłych, objęła: kółka samokształcenia, odczyty, czytelnictwo, specjalne kursa, wycieczki, orkiestry, chóry, sekcje teatralne, a poza tem, jak obszerniej powiemy niżej, wycho-

[1]) I-szy międzynarodowy Kongres tejże odbył się w Hamburgu 1923 r., II-gi w Amsterdamie w maju 1926 r.; na tym ostatnim było 53 delegatów z 16 krajów, uczestników ogółem koło 5.000; obrady i uroczystości trwały kilka dni. W r. 1926 Międzynarodówka Młodzieży Socjalistycznej liczyła 202.525 członków.

wanie fizyczne, sporty, urządzanie obozów letnich. Stara się ona również zabierać głos w sprawach ogólniejszej natury, związanych bądź z młodzieżą — jak służba wojskowa, 6-godzinny dzień pracy dla młodzieży, ubezpieczenie młodych na wypadek bezrobocia, biura ochrony prawnej i porady zawodowej — bądź z ruchem socjalistycznym i polityką Partji. Ten ostatni punkt zaznacza się nawet bardzo silnie. Już na I-szym Zjeździe Organizacji Młodzieży T. U. R., z początkiem 1926 r., określono stosunek jej do całości ruchu socjalistycznego w następujący sposób: „Młodzież T. U. R., będąca częścią wielkiego wyzwoleńczego ruchu robotniczego, utrzymuje ścisłą łączność z bratniemi organizacjami starszych robotników w P. P. S.... ściśle zespolona z ruchem politycznym, zawodowym, współdzielczym". Po wypadkach majowych 1926 r. wydał Komitet Centralny Organizacji Młodz. T. U. R., pod datą dn. 16 maja, odezwę do wszystkich członków, w której „uważając, że walka nie jest zakończona, że powinna być prowadzona dalej w celu stworzenia w Polsce Rządu Robotniczo-Włościańskiego, wzywa wszystkie organizacje Młodzieży T. U. R. do jak najenergiczniejszej i jak najściślejszej współpracy i współdziałania z P. P. S. w walce o zrealizowanie postulatów klasy robotniczej". Potwierdzeniem tego kierunku był programowy artykuł *Robotnika* (1926 nr. 279) o Organizacji Młodzieży T. U. R., w którym oświadczono, że jej „głównem zadaniem jest przygotowanie młodych proletarjuszów do przyszłego życia i do przyszłej o Socjalizm walki".

Wprzągając w służbę swej ideologji wszelkie skupienia dorosłych i młodzieży, nie pominęła P. P. S. także ruchu sportowego i stara się, wzorem zagranicy, wykorzystać ten potężny dziś czynnik dla swych celów. Zamiłowanie sportu, który tak silnie rozwinął się u nas po wojnie światowej, pociągnęło ku niemu także liczne zastępy młodzieży robotniczej, która po godzinach pracy, spędzonych często w szkodliwych dla zdrowia warunkach, szukała w nim nietylko rozrywki ale i pokrzepienia sił. Przenikliwsi z pośród przywódców socjalistycznych zorjentowali się też niedługo, że skuteczniej przeprowadzą swe plany, jeśli zamiast „odczytów o marksyźmie", które niewiele interesują młodych słucha-

czy, skupią ich pod hasłem sportu, ale zorganizowanego w duchu partyjnym. Skutek odpowiedział ich oczekiwaniom; robotnicy, którzy należeli do „burżuazyjnych" klubów sportowych, „odczuli", że przynależność ta „przytępia ich świadomość klasową" i „uznali potrzebę stworzenia własnej organizacji sportowej robotniczej".

Pierwszą taką próbą było założenie w Warszawie, w r. 1922, Robotniczego Klubu Sportowego „Skra"; za nim poszły inne. Ponieważ wobec rosnącej ich liczby okazała się potrzeba pewnej centralizacji i ujednostajnienia tego ruchu, przeto połączono się w jeden ogólno-polski „Związek Robotniczych Stowarzyszeń Sportowych" (Z. R. S. S.), z siedzibą w Warszawie, który w r. 1927 liczył w kraju 6 zorganizowanych Robotn. Sport. Komend Okręgowych i blisko 8.000 członków.

„I-szy Kongres Rob. Stowarzyszeń Sportowych" w Polsce odbył się w Warszawie, w sierpniu 1926 r., przy udziale 116 delegatów i zajął się głównie omówieniem stosunku do „burżuazyjnych" związków sportowych i do robotniczych organizacyj niesportowych. II-gi Kongres, odbyty również w Warszawie, z końcem października 1927 r., polecił uprawianie pewnych zwłaszcza gałęzi sportu i uznał niezgodność sportu robotniczego z burżuazyjnym. Poprzedziła go Konferencja porozumiewawcza, która przy udziale delegata Międzynarodówki sportowej uchwaliła zjednoczenie całego robotniczego ruchu sportowego w Polsce, t. j. połączenie związków sportowych polskich, niemieckich i żydowskich (myślano i o ukraińskich, ale delegat ich nie przybył).

Centralizacja ta posunęła się jeszcze dalej przez późniejsze włączenie organizacyj sportowych do Organizacji Młodzieży T. U. R. Już I-szy Zjazd tej ostatniej, z początkiem 1926 r., wymienił sport i wychowanie fizyczne jako jeden z trzech działów swej pracy, a w roku następnym Komitet Centralny Organizacji Młodzieży T. U. R. stwierdził na V-tem posiedzeniu plenarnem, że Robotnicze Drużyny Sportowe mają być „nierozłączną częścią Organizacji". Zajęto się niemi troskliwie i, między innemi, urządzono w r. 1927 dwutygodniowe kursa dla instruktorów sportowych.

Cała powyższa praca ma służyć dobru młodzieży, wy-

rwać ją z niezdrowego środowiska, ale przedewszystkiem ma na oku cele Partji. Jaki panuje w niej duch i jak dalece podporządkowane są mu nawet szczegóły, świadczy wymownie „Deklaracja sportowych klubów robotniczych", ułożona wprawdzie przez związki warszawskie, lecz ogłoszona ogólnie przez pisma socjalistyczne z początkiem 1926 r. „W walce ze zwyrodnieniem fizycznem i moralnem — czytamy tam — młodzież robotnicza tworzy swoje organizacje sportowe", które „co do swych celów zasadniczo różnią się od organizacyj burżuazyjnych". Sport bowiem jest dla tych ostatnich „tylko rozrywką i środkiem dla zaspokojenia ambicyj indywidualnych", podczas gdy dla robotniczych organizacyj „staje się potężnym środkiem fizycznego odrodzenia proletarjatu i jednym ze środków jego ostatecznego wyzwolenia. Stąd wynika i zasadnicza różnica w traktowaniu sportu... otwarcie stwierdzamy, iż sport robotniczy uważamy za jeden ze środków ostatecznego zwycięstwa klasy robotniczej i w duchu walki klasowej wychowywać będziemy młodzież robotniczą, tak miejską jak i wiejską".

Deklaracji powyższej nie trzeba uważać za wyraz specjalnych pretensyj Polskiej Partji Socjalistycznej; jest ona tylko echem i to złagodzonem w swej formie, „Manifestu", ogłoszonego przez „Międzynarodowy Socjalistyczny Związek sportu i kultury cielesnej", z okazji jego Kongresu w Pantin pod Paryżem, z początkiem 1926 r.[1]) Manifest ów, obok

[1]) „Międzynarodowy Socjalistyczny Związek sportu i kultury cielesnej" — do którego należy także polski „Związek Rob. Stowarzyszeń Sportowych" — został założony w r. 1914 w Brukseli; wojna przerwała wszakże jego pracę i dopiero w r. 1920 odbył się w Lucernie (Szwajcarja) I-szy Międzynarodowy Socjalistyczny Kongres Sportowy, na którym zakreślono pierwsze ramy organizacyjne (stąd nazwa „Międzynarodówka Lucerneńska"). Z początkiem 1927 r. liczyły robotnicze związki sportowe w Europie blisko 1.600 tysięcy członków (z tego Niemcy 1.200 tysięcy); zorganizowały one parę międzynarodowych „Olimpjad Robotniczych", w r. 1925 we Frankfurcie n. M., w r. 1927 w Pradze Czeskiej. — „IV-ty Międzynarodowy Kongres Sportu Robotniczego", odbyty w sierpniu 1927 r., uchwalił między innemi, iż organizacje jego „stoją na gruncie walki klasowej" w służbie socjalizmu i udział ich we wszelkich demonstracjach socjalistycznych jest konieczny; tu postanowiono też „zorganizować sportowe kadry obronne do walki z reakcją i faszyzmem".

momentów, zaznaczonych w powyższej Deklaracji polskich Związków, wzywał proletarjat całego świata do wstępowania do socjalistycznych organizacyj sportowych, a potrzebę tego motywował dość wyraźnie słowy: „Jeśli tego wymagają okoliczności i potrzeby danego kraju, muszą nasze drużyny przekształcić się w oddziały obronne klasy robotniczej przeciw zamachom faszystowskim".

Organizując dojrzalszą młodzież robotniczą w związkach sportowych, postanowiono rozciągnąć tę pracę i na młodsze pokolenie, w formie skautingu. Już na I-szym Zjeździe Organizacji Młodzieży T. U. R., z końcem stycznia 1926 roku, „uchwalono zorganizowanie robotniczych drużyn harcerskich, jako najistotniejszej formy pracy wśród dzieci robotniczych". Drużyny te, zawiązane pod koniec tegoż roku, otrzymały nazwę „Czerwonego Harcerstwa" i zostały, wraz z związkami sportowemi, wcielone do Organizacji Młodzieży T. U. R. Młodzież robotnicza obojga płci, w wieku od 8 do 16 lat, ma się tu wychowywać „w atmosferze ideologji socjalistycznej na świadomych i dzielnych członków armji proletarjackiej", zdala od „szkodliwego wpływu ulicy i niemniej szkodliwego i zdradliwego wpływu burżuazyjnych, klerykalnych i nacjonalistycznych organizacyj". Czerwoni Harcerze posiadają swój strój (niebieskie koszule i czerwone chustki na szyi), trzy stopnie organizacyjne, które osiąga się po zdaniu egzaminów, mają swe musztry, ćwiczenia i wykłady, a dla popierania ich zawiązuje się osobne koła „Przyjaciół" z pośród dorosłych; w sierpniu 1927 r. urządzono dla stu harcerzy obóz letni. [1])

Dla propagandy wszystkich powyżej wymienionych organizacyj młodzieży wśród sfer robotniczych urządza P. P. S. osobne uroczystości, zwłaszcza t. zw. „Dni" młodzieży

[1]) Z organizacją tą nie trzeba mieszać innej: „Wolnego Harcerstwa", która powstała w Polsce w r. 1921, jako opozycja do „Związku Harcerstwa Polskiego" i opierała się na hasłach: sprawiedliwości społecznej, pokoju powszechnego i międzynarodowego braterstwa; centrala jej była w Krakowie, organem miesięcznik *Płomienie*. Organizacja ta, w której ścierały się wpływy socjalistyczne i komunistyczne, przeszła ostatecznie w r. 1924 w ręce komunistów i otrzymała nazwę „Związek Pionierów".

i sportu. Dotychczas odbył się w całym kraju dwa razy „Dzień młodzieży", pierwszy d. 10 października 1926 r., drugi d. 3 paźdz. 1927 r. Najokazalej wypadły one w stolicy, gdzie uroczystości rozpoczynały się już poprzedniego dnia wieczorem korowodem samochodów, w sam zaś dzień rano odbywał się wielki „wiec polityczny", potem zawody, gry i bieg uliczny, wieczorem akademja i wieczornica towarzyska. Urządzeniem „Dnia" zajmowała się Organizacja Młodz. T. U. R., ale udział w przemówieniach i uroczystościach brali posłowie i przywódcy socjalistyczni, a prasa partyjna, która już miesiąc przedtem ogłaszała odezwy, zamieszczała w tych dniach liczne artykuły okolicznościowe. — I-szy „Dzień sportu robotniczego" odbył się równocześnie z „I-szym ogólno-krajowym Zlotem młodzieży robotniczej", dn. 5 i 6 czerwca 1927 r. w Warszawie. Na boisku „Skry" rozbito 72 namiotów, uczestników było koło półtora tysiąca, w tem także goście zagraniczni; program wypełniły zawody, pochód przez miasto, akademja i przedstawienie w teatrze.

„Integralność" socjalistycznej akcji wychowawczej wymagała jednak zajęcia się również pozostałem, najmłodszem pokoleniem proletarjatu. Motywem głównym nie była tu filantropja ani chrześcijański czyn miłosierdzia względem sierot i uboższych dzieci, lecz interes Partji. Jeśliby kto żywił jakie złudzenia w tej mierze, to p. A. Szererowa, jedna z działaczek socjalistycznych na tem polu, wytłumaczy mu, że się mylił. „W myśl uchwał Międzynarodówki Socjalistycznego wychowania [1]) — pisze ona *(Robotnik* 1927 nr. 321) — celem naszym nie jest „opieka" nad dzieckiem robotniczem, jak to mylnie jest rozumiane naogół — lecz opieka ta jest środkiem do celu. Skupiamy dzieci w Ogniskach dziecięcych, w celu socjalistycznego wychowania młodego pokolenia". Słowa te są dokładniejszem nieco wyjaśnieniem rezolucji,

[1]) „Socjalistyczna Międzynarodówka Wychowawcza" została założona w Hannowerze, z początkiem 1924 r.; centrala jej znajduje się w Wiedniu, przewodniczącym został Maksymiljan Winter (Austrja). W programie jej leży wywieranie wpływu na wychowywanie dzieci w duchu socjalistycznym, by „dorósłszy, dobrowolnie stanęły w szeregach walczącego proletarjatu".

uchwalonej na socjalistycznej Międzynarodowej Konferencji wychowawczej, odbytej w r. 1925 w Marsylji (przy okazji II-go Kongresu Międzynarodówki Socjalist.), że „dla rozwoju i ostatecznego zwycięstwa proletarjatu niezbędne jest utworzenie własnych organizacyj, które stawiają sobie za cel wpływanie na wychowanie dzieci w duchu światopoglądu socjalistycznego".

Praca P. P. S. na tym terenie rozpoczęła się jeszcze w okresie wojny światowej. W Małopolsce działały w paru miejscowościach koła „Przyjaciół dzieci", w Warszawie zaś powstał w r. 1919, za inicjatywą posła T. Arciszewskiego „Robotniczy Wydział Wychowania Dziecka", który początkowo zajmował się sierotami wojennemi. W wydzierżawionym na Ochocie (Warszawa) domu utrzymywał do 30 dzieci, a w r. 1923 wybudował na obszerniejszym terenie przy ul. Czerniakowskiej trzy domki, w których przebywa blisko 60 dzieci od lat 12-tu, uczęszczających do szkół lub warsztatów. Młodsze, w podobnej liczbie, znajdują się w drugim zakładzie, w Aninie pod Warszawą.

Ponieważ w interesie Partji leżało zjednoczenie tych poczynań, przeto na dzień 31 października 1925 r. zwołano do Krakowa „I-szą ogólno-polską Konferencję w sprawie wychowania dziecka robotniczego", na którą zaproszono z referatem Maksa Wintera z Wiednia. Owocem zjazdu była, między innemi, uchwała połączenia wszystkich socjalistycznych instytucyj wychowawczych, działających na terenie Polski, w jedną wspólną organizację. Zjednoczenie to dokonało się ostatecznie na Walnem Zebraniu „Robotniczego Wydziału Wychowania Dziecka", odbytem d. 31 października 1926 r. w Warszawie, gdzie przyjęto też nowy statut ogólno-krajowej organizacji — która od d. 1 kwietnia 1927 r. otrzymała oficjalną nazwę „Robotnicze Towarzystwo Przyjaciół Dzieci" — i uchwalono przystąpienie jej do „Socjalistycznej Międzynarodówki Wychowawczej". Ostatnie Walne Zebranie tego „Towarzystwa" odbyło się w Warszawie, d. 20 listopada 1927 r., przy udziale 64 delegatów, reprezentujących dziesięć Oddziałów miejscowych (Warszawa, Kraków, Lwów, Wilno, Lublin, Łódź, Częstochowa, Płock, Tarnów, Nowy Sącz). Oprócz zagadnień organizacyjnych poru-

szono na tym zjeździe również sprawę szkoły w Polsce, uchwalono budżet na r. 1927/8 i upoważniono Zarząd do kupienia terenu pod Łodzią i Lublinem, oraz do zaciągnięcia pożyczki na budowę nowego wielkiego zakładu wychowawczego w Warszawie, obliczonego na 200 dzieci. Jako nowe instytucje pomocnicze T-stwa Przyjaciół Dzieci wystąpiły tu „Rada Pedagogiczna", stworzona kilka miesięcy przedtem i mająca opracowywać plan prac i starać się o ich ujednostajnienie, oraz „Rada Medyczno-Pedagogiczna", której zadaniem jest czuwanie nad stanem zdrowotnym w zakładach T-stwa.

Zakres działania „Towarzystwa Przyjaciół Dzieci" jest dość rozległy. Do niego należy urządzanie kolonij letnich w różnych stronach kraju, półkolonij dla tych dzieci, które zmuszone są przebywać w mieście i zakładanie t. zw. „Ognisk dziecięcych". Te ostatnie powstają głównie w środowiskach przemysłowych i gromadzą młodsze dzieci, które przez $1^1/_2$ np. godziny odrabiają lekcje, a drugie tyle czasu obracają na prace ręczne, czytanie, zabawy, gimnastykę i t. p. Celem „Ognisk" jest przygotowanie „szermierzy sprawy robotniczej", stąd „dzieci wychowywane są w duchu socjalistycznym" pod opieką odpowiednio wyszkolonych wychowawczyń Pod koniec 1927 r. było w kraju takich „Ognisk" 32. Poza tem organizują miejscowe Oddziały „T-stwa Przyjaciół Dzieci": czytelnie, przedszkola, wykłady, wycieczki, w zimie tory saneczkowe i ślizgawki; dla biednych dzieci urządza się uroczystość św. Mikołaja i „gwiazdkę"; w Łodzi otwarto przychodnię przeciwgruźliczą. Nadto wszędzie stara się tworzyć Komitety Rodzicielskie, któreby pomagały w socjalistycznem wychowaniu dzieci, dla przygotowania zaś fachowo a zarazem „ideowo" wyszkolonych wychowawców i wychowawczyń organizuje się specjalne parotygodniowe kursa w Warszawie.

Fundusze na potrzeby „T-stwa Przyjaciół Dzieci" czerpane są narazie z różnych źródeł, opłat i zasiłków; dąży się jednakże do tego, by sami robotnicy, zgrupowani w Partji i Związkach zawodowych, utrzymywali swe instytucje oświatowo-wychowawcze, np. drogą opodatkowania się na ten cel. Dla zainteresowania tą sprawą szerszych mas pracujących i uzyskania ich pomocy urządza P. P. S. różne imprezy, jak

„Dzień dziecka robotniczego", połączony z wystawą prac, wykonanych w zakładach i Ogniskach, oraz z publiczną zabawą dla dzieci, lub akademje dla dorosłych, pod hasłem „Dziecko robotnicze", z przemówieniami posłów i działaczy socjalistycznych.

Na tem kończymy opis właściwej działalności oświatowo-wychowawczej Polskiej Partji Socjalistycznej. Nie zaliczyliśmy do niej akcji wśród kobiet, dotyczącej dziś raczej strony organizacyjnej, ani tem bardziej opieki nad matką i niemowlęciem. Nie należy tu również „Związek Niezależnej Młodzieży Socjalistycznej", skupiający w sobie młodzież wyższych uczelni w Polsce; Partja nietyle bowiem rozwija wśród niej swą pracę, ile korzysta z jej pomocy. Przez pewien czas robiono prawdopodobnie próby organizowania młodzieży szkół średnich; posiadamy w każdym razie „Deklarację ideową Związku Polskiej Młodzieży Socjalistycznej szkół średnich" z r. 1924, oraz wzmianki o występach tej organizacji w r. 1925 i jej organie *Przebojem;* od tego jednak czasu sprawa ucichła.

Jeżeli obejmiemy jednym rzutem oka całość akcji socjalistycznej na polu oświaty i wychowania, to uderzyć nas muszą dwie zasadnicze cechy: rozciągnięcie jej nietylko na własne partyjne instytucje, ale także na sprawę szkoły i wychowania w całym kraju, a powtóre, bezwzględne podporządkowanie jej interesom socjalizmu. Zarówno T-stwo Uniwersytetu Robotniczego i urządzane przez nie kursa i szkoły, jak Organizacja Młodzieży T. U. R., robotnicze zakłady wychowawcze i Ogniska dla małych dzieci, owszem wszystkie związki sportowe i Czerwone Harcerstwo, mają zmierzać do wpajania i pogłębiania ducha socjalistycznego i przygotowania przyszłego socjalistycznego ustroju, jaki ma nastąpić po dzisiejszym „przejściowym okresie".

Mówiąc to, nie chcemy zamykać oczu na dobre strony tego ruchu. Socjalizm, którego wzrok skierowany jest jedynie na życie ziemskie, pragnie stworzyć tu raj dla człowieka i dlatego chce wyrobić w nim potrzebne do tego przymioty umysłu i woli. Każe więc kłaść nacisk na wyrabianie charakterów, rzetelności w pracy, samodzielności, poczucia go-

dności własnej i odpowiedzialności, solidarności, współzależności i wogóle uczuć dodatnich; poleca zwalczać wszelką nieprawość i kłamstwo, szanować wolność swoją i cudzą; podkreśla patrjotyzm. Sport nakazuje traktować „nie z punktu rekordów", lecz jako czynnik szerzenia kultury fizycznej, owszem wyrobienia duchowego i społecznego; hasłem Czerwonych Harcerzy ma być „służba dla innych", mają się uczyć karności, obowiązkowości, być dobrymi w domu i w szkole. Opieka nad dzieckiem powinna oderwać je „od demoralizacji, od alkoholu, od ulicy", dać mu „obok zdrowia, poryw, wielką etykę". Są to więc hasła dobre. Przywódcom, którzy je głoszą, i wykonawcom nie można również odmówić najlepszych chęci; ich pisma, przemówienia, odezwy tchną pragnieniem dobra klasy robotniczej i ludzkości, żywą troską o młodzież, w pracy ich uderza często niekłamany idealizm i poświęcenie. Bezwątpienia też robią niemało dobrego dla robotnika i jego dziecka.

Niestety, obok tych stron jasnych, zaczerpniętych z chrześcijaństwa lub przynajmniej zgodnych z niem, zastajemy także ciemne. Jako katolików interesuje nas zwłaszcza sprawa religji, tem bardziej, że przeważająca większość polskich robotników jest katolicką. Powstaje więc doniosłe pytanie, czy socjalistyczna praca oświatowa liczy się z tym faktem i jak ustosunkowuje się do Kościoła katolickiego? Kwestji tej musimy poświęcić nieco miejsca wobec tego, że krytyczny rozbiór doktryny socjalizmu, przeprowadzony w poprzednim artykule, nasuwa pod tym względem poważne obawy.

Jeżeli przypatrzymy się bliżej akcji P. P. S. na terenie oświatowym i wychowawczym, widzimy przedewszystkiem, że stara się ona obejść najzupełniej bez Boga. Przeglądając artykuły, referaty, odezwy z kilku ostatnich lat, nie znalazłem nigdzie jakiegokolwiek powołania się na Boga, a tem mniej na religję katolicką, jako na czynnik niezbędny, ważny lub choćby tylko dodatni. Wogóle nawet wyrazy te są wykreślone z użycia. W programach szkolnych ani wzmianki o religji, w porządku dziennym kolonij letnich nie czytamy o modlitwie rannej i wieczornej, tylko o śpiewaniu pieśni

socjalistycznych.[1]) W dodatku „Przyjaciel dzieci" niema nic o Bogu i o religji, nawet przy okazji tematu takiego, jak Boże Narodzenie, mowa jest tylko o równości i braterstwie wszystkich, o tem, że „spełni się zapowiedź: zwycięży socjalizm" (dodatek do gwiazdkowego numeru *Robotnika* z r. 1927).

Taktyka powyższa, starająca się w dziedzinie moralnej wyeliminować zupełnie pierwiastek religijny i zastąpić jego motywy i nakazy czysto naturalnemi, albo zaczerpniętemi z ideologji Partji, jest niezgodna z nauką katolicką i szkodliwa, nawet wtedy, gdy jest stosowaną u dorosłych; wobec młodzieży zaś, dzieci zwłaszcza, metoda taka z areligijnej staje się wprost antyreligijną, jest ukrytą, ale zato nieraz tem gorszą, walką z religją i Kościołem. Można mówić o niemieszaniu się do przekonań religijnych osób, które je posiadają, ale dziecko nie ma ich jeszcze wcale, trzeba mu je dopiero podać i kto tego nie czyni, pokazuje, że chce wychować dziecko bez Boga. Wymawianie się chęcią unikania przymusu w rzeczach wiary, jest tylko wykrętnem kłamstwem, obliczonem na naiwnych, bo dlaczegóż w takim razie nie zostawia się i reszty przekonań moralnych i społecznych wolnej woli młodzieży i jej osobistym dociekaniom, tylko wpaja się je zawczasu, owszem każe wpajać i tworzy w tym celu specjalne organizacje. Ludzie, którzy od pierwszych lat życia dziecka chcą roztoczyć nad niem opiekę, by je wychować w atmosferze socjalizmu, przejąć jego duchem i przekonaniami, nie mogą z czystem sumieniem twierdzić, że nie powinno się wszczepiać w dziecko przekonań i uczuć religijnych, i jeśli to czynią, dają oczywisty dowód, że pragną wychować młodzież zdala od Boga i religji.

Drugie podobne kłamstwo, to rozróżnianie pomiędzy religją katolicką a „klerykalizmem", tak wytrwale podkre-

[1]) W praktyce bywa czasem lepiej; wiadomo mi w każdym razie o jednej kolonji letniej, gdzie dzieci odmawiały modlitwę rano i wieczór, lub przynajmniej zaśpiewały razem pieśń pobożną, a w święto uczęszczały do kościoła. Liczono się widocznie z katolickiemi przekonaniami dzieci i rodziców; w oficjalnych sprawozdaniach z tej kolonji niema jednak ani słowa o modlitwie i kościele.

ślane przez Partję i łatwowiernie przyjmowane przez ciemne masy i nie znające dobrze swej wiary jednostki z pośród inteligencji. Każdy katolik wie, że niema Kościoła bez hierarchji, że bez duchowieństwa niema Ofiary, niema sakramentów ani życia kościelnego. Jeżeli więc socjalizm stale zwalcza klerykalizm, rozumiejąc przez niego nietylko niewłaściwy jakiś krok lub uroszczenia pewnych jednostek z pośród kleru, ale wogóle wszelkie wystąpienia duchowieństwa w życiu publicznem, jeżeli stale milczy o jego działalności dodatniej, a wyzyskuje i rozdmuchuje do przesady każdy niepomyślny wypadek, jeśli z lekceważeniem wyraża się o wyższej hierarchji i głowie Kościoła, to oczywiście dąży do tego, by rolę duchowieństwa poniżyć, przedstawić je w świetle ujemnem, zniechęcić do niego robotnika, owszem usposobić wrogo i tem samem pośrednio oddalić od Kościoła i od Boga.

Z tą walką zaś przeciw duchowieństwu spotykamy się w pracy oświatowo-wychowawczej P. P. S. bardzo często i to walką nietylko ukrytą, ale także jawną, publiczną. Delegatka Polski na II-im Międzynarodowym Kongresie socjalistycznym w Marsylji, w r. 1925, referowała o „fatalnych skutkach konkordatu", o walce „z ciemnotą klerykalną", o roli kleru, który „jak polip stara się mackami swemi omotać całe życie Polski". Odezwa Centr. Komitetu Wykonawczego P. P. S. przed I-ym „Dniem młodzieży" socjalistycznej w r. 1926, brzmiała: „10 października dowiedziesz, że nie dasz się uwieść... bolszewickiej demagogji i księżym obietnicom" (zestawienie!). W Pruszkowie (pod Warszawą) T. U. R. ogłosiło z początkiem 1927 r. cykl odczytów i wezwało na nie plakatami w następującem brzmieniu: „Robotnicy! Komu nie wystarczają baśnie i podania... o Adamie i Ewie, o grzechu pierworodnym i inne legendy biblijne...". Aby wyrwać młodzież z pod „szkodliwego i zdradliwego wpływu klerykalnych organizacyj", zakłada się szkoły i związki dla młodzieży robotniczej, idąc w tem za wskazówkami prezesa Socj. Międzynarodówki Wychowawczej, który odsądził Kościół katolicki od roli wychowawcy i na I-ej ogólnopolskiej Konferencji w sprawie wychowania dziecka robot-

niczego 1925 r. „wskazał na konieczność walki z klerykalizmem". [1])

Co więcej, socjalizm polski chce ten front, skierowany przeciw religji katolickiej (przedewszystkiem, gdyż socjaliści zwalczają „klerykalizm" wszelkich wyznań), rozciągnąć na cały kraj i domaga się usunięcia wpływów Kościoła wogóle z szkoły polskiej. Na mniemaną „klerykalizację szkoły" i „supremację kleru" w niej uderza ciągle pos. Czapiński. Na XX-ym Kongresie P. P. S., w r. 1926, uchwalono walkę o szkołę „pozbawioną wpływów klerykalnych". Na III-im Zjeździe T. U. R., w r. 1927, sen. Kopciński przedłożył rezolucję „usunięcia wpływów klerykalnych ze szkoły", a wniosek Oddziału poznańskiego uznał za „konieczne dążenie do zmiany Konstytucji w tym duchu, aby w Polsce ustanowioną być mogła szkoła świecka". Także walne zebranie Rob. T-wa Przyjaciół Dzieci, w r. 1927, „protestuje przeciw systematycznemu wzrostowi klerykalizacji szkoły, a w szczególności przeciw przymusowi praktyk religijnych". Hasło szkoły świeckiej, jednolitej, „wolnej od wpływów kleru" powtarza się zresztą stale do ostatnich dni, gdyż związano je z hasłem demokracji, jako jej „podstawę".

Sprawdza się zatem nieustannie, co napisał W. Sombart, że „propaganda antyreligijna m u s i stanowić istotną część składową socjalistycznej demagogji", ponieważ brak religji sprzyja właśnie akcji socjalizmu. [2]) Za tę cenę gotów on jest narazić się na zarzut grubej niekonsekwencji i skompromitowanie swego „naukowego" stanowiska, gotów jest dopuścić się gwałtu na najświętszych przekonaniach miljonów. Bo rzeczywiście dziwną jest ta doktryna, która w imię wolności przekonań, przychodzi nieproszona, do mas, by wyrywać im ich przekonania. [3])

---

[1]) Socjaliści w Wiedniu — na których, jako na wzór, najczęściej powołuje się nasza prasa socjalistyczna — rozwinęli jawnie wrogą działalność przeciw Kościołowi, a dzieci, pozostające pod ich wpływem, są wyprowadzane na ulicę, by przeciwdziałać katolickim uroczystościom religijnym.

[2]) Werner S o m b a r t: *Der proletarische Sozialismus,* 10 Aufl., str. 198.

[3]) Postępowanie takie razi tem bardziej, że niektórzy z przywódców partyjnych stosują tu podwójną etykę; swoje dzieci posyłali nawet do szkół wyznaniowych i klasztornych, podczas gdy dzieciom robotniczym pozwalają wydzierać wiarę.

Akcja owa jest tem smutniejsza, że dążąc do usunięcia religji katolickiej, stanowiącej podstawę poglądu na świat i życia mas robotniczych, nie ma socjalizm jej czem zastąpić. Po odrzuceniu, czy choćby tylko pominięciu Boga, nie ma bowiem na czem oprzeć ani podstawowych zasad moralnych, ani przedewszystkiem ich siły obowiązującej. Czuje on dobrze potrzebę porządku moralnego, podkreśla zwłaszcza jego rolę w okresie powojennym, woła, że „konieczne jest stworzenie czystej moralnej atmosfery, wysokiego poziomu etycznego"; ale gdy przyjdzie do bliższego wyjaśnienia, a przedewszystkiem uzasadnienia akcji w tym kierunku, kończy na czczych hasłach i frazesach. Cóż można np. wywnioskować z następujących słów jednego z filarów polskiego socjalizmu? „Socjalizm — woła pos. M. Niedziałkowski *(Robotnik* 1927 nr. 153) — nie jest religją nienawidzących, złych, przepełnionych rozpaczą ludzi. Socjalizm — to rozmach ryzyka, to świadoma wytężona praca, to bój o jasne ideały, to wielki dogmat, że ludzkość można ocalić, że łańcuchy krzywdy można zdruzgotać, że miłość może zwyciężyć ludzką nędzę". W tym samym numerze i w 270 przemawia H. Bezmaski (sen. Posner): „Młodzieży robotnicza!... buduj Piękno, służ Rozumowi i Sumieniu! Służ Wolności i Prawdzie!", nad tobą czuwa „Genjusz Proletarjatu... genjusz prawdy i miłości, współpracy i współodpowiedzialności, genjusz walki i solidarności jednocześnie, genjusz klasy i ludzkości". Co słowo, to jakiś apel do uczucia czy wyobraźni, to jakiś w szumną formę przyodziany nakaz lub zwrot — ale dlaczego trzeba się do nich stosować, dlaczego musi się ich słuchać? — Na to niema odpowiedzi.

Socjaliści odwołują się w takich razach najchętniej do „idei" i „entuzjazmu" dla niej. Czem jest jednak owa „idea", tego się zwykle nie określa dokładniej. Parę lat temu próbował ją wyjaśnić pos. N. Barlicki *(Robotnik* 1925 nr. 120): „Idea — to jest to wspaniałe rozbłyśnięcie Ducha, które ukazuje sposoby rozwiązania najważniejszych spraw, to busola w pochodzie Ludzkości. Idea krystalizuje się w czyn, który kształtuje życie, przeistacza powierzchnię ziemi, spaja ludzi w jeden blok, w jedną potęgę. Taką wielką żywotną ideą był na początku swego istnienia Chrystjanizm, gdy ogarniał

ludzi, gotowych na największe ofiary dla swojej Idei. Takim przepotężnym ruchem ideowym była Wielka Rewolucja francuska, której spadkobiercą jest niewątpliwie Socjalizm".

Parę powyższych cytat, wyszukanych z pośród mnóstwa, jako najbardziej typowe i najwięcej może mówiące, jest ważkim dowodem na to, co powiedzieliśmy w poprzednim artykule, że etyka socjalistyczna nie posiada żadnych podstaw, żadnej wewnętrznej siły, obowiązującej kategorycznie. Tam, gdzie nakazy jej są dobre, nie stworzyła żadnych „nowych reguł moralności", tylko powtórzyła stare, zaczerpnięte z prawa natury i z chrześcijaństwa, lecz chcąc się obejść bez Boga, podcięła tem samem ich siły żywotne. Działa więc na uczucie, może napełnić entuzjazmem, zapałem, popchnąć do czynu, ale tak długo jedynie, póki entuzjazm ów trwa i póki danej jednostce czy zahypnotyzowanej masie podoba się iść za wezwaniem. Jeżeli wszakże zechce mieć odmienne przekonanie, wynajdzie sobie inną drogę do celu, nikt z działaczy socjalistycznych nie zdoła jej przekonać, że „źle robi", porzucając wskazaną przez nich drogę, że „musi" się jej trzymać pod grozą przekroczenia obowiązującego prawa moralnego. Dlatego to cała etyka socjalizmu wisi w powietrzu, dlatego podrywają ją tak łatwo prądy przeciwne, dlatego wreszcie nie jest ona w stanie dać oparcia wewnętrznego ani człowiekowi ani całemu oczekiwanemu przyszłemu ustrojowi socjalistycznemu. Socjaliści mogą w swej dzisiejszej akcji oświatowej i wychowawczej posługiwać się hasłami i motywami, w rodzaju wyżej wspomnianych, ponieważ ład w duszach członków Partji i porządek w społeczeństwie utrzymuje inna siła. Ale gdyby jedno i drugie spadło na ich barki, to możemy być pewni, że socjalizm nie przetrwałby takiej próby i jeśliby nawet stworzył jakąś społeczność socjalistyczną, to mógłby w niej nazewnątrz tylko utrzymać porządek i to takiemi środkami, jak bolszewicy w Rosji, a wewnątrz doprowadziłby do podobnego, jak oni, rozstroju i upadku.

„Socjalizm, jako idea — pisał niedawno temu angielski kanclerz skarbu, Winston Churchill (*Epoka* 1928 nr. 75) — jest zanadto wyidealizowany"; „jeżeli puścimy wodze fantazji i wyobrazimy sobie socjalizm, jako idealny system uszczęśli-

wienia ludzkości... wszyscy powinniśmy się stać socjalistami. Czy jednak socjaliści mogą dotrzymać przyrzeczeń?" — I wykazuje, że nie.

W. Churchill mówił głównie o programie gospodarczym socjalistów, ale to samo można powiedzieć o ich działalności na polu oświaty i wychowania. Opiera się ona właśnie na owym zawsze jeszcze za mało realnym idealiźmie, na optymiźmie w hasłach i celach, nie liczącym się ani z naturą ludzką ani z rzeczywistością, nie idącym zupełnie w parze z środkami. Socjalizm powojenny posunął się wprawdzie niemało naprzód przez to, że dojrzał i uznał ważność zagadnienia moralnego, porzucił stanowisko krańcowego intelektualizmu, który sądził, że wiedza zastąpi wszystko. Potrzeba, by zrobił jeszcze kilka kroków naprzód i zrozumiał, że samo głoszenie choćby wzniosłych haseł nie daje jeszcze człowiekowi tej siły moralnej, któraby wystarczyła mu w chwilach trudnych, w jakie życie nasze, prywatne i publiczne, tak obfituje; że do tego niezbędne jest oparcie tych wskazań na gruntownym fundamencie, zaopatrzenie ich wewnętrzną siłą bezwzględnie obowiązującą i podobną sankcją. Tego wszystkiego nie znajdzie oczywiście socjalizm, póki w pracy swej wychowawczej będzie uparcie usuwał na bok Boga osobowego. Wyznawcy jego będą wtedy, według wyrażenia (choć nie podług myśli) pos. K. Czapińskiego, tylko „j a k g d y b y rycerzami wielkiej idei".

I jak długo socjalizm będzie trwał na dzisiejszem stanowisku i zwalczał Kościół katolicki, będą katolicy musieli traktować go jako wroga, bronić się przed napaścią i bronić zagrożone dusze. Tylko, dodajemy to już pod adresem katolików, obrona ta musi mieć charakter przedewszystkiem p o z y t y w n y. Masy, skupiające się dziś pod sztandarem czerwonym, nie szukają jego ideologji, lecz chleba i korzyści przedewszystkiem materjalnych, bo ich potrzebują i spodziewają się tam je znaleźć. Daremną więc będzie rzeczą, a nieraz szkodliwą, narzekać na socjalizm, jego instytucje i pisma — jeżeli się ze swej strony nie da robotnikowi tego, czego mu potrzeba. Tak rozumiemy pracę „pozytywną". Trzeba więc popierać istniejące już organizacje zawodowe chrześcijańskie i tworzyć nowe, by zapewnić przez nie

robotnikowi zaspokojenie słusznych żądań. Trzeba dbać o oświatę proletarjatu, współpracować z nim chętnie i to nie w formie łaski ani jałmużny, lecz po chrześcijańsku, jako z równym. Należy rozszerzać katolickie organizacje młodzieży, oświatowe i sportowe, zawiązywać koła opieki dla dzieci robotniczych, zająć się niemi, i w mieście w ciągu roku, gdy rodzice zajęci są ciężką pracą, co czynią już choć nie w dostatecznej mierze „ochrony" zakonne, i w lecie urządzać dla dzieci kolonje wakacyjne z katolickiem kierownictwem. Póki tego wszystkiego za mało, póki ze strony wielu jeszcze katolików, mogących znaleźć czas i środki po temu, spotyka się taka praca z obojętnością i chęcią zepchnięcia jej na drugich, tak długo trzeba będzie obawiać się rozszerzania wpływów socjalistycznych przez opisane powyżej instytucje partyjne. Socjalizm rzuca nam niekiedy w twarz wyrzut: wy macie zasady, a my mamy czyny — trzeba, by po naszej stronie „czynów" było jak najwięcej.

Ks. Stanisław Podoleński T. J.

Na ostatnim szańcu.

(Do charakterystyki likwidacji Unji kościelnej na Litwie).

Kiedy potężna twierdza na rozkaz najwyższych swych wodzów poddała się bez boju sromotnie nieprzyjacielowi, kiedy zdezorjentowani, przestraszeni, drżący o kawałek chleba i względny spokój osobisty dowódcy, posłuszni rozkazom zgóry prowadzili za sobą rzesze cichych, w milczeniu cierpiących podwładnych — słowem, kiedy upadała podstępnie i od szczytów likwidowana Unja, rozpoczęła się uporczywa walka na szańcach najdalszych, najmniej do obrony się nadających, walka, którą prowadził nie żołnierz wyćwiczony nie rezerwa pierwsza lecz ostatnie szeregi pospolitego ruszenia — bo kobiety.

Rola kobiet w obronie wiary katolickiej i walce z prawosławiem jest bardzo znaczna, niezwykle ciekawa, ale niestety trudna do wszechstronnego oświetlenia, gdyż tak mało przechowało się dokumentów, bo rozterki, szamotania się duchowe i tragedje w większości wypadków nie przekroczyły granic rodziny, w której się odbywały.

Kobiety nie mogły pozostać bezczynne. Więcej ekspansywne, mocniej związane z Kościołem i gorliwsze w praktykach religijnych, kobiety unitki, a tem bardziej łacinniczki, żony unitów, stanęły w obronie wiary ojców, staczając spóźnioną i beznadziejną walkę z przemocą. Trudno jest odtworzyć to, co się działo w przeciętnej rodzinie unickiej, „zapisywanej w prawosławie", niesposób ustalić dokładnie jak wyglądał wysiłek kobiet, dążących do utrzymania dawnego swego obrządku, ale dane statystyczne, dotyczące ilości odpadających od cerkwi prawosławnej byłych unitów, stale wyka-

zują przewagę kobiet; we wszystkich zatargach z duchowieństwem prawosławnem i policją przodują kobiety, wśród aresztowanych podczas rozruchów pokaźną ilość stanowią kobiety.

Jedna grupa kobiet-unitek szczególnie się dała we znaki likwidatorom Unji, to żony parochów. Łączność obrządku unickiego z kościołem łacińskim była dość bliska, tak że nieraz bracia rodzeni byli kapłanami obu katolickich obrządków, parochowie żenili się z łacinniczkami i stosunkami rodzinnemi łączyli się z rodzinami ultrakatolickiemi rzymskiemi. Od czasu więc podniesienia się poziomu intelektualnego parochów, wśród których byli i tacy, co kończyli wyższe studja teologiczne w Wilnie, duchowieństwo unickie nabierało coraz większego znaczenia, a że w życiu domowem i towarzyskiem było szczerze katolickie i czuło się polskiem, przeto szczególnie na prowincjach zaczęło zastępować księży łacinników. Nawet zamożni polscy obywatele bywali częstymi gośćmi w domach biednych wiejskich parochów, ci zaś nierzadko bywali domowymi kapelanami we dworach oraz podtrzymywali dobre stosunki ze swymi kolatorami. Mocna pozycja społeczna i towarzyska, którą wywalczyło sobie duchowieństwo unickie, sprawiła że już w okresie likwidacji, Unji kapłani uniccy mocniej i zdecydowaniej bronili nie swej wiary, ale właśnie zdobyczy socjalnych, a nawet ich zewnętrznych oznak. Bez przesady można powiedzieć, że więcej walczono o prawo golenia brody i noszenia sutanny, niż o pozostawienie ołtarzy i organów w kościołach, a nawet o dogmaty wiary katolickiej!... Najbliżsi współpracownicy Siemaszki, biskupi, prałaci i kanonicy — członkowie kapituły, bez protestu przyjęli jego plan zlikwidowania Kościoła i na długo przed pamiętnym aktem połockim powoli lecz świadomie i konsekwentnie pracowali nad zniszczeniem obrządku unickiego. Tylko jeden człowiek, którego Siemaszko wysunął na stanowisko biskupa li tylko ze względów dyplomatycznych, Józafat Żarski bydy prowincjał Bazyljanów, zmarły przed ostatecznem zlikwidowaniem Unji, aczkolwiek zobowiązał się do przejścia na prawosławie, zostawił po sobie kategoryczne oświadczenie, iż z haniebnem dziełem zdrady swego Kościoła nie solidaryzuje się i do jego upadku ręki przyłożyć

nie chce. Inni milczeli, owszem działali dość energicznie, zgodnie ze wskazówkami swego zwierzchnika i arcypasterza.

Lecz oto ci sami, którzy pozornie przynajmniej z lekkiem sercem zmieniali religję, wprowadzali do kościołów ikonostasy, znosili organy i chóry, którzy z młodzieńczym zapałem walczyli z Rzymem i wyrzekali się wszystkiego, co katolickie, ci sami jednak stawali w obronie rzeczy najmniej istotnych, lecz przywiązanych wyłącznie do zwyczajów katolickich — golonych bród i sutann.

Kiedy w r. 1834 zażądał Siemaszko od członków kapituły podpisania zobowiązań do przejścia na prawosławie (biskupi Łużyński i Zubko podpisali to już w r. 1833 przed nominacją na biskupów), tylko niektórzy jak np. A. Tupalski, oficjał i prezes konsystorza, T. Homolicki, późniejszy rektor seminarjum, Tomasz Maliszewski, inspektor seminarjum, Bazyli Markiewicz, członek konsystorza, podpisali takie zobowiązania bez zastrzeżeń. Ekonom seminarjum Jan Szczęsnowicz pisał:... „od przyjęcia prawosławia nie odmawiam się, byleby tylko połączenie było ogólne, a nie częściowe". Inni zaś mieli zastrzeżenia wyłącznie tylko z powodu brody i ubrania. Hołubowicz, przyszły arcybiskup miński, pisze: „Wezwanie Waszej Ekscelencji zgodne jest z memi przekonaniami, gotów jestem pójść za niem, przyłączając się do prawosławnej grecko-rosyjskiej cerkwi, byleby mi dozwolono do końca mego życia pozostawać bez brody i z zachowaniem obecnego mego stroju". W podobny sposób piszą zobowiązania wice-prezes konsystorza Jan Koniuszewski i asesor Teodor Horbacewicz, rektor zaś seminarjum, późniejszy archimandryta M. Szelepin stawia kwestję dość ostro, bo prosi w razie tylko częściowego przejścia unitów na prawosławie oraz nie uwzględnienia jego prośby, dotyczącej golenia brody i noszenia sutanny, o zwolnienie go ze stanu duchownego![1])

Z odległości lat takie warunki kapłanów katolickich, gotowych w każdej chwili zdradzić swój Kościół i zmienić religję, lecz wzdrygających się na myśl zapuszczenia brody i włożenia szat duchownych prawosławnych — wyglądają

[1]) *Zapiski* Iosifa (Siemaszko), Mitropolita Litowskawo, Petersburg, r. 1883 t. I. str. 686—687.

bardzo dziwnie. Zdawałoby się, że forma zewnętrzna jest niczem wobec wewnętrznej treści, że przy tak łatwej zmianie przekonań religijnych, stokroć łatwiej jest wyrzec się oznak mogących każdego wprowadzić w błąd, a jednak brody i sutanny były argumentem stokroć więcej ważkim, niż zagadnienie władzy papieskiej. Ale dziwić się temu zanadto nie można. Trzeba pamiętać, że zdecydowana większość księży unickich należała do szlachty i była wychowana w polskich tradycjach. Dla wielu broda była oznaką pochodzenia nie szlacheckiego, stanu podlejszego, była zbyt wielkiem poniżeniem. Popi prawosławni, którzy znaleźli się w Polsce w ilości znaczniejszej dopiero po rozbiorach, bynajmniej nie rozwiali tych przesądów o hańbie dla szlachcica noszenia brody: ciemni, brutalni, upokarzająco zależni od byle urzędnika i ginący w tłumie pseudo-duchownych: diaczków, ponomarów etc., — byli oni zbyt nie pociągający, a często odrażający, aby unici, zdradzając Kościół katolicki, zechcieli w cerkwi stać z nimi w jednym szeregu. Nawet wszechpotężny i zuchwały Siemaszko bał się przeciągnąć strunę i w sprawie bród i strojów postępował bardzo ostrożnie. Po zlikwidowaniu unji, zaproponował on „w celu doświadczenia" biskupowi Zubce oraz prezesowi konsystorza Tupalskiemu zapuścić brody, sam zaś odważył się na to dopiero w r. 1842, gdyż jak sam pisze we wspomnieniach, wcześniej nie było można, bo „wszyscyby się przestraszyli".[1])

Rezygnując więc bez walki z religji ojców, nie chcieli kapłani uniccy zrezygnować z oznak zewnętrznych swej odrębności... której niesposób określić. Duchowej? — lecz oni sami gorliwie i krzykliwie zapewniali o łączności duchowej z cerkwią rosyjską. Narodowej? — lecz narodowości polskiej oni tchórzliwie się wyrzekali. — Kulturalnej? — lecz każda kultura ma podłoże duchowe i tylko tamte różnice są istotne. Ale różnice jednak istniały, właśnie te, o których mówić nie wypadało, było niebezpiecznie: duchowe, narodowe, kulturalne...

Masowa zdrada kapłanów unickich, posłusznych rozkazom swych władz, wprowadzała ogromne zamieszanie i wywołała prawdziwe tragedje w rodzinach.

---

[1]) Siemaszko, *Zapiski* t. I., str. 142.

Kobiety zdecydowanie wystąpiły w obronie wiary i niezależności swych dzieci. Unitki zaczęły gremjalnie przechodzić na obrządek łaciński, dzieci zaś starano się nie oddawać do szkół duchownych, gdzie je wynaradawiano i zmuszano do apostazji. Siemaszko dobrze rozumiał znaczenie umiejętnie przeprowadzonego wychowania dzieci parochów, bo doceniał wartość posiadania naturalnej prawosławnej rezerwy, dlatego już na samym początku swej pasterskiej działalności, „dbając o rozpowszechnienie oświaty", kazał wszystkim parochom oddawać synów do szkół duchownych. Zarządzenie to spotkało się z pewną opozycją tak ze strony parochów, przeczuwających zasadzkę, jak i tych, którzy myśleli o karjerze świeckiej dla swych synów. W r. 1836 powstała korespondencja między Kuratorjum Okręgu Szkolnego Białoruskiego a konsystorzem Litewskim grecko unickim w Żyrowicach. Kurator (list nr. 2530 z dn. 24. IX. 1836 r.) zwraca się do konsystorza z zapytaniem, czy dzieci parochów-szlachciców mogą pragnąć poświęcić się służbie państwowej, na którą im pozwala ich pochodzenie czy mogą kształcić się nie w szkołach duchownych. Konsystorz wyjaśnia, że bez zgody władz kościelnych nawet dzieci szlachty nie mają prawa kształcić się w szkołach świeckich.[1]) Walka konsystorza z duchowieństwem, które nie kwapiło się zanadto do oddawania dzieci do szkół duchownych, kończy się dopiero w r. 1844, kiedy 6 grudnia wystosował Siemaszko do konsystorza polecenie nr. 2221, dotyczące bezwzględnego zmuszenia duchowieństwa, pod grozą kar, do oddawania dzieci do szkół duchownych.[2])

Z kobietami sprawa przedstawiała się znacznie gorzej, a walka z niemi napotykała niezwykłe trudności. Żony parochów, łacinniczki, były szczególnie nieznośne, niezależne, wojownicze, stojące w przeciwnym obozie; były one, jako żony nowych popów, zjawiskiem wprost niesamowitem. Apostołowanie ze strony czułych mężów nie na wiele się zdało, groźby i kary, nakładane przez konsystorz na mężów, nie doprowadzały do skutku i demoralizowały duchowieństwo; po-

[1]) Z akt. b. Uniwersytetu Wileńskiego w Archiwum Państwowem w Wilnie.

[2]) *Zapiski* etc. t. II., str. 266.

zostawały tylko kary policyjne za lada przewinienie, z czego korzystano skwapliwie.

Inna kategorja żon parochów — unitki z pochodzenia, również nie były elementem pożądanym. Zmuszano je wprawdzie do powrotu na łono „praojczystej" cerkwi prawosławnej, ale niewiasty broniły się zawzięcie i dowodziły, że z „matki-prababki" (bo kądziel w tych wypadkach jest dogodniejsza) były katoliczkami-łacinniczkami, do sądów zjawiały się tłumy świadków, których zeznania tylko gmatwały sprawę, sprawa więc ciągnęła się latami całemi ku bezsilnej złości konsystorza i wielkiemu strapieniu nieszczęśliwych małżonków, zmuszonych już pogodzić się z nową rolą prawosławnych popów.

Wreszcie kategorja trzecia, najprawomyślniejsza — żony-unitów, które razem z mężami przeszły na prawosławie, nie były bynajmniej czynnikiem pokoju i zgody. Zrezygnowawszy z dawnych tradycyj i obyczajów, godziły się z nową wiarą, lecz jednego znieść stanowczo nie mogły: bród swych małżonków.

Te nieszczęśliwe długie rosyjskie brody stały się przyczyną niejednego dramatu i wyrosły do rozmiarów kardynalnego zagadnienia. Rząd carski nie miał odwagi narzucić ich świeżym kapłanom prawosławnym. Po formalnem zlikwidowaniu Unji ober-prokurator św. Synodu, hr. Protasow, wystosował 30 IV. 1839 r. poufny list nr. 566 do Siemaszki, w którym pisze tak:

„Jaśnie Wielmożny i Najprzewielebniejszy Biskupie i Arcypasterzu"!

Z powodu przyłączenia tak zwanej w Rosji Grecko-Unickiej Cerkwi do świętej Prawosławno-Katolickiej [1]) Wschodniej Cerkwi i utworzenia niepodzielnej całości Cerkwi Wszechrosyjskiej, Hosudar Imperator, uwzględniając złożoną przeze mnie Jego Cesarskiej Mości najpoddańszą prośbę biskupów Grecko-Unickiej (obecnie Prawosławnej) Cerkwi z dn. 12 lutego r. b., rozkazać raczył, aby przyłączonemu duchowieństwu i ludowi dozwolonem było nie zmieniać tradycyjnych miejscowych zwyczajów, niesprzecznych z istotą prawosławia, jak np. obecne nieliturgiczne stroje duchowieństwa,

[1]) „Katolickiem" lubi nazywać się także „prawosławie" dyzunickie, wymawiając tylko ten wyraz z nowo-grecka „katoliczeskaja wiera" pozostawiając zaś wymawianie „katoliczeskij" w odniesieniu do rzymskich katolików.

golenie bród, używane podczas postów potrawy i niektóre kościelne zwyczaje, nie gwałcące dogmatów wiary prawosławnej. O tem Najwyższem zezwoleniu mam honor podać Waszej Ekscelencji do wiadomości i zakomunikowania komu należy. Z należytym szacunkiem etc.[1])

Siemaszko ukrył ten poufny list, który był znany tylko niektórym członkom konsystorza i rozpoczął długą wojnę o brody.

Żeby zachęcić do noszenia brody, zaczął Siemaszko sprytnie „udzielać pozwolenia" na zapuszczanie brody i to w drodze łaski, jako dowód szczególnego uznania. Wielu poszło na taki koncept. Zaczęto ubiegać się o taką „nagrodę". dobrotliwy biskup rzadko komu odmawiał, lecz skrzętnie notował nazwiska odznaczonych i po pewnym czasie żądał od dziekanów informacji, czy rzeczywiście tacy a tacy mają już brody. Brody jednak naogół rosły bardzo powoli, gdyż powstawały przeróżne przeszkody: kto już miał brodę, ten wskutek wrzodu na podbródku zmuszony był ją zgolić, inny miał jeszcze piękniejszą brodę, lecz wskutek nieprzyzwyczajenia spalił ją przy kominku, trzeciemu ani rusz nie rośnie, więc się wybiera do doktora po radę, itp.

To zmusiło Siemaszkę do osobliwego kwalifikowania kandydatów na stanowiska popów. Tak kiedy po śmierci proboszcza w Boromli, protojereja Czerwiakowskiego, na stanowisko duchownego wysunął konsystorz dwie kandydatury: nauczyciela Malickiego i diakona Lwowicza, zażądał Siemaszko wyjaśnienia: „który z dwóch kandydatów zechce zapuścić brodę i włożyć „riasę", i jeżeli Malicki, to przesłać mi odpowiednią uchwałę o dopuszczenie go do przyjęcia święceń kapłańskich, jeżeli zaś Lwowicz, to zawiadomić mnie o tem w celu wydania odpowiedniego rozporządzenia"...[2])

Tak się działo w dwa lata po zlikwidowaniu Unji, bo w r. 1841. Ale i później nie było lepiej. W r. 1894 trafiło, naprzykład, do rąk Siemaszki podanie młodego popa z Sokółki, Juljana Sakowicza, który prosił o pozwolenie noszenia przez pewien czas sutanny i golenia brody. Siemaszko się zirytował i na podaniu własnoręcznie napisał: „Nigdybym

[1]) Ibid. t. II., str. 93.
[2]) *Zapiski* t. III., str. 551.

się nie spodziewał po Sakowiczu tej dziecinnady. Wciąż jest studentem: nie wie nawet, że nie parafja dla popa, lecz pop dla parafji. Mówiło mu się i w Petersburgu i w Żyrowicach, że dla Sokółki potrzebny jest duchowny w stroju prawosławnym. On się zdecydował na to wówczas i jak mi mówiono zgodziła się na to obecna jego żona"...[1]) etc. Otóż co do tego ostatniego szczegółu widocznie biskup był źle poinformowany; prawdopodobnie opozycja co do brody wyszła od kochającej małżonki Sakowicza. Taka opozycja nie należała do bagatelnych, bo własnoręczna na podaniu adnotacja potężnego biskupa dowodzi, że z głosem żon popów należało się liczyć i że bodaj nie wystarczała zgoda samego popa, jeżeli nie było zgody na to jego żony.

I rzeczywiście walka żon popów z mężami trwała bardzo długo i przybierała często formy gwałtowne. Różne były przyczyny tej walki: była beznadziejna, głęboka tragedja wierzącej duszy, czującej w przerażeniu, że wkrótce zatraci drogę i zginąć będzie musiała w beznadziejnej walce ze sobą samą; była i pogarda — nieposkromiona, gwałtowna — dla męża, którego się nagle zobaczyło w świetle ponurem, jako postać nędzną i nikczemną; był wreszcie wstręt fizyczny do twarzy zarośniętej, do głowy kudłatej.

W aktach archiwalnych konsystorza pounickiego przechowuje się wiele takich spraw „niewieścich". Pomimo wielkiej rozmaitości szczegółów, ustalił się jakiś szablon. Przeciętna sprawa wygląda w ten sposób. Pewnego niefortunnego dnia powstała sprzeczka małżeńska. Krewka małżonka przemawia dobitnie na temat „koziej brody" lub „miotły" (zależnie od stopnia szpetnego zarostu), później porusza drażliwe zagadnienie apostazji i wypowiada w sposób zbyt stanowczy i niedwuznaczny swój pogląd na schizmę. Ten wyraz „schizma" był uważany przez czynniki urzędowe za największą obelgę i doprowadzał tych, pod czyim adresem był skierowany, do pasji, a później — do wspólnej katastrofy. Bo często sam małżonek miał dość dosadnej elokwencji żony, częściej nie mógł wytrzymać jakiś szlachetny świadek. Pisano denuncjację do konsystorza, konsystorz skierowywał sprawę do

[1]) *Zapiski* t. III., str. 789.

policji, policja — do sądu. Znajdowały się serdeczne przyjaciółki oskarżonej, które stwierdzały, że przeciwniczka schizmy jest nałogową pijaczką, nierządnicą, prawdziwym szatanem w spódnicy; inni zaś świadkowie stwierdzali pod przysięgą nienaganność prowadzenia niewiasty, będącej ofiarą swego nicponia męża, który „choć już prawosławny obecnie", ale... i tam dalej... W grę wchodziły czynniki zupełnie postronne: ktoś reflektował na miejsce, które zajmował niefortunny małżonek w „riasie", ktoś kogoś popierał, ktoś z kimś załatwiał przy sposobności prywatne porachunki. Sprawa się gmatwała, tonąc w straszliwym brudzie małomiasteczkowych, nikczemnych intryg. Konsystorz wówczas degradował popa, wysyłając go do jakiejś głodowej parafji na stanowisko wikarjusza. Biedny pop znajdował się wówczas między młotem a kowadłem: z jednej strony — żona, która mogła nie wybaczyć rozdmuchania sprawy, z drugiej — proboszcz, nie mogący znieść „darmozjadów". Wzięty w dwa ognie, zaczynał nieszczególny wyznawca wiary prawosławnej pisać rozpaczliwe podania do konsystorza, do arcybiskupa do samego cara. Dawano mu do zrozumienia, że jedna żona-katoliczka, a tem bardziej awanturnica, jest wielką przeszkodą do uwzględnienia jego prośby o powrót na dawne stanowisko; więc pop zaczynał „przekonywać" swą małżonkę (mniejsza w jaki sposób!) o zbawienności dogmatów cerkwi wschodniej, a tamta się nawracała, przyjmując prawosławie, pop wracał do swej parafji, sprawa sądowa kończyła się pomyślnie, gdyż obrona korzystała z usług oskarżycieli: stwierdzano chętnie, że „popadja" jest rzeczywiście pijaczką, awanturnicą, histeryczką lub epileptyczką, a więc działała w stanie niepoczytalnym.

To są ponure i smutne sprawy — te beznadziejne walki kobiet z otoczeniem. Wszystko w nich jest: i ból bezgraniczny subtelnej istoty, która grunt nagle traci pod nogami i widzi walące się w gruzy ołtarze, przed któremi tak gorliwie umiała się modlić — i złość dzika, niepohamowana, obłędna jak wściekłość zwierzęcia osaczonego przez psiarnię — i rezygnacja wreszcie, ta najstraszliwsza rezygnacja którą znają tylko kobiety: takie tragiczne, pozbawione wszelkiej nadziei na ratunek, „wszystko jedno", po którem następuje haniebny upadek.

Gdyby kto chciał poznać całą okropność gwałtownego i podstępnego zlikwidowania Unji oraz jego demoralizujące skutki, musiałby przypatrzeć się nie tym kapłanom, którzy umierali w klasztornych więzieniach i nie tym, co szli od zaszczytów do zaszczytów, a później, jako dostojnicy zwycięskiej cerkwi, ulegali haniebnym nałogom lub życie kończyli samobójstwem, nie samym nawet masom unickim, to upakarzająco biernym, to ślepo buntowniczym — ale właśnie rodzinom szarych, szeregowych parochów. Tu się rozgrywają może największe tragedje, tu się odzwierciadlało najdokładniej całe życie, od momentów zawrotnie wzniosłych do odchłannie nikczemnych.

Rolę czynną w tych dramatach rodzinnych miały kobiety, one prowadziły beznadziejną walkę z nowemi prądami, one naoślep, bezrozumnie buntowały się nawet wówczas, kiedy walka była zdecydowanie przegrana.

Wśród wielu spraw, związanych z walką kobiet na ostatnim szańcu padającej Unji, jedna, której rozwiązania nie znamy, wysuwa się na czoło, jako najwięcej jaskrawa i charakterystyczna: jest to sprawa żony dziekana słuckiego Mikołaja Narkiewicza. Dowiadujemy się o niej ze wspomnień Siemaszki, który zgromadził sporo bardzo wymownych dokumentów, dotyczących swej epoki. Znajdujemy tam następujący niezwykle ciekawy list Siemaszki z dn. 26 V., 1838, nr. 253 do hr. Protasowa, ober-prokuratora św. Synodu.

Pijaństwo, cudzołóstwo, zaniedbanie gospodarstwa i nieskończone łajanie swego męża, czego świadkiem (czyżby i cudzołóstwa? — *przyp. tł.*) był sam wikarjusz diecezji Litewskiej — biskup brzeski Antoni (Zubko — *przyp. tł.*) podczas wizytacji cerkwi (liczba mnoga — *przyp. tł.*), zmusiły tego biskupa do zaproponowania konsystorzowi skomunikowania się, podług ustalonych zwyczajów, z konsystorzem rzymsko-katolickim w celu ukarania zamknięciem w klasztorze, zgodnie z prośbą dziekana słuckiego Narkiewicza, jego żony, która należy do kościoła rzymsko-katolickiego, z tem, żeby ona, żona dziekana Narkiewicza, była zabrana bez rozgłosu, gdyż w przeciwnym razie mogłaby się była ona zdecydować na zbrodnię kryminalną, gdyż ona obecnie oprócz wszystkiego rozzłoszczona jest na męża za noszenie „riasy“ i zapuszczenie brody: ale konsystorz rzymsko-katolicki nie przychylił się do tego załatwienia i żądał formalnego dochodzenia.

Tymczasem dziekan Narkiewicz ponownie złożył biskupowi Antoniemu oświadczenie, iż żona jego publicznie potępia prawo-

sławie i łaje go, Narkiewicza, nie wykazując poprawy i w innych stosunkach.

W celu uniknięcia pokusy i ośmieszenia się *(sic. — przyp. tł.)*, co może tak łatwo stać się przy formalnem dochodzeniu, przeprowadzanem przez duchowieństwo rzymsko-katolickie, on biskup skomunikował się z mińskim cywilnym gubernatorem i prosił aby tamten poufnie zarządził zbadanie wyżej wymienionych czynów żony dziekana Narkiewicza — razem z duchownym deputatem vice-dziekanem Markiewiczem (wyjątkowo bezstronni sędziowie! — *przyp. tł.*), oraz żeby zamknął ją do więzienia (a więc wynik dochodzenia jest zgóry wiadomy? — *przyp. tł.*) aż do poprawy (bardzo ścisły termin! — *przyp. tł.*); oprócz tego prosi mego pośrednictwa, aby w przyszłości władze grecko-unickie mogły same zastosowywać środki poprawcze do żon i córek grecko-unickich duchownych, chociażby te osoby wyznawały religję rzymsko-katolicką"...[1])

Nie trzeba mówić, że Siemaszko całkowicie poparł ten projekt Zubki i prosił ze swej strony, aby występne żony i córki parochów, łacinniczki, podlegały władzy konsystorza unickiego. Jeżeli w r. 1838 ubiegał się Siemaszko o takie prawo, to po zlikwidowaniu Unji, czyli już w roku następnym miał na krnąbrne żony inne środki — w wielkiej rozmaitości. Sprawa żony parocha Narkiewicza jest niezwykle ciekawa ze względu na stosunek do niej władzy biskupiej unickiej. Zubko najwyraźniej zaznacza, że dochodzenie formalne może ośmieszyć oskarżycieli i stać się pokusą dla innych do lekceważenia władz unickich; prosi więc gubernatora o poufne dochodzenie, któreby mieli przeprowadzić urzędnicy gubernatorstwa i wice-dziekan; nie wątpi, że rezultat będzie bardzo pomyślny, więc prosi gubernatora nietylko o tę komisję, ale jednocześnie o uwięzienie krnąbrnej łacinniczki. Tak zdecydowane stanowisko zajmuje Zubko, a za nim Siemaszko na skutek skarg Narkiewicza. W niezwykle drażliwej kwestji jak stosunki małżeńskie, stają obaj biskupi po stronie męża, popierając nawet tak nikczemne jego projekty, jak wywiezienie niewiasty do klasztoru — znienacka i cichaczem!

Kimże był ów Narkiewicz, cieszący się tak bezgranicznem zaufaniem swoich przełożonych? Nie próbujemy odtwarzać jego charakteru na podstawie licznych denuncjacyj, któ-

[1]) *Zapiski* t. III., str. 371—3.

rych on był autorem; nie będziemy zastanawiać się nad jego wartością, studjując częste a hojne nagrody, jakie na niego spadały — posłuchajmy samego Siemaszki.

List do ober-prokuratora w sprawie Narkiewiczowej wysłał Siemaszko 26 maja 1838 r., a 14 czerwca tegoż roku przesyła list nr. 290 do Narkiewicza. Cóż pisze wszechwładny biskup do swego zaufanego dziekana?

W roku zeszłym i obecnym otrzymywałem od biskupa Antoniego bardzo niekorzystne doniesienia, dotyczące Waszego stosunku do podległego Waszej władzy duchowieństwa. Ów biskup, jak również ja, mieliśmy dla Was pewne względy, szanując Waszą gorliwość. Pomimo to jednak uważam za obowiązek uprzedzić Was, ojcze dziekanie, iż ja wymagam od dziekanów nietylko gorliwości, ale również przykładania się do spraw poważnych, bezstronnego stosunku do podwładnych, a szczególnie — uczciwości. (Nawet i tego brakowało szlachetnemu dziekanowi! — *przyp. tł.*) Radzę Wam po ojcowsku zwrócić szczególną uwagę na usunięcie zauważonych u Was wad; w przeciwnym razie włożony na mnie obowiązek służbowy zmusi mnie do zastąpienia Was innym dziekanem, więcej godnym...[1])

Takie to były czasy...

Siemaszko z dumą mowi o sobie: „Posiadałem sprawiedliwość jakby wrodzoną! Starałem się być sprawiedliwym tak w stosunku do obcych, jak i do swoich. Wskutek tego pierwsi, choć mnie nie lubili, bywali rozbrajani, drudzy zaś przekonywali się o bezskuteczności wszelkich intryg"...[2]) Ta sprawiedliwość, którą z taką chlubą nosił Siemaszko w swem sercu, pozwoliła mu stanąć bezwzględnie po stronie człowieka o wyrobionej opinji, brutala i despoty, nie odznaczającego się nawet uczciwością. Za cóż bez sądu, bez dochodzeń, na podstawie zwykłej denuncjacji, chciał biskup miażdżyć słabą, bezbronną kobietę? Czy rzeczywiście biskup Zubko był świadkiem nawet jej cudzołóstwa?... Więc czemuż nie chciał oddać przestępczyni w ręce sądu?... Nie! Nie o takie „drobiazgi" jak pijaństwo, próżniactwo, cudzołóstwo, chodziło dygnitarzom zgangrenowanego wówczas konsystorza unickiego ale o to tylko, że głos zabierała łacinniczka, że kobieta zwykła, przeciętna kobiecina, miała tyle siły ducha, tchnię-

[1]) *Zapiski* t. III., str. 377.
[2]) Ibid. t. I., str. 92.

tego w nią przez Kościół, że śmiała się przeciwstawić zbawiennym poczynaniom likwidatorów.

A la guerre — comme à la guerr! Nie może być żadnego sentymentu, żadnych skrupułów. Wroga się miażdży, żeby nie być przez niego zmiażdżonym samemu! Kobiety-Polki i katoliczki, pragnące pozostać nadal przy Kościele rzymskim, prowadzące rozpaczliwą, niezorganizowaną walkę o wolność swego sumienia, nie wiedziały, nie przypuszczały nawet jakiego miały przed sobą wroga!

A jednak walczyły. Już nie z myślą o zwycięstwie, lecz w obronie własnego honoru, w celu zaznaczenia protestu.

I kiedy bez boju, w ponurej ciszy, padła potężna twierdza przez długie, długie lata toczyła się bezsilna, rozpaczliwa walka na ostatnich, najdalszych szańcach... We dwadzieścia przeszło lat po zlikwidowaniu Unji wielki triumfator — metropolita prawosławny Józef Siemaszko kreślił w kwietniu 1861 r. takie słowa w swym pamiętniku: „Żony parochów okazały opór największy, tak, że sprawy ich trwały przez długie lata, a co do niektórych — trwają i do dziś dnia"...[1])

Dziś już nikt nie pamięta o tej nierównej, beznadziejnej walce!

---

[1]) *Zapiski* t. I., str. 111.

Walerjan Charkiewicz.

Zagadnienie rzeczywistości jako przedmiotu odkryć.

(Dokończenie)

Faktycznie jednak ani nasze obserwacje, ani pomiary, ani służące im przyrządy nie docierają do „elementów", t. j. do składników zgoła niezłożonych jakiegobądź przedmiotu dostępnego naszym zmysłom a w szczególności wzrokowi i dotykowi. Nawet na dnie hipotetycznej budowy atomów umieszcza dzisiejsza fizyka obok jądra z nabojem elektrycznym dodatnim krążące dokoła niego elektrony (jeden lub więcej) naładowane elektrycznością ujemną i nie czuje się w prawie twierdzić o drugich a tem mniej o pierwszem, że to są już cząsteczki nierozkładalne (idealne t. zw. protony czyli pierwociny materji lub energji). Skoro w ten sposób nietylko przedmiotami naszych spostrzeżeń, ale i umysłowych ich uzupełnień (nazywanych także interpolacjami lub wstawkami) są zawsze jedynie jakieś kompleksy, układy elementów nie dających się odosobnić i w tym stanie odosobnienia zbadać, musi wobec tego ilościowe porównywanie przedmiotów i ich zmian — a jest niem każdy pomiar — mieć punkty wyjścia w czemś już nader złożonem i sprzężonem ze stosunkowo bardzo znacznej liczby domniemanych elementów, aby wnioskowania nasze mogły bezpiecznie opierać się na naszych czuciach i musi też każdoczesne zstępowanie ku składnikom mniej złożonym mieć granice w osiągniętym aż dotąd zasobie przesłanek do wnioskowania o liczbie, rozmiarach i kierunkach tego, czego nie możemy dotknąć ani zobaczyć nawet przez mikroskop (względnie przez

teleskop, gdy chodzi o wielkość i budowę wszechświata). Pomiary ludzkie, które, jak na przewidzialną przyszłość, mogłyby mieć uzasadnioną pretensję do znaczniejszej stosunkowo dokładności, są zamknięte w sferze pośredniej między odległościami tak wielkiemi, że na jedyną dla nich dogodną jednostkę miernicą nadaje się t. zw. rok świetlny — czyli odstęp między ciałami niebieskiemi, dla którego przebycia potrzeba światłu jednego roku słonecznego, jest to w przybliżeniu odległość wynosząca 9.466.700.000.000 klm. — a tak znów drobnemi, że już tylko miljonowa część milimetra (t. zw. mikromilimetr, oznaczony literami $m\mu$), jest dla nich stosowną jednostką miernicą i to jeszcze dzieloną na tysiące i miljony równych części (lub jednostka Angströma $= m\mu/_{10}$).

Jeszcze i w tych ramach możliwości pomiarów, stosunkowo dokładnych i dostatecznie ugruntowanych doświadczeniem i obliczeniami, wyczerpnąłby umysł człowieka bezowocnie swoje siły i zużyłby cały pozostały mu czas, gdyby nie pomnąc, że mierzenie jest ważnym środkiem dla badacza a nie jego ostatecznym celem, folgował ciekawości drobiazgowej i bezplanowej, usiłował zmierzyć, co tylko się nawinie, zamiast skupiać uwagę na stwierdzeniu tych stosunków ilościowych, których jedność obiecuje odsłonić związki zjawisk i faktów ogarniające wdal i wszerz, a zarazem których prawidłowość pozwoliłaby sięgnąć do sposobu ich stawania się. Zagadnienie rzeczywistości obejmuje w sobie w pierwszej mierze problem, co może być jednoznacznie rozumianem przez ten wyraz „rzeczywistość", mianowicie, czy ta „rzeczywistość" nie znaczy nic więcej, jak tylko ogół przeżyć każdego, kto zwraca na nie uwagę i czyni je przedmiotem swoich zastanawiań się (refleksyj), czy też jest rzeczywistością, razem z tem, co jest każdemu bezpośrednio dane, także i to wszystko, o czem, jakkolwiek nie jest przeżyte przez nikogo z ludzi, wysnuty byłby poprawny wniosek, jako o przynależnem do całości wydarzeń, do ich warunków i podstaw, gdyby osobniki mające tak wnioskować znalazły się w sytuacji potrzebnej do odebrania stosownych wrażeń a ich organizacja psychofizyczna uzdalniała je do wyciągnięcia z ich doświadczeń wszelkich możliwych konsekwencyj.

Były podejmowane próby rozróżnienia tych dwóch zakresów nawet ze strony tak zdecydowanego obrońcy poznania świata poza naszem „ja", jakim był K ü l p e. Nazywa on r z e c z y w i s t e m tylko to, co zaznajemy każdy z nas w samym sobie, zaś r e a l n e m to, co wywnioskowujemy prawowicie o przedmiotach i wydarzeniach nic nie tracących na swej faktyczności i istotności przez to, że o nich aż do chwili ich wykrycia nikt z ludzi nic nie wiedział, albo że po wykryciu wszyscy przestaną o nich myśleć czas jakiś. Nie mamy wprawdzie prawa twierdzić, że cośkolwiek realnego nie jest przedmiotem n i c z y j e j wiedzy, ale i założywszy wszechwiedzę Istoty Doskonałej, przed którą niema niczego ukrytego ani pominiętego, nie musimy się jeszcze bynajmniej stawać panteistami, coby nastąpiło, gdybyśmy sądzili, że przedmioty tej wszechwiedzy nie są niczem różnem od Boga. Owo wyodrębnienie jednak przedmiotów i zajść realnych od rzeczywistych ma tę słabą stronę, że nie uwzględnia mnogich i prawie nieustannych wzajemnych odniesień, korrelacyj między tem, co sami przeżywamy, a tem, czego się dowiadujemy o świecie otaczającym. Widzieliśmy właśnie z analizy czynności mierzenia, że koniecznem jest wykonywanie pewnych ruchów pod kierunkiem przyświecających im zamiarów, aby mogło nastąpić stwierdzenie stosunku ilościowego między wyjętemi dowolnie z otoczenia przedmiotami. Jeżeli nie mierzymy w sposób prymitywny, nakładając jeden przedmiot na drugi tyle razy zkolei, ile razy się mniejszy (względnie obrany za jednostkę mierniczą) pomieści na większym (lub przy większym), to nawet jeszcze przy użyciu najbardziej ulepszonych aparatów mierniczych musimy wykonać pewien ruch, zazwyczaj ręczny, aby za jego pośrednictwem bądźto aparat nastawił się odpowiednio wobec przedmiotu, bądź też przedmiot wobec aparatu. A jeszcze przy samej obserwacji wykonujemy ruchy poziome gałek ocznych (równoległe do linji ust) i prostopadłe do nich (zazwyczaj pionowe) w tym celu, by stwierdzić, który znaczek na skali podziałki mierniczej nakrywa się z jednym a który z drugim kresem badanego przedmiotu, względnie odstępu między przedmiotami. Relacje więc między tem, co się odbywa wówczas w świadomości mierzącego a kierowa-

nemi przez tę świadomość ruchami jego ciała i przedmiotu niemi przesuwanego są wielokrotne, ściśle z sobą powiązane i obustronne, bo i naodwrót zależy od kierunku podniety otrzymanego na siatkówce ocznej, względnie przy binokularnem obserwowaniu, od kierunków podniet na obu siatkówkach: czy i jaki jeszcze ruch wykonać uzna za potrzebne świadomość zasilona wrażeniem odpowiedniem tej nowej podniecie — a to z zachowaniem swego zamiaru, czyli wyobrażenia celu zrealizować się mającego, z jakiem obserwator przystąpił do czynności mierniczej. Przy ustosunkowywaniu się świadomości do ruchów swego ciała i do ruchów ciał obcych tak wyraźnem, wytrwałem i w miarę dopuszczających to warunków szczelnem, nie zdaje się to być rzeczą uzasadnioną: podtrzymywać, jak to czyni Külpe, dwa nic ze sobą wspólnego nie mające rodzaje bytu więcej niż jedynie pomyślanego, mianowicie po jednej stronie „rzeczywistość" przeżyć, zaznań podniet, po drugiej stronie zaś „realność" pozapodmiotowych zdarzeń i ich przypuszczalnych ośrodków, przedmiotów. Owszem najwidoczniej ulegają wzajemnemu przez siebie kształtowaniu a co najmniej modyfikowaniu: po jednej stronie wytwory świadomości, jak przedstawienia, przekonania, postanowienia, po drugiej stronie zadrażnienia systemu centralnego dla odbioru podniet skądkolwiek, czyli u wyżej rozwiniętych organizmów zadrażnienia mózgu, pobudzenia dośrodkowe nerwów, służących odczuwaniom a odśrodkowe nerwów motorycznych, dalej procesy fizjologiczne odbywające się w kończynach nerwów, i bądźto zadrażnienia mózgu związane z postanowieniami a więc z pewnemi aktami czy stanami świadomości sprowadzają skurcze mięśni a pośrednio ruchy części ciała własnego i wywiązywanie się energji kinetycznej poza tem ciałem, bądź też naodwrót podniety fizyczne wyszłe z otoczenia przekształcają się w nerwach senzytywnych na takie zajścia, których ostatecznemi rezultatami po wywiązaniu się jeszcze procesów w mózgu, są czucia. To nie znaczy wcale, iżby energja fizyczna przemieniła się na psychiczną. Ale w każdym razie od postaci jej rozszerzań się i rozszczepiań zależały zróżniczkowania i kolejności odczuwań.

Będzie to już tylko kwestją nomenklatury, która w każdej mowie ludzkiej stara się przystosować do jej właściwości, być wierną duchowi swego języka — tak brzmi znany zwrot obrazowy — czy tę całość przedmiotów naszych obserwacyj i dociekań, w której obrębie wnioski poprawnie wysnute z doświadczeń nakazały nam przyjąć zależności pewnych przeżyć od ruchów fizycznych i zależności innych ruchów fizycznych od innych znów przeżyć, czy taką to całość narzucającą się nam raczej, aniżeli skonstruowaną z poczuciem naszej wewnętrznej swobody, odpowiedniej będzie nazwać po polsku rzeczywistością, czy też dwoma słowami: „byt realny" czy może jeszcze inaczej: światem faktów lub wydarzeń. Dałby się także przeciwstawić „byt faktyczny" bytowi tylko pomyślanemu *(ens rationis)*, urojonemu, fikcyjnemu, atoli z tem zastrzeżeniem, że niekoniecznie musi to być fikcja świadoma — o jakiej mówi fikcjonalizm Vaihingera — t. j. połączona z przekonaniem, że nie jest niczem więcej jak wymysłem.

Otóż, badając tę kwestję terminologiczną, nietrudno zmiarkować, że niemiecki wyraz „Wirklichkeit" użyty przez Külpego na oddanie specjalnego rodzaju istnienia przysługującego bezpośrednim danym świadomości, czyli przeżyciom (lub „zaznaniom") nie pokrywa się ściśle ani ze względu na swe pochodzenie, ani na płynące z tej jego etymologji skojarzenia mniej lub więcej wyraźne u różnych osób, ani na wynikłe stąd odcienie sensu, z polskim wyrazem „rzeczywistość". „Wirklichkeit" najwidoczniej wywodzi się od przymiotnika „wirklich", a ten znów od „wirken" = działać, czynić (greckie *ἔργον* i *ἐργάζεσθαι*), także snuć, prząść (por. połączenie wyrazów „wirken und weben"). Da się więc wcale odpowiednio i plastycznie scharakteryzować wyrazem „Wirklichkeit" to wszystko, co w sobie wyczuwamy, jako naszą swoistą czynność, przędziwo naszych wyobrażeń i myśli, również ich osnowę, treść, to, czem sobie uzasadniamy pewność, że w danej chwili działamy lub ulegamy określić się dającemu działaniu. Przeciwnie polski wyraz „rzeczywistość" nasuwa nam swem brzmieniem i pochodzeniem w pierwszym rzędzie rzeczy w ich „iszczeniu się lub ziszczeniu" albo „rzeczy w istocie" się tak a nie inaczej się mające.

Odpowiada też więcej francuskiemu rzeczownikowi *réalité* i angielskiemu *reality*, niż niemieckiemu „Wirklichkeit" ze względu na bieg skojarzeń postępujący od przedmiotów (rzeczy) ku jądrom ich znaczeń, a nie od podmiotu świadomego swych działań i ich zaznawania na sobie. Może i dlatego mówiąc o rzeczywistości mamy raczej na myśli istnienie rzeczy aniżeli istnienie naszej świadomości, czy też osób przedstawiających je sobie. Naraża to łatwo na popadnięcie w jednostronność, jaka się wytwarza, gdy ktoś przeocza, że dążenia umysłu, jego wiedza i zamiary stanowią ważną stronę rzeczywistości, mianowicie zbiór tych wszystkich jej składników, którym zniewoleni jesteśmy przypisywać w sposób o wiele jaśniej tłumaczący się, niż innym, to zjawisko, że się w oczach naszych świat dostępny tym i innym zmysłom przekształca w takim kierunku, w jakim go ktoś z powodów nam zrozumiałych przekształconym mieć chce. Jeżeli np. zauważymy dookoła siebie zmieniającą się lub zmienioną powierzchnię ziemi, postępującą jej uprawę, zabudowane grunta, nowo utorowane przejścia, nie możemy sobie tego inaczej wyjaśnić, jak, że czyjeś zamiary i zawarte w nich przedstawienia a w dalszym ciągu sądy miały udział i pozostawiły swe wyraźne ślady w świeżem ukształtowaniu się takiej właśnie rzeczywistości, że weszły tu w grę ich cele i potrzeby. A nawet gdy naraz znajdujemy podstawy do krytyki racjonalności tego rodzaju urządzeń i przeróbek, przyjmujemy za fakt niewzruszalny, że to, co się stało, jest co najmniej w niepodrzędnych rysach swojej postaci owocem czyichś spostrzeżeń, wyobrażeń, przemyśliwań, woli mniej lub więcej wytrwałej, logicznie konsekwentnej lub tylko upartej. Sztucznym jedynie wysiłkiem abstrakcyjnej czynności naszej myśli potrafilibyśmy wyróżnić w owych widzialnych i dotykalnych owocach kultury dwie rzeczywistości: podmiotową, kształtującą planowo a zarazem popędzaną emocjami, niekiedy niemi odchylaną z drogi pierwotnie wytkniętej i rzeczywistość, warunkującą wykonanie planów wydatniejszem lub mniej wydatnem umożliwianiem użycia środków rozmaitej jakości, wśród których, naturalnie i sam materjał (jak dla rolnika gleba i nasiona) jest pierwszorzędnej wagi.

Rzeczywistość domaga się zatem także rozpatrywania jej jako całość bytu, „nie w samym wyłącznie umyśle" (non in intellectu solo, jak się wyraził św. Anzelm) kiełkującego wytworu tegoż, ale jako zbiór wzajemnych ustosunkowań, korelacyj między podmiotami czuć, przedstawień, sądów, dążeń woli i jej postanowień, a przedmiotami tych różnorakich aktów świadomości, nie ukrytemi w samych tych aktach, ani w osiąganych przez nie stanach, ale dającemi się wywnioskować z ich przemian lub następstw po sobie, niezależnych od naszych życzeń, z ich podobieństw i różnic, z ich rozbieżności i zbieżności. To znaczy, że przynależność tych przedmiotów do świata rzeczywistości nie sprowadza się do samego faktu, iż ktoś je sobie przedstawił, skonstruował sobie, odczuł lub ocenił — one musiały już być elementami tego świata po myśli realizmu krytycznego, zanim sobie je ktoś uświadomił, o kim nie mamy podstawy do twierdzenia, że je w całości wytworzył z niczego.

Jeżeli stosownie do tych rozważań będziemy tak pojmować rzeczywistość, że się na nią składają po jednej stronie żywoustroje na niższem stadjum swego rozwoju samozachowawcze, asymilujące i kształtujące, zaś na stadjum wyższem także badawcze i to z zainteresowaniem coraz bardziej wyzwalanem od własnych celów biologicznych a zwracającem się do przedmiotu badań a obok tego jeszcze dbałe o zachowanie i rozwój zbiorów osobników sobie podobnych — po drugiej zaś stronie materjały kształtowań i przedmioty badań — to w ogólnej strukturze rzeczywistości zaczną nam się zkolei uwydatniać następujące działy:

1. Dziedzina wydarzeń fizyczno-chemicznych, co do których uzasadnionym przedstawia się domysł, iż zależności ich między sobą i prawa rządzące ich przebiegami byłyby te same, gdyby nie było żadnego żywoustroju, któryby reagował na swoje otoczenie, asymilował pewne jego części a pewne własne części jemu oddawał, przekształcał konfigurację składników swego otoczenia i naodwrót ulegał wpływowi otoczenia, przekraczającemu zasoby jego odporności a przeciwnemu jego zamozachowaniu się — tem mniej zaś takiego, któryby wyczuwał coś, spostrzegał lub wywnioskowywał w swem otoczeniu bądźto sytuacje dla siebie korzystne

i dające się zużytkować, bądź też szkodliwe i groźne, wzywające go do środków zaradczych. Procesy fizykalne i chemiczne biegną swojemi torami bez względu na to, czy ktoś je obserwuje, bada, czy je zużytkowuje w celach wyzyskania lub samoobrony, przesuwając energję kinetyczną, wywiązaną przez własny organizm, pola i kierunki ich działań tak, aby korzystne dla niego procesy neutralizowały niekorzystne.

2. Dziedzina życia i wszystkich jego praktyk, która w stosunku do reszty przyrody, t. j. do świata ciał nieorganicznych (a także w stosunkach rywalizacji między organizmami) pełni funkcje polegające jużto na przystosowywaniu się, jużto na wchłonięciu obcych mu elementów i przetworzeniu na części własnego ciała, o ile tylko coś jest przydatnem do takiego zasilenia, już też na opanowaniu i zaprzągnięciu do innych procesów korzystnych organizmowi, już też wreszcie na usunięciu oporów albo zniszczeniu, czyli rozbiciu na części, niezdolne już nadal wywiązywać tej swoistej energji, jaka była jedynie dziełem całości, stojącej na przeszkodzie lub zagrażającej odnośnemu osobnikowi organicznemu czy też ich grupie. Dla popędu samozachowawczego i rozwojowego żywoustrojów są środkami również spostrzeżenia i wnioski, o ile nie pobudza do ich czynienia niezależne od tych popędów zaciekawienie się objektywnym stanem rzeczy. Narzędziem dążności czysto życiowych jest nawet ten wyraźny zaród naukowego eksperymentu, jakim jest każda próba tak sił własnych, jak odporności (wytrzymałości) przedmiotów w otoczeniu, co z reguły w wypadkach elementarnych wychodzi na jedno, bo dopóki się nie wynalazło i nie obmyśliło jakiejś stałej, wspólnej dla wielu osobników miary ciśnienia, można wypróbować odporność przedmiotu materjalnego przeciw poruszeniu go z miejsca lub złamaniu i t. p. — jedynie zapomocą wyczuwanego stopnia natężenia swych wysiłków mięśniowych, a naodwrót skuteczność tych wysiłków, czyli wyrażając się popularnie, swoją siłę fizyczną tem, jak wielki i ciężki przedmiot uda się komuś poruszyć. Na stadjum rozwoju człowieka, nie mającem jeszcze uświadomionych samoistnych celów badawczych, są to wszystko tylko środki mające jak najkorzystniej ukształ-

tować szanse zamierzonych działań celem utrzymania się przy życiu i uczynienia go przyjemniejszem.

3. Dziedzina twórczości umysłu, uczuć i woli. Twórczość ta wykiełkowuje, odkąd społeczeństwa ludzkie i zwolna dopiero usamodzielniające się na ich łonie jednostki zaczynają cenić sądy i poglądy nie wedle samej ich pożyteczności biologicznej, ale stosownie do tego, czy są uzasadniane należycie (t. j. z logiczną poprawnością), czy się wiążą w całości zgodne i przejrzyście uporządkowane tak, iż stosunki wynikania jednych z drugich, koordynacji szczegółów i ich składań się na ogólniejsze wyniki, występują jasno i wyraźnie. Wślad za takiem kształtowaniem się jedności konsekwencji i planu pomiędzy poszczególnemi sądami (oraz budowanemi z nich pojęciami) idzie coraz większe zadowolenie natury umysłowo-estetycznej znajdowane w tego rodzaju wytworach i wyciska ono swoje piętna na całej postępującej odtąd kulturze uczuć. Jak na niskim stopniu tej kultury lub po jej zwyrodnieniu i w stadjum zanikania jej podoba się to, co drażni umysły, co je intensywnie łaskocze, to w miarę jej podnoszenia się porywa uczucia ludzkie i upaja je taki stosunek motywów, taki układ form artystycznych i koncepcyj poetyckich, z którego przeziera pęd ku sharmonizowaniu, zestrojowi i równowadze potęg ścierających się z sobą w duszy człowieka lub w przyrodzie a zczasem — i to jeszcze silniej działa — prąd duchowy usiłujący poddać sprawie najwyżej cenionej wszystkie kłębiące się wiry wzruszeń, tak iż te odmęty emocjonalne zabarwionych wrażeń, dalej nastrojów i pragnień, które zdawały się rozsadzać wnętrze targanego niemi, naraz przeniknięte natchnieniem i żarem przeczuć rozwartych w stronę Podstawy wszechżycia, zarazem jego Wartości Najwyższej, Źródła wszelkich dóbr i ich rozjaśniań się nam, wprzęgają się jakby samorzutnie w ten rydwan zwycięski pochodu, który się wzbija ponad wszystkie skończone zakresy rzeczywistości. A wreszcie kultura w o l i podnosi się, gdy już nie na pojedyńczych postępkach, t. j. na wydarzeniach, tłumaczonych czyjąś wolą, od wypadku do wypadku, skupia się uwaga i uznanie współżyjących członków grupy, zależnie od tego, czy odnośny postępek był pożyteczny życiu członków zbioru, zachowaniu

i wzmocnieniu jego całości, ale gdy wolę jednostki ocenia się z ciągu postępków, o ile możności liczniejszych, z zachodzących między temi postępkami stosunków, ujawniających jakąś trwałość usposobień, pobudek, zamiarów, albo też brak takiej trwałości i konsekwencji. Nacisk spoczywa odtąd na pytaniu, czy wyrabia się lub nie wyrabia pewien jednolity charakter. Odpowiedź na nie jest oczywiście możliwa tylko na podstawie porównania odpowiedniej ilości postępków danego osobnika, czyli co najmniej takiej ich ilości i to postępków tak znamiennych, ażeby nie był uzasadniony zarzut o porywczość przy wydawaniu osądu, o kierowanie się uprzedzeniami, czyto płynącemi z antypatji, czy z sympatji. W każdem społeczeństwie niezacofanem w swoim rozwoju i czujnem, by nie popaść w jednostronną zależność od sąsiadów i wogóle od obcych, objawia się wraz ze wzrostem doświadczenia historycznego oraz bystrości opartych na niem przewidywań zrozumienie coraz jaśniejsze, że przyszłość tego społeczeństwa zależy od tego, jakie potrafi ono wychować u siebie charaktery, do jak wysokiej zdoła doprowadzić kultury woli, umysłów i uczuć. Temu należy przypisać, że owe zespoły usposobień sprawniejszych i bardziej ochoczych do postępków przydatnych zachowaniu społeczeństwa i jego dobrobytu stają się dla dalej przewidujących jego członków cennemi w ich oczach ze względu na spodziewane z nich następstwa dla przyszłych jego losów, o ile wytwarzają lepsze widoki ostania się go wobec niebezpieczeństw im grożących i pokonania przeszkód tamujących jego rozwój. Acz jednak z tego punktu widzenia przedstawiają się pożytecznemi środkami i narzędziami żywota zbiorowego, to są niemniej upragnionemi celami takie dyspozycje woli a pośrednio i prowadzące do nich dyspozycje uczuciowe i umysłowe i nie dadzą się konsekwentnie traktować przez wychowawcę lub ustawodawcę li jako środki, t. j. jako dające się zastąpić innemi środkami i odrzucić tak, jakgdyby mogły kiedykolwiek stać się zbędnemi. Pewne przekonania i tak samo uczucia mogą ustąpić miejsca innym w miarę dokonywania się sprostowań sądów i powstawania nowych uczuć wypierających dawniejsze dzięki swej większej odpowiedniości do nowego stopnia

kultury, np. dlatego, że są bardziej zróżnicowane, skomplikowańsze i delikatniejsze. Ale o ile nie dochodzi do całkowitego rozpadu społeczeństwa na zwalczające się nawzajem nieubłaganie szczepy, klasy lub inne odłamy (np. terytorjalne), tętnią w niem nadal zabiegi o wyrabianie i rozpowszechnianie pewnych typów struktury myślowej, uczuciowej i wyjawów woli w postanowieniach i postępkach, o to, by czynności psychiczne i ich wytwory były możliwie ześrodkowane a zarazem zarysowywały się wyraziście, były zdeklarowane jednoznacznie. Wtedy bowiem jedynie może większe i szybsze postępy czynić jakakolwiek twórczość umysłowa, artystyczna lub społecznie i gospodarczo organizacyjna, gdy gleba społeczno-duchowa, z której bądź co bądź musi wyróść, ma podkład umocniony wielorakiemi splotami korzeni kryjących w sobie soki pokrewne, gdy tę glebę już przeorało wiele wysiłków z sobą skoordynowanych a nie idących luzem — i gdy ponadto postacie przeżyć, z których czerpie twórca i które ma w swojem otoczeniu społecznem pobudzić, nie są bezkreśnie rozlewne i mętnie zmieszane ze wspomnieniami przeżyć dawniejszych, ale występują w konturach uchwytnych, tak plastycznych, że komunikowanie ich sobie nawzajem, prace wspólne nad ich uogólnieniami jak i nad ich symbolizowaniem, wyczuwanie z nich bodźców i odnajdywanie w cudzych przeżyciach oddźwięku własnych są ułatwione. Rzeczywistość kulturalna tworzy wiele bez oglądania się na pożytek biologiczny, dla radości w samem kształtowaniu się dzieła i w towarzyszącem mu poczuciu wyzwalań się sił dotąd utajonych, związanych. Człowieka kulturalnego cieszy nietylko wykrywanie lub realizowanie jakiegoś stosunku, ale nawet często samo przedstawienie go sobie, gdy np. przypomniawszy sobie pewną melodję odśpiewuje ją, i ujęcie stosunków między wyższemi a niższemi tonami, jako wrażeniami akustycznemi, łączy się u niego z ujmowaniem stosunków między silniejszemi a słabszemi napięciami więzadeł głosowych a więc stosunków między wrażeniami mięśniowemi.

Wielu myślicieli nie rozstaje się z nadzieją, iż uda się kiedyś nauce wyjaśnić rozwój gatunków, a w szczególności człowieka, ściśle mechanicznie, t. j. bez przyznawania dążnościom

do jakichbądź celów udziału samoistnego w dojściu ewolucji filogenetycznej do skutku, bo uważają także te dążności za konieczne następstwa procesów fizycznych i chemicznych. Ci sami, jak z pośród naszych badaczy Danysz, upatrują dla tych swych przewidywań poparcie, także w zakładanej przez nich, ale dotąd niedowiedzionej, ciągłości przejść od świata nieorganicznego do organicznego i od zwierzęcia do człowieka. To, iż ludzi jeszcze zbliżonych do stanu pierwotnego cieszą już same stosunki stwierdzane między przedmiotami ich doświadczenia, co zdaje się wychodzić poza obręb popędów i potrzeb czysto fizjologicznych, tłumaczą ci wyznawcy nieprzerwanej ciągłości rozwojowej t. zw. heterogonją celów. Polegać ma ona na tem, że czynności które na wcześniejszych stadjach rozwoju były jeno środkami w zabiegach o zachowanie bytu organizmu i o spotęgowanie jego funkcyj fizjologicznych, stają się zczasem same celami a pierwotne ich podporządkowanie celom osobniczym i gatunkowym ulega zapomnieniu. Gdy więc nas raduje stosunek między dwoma lub więcej napięciami naszego organu głosowego, który się potem kojarzy ze stosunkiem dwu lub więcej tonów przez nas wyśpiewanych i prawie równocześnie słyszanych, to traktując ten estetyczno-uczuciowy interes dla stosunku między czynnościami — a w dalszym rzędzie między ich wytworami, jako przedmiotami spostrzeżeń — po oderwaniu od celów organizmu, zapomnieliśmy wedle tej teorji, że takie a takie uszykowanie takich a takich czynności po sobie w czasie miało, jeśli nie u nas, to u bardzo odległych przodków naszych jakiś cel życiowy, np. skuteczność pewnego działania przygotowywała się przez nabieranie odpowiedniego rozmachu w tempie sztucznych ruchów. Podobnież stosunek między czynnościami sądzenia, między ich wytworami, t. j. osnowami sądów, może człowiekowi rozwiniętemu umysłowo sprawić zadowolenie sam przez się, gdy mianowicie z jednego sądu wynika inny, a zwłaszcza gdy wiele innych sądów stanowi jego łatwo przejrzyste konsekwencje, gdy sądy się wzajemnie dopełniają, zgrupowują a te grupy znów się z sobą wiążą w sposób widoczny. Takie ustosunkowanie czynności sądzenia i ich rezultatów okazało się o wiele częściej pożytecznem osobnikom ludzkim

i całym ich grupom w ich zabiegach samozachowawczych i mających na celu spotężnienie lub uprzyjemnienie egzystencji, aniżeli brak tego ustosunkowania i tem tłumaczą ewolucjoniści przyjmujący ciągły a nie skokowy rozwój od zwierzęcia do człowieka, jak się to stało, że człowiekowi tak silne zadowolenie sprawiają stosunki ścisłego wynikania i przejrzystych związków pomiędzy sądami. Mianowicie nie inne z reguły sądy, jak tylko tak ustosunkowane, prowadziły do trafnych przewidywań i do obmyślań skutecznych środków bądźto zaradczych przeciw cierpieniom i śmierci (o ile ją odwlec można), bądź też gotujących nowe przyjemności i dlatego to nawet i wtedy, gdy z łańcuchów wspomnień odpadły w świadomości owe ostatnie ogniwa t. j. pożądane następstwa dla życia organicznego, dla jego funkcyj fizjologicznych, to pozostało nadal skojarzenie tak ściśle i przejrzyście względem siebie ustosunkowanych sądów z tonem uczuciowo dodatnim, czyli zaczęły się stale podobać takie stosunki między aktami sądzenia i między samemi twierdzeniami, z któremi dziedzicznie poprzez wiele pokoleń zrosły się miłe poczucia unikniętych niebezpieczeństw, doznanych ulg w przykrościach i osiągniętych wygód lub innych uciech.

Poważne jednak trudności przeciwstawiają się takiemu ponętnemu dla materjalisty wyjaśnieniu uczuć estetycznych, umysłowych a podobnież religijnych i moralnych. Czynność przedstawiania sobie, sądzenia oraz koniecznego przed jednem i drugiem natężania uwagi (względnie woli), także nastrój uczuciowy towarzyszący czynnościom, jako też połączonym z niemi zmianom w obiegu krwi — wszystkie te sprawy w osobniku żywym wiążą się zapewne ściśle z funkcjami fizjologicznemi organizmu, w szczególności zaś w ustrojach dostatecznie zróżniczkowanych, z funkcjami ich systemu nerwowego, począwszy od obwodu tegoż a skończywszy na ośrodkach. Tu zachodzić zdaje się istotnie ściślejsza odpowiedniość w pokonywaniu oporów między tem, co się rozgrywa fizycznie i chemicznie w organiźmie, co zaś jest do przypisania w znacznej części cechom przekazanym przez przodków ze względu na szybsze lub powolniejsze tempo przemian, wyższy lub niższy stopień czy też rozmiary zużycia i wyczerpania substancji nerwowej — a tem, co jest odczu-

wane bezpośrednio przez każdego, kto ze skupioną uwagą coś sobie przedstawia lub nad czemś przemyśliwa, jako wysiłek jego „ja", jako wydarzenie w świadomości mające różne fazy w czasie, o rozmaitych stopniach natężenia. Ale obok tego poczucia w sobie mniej lub więcej nagłych podnoszeń się i opadów wysiłków dających się nawet z niejakiem przybliżeniem usymbolizować zapomocą linji krzywej na płaszczyźnie, nasuwają się nam w naszych przedstawieniach i sądach pewne treści a stosunek składników tych treści z ich budowy do procesów w systemie nerwowym osobnika uświadamiającego je sobie, nie jest już wytłumaczalny przez proste porównanie przebiegów jednych zdarzeń z drugiemi i nie wystarcza do objaśnienia go przyjęcie, że takim samym lub podobnym procesom fizjologicznym odpowiadają takie same lub podobnie przeżyte treści, a różnym różne. Musi być wzięta pod uwagę przeszłość osobnika. Stosunek odtwarzanych z niej przedstawień do przedstawień świeżo rodzących się, spostrzegawczych, decyduje o tem, jaka treść wystąpi w świadomości. Dlaczego zaś jakieś czucie całkiem nowe, którego nie zaznał dotąd ani osobnik dany, ani jego przodkowie — przypuściwszy wypadek w najwyższym stopniu nieprawdopodobny, że ta ostatnia okoliczność dałaby się stwierdzić — odpowiada jakością swej treści, tym a nie innym procesom fizyczno-chemicznym ściśle określonym ilościowo, takie pytanie należy albo do problemów nierozwikłalnych, albo też, jak mniema wielu myślicieli, między innymi wśród współczesnych Schlick w swej „Erkenntnisslehre" (wyd. II, 1924), do problemów t. zw. pozornych czyli fałszywie postawionych.

Otóż gdybyśmy przyjęli, że człowiek dopiero na pewnem stadjum swego rzekomo ciągłego rozwoju z czysto zwierzęcej formy bytowania zaczął się interesować samemi stosunkami swych uczuć, przedstawień, uczuć, sądów, postanowień, iż spuścił z uwagi ich znaczenie dla niego dotychczas wyłącznie praktyczne, organiczno życiowe, jako środków w walce o byt, tobyśmy musieli przypisać powstanie nowych jakości czuć faktowi wstecznemu z punktu widzenia teorji rozwoju, jakim byłoby zatarcie się pewnych wspomnień

lub ich wypadnięcia. Tymczasem do postępu ku coraz wyższym wartościowaniom stosunków, jako to logicznych między sądami (i wchodzącemi w ich skład pojęciami), estetycznych między wrażeniami i przedstawieniami oglądowemi (naocznemi) czyli wyobrażeniami i etycznych między postanowieniami oraz ich sprężynami, jak pobudki i intencje, bynajmniej nie było potrzeba zaniku częściowego pamięci o życiowo zbawiennych skutkach stosunków ocenianych dodatnio. Wystarczało p r z e s u n i ę c i e ś r o d k o w e g o p o l a u w a g i i tem samem kładzionego głównego nacisku ze skutków osobiście pożądanych, spostrzegalnych zmysłowo, pochwytnych dotykiem, krzyżujących się nawet u tej samej jednostki, np. gdy osiągnienie czegoś i używanie naraża na utratę życia lub zdrowia — n a o g ó l n i e j s z e i s t a l s z e w a r u n k pomyślnego ukształtowania się tych skutków. Jakiś zaród dyspozycji do tworzenia uogólnień, do odkrywań pewnych cech zauważonych ze związku z innemi musiał kryć się w umysłowości ludzkiej już wtedy, gdy człowiek podlegając przeważnie przygodnym biegom skojarzeń pod naporem emocyj, czyli uczuciowego zabarwienia swych przeżyć, jednak już uświadamiał sobie różnice między celami a środkami. Już wówczas wiedział z doświadczenia, że o dopięciu celów stanowi głównie jego zachowanie się, bo i przedmioty z poza jego ciała, narzędzia, używane też za środki jego zamiarów wymagały z reguły jakiegoś przezeń obrobienia, aby się stać środkami przydatnemi. Mamy jednakże podstawy dla domysłów, że już najpierwotniejsze społeczeństwo ludzkie, to, które miało jakąś wspólną mowę, zaczątki techniki, religijnych kultów i wierzeń, nastawiało się też, odwrotnie względem swych potrzeb organicznych i warunków ich zaspokojenia. A mianowicie owe stosunki psychicznych aktów i treści, od których za zawisłe uważają swoje powodzenie członkowie grup najbardziej do stanu pierwotnego zbliżonych — a może dzikszych od niego skutkiem zwyrodnienia, wiążą z niemi słusznie lub niesłusznie, trzeźwo lub zabobonnie, owoce swych postępków, to nie są dla nich tylko środki służebne względem celu i tymże celom podporządkowane, ale uchodzą im za potęgi obdarzone czemś w rodzaju samoistnego żywota, które trzeba sobie umieć zjednać. Słowa

nieodłączane od wyrażanych niemi myśli, przedmioty upatrzone zwłaszcza w żywej przyrodzie albo wyrobione ludzką ręką pod dyktatem uczuć dla nas trudnych do odcyfrowania, wreszcie całe ciągi ruchów dowolnych, praktyk uświęconych ustną tradycją, mają przekonaniem tych ludów w sobie moce czarodziejskie, nadzwyczajne. Wszystko to w postaciach dla nie rozumiejącego ich powstania karykaturalnych, być może, że wykoszlawionych przez długowiekową degradację i zastój owych ludów, zdaje się przecież wskazywać, że umysł praczłowieka, poczuwszy w sobie swoisty pęd do uogólniań i do wiązań warunków swoich dobrych i złych losów, zwracał się z lękiem, ale także z podziwem, z czcią, z wdzięcznością, z błagalną prośbą i nadzieją do odgadywanego przez siebie niewidzialnego źródła swych celowo ustosunkowanych sądów, uczuć i postąpień.

Mamy istotnie ślady wyciśnięte na wielu wczesnych stadjach umysłowości np. u Hindusów, w szkole eleackiej, pitagorejskiej, nawet u Heraklita, które przemawiają za tem że jeszcze o wiele dawniej była refleksja ludzka bardzo wrażliwa na widok dobroczynnego wpływu ustosunkowanych należycie, „rozumnie", pomysłów, uczuć i postępków na wynik zapasów człowieka z otaczającą go przyrodą. Wprawdzie tak samo dziś, jak i przed tysiącami lat stają co chwila napoprzek takiemu widokowi krzepiącemu i zagrzewającemu do ufności w przewagę sił ducha nad światem fizycznym doświadczenia, które nam ukazują mrowia egzystencyj ludzkich miażdżonych przez rozszalałe żywioły. Każdemu, kto zechce sobie wyobrazić choćby trochę większą cząstkę tej nieprzejrzanej mnogości katastrofalnych dla człowieka następstw ze zderzenia się z ogromami przyrody i z niewidzialnie małymi w niej wrogami (mikrobami), muszą się narzucać myśli na temat zależności życia jednostek nawet najgenjalniejszych i najbardziej bohaterskich i zbiorowości nawet najkulturalniejszych od korzystnego lub niekorzystnego dlań układu warunków w świecie fizycznym a to wbrew wszelkim jak dotąd postępom wiedzy i techniki. A jednak, jeżeli chcemy snuć wnioski z dostępnego nam w granicach możności kompletu zjawisk cośkolwiek zdolnych rozjaśnić proces przemian w stosunku człowieka do reszty przyrody i w ten

sposób będziemy przestrzegać zasady objektywności, unikać poddawania się nastrojom wdzięcznym dla literata i artysty, ale niebezpiecznym w roztrząsaniu naukowo-filozoficznem, to odsłania nam się zaraz strona odwrotna, wcale nie tak ponuro usposabiająca jak tamta, owszem jakby dźwignia wręcz przeciwnego poglądu na stanowisko człowieka we wszechświecie.

W niektórych tylko kompleksach elementów materjalnych przyrody nieorganicznej napotykamy objawy oporu dającego się wymierzyć a stawianego przeciw rozerwaniu ich na części i przeciw połączeniu ich chemicznemu z odmiennemi gatunkowo elementami (pierwiastkami lub związkami różnych pierwiastków) — połączeniu pociągającemu za sobą zmianę ich właściwości na tak długo, dopóki znów nie wejdą w jakiś dalszy związek albo nie zostaną wydzielone skutkiem silniejszego powinowactwa elementów z niemi związanych do elementów innych, czy też na drodze elektrolizy. Te dwie odporności: przeciw rozerwaniu na części i przeciw połączeniu chemicznemu nie chodzą ze sobą stale w parze w świecie nieorganicznym np. najtwardszy węgiel skrystalizowany (diament) utlenia się t. j. spala w wyższej temperaturze bardzo szybko — a gaz argon nie przeciwstawiający żadnego oporu rozdzielaniu na części, jest oporny wobec prób połączenia go z innemi pierwiastkami. Cząstki jego zachowują swą indywidualność gatunkową. Wysoki stopień odporności przeciw rozbiciu przedstawiają też atomy dzisiejszej fizyki z niewielu wyjątkami atomów najskomplikowańszych (t. j. o największej ilości elektronów ujemnych i jąder dodatnich w ciałach promieniotwórczych). Oczywiście wytrzymałość tych oporów zależy w ciałach nieorganicznych od warunków postronnych, jak temperatura, prądy elektryczne i t. d. i obraca się w granicach ściśle wytyczonych.

Odporność jestestw organicznych żywych przybiera ten osobny charakter, że one nie składając się z samych ciał o stanie skupienia stałym, a więc nie wyłącznie z tego, co możnaby, mówiąc potocznie, nazwać mniej lub więcej „twardem", ale także z płynów i jak to w ostatnich czasach podniesiono, z ciał o stanie skupienia pośrednim koloidalnym, a nadto pochłaniając i utrzymując w sobie uwięzione

części lotne, bronią się wszelkiemi możliwemi dla danego jestestwa i w danym czasie sposobami przeciw przymusowemu z zewnątrz idącemu rozbijaniu na części, jakkolwiek same mnożą się przez dzielenie się, mające początki w ich własnych swoistych funkcjach. A dalej bronią się przeciw ich zaasymilowaniu chemicznemu przez inne jestestwa żywe, jako też przeciw zmianom ich składu chemicznego, grożącym z temperatur zbyt niskich lub zbyt wysokich, wytwarzając np. przeciw zimnu gęstsze owłosienie, lub jak drzewa i krzewy na swych pączkach łuski ochronne, zaś od szkodliwego działania upałów i suszy chroniąc się np. tworzeniem gruczołów potowych lub — w świecie roślinnym — takiemi okryciami, jakie widzimy na grubych liściach kaktusów. Równocześnie jednak cały żywot tych jestestw zapełniony jest procesami wymiany pierwiastków i ich połączeń i ich dążności samozachowawcze — jeżeli mamy prawo mówić o dążnościach, a nie o prostym mechaniźmie — zmierzają do tego, by o ile możności nie tracić więcej, niż się zpowrotem odzyskuje i nie wchłaniać więcej, niż się zdoła zaasymilować. Wiadomo, że do tych procesów chemicznej asymilacji i dysymilacji niezbędne są organizmom pewne warunki, powietrze i woda, ciepłota w granicach podawanych tylko w przybliżeniu, gdyż zdolność do przystosowywań się sięga u wielu gatunków bardzo daleko i nie są owe granice tak sztywne, jak dla nieorganicznych są niemi punkty topnienia i wrzenia przy oznaczonem ciśnieniu.

Gdy jestestwu żywemu pozwalają jego czucia i ruchy dowolne — a zwłaszcza na wyższem stadjum rozwoju zróżniczkowane i zjednoczone z poszczególnych wrażeń spostrzeżenia jako też pamięć — zorjentować się w sytuacji i ją dla siebie wyzyskać — staje się jego samoobrona i pogoń za zaspokojeniem popędów coraz kunsztowniejszą. Czynnościami zwierzęcia kieruje cel, który mu w indywidualnych wypadkach bliżej wyznaczają spostrzeżone, wyobrażane lub niejasno przeczuwane przedmioty, mające być osiągniętemi lub przeciwnie uniknionemi, który wszakże jest w swych najogólniejszych rysach wspólny dla całego gatunku, niepodległy refleksji i kontroli ze strony jestestwa powodującego się nim. To też niewłaściwem byłoby przy całej mi-

sterności zabiegów samozachowawczych i skierowanych ku zachowaniu potomstwa wyrażać się o jestestwie, które podejmuje te zabiegi bez namysłu nad wartością ich celu i nad możliwością rozmaitych z pośród nich alternatyw, oraz wyboru między temi alternatywami, że ono jest kierownikiem swych zachowań się. W życiu jednostek zwierzęcych nie dostrzegamy dość wyraźnych objawów, któreby świadczyły, że one uświadamiają sobie swoje własne popędy, że je obserwują, kontrolują i usiłują zmienić w kierunku postanawianym jako stały, choćby przez czas krótki, jak to się dzieje u ludzi bardzo jeszcze dziecinnych. Nie widać też, by się w nich wyrabiały charaktery indywidualne i wyróżniające osobniki od wszystkich innych w tym samym gatunku, odmianie, czy rasie, a to tak wtedy, gdy zwierzę przez większą część roku żyje samotnie, jak gdy żyjąc w gromadzie wybija się na prowodyra stada dzięki czujności i bystrości swych zmysłów, wzrostowi, sile fizycznej i t. p. Tresura ludzka wydobywa najaw pewne właściwości psychiczne zwierząt, kształci je i utrwala, ale nie można nazwać ogółu tych przemian rozwojem samodzielnym, gdyż wewnętrzne warunki, decydujące o ich postaci, nie zdają się pochodzić skądinąd, jak ze skojarzeń uczuć przyjemnych i przykrych z wyobrażeniami ruchów dowolnych i przedmiotów oraz z ogólnego popędu samozachowawczego. Z temi drobnemi wyjątkami, wytłumaczalnemi przez interwencję ludzką, zatem nie naruszającemi reguły, zmiany w świecie psychicznym zwierzęcym, o ile mają jakieś trwalsze następstwa i przynoszą coś przydatnego przyszłym pokoleniom, są zarazem połączone ze zmianami w strukturze organicznej dziedziczonemi przez potomstwo, są ogniwami w rozwoju gatunku po myśli przyjmowanej dziś przeważnie teorji ewolucji mutacyjnej — nie ciągłej ale — skokowej. Niema tam właściwej dopiero społeczeństwom ludzkim wymiany przedstawień i sądów narzucanych początkowo przez całość grupy społecznej jednostkom, które zaczynają zwolna w miarę postępu kultury coraz samodzielniej i krytyczniej reagować osobistą twórczością na poddawane im myśli, uczucia i nakazy obyczaju. Wiele gatunków zwierzęcych wyginęło pomimo rozpaczliwej samoobrony, niektóre giną i dziś.

Jeden gatunek ludzki „species homo sapiens" przedstawia ten osobny typ rzeczywistości społecznej zarazem i zdobywającej się na samowiedzę, na akty refleksji krytycznej nad własnemi czynnościami, i na uogólnienia, na analizy i odrywania od wypadków jednostkowych, na rozumowania wedle zasad stałych, możliwie jak najprostszych i jak najjednoliciej względem siebie ustosunkowanych, ten typ rzeczywistości, który pomimo widomych kataklizmów spotykających jej części najbardziej wśród jestestw żywych na ziemi przybliża się do ideału opanowania przyrody. Steruje coraz większemi odłamami z całości wydarzeń fizycznych, chemicznych i życiowych w ten sposób, że wciąż postępując w wykrywaniu stałych zależności między faktami tych dziedzin, otwiera sobie nowe punkty zaczepienia dla swych działań, nowe ich drogi i kombinacje, umożliwiające osiąganie niesłychanych dotąd skutków zapomocą wywiązywań zapasów energij nagromadzonych dokoła niego a przedtem mu nieznanych, a których eksploatacja i zużytkowanie dla celów nietylko materjalnych, ale też umysłowych, estetycznych i t. d. wymaga jedynie odpowiedniej organizacji ludzkiej współpracy. A tak rozwiązanie problemu, jak unieszkodliwić, okiełzać i zaprząc jakby do swego zwycięskiego rydwanu siły przyrody, staje się dla człowieka zawisłem od rozwiązania kwestji moralno-społecznej — naturalnie obok zawsze piekącej sprawy popierania badań i twórczości naukowej — mianowicie kwestji streszczającej się w tem, jak wychować największe masy ludzi na współpracowników zgodnych, uczciwych, energicznych, zabezpieczonych od takich niedostatków i cierpień, któreby ich popychały do walk bratobójczych między sobą, klasowych czy narodowych, i jak też odpowiednio do tego celu wychowawczego urządzać ich stosunki gospodarcze, prawne i polityczne. Niewątpliwie będzie zależało od racjonalności zabiegów podejmowanych około przebudowy życia ekonomicznego, państwowego i stosunków między narodami, czy idea powszechno-ludzkiego współpracownictwa w postępującem stopniowo opanowywaniu przyrody przez umysł człowieka będzie miała ułatwione zwycięstwo nad skłonnościami do wyzysku ludzi przez ludzi i do wydzierania sobie nawzajem

owoców pracy. Jednakże do tego celu niezbędnem jest także, aby jak najwięcej ludzi zdołało w sobie wykrzesać potężny rozmach dążeń ku Najwyższemu Ideałowi doskonałości duchowej, wiarę w Rządy wiekuistej Mądrości i Miłości nad duszami i nad światem całym, oddanie się nakazom płynącego stamtąd porządku etycznego, by ponad wszystkie inne zadowolenia wybiła się u nich radość znajdowana w wytwarzaniu nowej rzeczywistości kulturalnej, w zdobywaniu nieziszczalnych skarbów ducha: poznania rozleglejszego, jednolitszego i głębiej ugruntowanego, docierania do wizji piękności w harmonji wszechświatowego układu i planu twórczego, tej piękności, którą Słowacki nazwał Córą Słowa a nadewszystko dobrej woli, która zestraja, kształtuje i umacnia charaktery, jest zaś wartością dostępną dla wszystkich, nietylko dla wyposażonych w osobliwsze dary umysłowe i artystyczne, wartością szerzącą szczęście przeświadczeniem, iż się w miarę sił swych przysłużyli sprawie świętej i wielkiej.

Poczucie takiej to rzeczywistości społeczno-kulturalnej ma w sobie warunki po temu, by rozwiewać ów poprzednio naszkicowany pesymizm, jaki budzi się pod pierwszem wrażeniem wyglądającego napozór beznadziejnie stosunku człowieka do reszty przyrody.

Prof. Witold Rubczyński.

SPROSTOWANIE. Cyfry 810 i 390 miljonowych części jednego milimetra są wyjęte z „Nauki Fizyki" Profesorów Dra Władysława Natansona i Dra Konstantego Zakrzewskiego, którzy na str. 325 i nast. w T. III zaznaczają, że jeszcze i te granice dla spostrzegania barw, zwłaszcza fioletowej, nie są bezwzględnie stałe, bo wedle Soreta i Helmholtza zdarzają się osoby, które widzą „podobno" barwę fioletową przy długości fali $310 \times {}^{1}/_{1,000,000}$ mm. Ostwald w swej „Farbkunde" podaje ramy znacznie ciaśniejsze: pomiędzy 670 (na innem miejscu na str. 125 zdaje się wychodzić od 700) a 420 i powołuje się na to, że w pomiarach (i obserwacjach) przez niego wykonywanych brały udział także inne osoby. To, że najczęściej widzimy tylko barwy mieszane i że istnieje mnóstwo stopni jasności i ciemności barw z zupełnem nasyceniem w pośrodku, utrudnia wyczerpujący dokładniejszy pomiar.

Francja i Alzacja.

Centralizm czy regjonalizm?

(Dokończenie).

IV. Autonomizm alzacki.

Z przytoczonych już faktów wie czytelnik, że już w listopadzie 1918 r. niektórzy działacze alzaccy (Dr. Ricklin) próbowali nieśmiało agitować za plebiscytem i za autonomją Alzacji w ramach Francji; inni (Rada Narodowa z ks. Delsor'em na czele) wyraźnie zaznaczyli swe stanowisko decentralizacyjne. Ich głosy wszakże przygłuszone zostały okrzykami radości tłumów witających wkraczające wojska francuskie.[1]) Przez cały czas rządów Bloku Narodowego (1919—1924) Alzatczycy dawali do zrozumienia, że zadowoleni nie są (incydent w Graffenstaden), ale ponieważ *status quo* był naogół przez Paryż szanowany — przeto malkontenci nie mieli podstaw do wystąpień publicznych. Zyskali je natychmiast po dojściu do władzy Kartelu Lewicy, albowiem Herriot zapowiedział rozciągnięcie na Alzację „całokształtu ustawodawstwa republikańskiego" i zerwanie z Watykanem.

W maju 1925 r., w Saverne, zaczął wychodzić tygodnik *Zukunft* wywiesił jawnie hasło autonomji alzackiej i bardzo prędko zyskał 30.000 czytelników. Redaktorem pisma był

[1]) W listopadzie 1918 r. trzech Alzatczyków, którzy się schronili w Baden-Baden, założyło tam *Executiv Komitée der Republik Elsass-Lothringen*: nazywali się Rapp, Muth i Cezar Ley. Wsławili się tem, że wystosowali pismo do Prezydenta Wilsona, domagające się plebiscytu w Alzacji. Ley był osobistym przyjacielem Clausa von Bulach, który pozostał w Alzacji. Ten pijak i zawadjaka mówił przed wojną manifestacyjnie po francusku i podpisywał się „Claude de Bulach"; po wojnie, założył „partję alzacką" i zaczął mówić tylko po niemiecku.

Paul Schall, młody dziennikarz wyglądający na zdecydowanego ideowca; administrował tygodnikiem Emil Pinck, postać trochę niewyraźna, bo z urzędnika pocztowego przed wojną wykierował się na dyrektora banczku strasburskiego Pinck, Gerardot et C-ie. Inspiratorem całego przedsiębiorstwa był znany już czytelnikom Dr. Ricklin, nie występujący jeszcze publicznie. Uczynił to dopiero w rok potem, kiedy *Zukunft* mu teren przygotowała.

Dnia 5 czerwca 1926 r., w jednej z piwiarń strasburskich założony został *Elsass-Lothringischer Heimatbund* z Drem Ricklinem na czele. Wydał on zaraz odezwę do ludności, którą ogłosiły wszystkie dzienniki katolickie. Stwierdziwszy na wstępie, „że miara cierpliwości się przebrała", bo „wydziedzicza się nas z naszych praw" i „kpi się z naszych tradycyj", autorowie odezwy piszą: „Jesteśmy przekonani, że obrona nieprzedawnionych i świętych praw ludu Alzacji-Lotaryngji, oraz naprawa krzywd wyrządzonych tysiącom naszych obywateli nie będą nam zagwarantowane — jako mniejszości narodowej — dopóty, dopóki nie uzyskamy zupełnej autonomji w ramach Francji..."

Oto zasada. Na niej się opierając, podpisani żądają:

1⁰ prawodawczej i administracyjnej autonomji:

2⁰ własnego sejmu w Strasburgu z prawem uchwalania krajowego budżetu;

3⁰ własnego rządu krajowego;

4⁰ szkolnictwa początkowego, średniego i wyższego w rodzinnym języku niemieckim, przyczem o jego organizacji zdecyduje sejm alzacki.

Manifest kończył się tak: „Nie tworzymy nowej partji. Będziemy organizacją, która zmusi istniejące partje polityczne do zaprzestania ich nieśmiałej i błędnej polityki. Będziemy z nieustającą energją walczyli o prawa ludu alzacko-lotaryńskiego. Niech żyje silna, wolna i zdrowa Alzacja-Lotaryngja!" [1])

Manifest wywołał w Alzacji ogromne poruszenie. Potępili go tylko socjaliści, niektórzy radykali, oraz pos. Karol Frey na łamach swej *Strasburger Freie Presse*. Organy ka-

[1]) Tekst odezwy *Heimatbundu* podał m. i. paryski *Avenir* z 10 VI. 26.

tolickie najwidoczniej z manifestem sympatyzowały; wyjątek stanowił wychodzący w Metzu po francusku dziennik *Le Lorrain* ks. Karola Ritza. Odezwę podpisało sto osobistości w tej liczbie 15 proboszczów katolickich, 15 pastorów protestankich, oraz 3 radców generalnych (departamentalnych), a mianowicie: ks. Jerzy Gromer z Haguenau, Edmund Herber z Wissemburga i Andrzej Schaaff z Sarreguemines. Podpisało także manifest paru urzędników miejskich: np. Jan Keppi, sekretarz magistratu m. Haguenau, który został sekretarzem generalnym „Heimatbundu", oraz Józef Rosse, nauczyciel gimnazjalny w Colmar'ze i prezes związku nauczycieli kadr lokalnych dep. Haut-Rhin.

Rząd przedsięwziął zaraz pewne środki represyjne. U władzy znajdował się wówczas Arystydes Briand, a jego ministrem sprawiedliwości był Piotr Laval[1]). Minister sprawiedliwości zapowiedział dziennikarzom 11 czerwca, że urzędnicy miejscy, którzy manifest podpisali — zostaną zawieszeni; że urzędnikom państwowym — zostanie wytoczone śledztwo dyscyplinarne, co do duchownych — rząd zwróci się do odnośnych władz z propozycją ich ukarania. Naogół wszystkie przewidziane przez rząd sankcje zostały wykonane, ale ruchu autonomistycznego bynajmniej nie wstrzymały.

Wkrótce po założeniu „Heimatbudu", Dr. Ricklin, Rosse, Keppi, Pinck, ks. Fasshauer i inni założyli w Strasburgu spółkę „Erwinia" (od Erwina von Steinbach, architekta katedry strasburskiej), mającą na celu propagowanie ruchu autonomistycznego zapomocą pism i broszur. W styczniu 1927 r. owa spółka zaczęła wydawać w Strasburgu dziennik *Volksstimme,* którego faktycznym redaktorem był ks. Fasshauer; biskup Ruch zabronił mu pisywać w katolickim *Elsässer Kurier,* przeniósł się więc z Colmaru do Strasburga i dyktował swe artykuły zaufanej sekretarce. W drukarni spółki odbijano również dwa inne tygodniki autonomistyczne a mianowicie znaną już *Zukunft* oraz *Wahrheit.* Ten ostatni był organem „partji alzackiej" barona Clausa Zorn von Bulach'a, z którym współpracowali Karol Baumann, Eugenjusz

[1]) Choć Herriot zniósł Komisarjat Generalny, to jednak dekret Poincaré'go z 1922 r., przekazujący sprawy alzackie ministrowi sprawiedliwości, do dziś dnia jest w życiu.

Kohler i Cezar Ley (z Freiburga badeńskiego). *Wahrheit* uderzała w ton niesłychanie gwałtowny i nakład jej dochodził do 70.000 egzemplarzy.

Sprawami alzackiemi zaczęły się interesować wielkie dzienniki paryskie. Między innemi *Journal* wysłał tu w grudniu 1926 r. Edwarda Helsey'a, o którym była już mowa. Pierwsze jego artykuły ukazały się zaraz na początku stycznia. Helsey zwrócił ostrze swych ataków przeciwko duchowieństwu alzackiemu, zarzucając mu niemieckość. 8 stycznia 1927 r. wezwał publicystę do swego gabinetu Poincaré i przestrzegł go temi słowy: Niech pan uważa, aby nie dać broni w rękę niemieckiemu irredentyzmowi; niech pan też przypadkiem nie daje do zrozumienia, że Alzacja przestała być francuską. Autonomizm o tendencjach germanofilskich nie poderwał na szczęście, prawdziwego uczucia alzackiego...[1])

Kiedy cała serja artykułów się ukazała, *Mülhauser Volksblatt* zapowiedział 25 stycznia „ein politischer Monstreprozess", jaki Helsey'owi i *Journal*'owi wytoczy „spotwarzony" ks. Haegy. W międzyczasie w sprawę wmięszała się rojalistyczna *Action Française.* Rojaliści oddawna usiłowali wykorzystać niezadowolenie Alzatczyków na rzecz agitacji antyrepublikańskiej; założyli w tym celu w Colmar'ze tygodnik w języku niemieckim *(National),* oraz wydają co roku własny *Kalender;* dzięki swej filji alzackiej byli naogół dobrze o agitacji autonomistycznej poinformowani. Otóż numer *Action Française* z 15 lutego 1927 r. przyniósł nielada sensację. Według dziennika rojalistycznego, ks. Fasshauer ma być płatnym agitatorem niemieckim, a w dodatku prowadzi się niemoralnie, utrzymując bliskie stosunki ze swą sekretarką Agnieszką Eggemann, narodowości niemieckiej. Dowody? Oto w banczku Gerardot et C-ie (nazwisko Pincka zniknęło z firmy) ks. Fasshauer posiada na rachunku bieżącym 1.100.000 fr., a jego sekretarka 242.000 fr. Przyznać trzeba, że nikt powyższych informacyj nie zdementował. Władze francuskie zadowoliły się tylko wyrzuceniem Agnieszki Eggemann z granic Francji. W kilka tygodni potem powróciła ona na stanowisko sekretarki ks. Fasshauera, bo w mię-

[1]) Por. *Helsey*, op. cit., str. 220.

dzyczasie uzyskała obywatelstwo francuskie przez poślubienie... brata księdza.

W takiej atmosferze rozpoczął się przed sądem przysięgłych w Colmar'ze, dnia 8 kwietnia, proces, jaki ks. Haegy wytoczył *Journal*'owi i Helsey'owi. *Journal* powierzył swą sprawę trzem doskonałym adwokatom, a mianowicie mec. Henri-Robert'owi, sen. Leon Bérard'owi i pos. Ludwikowi Rollin'owi. Pojechali oni do Colmaru z tekami wypchanemi dokumentami, a ich zamiarem było wykazać:

1⁰ że „Niemcy nie zrezygnowały z Alzacji", że „utrzymują irredentyzm alzacki bardzo mocno zorganizowany" i że ich celem jest „zanieść sprawę przed Ligę Narodów i spowodować plebiscyt";

2⁰ że organizacje autonomistyczne „otrzymują pieniądze z Niemiec";

3⁰ że prasa katolicka ks. Haegy „faworyzuje, może nie świadomie, agitację autonomistyczną".[1])

W trakcie procesu obroną zdołała wykazać, że legalnymi założycielami spółki *Erwinia* są: niejaki Hertzog, nauczyciel szkoły początkowej, oraz 22-letni siostrzeniec ks. Fasshauera, niejaki Vomblond, czeladnik rzeźnicki z zawodu. Jeden i drugi wpłacili po 150.000 fr., albowiem kapitał zakładowy spółki wynosi 300.000. Należy przypuszczać, iż obaj są osobnikami podstawionymi, ale nie zdołano dowieść, iż te pieniądze przyszły z Niemiec. Kiedy obrona *Journal*'a i Helsey'a próbowała wprowadzić w zakłopotanie ks. Haegy, powołując się na rewelacje *Action Française,* dotyczące ks. Fasshauer'a. mec. Krähling, adwokat szefa prasy katolickiej w Alzacji, rzekł krótko: „Mogę tu mówić tylko w imieniu ks. Haegy. Co do innych osób — pozostawiam je panom *(je vous les abandonne")*...

Dnia 12 kwietnia proces w Colmar'ze zakończył się bardzo teatralnie. Prokurator Fachot wyraził mianowicie zdanie, że *Journal* i Helsey powinni być uniewinnieni, a potem — zwróciwszy się do Helsey'a — wezwał go w gorących słowach do podania ręki ks. Haegy; zwracając się zkolei z taką samą prośbą do kapłana alzackiego, prokurator dodał: „Na tej

[1]) Por. *Helsey,* op. cit., str. 247—8.

sali są tylko Francuzi. Księże, proszę wraz z nami wszystkimi zawołać: „Niech żyje Francja!"

— *Vive la France!* — zawołał po sekundzie zdziwienia ks. Haegy, a w tej samej chwili podszedł doń Edward Helsey z wyciągniętą dłonią.

Dwaj przeciwnicy uścisnęli sobie prawice w milczeniu. Cała sala wraz z sędziami przysięgłymi zagrzmiała od oklasków, a po chwili wszyscy śpiewali „Marsyljankę". W wielu oczach błyszczały łzy...

Patetyczna ta scena była podobno rezultatem instrukcji jakie na ręce prokuratora nadeszły z Paryża. Tak przynajmniej opowiadano sobie po redakcjach paryskich. Scena ta nie wstrzymała przecież ani agitacji autonomistycznej, ani walki z autonomizmem.

Już 2 maja 1927 r. Edward Helsey ogłosił w *Journal'u* przykry bardzo dla Dra Ricklina dokument. Z szefem „Heimatbund'u" nawiązał korespondencję niejaki Henryk Riehl z Miluzy, młody nacjonalista francuski udający autonomistę. W jednym ze swych listów oburzył się Riehl na zwrot manifestu „Heimatbundu", mówiący o autonomji alzackiej „w ramach Francji". Dr. Ricklin odpowiedział mu własnoręcznie 12 września 1926 r., że „owo wyrażenie — to fasada, którą obalimy, jak tylko inne partje pójdą z nami..." Oryginał tego listu ogłosił właśnie Helsey w *Journal'u*. Był to poważny cios dla Ricklina.[1]) Po publicznem wykazaniu mu dwulicowości trudno było prezesowi „Heimatbundu" działać skutecznie „w ramach Francji"; jego sekretarz generalny Keppi podał się zresztą 12 maja do dymisji, zapewniając, że pozostaje wierny „ideom autonomistycznym wyrażonym w manifeście z czerwca 1926 r".

Prasa autonomistyczna uderzała w ton coraz bardziej ostry. Kiedy redaktor odpowiedzialny *Volksstimme* skazany został na kilkaset franków kary za ubliżenie urzędnikom francuskim — organ ks. Fasshauera pisał nazajutrz po wyroku (30 maja 1927 r.): „Wołamy ponad granice, że niemasz w tem państwie dla wiernych Alzatczyków i Lotaryńczyków ani praw,

[1]) Fakt znamienny: ojciec młodego Riehl'a pracował w spółce „Alsatia" ks. Haegy. Nazajutrz po ogłoszeniu listu kompromitującego Dra Ricklina, stary Riehl został, pomimo 20 lat pracy, zwolniony ze służby.

ani sprawiedliwości. Sądy Republiki Francuskiej są na usługach polityki nacjonalistycznej nienawiści. Usiłuje się wszelkiemi sposobami zabić pisma, nie chcące się zgodzić na wielkie kłamstwo rzekomo odwiecznie francuskiej Alzacji..."

Autonomiści uznali Heimatbund za organizację nie wystarczającą, a poza tem trochę przez ostatnie wypadki ośmieszoną. Więc 25 września 1927 r. założyli w Strasburgu *Autonomische Partei Elsass-Lothringens* (APEL). Dnia 28 września prasa alzacka ogłosiła manifest nowej partji;[1]) A. P. E. L. stoi na stanowisku federalistycznem i uważa Alzatczyków-Lotaryńczyków za „osobny naród mający prawo decydować o swoim losie". Narazie, partja domaga się „utrzymania partykularyzmu i nauczania w języku niemieckim", ale jej celem ostatecznym jest „utworzenie wolnej Alzacji-Lotaryngji w ramach Stanów Zjednoczonych Europy". Na czele A. P. E. L. stanął Karol Roos, b. kapitan armji niemieckiej; sekretarzem generalnym został wymieniony już Paul Schall, redaktor tygodnika *Zukunft*.

V. Inne autonomizmy.

Autonomiści alzaccy, celem skuteczniejszego naporu na rząd centralny, przedsięwzięli akcję bardzo śmiałą, tak że wygląda ona aż groteskowo; postanowili mianowicie zorganizować wszystkie francuskie „mniejszości narodowe". Nawiązali w tym celu stosunki z analogicznemi ruchami w Bretanji, na Korsyce, a nawet we Flandrji francuskiej.

Bretanja jest tą prowincją Francji, gdzie się zachował najsilniejszy partykularyzm. Tłumaczy się to, po pierwsze, rolniczym charakterem kraju, a następnie względami historycznemi. Bretanja została przyłączona do Francji stosunkowo późno (1532), a lud bretoński, pochodzenia celtyckiego posiadał wówczas własny, wyrobiony język. Do dziś dnia wieś mówi tym językiem, a choć dzieci się uczą w szkole tylko po francusku, to przecież kazania w kościele wygłaszane są po wsiach po bretońsku. W miastach i domach szlacheckich panuje niepodzielnie język francuski.

Już przed wojną istniały w Bretanji organizacje, mające

[1]) Tekst manifestu autonomistycznego znajdzie czytelnik w zeszycie strasburskiego przeglądu *Notre Droit Régional* (listopad 1927, str. 476—80)

na celu pielęgnowanie dawnych tradycyj i walkę o regjonalizm administracyjny. Do takich zaliczyć trzeba stowarzyszenie „Bleun Brug" (Kwiat Wrzosu), na którego czele stoi dziś Dr. Cornic, a któremu sekretarzuje ksiądz Madec; drugiem stowarzyszeniem analogicznem jest „Union Régionaliste Bretonne" z markizem l'Estourbeillon na czele.

W r. 1919, dwu młodzieńców, Morvan Marchal i Olier Mordrel — z których pierwszy liczył wówczas lat 19, a drugi 16 — założyli w Rennes, stolicy dawnego księstwa Bretanji, Związek Młodzieży Bretońskiej („Unvaniez Yaounankiz Vreiz"), którego organem było pisemko *Breiz Atao* (Zawsze Bretanja). Wówczas skupiali dokoła siebie ośmiu takich jak i oni młodzików. Dziś twierdzą, że mają kilkuset działaczy, a ich pismo wychodzi dwa razy na miesiąc na ośmiu stronach dużego formatu; ma bardzo dużo lokalnych ogłoszeń, drukuje się w Rennes.

Dnia 10 września 1927 r., „Unvaniez Yaounankiz Vreiz" zwołał swój pierwszy kongres do Rosporden (Quimper). Tam zachowano starą organizację dla uświadamiania młodzieży, ale założono także Autonomistyczną Partję Bretońską (Strollad Emrenerien Vreiz). Jaki jest cel tej partji? Informuje nas o tem odezwa ogłoszona w *Breiz Atao* z 6 listopada 1927 r.: „Autonomistyczna Partja Bretońska domaga się dla Bretanji osobnego rządu, posiadającego pełnię władzy zgodnej z utrzymaniem Bretanji w granicach państwa francuskiego..." Na czele tej partji stoi triumwirat, do którego należą: Fransez Debauvais, Morvan Marchal i Olier Mordrel.

Akcja autonomistów bretońskich sprawiła, że t-wo „Bleun Brug", ograniczające się dotychczas do walki o zasady regjonalistyczne, uchwaliło na swym ostatnim kongresie w Morlaix (12-15 września 1927 r.) rezolucję, domagającą się „władzy wykonawczej bretońskiej, parlamentu bretońskiego, budżetu bretońskiego, nauczania języka bretońskiego i mianowania w granicach Bretanji tylko urzędników, mówiących po bretońsku..." Uchwały te ogłosił organ „Bleun Brug'u", tygodniowa *Patrie Bretonne.*[1])

[1]) Przeczytawszy te uchwały, Mgr. Duparc, biskup z Quimper, pomimo swych regjonalistycznych sympatyj, zabronił księżom swej diecezji uczestniczyć w ruchu „Bleun Brug'u" dopóty, dopóki to stowarzyszenie

Korsyka została odstąpiona Francji przez Republikę Genueńską w r. 1768. W rok później Korsykanie złożyli w Ajaccio uroczystą przysięgę na wierność Francji.[1]) Wyspa ta dostarcza odtąd Francji dobrych administratorów i żołnierzy. Aż do czasu ostatniej wojny nie było tam żadnego ruchu odśrodkowego. Po wojnie, Pasquale Manfredi i Petru Rocca założyli w Ajaccio „Partito Corso d'Azione", która w roku zeszłym przemianowała swą nazwę na „Partitu Corsu Autonomista". Nietylko sens partji został przez to sprecyzowany; kiedy pierwszy tytuł był włoski, drugi sformułowany jest w narzeczu korsykańskiem. Organem autonomistów korsykańskich jest tygodnik *A Muvra* (Kozica), symbol niezależności; drukuje się w narzeczu, a jego hasłem jest: „Korsyka — to nie departament francuski, to zwyciężony naród pragnący się odrodzić..." Ale jak? „Na początek mówił Manfredi współpracownikowi turyńskiej *Gazetta del Popolo* (29 III. 27) — domagamy się nauczania w szkole języka korsykańskiego, autonomji administracyjnej i wolnego używania portów..." Aby zrozumieć sens tej ostatniej rewindykacji przypomnieć należy, że włoska marynarka handlowa nie ma prawa przewożenia pasażerów lub towarów pomiędzy Korsyką a Francją.

Pozycja autonomistów korsykańskich jest szczególnie drażliwa ze względu na stosunki włosko-francuskie. W tej sprawie jeden z nich zajął bardzo wyraźne stanowisko: „Jesteśmy, mówił, zwolennikami federacji łacińskiej, w której Korsyka byłaby nie przeszkodą, a łącznikiem pomiędzy Paryżem a Rzymem; jesteśmy więc italofilami, ale nie irredentystami..."[2])

Nakoniec we Flandrji francuskiej — powiaty Dunkerque

„nie powróci do swego pierwotnego programu". — Obszerne informacje o regjonaliźmie bretońskim znajdzie czytelnik w artykułach Piotra Mocaër'a w zeszytach czerwcowym i listopadowym (1927) przeglądu *Notre Droit Régional*; o „nacjonaliźmie bretońskim" ciekawy artykuł ogłosił w *Mercure de France* (1 lutego 1928) Jan Pardriel-Vaissière.

[1]) Por. Gioacchino Volpe: „Come la Corsica divenne francese"; jeden z artykułów zbiorowego tomu p. t. *Corsica*, wydanego przez „Instituto Editoriale Scientifico", Medjolan, 1927.

[2]) Por. Corrado Masi: „Corsica, Francia e Italia"; *Politica*, fasc. LXXIX, Giugno 1927, str. 111.

i Hazebrouck departamentu Pas-de-Calais — istnieje dość żywy ruch regjonalistyczny, ale tendencyj autonomistycznych praktycznie tam niema. Najruchliwszą organizacją regjonalistyczną jest „Comité Flamand de France", na którego czele stoi ks. kanonik Looten, dziekan fakultetu literatury na uniwersytecie katolickim w Lille; sekretarzują Komitetowi ks. kanonik Leman i prof. Paweł Verschave, dyrektor szkoły dziennikarstwa na tymże uniwersytecie. Pod auspicjami Komitetu w różnych miejscowościach Flandrji francuskiej powstały po wojnie „koła flamandzkie", mające na celu kultywowanie języka flamandzkiego, którym mówi w granicach Francji około 200.000 ludzi. „Koła" połączone są w jedną *Union des Cercles Flamands,* która swój ostatni, czwarty zkolei kongres odbyła 22 lipca r. z. w Hazebrouck; prezesem i wiceprezesem Unji są księża J. M. Gantois i Janssen.[1]) Jedynym człowiekiem nadającym regjonalizmowi flamandzkiemu akcenty autonomistyczne i germanofilskie zarazem jest ks. Demulier, założyciel „Ligue des Droits du Nord"; nie ma on we Flandrji żadnego posłuchu, a zresztą biskup z Lille, potępiając jego akcję, osadził go w schronisku dla księży w Cassel.

Dnia 12 września 1927 r. delegaci autonomistów alzackich (Schall), bretońskich (Mordrel i Marchal), oraz korsykańskich (Rocca) zebrali się w Quimper i założyli „Comité Central des Minorités Nationales de France". W listopadzie zjechali się w Paryżu i uchwalili statut tej organizacji. Według art. 2 statutu, „doktryna Komitetu Centralnego Mniejszości Narodowych Francji opiera się na prawie narodów decydowania o swoim losie i na federaliźmie międzynarodowym". Sekretarzem generalnym Komitetu został niejaki Maurice Duhamel.[2])

Rząd francuski zachowywał się dotychczas biernie wobec całej tej akcji. Ale w listopadzie postanowił przystąpić do represyj. Wysiłek swój skierował głównie przeciwko autonomistom alzackim, stosunkowo najgroźniejszym.

---

[1]) Por. artykuły ks. A. Leman'a w zeszytach czerwcowym i wrześniowym (1927) przeglądu *Notre Droit Régional.*

[2]) Por. list Duhamel'a w *Temps* z 11 marca 1928 r.

VI. Walka z autonomizmem.

Dnia 13 listopada 1927 r. minister spraw wewnętrznych, Albert Sarraut, zamknął trzy organy autonomistyczne drukowane w Strasburgu przez spółkę „Erwinia", a mianowicie: *Volksstimme, Zukunft* i *Wahrheit*. Aby czyn rządu był legalny, odnośny dekret oparto na ustawie z 22 lipca 1895 r., zezwalającej na zamykanie przez ministra spraw wewnętrznych organów drukowanych we Francji „w językach obcych", o ile uprawiają one wrogą Francji propagandę. Innej broni rząd francuski nie ma do walki z prasą autonomistyczną. Gdyby alzackie organy autonomistyczne wychodziły po francusku, rząd byłby bezbronny; jeśli do tego fortelu się nie uciekły, to widocznie dlatego, że nie byłyby wówczas przez masy rozumiane i że szerzyłyby mimowolnie zwalczany przez nie język francuski.

Natychmiast po zamknięciu organów autonomistycznych katolickie organy prasowe założyły przeciw temu protest. Posłowie alzaccy Schumann, Walter, Pfleger i Frey (ci dwaj ostatni o sympatje do autonomizmu nie mogą być posądzani) złożyli zaraz w Izbie propozycję zmiany ustawy z r. 1895; chodzi im mianowicie o to, aby język niemiecki nie był uważany za „obcy" w Alzacji i Lotaryngji. Dnia 21 listopada zebrał się w Strasburgu zarząd partji katolickiej (UPRN) i uchwalił jednomyślnie zwrócić Poincaré'mu uwagę że jest rzeczą sprzeczną ze zdrowym rozsądkiem i z tradycją uważać w Alzacji język niemiecki za obcy, skoro nim mówi i pisze 85% mieszkańców tego kraju. Napisał to Poincaré'mu w liście z 23 listopada 1927 r. poseł Tomasz Seltz, nowy prezes U. P. R. N.

Premjer Poincaré odpowiedział 1 grudnia obszernem pismem, mającem znaczenie zasadnicze. Nie zgadza się absolutnie na twierdzenie, jakoby język niemiecki mógł na części terytorjum francuskiego być uważany za *langue nationale*. Rozszerzając zagadnienie, Poincaré pisze: „Pomimo wszelkiego bogactwa i czaru dialektów germańskich, celtyckich, baskijskich czy romańskich w prowincjach francuskich używanych, Francja zna tylko jeden język narodowy: ten, w którym wyraża się genjusz francuski, kwiat syntezy naszych regjonalnych partykularyzmów..." A zatem rząd ma

nietylko prawo, ale i „obowiązek" posługiwania się tekstem z r. 1895 i „będzie z niego korzystał dopóty, dopóki nie będzie posiadał tekstu zezwalającego na represję agitacji usiłującej naruszyć całość narodową".

Aby podkreślić stanowczość tonu tego listu, rząd ostro zabrał się do ludzi agitacją autonomistyczną kierujących. W tym samym dniu, kiedy Poincaré swój list do p. Seltza podpisywał (1.XII, 27), odbyły się w Colmar'ze wybory zarządu sekcji departamentalnej *Syndicat National des Instituteurs.* Zarząd ten ma dwa oddziały: *cadre national* i *cadre local.* Otóż na prezesa tego drugiego oddziału (alzackiego) wybrany został 292 głosami na 515 głosujących... Józef Rosse, znany autonomista, zawieszony w swych czynnościach od czerwca 1926 r. za podpisanie manifestu Heimatbundu. Prefekt dep. Haut-Rhin zaraz wybór ten unieważnił, a nazajutz Rosse został aresztowany w Miluzie.

Aresztowania i rewizje zaczęły się mnożyć. 3 grudnia aresztowano w Strasburgu Baumana i Kohlera, b. współredaktorów tyg. *Wahrheit;* ciąży na nich zarzut szpiegostwa. Kiedy baron Zorn von Bulach dowiedział się o tem, napisał zaraz do prefekta dep. Bas-Rhin, list w którym zdesolidaryzował się ze swymi współpracownikami; wyraził nawet żal z powodu swego dotychczasowego postępowania i obiecał „prowadzić się od tego dnia jako lojalny obywatel francuski" (*Petit Parisien,* 6.XII, 27).

Powodem aresztowania Rossego jest „podrywanie kredytu państwowego". Istotnie Rosse założył wraz z bankierem Pinckiem oryginalne bardzo przedsiębiorstwo p. n. „Société Alsacienne des Participations Industrielles" czyli SAPART. Władze wykryły cyrkularz, jaki Rosse rozesłał nauczycielom i księżom alzackim, w którym bardzo pesymistycznie wyrażał się o przyszłości franka. Zalecał tedy wycofywać oszczędności z kas państwowych i z banków i powierzać je t-wu SAPART, które miało powierzonemi kapitałami operować na giełdach niemieckich. Akcjonarjuszami SAPART mogli być tylko ci Alzatczycy, którzy sympatyzują z ruchem autonomistycznym. Ewentualne zyski roczne przewidywano w stosunku 50% zaangażowanego kapitału... Natychmiast po aresztowaniu Rossego jego kompan, Pinck, uciekł za Ren.

30 grudnia policja francuska zaaresztowała w Alzacji kilkunastu autonomistów, a między nimi ks. Fasshauera, zasuspendowanego *a divinis* przez biskupa Rucha od 14 listopada 1927 r.; w mieszkaniu tego ostatniego zaaresztowano także jego bratową, Agnieszkę ex-Eggemann. Między aresztowanymi znajduje się również Paul Schall, sekretarz generalny partji autonomistycznej. Jej prezes, Karl Roos, zdążył uciec za Ren, podobnie jak i pastor August Hirtzel, wybitny działacz tej grupy. 5 stycznia aresztowano autonomistów Röscha i Lobsteina w Strasburgu, 24 lutego — Sturmela i Schweitzera w Miluzie, a 10 marca — samego Dra Ricklina w Dannemarie. Ogółem aresztowano 24 autonomistów, a 6 zdołało uciec za Ren.

Sędzia śledczy Mitton rozkazał również przeprowadzenie rewizyj u autonomistów bretońskich, korsykańskich i flamandzkich, oraz w siedzibie Komitetu Mniejszości Narodowych Francji (w Chatou, pod Paryżem). Te ostatnie rewizje miały tylko na celu zdobycie dokumentów nikogo nie aresztowano ani w Rennes, ani w Ajaccio. A dnia 30 kwietnia rozpoczął się w Colmar'ze nowy i tym razem prawdziwy „Monstreprozess"... [1])

Przygrywką do rozprawy była strasburska mowa Rajmunda Poincaré wygłoszona 12 lutego: „Francja — mówił — nie pozwoli, aby garść takich osobników posuwała swą śmiałość do zapuszczania zagonów na Bretanję, Flandrję i Korsykę..." Czyniąc aluzję do zbliżającego się procesu, Poincaré zapowiedział, że „podłości, jakie proces wyjawi, wprowadzą Alzację w osłupienie". Niejednokrotnie jeszcze premjer francuski napiętnował autonomistów takiemi epitetami, jak „złoczyńcy", „podejrzani agenci", lub „dwulicowe indywidua". Poincaré przestrzegł nakoniec opinję alzacką, aby przy nadchodzących wyborach do Izby Posłów (22 kwietnia) głosowała tylko na „Francuzów bez zastrzeżeń". [2])

[1]) Artykuł niniejszy pisany był w kwietniu b. r. Proces w Colmar odbył się w maju b. r. i przyniósł wyrok z dnia 24 maja, skazujący oskarżonych Ricklina, Schalla, Fasshauera i Rossego na rok więzienia i ograniczenie praw na przeciąg pięciu lat, a uniewinniający pozostałych oskarżonych, z których przeciwko dwom toczy się jeszcze proces o szpiegostwo.

[2]) Pomimo wezwania Poincaré'go alzacka partja katolicka postawiła dwie kandydatury wyraźnie formule „Francuzów bez zastrzeżeń" nie

VII. Niemieckie złoto?

Powiedzieliśmy już na wstępie tego studjum, że przeciętny Francuz jest przekonany o dwu rzeczach: po pierwsze, że ruch autonomistyczny alzacki jest powierzchowny; po drugie, że jest on dziełem „niemieckiego złota".

Pierwsze przekonanie jest błędne i nieścisłe. Ale któż może zaprzeczyć, iż niemieckie złoto nie działa w Alzacji? Ruch autonomistyczny alzacki wypływa z odwiecznego partykularyzmu tego kraju, tak samo, jak odwieczne są tendencje partykularystyczne niemieckiej Nadrenji, ale czy Niemcy nie próbują ruchu alzackiego kanalizować? Jesteśmy w posiadaniu faktów i tekstów, dowodzących niezbicie, iż zarówno rząd niemiecki, jak i społeczeństwo niemieckie Alzacją interesować się nie przestały.

Cała Francja szczerze pragnie pokoju i ten francuski minister spraw zagranicznych, który będzie stosował politykę ostrożną, zapewniającą temu krajowi „pokój z honorem" — to znaczy minimum szans wciągnięcia Francji w jakiś konflikt zbrojny z jednoczesnem zachowaniem ewentualnych sojuszników — taki minister, powtarzamy, zawsze będzie w tym kraju popularny. Atoli jedni Francuzi — nazwijmy ich „prawicą" — nie łudzą się i nie zamykają oczu na grożące niebezpieczeństwa; drudzy — niech to będzie „lewica" — z całego serca pragnąc pokoju, pokoju przedewszystkiem,

odpowiadające. W wyborach 22 kwietnia wybrano z Alzacji do Izby 3-ch wyraźnych autonomistów, między nimi pozostających pod sądem Dra Ricklina i Rossego. O wyborach w Alzacji trzebaby napisać osobno. Ale o nastrojach wyborców alzackich dobrze nas poinformują wypadki, jakie zaszły niedawno w Haguenau. Merem (burmistrzem) tego miasta jest Jerzy Weiss, a sekretarzem merostwa — Jan Keppi, znany już b. sekretarz Heimatbundu. Obaj są autonomistami, podobnie jak i ks. Gromer, bibljotekarz miejski i radca generalny. Na 27 radców miejskich autonomiści mieli większość jednego głosu. Postanowili tedy nie brać udziału w żadnych uroczystościach narodowych francuskich, ani nie wywieszać nigdy na gmachach miejskich kolorów francuskich. Wobec protestów prasy paryskiej, rząd dn. 24 stycznia r. b. radę miejską rozwiązał i rozpisał nowe wybory. Pomimo energicznej presji ze strony władz, Weiss i tow. przeprowadzili 26 lutego i 4 marca całą swoją listę. Pozory uratowano w ten sposób, że 27 lutego Weiss wysłał do Poincaré'go telegram zapewniający go o całkowitej lojalności francuskiej m. Haguenau.

niechętnie czytają wiadomości ich pragnienia osłabiające, ich złudzeniom przeczące.

Większość dzienników francuskich poinformowała opinję tego kraju, że układy parafowane w Locarno 16 października, a podpisane w Londynie 1 grudnia 1925 r., oznaczają między innemi, iż Niemcy ostatecznie i „dobrowolnie" zrezygnowały z Alzacji i Lotaryngji. Cóż o tem myśli Gustaw Stresemann, niemiecki minister spraw zagranicznych, który układy podpisał? 3 listopada 1925 r. wygłosił on przez radjo mowę, którą nazajutrz podały dzienniki niemieckie (patrz *Vossische Ztg.*, 4 XI. 25): „Co się tyczy naszych granic zachodnich — mówił — to układy zawierają zobowiązanie, że nie wolno ich naruszyć czyto drogą wojny zaczepnej, czy drogą inwazji... Poza tem niema w układach locarneńskich nic, coby oznaczało z naszej strony jakąś r e z y g n a c j ę moralną, odnoszącą się do ziem niemieckich lub ludności niemieckiej. Prawo narodów do stanowienia o sobie nie jest zakwestjonowane..."

Kolega ministerjalny i polityczny Stresemanna, Dr. Curtius, mówił jeszcze wyraźniej na kongresie „Volkspartei" w Baden-Baden, 27 września 1925 r.: „Żałować szczerze trzeba — stwierdzał — że zarówno na lewicy, jak i na prawicy przedstawia się układy locarneńskie przedewszystkiem jako rezygnację z Alzacji i Lotaryngji. Myśmy nie zrezygnowali z żadnego kraju niemieckiego, ani nie wyrzekli się żadnej ludności niemieckiej. W Locarno obie strony zobowiązały się tylko do nieprowadzenia wojny na Zachodzie... Alzatczycy-Lotaryńczycy domagają się zagwarantowania ich niemieckości, aby naprawić zapomnienie z r. 1918, to znaczy opierając się na prawie narodów do stanowienia o swoim losie, domagają się p l e b i s c y t u w przedmiocie autonomji alzackiej. Ponieważ w Alzacji o tem się mówi, każdy rozumie, iż polityka niemiecka była dobrze inspirowana, rezygnując z reaneksji tych prowincyj siłą, ale nie rezygnując bynajmniej z rzeczy, z których N i e m c y z r e z y g n o w a ć n i e m o g ą. Nie zrezygnujemy nigdy z niemieckości Alzacji-Lotaryngji, ale rezygnując z gwałtu — zapewniliśmy sobie możliwość utrzymania stosunków z ludnością rasowo z nami spokrewnioną. Chcemy tę możliwość utrzymać..."

Wynurzenia te są zupełnie wyraźne; wystarczą aby określić stanowisko rządu niemieckiego w sprawie Alzacji.

A społeczeństwo? Prasa niemiecka żywo się interesuje losem b. *Reichsland*'u i bardzo często zamieszcza w tej sprawie źródłowe artykuły. Wychodzący w Strasburgu *Bulletin d'Alsace et de Lorraine* skrzętnie te głosy notuje. Nic dziwnego, że prawicowe dzienniki niemieckie — jak np. *Kreutz Ztg.* (12 VI. 26) — wykazują, że „Alzacja jest krajem niemieckim i kiedyś do Niemiec sama wróci". Ale oto charakterystyczny głos demokratycznej *Vossische Ztg.* (6 II. 26): „Dziwimy się — pisze tam Dr. Schwalbe — że nacjonaliści niemieccy tak głośno krzyczą o naszej rezygnacji z Alzacji i Lotaryngji. Czyż nie widzą, że od chwili kiedy wiadomo, iż Niemcy nie będą siłą tych prowincyj odbierały, ruch autonomistyczny urósł tam do rozmiarów, które zadziwiają nawet dobrze poinformowanych?"

Propagandą na rzecz Alzacji w Niemczech trudnią się przedewszystkiem ci Niemcy, którzy musieli się stamtąd wynieść, oraz ci zniemczeni Alzatczycy, którzy dobrowolnie wyemigrowali. Jednych i drugich jest razem 130.000. Założyli oni „Hilfsbund der Elsass-Lothringer im Reich", liczący 20.000 członków; taką cyfrę podał jego prezes Dr. Donnevert, w swem sprawozdaniu odczytanem na kongresie Hilfsbundu w Karlsruhe, w grudniu 1925 r. Na kongresie przemawiał m. i. znany już nam Dr. Schwander, b. Statthalter, a obecnie Oberpräsident w Kassel; wyraził swą wiarę, iż „przyjdzie czas kiedy Alzacja wyzwoli się z pod francuskiego jarzma" [1])

„Hilfsbund" alzacki należy do „Deutscher Schutzbund", grupującego wszystkie niemieckie stowarzyszenia irredentystyczne; na czele tej organizacji stoją Dr. Karl von Lösch i prof. Martin Spahn, b. poseł centrowy; przy zarządzie głównym istnieje również „sekcja alzacka", którą kieruje Dr. Robert Ernst.[2]) Jest on jednocześnie redaktorem mie-

---

[1]) Por. Jacques Benoist: „L'Alsace-Lorraine et le Heimatbund", *Revue de France* z 15 kwietnia 1927, str. 676.

[2]) Paweł Bourson, strasburski korespodent *Journal des Débats* (8 V. 27) twierdził, że Robert Ernst był w ścisłym kontakcie z alzackimi

sięcznika *Elsass-Lothringen Heimatstimmen.* Jeśli zważyć, iż Deutscher Schutzbund jest instytucją subwencjonowaną przez rząd niemiecki, tudzież przez wielki przemysł i przez rolnictwo, to musimy wyciągnąć wniosek, że przynajmniej pośrednio władze niemieckie podtrzymują materjalnie agitację pro-alzacką.

Drugie ognisko tej agitacji mieści się w Frankfurcie nad Menem: jest to „Wissenschaftlicher Institut der Elsass-Lothringer im Reich", założony przy tamtejszym uniwersytecie państwowym 12 listopada 1921 r. Na czele stoi ks. kanonik Ehrhard, b. profesor teologji na uniwersytecie strasburskim; sekretarzem jest Dr. Wolfram, b. archiwista w Metzu. Instytut posiada swój organ miesięczny, *Elsass-Lothringische Mitteilungen,* redagowany przez niejakiego Gadomskiego, oraz specjalną bibljotekę *(Elsass-Lothringische Hausbücherei).* Oczywiście, te wszystkie pisma i druki, podobnie jak i *Heimatstimmen,* mają w granice Francji wstęp wzbroniony.

VIII. Konkluzja.

Ruch alzacki można nazywać rozmaicie, tem bardziej, że nie jest on jednolity, ale faktem jest, iż ruch istnieje i że jest odśrodkowy. Zachodzą więc dla rządu francuskiego tylko dwie możliwe polityki: albo z ruchem tym walczyć, albo się z nim układać.

Walka — to centralizm. Spróbowano centralizmu nazajutrz po zawieszeniu broni i musiano się po kilku tygodniach cofnąć. Stracono potem cztery lata, nie decydując się na żadną politykę. W r. 1924, po wyborach, Paryż znów zwrócił się ku centralizmowi, ale tym razem Alzacja odpowiedziała agitacją autonomistyczną. Paryż próbuje rozprawić się z autonomizmem środkami policyjnemi i przychodzi mu to pozornie z łatwością, albowiem między agitatorami autonomistycznemi są ludzie o wątpliwej moralności. Ale złudzeniem byłoby myśleć, że zawieszenie organów autonomistycznych i zasądzenie 19 zaaresztowanych agitatorów położy

autonomistami za pośrednictwem Pincka. Faktem jest, że Ernst został wciągniętym na listę oskarżonych drugiego procesu colmarskiego.

kres ruchowi. Ten rezultat można osiągnąć tylko polityką pozytywną.

A więc trzeba ruch alzacki zrozumieć i trzeba się z nim układać.[1]) Dwie tu przed Paryżem otwierają się drogi: polityczna autonomja, administracyjny regjonalizm. Autonomję zgóry wykluczyć należy, jako eksperyment niebezpieczny, na który zresztą nikt we Francji się nie zgodzi. Pozostaje regjonalizm. Zadowoli on olbrzymią większość Alzatczyków i wytrąci broń z ręki autonomistom.

Ale ma regjonalizm do zwalczenia dwie wielkie przeszkody: z jednej strony niechęć rządu centralnego i stronnictw lewicowych; z drugiej — niewyraźne stanowisko alzackiej partji katolickiej, niezdecydowanej pomiędzy politycznym autonomizmem a administracyjno-gospodarczym regjonalizmem. Klub parlamentarny U. P. R. N. wniósł do Izby Posłów, w styczniu 1927 r., projekt rezolucji wzywającej rząd do nadania trzem departamentom „regjonalnej autonomji administracyjnej, wyposażonej w radę regjonalną, wybraną w bezpośredniem głosowaniu, i w autonomiczny budżet regjonalny". Projekt ten, podpisany przez pos. Waltera i tow.,[2]) razi sentyment francuski terminem *autonomie*; według *Temps'*a (17.VI, 27), projekt ten „nie ma żadnych szans wejścia w życie".

Są przecież w Alzacji katolicy, którzy pomiędzy autonomizmem a regjonalizmem — wybrali ten ostatni. Józef Weydmann, radca generalny dep. Bas-Rhin i prezes Ligi Katolickiej tego departamentu, oraz ks. Riedinger S. J., założyli jeszcze trzy lata temu cenne usługi oddający „Office d'Information" (12, rue Wimpfeling, Strasbourg). „Office" wydaje cytowany już wyżej *Bulletin d'Alsace et de Lorraine*, oraz — od lipca 1927 r. — przegląd *Notre Droit Régional*, tytułujący się „alzackim organem regjonalizmu francuskiego". Organ ten zawiera doskonałe artykuły informacyjne o ruchach regjonalistycznych w innych prowincjach francuskich,

---

[1]) Doskonały artykuł o „psychologji zagadnienia alzackiego" ogłosili w *Revue Hebdomadaire* (10.III, 28) Maurycy i Aleksander Hepp'owie.

[2]) Tekst propozycji pos. Waltera w zeszycie *Notre Droit Régional* (Nr 1, czerwiec 1927; ss. 91—3).

a swoją politykę formułuje tak: „Nie chcemy rozstrajać Francji nierealnym federalizmem; chcemy utrzymania jednolitości władzy prawodawczej; nie pragniemy przywilejów: mamy na celu reformy dla całej Francji".

Żądania federalistów alzackich popiera naturalnie „Fédération Régionaliste Française", na czele której stoi Karol Brun. Ostatni kongres Federacji odbył się w Strasburgu (2—4 grudnia 1927) i poświęcony był wyłącznie sprawom alzackim.

Parlamentarzyści alzaccy — senatorowie Fryderyk Eccard i ks. Müller, oraz pos. Robert Schumann — zgodnie wypowiedzieli się na kongresie za uszanowaniem partykularyzmu alzackiego, oraz za wejściem na drogę regjonalizmu w Alzacji i Lotaryngji, bo w tych prowincjach da się on zrealizować najłatwiej i jest najpilniejszy z punktu widzenia narodowego.

Ks. Riedinger podkreślał trudności reformy regjonalistycznej; zwracał uwagę, że dawny „Reichsland" nie stanowi sam w sobie jednolitego „regjonu" ani pod względem rasowym, ani językowym, ani gospodarczym; a zatem — trzeba na tej drodze postępować ostrożnie.

Prezes Ligi Praw Człowieka, prof. Wiktor Basch, oświadczył w swej mowie, że „przyszłość demokracyj leży w stopniowej federalizacji", co nie wyklucza jednak „mocnej i wyrozumiałej centralnej władzy — wykonawczej, ustawodawczej i administracyjnej — jednoczącej i harmonizującej jednostki sfederowane". Ale kiedy prof. Basch wrócił do Paryża, napisał na łamach *Volonté* (15.I, 28), że w Alzacji „musi jednak zatriumfować genie laïque, genjusz nowoczesnej Francji"... Zaś sekretarz generalny Ligi Praw Człowieka, Henryk Guernut, który badał sprawy alzackie w czerwcu 1926 r., taką swej ankiecie na łamach *Quotidien'a* (6.VII, 26) dał konkluzję: *„Autonomisme? Non! Régionalisme? Non! Décentralisation? Oui!"* Regjonalizm czy decentralizacja — to może być spór o słowa, albo o samą rzecz. Alzatczykom chodzi o rzecz, a mianowicie o szereg wolności lokalnych, zagwarantowanych im ustawodawczo; mniejsza o to, jak to się będzie nazywało. Mają oni jednak uzasadnione obawy, że decentralizacja *à la Guernut* w praktyce będzie — centralizmem.

Francuzi są naogół centralistami, a im bardziej idziemy „na lewo“ — tem mocniejszy jest ów centralizm i tem radykalniejszy... antyklerykalizm, co załatwienia spraw alzackich nie upraszcza. Więc lata zapewne miną, zanim w Alzacji nastąpi uspokojenie. Od półtora wieku polityka francuska nad Renem — to serja niepowodzeń, mających zawsze jedną i tę samą przyczynę: niezrozumienie temperamentu regjonalistycznego ludności krajów nadreńskich.

Kazimierz Smogorzewski.

Przegląd piśmiennictwa.

Filozofja.

Dr. Aug. Jakubisiak: Essai sur les limites de l'Espace et du Temps. Paris, Alcan 1927, str. 196.

Autor, polski kapłan w Paryżu, znany już jest z paru rozpraw filozoficznych. Obecnie powziął zamiar dać syntezę swoich filozoficznych przekonań, a do tego nadawało się dlań zagadnienie rzeczywistości czasu i przestrzeni. Stawia więc sobie pytanie: czy rozciągłość i ruch są w rzeczach, czy tylko w naszym sposobie poznawania. Odpowiedź na tak postawione zagadnienie zależeć będzie od tego, czy oprzemy się na zmysłach, czy na danych umysłu. Stąd konieczność obioru jakiejś teorji poznania. Jako sprawdzian w ich wyborze, służy autorowi spoistość wewnętrzna różnych systemów. Sprawdzian ten, znany także współczesnym scholastykom [1]), zmusza ks. Jakubisiaka do odrzucenia tak starej (scholastycznej), jak i nowszej (kantowskiej) nauki o poznaniu. Scholastyka opiera się na zasadzie „dorównania umysłu przedmiotowi". Więc porządek logiczny w scholastyce winien być wykładnikiem porządku ontologicznego. Tymczasem byt metafizyki scholastycznej nie jest poznawalny w całej pełni. Zamiast poznania rzeczywistości konkretnych, musimy się zadowolić poznaniem istoty oderwanej, (ogólnej). Również w nowszych systemach widzi autor brak zgody między teorją poznania a resztą systemu.

Przyjąwszy, że myśl dostosowywa się do przedmiotów, a myślą rządzą tak zwane pierwsze zasady (tożsamości, sprzeczności, wyłączonego środka), autor wykazuje, że pierwsze zasady muszą mieć swe źródło nie w bytach oderwanych, ogólnych (dla uniknięcia trudności, na jakie napotyka scholastyka), lecz w przedmiotach indywidualnych, konkretnych. Znowu nie jest to wynalazek autora, tą metodą bowiem posługuje się także G. Picard. Oryginalnem jest natomiast wykonanie tego pomysłu u ks. Jakubisiaka.

[1]) Trzyma się go np. J. Maréchal w swem dziele p. t. *Le point de départ de la Métaphysique,* Bruges, cah. V, 1926.

W oglądzie bezpośrednim rzeczy konkretnych widzi umysł — według wykładu autora — odróżnienie danego bytu od innego (discontinuité) i jego stałość (fixité). Te dwa znamiona, stwierdzone w bytach konkretnych, uogólniamy następnie i podnosimy do rzędu pierwszych zasad myślenia. Na analizie formuł, wyrażających pierwsze zasady, usiłuje autor wykazać, że sprawdzają się one ściśle tylko na bytach indywidualnych.

Postulaty stałości bytu i jego rozróżnienia stwarzają ostry konflikt między umysłem a zmysłami, które świadczą o ciągłości przestrzeni i ruchu, lecz muszą ustąpić przed pewnością oglądu umysłowego. Żadna zmiana, tak momentalna, jak postępowa, nie może się pogodzić z pierwszemi zasadami wyrażającemi sam byt rzeczywisty. A więc ani zmian ani czasu rzeczywistego niema i być nie może. Zmiana, ruch i ciągłość rzeczy są tylko zjawiskami podmiotowemi, pochodzącemi z niedokładnego ujmowania rzeczy przez zmysły, które nie mogąc ująć naraz całego bytu, poznają szczegóły jedne po drugich. Bezwzględna stałość bytu odnosi się nietylko do jego natury wewnętrznej, ale i do położenia w przestrzeni. „Położenie w przestrzeni każdego indywiduum jest zdeterminowane raz na zawsze. Miejsce zajmowane przez każde zosobna ciało nie jest jednorodne, lecz różnorodne (heterogeneum), niepodzielne, związane najściślej z naturą bytu, bo natura wyznacza każdemu bytowi miejsce. Stąd jedność przestrzeni jest nie do pojęcia dla umysłu i jedyną swą podstawę ma w niedoskonałości naszego poznania zmysłowego".

Miejsce to nieciągłe, niepodzielne, różnorodne, wyraża autor w formie liczb całych (racjonalnych), podczas gdy przestrzeń zmysłowa, ciągła, odpowiada liczbom irracjonalnym. Liczby racjonalne, rzeczywiste, określające istotę bytu konkretnego i jego miejsce, są przedmiotem bezpośredniego oglądu umysłowego, na którym wspierają się pierwsze zasady.

Prócz tego rysu ilościowego posiada byt konkretny swą stronę jakościową, nieprzystępną już zupełnie dla umysłowego oglądu. Tę stronę jakościową rozwija byt przed zmysłami, które jednak tylko kolejno poznają te jakości.

Z tego pobieżnego rzutu widzimy, że nie brak autorowi śmiałych i oryginalnych poglądów, do jakich można zaliczyć próbę stworzenia nowej teorji poznania i przystosowania do niej modnej dzisiaj teorji względności. W ten sposób teorja względności, opierana dotychczas na podstawach matematyczno-fizycznych, zyskałaby szersze i głębsze uzasadnienie filozoficzne, któreby ją równocześnie pchnęło dalej w kierunku radykalnym: zaprzeczenia wszelkiego ruchu.

Zdaje się jednak, że próba ta zawiodła. Nie myślimy tu podawać wyczerpującej oceny, bo ta wymagałaby znacznie szerszego omówienia. Zwrócimy tylko uwagę na niektóre trudności

dość jasno, zdaje się nam, przemawiające na niekorzyść teorji ks. Jakubisiaka.

Autor wyprowadza zasady pierwsze z intuicji bytów konkretnych, które przedstawiają się nam jako rozróżnione i stałe. Taka intuicja mówi nam tylko, że tak rzeczywiście jest w każdym bycie, przez nas oglądanym. Nie mówi nam natomiast nic o bycie, którego oglądu nie posiadamy (Bóg). Dlatego sam autor przyjmuje, że „te dwa znamiona (rozróżnienie i stałość bytu), stwierdzone w bytach konkretnych, uogólniamy następnie i podnosimy do rzędu pierwszych zasad" (str. 16). Na czemże opiera się to „uogólnienie"? Jeśli ma mieć jaką podstawę, to chyba w zasadach przyczynowości lub racji wystarczającej. Jeśli te dwie ostatnie zasady wyprowadzamy z zasady tożsamości, wpadamy w błędne koło. Jeśli nie, to trzeba je przyjąć na ślepo. Wreszcie indukcja nie daje absolutnej pewności.

Z braku miejsca nie poruszamy tu przejścia ze stałości związku między podmiotem zasady tożsamości i jej orzeczeniem do stałości i konieczności istnienia podmiotu. Sama wyżej poruszona uwaga zdaje się dowodzić, że punkt wyjścia całej filozofji jest postulatem zupełnie nieuzasadnionym.

Przypatrzmy się czy system ten ostoi się wobec sprawdzianu, podanego przez samego autora: spoistość budowy. Powodem odrzucenia scholastyki ma być niezgodność między bytem metafizyki a bytem logiki, t. zn. niezgodność metafizyki z podniesionem do zasady zrównaniem między „poznawalnem przez umysł" (intelligibile), a rzeczywistością (reale). Autor chce podać system, któryby w swych szczegółach przeprowadził konsekwentnie tę zgodność. Umysł ma więc doskonale poznać cały swój przedmiot. Porównajmy teraz wyniki do jakich doszedł autor. Umysł w pierwszych zasadach poznaje tylko istnienie, rozróżnienie rzeczy w miejscu. To, co stanowi podstawę i powód tego zasadniczo różnego położenia, jest dla umysłu zupełnie nieprzystępne, choć samo w sobie najbardziej rzeczywiste. Stronę bytu jakościową poznają tylko zmysły i opierający się na nich rozum empiryczny.

Jeśli nadto zważymy, że według zasad autora trzebaby konsekwentnie zwątpić o wszelkiej rzeczywistości poznania zmysłowego, to zupełnie strony jakościowej rzeczy poznać nie zdołamy. Wtedy też samo wieczne i konieczne trwanie tych rzeczy nie może naprowadzić na konieczność przyczyny, poza niemi istniejącej i swą mocą podtrzymującej ich istnienie. Jeśli bowiem przestrzeń zmysłowa jest fikcją, a wszystkie jakości poznajemy tylko w tej przestrzeni, któż zaręczy, że same jakości są rzeczywiste? Przypuściwszy nawet, że jakimś sposobem rzeczywistość tę moglibyśmy poznać, to komuż te rzeczywiste jakości przypiszemy? Porządek ich poznania jest, według autora, czysto podmiotowy; nie mamy żadnego środka, by to, co widzimy w przestrzeni cią-

głej, zmysłowej i fikcyjnej, przenieść na przestrzeń umysłową, nieciągłą, czyli na rzeczy w sobie.

Nie spostrzega również autor, że jeśli poznajemy szczegóły „jedne po drugich", to mamy już do czynienia z rzeczywistem następstwem aktów, a zatem i z jakimś rzeczywistym czasem. To następstwo znajdujemy nietylko we władzach zmysłowych, ale też w umyśle i woli. To zaś, że Bóg widzi wszystko jednym aktem, do czego autor stale się ucieka, świadczy tylko o tem, że w bożem poznaniu niema następstwa, co jednak niekoniecznie wyklucza rzeczywiste następstwo w przedmiotach przez Boga poznawanych.

Sam wreszcie autor widzi pewną trudność w pogodzeniu swej teorji z dogmatami katolickiemi, skoro się poczuwa do obowiązku ich wyjaśnienia. Wyjaśnienia jednak podane przez autora nie są przekonywujące. Nie rozumiemy np., jak da się utrzymać pewnik wiary o niemożliwości jednoczesnego istnienia w duszy człowieka grzechu śmiertelnego i łaski poświęcającej, wzajemnie się wykluczających, jeśli niema rzeczywistej zmiany w tejże duszy.

Jakkolwiek więc trzeba przyznać dużo dodatnich stron dziełu Dr. Jakubisiaka, dużą erudycję, niepospolitą oryginalność, to jednak cały zrąb filozoficzny uważamy za zbyt słaby w swych podstawach, niezgodny z wewnętrznym sprawdzianem, podanym przez samego autora i niełatwy do uzgodnienia z przyjmowaną skądinąd nauką objawioną.

Ks. J. Ch.

Wład. Jan Grabski: Karol Fourier (1772—1837), jego życie i doktryna. Warszawa 1928. Nakładem Księgarni Hoesicka. XV—293.

Wielcy nasi filozofowie XIX stulecia, zwłaszcza Cieszkowski, Wroński, Trentowski, wciągnęli w całokształt swych systemów także zagadnienia ekonomiczno-społeczne. Pisało się dość wiele o zależności ich systemów od idealistycznej filozofji niemieckiej. Tymczasem już prof. Kleiner w monografji o Krasińskim, ks. prof. Gabryl w swej „Polskiej filozofji religijnej XIX wieku" zwrócili uwagę na współczesne naszym wielkim myślicielom prądy ekonomiczno-społeczne, panujące we Francji a poczęści i w całej Europie pod wpływem t. zw. socjalistów francuskich: Saint Simona, Fouriera, Leroux i innych. Prądy te były dobrze znane naszym polskim filozofom, a zależność od nich wykazał np. Antoni Roszkowski w swej pracy: „Poglądy społeczne i ekonomiczne Augusta Cieszkowskiego" (Poznań 1923). Wogóle obudziło się obecnie, osobliwie po wojnie, zrozumiałe zainteresowanie historją nauk ekonomiczno-społecznych, którego echem w Polsce jest praca p. Grabskiego o Fourierze.

Dzieli ją autor na VI części: I. Życie i dzieła Fouriera; II. Jego „Krytyka teraźniejszości"; III. Jego drogi naprawy (gwarantyzm); IV. Jego „Harmonja przyszłości" (falangi); V. Jego

poglądy metafizyczne i historjozoficzne; VI. Stosunek Fouriera do poprzedników i następców. Wybór Fouriera na przedmiot opracowania trzeba uznać za bardzo trafny, w jego bowiem systemie przebija się i rozbity przez niego saint-simonizm i późniejszy od niego a więcej radykalny leroux-izm a nawet marksyzm. Opis życia Fouriera, który wbrew swej woli a tylko na życzenie rodziców i ulegając koniecznościom życiowym zostaje subjektem sklepowym i jako taki patrzy na niejedno nadużycie, niejeden wyzysk klienteli, tłumaczy nam posuniętą aż do skrajności krytykę dotychczasowej cywilizacji oraz usiłowania wymyślenia lepszego systemu ekonomiczno-społecznego dla ludzkości. Ma nim być harmonijne pożycie wszystkich ludzi, podzielonych na falangi, mieszkających we wspólnych budynkach, mających tylko wspólną własność, pracujących na wspólne dobro. Do tej „harmonji przyszłości" doprowadzi ludzi okres pośredni „gwarantyzmu", który będzie jeszcze zawierał niejedno ustępstwo na rzecz kapitału. Atoli ten okres przejściowy doprowadzi do harmonijnej solidarności pracodawców i pracobiorców.

Chociaż poglądy Fouriera noszą miano „romansu" ekonomiczno-społecznego, a falangi wprowadzone na jakiś czas w życie zawiodły zupełnie nadzieje ich twórcy, to przecież niepodobna zaprzeczyć Fourierowi wielkiej intuicji, szlachetnej dążności do poprawy bytu niższych klas, oraz zainicjowania wielu kierunków społecznych, które się dziś przyjęły w państwach nowoczesnych; wystarczy wspomnieć choćby ubezpieczenia społeczne, emancypację kobiet, towarzystwa akcyjne i t. d. Godną uwagi jest część VI, w której stara się autor wyśledzić wpływy innych na Fouriera i wykazać wpływ Fouriera na następców, w szczególności na sławny manifest komunistyczny Marksa i Engelsa. Obszerna bibljografja fourieryzmu zamyka cenne dzieło, napisane przystępnie a gruntownie, czem oddał autor prawdziwą przysługę naszej literaturze filozoficzno-społecznej.

Ks. Fr. Kwiatkowski

Ferdinand Schoeninghs Sammlung Philosophischer Lesestoffe. — 10 Bändchen: Das Wahrheits und Erkenntnisproblem nach Thomas von Aquino (von Kurt Schulte). — 11 Bändchen: Des Aurelius Augustinus drei Bücher gegen die Akademiker (von Dr. K. Emmel).

W Niemczech wydano w latach ostatnich parę czytanek pomocniczych przy nauczaniu filozofji. Podają one autorów niemieckich w wyjątkach oryginalnych, autorów obcych w niemieckiem tłumaczeniu. W samym roku 1925 wyszły 1) u Schoeningha w Paderborn: Schule der Philosophie (von Dr. J. Feldmann str. 511); 2) u Kösela i Pusteta w Monachjum ukazała się czytanka: Philosophisches Lesebuch (von Ettlinger, Simon, Söhngen str. 443); 3) u Aschendorffa w Münster in Westf.:

Philosophisches Lesebuch (von Grimmelt, Humborg, Rohfleisch, str. 391). Powtarzają się w nich niektóre ustępy, naogół jednak uzupełniają się wzajemnie. U nas wydał taką czytankę filozoficzną Dr. Kazimierz Ajdukiewicz p. t. Główne kierunki filozofji (str. 283); obejmuje ona wyjątki, dotyczące teorji poznania, logiki metafizyki (dalszy ciąg obiecany). Nie trzeba się chyba spierać o to, że takie czytanki przynoszą wielki pożytek uczniowi, którego nie stać na zakup całych dzieł autorów, któremu często i język autora nie jest dostępny.

Czytanki mogą podać tylko oderwane fragmenty z dzieł poszczególnych autorów. Nieraz pragnęłoby się dać uczniom do poznania całe jakieś dziełko, zwłaszcza bardzo klasyczne w danej dziedzinie. Otóż pomyśleli i o tem profesorowie niemieccy. Zaczęli wydawać u Schoeningha: Sammlung Philosophischer Lesestoffe. Wyszło już tomików 11, przeciętnie po 100 stron każdy. Podaje się w nich albo całe dziełka autorów, albo dłuższe ustępy w danej materji. Wydano w ten sposób ustępy klasyczne z Seneki, św. Anzelma Proslogion, św. Tomasza z Akwinu idee społeczno-gospodarcze, Rehmkego istotne zagadnienia nauk podstawowych, wyjątki z Lotzego, ze szkoły franciszkańskiej średniowiecza, z Trendelenburga o celu, o państwie i społeczeństwie św. Tomasza z Akwinu, Felsa o filozofji matematyki.

Tomik 10 podaje wyjątki ze św. Tomasza De Veritate, qu. I i qu. II de magistro. Tomik 11 zawiera całe 3 księgi św. Augustyna Contra Academicos. Przekład niemiecki jak najstaranniejszy, poprzedzony w każdym tomiku wstępem historycznym, uzupełniony uwagami krytycznemi. Skorzystać może z tego wydawnictwa Polak, władający językiem niemieckim, atoli ten przykład zagranicy powinien być zachętą dla polskich pracowników na polu filozofji, by się starali stworzyć podobne wydawnictwo filozoficzne dla naszych uczniów i dla naszej inteligencji. Mamy już w poznańskiem wydawnictwie *Ojców Kościoła* (pod kierownictwem prof. Sajdaka) znakomity przekład Minucjuszowego „Oktawjusza", Boecjuszowych „Pociech filozofji", a zapowiedziane są dalsze przekłady nie samych dzieł teologicznych ale i filozoficznych starożytności chrześcijańskiej.

Ks. Fr. Kwiatkowski.

Przegląd poezyj i powieści.

Stan. Miłaszewski: Farys, wyd. Gebethnera i Wolffa. Tenże: Don Kiszot, wyd. F. Hoesicka. — Stan. Bąkowski: Lotnik niezłomny wyd. F. Hoesicka. — Józef Wittlin: Hymny, wyd. F. Hoesicka. — Kaz. Iłłakowiczówna: Zwierciadło nocy, wydanie J. Mortkowicza. — M. Czerkawska: Zielony cień, wyd. Krakowskiej Sp. Wydawniczej. — Miecz. Braun: Przemysły, wyd. F. Hoesicka. — Z. Rościszewska: Wstęgi, wyd. F. Hoesicka. — Kazimiera Alberti: Bunt lawin, Mój film, wyd. F. Hoesicka. — Joseph Conrad: Wśród prądów i Opowieści zasłyszane wyd. Domu

Książki polskiej. — Stan. Szpotański: Synowie klęski, wyd. Gebethnera i Wolffa. — Jan Wiktor: Srogi pies i sentymentalny zając, wyd. Gebethnera i Wolffa. — R. Malczewski: Narkotyk gór, wyd. Gebethnera i Wolffa. — Andrzej Strug: Fortuna kasjera Śpiewankiewicza, wyd. J. Mortkowicza. — Jul. Wołoszynowski: Potęga snu, wyd. J. Mortkowicza.

Przez pewien czas jakby zasypano źródło z poezją: tak skąpo i mało ukazywało się wierszy. Może nawet je pisano, tylko wydawcy w powojennej pogoni za sensacyjnością nie dawali im się ukazać na światło dzienne. Wśród utworów, które jednak wyszły z druku, przeważała liryka. Większe poematy Zegadłowicza, pozbawione silnie oznaczonych konturów, nie zawierały w sobie pierwiastka epickiego.

Niespodzianką dla krytyki jest ukazanie się w krótkich odstępach czasu dwóch utworów dramatycznych Miłaszewskiego, pisanych wierszem i poematu Bąkowskiego.

Pierwszy utwór „Farys", komedja romantyczna w 7 odsłonach, odrazu tytułem swoim wzbudza falę reminiscencyj z okresu Słowackiego. Postać Rzewuskiego, owiana takim urokiem w „Dumie o Wacławie Rzewuskim" w utworze Miłaszewskiego została przedstawiona realniej, bez nimbu legendy. Coprawda i u niego Farys „pod palmą spoczywał, pod ciemnym cyprysem" i odbiegł pięknej Leili, ale jest trzeźwym politykiem i patrjotą, który zdrowym rozsądkiem przeciwstawia się gromadzie romantyzujących rodaków, tu uosobionych w postaciach Delfiny i Eustachego.

To retrospektywne ośmieszenie romantyzmu ma specjalny posmak w naszych czasach, kiedy romantyzm we wszelkich objawach jest tępiony przez polonistów w szkołach i zwłaszcza przez powojenną lewicę literacką. W ten sposób Miłaszewski pomimo romantycznych dekoracyj, nie podrażnił opinji antyromantycznej, która ma głos także i w pewnym odłamie myśli narodowej.

Słusznie czyni nasz poeta, ośmieszając teorje swedenborgjańskie i wybłyski mistyki, skłaniające się ku herezji i same przez się dziwaczne. Można niejednej ironicznej wycieczki z „Farysa" użyć przeciwko współczesnym teozofom i okultystom. Ale niebezpieczne zawsze są takie wycieczki przeciwko uduchowieniu wogóle. Jak gdyby go było za dużo na świecie! Jakgdyby istotnie trzeba było najbardziej nawet duchom rozwiniętych ludzi reflektować, by pamiętali o ziemi! Pamięta się o niej za dużo, wyłącznie o niej.

„Don Kiszot" mało odbiega od Cervantesa, autor nie napełnił tego symbolu poetyckiego własną treścią. Rzecz jest zręcznie uscenizowana, teatralna. Swój kąt widzenia autor wyraża w końcowej scenie słowami Don Kiszota:

I my walczymy, chrześcijanie.
O sławę, lecz wiekuistą!
Nie dla nas, dla Ciebie, Panie,
Na śmierć gotowi — *Pro Christo!*

Ale od początku Don Kiszot nie wyraża tej idei, a potem — zestawienie postaci komicznej i niepoczytalnej z ideą tej miary wydaje się rozdźwiękiem.

Wiersz w obu utworach oryginalnych Miłaszewskiego jest jakby słabszy, niż w jego przekładzie „Don Juana" Zorilli. Ale w prozodji został ślad wpływu zarówno własnego przekładu hiszpańskiego, jak i pośmiertnych dramatów Słowackiego. Niema tylko tej eterycznej, jedynej na ziemi barwności i muzykalności wiersza. Sytuacje i stany psychiczne osób działających są też prościej i mniej subtelnie oddane. Porównajmy tylko Idalję i Fantazego z Delfiną i Eustachym. To znaczy, że przeszło stulecie „postępu" nie zaznaczyło się większem wysubtelnieniem uczuciowem pokoleń.

W każdym razie nawrót do dramatów wierszowych należy powitać z radością. Jest on oznaką nagromadzenia w społeczeństwie pewnej energji prężnej, rozsadzającej ramy życia codziennego i szukającej form wyższych, piękniejszych. Literatura wdzięczna będzie Miłaszewskiemu za jeszcze jedną próbę na tem polu, za nawrót do tradycji Słowackiego. Przypomnieć warto na tem miejscu dramat historyczny Brończyka o Żółkiewskim („Wieżę Babel" Słonimskiego, ten utwór bolszewicko-wellsowski, trudno zaliczyć do literatury polskiej — zbyt obcy nam jest z ducha).

A oto próba poematu. — „Lotnik niezłomny" Stanisława Bąkowskiego. Dotąd w poematach używano oktawy, sekstyny, trzynasto lub jedenastozgłoskowca. Kasprowicz w swych poematach z cyklu „Ginącemu światu" rozbił sztywność formy klasycznej, dając pierwowzór następcom (najsilniej uległ jego wpływowi Wittlin). Bąkowski znalazł formę do pewnego stopnia nową, chociaż nie tak oryginalną, jak np. próby Ryszarda Dehmel'a, Claudel'a lub Cocteau. Nie używa wcale strofy, rymy się powtarzają nieregularnie, czasem zbyt daleko są rozstawione, przerzuca się od jednej miary do drugiej, tak że poemat, to toczy się poważnem, szerokiem korytem wiersza klasycznego, to zwęża się w szybko tętniący strumyk wiersza nieregularnego, o zmiennej rytmice. Jak i Miłaszewski, Bąkowski używa asonansów, które, zdaje się, coraz bardziej zdobywają prawo obywatelstwa w naszej poezji. Wiersz Bąkowskiego jest płynny, często ma siłę wyrazu, ale więcej w nim walorów muzycznych, niż plastycznych. Jest to próba obiecująca.

Ideą utworu jest nawrócenie i pokuta lotnika, który wyleciał swym samolotem na obszary świata i krążył po nim w nieokiełzanej wolności, skruszywszy wszelkie tablice praw. Chwila niebezpieczeństwa i ocalenia budzi w nim chęć powrotu do Boga, ale ten powrót nie dokonywa się odrazu.

Pięknie są opisane przeżycia wędrowca w Ziemi Świętej, gdzie spotyka pokusę — przyjaciela, który dla miłości ziemskiej

zrzucił suknię kapłana. I owoc pokuty przy Grobie Pańskim zostaje zmarnowany.

I forma i treść „Lotnika niezłomnego" zewszechmiar jest charakterystyczna dla naszych czasów. Najlepiej udają się autorowi opisy przyrody, sceny z ludźmi wykonane są cokolwiek jeszcze nieporadnie. Autora warto we wszelki sposób zachęcić do pogłębienia się filozoficznego i do pracy nad formą. Literatura nasza dawno potrzebuje wybrnięcia z zalewu liryki i powrotu do bardziej męskich form dramatu i epiki. Epika ta na początek ukazuje się nam, jako twór połowiczny: przeładowana również liryką. Ale może lepsze to od dawniejszego przeładowania poematów w oktawach dygresjami refleksyjnemi w rodzaju „Don Juana" Byronowskiego.

U Bąkowskiego obrazy namiętnej erotyki są obrazami kuszącego grzechu, za które bohater potem pokutuje. Ale linja jego utworu jest zupełnie katolicka. Nie można tego powiedzieć o „Hymnach" Wittlina. Więcej tam bywa groźnego Jehowy, niż słodkiego Chrystusa:

Jeśliś ten sam, który śmiercią karze,
Jeśli w słonecznym się rozpalasz żarze,
I jawisz w szumie organów nieszpornych
W gotyckim tumie —
W rozkołysanej gdy bywasz bożnicy.
Kiedy nad ludem groza grzechów zwisa
Na Sądny Dzień —
Spraw, żebyś był —
Bo ja nie chcę umrzeć!

Jest tu jeszcze dzika, ślepa, starozakonna trwoga przed śmiercią. A obok niej — bluźniercze zwątpienie: „Tyś najpiękniejszym naszym wynalazkiem!". Jak w pragmatyzmie: religja powinna istnieć, gdyż wydobywa z nas energję psychiczną! Jest pięknem, abyś był, Panie — ale czy jesteś?!

Niezgodny z kulturą naszą jest wybuch straszliwej żądzy życia (trwoga przed śmiercią). Może ona wyrasta tylko z pokoleń ludzkich, które nie przezwyciężyły śmierci, walcząc o prawdę swoją, z pokoleń, które nie dorosły do obcowania z Bogiem.

Inne hymny, opisujące grozę wojny, tchną Romain Rolland'em i Duhamel'em. Na wojnie było coś więcej, prócz „Łyżki zupy"! (Hymn o łyżce zupy).

Nowy zbiorek Iłłakowiczówny „Zwierciadło nocy" nie przynosi motywów nowych dla tej autorki. Żywiołowa erotyka i mistyka naprzemian — mistyka dziwnie suggestyjna w swym kunsztownym prymitywizmie. Iłłakowiczówna umie obrazami ziemskiemi wyczarować nadziemskie, przywołać tchnienie zaświata. Oto w wierszu „Zabitemu" maluje:

Serce twoje, rozdarte od mieczy
przenajczystsza pogoda uleczy
stopom twoim, skrwawionym w podróży,
biała rosa na łąkach usłuży.
Bo wzdłuż łanów, po przebytej męce,
chodzą zwolna, złączeni za ręce,
chodzą zwolna i zcicha Zbawieni
w stałych zbrojach, w bieli i czerwieni.

Jeszcze się zdarzają poetce wyrażenia nieszczęśliwe („wymódl nam łaskę Ojca, a wstrzymaj rękę kata"), ale coraz szerszem i wyższem staje się jej szybowanie podniebne.

W ostatnich wierszach Iłłakowiczówny prawie niema tego dziecinnego prymitywizmu, który charakteryzował ją w pewnym okresie i który wzięła po niej Felicja Kruszewska. Było to ujęcie rzeczy najbezpośredniejsze, pozaintelektualne — takie, jakie spotykamy u dzieci. Wobec zjawisk przyrody wywoływała tem poetka odrębny ton, pełen świeżości, budziła przytępioną wrażliwość.

Trochę podobieństwa do Iłłakowiczówny ma M. Czerkawska, która po wielu latach milczenia wystąpiła ze zbiorkiem „Zielony cień". Są to historje drzew, ale zarazem symbole losów ludzkich. Np. dzieje tego jesionu, który wśród walki i przezwyciężeń rósł, aby po zwycięstwie opuścić konary w dół „beznadziejnym ruchem zniechęcenia". Albo dzieje buka-pustelnika na Łysej górze, opierającego się złym mocom.

Siła się w walce wzmaga, w wały gałęzi spiętrza,
Nie dotrą wrogie moce do najświętszego wnętrza!

Wiersze Czerkawskiej mają wyraźny rysunek, niepodobne w tem do mgławicowych tworów wielu poetów współczesnych, których treść po przeczytaniu trudno powtórzyć. Niema w nich grajcarkowatych, wyśrubowanych, sztucznych metafor, jak np. w „Łące" Leśmiana. Jest w „Zielonym cieniu" świeżość i urok zielonego lasu.

Cieszyć się należy, że odezwała się jedna z tych poetek przedwojennych, która tak samo, jak Maryla Wolska, albo bardzo zdolna Maryla Markowska, umilkły od dłuższego czasu.

Najnowsze kierunki reprezentują Braun, Rościszewska, Kazimiera Alberti.

Braun trąci Demjanem Biednym, Słonimskim i Tuwimem. Kiedy znajdzie siebie i przestanie uważać Boga za wzór zbyt słaby („Jeśliś stworzone według boskich wzorów, ciało człowiecze, jakże wzór ten słaby!"), mógłby z niego wyróść tęgi poeta. Ale tymczasem uwikłał się w sieć ciągle tych samych nieskończenie monotonnych motywów i rekwizytów. Jak się przeczytało jednego Przybosia, to się już wszystkich Braunów umie napamięć. Lokomotywa, fabryka, kościół, praca, nabożeństwo, węgiel, kramy,

postęp pracy, ciągle w kółko to samo. Jak dawniej słowiki i róże. Gdzież tu odnowa poezji? A prócz tego — kto zna obce wzory tej polskiej apoteozy pracy i marsyljanki, ten nie może być porwany przez najgorętsze okrzyki energji mechanicznej i wybuchy dynamitu.

Braun na tem miejscu oszczędził nam jeszcze dwóch ogranych tematów — proletarjatu i rewolucji. Chwała Bogu — mamy tylko napomknienia o nich. I one działają, jak gramofon, terkoczący ograną do obrzydliwości „Titinę".

Wiersze Kazimiery Alberti słabsze w „Buncie Lawin", nabierają wyrazistości i mocy w „Moim filmie". Cały komplet z motywów powojennych: upojenie życiem bez oglądania się na nic, list, egzotyka, erotyka, sport.

Jest to erupcja wczesnej młodości, kiedy zanadto pociąga życie. Należy życzyć autorce pogłębienia się i ogarnięcia szerszych kręgów życia, szukania nietylko frapujących przeżyć, lecz i... prawdy.

Erotyka Rościszewskiej również trochę przypomina Iłłakowiczównę. Natomiast cykl „Moje dzieciństwo", zawierający wspomnienia z Ukrainy, świeży jest i oryginalny.

Beletrystyka przyniosła plon obfity, że tylko wspomnimy „zdrową sensację" „nowego Kraszewskiego", „polskiego Stevensona" — Marczyńskiego. Pomijając przesadę tych określeń, oczywiście cieszyć się należy, że jest na rynku księgarskim zdrowa sensacja zamiast niezdrowej. I smucić, że jest taki towar, który pozwoli redaktorom jeszcze bardziej obniżyć poziom odcinka literackiego. I dawniej publiczność gorszego gatunku (a takiej jest najwięcej) wolała romanse rewolwerowe od wartościowych powieści, zwłaszcza poruszających jakieś problematy i chcących obudzić zadrzemane sumienia. Ale redaktorowie większości pism trzymali sztandar wysoko. Teraz, kiedy pierwszy głos w wydawnictwie ma „dyrekcja", nie zaś redaktor naczelny i kiedy wydawnictwo we wszystkich działach, prócz polityki, która jest wyrazem interesu partji, kieruje się względami na prenumeratę nie na służbę obywatelską — większość działów obniżyła się przerażająco. Zwłaszcza dział literacki.

Nie wszystko, co „roi" się we współczesnej produkcji beletrystycznej warte jest szerszego omówienia. Są rzeczy zastanawiające, ale niezawsze radośnie.

Ogromną popularność mają u nas dzieła Conrad'a-Korzeniowskiego. Pomimo szaty angielskiej, jest to jednak Polak. Świeżo ukazały się znowu jego „Opowieści zasłyszane" i „Wśród prądów".

Conrad podobny jest do Balzac'a w tem, że tworzył, niczego nie chąc dowieść i o nic nie walcząc. Jest to w najpełniejszem tego słowa znaczeniu przedstawiciel „czystego człowieczeństwa" —

tworzył żyjące indywidua, nie dając im gwiazdy przewodniej. Tylko Balzac tworzył swoje światy nędzy, bogactwa, arystokracji, sztuki i namiętności z tytanicznym rozmachem, a Conrad cyzeluje swoje twory powściągliwie, z pewną flegmą i z niesłychaną precyzją.

Ten człowiek, który zatracił w sobie ojczyznę, który oniemił w sobie jej głos, ten człowiek stojący poza wszelką zbiorowością musiał słuchać tem uważniej głosów jednostek, wyrwanych ze zbiorowości, jednostek samych w sobie. Taka jednostka nie jest odpowiedzialna przed nikim i żaden nakaz nie pęta jej wyżycia się w każdym kierunku.

Ale też taka jednostka, zupełnie osamotniona na okręgu świata, jest pozostawiona samej sobie. Nie czuwa nad nią Bóg, jakoś zupełnie z twórczości Conrad'a wyeliminowany, i nie otacza jej sympatją i opieką zbiorowość.

I nic nie ochrania jej, by stała się igraszką kapryśnych, tragicznych sił przypadku. Trzeba zwrócić uwagę, jak wielką rolę w utworach Conrad'a gra przypadek. Ciosy przypadku są straszliwe i najczęściej miażdżące. Twórczość Conrad'a nazywano okrutną, — jest to prawda. Widział on los człowieka, jako narzędzia ślepych sił. I dlatego nie dorósł do tego wielkiego, prawdziwego, polskiego tragizmu, który polega na walce sił w samym człowieku, odbywającej się pod kątem widzenia wiekuistych praw etyki.

Nie przyznawajmy się do Conrad'a. Konradowego w nim niema nic, prócz imienia. Dusza ta oderwana od gleby rodzinnej, odbarwiona ze wszystkiego, co nie jest jednakowo zrozumiałem pod wszystkiemi stopniami geograficznemi, dusza ta całkiem kosmopolityczna przestała być naszą. Twórczość jego, twórczość doskonała i precyzyjna, jak świetnie zmontowany zegarek lub aparat filmowy, nie jest w y z w a l a j ą c a.

Można to powiedzieć i o dwóch ostatnich książkach. Ale jest to dzięki talentowi autora lektura p o c i ą g a j ą c a, a zarazem nie obowiązująca do niczego i nie wymagająca od nas niczego.

Zwraca naszą uwagę w „Opowieściach zasłyszanych" nowela „książę Roman", opowiadająca o losach ks. Sanguszki, jednego z męczenników powstania 1831 roku. Jedyna to nowela polska w całej twórczości Conrad'a. Interesuje nas tem bardziej, że w zeszłym roku ukazała się przepięknie wydana książka o Romanie ks. Sanguszce, zawierająca pamiętnik i listy jego i jego rodziny i oświetlająca tę piękną, rycerską postać prawdziwego chrześcijanina i Polaka.

Rzadko ukazują się u nas teraz powieści historyczne. „Synowie klęski" St. Szpotańskiego — to powieść na tle emigracji po 1831 roku. Autor, siedząc w Paryżu, miał do wystudjowania bogaty materjał historyczny. Wykorzystał go też w miarę moż-

ności. Galerja znanych postaci emigracyjnych skreślona jest tak objektywnie, że intencja i światopogląd autora zupełnie ukryły się za tym objektywizmem. Tyle tylko można wyrozumieć, że chodziło o pewną rehabilitację ks. Adama Czartoryskiego. Towiański jest przedstawiony może zanadto objektywnie — najbardziej może utkwić w pamięci żywe zaprzeczenie Mickiewicza, że mistrz żadnej nowej wiary nie przynosi. Jakgdyby wszystkie marzenia swedenborgjańskie były zawarte w Ewangelji.

Typy są postawione dobrze, niektóre oryginalnie (Pilchowskiego, co się zaprzedał Towiańskiemu w poddaństwo). Powieść czyta się zajmująco.

W zupełnie inną dziedzinę przenosi nas „Srogi pies i sentymentalny zając" Jana Wiktora. Zwierzęta są ujęte nie w sztucznie zmanierowany sposób Nałkowskiej i Jehanny Wielopolskiej, lecz raczej w soczysty i realistyczny sposób Bartkiewicza. „Psia literatura", która drzemała od czasów Dygasińskiego, ożywiła się u nas znowu. Uczy nas współczucia dla sługi i przyjaciela-zwierzęcia. Ale przypisując zwierzętom ludzkie uczucia, przynajmniej do ludzkich podobne, niesłychanie upraszcza psychikę ludzką. I rzecz dziwna, zamiłowanie do zwierząt zawsze idzie w parze z mizantropją.

Młody i obiecujący talent Jana Wiktora dał tu pełnię współczucia dla wszechświata i jego krzywdy i oburzenia na twardość ludzkiego serca. Może w innych utworach pokaże nam lepsze zastosowanie altruizmu..

Współczesność w całem tego słowa znaczeniu bucha z nowel Rafała Malczewskiego „Narkotyk gór". Historje niesamowite i zwyczajne na tle taternictwa przypominają wiele takich samych przedtem i potem. Styl żywy, trochę telegraficzny nadaje im pewien modny polor i świeżość. Apoteoza sportu i gór, przeciwstawionych atmosferze miasta, gór, w których trzeba być czystym i prawym, jest ideą dość wątłą i wątle wyrażaną.

Znacznie gorsza współczesność tkwi w powieści Andrzeja Struga „Fortuna kasjera Śpiewankiewicza". Powieść na tle kasiarstwa. Cóż, temat jak temat — była apoteoza bojowca — terorysty, teraz jest pełna wyrozumiałości i humanitaryzmu analiza psychiki defraudanta.

Kasjer Śpiewankiewicz mieszka w pokoju z oknem, wychodzącem na mur. Ma nudną żonę i dzieci, które go nic nie obchodzą. Żyje obok tych istot, nie widząc ich wcale i nie dbając o nie. Ale wśród monotonji tego życia nagromadza się w nim apetyt na dobra świata tego. Chce bogactwa, jako wyzwolenia z kieratu. Szwindle dyrekcji bankowej na walucie polskiej niejako rozgrzeszają go moralnie. Przykład idzie z góry. Zaraza szerzy się i ogarnia pionków kapitału po jego kondotjerach.

Warto zwrócić uwagę, że łotrami z pod ciemnej gwiazdy, spekulującemi walutą są dwaj dyrektorowie — Polacy z Ameryki. A w „Pokoleniu Marka Świdy" idealny Żyd-Moryc bankrutuje przez nieuczciwość innych. Faktów po imieniu ze znanych powodów p. Strugowi wymieniać nie wolno — u nas w Polsce tylko Polacy spekulują i szwindlują — a inaczej widzieć, to antysemityzm!

Wkońcu defraudacja Śpiewankiewicza idzie na karb włamywaczy, którzy dostali się do banku; a Śpiewankiewicz wychodzi spokojnie z portfelem, wypchanym dolarami. „Tuż za progiem banku nowy, nieznany człowiek wkroczył w nieznany świat", temi słowami Strug kończy swą antypatyczną książkę.

Środowisko, walczące z Kościołem, nie jest rozsadnikiem etyki i uczuć jasnych i pięknych. Ohyda i brzydota szmatu życia, który ukazał Strug, wprost obraża. W Atenach zabroniono zajmować się sztuką malarzowi, który przedstawił na obrazie osła i chwasty. U nas wszystko wolno. Nawet malować *moral insanity*.

Pisał Boileau: „niema potwora tak okropnego, by nie mógł się podobać, wyobrażony przez sztukę". Wszelako zawsze artyści wszystkich czasów, nawet malując zbrodnię i zło, unikali rzeczy niskich. Oczywiście, z wyjątkiem okresu naturalizmu, gdy prześcigano się w wynajdywaniu w człowieku bestjalności. Płazia, ohydna, tchórzliwa zbrodniczość Śpiewankiewicza możeż uczynić z niego bohatera? Okropny upadek pokolenia całego i jego twórców, kiedy Śpiewankiewicz może się stać tytularnym bohaterem powieści! Przypominamy sobie „Białą rękawiczkę" Żeromskiego, i Płazę Spławskiego i Pochronia z „Dziejów Grzechu". Tam że to było siane ziarno, co wschodzi?

Nie to jest strasznem, że Żeromski wyprowadza na scenę polskich apaszów. Strasznem jest, że wygłasza lirykę i ideologję bandyty, że rozumie potrzebę duszy ludzkiej rozprężyć się, zdruzgotać tablice praw, nieograniczenie, bez nakazów sumienia, szukać materjalnej rozkoszy...

„Nowy, nieznany człowiek wkroczył w nieznany świat"... Kasjer Śpiewankiewicz strząsnął z siebie uczciwe, pracowite życie, pogrzebał pamięć o rodzinie i obowiązkach, aby hucznie używać, aby zerwać wszystkie tamy... I najbardzej do tego przeszkadzał mu strach.

Czemu lewica nasza w różnych „Generałach Barczach", „Świdach", „Teresach Hennert" i „Śpiewankiewiczach" zajmuje się wywlekaniem wszelkiej w Polsce podłości? Świadoma to czy nieświadoma robota dla rozchwiania w narodzie podstaw moralnych?

Odpoczywamy na chwilę, czytając „Potęgę snu" Juljana Wołoszynowskiego. Chcielibyśmy uwierzyć, że „Życie snem Marji" jest nie zabawką poetycką, lecz wiarą, pomimo miejsc niezgodnych z Ewangelją (św. Jan Ewangelista oblubieńcem w Kanie, nawróconym przez matkę Bożą). Widywaliśmy bowiem nazwisko jego na

łamach pism, gdzie nie ukazują się imiona katolickie. Ale wnet przekonywujemy się, że istotnie jest to nie wiara, a estetyzujący renanizm. W „Relacji o Joannie" jest dzieweczka z Domremy, uznana przez Kościół za świętą, przedstawiona jako zwyczajna dziewczyna, wojennego ducha, bohatersko kochająca Ojczyznę, wierząca w swe posłannictwo od Boga — i romansująca z królem Karolem.

Styl autora dość dobry, ale zbytni bezwstyd wyrażeń artyzmu mu nie dodaje. Wtedy zawsze powstaje obca domieszka niesmaku, mącąca czystość wrażenia estetycznego.

Gdyby autor chciał wyrwać się ze swej dotychczasowej atmosfery, poznać lepiej księgi święte, postarać się wiarę wziąć, jako surową prawdę, nie jako zabawkę poetycką — może talent jego dźwignąłby się na tę wyżynę, gdzie praca artysty przestaje być sybaryckiem zaokrąglaniem zdań, a staje się służbą Bożą, nieustannem źródłem kryształowej radości.

Anna Zahorska.

Nowe książki „Bibljoteki Narodowej".

Nr. 62 Jan Chryzostom Pasek: Pamiętniki, opracował Al. Brückner, str. XXXI + 356. — Nr. 98 Stanisław Staszic: Przestrogi dla Polski, Stefan Czarnowski, str. LIV + 248. — Nr. 106 Józef Wybicki: Życie moje, opr. Adam Skałkowski, str. XXXIV + 356. — Nr. 107 Zygmunt Krasiński: Psalmy Przyszłości, opr. Manfred Kridl, str. LXIV + 81. — Nr. 108 Poezja Barska, opr. Kazimierz Kolbuszewski, str. LII + 348. — Nr. 109 Łukasz Górnicki: Dworzanin Polski, opr. Roman Pollak, str. LXXXV 427. — Nr. 111 Juljusz Słowacki: Marja Stuart, opr. Józef Ujejski, str. XXXII + 104. — Nr. 112 Henryk Rzewuski: Pamiątki Soplicy, opr. Zygmunt Szweykowski, str. LVI + 400. — Nr. 113 Kazimierz Brodziński: Wspomnienia mojej młodości, opr. Aleksander Łucki, str. XXIX + 108. — Nr. 115 Franciszek Zabłocki: Sarmatyzm, opr. Ludwik Biernacki, str. XLVIII + 152. — Ser. II. Nr. 41 Eurypides Hippolitos (Fedra), przełożył Bogusław Butrymowicz, ze wstępem Seweryna Hammera, str. XL + 92.

Sporą paczkę nowo wydanych ostatnio przez „Krakowską Spółkę Wydawniczą" książek, tak różnorodnych treścią, czasem powstania, wartością literacką i znaczeniem w literaturze niełatwo jest omówić w krótkiem, syntetycznem ujęciu. A jednak rąmy naszego wydawnictwa tylko na takie ujęcie pozwolą. Wypada nam tedy ograniczyć się niemal do luźnych uwag, jakie pojedyncze wyżej wymienione dzieła nasuwają i krótkiego zaznaczenia tego, co może szerszy ogół czytelników naszych zainteresować.

Wszystkie omawiane tutaj książki, z wyjątkiem ostatniej, należą do Serji I „Bibljoteki Narodowej", t. j. do dzieł oryginalnie polskich.

„Pamiętniki Paska" wydane zostały po raz wtóry, na podstawie rękopisu Załuskich, niedawno odzyskanego z Petersburga. Prof. Brückner z całym zapałem uważnego badacza, na podstawie

tego rękopisu poprawił wady poprzednich wydań. Zyskał na tem język Paska, pokazało się, że jest on znacznie czystszy, niż podawały poprzednie wydania, a nadto znacznie starszy. Ten pietyzm dla należytego zrekonstruowania „Pamiętników" tak ważnych w naszem piśmiennictwie nadaje obecnemu wydaniu szczególną wartość.

„Przestrogi dla Polski" pozostaną zawsze pięknym pomnikiem dążeń i uczuć, które odrodziły upadający naród i przygotowały Konstytucję 3 Maja. Nie na wszystkie zapatrywania Staszica można się pisać, natomiast podziwiać musimy głęboki jego patrjotyzm, trafność wielu poglądów i szlachetną tendencję. I dziś jeszcze niejedna z przestróg wielkiego miłośnika Polski i niezmordowanego obrońcy praw ludu zachowała swą aktualność. Wszakże tak niedawno niedostateczny wysiłek w organizowaniu armji stawił kraj nasz nad brzegiem przepaści i o włos nie sprowadził zupełnej ruiny... A przecież sto trzydzieści lat temu pisał wielki ów mąż: „Aby obrona ziemi tak wielkiej wyrównywała mocy innych krajów trzeba dwakroć sto tysięcy wojska, wokoło opasać się fortecami, w pośrodku osadzić liczne zbrojownie i wojenny zapas..." (str. 192). Do dziś te słowa brzmią jako prawdziwa „przestroga"...

Pamiętniki Wybickiego mają duże znaczenie dla historji zwłaszcza, że autor sam we wielu wypadkach czynną odgrywał rolę. Mnóstwo ciekawych szczegółów czyni pracę Wybickiego nader interesującą.

„Psalmy Przyszłości" ukazują się z podobizną karty tytułowej z r. 1845 i 1848. Tekst wiersza Słowackiego, zbijającego poglądy Krasińskiego, uległ zasadniczej zmianie. O. Kridl odrzuca tekst, podany przez Małeckiego i za podstawę swej pracy bierze autograf bibljoteki Krasińskich w „dodatku" przytaczając ustępy, opuszczone w tej redakcji. Wstęp krytyczny dobrze wprowadza czytelnika w środowisko, w jakiem powstały utwory i daje lepiej je zrozumieć.

Z ciekawością bierzemy do ręki „Poezję Barską" odkrywając w tym zbiorze niejeden rys świadczący wymownie o patrjotyźmie i męstwie rycerzy barskich. Wiele tu rysów humorystycznych niezawsze pełnych taktu a już dla króla „Stasia" nie mają te utworki dosyć słów potępienia, posuwając się nieraz do sądów krzywdzących słabego króla, któremu przecież mimo wielu win, i pewnych zasług dla kraju odmówić nie można.

„Dworzanin Polski", cennym jest objawem żywego zainteresowania się naszego społeczeństwa literaturą włoską, a nadto cennym zabytkiem języka literackiego w złotym wieku. Dotychczas mieliśmy tylko trzy wydania zupełne „Dworzanina". Obecne uskutecznione przez p. Pollaka odznacza się dużą starannością o tekst, a podając liczne objaśnienia, uprzystępnia go bardzo ogółowi czytelników.

Wydanie „Marji Stuart" Słowackiego, oparto na pierwodruku z r. 1832 z małem zmodernizowaniem pisowni. Wstęp prof. J. Ujejskiego, pełen wyrazistości wyjaśnia genezę, kompozycję dzieła, zestawia postacie akcji i tłumaczy trafnie kwestję oryginalności tragedji.

„Pamiątki Soplicy" w obecnem wydaniu opierają się na autografie, zachowując z całą ścisłością tekst, jednak bez pedanterji. Praca Z. Szweykowskiego odsłania dzieło Rzewuskiego w nowej, właściwie autentycznej postaci i stąd duże jej znaczenie.

Do bliższego poznania tak popularnej postaci Brodzińskiego dobrze posłużą jego „Wspomnienia młodości". Zaplątał się w nich niejeden rys, mający znaczenie historyczne jak np. opis przemarszu wojska ks. Poniatowskiego do Saksonji i t. p. W drobnych szczegółach wyraziście uwydatnia się w tych urywkach szlachetny charakter „piewcy Wiesława" i dlatego również dla historji literatury nie są one bez wartości.

Duży talent Franciszka Zabłockiego zasługuje na uprzystępnienie jego dzieł szerokim kołom czytelników. To też z uznaniem witamy pełne staranności, na dwóch autografach oparte wydania „Sarmatyzmu". Ciekawą jest ta sztuka z tego powodu, że miała widoczny wpływ na plan „Pana Tadeusza". W obu utworach mamy kłótnie dwóch rodzin szlacheckich, zajazd i szczęśliwe załagodzenie sporu małżeństwem.

W przekładzie „Fedry" B. Butrymowicza widzimy znaczne zalety; swoboda i lekkość stylu czyni zeń lekturę miłą i dozwala bez trudu podziwiać genjalną i prostolinijną budowę akcji Eurypidesa, która oparta na głębokiej prawdzie ludzkich namiętności, jest i pozostanie nieśmiertelną.

Ks. T. Karyłowski.

Konrad Kümmel: Heilige Jugendzeit, Erzählungen für jugendliche Kommunikanten. Herder, Freiburg in Breisg. Str. XVI+370 i 4 ilustracje.

Pomoc i opieka z góry była zawsze konieczną dla młodzieży, dziś potrzeba jej wzrosła jeszcze silniej z powodu powojennego obniżenia poziomu moralności. Kościół katolicki, idąc za wezwaniem Zbawiciela, cenił też zawsze tę pracę i oddawał się jej, a miał do niej największe dane, bo nietylko kształcił umysł i serce, ale podawał także skuteczne środki do duchowego uszlachetnienia i podniesienia młodzieży. Pomiędzy temi środkami na pierwsze miejsce wysuwa się Komunja św. To też literatura eucharystyczna dla młodzieży rośnie ciągle, a zwłaszcza mnożą się książki, które podają przykłady wybitnej pobożności, czci dla Najśw. Sakramentu i wewnętrznego wyrobienia wśród samej młodzieży, chłopców i dziewcząt. U nas w Polsce ukazało się w ostatnich latach trochę takich książek i broszur, ostatnio np. książka „Młode serca" (Poznań, księg. „Ostoja"), wkrótce ukaże

się ich więcej jeszcze, w związku z zakładaniem w kraju Krucjaty Eucharystycznej.

Wymieniona powyżej obszerna książka „Heilige Jugendzeit" jest również tego rodzaju wydawnictwem. Nie jest ona zbiorem nauk ani rozmyślań, lecz zawiera 29 opowiadań, wyjętych z życia młodzieży, które łączą się z Eucharystją. Część tych przykładów dotyczy pierwszej Komunji św., przeważnie mają one jednak na oku młodzież dorastającą, obojga płci, którą chcą zachęcić do korzystania z tego sakramentu, pobudzić do poważniejszego myślenia o przyszłości i do dobrego spędzenia młodych lat. Dla duchowieństwa i osób, które zajmują się kółkami eucharystycznemi, będzie ta książka cenną pomocą przez dostarczenie im szeregu żywych, zajmujących przykładów.

Ks. St. Podoleński.

Dr. M. Ernst: Astronomja sferyczna, str. X + 606. Nakład Gebethnera i Wolffa.

Zasłużony przez swą pracę naukową i pedagogiczną, tudzież znany szerszemu ogółowi z licznych dzieł i rozpraw profesor Uniwersytetu Jana Kazimierza, p. M. Ernst, wzbogacił świeżo naszą literaturę naukową ściśle naukowym podręcznikiem. Tą piękną pracą wyświadcza p. prof. Ernst wielką przysługę tym wszystkim, którzy mają mniejszą lub większą styczność z astronomją. Dla kogo autor dzieło swe przeznacza, sam mówi w przedmowie; a więc przedewszystkiem dla astronomów i młodzieży studjującej astronomję na wyższych uczelniach, oraz dla nauczycieli kosmografji w szkole średniej, dla tych wszystkich, którym astronomja sferyczna jest nauką pomocniczą, a w dalszym ciągu dla matematyków, fizyków, inżynierów, geofizyków, marynarzy i t. p.

Obszerny rozdział wstępny przedstawia wyczerpująco wzory matematyczne astronomji sferycznej. Dodany na końcu książki zbiór tablic liczbowych zapewnia dziełu użyteczność i dogodność przy efektywnem wykonywaniu rachunku. Z zagadnień astronomji sferycznej opuszczono jedynie teorję zaćmień, która — według przedmowy — ma być wydana osobno; inne działy, jak kształty i rozmiary ziemi, ruch dzienny nieba, ruch słońca, refrakcja, paralaksa, aberacja, precesja i nutacja, ruch własny gwiazd, rachuba czasu, redukcja gwiazd, opracowane obszernie i z klasyczną gruntownością.

O dydaktycznych zaletach podręcznika p. prof. Ernsta może się przekonać każdy, zestawiając np. jego sposób wprowadzania definicyj z klasycznem zresztą dziełem Andoyer'a: *Cours d'Astronomie;* wyższość prof. Ernsta jest niezaprzeczona. Wielka jasność i przystępność wykładu jest jeszcze spotęgowana dobrze wykonanemi rysunkami, oraz konkretnemi przykładami liczbowemi. Wykład jest wyczerpujący; uwzględnione są nawet takie

szczegóły, jak np. w nr. 26 i 108 o wahaniach szerokości i długości geograficznej, jak informacje o tablicach, o katalogach gwiazd, i t. p., tudzież okolicznościowe wzmianki historycznej natury. — Dzieło prof. Ernsta będzie z pewnością powitane przez zainteresowanych z wielkiem uznaniem.

Ks. J. D.

Oprócz tego nadesłano do Redakcji:

Nakładem Polskiej Akademji Umiejętności, Kraków:

Cz. Pietkiewicz: Polesie Rzeczyckie. Materjały etnograficzne. Część I: Kultura materjalna. Str. 319.

Miecz. Małecki: Archaizm podhalański. Str. 46, z mapą.

J. Rostafiński: Królewskie ogrody botaniczne króla Jana Kazimierza etc. Str. 100.

Bulletin international... Classe de sciences mathém. et naturelles. Iuin – decembre 1927.

Wydawnictwo firmy Gebethner i Wolff:

Kaz. Wójcicki: Walka na Parnasie i o Parnas. Materjały i opracowania do dziejów pozytywizmu polskiego. Część I, str. 234.

Kaz. Iłłakowiczówna: Z głębi serca. Poezje, str. 205.

E. Orzeszkowa: Pisma. Tom XXV — Gloria victis. Str. 305.

Włodz. Perzyński: Znamię. Nowele. Str. 231.

Józef Jankowski: Historje niezwykłe. Nowele. Str. 184.

Józef Weyssenhoff: O sztuce pisarskiej Pawła Cazin. Z dołączeniem czterech jego nowel i pięciu ilustr. Str. 137.

Nakładem Księgarni Uniwersyteckiej (Fiszer i Majewski) w Poznaniu:

A. M. Skałkowski: Fragmenty. Życiorysy zasłużonych Polaków. Str 245.

Michał Sobeski: Z pogranicza sztuki i filozofji. Str. 268.

Jan Kasjan: Rozmów dwadzieścia cztery. (Pisma OO. Kościoła tom VI). Str. XVII + 362.

Nakł. Krakowskiej Spółki Wydawniczej:

Oskar Lange: Socjologja i idee społeczne Edwarda Abramowskiego. Odbitka z „Przegl. Współcz." Str. 80.

J. I. Kraszewski: Brühl. Opracował J. Feldman. („Bibl. Narod." Serja I, Nr 114). Str. XXIV + 316.

Fr. Schiller: Dziewica Orleańska. Przeł. Fr. Mirandola, opracował Zdz. Żygulski („Bibl. Nar." Serja II, Nr 47). Str. LXVIII + 151.

J. W. Goethe: Herman i Dorota. Przeł. L. Jenike, oprac. Z. Zagórowski („Bibl. Nar." Serja II, Nr 51). Str. L + 80.

Nakładem Wyd. „Dobra Prasa", Płock:

Ks. J. Umiński: Stanisław Hozjusz. Żywoty Polaków i Pole k. Nr 1 Str. 106.

S. Kamieński: Komunizm a religja. Str. 16.

— Co to jest rewolucja. Str. 16.

H. G.: Komunizm a dziecko. Str. 24.

Nakładem różnych.

Kap. Bolesław Waligóra: Dzieje 85-go pułku strzelców wileńskich. Warszawa 1928. Wojskowy Instytut naukowo-wydawniczy. Str. 468 in 8° mai. z licznemi ilustracjami.

Czartak. Zbiór poetów w Beskidzie (poezje i proza), J. Birkenmajera, J. Brzostowskiej, W. Hanysa, Z. Kossak-Szczuckiej, E. Kozikow-

skiego, T. Szantrocha, J. Wiktora, E. Zegadłowicza). Kraków 1928. Str. 217 in 4°. Wydanie wytworne.

Pamiętnik Zjazdu Przedstawicieli Sejmików Powiatowych w 1927 r. Nakładem Biura Zjazdów Samorządu Ziemskiego. Warszawa 1928. Str. 169 in 8° mai.

A Polonia na literatura Brasileira. Uma anthologia. Ed. Placido e Silva et Co. Curityba, Parana, Brasil, 1927, str. 212 in 8°.

Bronisława Mońkiewicz: Verlaine. Critique littéraire. Paris, Albert Messein éd., 1928, str. 156.

Por. Leonard Żyrkiewicz: Samochody pancerne. Warszawa 1928. Wojskowy Instytut naukowo-wydawniczy. Str. 281, z licznemi ilustr. i 2 tabl.

Ks. Dr. St. Mystkowski: Idea prawa naturalnego w starożytności i u scholastyków. Warszawa 1928. Skład główny: Księgarnia „Polak-Katolik". Str. 182.

Dr. René Martial: La Pologne jadis et de nos jours. Paris, Gebethner i Wolff, 1928, str. 220, z rysunkami.

Roczniki Tow. naukowego w Toruniu. Rocznik XXXIV. (Zawiera prace: ks. dr. K. Bieszka, Walka Zakonu krzyżackiego z Polską o przynależność kościelną archidiakonatu Pomorskiego; Dr. St. Tynca, Dzieje gimnazjum toruńskiego; ks. A. Mańkowskiego, Prałaci i kanonicy katedralni chełmińscy). Toruń 1927, str. 432.

O. Iren. Kmiecik, Reformat: Praktyczne wskazówki o wychowaniu dzieci. Lwów 1928, nakł. OO. Reformatów, str. 320.

Kodeks Społeczny. Zarys katolickiej syntezy społecznej. Przełożył i przedmową poprzedził Dr. L. Górski. Lublin 1928. Str. 48.

Ks. Bron. Gładysz: Officium in gratiarum actione pro victoria chocimensi. W historycznym rozwoju przedstawiona z uwzględnieniem dwóch nieznanych druków liturgicznych z XVII w. Poznań 1928, str. 62. Poznańskie Tow. Przyjaciół nauk.

Tenże: Pamięć Odsieczy Wiedeńskiej w nabożeństwie kościelnem a król Jan Sobieski. Odbitka z „Ateneum Kapłańskiego". Włocławek 1928, str. 12.

Statuta Synodi dioecesanae Luceoriensis, a. D. MCMXXVII... sub Adolfo Petro Szelążek, episcopo Luceoriensi... celebratae. Łuck 1928. Drukarnia diecezjalna. Str. 244.

Dr. Edmund Jehle: Katechesen für die Oberstufe. II. Teil: Sittenlehre. Wyd. Herdera, Fryburg, str. 284.

Sprawozdanie z ruchu religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

Krwawy plon w Meksyku. „Zmowa milczenia". Tłumaczenie tego milczenia przez naszych socjalistów. — Ku likwidacji katolicyzmu w Unji sowieckiej. Deklaracje księży w Rosji z uznaniem rządów bolszewickich. — Zamysły antykościelne polskiego radykalizmu. Dookoła sprawy Dra Putka.

Dobiegają dwa lata od daty rozpętania zdecydowanego prześladowania religijnego w Meksyku. Mamy na myśli dzień 14 czerwca 1926 r., w którym to dniu prezydent Elias Calles podpisał swój dekret, komentujący i zaostrzający już i bez tego wrogą Kościołowi konstytucję meksykańską z r. 1917.[1]) Zaiste plonem swego posiewu i żniwa może poszczycić się dyktator Meksyku. Wszyscy, jacy w kraju byli kapłani, zakonnicy i zakonnice zagraniczni wypędzeni; za nimi musiał iść na wygnanie episkopat pomimo swego obywatelstwa krajowego i liczne rzesze kapłanów miejscowego pochodzenia. Szkolnictwo, będące w rękach kongregacyj zakonnych, doszczętnie zniszczone; nie ostał się także żaden zakład dla wychowania kleru. Cały majątek Kościoła, tak ten, który służył na utrzymanie duchowieństwa, jak i ten, który był właściwie majątkiem zakładów wychowawczych i filantropijnych, został zrabowany; same świątynie zostały ogłoszone za własność „narodu", wyjęte z pod administracji władz kościelnych. Od 22 miesięcy zamilkł wszelki publiczny kult religijny, w żadnej świątyni nie odprawia się już msza św., bo sam Kościół, nie mogąc absolutnie zgodzić się na tyrańskie warunki, jakie mu postawiono, musiał kult publiczny zawiesić; odtąd też wszyscy kapłani, pozbawieni już przez dekret Callesa prawa noszenia sukni duchownej, musieli się

[1]) Oba te akty były szczegółowo omówione w naszem piśmie, wrzesień 1926.

ukryć w głębi prywatnych domów, niedostępnych górskich kryjówek, wychylając się stamtąd jedynie z najkonieczniejszemi posługami religijnemi do chorych i konających, narażeni na zasadzki policji, mającej bez miłosierdzia chwytać takich zbrodniarzy. Przeszło 50 kapłanów, według danych samejże statystyki rządowej, zostało już zabitych; przypuszczamy, że statystyka nie podaje cyfry większej od rzeczywistej ilości ofiar, podejrzewać można ją raczej o to, że podaje cyfrę za małą. Co się tyczy wiernych, to według tejże statystyki, niedawno ogłoszonej, rząd Callesa sam przyznaje się do przeszło 4.000 egzekucyj, dokonanych od 1 kwietnia 1927 r., to jest od czasu, jak obronę wolności Kościoła i wiary spodobało mu się uznać i ogłosić za zdradę stanu i rewolucję, wysyłając przeciwko obrońcom swej wiary wojskowe ekspedycje karne. Znacznie więcej, niż drugie tyle, zgromadzono tych „rewolucjonistów" w obozach koncentracyjnych, a dużą ich ilość, nie wyłączając kapłanów, deportowano do ciężkich robót na tak zwane „Wyspy Marji", odznaczające się klimatem zabójczym, co się równa skazaniu ich na śmierć przedwczesną. Rozpoczęła się masowa emigracja ludu zdecydowanego opuścić kraj ojczysty, swą własność czy zarobki, byle ocalić wiarę i móc chwalić Boga według swego sumienia; na miejsce uchodźców otwiera się wrota dla imigracji żywiołów obcych, np. Japończyków, chociaż w początkach prześladowania tłumaczyło się niegodziwe prawa, między innemi pretekstami, także potrzebą obrony przed wpływami obcemi. Wolność prasy zupełnie zniesiona, tak że jakakolwiek krytyka czy omawianie zarządzeń antyreligijnych w prasie miejscowej z gruntu zostały uniemożliwione; z jej zaś milczenia kuje się dowód, że w kraju żadnego prześladowania niema. „Liga obrony praw Kościoła", stosująca z początku jedynie opór bierny wobec prześladowczych dekretów, została zmuszona do przejścia do oporu czynnego; na to tylko rząd Callesa czekał, by ogłosić światu, że cały ruch nie jest obroną wiary, ale akcją polityczną, rewolucją. Jeżeli ścieżki do zamkniętych kościołów zarosły trawą, to z złośliwą radością wskazuje się na to, jako na dowód obojętności mas ludowych dla religji; jeżeli zaś zbierają się tłumy przed jakąś słynną świątynią i w braku kapłanów same odśpiewują pieśni mszalne, jak to było niegdyś u nas w Poznańskiem za czasów kulturkampfu, to się zgrzyta zębami na takie „sfanatyzowanie" mas, albo wyciąga stąd niespodziewaną konkluzję, że widać dla ich religijności księża są zbędni.

To okrutne prześladowanie wywołuje wciąż w całym katolickim świecie żywe bratnie współczucie dla ofiar, połączone z uczuciem podziwu dla ich stałości. Z wyżyn wa-

tykańskich raz po raz rozlega się głos potępienia dla prześladowców i wezwanie wiernych do modlitw za krwawiący się Meksyk. Episkopat wszystkich krajów podnosi zbiorowo protesty przeciwko brutalnemu deptaniu praw sumienia; podobneż protesty uchwalane są setkami przez przeróżne organizacje katolickie; wierni urządzają zbiorowe nocne adoracje Najśw. Sakramentu i ofiarowują miljony komunij świętych na intencję ciemiężonych braci po wierze. Oczywista rzecz, że poszczególne te protesty nie dochodzą do wiadomości prześladowców, musi być jednak im wiadomem, że w najwyższem oburzeniu piętnują ich, jako barbarzyńców, setki miljonów katolików. Jeżeli to ich nie reflektuje, to widać, że najwyższej duchowej potędze świata, katolicyzmowi, wydała walkę nazabój inna potęga wszechświatowa, i Meksyk jest tylko widownią rozgrywających się między niemi zapasów. Tą inną potęgą jest przedewszystkiem wszechświatowa organizacja, nazywana słusznie anty-kościołem, wolnomularstwo. Zdobywszy w Meksyku, jak nigdzie indziej, decydujące wpływy i stawszy się kliką rządzącą, używa całej swej dyktatury, by urzeczywistnić swój dogmat naczelny zbudowania całego życia publicznego na ściśle świeckich podstawach, bez Boga i bez Jego świętego prawa. Katolicyzm stoi temu na przeszkodzie, a więc musi być zniszczony.

Kiedy przeciwko okrucieństwom rządu Callesa protestują całe społeczeństwa katolickie, uchylają się od protestu dwa najważniejsze czynniki, których głosy mogłyby zaważyć na szali: polityka i wielka prasa. Milczy polityka; żaden rząd nie zdobył się nawet na „przyjacielskie zwrócenie uwagi" rządowi meksykańskiemu, jak się to przecież praktykuje w stosunkach międzypaństwowych często. W obecnym wypadku nawet Stany Zjednoczone, tak kiedy indziej skore do interwencyj w sprawach różnych pobliskich republik, dziwnie są skrupulatne, by nie narazić się na zarzut wtrącania się w sprawy wewnętrzne obcego państwa. Liga narodów, której zwierzony został przez założycieli protektorat nad przeróżnemi mniejszościami narodowemi i wyznaniowemi, wszelkie memorjały i interpelacje w sprawie prześladowania religji w Meksyku spokojnie składa *ad acta;* jakiś przyszły historyk znajdzie w nich ciekawy materjał do pracy o obojętności tej światowej strażniczki sprawiedliwości wobec barbarzyństwa w Meksyku. Istnieje we Francji „Liga obrony praw człowieka", powołana orędowniczka wszystkich uciśnionych. W imię humanitaryzmu ujmie się ona za więźniami komunistami, np. w Polsce, żądać będzie bezkarności dla wszelkich przekonań chociażby najbardziej anarchicznych, nie przepuści bez potępienia żadnej burdy ulicznej, którą ktoś nazwie pogromem żydowskim, ale większością

głosów odrzuci wniosek o potępienie gwałtów, dokonywanych na miljonach sumień katolickich w Meksyku. Wreszcie prasa, ta wielka prasa światowa, docierająca do miljonów czytelników i z którą, jak z potęgą udzielną, liczą się rządy i parlamenty, tak się zachowuje, jakby nie istniał wcale teror meksykański. W obronie dwóch skazanych (nie przesądzamy tutaj czy słusznie) anarchistów potrafiła ona zmobilizować opinję całego świata, natomiast uporczywie milczy, kiedy chodzi o tysiące mordowanych katolików. Kiedy wydawca amerykańskiego dziennika *Commonweal,* M. Williams, rozesłał do prasy Stanów Zjednoczonych głos papieża w obronie prześladowanych katolików meksykańskich, prasa ta odmówiła umieszczenia głosu papieskiego, bo byłoby to „katolicką propagandą". Słusznie przypuszcza Bernard Shaw w swym liście z tego powodu do M. Williamsa, że inaczejby się dziennikarstwo amerykańskie zachowało, gdyby się do niego, zamiast papieża, zwrócił jaki baptysta z Dayton. W największej harmonji z prasą amerykańską milczeniem pokrywa ohydę meksykańską także cała prasa lewicowa, zarówno socjalistyczna jak liberalna w Europie, tak że przypuszczenie, iż milczenie to nie jest dziełem przypadku ani przekonania, ale prawdziwej zmowy, sprzysiężenia, że nad nią także czuwa jakaś potężna wola, nabiera cech bardzo wysokiego prawdopodobieństwa. Za prawdziwy więc ewenement trzeba uważać, że to milczenie przerwały już niektóre dzienniki tego właśnie obozu. Protestancka i liberalna *Frankfurter Zeitung* 29 kwietnia b. r. apeluje do Meksyku w imię uczuć ludzkości, wyrażając się o polityce Callesa, że „jest to zamach na wolność sumienia, którego pod żadnym warunkiem nie można wybaczyć", a również protestancki *Journal de Genève* w n-rze z 10 maja piętnuje jako okrucieństwa takie fakty, jak skazanie na śmierć pewnego ojca z trzema synami za to, że odmówił udziału w burzeniu statuy Chrystusa Króla, którą Calles nakazał zburzyć przy użyciu wojska, albo wtrącanie do więzienia kobiet, w których mieszkaniach odprawianą była prywatnie msza św. Genewski dziennik przestrzega, że takie „tworzenie męczenników znaczy dla każdego państwa nietylko ruinę sytuacji moralnej, ale także upadek materjalny". Za pocieszający przykład wyłamania się z solidarności milczenia w sprawie meksykańskiej trzeba poczytać także z czasów ostatnich protesty pisarzy, gdzie obok takich katolickich nazwisk, jak Chesterton, Papini, Joergenson, znajdują się także podpisy pisarzy żydowskich i liberalnych. Wreszcie dowiadujemy się, jako o pierwszej jaskółce, zapowiadającej wiosnę nawet w obozie socjalistycznym, o proteście londyńskich członków niezależnej partji robotniczej w Anglji, proteście tem znamienniejszym,

że wśród członków londyńskiego koła tej partji niema wcale katolików. Może te przykłady obudzą ludzkie uczucia i głos sumienia u innych dotąd milczących, co wzmocniłoby tę krucjatę opinji cywilizowanego świata, przed którą wreszcie będzie musiało zatrzymać się barbarzyństwo nawet meksykańskie.

Wobec budzenia się sumień tam, gdzie one tak uporczywie milczały, tem dziwniejszem się staje stanowisko socjalistów polskich, którzy jedni jedyni u nas nie zadawalniają się nawet milczeniem w sprawach meksykańskich, ale wprost występują jako apologeci meksykańskiego dyktatora. Po wielu poprzednich wystąpieniach w tym kierunku, ostatnio przed paru tygodniami *Robotnik*, a za nim *Naprzód* stanęły w obronie systemu Callesa. Prasa klerykalna narzeka na sprzysiężenie milczenia w sprawie prześladowania w Meksyku? Milczenie tem się tłumaczy, według socjalistycznych organów, że w Meksyku żadnego prześladowania niema i wszelkie opowiadania o niem są bzdurami klerykalnemi. Calles rządząc świetnie odrodził swój kraj, uszczęśliwił go reformą rolną, obdarował ziemią biednych, przeprowadził rozdział Kościoła od państwa, stworzył szkołę świecką. Walczą przeciwko tym reformom ciemne siły klerykalne, ale tych Calles postanowił „oduczyć" robienia rewolucyj i konsekwentnie ich tego oducza. Jeżeli więc na kogo spadają kary, to nie za wyznawanie religji, ale za nieposłuszeństwo ustawom krajowym.

Ostatnie wystąpienie *Robotnika* nazwał *Dzień Polski* „bezprzykładnym cynizmem" i zaiste kwalifikacja ta nie jest zbyt surową. Bo proszę: stronnictwo polityczne, występujące u nas jako główny obrońca demokracji i parlamentaryzmu, broni jednak dyktatury, przy której cały kongres zredukowany został do roli niemych mameluków tyrana, własnym dekretem przedłużającego sobie okres prezydentury, a broni tej dyktatury tylko dlatego, że ona urzeczywistniła ideały socjalistyczne, jak rozdział Kościoła od państwa, wyrzucenie religji z wychowania i t. p. „reformy". Stronnictwo, które u nas urządza rzeź 6 listopada i szczyci się ze zwycięstwa nad siłą zbrojną własnego państwa, — które niezadowolone z rządu polskiego, popiera opozycję parlamentarną groźbami wyjścia w razie potrzeby na ulicę, naraz staje się adwokatem praworządności meksykańskiej, potępia wszelką opozycję przeciwko „ustawom", dlatego, że są to ustawy i cieszy się z tego, że Calles opozycjonistów oducza robienia rewolucyj. *Dura lex, sed lex,* wołał sowiecki prokurator Krylenko podczas procesu ks. Cieplaka i Budkiewicza, a chodziło o poddanie się księży katolickich między innemi ustawie, zabraniającej nauczania młodzieży katechizmu chociażby prywatnie. Podobnież publicyści polskiego socjalizmu zdają

się wołać pod adresem katolików meksykańskich; trudno, ustawy mogą być w waszych oczach niegodziwe, mimo to winniście ich słuchać, bo są to ustawy i zbrodnią jest robić przeciwko nim rewolucje.

Roztropnie jednak ukrywa się przed własnymi czytelnikami treść tych ustaw, sypiąc w oczy piaskiem frazesów o oddzieleniu Kościoła od państwa, świeckiej szkole i t. p. Trudno przypuścić taką ignorancję redakcyj socjalistycznych, żeby nie znały brzmienia paragrafów dekretu Callesa z r. 1926. Ciągle się jeszcze mówi o bajecznych majątkach kościelnych w Meksyku, jakgdyby naprawdę Kościół cokolwiek posiadał i bronił tego stanu posiadania. Rozdział Kościoła od państwa, pozbawienie religji wpływu na życie publiczne, — niech i tak będzie, ale i państwo niechaj się oddzieli od Kościoła, nie interesuje się jego kultem, nie przywłaszcza sobie prerogatyw biskupich do kwalifikowania kandydatów na proboszczów i t. d., co wszystko jest brutalnie narzucane katolikom przez ustawy meksykańskie, aż do wymagania, aby kapłani złamali swoje śluby i pożenili się. Rozdział Kościoła od państwa istnieje w tylu innych krajach, ale jest rzeczywistym rozdziałem i z takim Kościół się godzi (nie uważając go za ideał); rozdział *à la* Meksyk, to chwycenie za gardło Kościoła, obdartego z wszelkiej własności, skrępowanego we wszystkich swoich funkcjach, pozbawionego wszelkich praw obywatelskich, nawet praw stowarzyszenia o charakterze prywatno-prawnym. Jeżeli taki „rozdział" jest ideałem także naszych socjalistów, — a to trzeba wnioskować z *peanów* na cześć Callesa, — to niechaj się nie dziwią, że uważamy ich za wrogów zdeklarowanych Kościoła katolickiego i katolickiej wiary. Religja jest „rzeczą prywatną", zgodzimy się i na to, lecz jeżeli w imię tej zasady (?) wdziera się policja do mieszkań p r y w a t n y c h i wlecze z nich do więzień księży, którzy tam p r y w a t n i e modły swoje odprawiali, albo ostatnich pociech umierającym udzielali, uważając takie czynności za bunt przeciwko ustawom i jeżeli nasi głosiciele wolności obywatelskich uważają za sprawiedliwe ściganie takich przestępstw, — to zaiste mamy tu do czynienia z moralną przewrotnością i cynizmem. Jedną wszakże doskonałą przysługę oddają nam nasi socjaliści, gloryfikując Callesa: dostarczają nam sami dowodu, że kiedy chodzi o zwalczanie Kościoła, nie są oni dostępni ani dla oczywistości faktów, ani dla uczuć sprawiedliwości, że własnym hasłom i formułom, dwuznacznym w swem brzmieniu, gotowi są nadać znaczenie najbardziej dla religji wrogie. O tem należy wciąż pouczać całe społeczeństwo, a przedewszystkiem obałamucone przez socjalistów rzesze robotnicze i obrabiane już rzesze wiejskiego ludu. Niechaj przynajmniej to dobre

będzie wynikiem z wystąpień polskich socjalistów w sprawie meksykańskiej.

Położenie Kościoła katolickiego w Rosji bolszewickiej tem się różni od położenia w Meksyku, że w Rosji domy modlitwy, aczkolwiek przez konstytucję socjalistyczną „znacjonalizowane", a potem ze wszelkich kosztowności obdarte, stoją jeszcze otwarte dla kultu, wyjąwszy pewną ich część, przeznaczoną na miejsca zabaw lub w inny sposób sprofanowaną. Ale w Meksyku poza prześladowanymi kapłanami stoi mur piersi wiernych, stanowiących olbrzymią większość ludności kraju, podczas gdy w Rosji ludność katolicka rozrzucona w morzu narodowo i religijnie obcem steroryzowana przez krwawą rewolucję, nie posiada tej siły obronnej, jaką stanowi masa zwarta i solidarna. Stąd gdy w Meksyku można się spodziewać końca prześladowania religijnego może już w najbliższych czasach, to w Rosji przyszłość katolicyzmu przedstawia się bardziej ponuro i beznadziejnie.

Bolszewizm, który jak wiadomo w rzędzie naczelnych zadań rewolucji stawia walkę z religją i za urzędowe niejako wyznanie swojej partji poczytuje ateizm, czyni także wszystko, co prowadzić może do stopniowego ale pewnego zlikwidowania katolicyzmu. Przed trzema laty dokonaliśmy na tem miejscu [1]) obliczenia w cyfrach ówczesnego stanu katolicyzmu w Unji sowieckiej na podstawie żmudnych zestawień różnych źródeł. Na całej przestrzeni, stanowiącej Związek republik sowieckich, naliczyliśmy wówczas 1,596.000 katolików, 594 kościołów i kaplic i 396 kapłanów katolickich. Pierwsze dwie cyfry zapewne od tego czasu nie uległy poważniejszym zmianom; liczba wiernych przez przyrost naturalny mogła się nawet nieco powiększyć, ze świątyń pewna część, zdaje się jednak niewielka, mogła ulec profanacji.

Natomiast pewnem jest ciągłe zmniejszanie się ilości duchowieństwa katolickiego. Odnośne cyfry posiadamy, niestety, nie ze wszystkich diecezyj katolickich w Rosji, ale jeżeli wolno wyciągać jakieś wnioski z danych fragmentarycznych, jakie się nam udało zdobyć obecnie, to zaiste chwila zupełnej zagłady kultu katolickiego w Rosji zbliża się zatrważająco szybko. Tak np. w diecezji kamienieckiej na Podolu, liczącej przeszło 300 tysięcy wiernych, było zaledwie 45 kapłanów (6.666 wiernych na jednego księdza), lecz już z tej liczby w jednym roku 1927 uwięziono 10-ciu, a jeden zdradził swą wiarę. Z kapłanów diecezji mohylowskiej (320.000 wiernych) na 1 stycznia b. r. przebywało w Rosji 88-u, lecz w tej liczbie policzeni są 26 księży, znaj-

[1]) Por. *Przegl. Powsz.* marzec 1925, str. 371 i nast.

dujący się w więzieniach i w obozie koncentracyjnym na Wyspach Sołowieckich. O diecezji władywostockiej na Dalekim Wschodzie wiadomo, że pozostał tam tylko biskup (ks. Śliwowski) z dwoma kapłanami. Jest to zresztą jedyny biskup diecezjalny na całym obszarze republik bolszewickich, inne bowiem diecezje (żytomierska, kamieniecka, mińska) są zupełnie pozbawione pasterzy, biskupi zaś dwóch pozostałych (mohylowskiej i tyraspolskiej) przebywają na wygnaniu zagranicą.

Nie ma wstępu na powierzone nam terytorjum wikarjatu Syberji wikarjusz apostolski, zmuszony przebywać w Harbinie w Mandżurji; opróżnioną jest także administracja apostolska Kaukazu i Krymu. Jeżeli przyjąć w innych diecezjach ten sam procent kapłanów uwięzionych i deportowanych, co w przytoczonych wyżej mohylowskiej i kamienieckiej, a przyjąć go można na podstawie dochodzących zewsząd od czasu do czasu wiadomości o aresztowaniach księży, to nie będzie dalekiem od prawdy twierdzenie, że za trzy lata liczba pracujących kapłanów katolickich w Rosji zmniejszyła się o jakie 25% czyli, że może ich być jeszcze najwyżej 300-u na niezmierzonych obszarach, zajmujących szóstą część suszy na globie ziemskim. Jeżeli dzieło przerzedzania szeregów naszego duchowieństwa będzie postępowało dalej w tem samem tempie (nie mówimy przyspieszonem!), to za okrągłe 10 lat organizacja katolickiego kościoła w Rosji będzie całkowicie należała do przeszłości. A uprzytomnijmy sobie, że oprócz aresztowań, deportacyj, wymiany na więźniów z Polski itd. będzie przecież robiła swoje i śmierć. Zapełnianie zaś powstających luk jest przy istniejącym obecnie systemie zupełnie niemożliwem. Nie istnieje ani istnieć nie może żadne seminarjum, któreby przygotowywało nowe pokolenie kapłanów, a przed księżmi zagranicznymi kordony sowieckie są jak najszczelniej zamknięte.

Mając na uwadze ten ciągły ubytek sił apostolskich, łatwo zrozumieć, że pasterzowanie w tych warunkach, praca nad utrzymaniem wiernych przy chrystjaniźmie staje się coraz bardziej iluzoryczną. W miarę, jak są osierocane coraz nowe placówki, formalnie są one powierzane pieczy najbliższych kapłanów, ale też ta piecza musi stawać się coraz bardziej tylko teoretyczną. Czy można mówić o pasterzowaniu takiego księdza, który jest proboszczem jednocześnie w Archangielsku, Wołogdzie, Kostromie i Wiatce, t. j. w punktach rozrzuconych na większej przestrzeni, niż Europa zachodnia? To też tam ludność katolicka, oczywiście przeważnie polska, pozbawiona jakiejkolwiek pomocy religijnej, musi wreszcie rozpłynąć się i zginąć w morzu otaczającego ją prawosławia, albo nawet stać się łupem urzędowego ateizmu.

Lepiej nieco jest na zachodnich kresach Związku sowieckiego, t. j. na terytorjach republik ukraińskiej i białoruskiej. Tu ludność katolicka stanowi skupienia poważniejsze i stosunkowo mniej jedne od drugich odległe, ale i tutaj księża nasi, pragnąc pracować chociażby tylko w kościele dla swoich parafjan, pozostając pod ustawiczną groźbą aresztowań, szykan i pod presją materjalnej biedy, upadają wprost ze znużenia i z przepracowania. „Gdy o tem wszystkiem wciąż się myśli, — tak pisze jeden z tych kapłanów do swego przyjaciela w Polsce, — często pozostając na wolności do jakiegoś czasu, zazdrościmy tym, którzy już siedzą w więzieniu. Dla niejednego z nas, przemęczonego do ostatecznych granic pracą i ciągłemi nieprzyjemnościami, więzienie wydaje się jakiemś prawdziwem sanatorjum".

Do udręczeń, jakie od lat szeregu są codziennym chlebem naszych kapłanów w Rosji, bolszewicka przewrotność dodała udręczenie nowe, tem straszniejsze, że natury moralnej. Postanowiła tych wyznawców złamać na duchu, skompromitować w własnych ich oczach, zanim zniszczy ich fizycznie. Po udanej próbie z najwyższym przedstawicielem cerkwi prawosławnej, arcybiskupem Sergjuszem, który podpisał znaną deklarację, uznającą za słuszne i godziwe nawet te ustawy bolszewickie, które wprost godzą w samą religję chrześcijańską, rząd bolszewicki postanowił zażądać podobnych deklaracyj od duchowieństwa katolickiego. Miały to być deklaracje oczywiście „dobrowolne", tylko pod grozą poczytania ich odmowy za czyn kontrrewolucyjny ze wszystkiemi następstwami takiej zbrodni. Można sobie wyobrazić tragedję w duszach tych księży, nie mogących nawet porozumieć się ze sobą, którym kazano w określonym terminie złożyć żądane deklaracje. Terminem tym była dziesiąta rocznica rewolucji komunistycznej, w listopadzie 1927 r. Dla uświetnienia obchodów bolszewickich mieli księża katoliccy przedzierzgnąć się w chwalców dobrodziejstw, przyniesionych światu i ludzkości przez komunizm rosyjski, mieli wyraźnie potępić i drugich i siebie samych za to, że dotąd byli innego o bolszewiźmie zdania.

I rzeczywiście, w pismach komunistycznych została ogłoszona podobna deklaracja niektórych kapłanów katolickich, powtórzona i przez polskie dzienniki. Dokument ten rozpoczyna od pochwał dla rządów sowieckich, które dopiero w odróżnieniu od Rosji carskiej dały prawdziwą wolność Kościołowi. Duchowieństwo katolickie, zamiast lojalności względem władzy sowieckiej, „wplątało się w stosunki z agentami burżuazji polskiej i polskiego państwa burżuazyjnego" i dopuszczało się czynów zdradzieckich, jak świadczą liczne procesy. Tę działalność potępiają podpisani, podobnie jak

przeciwdziałanie szkołom i instytucjom oświatowym sowieckim i na przyszłość zapewniają o swojej lojalności wobec władzy radzieckiej i wydanych przez nią praw, które dają im rzekomo „możliwość prowadzić samodzielnie zasadniczą i jedyną pracę nad zakorzenianiem religji katolickiej pod bezpośredniem kierownictwem naszego kierowniczego na cały świat centrum — Watykanu". Dokument streszcza pod koniec w 9 punktach *credo* kościelno-polityczne podpisanych: obietnica spełniania wszystkich praw i przepisów konstytucji bolszewickiej, odnoszących się do kościoła katolickiego; wyrzeczenie się na przyszłość wszelkiej polityki i potępienie „oszczerczych" napaści na władzę sowiecką i podobnych insynuacyj; potępienie tajnej korespondencji z kimkolwiek zagranicą; wyrzeczenie się używania ambony dla polsko-patrjotycznej propagandy i krytyki ustaw i dekretów; obietnica nieprzeszkadzania dzieciom w chodzeniu do szkół i organizacyj oświatowych bolszewickich; potępienie planów imperjalistycznych Zachodu i niektórych grup w Polsce przeciwko jedynemu na świecie państwu robotników i włościan; obietnica komunikowania się z Watykanem jedynie przez pośrednictwo rządu; życzenie, by Związek S. R. R. zawarł z Rzymem konkordat; ogólna obietnica lojalności i przyrzeczenie, że będą nawoływać ludność katolicką, by uczciwie spełniała swe obowiązki względem władzy sowieckiej.

Co sądzić o tej deklaracji? Sama jej stylizacja świadczy, że nie mogła ta „podpiska" wyjść z głowy księży katolickich. Pewne stereotypowe zwroty i wyrażenia żargonu bolszewickiego, jak burżuazja polska, awangarda burżuazji, imperjalizm kapitalistyczny i tym podobne świadczą aż nadto, że deklarację układano gdzieś w biurach G. P. U. Kapłani Polacy, gdyby nawet podzielali podobne przekonania, byliby je wyrazili inaczej, stylem bardziej europejskim. Jeżeli więc podpisy, położone pod deklaracją, są prawdziwe, to akt ten można i trzeba poczytać za nowy dowód, jak wielką jest presja teroru bolszewickiego, jeżeli mogła wymóc podpisanie takiej haniebnej deklaracji. Ofiary tego teroru musiały się zawahać przed perspektywą zupełnego natychmiastowego osierocenia wierzącego ludu i zdecydowały się na kupienie możności pracowania jeszcze dla niego choćby kosztem własnej hańby. Nie potępiajmy ich surowo, módlmy się tylko za nich i współczujmy ich duchowej niewoli. Co mogło wyjść z pod pióra księży katolickich, to chyba jedynie życzenie, aby sowiety zawarły konkordat ze Stolicą św., życzenie, które stwierdza ich wierność dla katolicyzmu, ale w którego urzeczywistnienie chyba nie wierzą. Zresztą, jak to możnaby pogodzić z takim rozdziałem Kościoła od państwa, jakiego dokonano w Rosji bolszewickiej? Natomiast

aprobowanie zupełne ustaw bolszewickich, dotyczących religji, wśród których jest przecież ustawa, zabraniająca nauczania religji młodzieży, obietnica nieprzeszkadzania ateistycznej szkole i bezbożnym organizacjom „komsomolskim", nie mogły powstać w myśli katolickiego księdza i jeżeli się znajdują w tekście deklaracji, to dla całego świata stanowią same przez się nowy dowód straszliwej tyranji, wywieranej na sumieniach katolickich przez ateuszów moskiewskich. Charakterystyczną także jest zasada, żywcem przejęta z ustawodawstwa carskiego, dopuszczająca znoszenie się wiernych z Najwyższym Pasterzem w rzeczach wiary jedynie przez pośrednictwo tychże ateuszów, zasada zresztą dla oka tylko dopuszczona, bo dobrze wiadomo, że rząd bolszewicki żadnych stosunków z Rzymem utrzymywać nie chce i za pośrednika w korespondencji służyć nie będzie, a Kościół w Rosji jest pozbawiony w ten sposób wszelkiej możności komunikowania się z Rzymem.

Radykalizm polski radby także wkroczyć na drogę walki z Kościołem katolickim. Nie mówimy tu o komunistach polskich, którzy w swych publikacjach szerzą otwarcie bezbożność według systemu Moskwy. Widzieliśmy także powyżej, omawiając prześladowanie w Meksyku, czego można się spodziewać pod tym względem po socjaliźmie, nazywającym się polskim. Walcząc na tylu pozycjach z komunistami, P. P. S. głosi ten sam w zasadzie, co i tamci, program walki z Kościołem. Radykalizm chłopski niewiele się różni od tamtych kompanów. Szukając przeważnie natchnień i dyrektyw w Moskwie, prowodyrzy skrajnych ugrupowań ludowcowych u nas zwalczały w swoim czasie ratyfikację konkordatu ze Stolicą Apostolską, a obecnie dążą do jego obalenia i do „rozdziału Kościoła od państwa", rozumiejąc ten rozdział prawie po meksykańsku jako zapewnienie przewagi żywiołu świeckiego, państwowego czy partyjnego w Kościele, z pozbawieniem Kościoła wszelkiego wpływu na wychowanie i na życie publiczne.

Poprzednie trzy odmiany radykalizmu, komunistyczny, socjalistyczny i chłopski, przyjmujący walkę z Kościołem do swoich partyjnych klasowych programów, znajdują sojusznika w religijnym radykaliźmie inteligenckim, którego potrosze znajdujemy w różnych ugrupowaniach politycznych, nawet wolnych od krańcowości społecznych i klasowej walki. Źródła tego radykalizmu są różnorodne: niekiedy takiem źródłem jest przekonanie, że religja należy do przeżytków przeszłości przez naukę już dawno osądzonych na zniknięcie, do czego polityka kulturalnego państwa winna czynnie dopomóc; inni, wychodząc z teorji o suwerenności państwa nad wszelkiemi

przejawami życia w społeczeństwie, radziby uchylić z pod wpływu Kościoła dziedziny, w których ten wpływ jeszcze się ujawnia, owszem zreglamentować i poddać kontroli rządu nawet kult religijny; dla innych pobudką do walki z Kościołem jest usiłowanie zrzucenia pewnych więzów moralnych, jakie religja nakłada, a państwo jeszcze respektować każe, w pierwszym rzędzie nierozerwalności małżeństwa. Ten radykalizm inteligencki, zaopatrujący przeważnie poprzednie w przywódców i dostarczający im argumentów, niekiedy nie posuwa się do ostateczności, nie chce krwawej rozprawy z Kościołem, sądzi, że wystarczy obalenie sojuszu między państwem a Kościołem, mającego swój wyraz w konkordacie, konfiskata majątków kościelnych, zeświecczenie szkoły i instytucji małżeństwa, poczem niechaj Kościół idzie już „wolny" swoją drogą. Słowem chodzi mu o formę rozdziału Kościoła od państwa na modłę francuską, z tą może różnicą na gorsze, że nie chciał dopuścić wolnych szkół katolickich, które nawet w zlaicyzowanej Francji istnieć mogą.

W ostatnich czasach nasz religijny radykalizm, który w okresie wyborów ukrywał nieco właściwe swoje oblicze, nie licząc widocznie na zrozumienie dla swych haseł w masach wyborczych, zaznaczył się odrazu kilku wystąpieniami nawet na terenie parlamentarnym. Mamy na myśli wnioski „Wyzwolenia", domagające się ustawy „kneblowej", którąby zabroniła księżom zabierać głos w sprawach publicznych, wniosek z taksą za posługi duchowne, wzorowaną na józefińskich dekretach, wreszcie agitację, wszczętą naokoło sprawy Dra Putka, a popartą przez całą lewicową, zwłaszcza socjalistyczną prasę.

Nie mamy tu miejsca na szczegółowe omawianie tych żądań radykalizmu chłopskiego, które zresztą w obecnych warunkach mają znaczenie tylko demonstracyjne i demagogiczne. Parę uwag należy się jednak sprawie p. Putka. Poseł ten należy do rzędu tych antyklerykałów, którzyby pragnęli poddać Kościół pod rządy ludowe. Podczas debaty konkordatowej w sejmie wypowiedział się on nawet przeciwko ingerencji rządu w sprawie mianowania biskupów, nie spodziewając się wiele po takim etatyźmie; jego ideałem jest gospodarka gminy w parafji, w sprawach dla ludu zrozumialszych i bliższych. Chodzi mu przedewszystkiem o to, aby oddać nadzór nad majątkiem kościelnym, dochodami księdza, nad cmentarzem grzebalnym i t. d. w ręce zarządów gminnych, a proboszcza traktować jako płatnego przez gminę funkcjonarjusza do posług duchownych, coś na wzór wspólnego pastucha wiejskiego. Tak uzależnieni od gminy księża staną się potulnemi narzędziami matadorów wiejskich nawet w sprawach społecznych i politycznych. Na tle usiłowań rozcią-

gnięcia kontroli nad gospodarką parafjalną, ku czemu służyło p. Putkowi, jako wójtowi, za pretekst jego stanowisko członka komitetu parafjalnego według ustaw austrjackich, — wynikały ustawiczne konflikty między nim a proboszczem w Choczni (diecezji krakowskiej). Konkordat był przez niego jak najusilniej zwalczany dlatego, że Kościołowi zapewnił możność zarządzania swym majątkiem według praw kościelnych, niezależnie od jakichkolwiek komitetów. Prawo kanoniczne przewiduje wprawdzie możność dopuszczenia świeckich do udziału w podobnych ekonomicznych sprawach parafji, lecz w zależności od władz kościelnych, tak że komitety, jakieby w tym celu powstały, muszą uważać się za organa podrzędne w stosunku do władzy diecezjalnej i przed nią odpowiedzialne. Tego p. Putek znieść nie może, pragnąc stanowić w sprawach kościelno-administracyjnych instancję od władzy kościelnej niezależną.

Do walki posłużyła p. Putkowi sprawa nowych dzwonów. Podczas gdy proboszcz starał się o sprawienie nowych dzwonów dla swego kościoła, on również przy pomocy pieniędzy z Ameryki sprawił nowy dzwon, który jednak miał należeć nie do kościoła, ale do gminy. Dzwoniłoby się w niego podczas pogrzebów nie według uznania proboszcza, ale p. wójta, za opłatą pewnej taksy do jego dyspozycji. W ten sposób utworzyłby się zaczątek odrębnej gospodarki parafjalnej, niezależnej od proboszcza, o co właśnie tak p. Putkowi chodzi. Wiemy, jakie fiasko spotkało tę wiejską wielką politykę p. wójta. Kościół dzwonu pod takiemi warunkami nie przyjął i biskup go nie pokonsekrował. Zawiedziony wójt usiłował za to przeszkodzić zawieszeniu na wieży kościelnej innych dzwonów, szukając pretekstu w ustawach budowlanych. Na podstawie jakiegoś papieru ze starostwa, który zresztą został anulowany przez wyższą władzę administracyjną, opieczętował dzwony kościelne w czasie ich zawieszania na wieży. Za gwałtowne wtargnięcie do świątyni, łącznie z całym swym poprzednim stosunkiem do Kościoła, sprowadził na siebie interdykt, rzucony nań przez J. E. ks. arcybiskupa Sapiehę, z interdyktu znowu wziął asumpt do deklamacyj przeciwko arcybiskupowi i wogóle kościołowi w komisji budżetowej, deklamacyj, które go przykro ośmieszyły i jako posła i jako prawnika. Nie jest wykluczone, że epilog sprawy rozegra się jeszcze w jakimś sądzie karnym. Co się tyczy dzwonów, to już wiszą one na swojem miejscu.

Ze sprawy dzwonów i interdyktu, sprawy ściśle lokalnej i osobistej, agitacja wroga Kościołowi usiłuje zrobić sprawę zasadniczą. Deklamuje się na temat wznawiania jakichś średniowiecznych klątw, jakgdyby się nie wiedziało, że Kościół prawa okładania karami duchownemi niepoprawnych swych

członków nigdy się nie zrzekł i zrzec nie może, bo ono wypływa z pojęcia każdej organizacji. Wszak interdykty i klątwy pod innemi tylko nazwami istnieją we wszystkich zrzeszeniach ludzkich, poczynając od klubów towarzyskich, a kończąc na ugrupowaniach politycznych. Istnieją tylko pod innemi nazwami: interdykt nazywa się zawieszeniem w prawach i obowiązkach członka, a klątwa — wykluczeniem z danej organizacji. Używajmy więc tych nowych nazw. Posła Putka, który przyznaje się do przynależności do organizacji, zwanej Kościołem katolickim, spotkała narazie kara łagodna: zawieszenie w pewnych prawach członka tej organizacji; jeżeli nie da Kościołowi zadośćuczynienia i nie uzna tych praw, które nim rządzą, może doczekać się wyższego stopnia kary — zupełnego wykluczenia z Kościoła. P. Putek podobno od wyroku interdyktu odwołał się do krakowskiego wojewody; jeżeli to prawda, to skompromitował się tem jako prawnik i naprawdę zasługiwałby na pozbawienie go dyplomu doktora obojga praw przez uniwersytet, który mu go nadał. Odwołują się nadto i on i jego obrońcy na nietykalność poselską, na godność wójtowską, rzekomo pogwałcone przez wyrok biskupi, — lecz tu mamy już do czynienia chyba z zaciemnieniem zdrowego rozsądku. W komisji sejmowej zwrócono słusznie obrońcom p. Putka uwagę na taki precedens, jaki miał miejsce z p. Moraczewskim. Stronnictwo, do którego należał, wykluczyło go ze swych szeregów za przyjęcie teki ministra bez aprobaty władz partyjnych, a przecież nikt, ani w społeczeństwie ani w rządzie, ani sam zainteresowany nawet nie uważał tego wyroku za targnięcie się na godność ministerjalną. Podobnie ma się rzecz ze sprawą p. Putka. Wyrok władzy diecezjalnej dotyczy jedynie praw jego, jako katolika i sprawa jego jedynie na forum kościelnem może znaleźć swój finał. Jeśli kto tego nie chce zrozumieć, źle to świadczy o jego władzach umysłowych. Sprawy p. Putka użyto do rozpętania walki przeciwko Kościołowi katolickiemu, ale to jest tylko pretekst, w braku którego aranżerowie tej akcji znaleźliby drugi, byle tę walkę wśród mas rozpętać. Kościół jednak, oczywista rzecz, przed narzuconą sobie w ten sposób walką nie cofnie się i dla demagogów w rodzaju p. Putka i prowodyrów „Wyzwolenia" swoich zasad się nie wyrzeknie. Bo one powierzone zostały Kościołowi przez Tego, który jest najwyższym prawodawcą i przed którym trzeba zdać rachunek z wiernej straży powierzonego dobra.

Ks. Jan Urban.

Walka z komunizmem.

Dzięki sprężystej organizacji i bezwzględnej dyktaturze, nie cofającej się przed użyciem żadnych środków, utrzymują się bolszewicy w Rosji przy władzy i z nieustającą energją pracują nad wznieceniem rewolucji w pozostałych krajach. Ścisłe zespolenie III-ej Międzynarodówki (Kominternu) z rządem sowieckim ułatwia jej ogromnie tę pracę. Z olbrzymich zasobów państwa czerpie bowiem potrzebne sumy, agitację zaś w obcych krajach ułatwiają jej zagraniczne placówki dyplomatyczne i handlowe. Wie o tem cały świat, a wypadki, zdemaskowane w Angji, Francji, Chinach a ostatnio u nas w Warszawie, są tylko cząstką kreciej roboty, jaka wrze dziś w Europie i w innych częściach świata i spotyka się z widocznem powodzeniem. Specjalnie do tego celu wyszkoleni agitatorzy umieją trafić do ludzi, niezadowolonych z dzisiejszego stanu rzeczy, a hojnie sypane złoto dokonywuje reszty. Ciemne masy idą na lep obietnic, inteligentniejsze jednostki szukają zazwyczaj bezpośredniego zysku. Sowiety nie zaniedbują zresztą propagandy także wśród sfer wykształconych. Celowi temu służy osobny ilustrowany tygodnik *Bulletin d'information. Organe de la Societé pour les relations culturelles entre l'U. R. S. S. et l'Etranger*, który ukazuje się w czterech językach, rosyjskim, francuskim, niemieckim i angielskim; zawiera on wiadomości z różnych dziedzin życia i stara się wykazać, że Rosja obecna należy do najszczęśliwszych krajów w Europie, że kwitnie w niej troska o oświatę, dobrobyt i robotnika, a prawodawstwo, dotyczące rodziny, kobiety i dziecka, należy do najdoskonalszych w Europie.

Propaganda ta nie pozostała bez skutku, agentów bolszewickich zastaniemy dziś w całym prawie świecie, a wślad za nimi mnożą się organizacje komunistyczne, miejscami zaś, jak we Francji, Niemczech, Chinach, silne partje polityczne. We Francji akcja ta objęła pracowników, nietylko fizycznych ale i umysłowych, wdarła się do armji i młodzieży; przy wyborach do Izby Deputowanych, d. 22 i 29 kwietnia b. r., pokazało się, że komuniści tamtejsi są niewiele mniej liczni od socjalistów, głosów ich bowiem padło około 1,100.000, a socjalistycznych około 1,700.000. Sąsiadująca z Rosją Polska stanowi naturalnie szczególnie dogodny teren pracy dla bolszewików, którzy usiłują wykorzystać nasze położenie geograficzne i wewnętrzne stosunki narodowościowe i gospodarcze. Bez przerwy jesteśmy świadkami procesów o propagandę antypaństwową komunistów, co pewien czas likwiduje się jakiś nowy jej ośrodek, odkrywa tajne drukarnie i składy bibuły, aresztuje agentów, a mimo to akcja trwa na szeroką skalę, jak świadczy choćby świeża afera kolejarzy w Krakowie, związana bezpośrednio z sowieckiem poselstwem

w Warszawie. Ostatnie wybory do naszego sejmu pokazały, że na listy komunistyczne i komunizujące padło około pół miljona, a według innych obliczeń blisko miljon głosów.

Czem groziłby dalszy rozwój komunizmu, jest widocznem dla każdego, kto zna jego zasady i ma przed oczyma dzisiejszą Rosję. Zagłada cywilizacji i kultury, upadek religji i moralności, taki byłby owoc jego panowania. To też wśród rządów i społeczeństw daje się dziś zauważyć rosnące otrzeźwienie i zrozumienie konieczności walki. Prowadzą ją władze państwowe, pomagają inni. Przedstawiciele Kościoła nie ustają również we wzywaniu do czujności, za przykładem obecnego Ojca Św., który w alokucji grudniowej 1924 r. upomniał rządzących, by zjednoczyli swe wysiłki w celu oddalenia grożącej klęski; w kwietniu b. r. wydał arcybiskup Paryża, kard. Dubois osobny List pasterski przeciw komunizmowi. W r. 1924 zawiązało się w Paryżu międzynarodowe stowarzyszenie „Entente Internationale contre la III-e Internationale", które obejmuje dziś 21 narodów, odbywa co roku zjazdy międzynarodowe, posiada stałe biuro w Genewie i organ miesięczny *La Vague Rouge;* zadaniem jego jest służenie informacjami i pomocą w walce z bolszewizmem.

Postępy komunizmu u nas w Polsce domagają się od szerszych kół społeczeństwa energicznej z nim walki. Już w r. 1920 zawiązała się w Warszawie (adres: Mazowiecka 11, m. 31) „Liga antybolszewicka", mająca za cel uświadamianie o grożącem niebezpieczeństwie i organizowanie walki z niem; w ostatnich czasach ożywiła się także akcja, dążąca do stłumienia propagandy bolszewickiej wśród młodzieży. W grudniu 1927 r. delegacja, złożona z przedstawicieli różnych organizacyj, złożyła Ministrowi W. R. i O. P. memorjał w sprawie agitacji bolszewickiej między młodzieżą, a z początkiem maja b. r. urządzono w Warszawie w tej samej materji publiczne zebranie z odczytami. Byłoby też wskazanem, aby tego rodzaju akcja, uświadamiająca szerokie sfery społeczeństwa o istocie i niebezpieczeństwach komunizmu, rozwinęła się szerzej w naszym kraju. Znacznem ułatwieniem jej, przez dostarczenie gotowego i rzeczowego materjału, jest założony w ubiegłym roku miesięcznik *Walka z bolszewizmem,* który pod redakcją H. Glassa wychodzi w Warszawie (ul. Widok nr. 5 m. 1; kwartalnie 3 zł). Posiada on poważnych współpracowników i podaje liczne dokładne informacje o organizacji i działalności III-ej Międzynarodówki, uchwały jej kongresów, sprawozdania z akcji w różnych krajach, opisuje propagandę wśród inteligencji, wieśniaków, młodzieży i armji, ilustruje stosunek komunizmu do religji, rodziny, kobiety, dziecka itd. Oprócz tego w wydawnictwie „Dobra Prasa" (Płock, ul. Piekarska nr. 5; oddz. Warszawa pl. Grzybowski nr. 3/5) ukazała się osobna serja broszur popularnych (serja B, każda broszura, przec. 16 str., 25 gr), przeznaczonych do walki z komunizmem i ilustrujących, zwłaszcza

na przykładzie Rosji, zgubną jego działalność w różnych dziedzinach. W sposób bardziej ogólny głównie ze stanowiska religijnego i społecznego, ujmują niebezpieczeństwa komunizmu także dwie broszurki „Bolszewizm i komunizm“ i „Precz z komunizmem!“, które wyszły w serji „Głosów katolickich“ (Kraków, wyd. Ks. Jezuitów, str. 32, gr. 10). Obok poważniejszych rozpraw, których bibljografję zamieszcza czasopismo *Walka z bolszewizmem*, stanowi to pismo i wspomniane powyżej broszury tani i obfity materjał do pracy nad uświadomieniem szerokich warstw o niebezpieczeństwach komunizmu, pracy, która wobec rosnącego zła staje się dziś poważnym obowiązkiem każdego Polaka i katolika.

S.

W zeszycie poprzednim umieszczona została odezwa O. A. Borkowskiego z prośbą o ofiary na ołtarz polski św. Antoniego w Nazarecie. Mamy możność zakomunikowania obecnie, że J. Em. ks. kardynał Hlond uznał myśl inicjatora za piękną i przyczynił się swym darem do zbożnego dzieła, aby wyprosić sobie opiekę Matki Najśw. i wstawiennictwo św. Antoniego.

REDAKTOR I WYDAWCA: *KS. JAN URBAN T. J.*

Druk ukończono 1 czerwca 1928 r.

Spis rzeczy tomu 178.

Artykuły.

Str.

Ks. J. Urban T. J.: Po wyborach 3

Biskup M. Godlewski: Arcybiskup Siestrzeńcewicz i Stanisław August w Petersburgu. 18

Prof. W. Rubczyński: Zagadnienie rzeczywistości jako przedmiotu odkryć. 35, 175, 319

Ks. T. Karyłowski T. J.: Drobiazgi hymnologiczne . . . 56

Ks. Dr. A. Szymański: Rozwój i znaczenie umów zbiorowych 60

Ks. St. Bednarski T. J.: Stosunki Kardynała R. Bellarmina z Polską i Polakami 73, 150

J. Kallenbach: Twierdza Ossolińskiego 129

F. Bielak: Z dyskusji o ustrój szkoły średniej 136

K. Smogorzewski: Francja i Alzacja 207, 340

K. Piotrowicz i J. Feldman: Z powodu IV wydania „Dziejów Polski" M. Bobrzyńskiego 227

Prof. J. Smoleński: Zagadnienie „korytarza" pomorskiego ze stanowiska geografji politycznej 273

Ks. St. Podoleński T. J.: Wychowawczo-oświatowa akcja socjalizmu w Polsce 282

W. Charkiewicz: Na ostatnim szańcu 306

Przegląd piśmiennictwa.

Pamiętnik literacki. Czasopismo kwartalne, poświęcone historji i krytyce literatury polskiej, wydawane przez Towarzystwo Literackie im. Adama Mickiewicza, pod redakcją Bronisława Gubrynowicza. (Dr. Z. Ciechanowska) 97

Przegląd bibljoteczny. Wydawnictwo Związku bibljotekarzy polskich. Redaktor Edward Kuntze. Rocznik I, 1927. (Z. C.) 100

Anna Zahorska: Trucizny. Powieść współczesna. (Ks. J. Urban). 101

Zdzisław Dębicki: Rozmowy o literaturze. (Ks. J. Urban) . 102

Czesław Lechicki: Kościół ormański w Polsce. (Ks. J. Urban) 102
Erich Wasmann S. J.: Eins mit Gott. Gedanken eines christlichen Naturforschers. (S. P.) 103
Bibljoteka Ligi Katolickiej Diecezji Częstochowskiej Nr. 1—3. (J. R.) 104
Stan. Starzyński: Współczesny ustrój prawno-polityczny Polski i innych państw słowiańskich. (J. U.). 104
Bol. Wilanowski: Ustępstwa ze strony Kościoła na rzecz państwa, poczynione w konkordacie z 10 lutego 1925 r. w świetle konkordatów innych. (Ks. J. U.) 105
Roman Zawiliński: Dobór wyrazów. Słownik wyrazów bliskoznacznych i jednoznacznych. — Tadeusz Bałaban: Poradnik językowy dla pracowników biurowych. (S.) 105
F. H. Schüth S. J.: Medatrix (Ks. M. Morawski) 246
Katolische Mystik. Das aussergewöhnliche Gebet von René de Maumigny S. J. Mit einem Lebensbild des Verfassers und ein Einerführung in die Mystik von Karl Richstätter S. J. (Ks. J. Andrasz) 248
Św. Jan od Krzyża: Wnijście na górę Karmelu. Księga I—III. Przełożyła z hiszpańskiego Eug. Kostecka. (Ks. J. Andrasz) . . 248
Małżeństwo w świetle nauki katolickiej. Praca zbiorowa profesorów Uniwersytetu Lubelskiego. (Ks. St. Podoleński) 249
M. B. Lepecki: W sercu czerwonego lądu. Przygody z podróży po Paragwaju, Boliwji i Brazylji. (J. K.). 251
Wydawnictwa dla młodzieży Spółki Akcyjnej „Ostoja". (N.) . 251
Nowy i doniosły organ. (J. R.) 252
Dr. Aug. Jakubisiak: Essai sur les limites de l'Espace et du Temps. (Ks. J. Ch.) 360
Wład. Jan Grabski: Karol Fourier (1772—1827), jego życie i doktryna. (Ks. Fr. Kwiatkowski) 363
Ferdinand Schoeninghs Sammlung Philosophisher Lesestoffe. — 10 Bändchen: Das Wahrheits und Erkenntnisproblem nach Thomas von Aquino (von Kurt Schulle). — 11 Bändchen: Des Aurelius Augustinus drei Bücher gegen die Akademiker (von Dr. K. Emmel). (Ks. Fr. Kwiatkowski) 364
Przegląd poezyj i powieści. Stan. Miłaszewki: Farys. — Tenże: Don Kiszot. — Stan. Bąkowski: Lotnik niezłomny. — Józef Wittlin: Hymny. — Kaz. Iłłakowiczówna: Zwierciadło nocy. — M. Czerkawska: Zielony cień. — Miecz. Braun: Przemysły. — Z. Rościszewska: Wstęgi. — Kazimiera Alberti: Bunt lawin, Mój film. — Joseph Conrad: Wśród prądów i Opowieści zasłyszane. — Stan. Szpotański: Synowie klęski. — Jan Wiktor: Srogi pies i sentymentalny zając. — R. Malczewski: Narkotyk gór. — Andrzej Strug: Fortuna kasjera Śpiewankiewicza. — Jul. Wołoszynowski: Potęga snu. (Anna Zahorska) 365
Nowe książki „Bibljoteki Narodowej". Nr. 62. Jan Chryzostom Pasek: Pamiętniki, opr. Al. Brückner. — Nr. 98. Stanisław Staszic: Przestrogi dla Polski, Stefan Czarnowski. — Nr. 106. Józef Wybicki:

Życie moje, opr. Adam Skałkowski. — Nr. 107. Zygmunt Krasiński: Psalmy Przyszłości, opr. Manfred Kridl. — Nr. 108. Poezja Barska, opr. Kazimierz Kolbuszewski. — Nr. 109. Łukasz Górnicki: Dworzanin Polski, opr. Roman Pollak. — Nr. 111. Juljusz Słowacki: Marja Stuart, opr. Józef Ujejski. — Nr. 112. Henryk Rzewuski: Pamiętniki Soplicy, opr. Zygmunt Szweykowski. — Nr. 113. Kazimierz Brodziński: Wspomnienia mojej młodości, opr. Aleksander Łucki. — Nr. 115. Franciszek Zabłocki: Sarmatyzm, opr. Ludwik Biernacki. — Ser. II. Nr. 41. Eurypides Hipolitos (Fedra), przeł. Bogusław Butrymowicz, ze wstępem Seweryna Hammera. (Ks. T. Karyłowski). 374

Konrad Kümmel: Heilige Jugendzeit, Erzählungen für jugendliche Kommunikanten. (Ks. S. Podoleński). 376

Dr. M. Ernst: Astronomja sferyczna (Ks. J. D.) 377

Nadesłane. 106, 253, 378

Sprawozdanie z ruchu religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła:

Kwiecień: Postępy unji kościelnej na kresach wschodnich. — Trudności akcji misyjnej. — Romanizm czy helenizm? (Ks. J. Urban T. J.) 108

Maj: Ze spraw kościelnych w Rumunji. — Rozwiązanie stowarzyszenia „Przyjaciół Izraela". (Ks. J. Urban T. J.) 255

Czerwiec: Krwawy plon w Meksyku. „Zmowa milczenia". Tłumaczenie tego milczenia przez naszych socjalistów. — Ku likwidacji katolicyzmu w Unji sowieckiej. Deklaracje księży w Rosji z uznaniem rządów bolszewickich. — Zamysły antykościelne polskiego radykalizmu. Dookoła sprawy Dra Putka 380

Powstanie spółdzielczości spożywczej i jej stan obecny w Polsce. (Dr. J. Mikułowski). 118

Radjotelewizja. (Ks. J. Dorda T. J.) 122

Pierwszy Polski Zjazd Teologiczny. (Ks. F. Kwiatkowski T. J.) 261

Rozwój kinematografji a katolicyzm. (J. Czarnecki) . . . 263

Walka z komunizmem. (S.) 394